

NORMA BEISHIR

Laniec bogów



DC
KOSMOS

Przeszłość dogania każdego, nawet tych,
którzy mają wszystko, nawet bogów...

Beishir Norma

Taniec bogów

Meredith Courtney, piękna i inteligentna prezenterka jednej z amerykańskich sieci telewizyjnych, w swej drodze na szczyt nie dostrzega, że kariera zawodowa coraz bardziej zagraża trwałości jej związku ze zdolnym reżyserem, Nickiem. Postawiona w obliczu wyboru, choć z bólem, wybiera jednak karierę.

Aleksander Kirakis, syn greckiego armatora i jedyny spadkobierca olbrzymiej fortuny, nie ma problemów tego typu, bo dla niego kobieta jest wyłącznie zabawką, tańszą bądź droższą, ale zabawką. Dopiero gdy w jego życiu pojawia się Meredith, Aleksander z niepokojem stwierdza, że z tą kobietą mogłoby być inaczej, że przy niej znikają tajemnicze zmory przeszłości...

***Ale przeszłość dogania nawet tych, którzy mają wszystko.
Nawet bogów.***

Gdy już powoli zapomniano o śmierci włoskiego przemysłowca, zaczęły się procesy przeciw francuskiemu koncernowi farmaceutycznemu, który używał cyjanku do produkcji środków przeciwbólowych. Później doszła awaria w placówce prowadzącej badania jądrowe. Na dodatek Kafir ostrzegał przed wydarzeniami w Azji. Ktoś chciał zniszczyć Aleksandra. Wiedział, gdzie uderzyć, znał słabe punkty korporacji. Aleksander nie miał wątpliwości, że rozpoczęła się walka na śmierć i życie z potężnym przeciwnikiem bez twarzy...
I nie zamierzał się poddawać.

OD AUTORKI

Jeszcze żadna książka nie powstała wyłącznie dzięki wyńłkom autora, toteż chciałabym gorąco podziękować tym, którzy pomogli ubarwić mozaikę tej powieści swoimi opiniami, wiedzą i wspomnieniami; pragnę też podziękować za wsparcie w chwilach, gdy tego najbardziej potrzebowałam:

Mojemu wydawcy, Damaris Rowland, za opiekę i cierpliwość, wykraczającą daleko poza jej obowiązki...

*Mojej agentce, Marii Cawainis, za entuzjazm i osobiste zaangażowanie...
Zespołowi z Camp Berkley, który pomógł w spełnieniu marzeń, w składzie: Roger Coper, Ed Breslin, Sabra Elliott, Leigh Haber, Ulane Ekblad, Frank Kozelek, Joni Friedman, Rick Surmacz i Geanine Thompson.*

Sybil Pincus za skrupulatną redakcję tekstu...

Nancy Coffey za zachętę...

Za pomoc w zbieraniu materiałów: Louisowi Donosowi i Achillesowi Papersenosowi z Ambasady Greckiej w Waszyngtonie, Tbny'e-mu Hatchowi z Atlantic Richfield w Los Angeles, Earlowi Zimmermanowiz GA Technologies w San Diego, Billowi Thomesowi - za błyskawiczny kurs mrządzenia przedsiębiorstwami; oraz Pam Tlwmas i Jerry'emu Kocłwwi za informacje o planie zdjęciowym...

Ogólne podńękowania należą się: Karyn Witmer-Gow, Kitty Glenn Doyle, Joan Treloar, Boni Heck, Jake'owi i Lolly Beishinom, Jimcnvi i Audrey Rellingom, Kay Schleńnger, Donnie Tyson, Janowi Dierkesowi, Mary Miller, Betty Stewart i Loretcie Raney...

*I za inspirację memu synowi, Collinowi, który jest ósmym cudem świata...
Norma L. Beishir St. Louis, Missouri 20 października 1987 roku*

*O tym, co dobre w Tobie chcę mówić,
zapomnieć wszelkie zło, Lecz czymże jest dobro bez zła, gnębione
głodem i pragnieniem? Zaprawdę, gdy dobro przymiera głodem,
szuka stawy nawet w ciemności jaskiń. A kiedy ugasić chce pragnienie,
choćby
i ze stojących wód pije...
Kahlil Gibron Prorok*

Prolog

Nowy Jork, grudzień 1986

Sypało puszystym śniegiem. Wystawy wszystkich sklepów znanych firm - Cartier, Saks, Tiffany & Co., Van Cleef & Arpels, Harry Winston, Gucci, Bergdorf Goodman, Steuben Glass - usytuowanych wzdłuż Piątej Alei, skrzyły się wspaniałymi cackami, zachęcającymi do wejścia.

Powietrze wypełniały dźwięki klaksonów, a chodnikami płynęła rzeka przechodniów z zapakowanymi w błyszczący papier gwiazdkowymi prezentami: urzędników wracających z pracy, turystów, chłonących wszystko szeroko otwartymi oczami, i sprzedawców ulicznych. Jezdnią poruszały się zderzak w zderzak autobusy, taksówki i limuzyny prowadzone przez zawodowych szoferów.

Meredith, zagłębiona w miękkich obiciach tylnego siedzenia jednej z takich limuzyn, mocno wtuliła się w futro z rosyjskiego rysia, ale nadal było jej zimno. Chłód, który ją przenikał do szpiku kości, nie miał nic wspólnego z pogodą. Meredith drętwiała ze strachu. Czowała, że cały jej świat bliski jest zawałenia się i nic nie może na to poradzić.

Jakby w ogóle nie dostrzegała pośpiechu, będącego nieodłączną częścią życia na Manhattanie. Błądzą oczyma po wystawach, uświadomiła sobie nagle, że przestał ją cieszyć nastrój Bożego Narodzenia. Po zachodniej stronie alei rozpościerał się widok na centrum Rockefellera, pełne drapaczy chmur, placyków,

sklepów i kawiarenek. Aleksander powiedział jej kiedyś, że warte jest siedem milionów dolarów. Aleksander. Zwykle cieszyła się na myśl o powrocie do domu i spędzeniu z mężem wieczoru, lecz teraz była zadowolona, że go nie zastanie. Aleksander miał do załatwienia interesy w Paryżu i Meredith dziękowała za to losowi. Mąż natychmiast zauważyłby, że stało się coś złego, a ona nie była pewna, czy mogłaby mu to powiedzieć.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się przed Olympic Tower na rogu Piątej i Pięćdziesiątej Pierwszej.

Gdy Meredith wyszła na zimne wieczorne powietrze, wiatr rozwiał jej długie blond włosy i owinał wokół twarzy. Przez chwilę przyglądała się budynkowi. Wyglądał jak okazały klejnot z brązu. Czterdzieści dwa piętra czystego bogactwa, w sam raz dla króla - pomyślała. Ruszyła do wejścia. Stojący w pełnej gotowości, ubrany w liberię odzwierciadły uśmiechnął się i otworzył jej drzwi. Skinęła mu głową i stąpając po czerwonym dywanie przez hol, skierowała się do wind. Kilkakrotnie nacisnęła przycisk, dając upust swemu zniecierpliwieniu. Pośpiesz się. Proszę... Pośpiesz się! - błagała.

- Czy coś się stało, pani Kirakis?

Odwróciła się zaskoczona. Przed nią, z wyrazem troski na twarzy, stał jeden z dozorców. Wszyscy dozorczy Olympic Tower nosili identyczne uniformy: brązowe spodnie, szaroniebieskie marynarki, kamizelki i białe aksamitne muszki.

- Wszystko w porządku, pani Kirakis? - zapytał ponownie.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Tak... Po prostu jestem trochę zmęczona. To był długi dzień. Cieszę się, że w końcu jestem w domu.

Uśmiechnął się.

- Godzinę temu przyjechał pani mąż - powiedział, otwierając drzwi windy.

- Mój mąż? Jest pan pewien? Skinął głową.

- Tak, proszę pani - rzekł. - Najzupełniej. Jechaliśmy razem windą.
- Dziękuję - powiedziała, gdy drzwi zaczęły się wolno zamykać. Winda ruszyła. Meredith drząc oparła się o ścianę. Dlaczego Aleksander tak szybko wrócił z Paryża? Co się stało? - zastanawiała się. - Czyżby i jemu coś nie wyszło?

Czekał na nią przy drzwiach. Podeszedł i delikatnie ją ucałował.

- Miałem nadzieję, że nie wrócisz późno - powiedział.

- W Paryżu wszystko poszło dobrze? - zapytała zdejmując futro.

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Może dlatego, że ostatnio wydaje mi się, jakbyśmy żyli w samym środku huraganu. Cały czas zastanawiam się, co takiego złego za chwilę się wydarzy - odrzekła. - Myślałam, że nie udało ci się załatwić tego, co chciałeś, albo spotkały cię jakieś inne przykrości...

- Nie mogło być lepiej. - Przez chwilę przyglądał się jej badawczo. - Może powiesz mi, co cię dręczy.

- Mnie? - Zaśmiała się nieszczerze. - Przepracowanie, nic poza tym. Nikt nie powiedział Harveyowi Peter-sonowi, że niewolnictwo zostało już dawno zniesione.

- Praca? Jesteś pewna, że tylko o to chodzi?

- Słowo skauta - rzekła, siląc się na wesołość. - Strasznie boli mnie głowa. Chyba położę się na chwilę, zanim siądziemy do kolacji.

Skinął głową. Nie uwierzył w»ani jedno słowo, wiedziała o tym. Była mu wdzięczna, że nie zmuszał jej do dalszych wyjaśnień. Głowa bolała ją naprawdę. Powrócił znajomy pulsujący ból w prawej skroni. Pocałowała Aleksandra i wycofała się do sypialni.

Leżąc w ciemności, wciąż wracała myślami do chwili, gdy rankiem posłaniec przyniósł jej przesyłkę. Na kopercie nie znalazła żadnej informacji o nadawcy. Kopia dokumentu, która znajdowała się wewnątrz, nie wymagała żadnych wyjaśnień.

Jedno było pewne: bez względu na to, kim był nadawca, dokument stanowił w jego rękach groźną broń. Meredith usiadła i zapaliła nocną lampkę. Ostrożnie, jakby to była bomba, wyjęła z torby kopertę. Wysunęła dokument z koperty i zatopiła w nim wzrok. Jak mogło do tego dojść? - pytała siebie po raz setny tego dnia. -Czy uwierzy mi, że nie wiem, kto to przysłał?

Doskonale zdawała sobie sprawę, co mogłoby się z nimi stać, gdyby dokument trafił w niepowołane ręce.

1

Los Angeles, lipiec 1979

Meredith Courtney, prezenterka dziennika stacji telewizyjnej KXLA, zaparkowała wóz w przecznicy obok hotelu Beverly Wilshire. Spojrzała na zegarek. Była za piętnaście jedenasta. Miała jeszcze trochę czasu. Spojrzała we wsteczne lustro i przeczesła grzebieniem włosy. Odruchowo starła nieco szminkę. Weszło jej to w nawyk, gdy usłyszała od znajomej dziennikarki, że przed kamerami wygląda na przesadnie umalowaną.

Wkrótce przybył Brian, jej kamerzysta.

Gdy wysiadła z samochodu, Brian zaczął już wyładowywać sprzęt.

- Cześć, panienko! - pozdrowił ją radośnie. - Wcześniej dziś zerwali cię do roboty. Nie minęło nawet południe!

Uśmiechnęła się.

- Nie wszyscy mogą być noppnymi markami, prawda? - zazartowała. - Zepsuły cię te nocne reportaże, które robiłeś z Harrym Jacobsem.

- Kim jest ten facet? - zapytał Brian, gdy przecinali bulwar Wilshire. - Zagranicznym dyplomata?

- Constantine Kirakis? - Meredith roześmiała się głośno. - Brian, nie bądź śmieszny. Przecież to jeden z najbogatszych ludzi na świecie. Naprawdę nigdy o nim nie słyszałeś? Zapamiętaj: Constantine Kirakis jest powszechnie szanowanym greckim magnatem finansowym - statki, ropa naftowa, kopalnie diamentów.

A przy tym jest klasycznym przykładem kogoś, kto zrobił karierę, zaczynając od zera.

- A dzisiaj jest naszym „materiałem”.

- Dokładnie tak.

Kiedy Meredith szła holem Beverly Wilshire, ludzie odwracali się za nią, ale ona nie zwracała na to uwagi. Doskonale zdawała sobie sprawę z własnej popularności. Była kobietą o uderzającej urodzie: smukła, o ciemnej cerze, błękitnych oczach oraz wspaniałych blond włosach.

Autentyczna złota kalifornijska dziewczyna.

Skierowała się do zatłoczonej sali bankietowej i usiadła, na krześle. Brian tymczasem szukał odpowiedniego miejsca, skąd miałby dobry widok na podium, z którego zamierzał przemawiać Kirakis. Wiedział, jak bardzo zależało Meredith na tych zdjęciach, i tylko to się teraz dla niego liczyło. Poznał Meredith Courtney na własnej skórze. Była po prostu profesjonalistką; od swoich współpracowników wymagała podporządkowania i perfekcjonizmu. Brian wiedział, że dostałaby szału, gdyby produkt końcowy nie był czystą doskonałością. Przygotował sprzęt i czekał na jej sygnał.

Gdy przedstawiono Constantine'a Kirakisa, Meredith pogrzebała w torbie i wyjęła gruby notes do stenografowania oraz garść ołówków. Notes mógł być pomocny później, w czasie przygotowywania materiału do emisji.

Zebrała już dużo informacji, a teraz chciała się upewnić, czy niczego nie pominęła. Dała znak Brianowi, że chce zbliżenie Constantine'a Kirakisa.

Chodziło o to, by widzowie oglądający wiadomości o jedenastej odczuli moc autorytetu i władzy Kirakisa, kryjącą się w jego gestach i silnym głosie. Meredith chciała, by poczuli to samo co ona, kiedy siedziała w zatłoczonej sali bankietowej. Kirakis był naprawdę potężnym mężczyzną: wysoki, dobrze zbudowany. Jego kształty podkreślał czarny garnitur, kontrastujący z ogorzałą twarzą, jasnymi włosami i wąsami. W młodości musiał być bardzo przystojny - pomyślała.

Konferencja przeciągała się i Meredith zaczynała

uwagać, że przychodząc na nią zmarnowała czas. Drażnił ją sposób, w jaki dziennikarze z „Shipping News” zdominowali konferencję, dostrzegając w niej znakomitą okazję do wypytywania Kirakisa o tonaż jego floty, poziom przewozów towarowych, obsługiwane linie i kwestię opłacalności frachtu morskiego w porównaniu z transportem powietrznym. Jej widzowie nie byli zainteresowani tego typu tematami. Chcieliby się dowiedzieć o projektach, które Kirakis Corporation miało zamiar realizować w Stanach Zjednoczonych - projektach oznaczających setki, nawet tysiące miejsc pracy. Byli zainteresowani bajeczną kolia, wysadzaną diamentami i szmaragdami, którą Kirakis podarował swojej żonie, Melinie, z okazji piętnastej rocznicy ślubu. Chcieli usłyszeć o synu Kirakisa, Aleksandrze, spadkobiercy jego imperium, którego romantyczne przygody miłosne wypełniały plotkarskie kolumny gazet całego świata. Wszystko wskazywało na to, że Meredith nie będzie mogła wykorzystać do programu taśmy nagrywanej przez Briana.

Za kwadrans dwunasta sekretarz Kirakisa przerwał konferencję, sugerując, by wszyscy przenieśli się na lunch do La Bella Fontana, hotelowej restauracji. Gdyby tylko udało mi się dostać miejsce przy stoliku Kirakisa... byłoby wyśmienicie! - pomyślała Meredith. Przed wyjściem z sali zatrzymała się na chwilę i udzieliła Brianowi ostatnich wskazówek, a potem odesłała go do studia. To jasne, że nie dostaliby pozwolenia na filmowanie w La Bella Fontana - nawet nie warto było pytać. Meredith miała jednak nadzieję, że może Kirakis dałby się namówić na wywiad później, po konferencji.

Niestety, reporterzy „Shipping News” pozbawili ją i tej możliwości. Ruszyła w stronę wolnego stolika. Była tak rozzłoszczona, że zderzyła się z jakimś mężczyzną, zmierzającym w tym samym kierunku.

- Przepraszam, nie zauważyłam...

Mężczyzna, na którego wpadła, nie był żadnym z jej kolegów po fachu. Stał przed nią wysoki, przystojny

elegant, ubrany w garnitur wart prawdopodobnie małą fortunę. Twarz o symetrycznych rysach zdobiły najbardziej niezwykle czarne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Równie ciemne włosy tworzyły nad czołem falę. Kiedy uśmiechnął się do niej, jego oczy rozbliły jak polerowany onyks.

- Nazywam się Aleksander Kirakis - przedstawił się głębokim melodyjnym głosem, z nieznacznym obcym akcentem, o wiele jednak słabszym niż u jego ojca.

- Meredith Courtney, KXLA News - powiedziała. Wpatrywała się w niego jak zaklęta.

- Dziennikarka? - zapytał lekko rozbawiony. - Nigdy bym nie zgadł. Jest pani tak urocza, że nie mogłaby pani być nikim innym jak tylko modelką albo aktorką.

Uśmiechnęła się.

- Czyżbym dosłyszała nutkę szowinizmu? - spytała.

- U mnie? Nigdy! Proszę mi wybaczyć... Przestrzegając pewnych tradycyjnych form, starych jak świat...

Uniosła dłoń, przerywając mu.

- Proszę się nie tłumaczyć. Przepraszamy zostały przyjęte, panie Kirakis.

- Aleksandrze - poprawił ją.

- Aleksandrze - powtórzyła wolno.

Aleksander Kirakis spojrział w stronę stolika, przy którym siedział jego ojciec i czterech mężczyzn z „Ship-ping News”.

- Miałś pewnie nadzieję przysiąc się do mojego ojca. Przytaknęła.

- Niestety, rekiny dotarły do niego przede mną.

- To największy pech ojca - skomentował Aleksander. - Rzadko w trakcie swych podróży miewa okazję zjeść lunch w towarzystwie pięknej kobiety

- rzekł z uśmiechem.

Meredith zarumieniła się.

- Dziękuję, ale...

- W przeciwieństwie do niego, ja zawsze wykorzystuję tak obiecujące okazje. Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała mi towarzyszyć,

Meredith.

- Z przyjemnością - odparła bez wahania.

- Wspaniale. - Podał jej ramię. - Chodźmy więc! - Poprowadził ją ku jednej z kabin, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Każda z nich miała opuszczoną zasłonę.

- Lubię odosobnienie. Ostatnio jednak to dla mnie rzadkość - wyjaśnił Aleksander, gdy zajmowali miejsca. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, nie - powiedziała szybko Meredith, rozglądając się. Zdażyła już dawno zapomnieć, jakim wspaniałym miejscem jest ta restauracja. Przyjemną atmosferę tworzyły pokryte czerwonym aksamitem ściany i niewielka fontanna w centrum sali. Wszędzie poustawiano kwiaty. Mogło wydawać się, że jakieś magiczne zaklęcie przeniosło ich do chytrze zakamuflowanego miejsca gdzieś w Europie, może w Wiedniu czy w Budapeszcie.

- Ten lokal przypomina mi pewien hotelik, w którym kiedyś zatrzymałem się w Austrii - rzekł Aleksander, zupełnie jakby czytał w jej myślach. - Byłaś już kiedyś tutaj?

- Raz czy dwa... jakiś czas temu - przyznała Meredith.

- Jaką mają kuchnię?

- Och, znakomitą. Nie ma w pobliżu lokalu, który mógłby równać się z tym.

- Wierzę ci na słowo. Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że się nie zawiedziesz.

Może jednak będę miała ten wywiad? - pomyślała Meredith. - Z całą pewnością nikt nie był bliżej Kiraki-sa niż jego własny syn. Wpatrywała się z roztargnieniem w menu, czując na sobie przez cały czas spojrzenie Aleksandra.

- Jesteś zadowolony z pobytu w Los Angeles? - spytała. Spojrzał na nią tak, że poczuła się jak uczennica przy tablicy.

- Absolutnie - odrzekł. - Wszystko, co do tej pory widziałem, było piękne. Meredith ponownie oblała się rumieńcem.

- Myślałam, że trudno znieść tutejszy smog. Tam, skąd pochodzisz...

- Tam, skąd pochodzę? - Roześmiał się. - Mieszkam w Nowym Jorku!

- Ale przecież wychowałeś się w Grecji?

- Zgadza się. - Zrobił pauzę. - Założę się, że nigdy nie byłeś w Grecji.

- Nie, nie byłam.

- Ateny są bardzo podobne do Los Angeles. Mówi się na nie „Los Angeles z ruinami”. Jest tam taki sam smog, takie same korki uliczne, identyczne tłumy turystów. Kiedyś Ateny były ślicznym starym miastem, ale w ostatnich latach stały się dużym ośrodkiem handlowym.

- A ty oczywiście tego nie pochwalasz - podsumowała.

- Nie. Ateny zawsze były miastem z bogatą tradycją. W miarę jak stawały się coraz większą atrakcją turystyczną, traciły swój urok.

- To bardzo smutne. Pewnie gdy zamieszkałeś w Nowym Jorku, rozstałeś się z grecką tradycją.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego tak uważasz?

- Cóż, każdy wie, że mieszkasz w Stanach Zjednoczonych już prawie trzynaście lat. Dla nikogo nie jest też tajemnicą, że twój ojciec jest temu przeciwny. Czy uważasz się bardziej za Amerykanina niż Greka?

- W pewny sposób tak. Wydaje mi się jednak, że nigdy nie można się wyzwolić z tradycji rodzinnych. Nadal, niezależnie od miejsca pobytu, przestrzegam wielu zasad, w których zostałem wychowany.

Zjawiała się kelnerka i przyjęła zamówienie. Po lunchu Aleksander opowiadał Meredith o swoich rodzicach i dzieciństwie. Zabawiał ją anegdotami ze swoich podróży, związanych ze stanowiskiem wiceprezesa Kirakis Corporation. Meredith, słuchając go, zastanawiała się, czy jest to ten sam mężczyzna, o którym tak wiele czytała. Nie widziała w nim aroganckiego, egocentrycznego playboya, lecz błyskotliwego, dowcipnego, nadzwyczaj czarującego człowieka, który traktował ją

niezwykle serdecznie. Nagle przypomniała sobie o kimś, dla kogo miał jeszcze więcej czaru - o jednej z najpiękniejszych kobiet świata, która pojawiła się ostatnio u jego boku. Parę godzin wcześniej Meredith widziała w „Los Angeles Times” zdjęcia przedstawiające Aleksandra Kirakisa z aktualną przyjaciółką, włoską gwiazdą filmową, Francescą Correnti.

Gdy zapytała go o możliwości uzyskania wywiadu z jego ojcem, odpowiedział szczerze:

- Wyjeżdżamy natychmiast po konferencji prasowej. Na lotnisku czeka już na nas samolot. Wracamy do Nowego Jorku. Przykro mi... Sądzę, że w innych okolicznościach ojciec chętnie by z tobą porozmawiał.

Na mgłę nad lotniskiem chyba nie ma co liczyć - pomyślała Meredith ze smutkiem.

- Może następnym razem - rzekła.

- Jeśli będzie następny raz - powiedział Aleksander. - Ojciec nie odwiedza często Stanów Zjednoczonych, przynajmniej od czasu, gdy ja zacząłem dbać o nasze interesy w Ameryce. W ostatnich latach tylko kilka razy wypuszczał się poza granice Grecji. Myślę, że coraz bardziej szuka samotności.

- Może więc, gdy spotkamy się następnym razem, będę mogła przeprowadzić wywiad z tobą? - zasugerowała Meredith.

Uśmiechnął się lekko.

- Dobrze - obiecał.

- Trzymam cię za słowo - ostrzegła go. Ale czy zdarzy nam się wpaść na siebie tak jak dzisiaj? - pomyślała.

Aleksander i Constantine Kirakisowie, w asyście członków ochrony osobistej, opuścili tego popołudnia hotel Beverly Wilshire, by udać się na lotnisko, gdzie stał przygotowany prywatny samolot.

- Jesteś pewien, że nie lecisz ze mną do Grecji, Aleksandrze? - zapytał ojciec, gdy jechali autostradą w kierunku San Diego. - Matka bardzo ucieszyłaby się z twojego przyjazdu.

- Wiesz przecież, ojcze, że nie mogę teraz stąd wyjechać - odparł. - Mam tyle spraw do załatwienia, tyle spotkań...

- Naprawdę chodzi o interesy? - Pokazał synowi egzemplarz „Los Angeles Times”, który zamieścił zdjęcie Aleksandra z Francescą Correnti. - A może prawdziwą przyczyną jest ta pani?

- Mało prawdopodobne - odparł Aleksander obojętnie. Wiedział, że Francescą będzie na niego czekać, nieważne jak długo by go nie było. Jej oddanie bywało czasem męczące. Nic nie ucieszyłoby go bardziej niż wyjazd do Grecji na tydzień lub dwa. Nie widział się z matką już całe miesiące i tęsknił za nią. Wiedział, że ostatnio nie czuje się najlepiej, i lekarze odradzali jej jakiegokolwiek podróże. Właśnie dlatego nie mogła odwiedzić syna w Nowym Jorku, co w przeszłości kilkakrotnie się zdarzało.

Constantine Kirakis z kwaśną miną przyglądał się fotografii w gazecie.

- Myślę, że powinieneś być bardziej dyskretny, Aleksandrze - rzekł.

- Tę fotografię zrobiono...

- Kiedy ty i ta pani wchodziliście do hotelu Płaza... -dokończył Kirakis. - Już bardziej ostentacyjnie nie mogłeś tego zrobić.

- Bardzo trudno być dyskretnym, ojcze, kiedy ci pismacy wszędzie za tobą chodzą. Ostatnio w ogóle nie dają mi spokoju.

- Sam jesteś temu winien. Doskonale wiedzą, że jeśli będą się za tobą snuć, prędzej czy później zrobisz coś wartego sfotografowania. Dzisiaj jest *sigrwrina* Correnti. Kto będzie za tydzień? Albo w następnym miesiącu? Dostałeś się na łamy gazet, mój synu. Niestety, nie przydaje ci to chwały.

- Czy to rodzaj reprimendy, ojcze? - spytał Aleksander zimno.

- Matka i ja nie pochwalamy twoich wyskoków w życiu prywatnym, Aleksandrze. Nigdy nie kryliśmy, co

o tym myślimy, ale nie chcemy narzucać, jak masz żyć. Prosimy tylko o więcej dyskrecji. Matka jest tak wrażliwa na to, co piszą o naszej rodzinie.

- Dobrze. Postaram się uczynić zadość waszym prośbom. Czy teraz możemy porozmawiać o czymś innym? Zmęczył mnie ten temat.

- Wierzę ci - zgodził się Kirakis. - Ale powiedz mi jedno, Aleksandrze. Czy nigdy nie brałeś poważnie pod uwagę małżeństwa? Nie myślałeś o założeniu własnej rodziny, posiadaniu dzieci? - W jego głosie słychać było troskę.

Aleksander roześmiał się nienaturalnie. - Ojczy, nie jestem jeszcze gotowy do małżeństwa, a tym bardziej do tego, by zostać ojcem. A nawet gdybym był gotów, nie spotkałem do tej pory kobiety, w której widziałbym dla siebie żonę.

- Kiedy byłem w twoim wieku...

- Kiedy byłeś w moim wieku, ojczy, byłeś już żonaty od prawie dziesięciu lat. Zdażyłeś już stworzyć Athena Shipping Company, zamienioną później w Athena Maritime, spółkę akcyjną Kirakis Corporation. Matka miała już dwa poronienia i obawiała się śmierci, gdy po raz trzeci zaszła w ciążę. Tak, ojczy, znam naszą prześwietną historię na pamięć. Nauczyłem się jej, będąc jeszcze dzieckiem, wtedy gdy inne dzieci uczyły się na pamięć swoich ulubionych bajek.

- Możesz to sobie lekceważyć, Aleksandrze, ale teraz to twoje dziedzictwo. Kiedy odejdę, będziesz jedynym spadkobiercą i wszystko, co z takim trudem osiągnąłem, będzie należało do ciebie. Każde imperium, jeśli ma przetrwać, musi mieć dziedzica.

- Więc po to ludzie mają dzieci, tak? Powiedz mi, ojczy... Dlaczego biedni ludzie mają dzieci? Nie posiadają przecież nic, co mogliby im zostawić.

- Próbuję być cierpliwy, Aleksandrze, ale nie ułatwiasz mi tego - odparł spokojnie Kirakis, z roztargnieniem przyglądając się mijanym samochodom. Zbliżali się do międzynarodowego portu lotniczego. -

Mam na-

dzieję, że mimo wszystko to zrozumiesz; korporacja musi być zarządzana przez Kirakisa. Któryś z Kirakisów powinien być głównym akcjonariuszem.

- Gdzie tak jest napisane, ojczy? - spytał chłodno Aleksander.

- Ach, nie ma sensu z tobą rozmawiać! - warknął Kirakis. Aleksander jest czasem taki nierozsądny - pomyślał. - Czy kiedykolwiek będzie gotów przejąć imperium?

W niewielkim biurze budynku KXLA Meredith relacjonowała Kay Wilson, dyrektorze technicznej tej stacji, wydarzenia minionego popołudnia. Utyskiwała, że nie udało jej się zdobyć wywiadu, na którym tak bardzo jej zależało. Powiedziała też o wrażeniu, jakie wywarł na niej syn Constantine'a Kirakisa.

- Spodziewałam się Sinobrodego, a tymczasem odkryłam w nim czarującego księcia z bajki - zwierzyła się koleżance. - To była naprawdę miła niespodzianka.

- Domyślałam się - powiedziała Kay, biorąc kubek kawy z automatu stojącego w rogu biura. Wzięła dwie kostki cukru z pucharka i sięgnęła do szuflady, w której Meredith trzymała śmietankę. - Powiedz mi, jest rzeczywiście tak przystojny jak na zdjęciach?

- Bardziej - odparła Meredith bez wahania. - To zabawne... Nie wyglądał na zarozumialca. Ale mężczyzna, który tak wygląda, musi wiedzieć, jakie robi wrażenie na kobietach... Chyba że nigdy w życiu nie spojrzał w lustro.

- Hmm... Widzę, że cię oczarował.

- Ale nie tak, jak ci się wydaje w tej twojej małej podejrzliwej główce. Po prostu sprawiał wrażenie miłego człowieka. Oczywiście, trudno oceniać kogoś, z kim się spędziło niecałą godzinę w zatłoczonej restauracji.

- To prawda - powiedziała Key. - Skoro cię podrywał, dlaczego nie zrobiłaś z nim wywiadu?

- Myślałam o tym. Na początku wydawał się otwarty. Pomyślałam nawet, że łatwo będzie skłonić go do mó-

wienia. Lecz im dłużej siedzieliśmy, tym bardziej czułam, że wypytyując go, straciłabym tylko czas.

- Tak przypuszczałam. Człowiek-zagadka! - wykrzyknęła Kay. Usiadła na skraju biurka i zerknęła na notatki Meredith. - Z kim przeprowadzasz jutro wywiad? A może nie powinnam pytać?

- Z Nickiem Hollidayem, tegorocznym odkryciem, reżyserem, o którym zaczyna być głośno. W każdym razie tak twierdzą ci w studiu. Ja się pod tym nie podpisuję. Pewnie nie stąpa już po ziemi, pycha unosi go w powietrzu.

- Nigdy nie wiadomo - rzekła Kay. Meredith skrzywiła się.

- Mogę się z tobą założyć o tygodniową pensję. Kay roześmiała się serdecznie.

- Miałś po prostu ciężki dzień. Musisz przeczekać, aż odmieni się passa. Zawsze tak jest.

Nowy Jork

I co, nie chcesz lecieć ze mną do Grecji? - zapytał syna Constantine Kirakis, gdy szli w kierunku błękitno-białego samolotu korporacji. - Twoja matka byłaby taka szczęśliwa.

- Ojcze, ja też byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z nią spędzić jakiś czas, ale jak już mówiłem, nie mogę teraz stąd wyjechać - odparł Aleksander znużonym głosem. - Tyle się dzieje...

Kirakis podniósł dłoń, uciszając syna. Stanęli przy schodach.

- Tak, zawsze interesy. - Westchnął. - Chyba powinienem być zadowolony, że tak bardzo się nimi przejmujesz. Dobrze, spróbuję jakoś to matce wyjaśnić. Ale wiedz jedno: będzie bardzo zawiedziona.

- Uwierz mi, chciałbym, ale nie mogę. Przekażesz jej to?

Kirakis zawahał się, spoglądając dziwnie na Aleksandra.

- Oczywiście. Przyjeżdżaj do domu, jak tylko będziesz mógł. -
Energicznie uściskał syna, chyba po raz pierwszy od czasu, gdy
Aleksander był jeszcze dzieckiem. - Też będę za tobą tęsknił, mój synu.
- Ja również. - Aleksander odwzajemnił uścisk. Tak bardzo chciał
wymazać nieporozumienia, jakie pojawiły się między nimi od chwili, gdy
zdecydował się zamieszkać w Nowym Jorku... Bardzo kochał ojca i
zależało mu na jego miłości i szacunku. Gdyby tylko ojciec potrafił go
zrozumieć. Ale jak mógł tego oczekiwać od niego, skoro sam siebie nie
rozumiał. - Szczęśliwej podróży, tato - powiedział miękko. Nie zwracał
się do ojca w ten sposób od wielu lat. - Przyjadę wkrótce. Obiecuję.
- Spodziewam się, że dotrzymasz obietnicy - rzekł Constantine
wzruszony. Odwrócił się i ruszył po schodach do samolotu. Zatrzymał się
na szczycie, by pomachać Aleksandrowi na pożegnanie. On także
pomachał ojcu i skierował się do czekającej na niego limuzyny.
Kirakis zajął miejsce i zapiął pasy. Przez okno widział odjeżdżający
samochód. Jeszcze raz pomyślał z żalem, że nie udało mu się namówić
syna na wyjazd do Grecji. Od tak dawna Aleksander nie był w domu.
Martwił się o niego.

Aleks, musisz nauczyć się odprężyć. - Francesca Correnti usiadła na
łóżku. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając jej piersi. - Musisz nauczyć
się zapominać czasem o interesach i koncentrować wyłącznie na rozkoszy
- dodała.

Stał przy oknie, nagi, zapatrzony w rozległą panoramę Central Parku.
Ma takie wspaniałe ciało - pomyślała Francesca.

Kochała się z wieloma niezwykleymi mężczyznami, ale nikt nie
zachwycał jej tak jak Aleksander. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że
został stworzony w jakimś niewiarygodnym, magicznym akcie. Z całą
pewnością - powtarzała sobie - taka chodząca doskonałość nie mogła być
efektem genetycznej loterii.

Wysunęła się z łóżka i podeszła do Aleksandra. Objęła go.

- Wracaj do łóżka, *caro mio* - wyszeptała. - Wracaj do mnie i pokochamy się jeszcze raz, a potem jeszcze raz...

- I będziesz mnie uczyć, jak przedłużać rozkosz? - spytał Aleksander.

- Ach... nie mógłbyś mieć lepszej nauczycielki, *diletto mio*. Widzisz, *carissimo*, jestem ekspertem w dziedzinie sztuki dawania przyjemności.

- Och? - Spojrzał na nią uśmiechając się. - Masz jakiś sposób, by tego dowieść?

Odpowiedziała uśmiechem.

- Chcesz dowodu?

Pożądliwie poszukała jego ust, głaszcząc koniuszkami palców muskularną pierś.

Zamknął oczy. Po chwili byli już na podłodze.

- Nie przereklamowałaś się, *cara mia* - powiedział. - Naprawdę potrafisz dawać przyjemność.

- Chcę, żeby było ci dobrze, *diletto mio*, bo kocham - wyszeptała. -

Kocham cię od chwili, kiedy cię zobaczyłam.

Spojrzał tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Nie! Przestań mówić takie rzeczy! Mówisz, że mnie kochasz, ale to kłamstwo!

Patrzyła na niego oszołomiona, nie rozumiejąc, dlaczego wątpi w jej miłość.

- Nie rozumiem, *caro*. Kocham cię! Jesteś całym moim życiem! Dlaczego mi nie wierzysz?

Potrząsnął głową ze złością.

- Nie okłamuj mnie! - krzyknął. Tak było zawsze, gdy się kochali. Nie raz Francesca widziała w jego oczach wyraz cierpienia, lecz nigdy nie rozumiała dlaczego. - Nie okłamuj mnie...

- Kocham cię! - krzyczała w miłosnym szale. - Kocham cię tak bardzo, że poświęciłam wszystko, żeby tylko być z tobą.

- Nie! Kłamstwa! Zawsze kłamstwa! Nie mów tak! - Nagle ciałem Aleksandra wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Przez chwilę zdawało mu się, że znalazł się w innym

miejscu i czasie. Zaraz potem opadł bez sił, składając głowę pomiędzy piersi dziewczyny. Głaskała go po włosach, mówiąc:

- Kocham cię, *caro mio*. Tak bardzo bym chciała, żebyś mi uwierzył.

Kiedy odsunął się od niej, miał oczy pełne łez.

- Trudno przecenić twoje zdolności, naprawdę - powiedział, siląc się na bez troski ton.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie potrafię udawać. Zawsze jestem sobą. Aleksander wstał, pozbiierał swoje ubranie i wyszedł

do łazienki, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Znowu mu się to przydarzyło. Kiedy tylko usiłowała powiedzieć mu, że go kocha, jakaś mgła pochłaniała jego świadomość i wszystko, co działo się później, było niewyraźną plamą w pamięci. Przyglądał się sobie, patrząc w lustro, jakby widział zupełnie obcego mężczyznę.

Co się z tobą dzieje? - pytał sam siebie. - A może ty ukrywasz, jaki jesteś naprawdę?

Aleksander stał przy oknie swego gabinetu w apartamencie w Olympic Tower. Zatopiony w myślach, spoglądał na rysujący się na tle nieba zarys Manhattanu, na rozciągające się jak okiem sięgnąć morze. Rozpamiętywał to dziwne uczucie ulgi związane z ostatnim wyjazdem Franceski do Rzymu. Za dwa dni zaczynała zdjęcia do nowego filmu. zaproponowała mu, że odrzuci propozycję i zostanie z nim w Nowym Jorku, lecz nalegał, by przyjęła rolę. Nigdy nie czuł się dobrze, gdy przez dłuższy czas przebywał z Francescą. Wiedział, że chce wyjść za niego za męża. Mówiła, że dobrze im z sobą. Tyle że on jej nie kochał - interesowała go tylko jako obiekt seksualnego pożądania. Z mieszaniną niepokoju i żalu zdał sobie sprawę, iż żaden z jego związków z kobietami nie wykroczył poza tę sferę. Wszystkie wygasły po kilku tygodniach, czasem nawet prędzej. Odchodził wtedy, by znaleźć nową kochankę, wyrzucając jej poprzedniczkę z myśli, tak jak teraz wyrzucał ze swego życia Francescę.

Znał ją już od ponad roku, lecz nigdy nie byli z sobą bez przerwy dłużej niż tydzień, najwyżej dwa. Nawet tamtego lata w Rzymie, gdzie się poznali, wynajął dla siebie apartament w hotelu Excelsior przy Via Veneto, mimo że ona zapraszała go do siebie. W Nowym Jorku zawsze rezerwował dla niej apartament w Plaza, choć wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że wolałaby mieszkać u niego. To było konieczne. Musiał trzymać ją na dystans.

Francescą nie mogła tego pojąć, ale zaakceptowała taki stan rzeczy. Nie miała wyboru. Aleksander był bowiem człowiekiem żyjącym według własnych zasad, których żadna kobieta dotąd nie zmieniła.

Zegar stojący na antycznym stoliku przy łóżku wskazywał drugą piętnaście. Aleksander rzucał się we śnie. W pewnej chwili krzyknął: „Nie!” i usiadł na łóżku. Cały był zlany potem. Siedział tak kilka sekund, próbując się uspokoić. Nie potrafił przypomnieć sobie, co mu się śniło. Wiedział tylko, że było to coś strasznego.

Wstał z łóżka i powłókł się do łazienki. Zapalił kinkiety po obu stronach lustra zawieszzonego nad umywalką z włoskiego marmuru i odkręcił wielki złoty kurek. Płukał twarz zimną wodą, dopóki nie ochłonął i przestał odczuwać dreszcze. Zakręcił kran, sięgnął po ręcznik. Prostując się, dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Znów pojawiło się to dziwne uczucie, jakby nie widział siebie, tylko kogoś innego - w spojrzeniu tego kogoś krył się lęk. Długo nie mógł oderwać oczu od odbicia w lustrze. W końcu wyrzucił papierowy ręcznik do śmietnika i wyszedł z łazienki.

Wiedział, że nie uśnie, włożył więc szlafrok i skierował się do gabinetu. Na biurku leżała sterta raportów. Postanowił się nimi zająć. Zagłębił się w fotelu i sięgnął po raport leżący na szczycie stosu. Nie potrafił się jednak skoncentrować. Zdenerwowany, rzucił raport na biurko.

Nie zdarzyło się to po raz pierwszy, ba, ostatnio

powtarzało się coraz częściej. Zrywał się nagle w środku nocy i nigdy nie pamiętał, co mu się śniło...

Choć miał w swoim życiu wiele kobiet, nigdy z żadną nie spędził całej nocy. Zawsze sobie powtarzał, że musi utrzymać emocjonalny dystans, by łatwiej porzucić kobietę, która mu się znudzi. To była jednak tylko część prawdy. Wiedział, że koszmar powróci, i nie chciał, by którakolwiek z jego kobiet ujrzała go w chwili słabości.

Nagle przypomniał sobie, jak w dzikiej furii brał Francescę na podłozę jej apartamentu w hotelu Plaža. Nadal nie był pewien, co było powodem jego agresji.

Francesca, wyznając mu miłość, musiała chyba pociągnąć za jakiś ukryty w jego umyśle spust, wywołując złość. Nie chciał, by mówiła mu, że go kocha.

Sam nie wiedział dlaczego.

Burbank, Kalifornia

Meredith zatrzymała się przed główną bramą wytwórni Centurion i cierpliwie czekała, aż strażnik sprawdzi jej przepustkę. Została skierowana do biura Nicka Hollidaya, które okazało się niewielkim, zaniedbanym pokoikiem. Przywitała ją rudowłosa piękność, co najwyżej osiemnastoletnia, ubrana w wytarte dżinsy, bawełnianą koszulkę i tenisówki.

- Nick oczekiwał pani - powiedziała. - Powinien zaraz wrócić...

- Dziękuję.

Dziewczyna zaraz zniknęła za drzwiami i Meredith mogła się rozejrzeć.

A było co oglądać. Biurko pokrywała sterta maszynopisów, nie odpięczętowanej poczty i wycinków z gazet, najprawdopodobniej z magazynów zajmujących się filmem - wszystko w artystycznym nieładzie.

Ściany zdobiły oprawione w ramki plakaty filmów, których Nick Holliday był reżyserem; na krzesłach panoszyły się kartonowe pudła, wypełnione różnymi rekwizytami. Holliday był albo człowiekiem niezwykle zajęтым, albo nieuleczalnym bałaganiarzem. Być może jednym i drugim. Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył reżyser we własnej osobie.

Ubrany był w dżinsy i zwykłą roboczą koszulkę w kolorze morskim. Jego ciemne włosy dawno chyba zapomniały o grzebieniu.

NORMA BEISHIR

- Przepraszam za spóźnienie. Dzisiaj jest tutaj jak w prawdziwym zoo. Długo pani czekała?

- Nie. - Meredith potrząsnęła głową. - Dziesięć, najwyżej piętnaście minut.

Zdjął z krzesła pudełko z zabawkami.

- Są potrzebne do filmu - wyjaśnił. - Och, proszę wybaczyć! Nie przedstawiłem się. Nazywam się Nick Holliday.

- Meredith Courtney, z dziennika KXLA. Uniósł brwi, udając zaskoczenie.

- Czyżbym miał się znaleźć wśród najświeższych wiadomości?

- Jeśli tylko widzowie będą zainteresowani kinem - odparła Meredith. - Chyba ktoś ze studia uprzedził pana?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że zrobi mi to wspaniałą reklamę - powiedział, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Interesy nie szły ostatnio najlepiej.

Zaśmiała się.

- Mam tutaj listę pytań. Jeśli zyskają pańską aprobatę, chciałabym wrócić po południu z kamerzystą i nagrać wywiad.

Holliday przejrzał pytania i rzekł:

- Nie wygląda źle, wręcz łagodnie. Nie ma nic o narkotykach, nic o orgii w Malibu ani łóżkowych egzaminach na aktorki. Wydaje mi się, że przyjemnie spędzimy to popołudnie. Możecie przyjeżdżać ze sprzętem. Porozmawiamy sobie między ujęciami, dobrze?

- Doskonale. Jeśli ma pan trochę czasu, chciałabym przed rozpoczęciem zdjęć omówić z panem jeszcze kilka spraw.

- Zgoda. - Spojrzał na zegarek i dodał: - Już prawie południe. Jadła pani lunch?

- Nie...

- A jest pani głodna?

- Chyba tak - odparła.

- Świetnie! Co pani powie na lunch w naszej kantynie? Jedzenie nie jest najlepsze, ale od tygodnia nie

zanotowali przypadku zatrucia, więc sędzę, że nic nam nie grozi.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Wspaniale! Muszę jeszcze na chwilę zajrzeć do moich ludzi. Obiecuję, że nie zabawię długo. Idziemy?

Gdy szli labiryntem pomiędzy jednakowo wyglądającymi budynkami, Meredith dyskretnie obserwowała Nicka. Kiedy mówił, żywo gestykulował. Żył chyba w ustawicznym pośpiechu, a jego entuzjazm do pracy graniczył z obłędem.

W czasie lunchu opowiadał o swojej młodości i studiach. Wspomniał o człowieku, który zmienił jego życie.

On i Meredith zdążyli już przejść na „ty”.

- Często kręciłem się przy bramie wytwórni - wspominał. - Poznałem w ten sposób mnóstwo ludzi. I pewnego dnia uśmiechnęło się do mnie szczęście. Zauważył mnie Tom Ryan. Jestem pewien, że o nim słyszałaś. Meredith przytaknęła.

Kto nie słyszał o Tomie Rynie? Był legendą Hollywoodu; niektórzy uznawali go za najlepszego producenta w całej historii filmu.

- Ryan zlitował się nade mną, obiecał, że zerknie na próbki mojej pracy. Spodobało mu się i oto jestem. - Nick uśmiechnął się. - Oczywiście, nie byłem pierwszym jego odkryciem. Przede mną byli inni: Sarah Gallison, Grant Mallory, Elizabeth Weldon, Tara Spencer...

- Elizabeth Weldon była jego żoną, prawda? - przerwała mu Meredith. Nick zmarszczył brwi.

- Tak, byli małżeństwem przez prawie pięć lat. Zmarła w pięćdziesiątym trzecim - powiedział. - Ale to już zamknięty rozdział. Nikt nawet się nie ośmiela pytać go o tamte czasy.

Meredith uświadomiła sobie, że Nick nie chce o tym rozmawiać.

- Czy kiedykolwiek wyobrażałaś sobie, że aż tak ci się powiedzie? Czy przypuszczałaś, że sukces przyjdzie tak szybko?

- Chcesz usłyszeć prawdę?
 - Oczywiście.
 - Szczerze muszę przyznać, że nie. Gdyby Tom wtedy na mnie nie wpadł, nadal koczowałbym przed bramą. Nigdy nawet mi się nie śniło, że będę sławny... aż tak sławny.
 - Jak w takim razie wyjaśnisz to, że twoje trzy ostatnie filmy odniosły ogromny sukces? Są przecież przebojami, przyniosły olbrzymie zyski...
 - Och, naprawdę nie potrafię. Chociaż... Wiesz, wychowałem się w najbardziej typowej amerykańskiej rodzinie, jaką możesz sobie tylko wyobrazić. Gdy żył jeszcze tato, byliśmy tak przeciętni, jak hot-dogi sprzedawane na każdej ulicy. Może dlatego moje filmy trafiają do gustu Amerykanom. Możliwe, że widzowie lubią moje filmy, ponieważ ja sam je lubię.
- Wywiad wypadł świetnie. Nick uparł się, że odprowadzi Meredith do samochodu. Kiedy podziękowała mu za współpracę, odparł:
- Nic takiego. Jak mówiłem, muszę wycisnąć z tego wywiadu maksimum reklamy. Poza tym wydaje mi się, że się w tobie zakochałem.
- Meredith roześmiała się, biorąc jego słowa za dobry żart.
- Zawsze przychodzi ci to tak łatwo? - zapytała.
 - Nie, nie zawsze - powiedział, sięgając po jej rękę. -Posłuchaj, co robisz dziś wieczorem?
 - Prawdopodobnie zostanę w pracy po godzinach. -Starła się, by zabrzmiało to przekonująco.
 - Mówię poważnie, Meredith. Gdzie jadasz kolacje?
- Wiedziała już teraz, do czego zmierzał ten nieoczekiwany adorator, i była zdecydowana uniknąć tego za wszelką cenę.
- Najbardziej lubię chińskie dania na moim biurku w studiu.
 - A może zjedlibyśmy coś razem? Znam taką małą włoską restauracyjkę w Glendale...
 - Nie mogę, naprawdę.

- Więc może jutro?

- Prawie codziennie pracuję do późna. - Chciała wsiąść do samochodu, ale Nick przytrzymał jej dłoń.

- W takim razie zapraszam cię na śniadanie. Jest taka mała kawiarenka niedaleko plaży. Siądziemy sobie na zewnątrz przy stoliku z wielkim parasolem i będziemy podziwiali wschód słońca.

- To niemożliwe, nie mogę. - Udało jej się wyrwać dłoń i nie zwlekając ani chwili wskoczyła do auta. - Ale dziękuję za propozycję.

- Dzwoniłem do twojej stacji i dowiedziałem się, że nie masz męża... Uraziłem cię czymś?

- Nie, nie uraziłeś mnie. Ja... po prostu nigdy nie mieszam życia prywatnego z zawodowym. Mam taką zasadę - powiedziała niepewnym głosem.

Zapalając silnik, jeszcze raz podziękowała Nickowi. Gdy ruszyła, poczuła ulgę sądząc, że widzi go po raz ostatni...

Nie знаła jednak jednego z sekretów sukcesów Nicka - jeśli już czegoś pragnął, osiągał cel.

Kwiaty dla pani Meredith Courtney! - zawołał goniec, wchodząc do gabinetu. Pod pachą ścisnął wielkie białe pudło, które nie pozostawiało cienia wątpliwości co do tego, kto je przysłał. - Trzeci raz w tym tygodniu! - Z uśmiechem wręczył pudło Meredith. - Musiała chyba pani tego gościa zwalić z nóg!

- Wolałabym, żebyś przestał nadawać na cały budynek - powiedziała Meredith otwierając pudełko.

- Tym razem róże! Nieźle się rozkręcił - rzekł. - Niech go pani jeszcze trochę przetrzyma.

Kiedy Meredith posłała mu groźne spojrzenie, czmychnął z gabinetu. Wyjęła z pudełka kartkę.

Treść była taka jak zawsze: „Może jednak dasz mi szansę, bym mógł udowodnić, że miły ze mnie facet! Kocham cię. Nick”.

„Kocham! - Jest najwyżej zauroczony, a nie zakochany. Przecież on mnie w ogóle nie zna”. Przyszedł jej do

głowy pewien pomysł na uwolnienie się od Nicka. Postanowiła raz jeszcze się z nim spotkać. Wyobrażenia często nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością i...

- Znowu kwiaty?

Meredith podniosła wzrok. W drzwiach stała Kay.

- Zgadza się. On chyba w ogóle nie zna słowa „nie”. Może jednak powinnaś się z nim spotkać?

- Co?! Chyba żartujesz!

- Dlaczego miałabym żartować? Wyraźnie mu się spodobałaś, chyba że jest właścicielem kwaciarni i ma za dużo kwiatów. Stara się wyrzeć na tobie wrażenie.

- Pewnie. Wiesz, w jaki sposób działają ci faceci z filmu. Każdej mówią, że ją kochają, żeby tylko zaciągnąć dziewczynę do łóżka...

- Auu! Rzeczywiście musiałaś się kiedyś sparzyć!

- Niby dlaczego tak twierdzisz?

- Jesteś cięta na mężczyzn, a przecież nie wszyscy są potworami, naprawdę. Jeśli zapytałabyś mnie o zdanie...

- Ale nie pytam - ucięła Meredith.

- Jeśli zapytałabyś mnie o zdanie - powtórzyła Kay - to powiedziałabym, że jesteś uprzedzona.

- Uprzedzona?

- Właśnie tak. Uprzedzona. Wydaje ci się, że jeżeli jest reżyserem, to należy go skreślić. Być może nigdy do ciebie nie dotarło, że w przemyśle filmowym pracują także porządni ludzie, którzy nie zażywają narkotyków, nie zmieniają partnerów jak rękawiczki, nie biorą udziału w dekadencckim życiu Hollywoodu. Niektórzy z nich chodzą nawet w niedzielę do kościoła i mają udane małżeństwa.

- W porządku, przedstawiłaś swój punkt widzenia. A teraz bądź tak dobra i wychodząc zamknij za sobą drzwi.

- Jeszcze nie wychodzę.

- Właśnie tego się obawiałam - jęknęła Meredith. Kay przygotowała sobie krzesło i mówiła dalej:

- Słuchaj, nigdy nie spotkałam tego gościa, ale z twoich słów wynika, że jest bez zarzutu. Wydaje ci się

uosobieniem zła tylko dlatego, że od dwóch tygodni przysyła ci kwiaty i do ciebie wydzwania? Myślę, że mogłabyś dać mu szansę. Nie musisz przecież od razu za niego wychodzić. Po prostu wybierz się z nim na kolację. A nuż zmienisz zdanie.

- Jestem ostatnio tak zapracowana...

- Słaba wymówka - odparła szybko Kay. - Nie możesz całego życia spędzić na pracy!

- Mogę i muszę, jeśli chcę utrzymać się na powierzchni. Przecież jestem kobietą.

- Caryn Hammond dopiero co wyszła za mąż i nadal jest naszą przełożoną.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Meredith, odkładając ołówek. Odkąd zaczęła pracować w KXLA, nie prowadziła przesadnie bogatego życia towarzyskiego. Chciała skoncentrować się wyłącznie na karierze. Zresztą Kay od roku była rozwiedziona i sama pewnie zdaje sobie sprawę, czym może się zakończyć małżeństwo.

- Nie jest źle mieć ambicje - powiedziała Kay - ale sukces może cię nie cieszyć, jeśli nie będziesz miała nikogo, z kim mogłabyś się nim podzielić. Powiadają, że na szczycie jest się cholernie samotnym. Meredith uśmiechnęła się.

- Dobrze już, dobrze. Wygrałaś. Spotkam się z Nickiem Hollidayem. I powiem mu, jakiego miał w tobie adwokata.

- Doskonale, możesz mu to obwieścić już za chwilę. Czeka na dole.

Często tu przychodzisz? - zapytała Meredith. Siedzieli przy stoliku, we włoskiej restauracji w Glendale, niewielkiej, ale przytulnej. Trzymała kieliszek z białym winem.

- Odkryłem Angelinę zaraz po tym, jak zacząłem pracować dla Centuriona. To było dobre kilka lat temu. Polubiłem ją od razu, może dlatego, że nie jest podobna do większości tych wytwornych restauracji, gdzie przy-

chodzi się po to, by kogoś zobaczyć albo żeby ciebie zobaczyli. Jeśli ktoś przyszedłby tutaj w takim celu, mógłby się poczuć zawiedziony.

Meredith rozejrzała się po małej sali.

- Masz rację - przyznała.

- Wolę, by zostało tak, jak jest.

- Jeśli nic się nie zmieni, w ciągu roku restauracja zbankrutuje.

Nick potrząsnął głową.

- Niekoniecznie... - Przyglądał się jej z podziwem. Była ubrana w prostą zieloną sukienkę. Sznur pereł doskonale prezentował się na jej szyi.

Luźno upięte włosy opadły na ramiona. - Wyglądasz dziś szczególnie pięknie - powiedział.

- Dziękuję. - Podniosła do ust *lasagne*. Było przyrządzone właśnie tak, jak lubiła: grube, z ciągnącym się serem. - Więc nie jesteś rozkochany w Hollywoodzie?

Wzruszył ramionami.

- Zamykam przed nim drzwi na klucz. Nie jest w moim guście.

- Kiedy przeprowadzałam z tobą wywiad, chętnie opowiadałeś o swoim pochodzeniu - przypomniała. - Ale skąd tak naprawdę pochodzisz? Gdzie się urodziłeś?

- W Los Angeles - odparł. - Wychowałem się w dolinie San Fernando. A ty?

- A ja pochodzę z jednego z tych małych miasteczek Środkowego Zachodu, o których nikt nigdy nie słyszał. - Pociągnęła łyk wina i dodała: - Z miasteczka, którego nie znajdziesz na mapach, gdzie każdy wie wszystko o wszystkich.

- Przypomina mi to Hollywood - zażartował Nick.

- Coś w tym jest.

- Dlaczego wyjechałaś? Co cię skłoniło do przyłączenia się do tego szcurzego wyścigu?

- Nie wiem. Chyba od początku czułam, że muszę stamtąd uciec. To nie było miejsce dla mnie. Chciałam być kimś, a tam było to niemożliwe. A ty? Nigdy nie

chciałeś skończyć z tym, jak to nazwałeś, „szczurzym wyścigiem”?

- Chciałem, ale jeszcze bardziej chciałem zapomnieć

o przeszłości. Zawsze miałem wrażenie, że ruszyłem w życie nie tą nogą, co trzeba. Ojciec był katolikiem, mama Żydówką i żadna z rodzin nigdy nie zaakceptowała ich małżeństwa, nie mówiąc już o dziecku. Z tego powodu nie widywałem rodziców zbyt często.

Boże - myślała Meredith - przecież ja doświadczyłam tej samej emocjonalnej izolacji!

- Tato umarł, gdy miałem siedem lat. Był komiwojażerem, większość życia spędzał w podróżach. No i pewnego dnia po prostu nie wrócił z jednej z nich. Przynajmniej tak to wtedy odebrałem.

- Przykro mi!

- Tęskniłem za nim i nienawidziłem jednocześnie za to, że zostawił nas tak nagle. Jednego dnia był z nami, następnego już go nie było. Musiałem jakoś się z tym uporać, zaopiekować się mamą, ja, jedyny Żyd w szkole. Większość czasu spędzałem samotnie w domu albo w kinie. Filmy były dla mnie ucieczką od świata.

- I stąd twoje zainteresowanie kinem?

- Miałem taką tanią starą kamerę. Kręciłem sceny z życia, a potem dopisywałem do nich scenariusz i dodawałem tytuł. W taki sposób otrzymywałem jakąś historię. Kiedy miałem czternaście lat, zaoszczędziłem tyle, że wystarczyło na starą, ale za to prawdziwą kamerę. Zacząłem robić reportaże, o ruchu ulicznym, o dzieciakach na plaży, o zawodach sportowych. Eksperymentowałem ze sprzętem. Kiedy powiedziałem matce, czym chciałbym się kiedyś zająć, ucieszyła się. Przez ponad pięć lat pracowała na dwóch etatach, by posłać mnie do szkoły filmowej.

Kelner podał deser.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała Meredith.

- W Izraelu. Zawsze chciała tam pojechać, więc umożliwiłem jej to. Jest tam już przeszło cztery miesiące

1 z listów wynika, że na razie nie ma zamiaru wracać.

Matka jest jedyną bliską mi osobą. - Spojrzał na zegarek. - Słuchaj, nie jest jeszcze późno, moglibyśmy się gdzieś przenieść. Znam... Meredith potrząsnęła głową.

- Nie mogę. O piątej rano muszę być w pracy.

- Więc może jutro?

- To był naprawdę miły wieczór, Nick - powiedziała - ale poprzestańmy na razie na tym, dobrze?

Ateny, wrzesień 1979

Constantine Kirakis przeglądał leżące na biurku dokumenty do czasu, aż nie mógł dłużej znieść bólu oczu. To był bardzo długi dzień, ale owocny. Podpisał wreszcie kontrakty oznaczające miliardy dolarów zysku.

Najpoważniejszy z nich związany był z filią korporacji w Stanach.

Aleksander wykonał kawał dobrej roboty w Nowym Jorku. W niczym nie zmieniło to jednak faktu, że Constantine Kirakis wolałby widzieć syna w Grecji, pracującego z nim ramię w ramię w głównej siedzibie korporacji. Takie miał marzenia. Chciał przygotować Aleksandra do powierzenia mu stanowiska prezesa. Pewnego dnia Kirakis Corporation stanie się największą w świecie międzynarodową korporacją, a Aleksander będzie jej sercem i mózgiem.

- Jest już tak późno, Costa. Dlaczego nie odłożysz pracy do rana i nie pójdziesz do łóżka?

Kirakis podniósł wzrok. W drzwiach stała jego żona, Melina. Jej długie blond włosy, zwykle spięte z tyłu w kok, opadały teraz swobodnie na ramiona, odmładzając ją w oczach męża o co najmniej dziesięć lat. Chociaż miała już sześćdziesiąt siedem lat, nadal była piękna. Czas obszedł się z nią nad wyraz łaskawie.

- Przepraszam, *matia mou* - rzekł, podnosząc się i wyciągając do niej ramiona. - Nie zdawałem sobie sprawy, która godzina. - Objął ją. Była taka krucha.

- Nie da się ukryć. Nie jesteś już miody, Costa. Musisz nauczyć się częściej odpoczywać.

- Mówisz zupełnie jak ten stary łotr, Karamanlis -odparł z uśmiechem. - Pewnie we dwójkę znowu spiskujecie, żeby mnie wysłać na emeryturę, co?

- Nie ma żadnego spisku - odparła. - Zwyczajnie, martwimy się o ciebie. Przepracowujesz się.

- Nonsens. Ktoś musi to robić!

- Ktoś musi, to prawda, ale czy to musisz być akurat ty? Mam wrażenie, że Aleksander mógłby przejąć nieco więcej obowiązków. Chyba że nie jest zdolny...

- Jest bardziej niż zdolny - rzeki szybko Kirakis. -Jednak nie mogę jeszcze przekazać mu korporacji.

- Wciąż jeszcze masz mu za złe, że wybrał życie w Nowym Jorku? Kirakis pokręcił głową. Stał przy oknie i zatopił wzrok w odległych światłach statku na horyzoncie. W spokojnych wodach Morza Egejskiego srebrzyło się jasne księżycowe światło.

- To nie ma z tym nic wspólnego, choć nie ukrywam, że nie pochwalam jego decyzji. Nie, Melino. Chodzi o styl życia Aleksandra. - Wyjął z kieszeni wycinek z gazety i podał go żonie. - Ukazało się, gdy byłem w Los Angeles.

Melina przyjrzała się fotografii.

- Francesca Correnti... Znowu są razem?

- Prawdopodobnie. Wygląda na to, że ona wytrzymała dłużej niż inne.

- Może powinniśmy poprzeć ten związek...

- Poprzeć?! Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Chcesz powiedzieć, że byłabyś zadowolona, gdyby nasz syn poślubił tę kobietę?

- Nie, oczywiście, że nie. - Melina złożyła wycinek i zwróciła mężowi. - Nie sugeruję wcale, żeby Aleksander się z nią ożenił, nawet nie chcę brać pod uwagę takiej możliwości. Chodziło mi tylko o to, że nasz syn chyba zaczyna traktować swoje związki bardziej serio. To krok w dobrym kierunku, nie uważasz? Dawniej tylko kilka tygodni wytrzymał z jedną i tą samą kobietą.

- Masz rację, to pocieszające... Że też musiał wybrać akurat Francescę Correnti, aktoreczkę, która miała już

niejednego kochanka. To nie jest kandydatka na żonę dla Aleksandra... może na metrese...

- Metrese? - Melina uśmiechnęła się nieznacznie. - Mój Boże, Costa, mówisz tak, jakbyśmy żyli w średniowieczu!

- Dobrze wiesz, że w naszym cywilizowanym społeczeństwie, w naszych kręgach społecznych takie rzeczy jeszcze się zdarzają.

- Wiesz przecież, że Aleksander nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Bardzo bym chciała, żeby się w końcu ustatkował.

- Ja także, ja także... - Kirakis westchnął. - Ale obawiam się, że nie nastąpi to prędko.

- I tylko dlatego nie chcesz mu powierzyć swoich obowiązków?

- Aleksander nigdy nie zachowywał się mądrze, gdy chodziło o kobiety. Stał się smacznym kąskiem dla mediów. Nie ma chyba dnia, by jego nazwisko lub fotografia nie pojawiły się w brukowcach. Taka prasa nie stawia korporacji w dobrym świetle.

- I tylko tym się przejmujesz? Reputacją firmy? - rozgniewała się Melina. Nigdy nie pochwałała sposobu, w jaki Aleksander od dziecka był przygotowywany do sukcesji. Nie pochwałała wiązania przyszłości syna z przyszłością korporacji.

- Melino, to bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Robimy interesy z największymi bankami na świecie, od czasu do czasu zaciągam od nich pożyczki - duże pożyczki - na finansowanie inwestycji w różnych rejonach kuli ziemskiej. Jak na razie, współpraca dobrze nam się układa. Fakt, że jesteśmy solidną firmą, stanowi gwarancję bezpieczeństwa w interesach.

- I uważasz, że zła opinia, jaką zdobył sobie Aleksander w ostatnich latach, może zniechęcić bankierów do robienia z nim interesów?

- Tak, *matia mou*, tak uważam. Oni czytają te wszystkie historyjki i stają się coraz bardziej ostrożni. Uważają, że Aleksander jest nieodpowiedzialny.

- To nie, w porządku oceniać kogoś na podstawie życia prywatnego. Gdyby ojciec ocenił ciebie, opierając się tylko na pierwszym wrażeniu...
 - Gdyby twój ojciec nie poświęcił trochę czasu i nie zobaczył, co się kryje pod pozorami, nigdy nie byliśmy małżeństwem... I nigdy nie sfinansowałyby zaczątków floty. - Twarz Kirakisa na krótko rozjaśnił uśmiech. - Ale Aleksander może nie mieć takiego szczęścia. Czasy są teraz inne, nasz syn nie ma większych szans na zakochanie się w córce bankiera, tak jak mi się to przydarzyło.
 - A więc będzie osądzany na podstawie tego, jak się prowadzi, a nie według sukcesów w interesach?
 - Obawiam się, że tak. Jeśli nadal będzie żył w ten sposób...
 - Costa, wiem, jak bardzo zależy ci na tym, by Aleksander przejął po tobie korporację. Przygotowywałeś go do tego od lat. Ale on przecież jest jeszcze młody, ma czas...
 - Siedemnastego listopada kończy trzydzieści jeden lat - przypomniał jej mąż. - Kiedy skończyłem trzydzieści jeden lat, byliśmy już od dawna małżeństwem. Miałem uporządkowane życie i jako mąż, i jako biznesmen.
 - Ale czasy się zmieniły, odkąd my byliśmy w wieku Aleksandra.
 - Nie tak bardzo. Melina uśmiechnęła się.
 - Chyba jednak bardziej, niż myślisz.
 - Czasem wydaje mi się, że w stosunku do Aleksandra zachowujesz się, jakbyś niczego nie widziała.
 - A ty?
- Melina wstała i ucałowała męża w policzek.
- Wygląda na to, że obydwójce jesteście bezradni, prawda?
 - Na to wygląda.
 - Chodź już do łóżka. Jest późno i nic tej nocy nie poradysz na miłostki Aleksandra.

- *Idź* pierwsza - odparł. - Zaraz do ciebie dołączę.
- Chyba nie zamierzasz wracać do pracy?
- Nie. Przyjdę za pięć minut.

Los Angeles, październik 1979

Zawsze zmieniasz temat, kiedy cię pytam o dzieciństwo. Dlaczego? - dopytywał się Nick. Spacerowali boszo po plaży w Santa Monica.

- Nick, myślałam, że zaprosiłeś mnie, żebym obejrzała plan zdjęciowy, a nie na przesłuchanie - odparła Meredith.

- Dlaczego robisz uniki, Meredith? - naciskał.

- Nie robię żadnych uników. Po prostu nie mam nic ciekawego do opowiedzenia.

- Na pewno coś by się znalazło. Meredith zaczynało już to denerwować.

- Pochodzę z małego miasteczka. To już wiesz, prawda?

- Peyton Place też było małym miasteczkiem, a oboje wiemy, co tam się działo.

- OK, wygrałeś. Wcale nie pochodzę z małego miasteczka. Urodziłam się w Londynie. Mój ojciec był ambasadorem. Chodziłam do prywatnych szkół w Szwajcarii, a potem zaliczyłam Sorbonę. Pierwszy poważny romans przeżyłam mając piętnaście lat. To był chłopak z dobrej rodziny, syn właściciela paru francuskich winnic. A potem przyszła kolej na kierowcę samochodów wyścigowych w Monte Carlo, włoskiego aktora w Rzymie i... ach, no oczywiście, arabskiego księcia, który chciał mnie kupić od ojca za dwanaście wielbłądów. Mało brakowało, a doszłoby z tego powodu do międzynarodowego incydentu!

- Bądź poważna! - rzekł Nick.

- Jestem poważna! - oburzyła się. - Chciałeś przecież usłyszeć wszystkie pikantne szczegóły z mojej przeszłości.

- Próbuję tylko poznać cię bliżej, a ty cholernie mi to utrudniasz.
- Przepraszam. Ale jeśli naprawdę chcesz mnie dobrze poznać, to, proszę, nie nalegaj. Już dawno zostawiłam przeszłość za sobą i nie chcę do niej wracać.

Nowy Jork

Aleksander opuszczał biuro z uczuciem narastającego bólu głowy. Zwolnił więc kierowcę i postanowił się przejść.

Nie było w tym nic wyjątkowego - często spacerował nocą. Zatrzymał się i spojrzął na zegarek. Chodził już po ulicach od czterech godzin! Na szczęście pulsowanie w skroniach zniknęło bez śladu. Bóle głowy związane były z wypadkiem, któremu uległ w dzieciństwie, męczyły go od dawna.

Cały czas myślał o transakcji, nad którą pracował przez sześć miesięcy. Był już tak blisko sfinalizowania jej.

Pozostała jeszcze tylko zgoda ojca.

Los Angeles

Natychmiast po zakończeniu transmisji dziennika Meredith wpadła jak burza do gabinetu. Zabrała swoje rzeczy i rzuciła się do drzwi, wpadając na jednego z kamerzystów.

- Hej, Meredith! - zawołał. - Pali się gdzieś?

- Nie pali się, Hank - odparła, śmiejąc się głośno. Była w szampańskim nastroju. - Tylko biegnę na umówione spotkanie, ważne spotkanie.

- Z kim, jeśli...

- Z Nickiem. Jestem już spóźniona!

Nie musiała wyjaśniać; wiedział, o jakiego Nicka chodzi. Każdy w KXLA wiedział.

Meredith wskoczyła do samochodu i ruszyła. Nawet nie spojrzała na zegarek - nie chciała tracić ani sekundy. Nick prawdopodobnie zaczyna się już niepokoić. Powinna była zatelefonować do niego i uprzedzić, że się spóźni.

Gdy dotarła do Malibu, było już dobrze po północy. Nick czekał na nią w swoim przytulnym gniazdku i zrobił wszystko, by ta noc głęboko zapadła jej w pamięć. W wielkim kamiennym kominku trzaskał wesoło ogień, w kubelku ustawionym na bufecie mroziła się butelka znakomitego wina.

Nastroju dopełniały przyćmione światła i muzyka.

- Czy ty przypadkiem nie przesadzasz? - żartowała Meredith. - Żebyś nie był zawiedziony!

Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Nie będę - wyszeptał jej do ucha. - Jestem pewien.

Odebrał od niej walizkę i zaniósł na piętro do sypialni. Meredith szła za Nickiem w milczeniu, rozglądając się po jego mieszkaniu. Kiedy powiedział, że mieszka w domku na plaży, wyobraziła sobie coś zupełnie innego, na pewno nie pałac.

- Kupiłem ten dom od razu, jak go zobaczyłem - powiedział, przekraczając próg sypialni. Położył walizkę na dużym masywnym łóżku i odsłonił okno, ukazując jej oczom panoramę Pacyfiku. - Jak ci się podoba nasz basen?

- Wszystko lubisz w wielkiej skali? - spytała, wyciągając do niego ramiona.

- Wszystko, absolutnie wszystko.

Przytulił ją i zaczął całować. Jego usta odbywały wędrówkę po jej karku, podczas gdy dłonie znalazły przystań pod bluzką.

- Jak ja cię pragnę, Meredith - szepnął.

- Tak... Nick...

Kiedy opadła fala uniesienia, zapytał:

- Warto było poczekać, co?

- Tak, skarbie - odparła Meredith.

Kochali się jeszcze kilka razy tej nocy. Potem leżeli

w ciemności, wyczerpani, przytuleni. Meredith nigdy dotąd nie czuła się taka szczęśliwa i bezpieczna.

- Nie możesz spać? - wyszeptał Nick. Poruszyła tylko głowę.

- Wygląda na to, że obydwójce mamy ten sam kłopot - rzekł, przytulając ją mocniej do siebie.

- Masz jakieś propozycje? Położył palec na jej ustach.

- Ćśśś... - Pocałował ją w koniuszek nosa i poprosił: - Nie mów nic, dopóki nie skończę, dobrze?

Przytaknęła.

- Myślę o nas. O tym, co powinniśmy zrobić... Nie mogę pozwolić ci odejść. Chcę, żebyś zawsze była ze mną. Chcę się budzić przy tobie i zasypiać w twoich ramionach. - Usiadł. - Proszę, zamieszkać ze mną.

- Tak - powiedziała czule. Nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Pocałował ją.

- Boże, pomóż mi, chyba się w niej zakochałem.

- I to cię przeraża?

- Cholernie mnie przeraża.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Zawsze bałem się miłości, bałem się zawodu - rzekł powoli.

- Czy ktoś cię kiedyś skrzywdził?

- Nie, nikt. Dlaczego pytasz?

- Każdy, kto boi się miłości, musiał kiedyś zostać odrzucony.

Milczał.

- To długa historia - powiedział w końcu.

- Mam dużo czasu, gdybyś tylko chciał...

- Może kiedy indziej, dobrze? Nie chcę psuć nastroju.

Nowy Jork

Ojciec stał się głuchy na wszystkie argumenty, jeśli chodzi o tę sprawę - skarżył się Aleksander, miotając się po pokoju, jak zamknięte w klatce zwierzę. - Przecież musi zdawać sobie sprawę z wielu korzyści, jakie przyniosłoby przeniesienie siedziby korporacji do Nowego Jorku. - Zatrzymał się na moment przed oknem swego gabinetu w Olympic Tower, skąd widać było niemal cały Manhattan, a potem raptownie odwrócił i dodał: - Wca le się dziś nie odzywasz, George. Może się w końcu dowiem, co ty o tym sądzisz?

George Prescott, jeden ze starszych wiceprezesów korporacji i tak naprawdę jedyny powiernik Aleksandra, siedział wygodnie rozparty na fotelu przed biurkiem Aleksandra.

- Dobrze wiesz, że się z tobą zgadzam, ale niezależnie od tego, jakie jest nasze zdanie, on nadal kontroluje firmę. Tylko jego głos się tu liczy.

- A jego słowo jest ostateczne - dodał ponuro Aleksander.

- Właśnie tak. Główna siedziba korporacji pozostanie w Atenach tak długo, jak długo stary będzie oddychał, chyba że znasz jakiś sposób, by go przekonać.

Aleksander skrzywił się.

- Obawiam się, że masz rację. Próbowałem z nim rozmawiać, przemówić do rozsądku, ale mój ojciec jest bardzo upartym człowiekiem. Miałem nadzieję, że może wywrą na niego nacisk członkowie rady, ale kiedy przyszło do głosowania...

- To przegrałeś - podsumował George, przeczesując dłonią włosy. - Pięćdziesiąt jeden procent akcji daje, niestety mu prawo decydującego głosu. Jak byś nie próbował, zawsze przegrasz.

Aleksander usiadł w fotelu i zamyślił się.

- Może powinienem jeszcze z nim pomówić? Będzie w tym tygodniu na spotkaniu...

George uśmiechnął się, ale nie dodał ani słowa. Znał przyjaciela i doskonale wiedział, że Aleksander nie ma zamiaru się poddać. Nie wtedy, gdy jest przekonany o swoich racjach. Byli przyjaciółmi od czasu wspólnej nauki w Harvard Business School. George Prescott, jako jedyny w Kirakis Corporation, ośmielał się wyrażać własne opinie bez obawy o natychmiastowe zwolnienie. Aleksander traktował George'a niemal jak własnego brata, którego zawsze bardzo chciał mieć, więc tolerował uwagi przyjaciela.

George wiedział, że Aleksander jest zbyt podobny do swego ojca, żeby mogło dojść do jakiegokolwiek porozumienia. Obaj nigdy nie zmieniali zdania, kiedy uważali, że mają rację. Obaj byli bezgranicznie uparci.

Kolejne starcie zapowiadało się interesująco. Kto wygra?

- Może powinienś dać mu trochę więcej czasu - rzekł George, wyjmując z kieszeni złotą papierośnicę. - Mówiłeś, że stary jest pod wrażeniem rozwoju filii w Stanach. Zresztą liczby mówią same za siebie. Nie będzie mógł dłużej zaprzeczać oczywistym faktom: przyszłość korporacji jest tu, w Nowym Jorku.

- Możliwe, że masz rację.

- Zaplanowałeś już coś na urlop zimowy? Wynająłem domek niedaleko Gstaad...

Gstaad, Szwajcaria

Pod koniec pierwszego tygodnia grudnia, Aleksander przybył do Gstaad, by spędzić dwa tygodnie urlopu w pokrytych białym puchem górach.

W miasteczku odbywał się akurat bieg przełajowy

Gstaad-Chateau d'Oex i zbocza wszystkich okolicznych gór zapełniły się rekordową liczbą entuzjastów narciarstwa z całej Europy, pragnących zmierzyć się z najlepszymi sportowcami. Aleksander oczywiście nie podzielał ich zapału. Miał doskonałe warunki fizyczne i uprawiał w swoim życiu wiele dyscyplin, lecz nigdy nie był zainteresowany współzawodnictwem. Tak naprawdę traktował serio tylko i wyłącznie jedną dyscyplinę: polo. Narciarstwo uznawał zawsze za formę wypoczynku. W młodości ferie zimowe spędzał poza Grecją, w najbardziej renomowanych ośrodkach wypoczynkowych Europy: Gstaad, St. Moritz, Chamonix, Kitzbühel. Bardzo szybko odkrył, że wytworne zimowe raje stwarzają znakomite warunki do zmysłowych i romantycznych in-terludiów. Dni w górach były nader wyczerpujące, noce zaś niezmiennie im w tym dorównywały.

Drugiego dnia pobytu w Gstaad Aleksander spotkał Mariannę Hauptmann. Dostrzegł ją rankiem i bez chwili wahania zdecydował, że jest najpiękniejszą z atrakcji oferowanych przez Gstaad. Miała owalną twarz, okoloną kaskadą ciemnych włosów, i owo niezwykle połączenie szczupłej figury z pełnią kształtów. Kiedy się uśmiechnęła, jej wielkie, równie ciemne jak jego, oczy jaśniały niezwykle wprost żarem. Od razu zaprosił ją na lunch w pobliskiej restauracji.

- Widziałem cię tam - powiedział po francusku, wskazując na zbocza. - Doskonale jeździsz na nartach.

- Ty też - odparła również po francusku, z silnym niemieckim akcentem. - Widziałam ciebie na Hahnenkamm.

- Hahnenkamm?

- Stromy stok do zjazdów - wyjaśniła. - Radzisz sobie, jakbyś był zawodowcem. Często jeździsz na nartach?

- Nie tak często, jak bym chciał. - Szli zatłoczoną uliczką miasteczka. - Jesteś stąd?

- Nie, skądże. Spędzam tutaj dużo czasu, ale pochodzę z Zurychu. Mój ojciec jest urzędnikiem w Schweizerischer Bankverein. Przeniesiono go do Neuchatel, kiedy miałam osiem lat. Teraz nadal tam mieszkam, a w zasa-

dzie powinnam mieszkać, bo studiuje na uniwersytecie w Genewie.
Dotarli do hotelu.

- Mówisz, że często przyjeżdżasz do Gstaad?

- Jeżdżę na nartach, kiedy tylko mogę - odparła, gdy byli już w restauracji. Słuchając jej entuzjastycznych, tak bardzo jeszcze studenckich, wypowiedzi, Aleksander zauważył, że dziewczyna jest młodsza, niż przypuszczał. Jednak w niczym nie zmieniało to faktu, że była kobietą, której pragnął i którą musiał zdobyć.

Podczas lunchu rozmawiali głównie o narciarstwie. Marianna pochłaniała jedzenie z wielkim apetytem, co bawiło Aleksandra.

- Zawsze jem za dużo i za szybko, gdy się denerwuję - wyjaśniła, przełykając ostatnie kęsy. - To brzydkie przyzwyczajenie, wiem, ale chyba nie jestem w stanie się od tego uwolnić.

- A dlaczego miałabyś się denerwować?

- Nie mam pojęcia - odparła, wycierając serwetką kąciuki ust. - Może dlatego, że bardzo cię polubiłam i marzę, żebyś ty mnie też lubił.

- Nie masz się czym martwić - powiedział Aleksander, biorąc ją za rękę. - Bardzo cię lubię, Marianno...

Nie miał żadnych problemów z przekonaniem jej, by spędziła noc u niego. Myślał o tym z satysfakcją, gdy jechali do jego domku - malowniczej willi stojącej u podnóża gór otaczających Gstaad. Nawet przez chwilę nie miał cienia wątpliwości, że skończą ten dzień w łóżku. Wiedział to, kiedy tylko ją zobaczył na zboczu.

Zaraz po przyjeździe Aleksander rozpałił ogień w kominku i włożył do lodu butelkę szampana. Marianna tymczasem przeprowadzała błyskawiczną wyprawę badawczą przez wszystkie pokoje willi.

- Tu jest przepięknie! - wykrzyknęła podekscytowana. - To twoja willa?

- Niestety, nie - odparł, biorąc z kredensu dwa kieliszki. - Ale jest tu dość miło, prawda?

- Miło?! - Zaśmiała się głośno. - To przecież mały zamek.

- W takim razie dobrze, że tu ciebie przywiozłem - powiedział. Usadowił się przed kominkiem i zaprosił, by usiadła przy nim. - Taki zamek to jedyne miejsce dla księżniczki.

Oblała się rumieńcem.

- Jesteś taki miły. Wziął ją w ramiona.

- Marianno, jesteś piękną kobietą. Pragnę cię... - Złożył na jej ustach pocałunek.

- Och, Aleksandrze... całuj mnie! - wyszeptała. - Tak... Kochaj mnie...

Proszę, kochaj mnie...

Po chwili jednak poczuł, że dziewczyna mu się opiera.

Najprawdopodobniej nie miała dużego doświadczenia z mężczyznami.

Szampan mógł jednak rozwiać wszystkie lęki i obawy. Uwolnił ją ze swych objęć i sięgnął po butelkę. Nalał pełen kieliszek.

- Pomoże ci się zrelaksować - powiedział.

- Nie potrzebuję tego, wszystko...

- Wypij, Marianno - powtórzył. - Chcę, żebyś się odprężyła. Chcę, żebyś się cieszyła tym, co dziś się nam przydarzy.

Z wahaniem przyjęła od niego kieliszek. Chciała mu sprawić przyjemność. Kiedy skończyła pić, przyjęła od niego kolejny kieliszek.

Uczucie ciepła rozpląnęło się po jej ciele. Usiedli przy kominku i rozmawiali tak długo, aż w butelce zabrakło cudownego napoju. Ułożył ją w ramionach i opuścił wolno na podłogę, całując rozpalonymi wargami i pieścąc delikatnie jej piersi.

- Chcę cię, Marianno - wyszeptał. - Chcę się z tobą kochać!

Zdjął z niej sweter i wtulił głowę w jej piersi. Czuł, że dziewczyna nerwowo drży pod jego dotykiem.

- Uspokój się, Marianno, otwórz się na to, co będzie... Czujesz, jak bardzo cię pragnę.

- Tak! Kochaj mnie...

Uniesienie nadeszło szybko, zanim zdołał zaspokoić dziewczynę.

Leżał potem wyczerpany przy jej boku i patrzył w sufit. Marianna nie przerywała milczenia.

- Chodź - powiedział w końcu. - Pójdziemy na górę i będziemy się kochać choćby do białego rana, aż oboje poczujemy się nasyceni.

Nie zawiodła się. Pod puchową kołdrą w sypialni Aleksander ustami, rękoma, całym swoim ciałem ukazał jej kalejdoskop wrażeń, których dotąd nie знаła. Choć nie był jej pierwszym mężczyzną, nigdy jeszcze nie przeżyła najwyższego uniesienia.

Później, gdy leżała przy nim w ciemności, myślała o tym, co zaszło.

Przepełniona radością, nie mogła jeszcze uwierzyć, iż wszystko to działo się naprawdę. Aleksander był uosobieniem wszystkich jej marzeń; był spełnieniem, którego pragnęła całą duszą. Kiedy zapadła w sen, śniła o szczęśliwej przyszłości dzielonej z Aleksandrem.

Rankiem jednak Aleksandra już przy niej nie było.

Kiedy dziewczyna zasnęła, zszedł na dół, zagłębił się w wygodnym fotelu i zapatrzył w gasnące na kominku płomienie. Nie mógł pozbyć się myśli, że zrobił coś złego, coś niewłaściwego. Marianna była już dojrzałą dziewczyną, miała prawdziwie kobiece ciało, lecz w głębi duszy nadal pozostawała dzieckiem. Nie powinien był jej tutaj przyprowadzać... Ale gdy zobaczył ją na zboczu, nie mógł już nic zrobić. Musiał ją zdobyć za wszelką cenę. Oprzeć się pokusie było ponad jego siły. Znowu ta sama stara historia. Niektóre kobiety działały na niego właśnie w taki sposób: już od pierwszego wejrzenia pożądał ich, i tylko to wtedy dla niego było ważne. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Zawsze, gdy był już zaspokojony, odkrywał nagle, że znajduje się w łóżku z zupełnie obcą osobą, kimś nieodpowiednim. Dlaczego ciągle to robię? - I zadając sobie to pytanie, szedł na górę i znów kochał się z dziewczyną.

Tak szybko wracasz do Nowego Jorku? - Marianna siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, ubrana jedynie w przezroczysty peniuar z różowego jedwabiu.

Wyglądała na bardzo zmartwioną. - Myślałam, że zostaniesz przynajmniej do następnego tygodnia...

- Nie mogę. - Wzywają mnie interesy.

- Rozumiem. - Bawiła się delikatną złotą bransoletką, prezentem od Aleksandra. - Jest śliczna. Będę jej strzec jak oka w głowie.

Nie słuchał jej. Myślni był przy telegramie, który otrzymał rano od George'a: - ojciec przylatywał do Nowego Jorku i chciał się z nim zobaczyć. Była to wiadomość nieoczekiwana, ale obiecująca. Miał nadzieję, że ojciec zmienił zdanie w sprawie propozycji przeniesienia siedziby korporacji. Możliwe, że zaczął się kierować rozsądkiem.

- Nie słuchałeś tego, co mówiłam, prawda, *Liebchen*? - zapytała Marianna z nutką wymówki w głosie.

- Rzeczywiście - przyznał. - Przepraszam. Ale myślę teraz tylko o tym, co czeka mnie w Nowym Jorku.

Uśmiechnęła się.

- Jestem córką bankiera, przyzwyczaiałam się do czegoś takiego. Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo przypadła mi do gustu ta bransoletka.

- Och... cieszę się, że ci się spodobała - odrzekł obojętnie.

Dziewczyna wstała z łóżka i podeszła do okna. Widziała, jak w dole kamerdyner wstawia bagaże Aleksandra do samochodu. Drgnęła. On naprawdę wyjeżdża! Jakby dopiero teraz to do niej dotarło.

- Najbardziej podoba mi się w niej to - powiedziała, zwracając się do niego - że za każdym razem, gdy na nią spojrzę, będzie mi przypominała ciebie...

Aleksander nie odpowiedział.

- Będę za tobą tęskniła. - Patrzyła na niego dłuższy czas, a potem zapytała: - Dlaczego zawsze uciekasz ode mnie, gdy skończymy się kochać? Zawsze zasypiałam w twoich ramionach, a budziłam się w łóżku sama. Dlaczego, Aleksandrze?

- Często nie mogę zasnąć w nocy - odrzekł, wzruszając ramionami. - Nie chcę ci przeszkadzać.

- Bezsensowność? Wygląda na to, że cierpi na nią wielu

biznesmenów. Mój ojciec też spędzał wiele bezsennych nocy.

Aleksander sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki do willi.

- Kiedy wracasz na uniwersytet? - spytał. Mariannie zabiło mocniej serce.

- Za dwa tygodnie. Dlaczego pytasz?

- Wynająłem tę chatkę na cały sezon, więc możesz zostać, jak długo będziesz chciała - powiedział, podając jej klucze.

- Ależ nie, nie mogłabym...

- Oczywiście, że możesz. Zostań i baw się dobrze - odparł z uśmiechem.

Na odwrocie jednej z wizytówek napisał szybko adres. - Zostawisz klucze razem z tą kartą wizytową, kiedy będziesz wyjeżdżać, dobrze?

Zdobyła się tylko na skinienie głową. Miała nadzieję, że zaproponuje, by poleciała z nim do Nowego Jorku. W drzwiach pojawił się kamerdyner.

- Samochód jest gotowy, proszę pana. Aleksander włożył płaszcz.

Pocałował Mariannę

w czoło.

Kiedy samochód ruszał, pomyślał, że dobrze zrobił wyjeżdżając.

Marianna zachowywała się jak trawiona miłosną gorączką uczennica.

Sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli. Był przekonany, że zakończył sprawę we właściwym momencie.

Los Angeles

Meredith spotkała Toma Ryana, przyjaciela Nicka i prawdopodobnie najslynniejszego producenta filmowego wszechczasów, na planie nowego filmu Nicka. Ryan był wysoki i raczej szczupły. Surową, męską twarz okalały jasne włosy zaczesane do tyłu. Był samotnikiem, bardzo rzadko pojawiał się publicznie.

- Sprawia wrażenie, jakby żył w innym świecie - powiedziała pewnej nocy do Nicka, gdy leżeli w łóżku przytuleni.

- Ten człowiek wiele przeszedł, kochanie - rzekł Nick.

Meredith oparła się na łokciu i zapytała:

- Nick, powiedz mi, co mu się właściwie stało? To znaczy, nie jemu, ale jego żonie i dziecku? Oboje nie żyją, prawda? Jak zginęli?

- Nie znam szczegółów. Nikt ich nie zna... Z wyjątkiem, oczywiście, samego Toma, ale on z nikim na ten temat nie chce rozmawiać.

- Nigdy nikomu nie powiedział?

- O ile wiem, nie.

- Ale przecież tyle o tym pisano.

- Myślę, że gdyby chciał porozmawiać ze mną na ten temat, zrobiłby to. Wszystko, co kiedykolwiek powiedział o tamtych wydarzeniach, sprowadza się do kilku zdań. Pojechali na plan zdjęciowy w terenie. Był to rzeczywiście wielki film, zupełnie wyjątkowy. Zdarzył się jakiś wypadek i zginął jego synek. Elizabeth nie mogła znieść jego śmierci, załamała się nerwowo.

- I po tych wszystkich latach on nadal milczy?

- Tak. I wcale nie mam mu tego za złe. Gdyby udało ci się wyjść z piekła, też nie chciałabyś do niego wracać.

- Może gdyby ktoś z nim pomówił... Nick usiadł nagle na łóżku.

- Słuchaj, coś mi się wydaje, że wiem, co ci chodzi po głowie. Mówię ci od razu: nic z tego. On nie będzie z nikim na ten temat rozmawiał, zwłaszcza z kimś z telewizji. Przez tyle lat milczał, dlaczego nagle miałby zacząć się zwierzać.

- Może jakbyś go poprosił...

- Nie. Nie zamierzam się w to mieszać - rzekł twardo, wyraźnie rozdrażniony. - Mówiłem ci już kiedyś, Meredith, on jest dla mnie zupełnie jak ojciec. Ma prawo żądać, by pozostawiono w spokoju jego żonę i syna.

- Więc nie chcesz, bym zajęła się tą historią!

- Zależy mi na Tomie. Nie pozwolę, żeby go ktoś wykorzystał.

- Wykorzystał?
- Tak, wykorzystał.
- Nie pomyślałam...
- Myślałaś tylko o korzyściach dla stacji, co?
- Też, ale...
- Nie winię cię za to, że jesteś ambitna, skarbie. Ale nie można robić kariery kosztem innych. Od tamtego wypadku Tom umiera, powoli, z rezygnacją. Dzień w dzień uchodzi z niego resztką życia. Nachodzenie go i odnawianie starych ran mogłoby go zabić.
- Słyszałam, że ma problemy z alkoholem, że coraz więcej czasu spędza w okolicznych barach i przeważnie się zalewa. Podobno trzeba odwozić go do domu, bo sam nie jest w stanie prowadzić.
- Nic o tym nie wiem. Nigdy nie widziałem go pijanego. Jednego jestem pewien: nie chcę, żeby znowu przez to przechodził.
Tom wstał z łóżka i sięgnął po szlafrok.
- Dokąd idziesz? - Meredith zapaliła nocną lampkę.
- Zejdę na dół i popracuję trochę nad scenariuszem. I tak nie mógłbym zasnąć, a jutro mam zdjęcia. Poprawki nie mogą czekać.
Ranek był zimny. Po niebie rozświetlonym przez czerwonożłoty wschód słońca leniwie krążyło stadko mew. Do brzegu podpływała jakaś niewielka łódź z kolorowymi, trzepoczącymi na wietrze żaglami. Dwoje ludzi w szortach biegało boso po plaży. Meredith uśmiechnęła się do siebie i zawiązała na biodrach rękawy swetra. Przynajmniej nie była jedyną osobą, która wstała o tak bezbożnej porze.
Nie spała dobrze tej nocy. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział Nick. Wydawał się śmiertelnie obrażony, a przecież nawet nie była pewna, czy rzeczywiście chce zrobić ten wywiad. Tom Ryan sprawiał wrażenie człowieka, który od wielu lat nosi w głębi duszy głęboki, niewyobrażalny ból. Meredith chciała odkryć, co takiego ukrywa Ryan przed całym światem.

Na początku bała się związać z Nickiem. Była niemal pewna, że jego szybko wschodząca gwiazda zaćmi jej karierę. Bała się rozwijającego się związku, który mógł kolidować ze starannie zaplanowaną przyszłością - dziennikarską przyszłością. Nick przekonał ją, że jej karierze nic nie grozi. Ostatnio jednak zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie postąpiła zbyt pochopnie. Ten wywiad mógłby otworzyć przed nią wiele drzwi, lecz Nick, zamiast jej pomóc, zasłaniał się przyjaźnią z Tomem.

- Meredith! Zaczekaj! - usłyszała za sobą. Odwróciła się. Nick podbiegł do niej i zatrzymał się, próbując złapać oddech.

- Myślałam, że spałeś.

- Owszem... Dopóki się nie obudziłem i nie stwierdziłem, że gdzieś zniknęłaś.

- Nie mogłam zasnąć. Ciągle jeszcze jesteś na mnie wściekły?

- Wściekły? Nigdy nie byłem na ciebie wściekły.

- Nick, nie okłamujmy się. Myślisz, że naprawdę ci uwierzyłam, że nagle w środku nocy nabrałeś ochoty do zabawy ze scenariuszem?

Ruszyli przed siebie. Meredith patrzyła na swe tonące w piasku stopy. . i

- Nie pierwszy raz mi się to zdarzyło. fl

- Ale ostatniej nocy zrobiłeś to z innego powodu, m Przez jakiś czas szli w milczeniu. W końcu Nick pcff wiedział:

- OK, byłem trochę zły na ciebie, przyznaję. Tom dużo dla mnie zrobił. Musiałem wyjść, bo pewnie powiedziałbym ci coś przykrego, czego później bym żałował. Nadal upierasz się przy tym wywiadzie?

- Sama nie wiem - przyznała. - Trochę nad tym myślałam. Nie chcę w tej chwili podejmować decyzji.

Nick podniósł jakiś wyrzucony na brzeg kawałek drewna i rzucił wysoko w górę. Drewno przeleciało kilka metrów i zaryło w piasek.

- Naprawdę to dla ciebie takie ważne?

- Mógłby być ważny. Taki wywiad... sam wiesz.

Czuła przyjemny, kojący chłód piasku pod stopami.

- Dobrze - rzekł. - Przypuśćmy, że zabiorę cię do Toma. Może w ten weekend?

Spojrzała na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Pomożesz mi? Po wczorajszym wieczorze myślałam...

- Zaczekaj chwilę - przerwał jej, potrząsając głową. - Nie powiedziałem wcale, że go poproszę. To twoja praca i ja nie będę się w to mieszał.

Powiedziałem tylko, że zabiorę cię do Toma. Jeżeli potrafisz skłonić go do mówienia, w porządku. Mam nadzieję, że ci się uda, skoro jest to takie ważne.

Uściskała go z radością.

- Nick, nie wiem, co mam powiedzieć. Wiem, co czujesz i...

- Tak, tak, nic nie mów. Nie chciałbym ranić Toma, ale z drugiej strony zależy mi na twoim sukcesie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Stawiam jednak jeden warunek.

- Jaki?

- Jeśli on się nie zgodzi, jeśli nawet nie będzie chciał o tym słyszeć, dasz mu spokój. Wystarczająco dużo przeszedł. Pismacy uganiali się za nim, ścigali go całymi latami. Kiedyś musi się to skończyć.

Meredith ucałowała go. - Umowa stoi.

Nowy Jork

Aleksander oniemiał z zaskoczenia, gdy na tydzień przed Bożym Narodzeniem do jego gabinetu w Olympic Tower weszła matka.

- Dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że przyjeżdżasz! - krzyknął radośnie, zrywając się z fotela i biegnąc, by ją uściskać. Była taka drobna, taka krucha.

- Gdybym zatelefonowała, nie byłoby żadnej niespodzianki - odparła, zdejmując futro. - Po prostu nie mogłam znieść myśli, że znowu w święta nie będziemy wszyscy razem.

W Grecji nie obchodzi się świąt Bożego Narodzenia, lecz Melina Kirakis, której matka była Brytyjką, w swoim domu podtrzymywała tę tradycję. Jak daleko Aleksander sięgał pamięcią, te dni zawsze spędzali razem. Ostatnio jednak miał tak napięty plan pracy, zwłaszcza po tygodniu spędzonym w Szwajcarii, że nie wyobrażał sobie możliwości opuszczenia biura. Tradycja znaczyła dla niego znacznie mniej niż dla matki.

- Myślałem, że doktor Karamanlis zabronił ci podróżować - powiedział.

- Gadanie! Co on tam wie?

- Och, *manna mou*, dobrze wiesz, że to jeden z najlepszych lekarzy w całej Grecji. Kiedy mówi, że podróże są dla ciebie niewskazane, to chyba powinnaś go posłuchać.

- I zrezygnować ze spędzenia świąt z moim jedynym synem? Nawet nie chcę o tym słyszeć. Jeśli miałabym wrócić do Grecji na noszach, niech tak będzie, ale nie pozwolę, by moja rodzina rozpierzchła się na wszystkie strony.

- Aż trudno uwierzyć, mammo, że ktoś tak wąły jak ty ma tak silną wolę. - Aleksander patrzył na nią z czułością. Podziwiał jej klasyczną urodę: twarz bez skazy, o porcelanowobiałej cerze, której w dzieciństwie często dotykał swą małą rączką. Nienaganne maniery i ubiór. Gdyby znalazł właśnie taką kobietę... Ale nie miał złudzeń. Jego matka była jedyna w swoim rodzaju. - Przebyłaś długą drogę, pewnie jesteś zmęczona. Może zdrzemniesz się przed kolacją?

- No wiesz! Czy ty i ojciec potraficie myśleć tylko o tym jednym? - powiedziała z udawanym oburzeniem. - Mówisz zupełnie jak mój lekarz. Przyjmij więc do wiadomości, mój drogi, że nie jestem tak chora, jak wam się wszystkim wydaje!

- Mamo... - zaczął Aleksander, ale matka nie pozwoliła mu skończyć. Lekko poklepała go po policzku.

- Mam takiego przystojnego chłopca! Powiedz mi, Aleksandrze, kiedy w końcu znajdziesz sobie żonę i uczynisz mnie szczęśliwą babcia?

- Wątpię, czy kiedykolwiek się to stanie - odpowiedział lekkim tonem. -
Widzisz, *manna mou*, to mogłaby być tylko kobieta taka jak ty.

Uśmiechnęła się smutno.

- Niech ci się nie wydaje, że jestem taka święta. Jestem daleka od doskonałości.

- Dla mnie nie.

- Jesteś stronniczy - rzekła oskarżycielsko. - Boję się o ciebie, mój synu. Masz już trzydzieści jeden lat i z nikim nie związałeś się na trwałe. To niedobrze. Twój ojciec w tym wieku...

- Mamo! Ciągłe to słyszę! Tyle razy już przez to przechodziliśmy, tyle razy powtarzałem wam obojgu, że nie spotkałem kobiety, z którą miałbym ochotę się ożenić. To nie takie proste...

Melina przysiadła na kanapie i skinęła na syna, by usiadł przy niej.

- Powiedz mi, Aleksandrze, czy ty w ogóle myślałeś kiedyś o ustatkowaniu się, o małżeństwie, dzieciach?

- Owszem - stwierdził krótko, unikając jej wzroku.

- Na pewno? Pamiętaj, zawsze poznaję, kiedy mnie okłamujesz.

Miała rację - nigdy nie udało mu się jej okłamać.

- Rozważyłem to. Z pewnością nie aż tak poważnie, jak ty byś sobie tego życzyła, ale myślałem o tym.

- Masz jakieś wątpliwości? Może jest coś, o czym chciałbyś porozmawiać? Zawsze możesz się do mnie zwrócić, pamiętaj o tym.

- Tak, oczywiście.

- Twierdzisz, że nie spotkałeś jeszcze odpowiedniej kobiety, takiej, która mogłaby być twoją żoną - mówiła dalej Melina. - Odnoszę wrażenie, że zawsze obracasz się w kręgu kobiet pod wieloma względami podobnych do siebie. Czyżby podświadoma skłonność do wiązania się z nieodpowiednimi kobietami?

Uśmiechnął się.

- Bawisz się w psychoanalizę?

- Nie trzeba być zawodowcem, żeby zrozumieć, o co

tu chodzi, drogi Aleksandrze. Z jednej strony twierdzisz, że nie ożenisz się, dopóki nie spotkasz kobiety takiej jak ja, a z drugiej wiążesz się z kobietą zupełnie do mnie niepodobną. To może oznaczać tylko jedno, przynajmniej dla mnie: unikasz zaangażowania, poważnego emocjonalnego zaangażowania, wybierając sobie kobiety, o których wiesz, że nie jesteś zdolny ich pokochać.

- Chyba za bardzo się tym przejmujesz.

- Przejmuję się, bo cię kocham. Oboje cię kochamy, ojciec i ja, i bardzo pragniemy twego szczęścia.

- I oczywiście uważacie, że do szczęścia potrzebna mi koniecznie żona i dzieci?

- Nam sprawiłoby to radość.

- A śmierć Damiana? Też sprawiła wam dużo radości? A te wszystkie poronienia, które przechodziłaś? - Dostrzegł jej pełne wyrzutu spojrzenie i już spokojniej rzekł: - Przepraszam, mam, nie chciałem...

Położyła mu dłoń na ustach.

- Nic się nie stało. Ból z czasem przygasa, staje się bardziej znośny.

- Naprawdę jest to możliwe?

- Chcesz wiedzieć, jak to jest? Po prostu uczysz się z nim żyć, starasz się poradzić sobie, stanąć na nogi, ale nie, ból nigdy całkowicie nie znika.

Tego się obawiasz, Aleksandrze? Boisz się zaangażować, bo mógłbyś tę osobę utracić?

- Nie jestem pewien. Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Czuję coś, czego nie potrafiłem zrozumieć...

Melina uśmiechnęła się cierpliwie.

- Nie wolno się bać, że na kimś będzie ci zależało. Nie możesz wciąż się ukrywać, trzymać świat na dystans. Musisz podjąć ryzyko, jeśli chcesz znaleźć szczęście.

- Niczego tak nie pragnę, jak takiego małżeństwa jak twoje i ojca, ale... - Zawiesił głos.

- Musisz przestać się kryć za murem, który wzniosłeś wokół siebie.

Wyjdź szczęściu naprzeciw. To prawda, że nasze małżeństwo jest udane, trwałe, ale nie wszystko układa się nam idealnie. Przez te lata zadaliśmy sobie

sporo ran, stoczyliśmy wiele bitew. Nasze małżeństwo przetrwało, dlatego że oboje nie pozwoliliśmy, żeby między nami coś stało. Wszystkim problemom, tragediom staraliśmy się stawić czoło wspólnie, wzajemnie się wspierając, pomagając sobie.

Aleksander odwrócił wzrok i przyglądał się panoramie Manhattanu.

- Obawiam się, że nie wszystkie małżeństwa radzą sobie tak dobrze - odrzekł.

- Jeśli tak jest, to tylko dlatego, że ludzie nie dają sobie szansy. - Melina wzięła go za rękę i z naciskiem stwierdziła: - Aleksandrze, tak bardzo jesteś podobny do swego ojca. Obydwaj macie silną wolę, obydwaj jesteście nieustępliwi i ambitni. Niestety, żaden z was nie potrafi wybaczyć drugiemu, nie potrafi zapomnieć. Twój ojciec z czasem złagodniał - lata zmiękczyły stal, którą zahartowały tragedie. Mam nadzieję, że nie spotka cię nic, czego on doświadczył, zanim przyszedłeś na świat. Jesteś młody, nauczysz się dostosowywać. Ja chciałabym tylko, żebyś znalazł swe szczęście.

Objął ją.

- Mamo, tak bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

- Nie mogłam nie przyjechać, synu.

Los Angeles

Posiadłość Ryana mieściła się wysoko na wzgórzach, znanych dziś jako Bel-Air, ale zbudowana została na długo, zanim Bel-Air stało się modne w kręgach sławnych ludzi. Był to dom w stylu Tudorów, otoczony trawnikami i starannie posadzonymi drzewkami, wyznaczającymi drogę podjazdu do głównego budynku. Całą dziesięcioakrową posiadłość otaczał wysoki mur, wzniesiony w 1948 roku, kiedy Ryan i jego żona kupili tę rezydencję.

- Chcieli mieć jak najwięcej prywatności - wyjaśnił Nick, gdy podjeżdżali pod dom. - Myśleli też o bezpieczeństwie dziecka, obawiali się, że ktoś mógłby je porwać.

Meredith milczała, przyglądając się wspaniałej rezydencji. Wreszcie rzekła:

- Wygląda jak pałac z bajki. Nigdy nie widziałam nic równie pięknego.
- Dawniej wiedzieli, co znaczy *dolce vita*. Szczyt kariery Toma przypadł na lata czterdzieste, prawdziwą złotą erę Hollywoodu. Największe gwiazdy żyły wtedy jak rodziny królewskie.

Wysiedli z samochodu i ruszyli do drzwi.

- Czasy się jednak zmieniły - powiedziała Meredith.
- Szczególnie dla niektórych spośród nas - rzekł Nick, naciskając dzwonek. Drzwi otworzyła służąca Toma. Poprosiła ich do środka i zaprowadziła do gabinetu. Ryan zgotował Nickowi prawdziwie gorące powitanie.

- Nick! Przyjacielu, jak dawno cię tu nie było!

- Wiesz, jak to jest, Tom - odparł Nick. - Ty też do studia nie zaglądasz za często. Pracujesz teraz nad czymś?

Tom roześmiał się.

- Przecież wiesz, że od lata nie miałem nic na warsztacie.

Meredith, rozglądając się po gabinecie, spostrzegła szklankę na biurku.

Obok stała butelka, prawie pusta. Bourbon - oceniła.

- Co cię sprowadza? - zapytał Tom. - Kłopoty z najnowszym filmem czy z Edem Goldmanem?

Ed Goldman był nowym szefem studia wytwórni Centurion.

- Nic z tych rzeczy. - Nick wyglądał na zakłopotanego. - Tak naprawdę to Meredith chciała się z tobą zobaczyć.

Tom spojrzał na Meredith, tak jakby dopiero teraz zauważył, że Nickowi ktoś towarzyszy. W jednej chwili się zorientował, co przykuło jej uwagę. Podeszedł szybko do biurka i schował butelkę.

- Skoro tak... czym mogę pani służyć? - Starł się utrzymać lekki ton.
- Pracuję w KXLA, w dziale wiadomości...

- Wiem. Widziałem panią wiele razy w wieczornym dzienniku.
- Chciałam przedyskutować z panem możliwość uzyskania wywiadu na temat pana i pana żony...
- Nie - rzekł krótko. Albo jego nastrój zmienił się raptownie, albo Tom po prostu odrzucił grę pozorów. Odwrócił się do Nicka i zapytał: - Wiedziałeś o tym?
- Taaak, wiedziałem. Zdaję sobie sprawę, co czujesz, Tom, ale Meredith myśli...
- Nie ma o czym mówić. Liz i David nie żyją już od dwudziestu siedmiu lat, pozwólmy im spoczywać w pokoju.
Meredith podniosła się z fotela.
- Panie Ryan, na temat pana i pańskiej rodziny naprodukowano przez te wszystkie lata setki artykułów. Pojawiły się dziesiątki różnych publikacji i każda z nich prezentowała inną wersję wydarzeń. Zabójstwo Kenne-dy'ego nie wzbudziło tak wielkiego zainteresowania jak historia pańskiej tragedii! Jeśli chciałabym na tym zarobić, skleciłabym jakiś filmik i opatrzyłabym go własną interpretacją.
- Co panią powstrzymuje? - Głos Ryana był pełen goryczy.
- Nie chcę tego robić w taki sposób. Nie chcę, by ktokolwiek tak robił. Chodzi mi o film, który poruszy ludzi, który ich wzruszy. Chcę prawdy. Opowiem wszystko tak, jak było naprawdę.
- Poco?
- Meredith sięgnęła do swojej teczki i wyjęła dużą szarą kopertę, zawierającą fotokopie artykułów, które udało się jej zebrać po przeszukaniu kilku publicznych bibliotek i archiwów lokalnych gazet.
- Proszę spojrzeć... Na przykład tutaj. Ktoś napisał o tym, jak umierała pańska żona w jakimś szpitalu w Europie. Po wypadku syna straciła zmysły, a ponieważ była wtedy w ciąży, próbowała usunąć dziecko, używając drucianego wieszaka na ubrania...
- Meredith... - Nick złapał ją za ramię.

- Nick, on ma prawo wiedzieć, co wypisywano. Było tego więcej. Tutaj, na przykład, ktoś utrzymuje, że ani Elizabeth, ani David nie umarli, że Elizabeth znalazła męża w łóżku z inną kobietą i po prostu nie wróciła z nim do Stanów. Niektórzy zrobią wszystko, by sprzedać swoją historyjkę, panie Ryan! Proszę posłuchać tego: ktoś twierdzi, że po śmierci waszego dziecka Liz załamała się nerwowo i nadal żyje w jakimś szpitalu dla umysłowo chorych...

- Dosyć! - krzyknął Ryan z twarzą ściągniętą gniewem.

Nick chwycił Meredith za rękę i pociągnął ją lekko do drzwi.

- Chyba będzie lepiej, jeśli stąd wyjdziemy - powiedział spokojnie. - Natychmiast.

- Nie, Nick. Jeszcze nie.

- Umówiliśmy się, pamiętasz?

Spojrzała mu w oczy. Była zdecydowana kontynuować bój z Ryanem, ale Nick patrzył na nią z mrozącą krew w żyłach dezaprobatą.

- Ja... och, wszystko jedno!

Wyciągnęła rękę z materiałami w kierunku Toma, ale nie przyjął ich.

Rzuciła mu je na biurko, mówiąc:

- Proszę, niech pan sobie poczyta i przemyśli moją propozycję. Jeśli zmieni pan zdanie, proszę dać nam znać.

Odwróciła się na pięcie i wyszła za Nickiem z pokoju. Ryan zapatrzył się w szarą kopertę.

W porządku, trochę się zagalopowałam. Przyznaję -powiedziała

Meredith, gdy wracali do Malibu. - Zagalopowałam się i wszystko zepsułam.

- Przynajmniej się w czymś zgadzamy - odparł spokojnie Nick.

- Wiem, ale, do diabła, Nick! Ja...

- Grubo przesadziłaś, Meredith. Przecież mówiłem ci, co on czuje.

- I nie obchodzi go, co nawypisywano o nim, o jego

rodzinie? Nie przejmuję się tymi bzdurami, tymi wszystkimi kłamstwami?

- Tak, myślę, że nic go już nie obchodzi! Od dnia wypadku znajduje się na równi pochyłej i stacza się coraz bardziej. W środku jest już martwy. Nic nie ma dla niego najmniejszego znaczenia.

- Nawet pamięć własnej żony?

Nick oderwał wzrok od drogi i spojrzął na Meredith.

- Znasz już odpowiedź.

- Jak sądzisz, jest szansa, że zmieni zdanie?

- Nie wiem. Wątpię, ale jeśli nie zmieni, pamiętaj o naszej umowie.

- Dotrzymam słowa. Jeśli sam nie da znać, zrezygnuję z tego wywiadu.

Meredith niemal porzuciła już nadzieję, gdy tydzień później Tom Ryan zatelefonował do stacji, zapraszając ją na spotkanie. Przejeżdżając przez Bel-Air zastanawiała się, co też mogło się wydarzyć. Czekał na nią w bibliotece. Od razu wyczuła zmianę w jego zachowaniu - był bardziej uprzejmy niż podczas ich pierwszego spotkania.

- Sporo myślałem o naszej rozmowie, o tym, co od pani usłyszałem - powiedział zmęczonym głosem.

- I zmienił pan zdanie? - zapytała Meredith. Służąca podawała właśnie mrożoną herbatę.

Uśmiechnął się. Był to tak niezwykły widok, że Meredith o mało nie otworzyła ust ze zdumienia.

- Powiedzmy, że biorę ją po uwagę - odparł. - W zeszłym tygodniu, po waszym wyjściu, rzuciłem okiem na te wycinki z gazet. Nie czytałem prasy od dnia powrotu do Stanów, od dnia... - Zawahał się.

- Od dnia wypadku? - zapytała ostrożnie. Skinął głową.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przekręcano fakty.

Przemyślałem sprawę i zdecydowałem się dać pani szansę. Będę z panią rozmawiał, ale z ostateczną decyzją jeszcze zaczekam. Jeśli zobaczę, że wywiad rozwija się dobrze...

- Wtedy opowie mi pan wszystko? Łącznie z tym, co przydarzyło się pańskiej żonie i dziecku?

- Tak.

- Cudownie - powiedziała Meredith, nie znajdując innych słów. Jej wzrok padł na kominek. Wisiał nad nim olbrzymi olejny obraz, przedstawiający kobietę i dziecko. Kobieta była przepiękna: miała długie, połyskliwe czarne włosy i wyjątkowo szlachetne rysy twarzy. Ale najbardziej niezwykle były jej oczy: ciemne, dziwnie tajemnicze, jakby artysta umieścił je na płótnie nie za pomocą pędzla, lecz jakiegoś nieznanego zaklęcia. Kobieta i dziecko byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

- Elizabeth i David - rzekł Tom. - Ukończono go zaledwie trzy miesiące przed...

- Była piękna. - Meredith nie mogła oderwać oczu od obrazu.

- Żadne płótno nie potrafi oddać jej piękna - powiedział Tom, patrząc na portret. - Była wyjątkowa we wszystkim, co robiła. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego ani choćby podobnego. Zawsze wyobrażałem sobie, że gdy David dorośnie, będzie taki sam. Jak pani widzi, podobieństwo było uderzające.

- To prawda.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem. Nie ma słów, którymi można by ją opisać. Stanowiła rzadkie połączenie niewinności i zmysłowości. Kusząca, a przy tym taka wrażliwa. Przypuszczam, że to był właśnie prawdziwy sekret jej sukcesu. Była niczym dziesięć różnych kobiet, zamkniętych w jednym pięknym ciele. Przez pięć lat, jakie spędziliśmy razem, nigdy nie przestawała być dla mnie zagadką.

- Wielu ludzi uważa, że to pan „stworzył” Elizabeth Weldon.

- Liz byłaby wielką gwiazdą, nawet gdyby mnie nie spotkała. Miała osobowość, i prywatnie, i zawodowo, a to rzadkość nawet wśród najlepszych aktorek. Była stworzona, by zostać gwiazdą.

Meredith spojrzała na mieniącą się złotem statuetkę,

stojącą na kominku. Oscar przyznany Elizabeth - pośmiertnie - za rolę w jej ostatnim filmie.

Gdyby tylko potrafił mówić - pomyślała Meredith -jakież wspaniałe historie mógłby opowiedzieć.

- Pochodziła z Teksasu - mówił dalej Ryan. - Jej ojciec był jednym z tych bogatych, świeżo upieczonych magnatów naftowych. Wychowywała się w San Angelo i miała jedno wielkie marzenie: zostać aktorką. Ale dla jej rodziców zawód aktorki był czymś stojącym tylko o jeden szczebel wyżej od prostytutki, więc gdy skończyła osiemnaście lat, uciekła z domu.

Planowała to całymi miesiącami, potem po prostu wsiadła w autobus i odjechała. Była wojna. Uczyła się dramatycznych ról i urabiała sobie ręce po łokcie w jakimś przydrożnym barze z hamburgerami niedaleko Hollywood, aż zaczęła regularnie dostawać role. Pewnego dnia natknąłem się na nią, zupełnie przypadkowo. Znajomy agent prosił mnie, bym zobaczył jego klientkę, startującą do zdjęć próbnych. Ta jego klientka była absolutnie do niczego, za to Elizabeth... zatkało mnie z wrażenia.

- Była aż tak dobra? Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Nie, nie, chodziło o coś zupełnie innego. Każdy jej ruch, każdy gest dowodził braku doświadczenia, ale wystarczająco długo siedziałem w tym biznesie, by wiedzieć, jak wielkim potencjałem dysponowała. Miała w sobie coś specjalnego... Była piękna, owszem, ale chodziło o coś znacznie cenniejszego. Naprawdę trudno to zdefiniować. Ona nie była tylko aktorką odgrywającą rolę. Ona stawiała się w jednej chwili tym, kogo grała, przechodziła metamorfozę.

- I oczywiście po obejrzeniu zdjęć próbnych spotkał się pan z nią?

- Dopiero tydzień później. Dużo czasu straciłem na poszukiwanie Liz. W żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć, kim jest i jak mógłbym się z nią skontaktować. Ostatecznie moja sekretarka zatelefonowała i zaprosiła ją w moim imieniu na lunch. Nigdy przedtem nie była w Brown Derby - tak nazywała się ta restauracja. Kiedy

stała w drzwiach i rozejrzała się po sali, aż zakręciło mi się w głowie.

- I wtedy zakochał się pan w niej?

- Tak mi się wydaje, tak, ale uświadomiłem to sobie dopiero kilka miesięcy później. Tak pięknie wtedy wyglądała. Miała na sobie letnią marszczoną sukienkę białą jak śnieg, ozdobioną tylko haftowanymi kwiatami' a na głowie olbrzymi biały kapelusz z szerokim rondem' Pomyślałem wtedy: cholera, urodziła się za późno by zagrać Scarlett O'Hare. Była z niej prawdziwa piękność z Południa. W mieście słynącym z pięknych kobiet żadna nie mogła jej dorównać urodą.

- A kiedy urodził się wasz syn, nigdy nie myślała o porzuceniu kariery aktorskiej?

- Porzuceniu?! - Roześmiał się głośno. - Nie, absolutnie nie. Doskonale wiedziała, że nic nie będzie musiała poświęcać, jeśli tylko będzie miała Davida zawsze blisko siebie. Nie mogłaby znieść rozłąki z synem, ale chciała nadal grać. Gdyby choć ten jeden raz zostawiła go w domu...

- Wtedy gdy pojechaliście do Europy? Skinął głową.

- Jak to się stało? - zapytała Meredith cicho.

- Kręciliśmy w terenie, David był razem z nami. Pamiętam, jak mu tłumaczyliśmy, żeby trzymał się blisko nas, żeby się nie oddalał od ekipy. Ale czy takie małe dziecko może zrozumieć? Nie miał nawet pięciu lat Straciliśmy go z oczu. Nie odszedł daleko, wystarczająco jednak, by... - Odetchnął głęboko. - Wpadł do jakiegoś dawno zapomnianego szybu czy studni. To było bardzo wąskie i cholernie głębokie. Przez cztery dni staraliśmy się do niego dotrzeć. Niestety, nie udało nam się. - Oczy wypełniły się mu łzami. - Umarł tam... Wyobrażasz to sobie? Czy wiedział, jak bardzo chcieliśmy go uratować?

Port Lotniczy Kennedy'ego

Marianna Hauptmann była zarówno zniecierpliwiona, jak i podekscytowana. Zniecierpliwiona, ponieważ lot z Genewy trwał według niej stanowczo za długo; podekscytowana, ponieważ nigdy przedtem nie była w Nowym Jorku... I już niedługo miała spotkać się z ukochanym. Nie uprzedziła Aleksandra o swoim przyjeździe, chciała zrobić mu niespodziankę. Minęło już trochę czasu od cudownych dni w Gstaad i Marianna była przekonana, że Aleksander ucieszy się na jej widok, tak jak ona ucieszyłaby się, gdyby to on ją niespodziewanie odwiedził. Kiedy ostatnio miała z nim kontakt? Od chwili, gdy rozstali się w Szwajcarii, nie zatelefonował do niej ani nie napisał, ale przekonywała siebie, że nie wszyscy lubią pisać listy. Nie telefonował zaś pewnie dlatego, że był okropnie zajęty. Teraz, gdy mieli być razem, nie odgrywało to i tak żadnej roli.

W samolocie przemyślała wiele spraw. Była niemal pewna, że ojciec wybaczy jej to, że zrezygnowała ze studiów na samym początku semestru. Miała nadzieję, że ucieszy się na wiadomość o ślubie - jej ślubie z Aleksandrem. Nie musi się przecież już uczyć. Teraz chce się nauczyć jednego: być dobrą żoną. Zresztą, komu potrzebna historia?

Odprawa celna nie trwała długo i Marianna znalazła się wkrótce przed budynkiem lotniska, z wizytówką Ale-

ksandra w jednej ręce i podręcznym bagażem w drugiej. Znała język angielski całkiem nieźle, lecz wymowa pozostawiała wiele do życzenia. Przekonała się o tym wielokrotnie. Miała nadzieję, że taksówkarz zrozumieją i trafi do biura Aleksandra na Manhattanie. Wiedziała że mieszka w Olympic Tower, a biura korporacji mieszczą się na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej

Jadąc taksówką, podziwiała wspaniały widok. Przejeżdżali właśnie przez most Queensboro. Na tle czystego nieba malowała się panorama Manhattanu, oświetlonego promieniami przedpołudniowego słońca. Zupełnie jak w bajce - pomyślała zachwycona. Właśnie tego spodziewała się po mieście Aleksandra. To miasto było inne od wszystkich, które do tej pory widziała, większe od największych miast Szwajcarii - Zurychu i Bazylei.

- Jesteśmy na miejscu, panienko - oznajmił kierowca. Zajeżdżali właśnie przed Olympic Tower.

- Dziękuję. - Marianna sprawdziła jeszcze adres na wizytówce i zapłaciła taksówkarzowi, dając mu duży napiwek. Portier odebrał bagaż.

Dotarła windą na piętro, gdzie mieściły się biura Kirakis Corporation.

Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy po otwarciu drzwi kabiny, było biurko recepcjonistki nowoczesne, półkolisty, z polerowanego mahoni. Recepcjonistką była elegancko ubrana blondynka, na oko w wieku Marianny. Na ścianie za jej plecami wisiała zatopiona w płeksiglasie gigantyczna mapa świata z naniesionymi punktami filii i inwestycji korporacji. Umieszczone poniżej srebrne litery obwieszczały KIRAKIS CORPORATION - ODDZIAŁ w USA. Blondynka skierowała Mariannę do biura Aleksandra. Siedząca przed wejściem do jego gabinetu sekretarka poprosiła ją o podanie imienia i nazwiska.

- Nazywam się Marianna Hauptmann. Przyleciałam z Genewy, by zobaczyć się z Aleksandrem - powiedziała łamaną angielszczyzną. Była zła na tę głupią dziewczynę. Czy ona nie wiedziała, że stoi przed nią przyszła pani Kirakis?! - Zastałam go?

- Jest, oczywiście, ale... Odetchnęła z ulgą.
- Proszę mu nic nie mówić. Chcę, żeby to była niespodzianka.
Zanim sekretarka zdołała cokolwiek zrobić, Marianna weszła do gabinetu. Aleksander rozmawiał z kimś przez telefon, lecz gdy zobaczył nieoczekiwanego gościa, natychmiast rzucił słuchawkę i zerwał się z fotela. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.
- Stacey, mówiłem ci przecież, żeby mi nie przeszkadzać! - powiedział do sekretarki, która weszła za Marianną.
- Próbowałam ją zatrzymać, panie Kirakis. - Bezradnie rozłożyła ręce.
- Co ty tu robisz? - zwrócił się do Marianny, odrobinę tylko zmieniając ton.
- Myślałam, że się ucieszysz. Chciałam ci zrobić niespodziankę!
Przez chwilę patrzył na nią, a potem odwrócił się do sekretarki i powiedział:
- Zostaw nas samych, Stacey.
Jego głos brzmiał już spokojnie. Dziewczyna skinęła głową.
- Myślałem, że po wyjeździe z Gstaad wrócisz na uniwersytet -
powiedział Aleksander z gniewem, kiedy za sekretarką zamknęły się drzwi.
- Wróciłam - powiedziała Marianna, spuszczać wzrok. - Tęskniłam za tobą tak bardzo, że musiałam przyjechać...
- To był bardzo głupi pomysł.
Marianna nie mogła pojąć, dlaczego Aleksander zachowuje się tak dziwnie. Co się stało?
- Myślałam, że sprawię ci radość. Sądziłam, że tego właśnie ode mnie oczekiwałeś...
- Na Boga! Skąd ci to przyszło do głowy?
- W Gstaad... byliśmy szczęśliwi. - Była bliska płaczu. - Kochałeś mnie i gdybyśmy się pobrali...
- Pobrali?! O czym ty mówisz?

- Oczywiście, nie powiedziałeś tego wprost, ale wiedziałam...
- Nic nie wiedziałaś! - Obszedł biurko i stanął przed nią. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią. - Gdybym chciał poślubić kobietę, to chyba znalazłbym okazję, by się jej oświadczyć, nie uważasz?
- Marianna nie potrafiła już powstrzymać łez.
- Ale w Gstaad...
- W Gstaad przeżyliśmy uroczne interludium i nic więcej, Marianno. Przyjemne interludium dla nas obojga - powiedział, obniżając głos. Zrobiło mu się żal dziewczyny. - Przepraszam, jeśli źle zrozumiałaś moje słowa.
- Przepraszam? - Odepchnęła go. Jej twarz zalewały łzy. - Jaka byłam głupia! Ślepa i głupia! Naprawdę myślałam, że mnie kochasz, a ty tylko potrzebowałeś kogoś do łóżka!
- Prawie się nie znamy. Jak moglibyśmy się w sobie zakochać?
- Jak?! Ja ciebie pokochałam! Poświęciłam wszystko, ojca, naukę, wszystko, co było mi drogie, żeby tu przyjechać i być z tobą! A teraz dowiaduję się, że jestem dla ciebie nikim, absolutnie nikim! Bardzo dobrze, Aleksandrze, usunę się z twojego życia!
- Gdybym rzeczywiście cię kochał - rzekł wolno - czy nie byłoby dziwne, że ani razu nie próbowałem się z tobą skontaktować? Od naszego rozstania w Gstaad upłynęły już dwa miesiące, Marianno. Nie sądzisz, że gdybym był zakochany, przynajmniej bym zatelefonował?
- Jaka byłam głupia - powiedziała zduszonym głosem.
- Co zamierzasz teraz robić? - zapytał. To nie moja wina - powtarzał sobie. - Po prostu ma zbyt wybujałą wyobraźnię. - Potrzebujesz pieniędzy na powrót do Genewy? Tak czy inaczej, pomogę ci...
- I ja, głupia, myślałam, że ty rzeczywiście możesz chcieć mnie poślubić. Nie chcę twoich pieniędzy, Ale-

ksandrze, wystarczająco tanio się sprzedałam. Gdybym teraz przyjęła od ciebie pieniądze, czułabym się jak zwykła dziwka! - Podniosła na niego oczy pełne cierpienia. - Tak jak sobie życzysz, zostawię cię w spokoju, wyjadę natychmiast i obiecuję ci: więcej nie będę cię niepokoiła.

Wybiegła z gabinetu.

Los Angeles

Zwykle Meredith nie miała nic przeciwko przejażdżce samochodem z Los Angeles do Malibu i w czasie jazdy rozkoszowała się zawsze pięknymi widokami wybrzeża oceanu, tego dnia jednak pogrążona była w nie najweselszych rozważaniach, dotyczących ostatnich spotkań z Tomem. Zastanawiała się, czy rzeczywiście Nick nie miał racji. Czy nie posunęła się za daleko, penetrując przeszłość naznaczoną tak tragicznymi wydarzeniami?

W ciągu kilku ostatnich tygodni z niepokojem obserwowała zachodzące w Ryaniu zmiany. Często był w dziwnym nastroju, jakby chciał odizolować się od całego świata. Stawał się coraz bardziej niekomunikatywny. Podczas spotkań z Meredith dużo pił, za dużo, by można było doprowadzić rozmowę do końca. Meredith miała czasami dość. Zwierzyła się nawet z tego Nickowi.

Spojrzała na leżące na siedzeniu obok dwa grube albumy, pożyczone od Ryana. Elizabeth przechowywała w nich zdjęcia, fotosy i artykuły o jej filmach. Tom wiele razy przekonywał ją, że opinie krytyków są nieważne. Liczyła się dla niego tylko kasa. Meredith była ciekawa, czy Ryan nie dodał czegoś do tych pamiątek po śmierci żony. Wydawało jej się, że od czasu tragedii nie mógł się przemóc, by do nich w ogóle zajrzeć. Nie zrobił tego także, gdy wręczał je Meredith.

Nick wyjechał do Meksyku, by kręcić zdjęcia w plenerze, i Meredith przygotowywała się duchowo na samotny wieczór. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby

spokojnie, bez pośpiechu przeglądać albumy, przyjrzeć się każdej fotografii, każdemu wycinkowi z prasy.

Kiedy dotarła do domu, przypomniała sobie o wychodnym gosposi. A więc była zdana na własne umiejętności. Zjadła w rezultacie tosty z jajecznicą. Po posiłku wzięła jeszcze prysznic i wskoczyła do łóżka. Na pierwszej fotografii utrwalona została młodzięcza postać Elizabeth, dziewczyny, która właśnie przybyła do Hollywood, zrealizować swoje marzenia. Kolejne zdjęcia ukazywały Elizabeth właśnie taką, jaką wspomniał ją Tony

- młodą, wrażliwą i piękną. Meredith próbowała sobie wyobrazić, o czym ona wtedy myślała. Czy nie bała się tego, że może jej się nie udać? Czy nie chciała się poddać? Czy miała chwile zwątpienia i zawodu?

- Jak to było, Elizabeth? - zapytała. - Czy czułaś kiedyś, że popełniłaś błąd? Czy myślałaś o spakowaniu rzeczy i powrocie do domu?

Wpadł jej w ręce fotos przedstawiający Liz w jej pierwszej dużej roli.

Rzeczywiście, otaczała ją jakaś magiczna aura, coś wyjątkowego, promieniującego nawet z fotografii. Była naprawdę wielką gwiazdą.

Przeczytała kilka recenzji. Znajdowały się wśród nich pochlebne - trudno się dziwić - ale stanowiły one mniejszość. Przeważały te pisane w innym tonie - potwierdzające skłonności recenzentów do ostrego krytykowania każdego wielkiego sukcesu. Zupełnie jakby mieli żal do aktora, pisarza czy artysty, że zrobił karierę. Sława Liz rzeczywiście musiała im doskwierać - myślała ze złością Meredith.

Była już prawie trzecia nad ranem, gdy dotarła do końca drugiego albumu. Na ostatniej stronie znajdował się pożółkły wycinek ze zdjęciem Toma, Elizabeth i Davida, zrobionym na lotnisku tego ranka, kiedy odlatywali do Europy. Nie do wiary, jak to dziecko było podobne do matki. Gdyby ten chłopiec żył, wyrósłby na przystojnego mężczyznę, pogromcę niewieścich serc

- pomyślała Meredith, odkładając album i gasząc nocną lampkę.

Leżąc w ciemności, żałowała, że nie ma przy niej Nicka. Poczowała się taka samotna.

Nick wrócił do Malibu w piątek wieczorem i opowiadał z entuzjazmem o swoim nowym filmie.

- Wydaje mi się, że będzie to najlepsza rzecz, jaką do tej pory zrobiłem - zdradził Meredith, kiedy pomagała mu się rozpakować. - Tak naprawdę, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazał największym sukcesem kasowym tego roku.

- Uuuu! Jest aż tak dobry?

- Lepszy. Zaczekaj, aż zobaczysz pierwszą kopię.

- Już teraz nie mogę się doczekać.

Nick wziął jedną z pustych walizek i upchnął ją w kąt szafy.

- Przy odrobinie szczęścia nie będę jej długo, długo potrzebował.

- Mam nadzieję. Zaczynałam już sądzić, że mieszkam tu całkiem sama.

Uśmiechnął się, biorąc ją w ramiona.

- Chciałabyś! Ale nic z tego, kochanie. - Pocałował ją. - Jeśli tylko będziesz miała wolną chwilę, mogę cię ze sobą zabrać.

- Czasami bardzo bym tego chciała. - Zrobiła krótką pauzę i dodała: - Wyglądasz na zmęczonego. Może odpuścimy sobie kolację i od razu pójdziemy do łóżka?

- Jestem za, skarbie, ale pamiętaj: spędziłem w głuszy dobre kilka tygodni. Jeśli znajdziemy się w łóżku, najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń nie przewiduje szybkiego zapadnięcia w sen. - Puścił do niej oko. - Rozumiesz, co mam na myśli?

Zrobiła nadąsaną minę.

- Kiedy mówiłam „łóżko”, chodziło mi o „spanie”. - Pocałowała go w policzek. - Wiesz, czasami mnie zadziwiasz.

- Tak? Czym?

- Spójrz tylko na siebie. Zawsze po powrocie ze zdjęć w plenerze wyglądasz, jakbyś stracił na wadze z pięć kilo i nie spał całe tygodnie.

Czy nigdy nie poświęcasz

choćby odrobiny czasu na tak przyziemne sprawy jak jedzenie i spanie?

- Nie. Zawsze próbuję skończyć zdjęcia jak najszybciej, żeby móc wrócić do mojej ukochanej.

- Jesteś niesamowity - powiedziała Meredith śmiejąc się.

- Posłuchaj, skoro żadne z nas nie ma w ten weekend pilnej roboty, może jakoś to wykorzystamy?

- Co ci znowu chodzi po głowie? - spytała podejrzliwie.

- Na początek długi spacer po plaży, z samego rana. Potem jakiś lunch, film w kinie i kolacja w centrum, choćby w Głodnym Tygrysie.

- Brzmi wspaniale, ale mam wrażenie, że jak tylko mamy wolny weekend, pada. Chyba to już taki pech.

- Nonsens! Powołując się na niezaprzeczone autorytety, stwierdzam jednoznacznie, że ten weekend będzie niewiarygodnie ciepły, słoneczny, bez jednej chmurki w zasięgu wzroku. - Zaczął odpinać guziczki jej koszuli. - Niebo nie ośmieli się zesłać nam deszcz. Nie tym razem. Padało przez cały weekend.

- Widzisz, Nick? Tak to jest, kiedy się rzuca słowa na wiatr - powiedziała Meredith, stojąc przy oknie sypialni i obserwując przybierającą na sile ulewę. - Nieładnie bawić się z Matką Naturą w ciuciubabkę.

- Nie sądzę, kochanie, żeby wyglądało to tak ponuro, ale skoro tak uważasz... - Nick leżał na łóżku i przeglądał gazetę. - Możemy iść do kina, jeśli masz ochotę.

- Nie, dziękuję. Raczej wolę zostać w domu i nie ryzykować przemoknięcia do suchej nitki.

- Cóż, możemy zostać w domu. Może wymyślimy sobie coś ciekawego...

- Mój drogi, potrafisz myśleć tylko o jednym. - Zachichotała.

- Zawsze do usług - powiedział, siadając na łóżku. Na podłodze u swoich stóp zauważył spory stosik sta-

rych magazynów filmowych. Sięgnął po pierwszy z góry i kartkując go, zapytał: - A to po co?

- Zbieranie materiałów - odparła Meredith. Podniósł na nią wzrok. - Znowu widziałaś się z Tomem?

- Wczoraj. Czy uwierzysz, że przechowywał te wszystkie magazyny przez tyle lat? Powiedział, że należały do Elizabeth. Wygląda na to, iż przechowywała wszystkie artykuły, które w jakiś sposób jej dotyczyły. Nick zapatrzył się na zdjęcie Ryanów.

- Była niesamowita.

- Była piękna. Taka szkoda, miała tylko dwadzieścia osiem lat, kiedy umarła.

- Założę się, że Tom nie powiedział ci, co się wtedy stało - rzekł Nick, odkładając magazyn na miejsce.

Meredith potrząsnęła głową.

- Myślę, że jeszcze trochę potrwa, zanim się przełamie. - Westchnęła. - Po wszystkim, co przeszedł, nadal widzi w prasie wroga numer jeden.

- Może.

- Nie zabrzmiało to zbyt przekonywająco - zauważyła Meredith.

- Posłuchaj, kochanie, znam tego faceta, możliwe, że lepiej niż ktokolwiek inny. On nigdy przed nikim się nie otworzył. Sądzę, że możesz się na nim porządnie zawieść.

- O to już się nie martw. - Podeszła do Nicka i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Jestem dużą dziewczynką, poradzę sobie...

- Ummm. - Pociągnął ją na łóżko. - Wiesz co? Mam wrażenie, że ostatnimi czasy nie rozmawiamy o niczym innym, tylko o Tomie Ryanie i jego mrocznych, głęboko skrywanych sekretach.

- Przecież bardzo go lubisz - powiedziała, mierzwiąc mu włosy.

- Zgadza się, ale są jeszcze inne tematy do rozmów, o wiele lepsze, jak sądę. - Pocałował ją. - I o wiele lepsze rzeczy do robienia.

- Jakie na przykład?

- Na przykład takie...

Nowy Jork

Aleksander popatrzył na dokumenty leżące na biurku.

- Raporty są niezwykle pomyślne. Twój ludzie dobrze się spisali. -

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Siedzący naprzeciw niego George skinął głową.

- Zrobili, co do nich należało.

- Co o tym myślisz? George wzruszył ramionami.

- Każda z tych firm byłaby dobrym nabytkiem - odparł.

- Ale gdybyś to ty miał podjąć decyzję, którą z nich byś wybrał?

- Skoro pytasz mnie o zdanie, głosowałbym na National Technologies.

Mają imponujące notowania, dopiero co podpisali kilka dużych kontraktów. Trzeba czegoś więcej?

- Zgadza się z tobą w zupełności - rzekł Aleksander. - A co powiesz o Empire Hills Development Company? Wydaje się, że oni też posuwają się naprzód dużymi krokami.

George pokręcił głową.

- Mają na głowie banki, duże kłopoty finansowe. Wziąłbym ich co najwyżej po to, by odpisać ich straty od podatków, ale nie jestem pewien, czy to jest nam w tej chwili najbardziej potrzebne..

- Może opłacałoby się ich przejąć, a potem komuś upchnąć - zasugerował Aleksander.

- Myślałem o tym, ale nie jest to najlepsze wyjście. Sprawdziłem ich bardzo dokładnie.

- Może masz rację. - Aleksander zamyślił się. W końcu rzekł: - No to chyba wygrała spółka naftowa.

George przypomniał sobie rozmowę, jaką rano odbył w Corpus Christi z jednym z dyrektorów korporacji.

- Niedawno trafili na duże złoża w Zatoce Meksykańskiej - powiedział. - Myślę...

Usłyszeli pełen gniewu, podniesiony głos. Drzwi otworzyły nagle się i do środka wpadł Constantine Kira-kis, wymachując gazetą.

Aleksander zerwał się na równe nogi.

- Ojczy... Nie spodziewałem się, że...

- Wiem, że się mnie nie spodziewałeś! - krzyknął Kirakis i zwrócił się do George'a: - Możesz nas zostawić?

George natychmiast wstał z fotela.

- Aleksandrze, zadzwoni, jak tylko będziesz wolny, OK? - rzucił.

Aleksander skinął głową i odwrócił się do ojca.

- Co się stało? Chyba nie matka... - zapytał z niepokojem w głosie, kiedy za George'em zamknęły się drzwi.

- Twoja matka czuje się dobrze... Jak na te okoliczności! - Kirakis rozłożył gazetę, włożył ją synowi do ręki i wskazał palcem jakiś artykuł. - Czytaj!

Aleksander przebiegł wzrokiem krótką notatkę. Opadł na fotel i spojrzał na ojca.

- Nie miałem pojęcia... - zaczął.

- Znałeś tę młodą kobietę, tak czy nie?

- Mariannę? Tak, poznałem ją dwa miesiące temu w Gstaad. Ale...

- Miałeś z nią romans?

- Tak - przyznał Aleksander. Krótka wzmianka informowała o jej samobójstwie. - Nie miałem pojęcia, że była aż tak... zdenerwowana.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może targnąć się na swoje życie.

- Odebrała sobie życie przez ciebie! Rozumiesz to?! Aleksander wyglądał na zaskoczonego.

- Przeze mnie? Ojczy, ja jej naprawdę nie znałem! Spędziliśmy wspólnie tydzień w Gstaad...

- I przyjechała za tobą do Nowego Jorku, spodziewając się, że ją poślubisz - dokończył Kirakis.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Wieści rozchodzą się bardzo szybko, Aleksandrze, nawet jeśli ci się zdaje, że Grecja leży na samym końcu świata, wiem wszystko o tym, co się zdarzyło w Nowym Jorku. To było w zeszłym tygodniu, prawda?

- Moje nazwisko nie zostało wymienione w gazecie - rzekł Aleksander ze ściśniętym gardłem. - Dlaczego myślisz, że zrobiła to przeze mnie?

- Przez ostatnie dziesięć lat poświęciłem wiele czasu i pieniędzy na pilnowanie, by twoje nazwisko nie pojawiło się w nagłówkach gazet. Czasem moje działania zawodziły. Zdarzało się. Ale tak się szczęśliwie złożyło, że mam dobre kontakty w Szwajcarii, zwłaszcza w departamencie policji w Genewie. - Z górnej kieszonki wyjął kartkę i podał ją Aleksandrowi. - Twoja znajoma zostawiła list. Jeden z moich ludzi przejął go, zanim dotarła tam prasa.

Aleksander przeczytał. Był blady jak ściana.

- Nie miałem pojęcia... Nie myślałem, że...

- Masz ją na sumieniu, Aleksandrze. Nigdy nie zastanawiałeś się nad skutkami swojego postępowania, no i się doigrałeś!

- Ona sprawiała wrażenie zupełnie normalnej! Byliśmy z sobą cały tydzień i nic...

- A potem? Gdy była tutaj?

- Zupełnie nie mam pojęcia, jak mogła poprzekręcać to, co mówiłem. Wymyśliła sobie ślub, nasz ślub. Owszem, kiedy stąd wychodziła, wyglądała na zdenerwowaną.

- Próbowaleś ją zatrzymać?

- Nie - przyznał. - Sądziłem, że to tylko pogorszy sytuację. Mówiła o powrocie do Szwajcarii i uznałem, że wraca na uniwersytet. Nic nie wskazywało na to, że zamierza popełnić samobójstwo.

- Tym razem posunąłeś się za daleko, Aleksandrze. To już jest poważna sprawa, a nie zabawa w udowadnianie swojej męskości. To samobójstwo z twojego powodu. Jeśliby to przeniknęło do prasy, skutki byłyby nieobliczalne. Czy masz pojęcie, co oznaczałoby to dla twojej przyszłości? Dla przyszłości korporacji?!

- To nie ma nic wspólnego...

- Owszem, ma! - wrzasnął ojciec. - Firmy Kirakisów zawsze uchodziły za solidne. Pewnego dnia przejmiesz nad nimi kontrolę i będziesz zdany na łaskę i niełaskę bankierów, którzy teraz uważają cię za nieodpowiedzialnego! Jeśli uznają, że powierzenie tobie ich pienięd-

dzy będzie zbyt ryzykowne, skąd weźmiesz kredyty? Co stanie się z tobą?
Co stanie się z korporacją?

Aleksander milczał. Teraz dopiero zobaczył niektóre sprawy w innym świecie.

- Przebrała się miarka, Aleksandrze. Mam już dość ciebie i twojego lekkomyślnego życia. To się musi zmienić, i to szybko, inaczej pożałujesz, że nie słuchałeś moich ostrzeżeń. Daję ci słowo!

- Ojczy, musisz mi uwierzyć! Nie zwodziłem jej. Nic nie obiecywałem, nie powiedziałem ani słowa o ślubie i nigdy nawet nie powiedziałem, że ją kocham!

- To nie ma nic do rzeczy. Ona nie żyje, a jej list obciąża właśnie ciebie. Jesteś winien tej śmierci. W tej chwili to nieistotne, co zaszło między wami w Gstaad. - Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i zwrócił do syna:

- Proponuję, żebyś poważnie się nad sobą zastanowił.

- Ojczy, zaczekaj! - krzyknął Aleksander. - Tu w gazecie piszą tylko, że popełniła samobójstwo w pokoju hotelowym w Genewie.

- I co z tego?

- Jak... jak ona to zrobiła?

Twarz Kirakisa wykrzywił grymas bólu.

- Powiesiła się - odpowiedział z trudem.

Aleksander chciał wierzyć, że najgorsze już za nim, że ojciec powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Obawiał się jednak, że to dopiero początek. Ojciec na ogół nie poruszał spraw prywatnych, szczególnie tych „pachnących” skandalem, w miejscach publicznych. Niestety, scena w biurze Aleksandra, dowodziła, że istnieją wyjątki od każdej reguły. Constantine Kirakis tym razem nie był w stanie zapanować nad gniewem.

- Aleksandrze, nie mogę już dłużej tolerować tak rażącego braku odpowiedzialności z twojej strony. - Stał odwrócony plecami do syna, jakby nie mógł na niego patrzeć. - Dotychczas przymykałem oczy na wiele twoich wybryków. Na początku myślałem, że to normalne, byłeś młody i seksualne eksperymenty uważałem za coś naturalnego.

Przekonywałem twoją matkę, że nie ma powodów do niepokoju, że z czasem to minie... że pojmiesz jakąś kobietę za żonę i ustatkujesz się. - Odwrócił się do syna. - Tolerowałem wiele, jednak twoje ostatnie wyskoki są niewybaczalne. Zaczynam wątpić, czy jesteś zdolny przyjąć na swoje barki tak wielką odpowiedzialność.

- Co próbujesz przez to powiedzieć? - zapytał ostrożnie Aleksander.

- Czy nie wyrażam się dostatecznie jasno? Wątpię, czy nadajesz się na prezesa rady nadzorczej. Sądzę, że nie jesteś zdolny zająć moje miejsce.

Aleksander wstał gwałtownie z fotela.

- To nie w porządku, ojcze! Przypisujesz mi winę za czyny jakiejś nieznajdowanej dziewczyny, która sama odebrała sobie życie!

- Po tym, jak ją rzuciłeś! - W głosie Kirakisa ponownie zagrał gniew. - To ty byłeś nie w porządku, wykorzystując tę dziewczynę! Hańbiąc ją! Tak, uwiodłeś ją i zhańbiłeś. Wykorzystałeś dla własnej przyjemności, a potem zniszczyłeś!

- Nie miałem pojęcia, że tak poważnie potraktuje nasz związek! Byliśmy z sobą w Gstaad zaledwie tydzień! Skąd mogłem wiedzieć...

Kirakis uniósł dłoń, uciszając syna. Jego twarz była czerwona od kipiącego w nim gniewu, ale przemówił spokojnym głosem, pełnym śmiertelnej powagi:

- Powinieneś wiedzieć, że rozważam zmianę mojej ostatniej woli.

- Zmianę ostatniej woli? Chyba nie mówisz serio! Z takiego powodu?!

- Nigdy nie mówiłem bardziej serio, Aleksandrze.

- Ale kto...

- Kto przejmie kontrolny pakiet akcji? Nie zastanawiałem się na razie nad tym. Nigdy do tej pory nawet mi przez myśl nie przeszło, że pewnego dnia to nie ty obejmiesz po mnie obowiązki prezesa.

- Nie mogę uwierzyć, że byłbyś do tego zdolny - rzekł Aleksander powoli, zaciskając palce na krawędzi biurka.

- Radziłbym ci uwierzyć, ponieważ naprawdę jestem zdecydowany to zrobić. Nie pozostawiasz mi wyboru. Zastanów się, Aleksandrze, to moje ostatnie ostrzeżenie. Jesteś Kirakisem, ostatnim w linii, moim jedynym następcą... przynajmniej w tej chwili. Zmień swoje życie, zanim będzie za późno. - Odwrócił się i nie patrząc na syna, wyszedł z pokoju.

Aleksander został sam ze swoimi myślami. Wiedział, że ojciec nie rzuca słów na wiatr. Nawet gdyby nie chciał odsuwać Aleksandra od kontroli nad korporacją, zrobi to, jeśli uzna za konieczne.

Odetchnął głęboko i sięgnął po jeden z leżących przed nim raportów. Zaczął go czytać, ale nie mógł się skoncentrować. Rzucił raport na biurko i zaczął masować sobie skronie. Dawno nie czuł takiego bólu. Podniósł się z fotela i obszedł biurko. Powietrze wciąż przesycone było zapachem egipskich papierosów ojca.

Zatrzymał się przy oknie. Nie mógł się nadziwić, jak niezmiennie i regularnie dochodziło do spięć z ojcem. Mariannie udało się wbić pomiędzy nich klin, być może już nie do usunięcia. Co za ironia losu - pomyślał. Tyle kobiet w jego życiu chciało się na nim odegrać i nic im z tego nie wyszło, a Marianna, która prawdopodobnie nawet nie myślała o zemście, zabijając się uderzyła z potężną, niszczycielską siłą. Przez nią mógł utracić to, na czym mu zależało: dziedzictwo. Kirakis Corporation była jedyną prawdziwą pasją Aleksandra - namiętną kochanką, pożądaną całym jego jestestwem. Żadna kobieta z krwi i kości nie była w stanie wzbudzić w nim tak wielkiego uczucia, dostarczyć tak wspaniałych wrażeń.

Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby jej nie utracić.

Los Angeles

To będzie fantastyczny dokument - powiedziała Meredith do Chucka Willarda, szefa stacji KXLA. - Ta historia fascynowała ludzi całe lata, prawdopodobnie dlatego, że Tom Ryan nigdy nie mówił o tamtych wydarzeniach. Nikt nie zna prawdy... Jeszcze nie zna.

- Wy tłumacz mi, dlaczego myślisz, że Tomiyan nagle uchyli rąbka tajemnicy, i to akurat tobie? - Willard nie bez powodu uchodził za niepoprawnego sceptyka.

- Ja nie myślę, ja wiem, że tak będzie - stwierdziła Meredith.

- Mowa-trawa. - Nie wyglądał na przekonanego. - Wiesz, Meredith, zaczynałem pracę akurat wtedy, kiedy to wszystko się stało. Pamiętam, jak bardzo chciałem

dostać się do Ryana, jak marzyłem o wydobyciu z niego czegokolwiek. Każdy reporter w mieście o tym marzył. Ale nikomu się to nie udało.

- A ze mną będzie rozmawiał! Właściwie już to zrobił.

- Już z nim rozmawiałaś? - Nie ukrywał powątpiewania. Chuck nigdy łatwo nie kapitulował. - Jak to możliwe, że z tobą jedną rozmawiał, podczas gdy z innymi nie zamienił choćby paru słów przez telefon. Meredith nie mogła powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

- Chuck, słonko, żaden z tych reporterów nie jest dziewczyną Nicka Hollidaya - powiedziała słodko.

- Teraz chwytam - rzekł, kiwając flegmatycznie głową. - Powinienem był się domyślić. Holliday jest z nim w dobrych układach.

- Chwileczkę - powiedziała szybko. - Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz od razu: Nick jest przeciwny całej sprawie, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. W żaden sposób nie mogłam go przekonać, by pomówił z Rya-nem. Przedstawił mnie tylko.

- Oczywiście, twój związek z jego... nazwijmy protegowanym wiele ułatwił. - Ostatnie słowo zawsze musiało należeć do Willarda.

- Może tak, może nie. Zgadzam się, to było szczęśliwe zrządzenie losu, dlaczego jednak nie miałam z niego skorzystać? Nie jestem pierwszym dziennikarzem, który porusza różne sznurki, by dostać materiał.

- Na pewno pierwsza byś w tej konkurencji nie była. Jestem ciekawy, co właściwie mu powiedziałaś, że zgodził się na wywiad.

- Nie tyle, co powiedziałam, a raczej co zrobiłam. Wspomniała mu o wycinkach z gazet, które zostawiła Ryanowi.

- Wiedziała, że nie zmieni zdania w ciągu jednej minuty, ba, byłam niemal pewna, że nawet nie spojrzy na te wycinki przez dzień albo dwa. Musiał mieć czas na zebranie sił. Całe wieki nie czytał w ogóle gazet, ale to, co ode mnie dostał, dało mu wiele do myślenia. Nie miał innego wyjścia. Musiał przystać na moją propozycję.

- Tylko tyle? Trochę cwanej gadki i kilka starych wycinków z brukowców? - Zdumiony Willard to był raczej rzadki widok. Satysfakcja Meredith rosła z każdą sekundą.

- To był dopiero początek - odparła. - Kiedy się zgodził na rozmowę, musiałam poruszyć niebo i ziemię, żeby mi zaufał i uwierzył, że nie zamierzam zwyczajnie zarobić na jego przeżyciach. - Wyjaśniła Willardowi warunki umowy z Ryanem.

- I sądzisz, że on na to pójdzie?

- Chyba nie zawracałby głowy, gdyby przynajmniej nie miał zamiaru dać mi szansy. Byłoby to bez sensu, nie uważasz?

Willard skinął głową. Nadal wyglądał na kogoś, kto przeszedł mały wstrząs.

- Pewnie masz rację - powiedział niepewnie.

- Gra jest warta świeczki. - Meredith kuła żelazo póki gorące. - Wydaje mi się, że nie mam nic do stracenia, za to wiele do zyskania. Jeśli w końcu przeprowadzę z nim wywiad, będzie to największa rzecz, jaka udała mi się od czasu, gdy jestem w KXLA. Jeśli nie, trudno, ale będę chociaż wiedziała, że zrobiłam wszystko, co się dało.

- Pewnie - rzucił Chuck. Zamyślił się.

Meredith zdążyła ochłonać, nim w końcu nabrał ochoty podzielić się z nią swymi wątpliwościami:

- Co będzie, jeśli włączę stację do tego projektu, a nasz przyjaciel Ryan zwyczajnie się wycofa? Zostaniemy bez niczego, a mój tyłek zawisnie na cienkiej linie!

- Niekoniecznie.

- Niekoniecznie?

- Przypuśćmy, że potraktujemy ten materiał jak każdy inny, który zrobię dla stacji - zaproponowała. - Jeśli nie wypali, skreślimy go i bez żalu o nim zapomnimy. Ale jeśli Ryan zacznie mówić, zgodzisz się dać mi trochę czasu i puścimy to dziełko jako materiał specjalny. To może oznaczać dla stacji niezły sukces. I pieniądze... ale tego przecież nie muszę ci tłumaczyć.

- Rzeczywiście, tego już nie musisz wyjaśniać - powiedział Willard ociągając się.

- Przycisnę Ryana i wydobędę z niego ten wywiad. Jeśli mi się nie powiedzie, nic na tym nie stracisz.

Po chwili Chuck skapitulował.

- Dobra, możemy się tak umówić. Masz moje błogosławieństwo. Oczywiście na takich warunkach, o jakich mówiłaś - zastrzegł się natychmiast. - A teraz ruszaj i daj z siebie wszystko.

Meredith wyciągnęła do niego dłoń i z płomiennym uśmiechem zapewniła:

- Możesz na mnie polegać.

Tom Ryan nalewał sobie kolejnego drinka. Alkoholu nie starczyło nawet na pół szklaneczki. Wrzucił pustą butelkę do kosza, stojącego obok biurka, i poszedł do barku po następną, ale dwie, które wpadły mu w ręce, także były puste. Sprawdził szafkę - również kompletnie ogołoconą. Nieprawdopodobne; przecież uzupełnił ją w zeszłym tygodniu. To zapewne znów sprawka służącej. Butelki znikają już wcześniej. Pewnie się zorientowała, że prawione codziennie kazania o braku umiaru nie odnoszą skutku, i postanowiła mu trochę pomóc. Choć zdawał sobie sprawę, że kierowały nią szlachetne pobudki, nie mógł zdusić w sobie złości.

Jego spojrzenie zatrzymało się na portrecie wiszącym nad kominkiem. Nawet teraz, po wielu latach, nigdy nie zagojone rany w sercu krwawiły. Nawet teraz nie potrafił pogodzić się z myślą, że stracił ich na zawsze. Jak to się mogło stać? Dlaczego? Byli przecież tacy szczęśliwi. Mieli wszystko, o czym marzyli: udane małżeństwo, śliczne dziecko, zbieżne kariery zawodowe, niesamowity sukces i uznanie. Przyszłość rysowała się w jasnych barwach i nagle, pewnego dnia, piekielnego dnia, wszystko się zawaliło. Nie było już Davida, nie było Elizabeth. Tom Ryan chciał tylko umrzeć, umrzeć tak jak oni.

Zapatrzony w obraz, wspomniawszy dzień, kiedy go ukończono. David, jak każdy aktywny czterolatek, podczas

długich godzin spędzanych z malarzem zawsze okazywał zniecierpliwienie. Tak było aż do ostatniego dnia. I właśnie tego dnia był prawdziwym aniołkiem, jak wyraziła się Liz. Śmiała się, uważała, że to dobry znak. Jej śmiech... Boże, jak bardzo chciałby go jeszcze raz usłyszeć! Ten piękny, magiczny śmiech, udzielający się każdemu, kto go słyszał. Była taka szczęśliwa tego ranka. Dopiero co się dowiedziała, że dostała rolę, za którą dałaby się zabić połowa aktorek w Hollywoodzie, rolę, która niemal gwarantowała nominację do Oscara. W 1948 roku powiedziała reporterom, że nie zamierza już występować w filmach, bo choć była niekwestionowaną gwiazdą, nikt nie brał jej serio jako aktorki. Była zmęczona traktowaniem jej jako bogini seksu. Ale ten film mógł zmienić wszystko. Miał wszelkie zadatki, by stać się klasyką ekranu. Elizabeth mogła udowodnić, że jest aktorką pierwszej wielkości. Z takim optymizmem podchodziła do tej roli. Tego ranka, gdy odlatywali do Europy, zwierzyła się dziennikarzom, że jest to największy sukces zawodowy, jaki mogła sobie wymarzyć. Tom Ryan ukrył twarz w dłoniach. Tak, jej przeczucia znalazły potwierdzenie: film stał się klasyką, ukazał ją jako znakomitą aktorkę i przyniósł jej zasłużonego Oscara. Lecz cena była chyba zbyt wysoka. Kosztowało to utratę wszystkiego, co było dla nich najcenniejsze: dziecka, miłości, cudownego wspólnego życia. Gdyby tylko mogli przewidzieć...

Czuł, że do oczu napływają mu łzy. Na kominku, na prawo od obrazu, stała statuetka Oscara. Kiedy patrzył na nią, przepelniała go wściekłość. Z trudem powstrzymywał się przed złapaniem tego przekłętego kawałka metalu i wyrzuceniem go przez okno. Dlaczego w ogóle zgodził się na rozmowę z Meredith Courtney? Co go podkuśiło? Dwadzieścia sześć lat stracił, próbując pogrzebać wspomnienia, bolesne wspomnienia, które teraz powracały, by go zadęczać.

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, a potem sięgnął po słuchawkę i wykrecił numer biura rezerwa-

cji Swissair w Los Angeles. Tak wiele razy wykręcał ten numer, przez tyle lat, że nie musiał już sprawdzać długiego ciągu cyfr.

- Chciałbym zarezerwować miejsce... Tak. Na najbliższy lot do Lozanny. Dziś wieczorem? Doskonale...

Mamy dzisiaj małe święto - powiedziała Meredith do Nicka, gdy zadzwonił po południu do stacji. - Rano rozmawiałam z Chuckiem Willardem. Dał mi zielone światło w sprawie Ryanów.

- Świetnie, kochanie! - krzyknął uradowany Nick. -Ale nie tylko ty masz dobre wieści. Zdaje się, że obydwójce będziemy mieli coś do oblewania.

- Och, mów zaraz, o co chodzi, nie trzymaj mnie w niepewności. - Nick uwielbiał robić niespodzianki. -Co to za dobre wieści?

- Dziś rano otrzymałem następującą wiadomość: *Refleksje* dostały nominację Akademii w kategorii „Najlepszy film”, a twój wspaniały mężczyzna znalazł się wśród nominowanych do Oscara w kategorii „Najlepszy reżyser”.

- Wspaniale! Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę! Ale bądź ze mną szczerzy: chyba spodziewałeś się takiego obrotu sprawy? No... przyznaj się.

- Nie byłem pewien, Meredith. Oczywiście, wiedziałem, że film jest wystarczająco dobry, ale dla nikogo nie jest tajemnicą, że nominacje świadczą nie tyle o jakości dzieła, ile o trendach w polityce Hollywoodu. Wystarczy spojrzeć na kilku zwycięzców.

- Może, ale naprawdę zasługujesz na tę nagrodę. I nie jest to opinia krytyka przypadkiem bez pamięci zakochanego w reżyserze. *Refleksje* to naprawdę znakomity film.

- Miejmy nadzieję, że Akademia będzie tego samego zdania. - W jego głosie pobrzmiwała pewność siebie. -Gdzie pójdziemy uczcić to nasze święto?

- Och, Nick, czasem zadajesz trudne pytania. Co myślisz o jakiejś malej włoskiej restauracyjce w Glendale?

- Mówisz o Angelinie? - Roześmiał się. - Boże, kiedy ostatni raz tam byliśmy?

- Dawno, bardzo dawno temu. Więc jak, Nick... Idziemy?

- Będę tam, choćby świat miał się zawalić. A tak przy okazji - nie wiedziałem, że jesteś sentymentalna.

Meredith zawahała się.

- Tak tylko pomyślałam... Co sądzisz o tym, by przyłączył się do nas Tom Ryan? Gdyby nie on, żadne z nas nie miałyby dzisiaj nic do oblewania.

- Jeśli bardzo chcesz... - Nick najwyraźniej nie był zbyt zadowolony.

- Nie chcesz, żeby Tom nam towarzyszył?

- Wyobrażałem sobie, że impreza będzie miała bardziej prywatny charakter.

Meredith zaśmiała się.

- Nie martw się, będziemy mieli imprezę o charakterze prywatnym, gdy wrócimy do domu. Obiecuję. Mogę zatelefonować do Ryana i zapytać, czy ma wolną chwilkę?

- Pewnie, czemu nie - zgodził się Nick. - Tylko pamiętaj: jak wrócimy do domu...

- Jesteś niemożliwy, Nick! Dobrze, zadzwonię do Toma, wychodząc ze studia.

- Lepiej spróbuj zaraz - zasugerował Nick. - Muszę już kończyć, skarbie. Przez cały dzień mieliśmy tu same problemy, nie starczyło mi nawet czasu na lunch.

- Biedactwo - uzalała się nad nim Meredith.

Gdy skończyli rozmowę, odczekała chwilę i wykręciła numer Toma Ryana. Długo nikt nie podnosił słuchawki. W końcu jednak Tom odebrał telefon.

- Tom, tu Meredith Courtney.

- Cześć, Meredith - odparł dziwnym głosem. - Obawiam się, że trafiłaś na niezbyt odpowiedni moment. Właśnie wychodziłem i...

- Zatrzymam cię tylko na minutkę. Nick i ja urządzamy dzisiaj sobie taką małą uroczystość. Jego *Refleksje* uzyskały nominację Akademii Filmowej, a ja dostałam

zielone światło dla materiału, który z tobą przygotowuję. Bylibyśmy zaszczytni, gdybyś do nas dołączył.

- Przykro mi, ale nie mogę. - W jego głosie wyraźnie słychać było jakieś podejrzanе napięcie. - Wyjeżdżam z miasta na kilka dni.

- Naprawdę szkoda. A może...

- Posłuchaj, Meredith - przerwał jej Ryan. - Przekręcę do ciebie po powrocie, dobrze? Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziemy mieli przed sobą długą rozmowę. I powiem ci wszystko, absolutnie wszystko.

- Nie ma sprawy, Tom - powiedziała, wstrzymując oddech. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Czy mówił poważnie? Rzeczywiście miał zamiar opowiedzieć, co stało się z Elizabeth? Czy może ją zwodził?

- Nie będę cię zatrzymywać. Do zobaczenia.

- Tak, do zobaczenia. Zadzwońę po powrocie. Rozłączył się.

Meredith przysiadła na biurku i w zamyśleniu przycisnęła słuchawkę do ust. Dokąd się wybierał? I dlaczego przyszłość ich współpracy zależała od tej podróży?

Z kim miał się zobaczyć?

O czym myślisz, ślicznotko? - powiedział żartobliwym tonem Nick.

Uśmiechał się, a jego oczy pełne były wesołych ogników. - Siedzisz tak od dobrych kilku minut, z widelcem w dłoni i nieobecna duchem, i jeszcze nie tknęłaś kolacji.

Meredith odpowiedziała uśmiechem. W blasku świec jej twarz, opadające luźno na ramiona włosy, nawet czerwony jedwab sukni nabierały ciepłego złotego odcienia.

- Wspominałam nasze ostatnie spotkanie tutaj - powiedziała, przyglądając się zatłoczonej sali restauracyjnej. - Pamiętasz?

Jęknął, robiąc udręczoną minę, i gdyby nie powstrzymywały go resztki przyzwoitości, załamałby ręce i zawołał o pomstę do nieba.

- Ja miałbym zapomnieć?! Boże, jak ja próbowałem

wtedy zrobić na tobie wrażenie! Stawałem na głowie, żeby tego dokonać!
- A ja równie mocno starałam się stawić opór. - Zaśmiała się. Westchnęła i patrząc w swój talerz, powiedziała: - Wiesz, to chyba jakiś cud, że się spotkaliśmy.

Sięgnął po jej dłoń i zamknął ją w swojej. - Nie wiem, jak to się stało, ale cieszę się.

- Ja też - powiedziała miękko, patrząc mu w oczy.

- Wiem, że chciałaś, żeby Tom był tu razem z nami, ale cieszę się, że tak się nie stało, nie ukrywam tego. Naprawdę to chciałem być tylko z tobą. Sięgnęła po kieliszek.

- Co z toastem? Przecież przyszliśmy tu, by uczcić nasze bezdyskusyjne sukcesy. Mam rację?

- Absolutnie - poparł ją Nick, puszczając jej dłoń i chwytając za swój kieliszek. Uniósł go i rzekł z emfazą: - Za nas, za twój niezwykły materiał i moją nominację do Oscara. Oby dobra passa trwała wiecznie!

Zadźwięczało szkło. Zanurzyli usta w cierpkim winie. Odstawiając kieliszek, Meredith powiedziała:

- Wiesz, dużo się tutaj zmieniło, restauracja jest niemal nie do poznania. Nick podrapał się w brodę w zamyśleniu.

- Owszem, rozwijają się. Zorganizowali parkiet taneczny, ale nie jestem z tego zadowolony. Trudno nawet wstać od stolika.

- Nie lubisz tańczyć? - zapytała Meredith. Nagle zdała sobie sprawę, że nigdy z sobą nie tańczyli.

- Nie byłabyś zachwycona mną jako partnerem, kochanie. - Wykrzywił twarz w bolesnym grymasie. - Jestem ogólnie znany jako mistrz tańca, pseudonim „Dwie Lewe Nogi”.

- Nie doceniasz się - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Czasem zastanawiam się, czy nie robisz tego celowo, żeby usłyszeć mój protest.

- Nieee - odparł - to wykluczone! Ale nie powiem, że nie jest mi przyjemnie, kiedy powtarzasz, jaki jestem cudowny.

Roześmiała się.

- W takim razie nie jestem ci potrzebna. Wystarczy, że będziesz regularnie czytał „Variety”.

- Kiedy słyszę to z twoich ust, czuję się podwójnie dowartościowany. Zjawili się muzycy. Zajęli miejsce przeznaczone dla orkiestry i zaczęli grać. Meredith spojrzała na Nicka.

- Cóż, czy mogę liczyć na jakiś taniec, czy też mam go sobie wybić z głowy?

- Lubisz niebezpieczeństwo, ale jeśli chcesz podjąć ryzyko... Zebrał siły i odważnie wstał od stolika, wyciągając do niej dłoń. - Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, księżniczko.

Meredith ochoczo poderwała się z krzesła. Przeszli na parkiet i Nick wziął ją w ramiona. Przywarła do niego całym ciałem, gdy zaczęli poruszać się w takt muzyki. Uśmiechnęła się triumfująco.

- Ach, rzeczywiście! „Dwie Lewe Nogi”!

- To dopiero początek - rzekł z uśmiechem.

Meredith rozluźniła się, poczuła, jak napięcie towarzyszące ostatnim dniom gdzieś odpływa. Kiedy to ostatnio wychodzili gdzieś razem, tylko we dwoje? Jak dawno temu cieszyli się takim wieczorem, bez gonitwy, pośpiechu, zdenerwowania?

- Powinniśmy to robić częściej - wyszeptała.

- Tańczyć?

- Cokolwiek, tylko razem, we dwoje.

- Brzmi rozkosznie. - Nick spojrzał jej w oczy i przeszedł go dreszcz na widok odbijającej się w nich miłości. Prowadził ją po zatłoczonym parkiecie. Ich ciała napierały na siebie w wolnym, zmysłowym tańcu i czuł wzbierające pożądanie, które lada chwila mogło wyrwać się spod kontroli. Meredith czuła je także, a jej zmysły ogarnęła gorąca fala wrażeń. Byli niczym niebezpieczna, grożąca w każdej chwili wybuchem mieszanka. Nick okazał się mniej wytrzymały. Schylił głowę i całując Meredith za uchem, wyszeptał niecierpliwym głosem.

- Wyjdźmy stąd. Wracajmy do domu. Uśmiechnęła się.
- Koniec imprezy?
- Nie, nie, to dopiero początek...

Czekając na Chucka Willarda, Meredith zastanawiała się, ile to już razy była w jego biurze i nawet nie przyjrzała się szczegółom wystroju. Uprawiedliwiał ją fakt, że zawsze wpadała tutaj jak po ogień, lecz dziś tak nie było. Skorzystała więc z okazji. Podziwiała starannie dobrane elementy wyposażenia, od wyszukanych nowoczesnych stoliczków z chromu i szkła do prostego, biurka ze stosem papierów, barku na kółkach, zwykłych, obitych szarą skórą foteli i uspokajającej zieleni palm, stojących przy gigantycznych oknach. Jeśli zasłony nie były opuszczone, Chuck mógł obserwować krzątanicę w pokoju redakcji. Nic nie ukryło się przed jego czujnym wzrokiem. Meredith skrzywiła się na tę myśl i spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Gdzież on jest? Spóźnianie się nie leży w jego naturze. Kiedy zadzwonił wczoraj wieczorem i powiedział, że z samego rana ma stawić się u niego w biurze, odniosła wrażenie, że sprawa jest niezwykle poważna.

Obciągnęła spódnicę na kolanach. Miała na sobie jeden ze swych ulubionych żakietów, podobny w kroju do modelu Diora z lat czterdziestych - zwężony w biodrach, z niewielkimi poduszkami na ramionach i wszywkami czarnego aksamitu w klapach. W jedną z nich wpięła nieduży brylant, który dostała od Nicka.

Gdy tak delectowała się swoją kreacją, z impetem rozjuszonego byka wpadł do gabinetu Chuck Willard. Ścisnął jakąś teczkę i bardzo możliwe, że to jej zawartość była źródłem frustracji, malującej się na jego zaczerwienionej twarzy.

- Przepraszam za spóźnienie - mruknął, zamykając za sobą drzwi. - To iście piekielny poranek. Oby takich jak najwięcej! Długo czekałaś?
- Chwilkę - odparła.

Willard zerwał z siebie płaszcz i powiesił go na stojącym w rogu wieszaku. Usiadł za biurkiem i natychmiast nacisnął guzik interkomu.

- Sally, nie odbieram teraz żadnych telefonów, aż do odwołania. - Zwrócił się do Meredith: - Wezwałem cię, żeby zadać jedno zasadnicze pytanie: czy jesteś zainteresowana tymczasowym objęciem stanowiska prezentera wieczornych wiadomości, dopóki Dana przebywa w szpitalu?

Dana Wells poszła do szpitala na biopsję piersi już w zeszłym tygodniu, a teraz wracała do siebie po podwójnej mastektomii. Dotychczas podczas jej nieobecności obowiązki prezentera pełnił Roy McAllister, weteran z Seattle, stary wyjadacz, który niedawno dołączył do zespołu KXLA.

Dlaczego Chuck chciał z niego zrezygnować?

- Dzwoniła Dana. Ciągle jeszcze jest w szpitalu, ale podjęła decyzję, że im szybciej mnie powiadomi, tym lepiej. Rezygnuje. Omówili to z mężem. Ma raka, okropna historia. Wspólnie postanowili, że Dana nie wróci już do nas po wyjściu ze szpitala. Czy jesteś zainteresowana zajęciem jej miejsca? Nie tylko tymczasowo, ale na stałe?

- Oczywiście, że tak - powiedziała ostrożnie Meredith. - Ale co z Royem? Myślałam, że radzi sobie znakomicie.

- Pewnie, ja też tak uważam. Niestety, widzowie są innego zdania. Nie spodobał im się, woleliby kobietę. A ty jesteś, jak myślę, najlepszą, jaką mamy do dyspozycji.

Meredith milczała. Wszystko to działo się za szybko.

- Kiedy mam zacząć?

- Dzisiaj. Natychmiast.

Lozanna, Szwajcaria

Z zewnątrz budynku Clinique de Lausanne, najlepszego instytutu psychiatrycznego w Europie, wcale nie wyglądały jak szpital.

Przypominały bardziej luksusowy

hotel, ogrodzony ze wszystkich stron wysokim murem, w którym jedyną wyrwę stanowiły otwierane do wewnątrz masywne żelazne wrota. Za nimi znajdowała się trójpasmowa droga dojazdowa, prowadząca do głównego budynku - ogromnego siedemnastowiecznego pałacu.

Wszystkie pokoje, gustownie urządzone, zapewniały pacjentom idealne odosobnienie. W założeniu klinika była niemal odcięta od świata. Z jej usług korzystali wielcy tego świata. Personel medyczny składał się z czołowych psychiatrów i psychoanalityków. Poza tym klinika oferowała klientom wszystko, co można było kupić za pieniądze.

Każdy pracownik Clinique de Lausanne - od lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy po personel techniczny - chlubił się przestrzeganiem reguły poufności. Reporterzy często próbowali wyciągnąć od nich jakieś informacje, lecz zawsze byli odprawiani z kwitkiem, niezależnie od wysokości proponowanej łapówki.

- Chciałbym panu powiedzieć, że jest jeszcze nadzieja, ale w tych okolicznościach byłoby to okrucieństwem z mojej strony - powiedział doktor Henri Goudron. - Widzi pan, w przypadkach takich jak ten uraz jest silniejszy od wszystkiego, co może znieść umysł chorego. A jeśli nie można sobie z nim poradzić, trzeba się poddać, wycofać, odciąć od źródła bądź źródeł. Jest to pewien rodzaj mechanizmu obronnego.

- Więc mówi pan, że nie ma żadnej nadziei? Ani teraz, ani w przyszłości?

- Ryan chciał usłyszeć jasną odpowiedź.

- Nie mówię nic nowego, powtarzam panu to już od dawna - odparł Goudron. - Dwadzieścia sześć lat to szmat czasu, a im dłużej odcina się od rzeczywistości... - Wzruszył bezradnie ramionami.

Tom Ryan zapalił papierosa.

- Z pańskiej wypowiedzi wynika, że ona nigdy z tego nie wyjdzie, czy tak?

- Och! Zawsze istnieje jakaś, choćby minimalna, szansa - rzekł szybko doktor - lecz w przypadku pana

żony jest ona naprawdę bardzo niska. Nie oszukujmy się, jest niemal zerowa. Ona oddaliła się od nas tak bardzo. Przykro mi, ale nie jestem optymistą. Nie mogę.

- Rozumiem - powiedział Ryan z rezygnacją.

- Jak już wspomniałem, wydaje mi się, że dalsze comiesięczne wizyty są tylko stratą czasu i pieniędzy. Ona pana nie rozpoznaje. Nawet nie wie, że pan tu jest.

- Ale ja wiem, że tu jestem.

Goudron zaczerpnął powietrza i westchnął.

- Taak... Jeśli to panu pomaga... cóż, niech pan robi, jak nakazuje panu sumienie, ale proszę pamiętać, że dla żony jest to bez znaczenia.

- Czy mogę teraz ją zobaczyć?

- Oczywiście.

Obydwaj podnieśli się z foteli. W milczeniu przeszli wymarłymi korytarzami kliniki i wspięli się schodami na drugie piętro. Lekarz otworzył drzwi, wpuścił Toma Ryana, a sam został na korytarzu.

To był niesamowity widok: siedziała w aksamitnym fotelu ustawionym przy oknie. Jej piękna twarz skąpana była w złotym blasku. Zdawało się, że wcale się nie zmieniła, odkąd znalazła się w klinice. Nadal była piękna. Czas obszedł się z nią nad wyraz łagodnie. Jej ciemne włosy nadal lśniły tym samym magicznym blaskiem. Czas musiał zatrzymać się w tym pokoju, zatrzymać się dawno temu. Tom uklęknął przy niej i wziął ją za rękę. Jak zawsze patrzyła przed siebie martwym wzrokiem. Westchnął głęboko i rzekł:

- Witaj, Liz.

Lot z Lozanny do Nowego Jorku trwał trzynaście godzin. W połowie drogi, nad Atlantykiem, mieli kłopoty z pogodą, ale pilot, wyłączając automatycznego pilota i przejmując stery, ogłosił, że nie ma powodu do niepokoju. Toma Ryana i tak to nie obchodziło. Nic bardziej by go nie uszczęśliwiło, jak katastrofa samolotu - upadek w odmęty oceanu albo jakaś spektakularna eksplozja w powietrzu, która zakończyłaby jego bezsensowne

życie. I tak byłem martwy przez ponad ćwierć wieku -pomyślał. - Jedyne, co odróżnia mnie od nieboszczyka, to fakt, że jeszcze mnie nie pochowano.

Bez słowa odprawił stewardesę, która zaproponowała mu poduszkę do spania. Nie był zmęczony, nie był też głodny ani spragniony. Chciał tylko, by zostawiono go w spokoju sam na sam z własnymi myślami, z bolesnymi wspomnieniami, które zawsze po wizycie u Elizabeth atakowały go ze zdwojoną siłą. Wspomnieniami tamtej nocy, kiedy los odebrał im dziecko. Wspomnieniami nocy, podczas której powiedział Liz, że nie ma już nadziei na ocalenie Davida. Z rozdzierającym, histerycznym krzykiem Liz, po którym była już tylko śmiertelna cisza, trwająca wiecznie. Otarł łzy z oczu. Boże, tak już miało być do końca jej życia! Goudron wyraźnie to powiedział. Powracały echem słowa lekarza: „nikła nadzieja... niemal zerowa... nie mogę być optymistą... dwadzieścia sześć lat to szmat czasu...” Tom zamknął oczy. Czuł, jak pogłębia się w nim rozdarcie; chciał podzielić się z kimś, z kimkolwiek, swoją cichą agonią, lecz jednocześnie pragnął ochronić Elizabeth przed światem. Nieraz miał zamiar skończyć ze swoim beznadziejnym życiem, jednak zawsze stawało na tym, że dopóki Liz żyje, nie może tego zrobić. Gdyby jego zabrakło, kto zadbałby o nią? Kto przypilnowałby, żeby dobrze się nią opiekowano? Pomyślał o Meredith Courtney i o rozmowie, którą odbyli w dzień jego odlotu do Lozanny. Obiecał, że opowie jej wszystko, i miał zamiar dotrzymać tej obietnicy. Lubił tę dziennikarkę, ale nie to było decydujące. Miał do niej zaufanie i wierzył, że nie wykorzystałaby choroby Elizabeth jak inni.

Doskonale pamiętał ranek, kiedy zostawiał Elizabeth w klinice, piękny letni poranek we wrześniu 1953 roku, wymuszone pożegnanie... Powrót do Stanów bez niej był tak samo trudny jak ta chwila, gdy mówił jej, że ich syn nie żyje. Bez końca powtarzał sobie, że nie miał wyboru i tylko w taki sposób mógł ją uchronić od gwałtownych ataków dziennikarzy.

Dlatego też wybrał klinikę

w Szwajcarii. Gdyby umieścił ją w jakimś szpitalu w Stanach, prędzej czy później odkryto by tajemnicę, i nieszczęście Elizabeth stałoby się publicznym widowiskiem. W Clinique de Lausanne była bezpieczna. Nikt nie mógł jej tam niepokoić. Tak wiele przeszła. Skoro nie był już w stanie nic zrobić, co miałoby dla niej znaczenie, mógł przynajmniej zapewnić jej wygodę i dobrą opiekę, dopóki będzie żyła. Po wylądowaniu na lotnisku Kennedy'ego okazało się, że do odlotu samolotu do Los Angeles została jeszcze cała godzina. Postanowił wykorzystać ten czas, jak potrafił najlepiej. W dworcowym barze zamówił martini. Gdy wywoływano jego lot, zdążył już wlać w siebie cztery drinki i miał właśnie zamówić następny. Upijał się z rozmysłem. Wciąż jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, czy opowiedzieć o wszystkim Meredith.

Los Angeles

Meredith wstrzymywała oddech za każdym razem, gdy brała ostry zakręt na zdradliwej autostradzie biegnącej wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Nienawidziła tej drogi, ale ponieważ nikt dotąd nie wymyślił lepszego sposobu na dostanie się do Malibu, była niestety zdana na te karkołomne zawijasy. Sięgnęła do gałki radia i szukała jakiejś muzyki. Delikatne kojące dźwięki i zapach falującego w dole oceanu działały relaksująco, były miłą odmianą po zgiełku, w jakim żyła w ostatnich dniach. Poprawiła na nosie okulary przeciwsłoneczne - słońce dodatkowo utrudniało jazdę. Zdecydowała, że po przyjeździe przyrządzi sobie kolację, wykąpie się i wcześniej położy spać. Nie miała żadnej pilnej pracy, a Nick do piątku kręcił zdjęcia w Carmel. To zabawne, jak wszystko się zmienia - pomyślała, zjeżdżając z autostrady. Gdyby ktoś rok temu powiedział, że tak potoczy się jej życie osobiste, roześmiałaby

mu się w twarz. Miała przecież kiedyś mocną zasadę: nigdy nie uzależniać się od nikogo finansowo i emocjonalnie. Pilnowała się, żeby zasady tej nigdy nie złamać. Do chwili gdy spotkała Nicka. Nick zmienił wszystko, całe jej życie. Pod jego wpływem zmieniały się jej plany na przyszłość, zarówno te związane z pracą, jak i te dotyczące życia prywatnego. Zakochała się w nim i nagle spostrzegła, że kariera dziennikarki zaczyna znaczyć dla niej coraz mniej, przestała ją satysfakcjonować. Pragnęła Nicka, pragnęła spokojnego wspólnego życia. Kiedy zatrzymała samochód przed domem, zauważyła nadciągające ze wschodu chmury; nie wróżyły nic dobrego. Przypomniała sobie prognozę pogody. Zapowiadali deszcze i wyglądało na to, że przynajmniej tym razem się nie pomylili. Weszła do domu i skierowała się schodami w dół do owalnego saloniku, znajdującego się nieco poniżej poziomu gruntu. Położyła teczkę na błękitnym nakryciu kanapy i zdjęła płaszcz. Wolno podeszła do wychodzących na ocean olbrzymich okien. Od kiedy przyłożyła rękę do wystroju tego pokoju, nie wyglądał już jak męska jaskinia. Zachował jednak charakter prostego surowego schronienia: dębowe boazerie, belkowany sufit, kamienny kominek...

Odruchowo sprawdziła automatyczną sekretarkę. Nick, gdy tylko wyjeżdżał z miasta, miał zwyczaj telefonować do niej co najmniej raz dziennie i zostawiać wiadomość. Wcisnęła klawisz odtwarzacza. Nick okazał się niezawodny. Uśmiechnęła się, słuchając jego głosu. Wszystko bez zmian, wróci w piątek, kocha ją, tęskni i nie może się doczekać, kiedy znowu będzie w domu. W konkursie na oryginalność zająłby na pewno zasłużone ostatnie miejsce.

Następny telefon był od Kay. Wiedziała, że Meredith jest w tym tygodniu słomianą wdową, i chciała ją wyciągnąć na kolację. Dlaczego nie powiedziała tego w pracy? Meredith pokiwała głową. Kay miewała dziewięć pomysłów na sekundę; zawsze coś jej wpadało do

głowy w ostatniej chwili. Cóż, trzeba będzie do niej zadzwonić i delikatnie odmówić.

Rozległ się kolejny znajomy głos, tym razem Toma Ryana:

- Meredith, dzwonię, by zawiadomić cię, że jestem już z powrotem.

Jeszcze raz wszystko przemyślałem i postanowiłem ci zaufać. Nie dzwoń do mnie, nie będzie mnie przez całe popołudnie. Przyjadę do ciebie około ósmej.

Serce Meredith gwałtownie zabiło. Słowa Ryana mogły znaczyć tylko jedno: wygrała! W końcu wygrała! Powie jej wszystko! Nic ją więcej nie obchodziło. Wyłączyła aparat.

Spojrzała na zegarek: szósta trzydzieści. Miała jeszcze dość czasu na prysznic i przebranie się. Może Tom zostanie na kolacji, przydałoby się więc coś przygotować. Zatelefonowała do Kay, a potem poszła do kuchni, by powiedzieć Pilar o kolacji. Uświadomiła sobie, że w ogóle nie jest zmęczona. Nie mogła już doczekać się swego wywiadu. Oto miała dziś rozwikłać zagadkę, która męczyła ludzi przez ponad ćwierć wieku!

Otwierały się drzwi do wielkiej kariery.

W małej tawernie w Santa Monica siedział samotnie przy bufecie Tom Ryan. Popijał szkocką. Nie wiedział, jak długo już tutaj siedzi. Jakie to miało znaczenie? Pociągnął łyk i wykrzywił twarz. Boże, cóż za ohyda! Zawołał na barmana.

- Daj mi coś świeższego, Smit! Ta lura smakuje jak benzyna!

- Nie sądzisz, przyjacielu, że masz już dosyć? - zapytał młodzieniec stojący za bufetem. Przyglądał się Ryanowi uważnie.

- Powiem ci, kiedy będę miał dosyć. - Ryan patrzył na niego spode łba. - To jak, dostanę coś do picia?

Smitty skinął głową.

- Oczywiście - rzekł, sięgając po czystą szklaneczkę. Zawsze powtarzała się ta sama historia. Przychodził

dwa albo trzy razy w tygodniu, upijał do nieprzytomności, a potem kazał się odwozić do domu taksówką. Ale tego dnia jego zachowanie było nieco inne niż zwykle. Smitty był ciekaw, co też mogło wpłynąć na jego nastrój. Wolał jednak nie zadawać pytań.

Tom Ryan wykręcił się na stołku i zerknął w kierunku okna. Zastanawiał się, kiedy zaczął padać deszcz.

Gdy rano lądował na lotnisku w Los Angeles, niebo zakrywała niemal jednolita warstwa chmur. Nie cierpiał deszczowych wieczorów.

Przypominały mu ten wieczór, gdy Liz... Zacisnął powieki. Myślał o tym, co właśnie zamierzał zrobić, i miał nadzieję, że jest to słuszne.

- Wygląda na to, że będziemy mieli prawdziwą ulewę - powiedział Smitty, stawiając przed Ryanem szklaneczkę pełną whisky. - Mieszka pan daleko stąd?

- Na wzgórzach - odparł. - Ale dzisiaj i tak wybieram się gdzie indziej. Najpierw obowiązek, ważne sprawy nie mogą czekać. Powinienem był załatwić to już dawno.

- Racja - zgodził się Smitty. Ten wysoki blondyn, którego imienia i nazwiska Smitty nie znał, zawsze powtarzał coś o żonie i dziecku, których stracił. Nigdy nie brzmiało to zbyt sensownie, ale Smitty wyobrażał sobie, że żona po prostu od niego odeszła i zabrała ze sobą dziecko.

- Mam zadzwonić po taksówkę?

- Nie, dzisiaj nie - odrzekł Ryan.

- To żaden kłopot...

- Jak już mówiłem, mam do załatwienia pewną sprawę. - Podniósł szklanekę do ust i opróżnił ją jednym haustem. - I muszę to zrobić sam.

Barman wzruszył ramionami i wrócił do swoich zajęć. Jednakowo traktował przejezdnych klientów i stałych bywalców.

Ryan spojrział na zegarek. Była za piętnaście siódma. Musiał już ruszać, jeśli chciał się dostać do Malibu przed ósmą. Pomyślał, że mógłby zadzwonić do Meredith i sprawdzić, czy jest w domu, ale się rozmyślił.

Musiał jechać tam od razu, zanim opuszczą go siły. Wyjął z portfela dwie dwudziestodolarówki i rzucił je na ladę.

- Zatrzymaj resztę, bracie - powiedział, wstając na miękkich nogach i ruszając do drzwi.

- Ależ to czterdzieści dolców! - wykrzyknął Smitty, nie wierząc własnym oczom.

- Zatrzymaj je. - Ryan machnął ręką, próbując się uśmiechnąć. - Czasem, Smit... Czasem mam wrażenie, że jesteś moim jedynym przyjacielem.

Smitty nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Zobaczymy się w przyszłym tygodniu... Chyba że święty Piotr skończy budować dla nas arkę - powiedział Ryan, otwierając drzwi. - Cholera! Ale leje!

- Może jednak wezwać taksówkę? - spróbował jeszcze raz Smitty.

- Nie dzisiaj.

- W porządku. Dzięki za napiwek.

- Zasłużyłeś, Smit.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za Ryanem, barman wyszedł zza lady i podszedł do okna. Widział, jak Tom Ryan wsiada do Rolls-Royce'a, i kolejny raz zadał sobie pytanie, dlaczego taki gość spędza czas, upijając się do nieprzytomności. Nie wiedział, kim jest ten dziwny mężczyzna, choć przypuszczał, że musi być bardzo bogaty. Szastał pieniędzmi na lewo i prawo, no i miał taką fortunę na kołach.

Ryan wtoczył się do wozu, znalazł kluczyki od stacyjki i uruchomił silnik. Przez chwilę słuchał jego cichego buczenia, a potem popatrzył na dużą kopertę leżącą na drugim siedzeniu, zawierającą wycinki z gazet, które dostał od Meredith. Miał zamiar zwrócić je tego wieczoru. Nie mógł już na nie patrzeć. Czuł obrzydzenie na myśl, jak podle próbowano zarobić na jego bólu. Obiecał to sobie, że wreszcie położy kres plotkom i spekulacjom. Raz na zawsze skończą się wszystkie oszczerstwa.

Jadąc autostradą wzdłuż Pacyfiku, pełną zdradliwych zakrętów, pochłonięty ponurymi myślami, nie za-

uważył nadjeżdżając z przeciwka ogromnej ciężarówki. Wypadła zza zakrętu, oślepiając go światłem reflektorów. Stało się to tak nagle, że Ryan puścił kierownicę i uniósł dłonie do oczu. Samochód uderzył w barierki na poboczu autostrady i poszybował krótkim lotem w dół, do oceanu.

Meredith stała przy oknie i obserwowała tłukące o szybę krople deszczu. Zastanawiała się, co mogło się przydarzyć Ryanowi. Wyraźnie powiedział, że będzie o ósmej, a było już wpół do jedenastej. Gdzie on się podziewa? A może się rozmyślił?

Musiała coś zrobić. Zatelefonowała do Ryana. Odebrała służąca.

- Mówi Meredith Courtney. Zastałam pana Ryana?

- Nie - odparła nosowym głosem służąca. - Pan Ryan wyszedł wczesnym popołudniem i od tamtego czasu jeszcze się nie pokazał. Wspomniał mi jednak, że wybiera się do pani.

- Powinien już tu być od ponad dwóch godzin. Miał coś do załatwienia oprócz wizyty u mnie?

- Nie, o ile wiem, nie. Może pojechał do... - Kobieta zawiesiła głos.

- Dokąd? - zapytała Meredith. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. - Co pani chciała powiedzieć? Dokąd mógł pojechać?

- Nie, nie - odparła nerwowo służąca. - To nie moja sprawa. Pan Ryan dostałby szału, gdybym pisnęła choć słówko.

- Może coś mu się stało - przypomniała jej Meredith. - To może być ważne.

- Nie. - Kobieta była uparta. - Może jeśli nie wróci do domu, jeśli nie da znaku życia, może wtedy... Ale teraz nie mogę. Naprawdę nie mogę. Meredith westchnęła głęboko.

- W porządku, rozumiem. Jeśli pojawi się pan Ryan, proszę mu przekazać, żeby do mnie zatelefonował. Nieistotne, która będzie godzina.

- Si, przekażę mu.

Meredith odłożyła powoli słuchawkę. Nie trzeba było być zwycięzcą teleturnieju „Zgadnij, co mam na myśli”, by zrozumieć, co służąca chciała powiedzieć, a raczej czego nie chciała zdradzić. Ryan pewnie siedział w jakimś barze i się upijał.

Wróciła do okna. Była na niego zła. Mógł przynajmniej dać znać, że zmienił zdanie. Czasami bywał taki denerwujący. Gdyby nie zależało jej tak bardzo na tym wywiadzie, gdyby nie przykładła takiej wagi do całej tej historii, już dawno powiedziała by, co o nim myśli. O nim i tych gierkach, które z nią prowadzi. Raz chce powiedzieć wszystko, na czym tylko jej zależy, a zaraz potem omija ją, jakby była wtyczką z urzędu skarbowego. Dlaczego?

Z rozmyślań wyrwał ją telefon. Zaniepokojona podniosła słuchawkę i rzuciła szybko:

- Halo?

- Meredith? - To Kay. - Nie byłam pewna, czy zastanę cię w domu.

- A gdzież, u licha, mogłabym być? - powiedziała z irytacją. - Przecież ci mówiłam, że spodziewam się Toma Ryana...

- A więc nic nie wiesz!

- Czego znowu nie wiem, na miłość boską!?

- Mówili o tym w radiu i telewizji...

- Nie oglądam telewizji - powiedziała Meredith. Usiadła na krześle. - Co się stało?

- Tom Ryan... Miał wypadek na drodze numer jeden. Chyba jechał do ciebie. Jezdnia była śliska od deszczu, a jakaś ciężarówka ścięła zakręt i zepchnęła go z drogi. Rozbił barierkę i... On nie żyje, Meredith.

Meredith opuściła dłoń ze słuchawką na kolana i patrzyła na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Tom Ryan nie żyje? Nie mogła w to uwierzyć.

- Meredith? - Kay zaniepokoiło milczenie koleżanki. - Dobrze się czujesz?

Zmobilizowała się i uniosła rękę. Odzyskała też głos.

- W porządku. Zadzwońię do ciebie rano.

Odłożyła słuchawkę i nie bardzo wiedząc, co robi, wróciła do okna. Ciemność i zacinający o szyby deszcz, nic ponadto. Nagle poczuła wypełzający z każdego zakamarka ciała chłód, przyprawiające o dreszcze zimno. To tylko zły sen - tłumaczyła sobie. - Jakiś przerażający nocny koszmar. Za chwilę Tom zapuka do drzwi i wszystko opowie tak jak obiecywał.

Z trudem powstrzymywała łzy. Lubiła Toma Ryana, naprawdę go lubiła. Inni uważali go za zimnego egocentrycznego odludka, lecz ona miała wystarczająco dużo czasu, by dojrzeć w nim głęboko udęczonego człowieka, dźwigającego na swych barkach straszliwe brzemię. - Dlaczego? - wyszeptała do zalanej deszczem szyby -Dlaczego?

W dzień pogrzebu Toma Ryana deszcz padał od świtu. Pod szarym posepnym niebem zebrała się spora grupa żałobników, by towarzyszyć koledze w ostatniej drodze w Forest Lawn. Przybyli najbardziej znani producenci i reżyserzy, właściciele wytwórni, gwiazdy i czołowi dziennikarze - sama śmietanka towarzyska Hollywoodu. Wielu z nich znało Ryana od czasu, gdy stawiał pierwsze kroki w filmie. Znali też Elizabeth -uświadomiła sobie nagle Meredith. Stała obok Nicka, ubrana w prostą czarną sukienkę, na głowie miała kapelusz. Uderzyło ją, że Ryan wybrał na swój pochówek tak osobliwe miejsce; osobliwe, ponieważ David był pochowany gdzie indziej. Gdzie - nie wiedziała. Zastanawiała się, co go do tego skłoniło.

Dosyć! - zbesztła się w myślach. - Przestań grzebać się w tych zatartych przez czas śladach! To bez sensu, teraz, gdy Tom nie żyje. Umierając pogrzebał jej nadzieję. Meredith nie mogła oderwać myśli od ich ostatniej rozmowy. Zawodowa ciekawość stawiała wciąż nowe pytania. Jedno nieodmiennie powracało: dokąd wyjechał w takim pośpiechu tuż przed śmiercią? I dlaczego było to tak istotne do podjęcia ostatecznej decyzji? Spojrzała na Nicka. W jego oczach dostrzegła ból. Ryan był mu bliski, lecz nie spodziewała się, że aż tak głęboko odczuje śmierć przyjaciela. Zawahała się i nagle ścisnęła go za rękę. Zerknął na nią, uśmiechając się smutno.

Raport policji wyraźnie wspominał o wysokim poziomie alkoholu we krwi Ryana. Dla Meredith nie było to zaskoczeniem. Chociaż Nick, który musiał go znać dużo lepiej niż ktokolwiek inny, konsekwentnie unikał tego tematu w rozmowach, Meredith od dawna podejrzewała Ryana o bliższą zażyłość z butelką. Kierowca ciężarówki zeznał, że wydawało mu się, iż Ryan stracił kontrolę nad samochodem i cudem tylko nie doszło do czołowego zderzenia. Meredith pomyślała z goryczą, że ten człowiek, zanim stracił kontrolę nad autem, dawno stracił kontrolę nad swym życiem. Wszyscy zgodnie omijali określenie „pijany”, choć nikt nie miał co do tego wątpliwości. Ryan zdawał sobie prawdopodobnie sprawę, że to, co zamierzał zrobić, wymagało odwagi, której mu brakowało. Miał ją zastąpić alkohol... A może pił, by zdusić ból...

Ceremonia dobiegała końca i tłum zaczynał się rozchodzić. Meredith stała, czekając w milczeniu na Nicka, zajętego rozmową z dwoma kolegami. Jeszcze raz popatrzyła na trumnę. Już wkrótce Tom Ryan zostanie pogrzebany, a wraz z nim chroniona przez niego tajemnica. Po długich dwudziestu sześciu latach jego cierpienie ostatecznie dobiegło kresu. Mam nadzieję, że nareszcie znalazłeś spokój i ukojenie - pomyślała ze smutkiem Meredith.

Nick podał jej ramię i bez słowa poszli do samochodu. Meredith, wiedząc co czuje, zdecydowała się nie zaczynać rozmowy. Kiedy otworzył drzwi po stronie pasażera, podniosła głowę i spojrzała na ciemne kłęby chmur. Deszcz przestawał padać. Jakby skończył się wraz z ceremonią, której atmosferę uzupełniał.

Cieszę się, że ten dzień dobiegł końca. - Wchodząc do sypialni, Nick zdjął koszulę i rzucił ją na oparcie krzesła. Podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając do wnętrza chłodne wieczorne powietrze. - Wiesz, ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Meredith, ubrana w przezroczysty szlafrok ze szmaragdowozielonego jedwabiu, siedziała po turecku na

środku łóżka i szczotkowała swoje blond włosy. Nie wiedziała, jak pomóc Nickowi.

- Też nie mogę w to uwierzyć. - Odłożyła szczotkę. - Słuchaj, Nick, a może powinniśmy wziąć kilka dni wolnego? Możemy zostać tutaj albo dokądś pojechać. Myślę, że oboje czegoś takiego potrzebujemy.

- Nie wiem. Cały czas wydaje mi się, że jeśli będę pracował, jeśli czymś się zajmę, nie będę tyle myślał o tym wszystkim. - Przysiadł na brzegu łóżka i opadł na nie wyczerpany.

Meredith uklękła przy nim i zaczęła masować mu kark.

- A nie sądzisz, że ja mogłabym zająć twoje myśli czym innym? - zapytała, zdobywając się na lekki ton.

- Jeśli ktokolwiek jest do tego zdolny, to tylko ty - odparł, składając pocałunek na jej policzku.

- Więc jak... Decydujesz się?

- Co masz na myśli?

- Coś uspokajającego - rzekła. - Jak mówiłam, możemy zostać tutaj, chodzić wcześniej spać i późno wstawać, jadać śniadania w łóżku i wychodzić na długie spacerunki po plaży. Tak mało mieliśmy ostatnio dla siebie czasu. Tego nam właśnie trzeba: czasu na rozmowę, na te wszystkie rzeczy, które robiliśmy, kiedy się do ciebie sprowadziłam. Zamyślił się, by po chwili powiedzieć:

- Rzeczywiście, mieliśmy dla siebie diabelnie mało czasu. Jeśli nie byłam akurat w terenie, ty uganiałaś się za jakimś materiałem po całym stanie. Właściwie to tylko się mijaliśmy. Mówiliśmy sobie chociaż „cześć?”

Meredith uśmiechnęła się kącikami ust.

- Wiesz, może i było to nawet ekscytujące, takie przelotne randki, ale gdybym miała wybierać, wolałabym spędzić z tobą trochę więcej czasu.

- Popieram w całej rozciągłości. Musimy pomyśleć o wakacjach, prawdziwych wakacjach. Tylko ty i ja, jak najdalej od Los Angeles. Zawsze chciałaś pojechać do Paryża. Może wybierzemy się tam na kilka tygodni?

- Uważaj! Bo będziesz musiał dotrzymać słowa! - ostrzegła Meredith, gasząc nocną lampkę.

Przytuliła się do jego gorącego ciała. Objął ją w ciemnościach. Meredith desperacko potrzebowała teraz ciepła, bliskości drugiego człowieka. Śmierć Toma Ryana wstrząsnęła nią, choć próbowała tego nie okazywać. Zaczęła rozmyślać o jej związku z Nickiem. Byli tak bardzo pochłonięci robieniem kariery, że nie starczało już czasu na podsycanie przygasającego uczucia. Mówili sobie: „Będzie jeszcze czas...” Ale żadne z nich nie pomyślało, że może nie być żadnego „później”. Nie brali pod uwagę wypadku, ciężkiej choroby czy jakiegoś poważnego nieporozumienia. Przecież wszystko to mogło nagle zniszczyć ich wspólne życie. Nie rozważali możliwości, że pewnego dnia któreś z nich wyjdzie z domu i nigdy nie wróci. Wszystko to nieoczekiwanie stało się bardzo realne.

Meredith poszukała twarzy Nicka, przesunęła opuszkami palców po zmarszczkach na jego czole. Leżał w milczeniu, bez ruchu. Wiedziała, o czym myśli. Dotknęła palcem jego ust i zapytała:

- Chcesz o tym porozmawiać?

- POCO?

- Ulżyłoby ci.

- Wątpię.

Meredith przez chwilę zbierała siły. W końcu powiedziała:

- Nie zbywaj mnie, Nick. Wiem, że byłeś bliżej Toma niż ja, ale mnie także poruszyła jego śmierć. Rozumiem, co czujesz. Chciałabym być przy tobie... jeśli mi pozwolisz.

Nick położył dłoń na jej włosach.

- Przepraszam, kochanie - rzekł, odwracając się do niej. - Nie próbuję cię zbyć. Po prostu nie bardzo wiem, jak wyrazić słowami to, co czuję.

- Nie zastanawiaj się nad tym, po prostu zacznij mówić. Westchnął głęboko.

- Kiedy poznałem Toma, kiedy po raz pierwszy z nim rozmawiałem, powiedział mi, że mam dokładnie tyle lat, ile miałby jego syn, gdyby żył. Wiązał z nim wielkie nadzieje. Wyobrażał sobie, iż pewnego dnia on także będzie się liczył w świecie filmu. Chyba właśnie z tego

powodu byliśmy sobie tak bliscy: ja wypełniałem lukę po jego zmarłym synu, on zajął miejsce mojego ojca.

Głos Nicka brzmiał tuż przy uchu Meredith. Niósł nie tylko słowa, ale zatrważający, niepojęty żal.

- Tęsknisz za nim, prawda? To znaczy, za twoim prawdziwym ojcem? Nigdy o nim nie mówiłeś.

- Tak, chyba nigdy nie przestałem za nim tęsknić -odparł.

- Jaki on był?

- Był na pewno dobrym człowiekiem, ale za bardzo poświęcał się pracy. Nigdy nie było go w domu, prawie nigdy. Ale kiedy się zjawiał na krótko, zawsze, mimo zmęczenia, starał się być dobrym ojcem. Poświęcał mi tyle czasu, ile tylko mógł.

- Te jego wyjazdy... Dręczyło cię to chyba. Nie miałeś go dla siebie...

- Owszem, ale rozumiałem, że tak już musi być. Próbowałem zrozumieć - to jest bliższe prawdy. Dziecko potrzebuje obojga rodziców. Jeśli jednego z nich ciągle nie ma, to tak jakby go w ogóle nie było. Kiedy będziemy mieli dzieci, musimy dużo zmienić w naszym życiu.

Meredith była zaskoczona tym, co usłyszała. Po raz pierwszy wspomniał o usankcjonowaniu ich związku. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc ułożyła głowę na jego ramieniu i przytuliła się mocno.

W tej chwili nie wyobrażała sobie przyszłości bez Nicka.

Kameryzysta i technik czekali już na zewnątrz budynku KXLA przy wozie transmisyjnym nr 9, jednym z piętnastu wykorzystywanych przez stację. Meredith biegła w ich kierunku przez parking, ściskając w dłoni kartę z przydziałem i wskazówkami dla operatora.

- Hej, Meredith, dokąd nas znowu wysyłają? - zapytał technik, gdy wsiedli do samochodu.

- Pożar w starym magazynie pełnym rekwizytów i kostiumów do filmów w północnej części Hollywoodu.

Siedzenie kierowcy zajmował technik, obok niego rozpiął się operator kamery. Dla Meredith pozostało obrotowe krzeselko, wciśnięte między sprzęt ekipy. Oprócz kamer i odtwarzaczy wideo upchano tu baterie do lamp, zestaw mikserski, monitory, całe tabuny akumulatorów oraz mikrofalowy nadajnik, umożliwiający w razie potrzeby nadanie materiału na żywo. W efekcie starczyło Meredith miejsca jedynie na wygodne podkulenie kolan pod brodę.

- Czy naprawdę musiałam dostać ten pożar akurat tego dnia, kiedy włożyłam moją jasną sukienkę?

- Żartownisia z niej - zauważył z uśmiechem kamerzysta. - Meredith, mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że jeździsz jeszcze w teren. Myślałem, że po twoim awansie na prezenterkę ostatnią rzeczą, jakiej mogę się spodziewać, będzie realizowanie z tobą materiału w terenie. Meredith roześmiała się.

- Boże, dopomóż, żebym nigdy nie musiała być skazana tylko na papierkową robotę! - oświadczyła płomiennie. - Nie dam się przywiązać jak pies na łańcuchu do fotela spikera. Nie mogłabym znieść myśli, że wszystko dzieje się poza mną.

Musiała przerwać, by nie spaść z krzeselka. Wymagało to koncentracji i niemałej siły, ponieważ technik zamierzał najwyraźniej sprawdzić, czy wóz, którym jechali, może unosić się nad jezdnią. Pędzili autostradą Santa Monica, klucząc w niespotykane silnym ruchu.

- Hej, Bernie! Bądź tak miły i miej na uwadze, że my tu też jesteśmy! - mruknął kamerzysta z irytacją. - Jeszcze nie czas, by moja żona dostała po mnie odszkodowanie z agencji ubezpieczeniowej. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Chcesz tam dojechać, zanim skończą gasić? A może jak będzie już po wszystkim? - odgryzł się Bernie.

- Słuchajcie, wy dwaj, cisza! - Meredith uchwyciła jakieś na wpół zrozumiałe słowa. Radio CB donosiło, że

konkurencja także wysłała swoich reporterów. Spodziewała się tego wiedząc, że w magazynie znajdowały się bezcenne pamiątki z kilku wielkich filmów Hollywoodu. -Chłopaki! Jeśli mam zrobić ten materiał, to muszę dotrzeć tam w jednym kawałku, i to przed końcem akcji strażackiej. Odłóżcie więc swoje kłótnie na potem, OK?

- Jakie kłótnie? - Bernie roześmiał się. - Meredith, czasem już mamy taki wisielczy humor!

- Tak jest - zawtórował mu operator. - Inaczej trudno byłoby wytrzymać, gdy posyłają człowieka do tak uroczych wypadków, jak chociażby ten na drodze numer jeden.

Meredith, która grzebała właśnie w olbrzymiej torbie, przewieszanej przez ramię, podniosła na niego wzrok.

- Wypadek Toma Ryana? - zapytała z przejęciem.

- Owszem. Pojechaliśmy tam z Julie Morgan, żeby nagrać moment wydobywania z wody jego zwłok. Był twoim przyjacielem, prawda?

- W pewnym sensie. Chciałabym tam być, ale...

- Ciesz się, że nie byłaś! Widok nie należał do najprzyjemniejszych. Praktycznie zdrapywali go żyłkami...

- Jesteśmy na miejscu! - obwieścił Bernie. Meredith spojrzała przez szybę na jasne płomienie

strzelające z dachu budynku. Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Całe niebo przysłaniał gęsty czarny dym. Wzięła do ręki gruby notes oraz pióro i zaczęła lawirować w labiryncie wozów strażackich i gapiów. W myślach układała już tekst: ofiary w ludziach, możliwość zarządzania ewakuacji sąsiednich budynków, ewentualność osobistej odpowiedzialności (ktoś poleci ze stołka). Doświadczenie z tego typu przypadkami pozwalało jej przypuszczać, że zdobycie podstawowych informacji - jak, gdzie i kiedy zaczął się pożar - nie będzie trudne. Można zadać parę pytań urzędnikom Miejskiej Straży Pożarnej, detektywom z Bomb and Arson, naocznym świadkom. Z tym nigdy nie ma problemu.

Technik i operator, ciągnąc za sobą długi kabel, starali się dotrzymać Meredith kroku. Obwieszani sprzętem, kluczyli pomiędzy kałużami i osmolonym gruzem, omijali pękate węże przeciwpożarowe.

Towarzyszili Meredith w jej pochodzie przez pobojuwisko i w rozmowach z oszołomionymi pracownikami magazynu oraz z licznie zgromadzonymi gapiami. Meredith szukała osób, dzięki którym mogłaby pokazać to, czego szukała: ukryty gdzieś w tym wszystkim aspekt ludzki. Takie podejście do tematu stało się jej znakiem firmowym.

Nagle zwróciła uwagę na otwarte na oścież wrota magazynu.

Błyskawicznie zdecydowała, że stanowią znakomite tło. Obraz ziejącej ogniem i dymem paszczy tego pomieszczenia pasował w sam raz jako wstawka na początek dziennika. Był idealny. Od chwili, gdy wyszła z wozu transmisyjnego, myślała już tylko o reportażu. Wszystko inne poszło w niepamięć. Kiedy stała przed kamerami, instynkt zawodowca brał górę nad emocjami. Zaciskając dłoń na mikrofonie i patrząc wprost do kamery, mówiła czystym silnym głosem:

- Milionowe straty przyniósł pożar, który zniszczył trzy dekady historii Hollywoodu i pozbawił pracy dziesięciu ludzi. Tu Meredith Courtney. Za chwilę szczegóły.

Technika i operatora wezwano do innego zadania, a Meredith została odwieziona do siedziby KXLA przez gońca stacji. Popołudnie spędziła z Danem Bellamym, wziętym redaktorem odnagrań wideo, który pomógł jej wybrać z półgodzinnego reportażu i wypolerować trzy-minutowy materiał do dziennika emitowanego o piątej. Meredith lubiła

Bellamy'ego. Był prawdziwym profesjonalistą, praca z nim stanowiła przyjemność. Miała pewność, że gdy ostatecznie obejrzą zmontowany film, będzie zadowolona z rezultatu.

- Nie ma wątpliwości - skomentował Bellamy zapisany na taśmie obraz. - Jesteś stworzona, by występować przed kamerami.

Meredith uśmiechnęła się. Była pochłonięta pojawia-

jącymi się na ekranie monitora kolejnymi ujęciami, szukała błędów, zastanawiała się gorączkowo, co jeszcze można by poprawić. Bellamy doskonale zdawał sobie sprawę, że Meredith zawdzięcza swój błyskawiczny sukces przede wszystkim temu, co Chuck Willard nazywał „ekranową prezencją”. Ileż to razy słyszała od Bella-my'ego, że jest fotogeniczna? To on pierwszy przewidział wrażenie, jakie wywrą jej bladobłękitne oczy i blond włosy, zwłaszcza na męskiej części widzów. Meredith uznała swoją fotogeniczność za uśmiech losu, ale w żadnym wypadku nie chciała opierać swojej kariery na urodzie. Była dziennikarką, a nie modelką, i żądała, by traktowano ją poważnie. Wymagała tego nie tylko od widzów, ale także od współpracowników. Chciała dać się poznać jako nieustępliwa, celnie uderzająca reporterka, a nie jako ładna buzia. Wciąż pamiętała, jak traktowała ją pewna koleżanka z KXLA, kiedy Willard postanowił przyznać jej stanowisko zastępcy głównego prezentera. Wielu pracowników stacji miało od Meredith większe doświadczenie zawodowe, pracowali dłużej i na pewno marzyli o awansie. Toteż za jej plecami rozpuszczali złośliwe plotki, jakoby na decyzji Willarda zaważył wygląd Meredith, a nie jej kwalifikacje. Ignorowała plotki, ignorowała chytre uśmieszki; postanowiła udowodnić wszystkim, że są w błędzie. Zjawił się Chuck Willard.

- Meredith, muszę z tobą porozmawiać. Zajrzyj do mnie, jak tylko skończycie. To ważne!

- Zabierze nam to jakieś dwadzieścia minut. Może być? Willard skinął głową.

- Wiesz, gdzie mnie szukać - rzucił jeszcze i wyszedł.

Meredith zatknęła ołówek za ucho i wróciła do przegładania filmu.

Zastanawiała się, czego Willard może od niej chcieć. Jeśli miał zamiar poinformować ją, że skreślono program z Ryanem, nie musiał się tak trudzić. Wiedziała, że tak będzie, od chwili gdy usłyszała od Kay o śmierci Toma.

Kiedy skończyli opracowywać z Danem trzyminutową kę do dziennika, poszła do biura Chucka Willarda.

Rozmawiał właśnie z kimś przez telefon. Nie musiała długo czekać. Po chwili rzucił słuchawkę na widełki i uśmiechając się uroczo, powiedział:

- Mam dla ciebie dwie nowiny. Którą chcesz najpierw, dobrą czy złą?

- Złą możesz śmiało pominąć, Chuck - odparła zmęczonym głosem. -

Wiem, co chcesz mi oznajmić: że mój materiał o Rynie wyleciał z rozkładu.

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem i skinął głową.

- Owszem, spryciaro, wyleciał. Pozostały nam więc tylko dobre wieści.

Sądzę, że wynagrodzę ci zawód, jakiego doznałaś.

- Doskonale. Nic innego mi teraz nie trzeba - powiedziała. Nie wierzyła w cuda.

- Kilka miesięcy temu otrzymałem memorandum z Nowego Jorku. Grube ryby z sieci telewizyjnej chciały obejrzeć próbki jakiegoś miejscowego talentu. Prawdopodobnie szukają dla kogoś zastępcy. Posłałem im taśmy z kilkoma twoimi wywiadami.

- I...?

- Spodobały im się. Mówiłem ci, Meredith, masz w sobie coś. Wyglądasz na ekranie jak anioł, a do tego ten dobry silny głos. Ale ci z Nowego Jorku zwrócili uwagę na jeszcze jedną twoją zaletę: na rzetelność. Uważają, że nic nie ma takiego wpływu na popularność prezentera jak rzetelność, i właśnie w tej kategorii przyznali ci bardzo wysokie noty.

Uśmiechał się do niej jak ojciec dumny ze swej córki. Doprowadzał ją do szaleństwa tym swoim kluczeniem wokół sedna sprawy.

- Złożyli jakąś konkretną ofertę? - spytała.

- Można to tak nazwać - odparł bez pośpiechu. Pochylił się do przodu i rzekł: - Carla Granelli, ich prezenterka w wieczornej części bloku programowego, wyjeżdża do Europy. Od przyszłego tygodnia będzie tam przeprowadzać wywiady z różnymi znanymi politykami i na czas jej nieobecności potrzebują kogoś w zastępstwie. Chcą ciebie... jeśli jesteś zainteresowana.

- Oczywiście, że jestem zainteresowana! - krzyknęła z entuzjazmem porównywalnym jedynie z erupcją wulkanu.
- Więc przyjmujesz propozycję?
- Wątpiłeś w to choć przez chwilę? - zapytała z niedowierzaniem. - Kiedy mogę lecieć do Nowego Jorku?
- Hmm, chcieli, żebyś zjawiała się w piątek. Do następnego poniedziałku nie wpuszczą cię jeszcze na wizję. Będziesz potrzebowała trochę czasu na przygotowania - to już nie jest lokalny dziennik - i oczywiście na spotkanie z szefostwem sieci.
- Może mogłabym wyjechać natychmiast po zakończeniu czwartkowej emisji? - zasugerowała. - Miałabym wtedy wystarczająco dużo czasu.
- Jeżeli chodzi o mnie, nie mam nic przeciwko temu. Zatelefonuję do nich dziś wieczorem, żeby ich uprzedzić.
- Pozwól, bym sama się tym zajęła - powiedziała.
- Jeśli chcesz... - odparł, wzruszając ramionami. Meredith poderwała się z fotela i błyskawicznie znalazła się przy drzwiach.
- Chyba powinnam czuć się urażona - zażartowała. - Odnoszę wrażenie, że próbujesz się mnie pozbyć! - Uśmiechnęła się i nie dając mu czasu na odpowiedź, wyszła.

Kiedy wracała tego wieczoru do domu, cały świat wydawał jej się niezwykle piękny. Radośnie podniecona Meredith nawet w ulicznych korkach dostrzegła jakiś urok. Tablice z krzykliwymi reklamami oraz słupy telegraficzne wzdłuż całego dziesięciomilowego odcinka autostrady łączącej Los Angeles z Malibu, które uważania przedtem za morderstwo popełniane na krajobrazie, tego dnia nabrały osobliwego piękna. Nucila sobie pod nosem i wyobrażała, jak też będą wyglądały następne trzy tygodnie. O czymś takim marzyła od chwili, gdy zdecydowała się na karierę dziennikarki telewizyjnej. Na początku wydawało się to zbyt odległe, ale ciężka praca, poświęcenie i determinacja ostatecznie zostały

nagrodzone. Choć propozycja była tylko tymczasowa, wiedziała, że to znakomity początek - jeszcze jedno wyzwanie, któremu stawi czoło i wygra.

Nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się nowinami z Nickiem. Miała ochotę na skromną uroczystość przy świecach w jakiejś romantycznej restauracji, ale było to niemożliwe. Nick znowu kręcił w terenie, tym razem w San Francisco. Miał wprawdzie wrócić tego dnia, ale późno w nocy. Postanowiła powiedzieć mu o wszystkim przy śniadaniu. Może Pilar przyrządziłaby coś specjalnego? Mogliby zjeść na werandzie, w słońcu poranka.

Pokonując ostry zakręt, na którym miał miejsce wypadek Toma Ryana, zauważyła robotników ustawiających nowe wzmocnione barierki.

Przemknęła jej przez głowę myśl, czy zainstalowanie ich nieco wcześniej nie ocaliłoby Tomowi życia.

Kiedy zatrzymała się na czerwonym świetle przy zjeździe do Malibu Canyon, jeszcze raz powróciła myślami do Toma. Owszem, była zawiedziona, że nie udało się zrealizować filmu, ale jej kariera nie ucierpiała zbyt wiele z tego powodu. Nowojorska oferta pozwoli pokazać wszystko, na co ją stać. Jeśli dobrze rozegra tę partię, jeśli każdy ruch wykona w odpowiednim czasie i będzie to ruch właściwy, to może być pewna, że tymczasowy kontrakt zamieni w coś stałego.

Da z siebie wszystko, żeby to osiągnąć.

Kiedy obudziła się rankiem, była zaskoczona, że jest w łóżku sama.

Usiadła na posłaniu i odgarniając opadające na twarz włosy zastanawiała się, dlaczego Nick nie wrócił jeszcze z San Francisco. W szafie przez uchylone drzwi zobaczyła jednak jego bagaż, a na oparciu krzesła wisiły dzinsy i koszula. Uśmiechnęła się i podciągnęła kolana pod brodę. Nick jak zwykle wstał wcześniej. Dlaczego jej nie obudził? Pewnie poszedł biegać na plażę. Robił to prawie codziennie o świcie, niezależnie od pogody. Kiedyś tłumaczył Meredith, że jest to najlepszy sposób na pozbycie się stresów. Im dalej posuwała się praca nad

kolejnym filmem, tym częściej napotykał jakieś przeszkody, tym częściej pojawiały się kłopoty, rosło napięcie i tylko bieganie pozwalało się jeszcze odprężyć.

Meredith wyszła z łóżka i wyjrzała przez okno. Na plaży nie było żywego ducha. Ubrała się i uczesała. Chuck Willard miał świetny pomysł z tym dniem wolnym. Miała szansę odpocząć, nabrać sił i spędzić cały dzień z Nickiem. Wiedziała, że on również wziął wolne

- zadzwonił wczoraj i zostawił taką wiadomość. Jego plany na kilka następnych dni zawierały się w stwierdzeniu: „Nic nie robię”.

Zapowiadało się wspaniale. Każda sekunda była cenna.

Meredith zeszła na dół i zastała Nicka na werandzie przy stole.

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Dzień dobry, mój śpiochu.

- Bardzo dobry - odparła, nachylając się, by go pocałować. - Wstałeś tak wcześnie. Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Nie widziałem potrzeby. Znalazłem wiadomość od ciebie, że wzięłaś dzień wolny, więc pozwoliłem ci spać.

- Odłożył na stół „Variety”. - Powinnaś odpocząć. Zrobimy sobie dziś święto, o jakim ci się nawet nie śniło.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Skąd się dowiedział? No tak, pewnie zadzwonił wczoraj wieczorem do stacji i ktoś mu wygadał.

Prawdopodobnie Kay, ktośby inny.

- Przyznaj się, kto ci o tym powiedział.

- Powiedział?

Jego twarz miała nieodgadniony wyraz. Pytanie Meredith najwyraźniej wprowadziło go w zakłopotanie.

- Nie musisz nikogo kryć. Wiem, że rozmawiałaś z kimś ze stacji - powiedziała. Usiadła przy stole naprzeciwko niego. - Nie jestem zła, ale chciałam sama ci to powiedzieć.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, Meredith.

- Och, Nick, przestań...

- Mówię poważnie. O niczym nie wiem. Coś się stało u ciebie w pracy? Z nikim stamtąd nie rozmawiałem od czasu, gdy była u nas na kolacji Kay Wilson.

- Więc naprawdę nic nie wiesz?
- O czym, na miłość boską?
- Wyjeżdżam na trzy tygodnie do Nowego Jorku. Będę pracowała jako prezenterka ogólnokrajowej sieci. -Dostrzegła w jego spojrzeniu dziwny błysk, pośpieszyła więc z wyjaśnieniami: - Carla Granelli wyjeżdża do Europy. Potrzebują kogoś na jej miejsce, a Chuck Willard twierdzi, że wpadłam im w oko. Wysłał, tam kiedyś moje taśmy, które się spodobały. Wzięłam wolny dzień, bo pomyślałam, że byłoby fajnie spędzić trochę czasu przed moim wyjazdem tylko we dwoje.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- W czwartek, zaraz po zakończeniu programu. Chuck mówi, że oni są pod wrażeniem mojej pracy. To może być doskonały początek. Jeśli dobrze wypadnę, mam szansę na stałą posadę. Wyobrażasz to sobie?
- Wspaniale. Naprawdę wspaniale - powiedział wyraźnie poirytowany, odwracając od niej wzrok. Zaciskając usta, popatrzył na rozbijające się o brzeg fale oceanu.
- Meredith zdawało się, że widzi go pierwszy raz w życiu. Wyglądał jak wściekłe zwierzę.
- Coś nie tak, Nick? Myślałam, że się ucieszysz.
- Ależ oczywiście! Jestem wniebowzięty! - wykrzyknął sarkastycznie. - A dlaczegoż to miałbym się cieszyć? Uciekasz na trzy tygodnie do Nowego Jorku i...
- Nie uciekam - odparła, sięgając po swoją kawę. -To część mojej pracy, bardzo ważna część.
- Część twojej pracy, która na dobre wyrwie cię do Nowego Jorku - podsumował.
- Spojrzała mu prosto w oczy.
- Nie powinno być to dla ciebie zaskoczeniem -powiedziała spokojnie. - Wiedziałeś przecież od samego początku, jak istotna jest dla mnie praca. Wiedziałeś, że nie mam najmniejszego zamiaru spędzić reszty życia jako dziennikarka małej lokalnej stacji.
- Racja. Tego, czego o tobie nie wiedziałem, dowiedziałem się teraz. O wiele bardziej interesuje cię twoja

cholerna kariera niż ja, niż my - warknął. - Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, nawet przez myśl mi nie przeszło, że zostawisz mnie w jednej chwili, jak tylko dostaniesz lepszą ofertę pracy. - Założył ręce na kark i odchylił się na oparcie krzesła.

- To nieprawda! Ja... - Meredith nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sposób rozumowania Nicka kompletnie ją zaskoczył.

- Czyżby? - Jego błękitne oczy miały lodowaty wyraz. - A może masz zamiar mi wmówić, że jeśli zaproponują ci stały kontrakt, to go odrzucisz?

- Nie... Oczywiście, że nie odrzucę.

- Tak właśnie myślałem. Nie byłabyś w stanie skłamać. Jesteś przecież taka prawdomówna. Obnosisz swoje emocje jak neonowe reklamy - powiedział z goryczą.

- Więc jak możesz wątpić w moje uczucie do ciebie?

- Jak mogę nie wątpić, kiedy twoja kariera jest dla ciebie ważniejsza od tego, co się stanie z nami?

- To nie w porządku, Nick - powiedziała. - Nigdy nie stawałam na drodze twojej kariery. Nigdy się nie skarżyłam i nie miałam pretensji, gdy całymi tygodniami przesiadywałeś na planie filmowym. Akceptowałam wszystko, ponieważ wiedziałam, jak bardzo jest to dla ciebie ważne.

Rozumiałam cię. Dlaczego nie możesz zrobić tego samego?

Meredith przepelniał żal i rosnący gniew. Nick złapał się za głowę.

- Nie widzisz, co się z nami dzieje? - Jego głos stawał się coraz bardziej dramatyczny. - Znosi nas w przeciwnych kierunkach. Kiedy ja nie kręcę, ty uganasz się za jakimś nowym wspaniałym materiałem. Mamy i tak dla siebie za mało czasu, a co będzie, jak wyjedziesz do Nowego Jorku?

- To bez sensu, Nick. Jadę do Nowego Jorku tylko na trzy tygodnie. Nie zaproponowali mi nic na stałe. Może to zrobią, a może nie, za wcześnie, by o tym mówić.

- Och, przestań - rzekł chłodno. - Obydwoje wiemy, że jesteś wystarczająco dobra, by dostać to miejsce na

stałe, i jeśli oni tam nie są ślepi, też się o tym przekonają.

- Pytasz, co się stanie, jeśli złożą mi ofertę? Już przedtem rozstawaliśmy się czasem na długo. Poradzimy sobie z tym, jeśli obydwójce będziemy chcieli.

- Pewnie, poradzimy sobie. - Znowu usłyszała ten sarkastyczny ton. - Na początku będziemy spędzali razem dwa weekendy w miesiącu. Może spędzimy razem noc, a jak będziemy mieli szczęście, mogą się przytrafić dwie takie wspólne noce. Chyba że będę akurat w terenie. Na początku będziemy się starali wykorzystać każdą minutę, ale nie minie dużo czasu, i nas to zmęczy. Zorganizujesz sobie nowe życie w Nowym Jorku, może nawet zwiążesz się z kimś innym. Może oboje to zrobimy.

- Rzeczywiście, nie bardzo wierzysz w miłość - powiedziała cicho, patrząc na błyszczącą powierzchnię stołu.

- Nie mogę konkurować z twoją karierą - odwzajemnił się. - Praca jest dla ciebie najważniejsza. Jestem już zmęczony rolą drugich skrzypiec.

- Więc twierdzisz, że muszę dokonać wyboru? Ty albo moja kariera? - Głos drżał jej od hamowanej złości.

- Tak. Wygląda na to, że nie da się tego uniknąć.

- Rozumiem. - Meredith z trudem panowała nad sobą. - Nic cię nie obchodzi, jak harowałam, żeby mieć taką szansę, co? Dowiedz się więc, że nie mogłam zrezygnować i nie zrezygnuję z tego teraz! Nigdy nie przeszkadzałam ci w twoich zajęciach, nigdy nie prosiłam, żebyś z nich zrezygnował, chociaż znikales na całe tygodnie! - Przerwała, by nabrać tchu i nieco ochłonać. - Rozumiałam, musialesz to robić, i nigdy nie wtrącałam się do twojej kariery, a teraz ty powinienesz zrobić to samo. Utkwił w niej lodowate spojrzenie.

- Więc nadal zamierzasz lecieć do Nowego Jorku?

- Oczywiście. - Gniew rósł w niej z każdym słowem. - Taka okazja nie trafia się codziennie. Przykro mi, że nie potrafisz tego zrozumieć.

- Mnie również jest przykro. - Rzucił serwetkę na stół i podniósł się gwałtownie, wylewając kawę na lniany obrus. Poszedł do domu i trzasnął oszklonymi drzwiami z taką furją, że szyba pękła i z hukiem poleciała na ziemię. Meredith patrzyła za nim, ciągle jeszcze zdumiona jego reakcją. Proszę, Nick - pomyślała ze smutkiem. - Nie zmuszaj mnie, bym musiała dokonywać wyboru!

Zatopiona w myślach spacerowała po plaży o zachodzie słońca. Nick wyszedł z domu zaraz po kłótni i do tej pory jeszcze nie wrócił. Nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego. W ciągu tych spędzonych wspólnie pięciu miesięcy zdarzały się nieporozumienia, czasem nawet sprzeczki, lecz nigdy nie było to tak poważne. Nigdy przedtem nie stanęła przed koniecznością wyboru: albo miłość, albo kariera. Rozumiała, co czuł; dlaczego jednak nie potrafił postawić się w jej sytuacji? Jeśli postąpi tak, jak on to sobie wyobrażał, przepuści znakomitą okazję. Jeśli wyjedzie do Nowego Jorku, może utracić Nicka. Dlaczego tego nie zrozumiesz? - pytała go w myślach. - Dlaczego nie możesz być dla mnie wsparciem, tak jak ja dla ciebie?

Zrozumiała, że w jej przyszłości nie ma miejsca dla Nicka. Gdyby miała dokonać wyboru między nim a pracą, bez wahania wybrałaby pracę, choć bardzo kochała Nicka i chciała z nim być.

Było już późno, gdy wróciła do domu. Pogasiła światła w gabinecie i saloniku, sprawdziła, czy frontowe drzwi są zamknięte na klucz. Nick ma własny klucz, na wypadek gdyby zdecydował się wrócić jednak do domu - pomyślała, wspinając się po schodach na piętro. Zastanawiała się, czy w ogóle zobaczy go przed wyjazdem do Nowego Jorku.

Weszła do sypialni i zapaliła nocną lampę przy łóżku. Przygotowała posłanie i rozebrała się. Postanowiła nie czekać na Nicka. Poszła do łazienki, żeby wziąć kąpiel. Była wykończona, a miała przed sobą długi, ciężki

dzień. Czowała się przygnębiona. Weszła do wanny i zagłębiła się w miękkiej pianie. Gorąca woda, pachnąca jaśminowym olejkiem kąpielowym, pieściła jej skórę. Potrzebowała tego, żeby zapomnieć choćby na krótką chwilę o tym, co rano usłyszała od Nicka.

Doszły ją jakieś odgłosy z sypialni, ale pomyślała, że to tylko wyobraźnia. Leżała jeszcze kilka minut w wodzie, a potem postanowiła wyjść, zanim uśnie. Wytarła się dużym ręcznikiem i zawijając się weń, uchyliła drzwi do łazienki. Na łóżku leżał Nick. Założył ręce pod głowę i pilnie studiował biel sufitu.

- Zaczynałam już myśleć, że nie wrócisz dzisiaj na noc - powiedziała, wchodząc do pokoju.

- Tylko nie mów, że choć trochę byś się tym przejęła. - Ton jego głosu prawie nie zmienił się od rana.

- Oczywiście, że tak - odparła, zrzucając ręcznik. Włożyła przezroczystą jedwabną koszulę nocną i przysiadła na brzegu łóżka. Nick obrócił się na bok, odwracając się do niej plecami.

- Zachowujesz się nierozsądnie, Nick. Nic w ten sposób nie załatwisz. Postanowił stawić jej czoło. Odwrócił się i zapytał:

- Zachowuję się nierozsądnie, bo cię kocham? Bo nie chcę cię stracić?

- Dlaczego myślisz, że mnie stracisz?

- Meredith, przestań udawać głupią. Myślisz, że jestem ślepy? Myślisz, że nie widziałem, jak nieuchronnie to nadchodzi?

- O czym ty mówisz?

- Od pierwszego dnia naszej znajomości wiedziałem, jaka jesteś ambitna. Miałem jednak nadzieję, że nasz związek będzie dla ciebie znaczył więcej niż twoja zawrotna kariera.

- O co ci chodzi? - powiedziała z irytacją. - A twoja kariera? Czy twoja kariera znaczy dla ciebie mniej niż nasza miłość?

Przez chwilę świdrował ją spojrzeniem.

- Jak w ogóle możesz o to pytać...

- Odpowiedz na moje pytanie - naciskała.
 - Przecież to jasne, że tak!
 - Więc wyjaśnij mi coś z łaski swojej, ponieważ jestem odrobinę zdezorientowana: z jakiej racji twierdzisz, że dbasz o mnie bardziej niż o swoją karierę? Czujesz się zawiedziony, bo przyjąłem trzytygodniową ofertę z Nowego Jorku, podczas gdy to właśnie ty zawsze się ulatniałeś?! Boże, potrafiłeś zniknąć na cały miesiąc!
 - Gdyby chodziło tylko o te trzy tygodnie... Ale oboje wiemy, że to tylko początek, prawda? Masz talent i zawsze chciałaś czegoś więcej. Włożyłaś wiele pracy, żeby to osiągnąć, i ci z Nowego Jorku natychmiast to zauważą. Ani się obejrzą, jak zaproponują ci stałą posadę. I co wtedy? Co się z nami stanie wtedy?
 - Nick, nadal jesteśmy razem - powiedziała miękko. - Nie mieliśmy dla siebie wiele czasu, ale potrafiliśmy wykorzystać każdą chwilę.
 - Myślisz, że długo mogłoby to potrwać? Mówiłem ci już: kiedy ty będziesz na całe tygodnie znikać w Nowym Jorku, a ja będę wyjeżdżał na zdjęcia, coraz trudniej będzie nam znaleźć dla siebie choćby odrobinę czasu.
 - Jeśli tak łatwo można rozbić nasz związek, to i tak nie mamy żadnych szans - zauważyła obojętnie.
 - To się przydarzyło już niejednej parze, i to z większym od naszego doświadczeniem. Nawet takim parom, które były ze sobą dłużej.- Ale jak dotąd nic takiego się nie stało i nadal jesteśmy razem, pomimo wielu rozłąk.
- Nick nie dał się przekonać. Nadal upierał się przy swoim.
- Nie tak znowu wielu. Nie ma wątpliwości, co by się stało z naszym związkiem, gdybyś pracowała tam na stałe. Po prostu nie wyobrażam sobie, jak miałyby to wyglądać.
 - Możemy przynajmniej spróbować.
 - Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne? - W jego głosie brzmiał niepokój i irytacja.
- Meredith poczuła się tak, jakby ją ktoś uderzył.
- Naprawdę nie wiesz, Nick? Chcę kontynuować swo-

ją karierę. Chcę niezależności finansowej. Chcę polegać tylko na sobie. Nie zależy mi na wsparciu kochanka, męża czy kogokolwiek innego. Nie chcę trzymać się jakiegoś faceta tylko dlatego, że płaci moje rachunki. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak mogłabym wytrzymać, leżąc całe dnie w pięknym salonie albo robiąc zakupy w Rodeo Drive! Nie zadowoliliby mnie organizowanie festynów na cele dobroczynne i uśmiechanie się do gości! Tak się składa, że najwięcej radości daje mi moja praca! Lubię być w ruchu, czerpać z życia pełnymi garściami. Chciałabym, żeby mnie ceniono za to, kim jestem, a nie z kim jestem! Czy jest w tym coś złego?

- Jeśli niezależność jest dla ciebie tak cholernie ważna, to po co w ogóle ze mną zaczynałaś?

Meredith odetchnęła głęboko. Postanowiła już nie krzyczeć.

- Ponieważ się w tobie zakochałam. Ponieważ chciałam dzielić z tobą życie, a nie konto w banku! Nie rozumiesz, Nick? Jestem tu, bo tego chcę!

- Nie chcę cię stracić - rzekł ponuro. - Tylko to w tej chwili mnie interesuje.

- Ja też nie chcę cię stracić - powiedziała, dotykając delikatnie jego ręki.

Nagle zdała sobie sprawę, że Nick był bardziej przerażony niż zły. -

Musisz jednak w końcu zrozumieć, że moja kariera jest dla mnie tak samo ważna, jak twoja dla ciebie. Pogódź się z tym.

- Nie chcę cię stracić - powtórzył. Zapadła kłopotliwa cisza.

- Czego się boisz, Nick? - powiedziała w końcu Meredith. - Od dnia, kiedy się poznaliśmy, nie opuszcza mnie to uczucie. Boisz się mnie stracić, bo już kogoś utraciłeś, prawda? Kto to był?

- Nikt - odrzekł rozdrażniony. - Myślałem, że jest w nas coś wyjątkowego, siła, która nie pozwoli nikomu i niczemu stanąć na przeszkodzie... - Podniósł się z łóżka i stanął wyprostowany, napięty jak struna. - Teraz nie jestem już tego pewien. Nie jestem pewien niczego.

- Nic złego się nie stanie - zapewniała Meredith,

starając się, by brzmiało to jak najbardziej przekonująco. - Nick, uwierz mi, jeśli tylko zaakceptujesz fakt, że nie zrezygnuję z mojej kariery. Tak jak ja zaakceptowałam twoją.

- Nie wydaje mi się, żebym miał wybór - rzekł.

- Zależy mi na tobie, Nick. Nigdy mi na nikim tak nie zależało.

Chciałabym wierzyć, że jest przed nami jakaś wspólna przyszłość.

- Więc przynajmniej w jednym się zgadzamy - powiedział z rozgoryczeniem.

- Kocham cię, ale nie możesz ode mnie wymagać, bym porzuciła wszystko, nad czym tak ciężko pracowałam.

- Nigdy cię o nic takiego nie prosiłem.

- A teraz chcesz, bym zrezygnowała z najlepszej oferty, jaka mi się dotąd nadarzyła.

- Chcę, żebyś była tu ze mną, żebyśmy ułożyli sobie wspólne życie.

Meredith objęła go.

- Kocham cię, Nick, i też marzę o wspólnym życiu -zapewniła. - Ale nigdy, przenigdy nie zrezygnuję z pracy. Jeśli tylko potrafisz się z tym pogodzić, jakoś to wszystko ułożymy. - Pocałowała go. Kiedy przytulił ją do siebie, zaczęła mieć wątpliwości, czy rzeczywiście ten jeden warunek wystarczy. I czy Nick zaakceptuje jej decyzję?

Następnego ranka podczas śniadania na werandzie zaległa niezręczna cisza. Nocą długo rozmawiali i zdawało się, że doszli do porozumienia.

Meredith podejrzewała jednak, że Nick nigdy nie pogodzi się tak na prawdę z jej zawodową pasją. Patrzyła na wybitą szybę w drzwiach.

Pomyślała, że przed wyjazdem powinna znaleźć kogoś, kto wstawiłby nową. Musi się czymś zająć, zamiast bezradnie obserwować rosnącą między nimi przepaść.

- Jadąc do domu, widziałam, jak robotnicy drogowi zakładali nowe barierki na tym zakręcie, gdzie zginął Tom - powiedziała, usiłując nawiązać rozmowę.

Nick podniósł wzrok znad hiszpańskiego omletu.

- Wiem-rzekł.

- Już dawno powinni byli to zrobić.

- Taaak... Szkoda, że Tom musiał zginąć, żeby w końcu się za to wzięli. - Skoncentrował się na jedzeniu. Lekka bryza zmierzwiła mu włosy.

Meredith wsypała do kawy cynamon i zapatrzona w odległy horyzont mieszała ją powoli łyżeczką.

- Jak myślisz, co się stanie teraz z jego posiadłością?

- zapytała. - Miał jakiegoś spadkobiercę?

- O ile wiem, nie. - Nick potarł brodę w zamyśleniu.

- Tom nigdy nie wspominał o krewnych. Pewnie nawet nie zostawił testamentu.

- Więc wszystko dostanie się władzom stanowym.

- Myślę, że tak. Chyba że pojawi się ktoś, kto będzie w stanie udowodnić powinowactwo. - Nadział na widelec ostatni kawałek omletu i podniósł go do ust. - Ale to raczej niemożliwe.

- Co w takim razie stanie się z rezydencją? Prawdopodobnie będzie wystawiona na sprzedaż?

- Chyba. - Uśmiechając się znacząco, zapytał: - Masz może zamiar zrobić niewielki zakup?

Uśmiechnęła się również.

- Nie myśl, że nie miałabym ochoty - odparła, nabierając na widelec sporą porcję sałatki. - Zastanawiałam się jednak tylko, co stanie się z tymi wszystkimi rzeczami: portretem Elizabeth i Davida, jej Oscarem, starymi fotografiami i pamiątkami. Tom tak bardzo się starał, by wszystko to pozostało nietknięte. Zupełnie jakby spodziewał się, że ona pewnego dnia powróci.

Nick wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie wszystko pójdzie na aukcję. Większość rozdrapią kolekcjonerzy - rzekł obojętnym tonem.

- Szkoda, wielka szkoda. - Przerwała na chwilę i zapatrzyła się w jasnoblękitne wody Pacyfiku. Tylko ocean wydawał się wieczny. - Tom tak bardzo starał się zachować pamięć o niej. Widziałeś kiedyś pokoje na piętrze?

Pokręcił głową.

- Nigdy mi nie proponował, żeby je obejrzeć, a ja o to nie prosiłem.

- Jak żyję, czegoś takiego nie widziałam. W tych pokojach jest nadal rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Jej pokój z toaletką wygląda jak wyjęty z jakiegoś starego filmu.

- Może powinnaś pójść na tę aukcję, jeśli już będzie, i kupić to wszystko?

- To wcale nie byłby taki zły pomysł - odcięła się, nabierając kolejną porcję. W jej błękitnych oczach pojawiły się błyski podniecenia.

- Och, Meredith, ja tylko żartowałem!

- Ale ja nie. Moglibyśmy pójść na aukcję. Bardzo bym chciała mieć ten obraz.

- Po co? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako kolekcjonerki.

- Nie potrafię tego wyjaśnić, to wydaje się tak irracjonalne - przyznała. -

Po prostu zafascynował mnie od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam.

Nick przyglądał się jej badawczo. Na koniec wzruszył ramionami i wstając od stołu, powiedział:

- Skoro tak bardzo ci na nim zależy... Będę już leciał. Mam spotkanie w studiu.

- Myślałam, że wzięłeś kilka dni wolnego.

- Owszem, miałem coś takiego w planach, ale ponieważ wyjeżdżasz do Nowego Jorku, wolę pracować, mieć jakieś zajęcie. A dzisiaj się okaże, czy otrzymam poparcie dla mojego nowego filmu.

Chciał przejść obok niej, ale chwyciła go za rękę. Popatrzyła mu w oczy i przycisnęła jego dłoń do ust.

- Uda się nam - rzekła z ufnością. - Zobaczysz. Przez chwilę stał wyprostowany, jakby się wahał, a potem schylił się i pocałował ją delikatnie.

- Nadal mi się to nie podoba, ale wolę być z tobą choćby raz na jakiś czas niż w ogóle cię nie oglądać.

- Rozumiesz mnie, prawda? Powiedz... - W jej głosie zabrzmiała prośba o wsparcie, o podtrzymanie na duchu.

- Staram się.

Uwolnił się z jej uścisku i wszedł do domu. Meredith została sama ze swoimi myślami. Niewesołymi myślami. Czy Nick ma rację? Czy to tylko kwestia czasu, a długie okresy rozłąki doprowadzą ich miłość do ruiny?

Nowy Jork

Trzy tygodnie, które Meredith spędziła pracując dla Intercontinental Broadcasting, były najbardziej wyczerpującym okresem w jej życiu. Długie godziny przesiadywania w Broadcast Center przy Zachodniej Pięćdziesiątej Pierwszej, wypełnione pracą przed kamerami albo żmudnym przygotowaniem materiałów do emisji, wieńczone były towarzyskimi spotkaniami z kierownictwem sieci telewizyjnej. Wiedziała, że właśnie ci ludzie mogą jej pomóc w osiągnięciu ostatecznego celu, dlatego poświęcała im niemal cały swój wolny czas. Mimo obietnic Nick nie mógł spędzać z nią weekendów. Na przeszkodzie stanął napięty harmonogram pracy w wytwórni i wiadomość, jaką otrzymał zaraz po wyjeździe Meredith: adwokat Toma Ryana był w posiadaniu jego ostatniej woli. Testament jednoznacznie określał, że posiadłość w Bel-Air i wszystko, co się na jej terenie znajduje, przypada Nickowi jako jedynemu spadkobiercy.

- To wszystko nie trzyma się kupy - powiedział do Meredith przez telefon. - Te urzędasz z kancelarii adwokackiej trzymają gębę na kłódkę i nawet słowa nie chcą powiedzieć na ten temat. Testamentu nie widziałem na oczy, a jak jednego z nich przycisnąłem, powiedział, że Tom zostawił dom mnie, ponieważ byłem mu bliski jak jego własny syn. Tylko tyle! Meredith przemknęło przez myśl, że mogłaby wznowić prace nad dokumentem o Ryanach, ale szybko się zreflektowała. Tom Ryan strzegł własnej przeszłości i prawdopodobnie nic interesującego nie udałoby się w jego domu odkryć.

Czas w Nowym Jorku biegł bardzo szybko. Nim się obejrzała, była już połowa ostatniego tygodnia kontraktu. Imponująca grupa pracowników sieci wybierała się na kolację do Rainbow Room pod wodzą Sama Clifforda, naczelnego redaktora wieczornych programów IBS. Clifford osobiście zaprosił Meredith, by się do nich przyłączyła. Nie wahała się ani chwili.

Rainbow Room, znajdująca się sześćdziesiąt pięć pięter nad Piątą Aleją, oprócz znakomitej kuchni miała do zaoferowania cudowną panoramę i wspaniałą wystrój wnętrza. Meredith nie mogła się zdecydować, czym zachwycać się w pierwszej kolejności: czy wytwornym urządzeniem restauracji w stylu Art Deco, czy porażającym zmysły pejzażem - błyszczącymi zarysami drapaczy chmur śródmieścia Manhattanu. Czuła, że jest bacznie obserwowana przez wszystkich, omiatana taksującymi spojrzeniami, ale nie przeszkadzało jej to w delektowaniu się znakomitą wołowiną *à la* Wellington. Była na to przygotowana. Napracowała się, by zwrócić uwagę na swoje umiejętności. Wszystko przewidziała i była gotowa. Bardziej niż gotowa.

- Muszę przyznać, Meredith, że odwaliałaś kawał dobrej roboty - powiedział podczas deseru Clifford. - Byłaś... - Ktoś zbliżał się do ich stolika, bo zawiesił głos i spojrzał gdzieś ponad Meredith.

- Czy mogę na kilka minut porwać pannę Courtney? Głos brzmiał znajomo. Ustały wszelkie rozmowy, wszyscy patrzyli w niemym zdumieniu na Aleksandra Kirakisa uśmiechającego się do Meredith.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedziała, usiłując opanować szalone bicie serca. Znowu patrzyła na najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała.

- To prawda. O wiele za długo. - Orkiestra zaczęła właśnie grać. Wyciągnął do niej rękę: - Mogę prosić?

- Oczywiście - odparła, podnosząc się z wdziękiem z krzesła. Czuła niemal fizycznie spojrzenia wszystkich obecnych w sali, gdy wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Niech sobie patrzają! - pomyślała buntowniczo.

Bała się tylko, że kiedy znajdzie się w jego ramionach, będzie mógł wyczuć trzepotanie jej serca.

- Potrafi pan ludzi zaskakiwać, panie Kirakis?

- Aleksandrze - poprawił ją.

- Aleksandrze.

- Sporo czasu upłynęło od naszego spotkania.

- Przynajmniej pół roku. Jestem zaskoczona, że nadal mnie pamiętasz. -

Zawsze miała wrażenie, że Aleksander zapomina o kobiecie w godzinę po spotkaniu, chyba żeby udało mu się zaciągnąć ją do łóżka.

- Nigdy nie zapominam pięknych kobiet. Szczególnie tak cudownych jak ty.

Ponad jego ramieniem Meredith widziała pracowników sieci, z którymi tu przyszła. Wszyscy patrzyli w ich stronę. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Aleksandrem w Los Angeles.

- Skoro pamiętasz moją skromną osobę - zaczęła - to musisz także pamiętać obietnicę, którą złożyłeś w La Bella Fontana.

- Obietnicę? - zapytał, udając zdziwienie.

- Obiecałeś, że jeśli jeszcze się spotkamy, udzielisz mi wywiadu.

- Rzeczywiście. - Był coraz bliżej Meredith. - Nie zachowałbym się przyzwoicie, gdybym nie dotrzymał danego słowa, prawda?

- Z całą pewnością - odparła ochotczo.

- Pozwolisz, że rozważę to jeszcze raz. - Jego dłonie wykonywały taniec na jej plecach. - Mieszkasz teraz na Manhattanie? "

- Jestem na kontrakcie. Tymczasowo. Już się kończy - powiedziała, zastanawiając się, czy pozwalać dłoniom Aleksandra na pieszczotliwe błądzenie po jej plecach, czy wyrwać się z jego objęć. Nie czuła potrzeby powstrzymania tych zakusów. Dlaczego miałyby to robić?

- Rozumiem - rzekł. - W takim razie może przedyskutujemy całą sprawę, zanim wyjedziesz? Powiedzmy, kolacja jutro wieczorem?

Meredith przypomniała sobie, że na jutro ma już inne plany. Pokręciła głową.

- Jutrzejszy wieczór mam już zajęty.

- Odwołasz to spotkanie.

Podniosła na niego wzrok. Zdziwiająco działał na nią ten rozbijający uśmiech Aleksandra, rozniecający ogniki w jego niewiarygodnie ciemnych oczach.

- To nie takie proste.

- Ależ tak.

Pomyślała, że gdyby udało jej się przeprowadzić z nim wywiad, mogłaby wyrzucić na dyrekcji sieci doskonałe wrażenie. Jedyne dziecko Constantine'a Kirakisa niemal nigdy nie udzielało wywiadów. Nikomu.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedziała.

- Na pewno się uda - stwierdził, pochylając się nad nią. Poczuli na szyi jego gorący oddech. - Wyglądasz prześlicznie...

Pocałował ją. Szarpnęła się do tyłu i przeszyła go spojrzeniem.

- Twoje zaproszenie na kolację nie ma nic wspólnego z wywiadem, tak?

- A jak myślisz? - Czarne oczy błyszczały uwodzicielsko.

- Odpowiedz na moje pytanie - nalegała.

- To chyba oczywiste.

- Tracisz swój cenny czas.

- Czyżby?

- Owszem. - Meredith starała się, by jej głos brzmiał stanowczo. Ciągle czuła na biodrach jego natrętą dłoń.

- Kiedy los zetknął nas ze sobą po raz pierwszy, musiałem jechać z ojcem na lotnisko i nie mieliśmy dla siebie czasu. Obiecałem sobie, że przy pierwszej sposobności nadrobię zaległości. I teraz...

Nie dokończył, ale Meredith doskonale wiedziała, co chciał powiedzieć. Uśmiechnęła się do niego słodko. Sześć miesięcy temu może i skusiłaby się, może...

- Trochę się spóźniłeś. Uniósł brwi.

- Mąż czy kochanek? - W czarnej otchłani jego oczu

rozbłyły ogniki rozbawienia. - Poruszyłem drażliwy temat?

- Nie. Po prostu nie lubię być wypytywana o moje prywatne sprawy.

- Rozumiem. Ale to, że ty i twoi koledzy bezustannie wtrącasz się do mojego życia prywatnego, uważasz za zupełnie normalne?

- Doskonale wiesz, że w twoim przypadku to zupełnie co innego.

- Więc ja nie gram fair, a ty tak?

- Jesteś osobą publiczną. Ludzi interesuje, co robisz, z kim się spotykasz...

- A mnie interesuje, co ty robisz, z kim ty się spotykasz. Powinienem był wtedy zostać w Los Angeles. Szkoda, że pozwoliłem ci się wymknąć.

- Nic między nami nie było - przypomniała mu.

- Ale mogło być, mieliśmy duże szanse.

- Spotkaliśmy się na czysto zawodowej stopie. Na nic innego nie mógłbyś liczyć. Ze względu na mój zawód nie możemy być sobie zbyt bliscy.

- Dlaczego. Dlaczego jest to dla ciebie tak ważne?

- To nie jest ważne, to jest konieczne.

- Mniejsza o słowa. Ktoś czeka na ciebie w domu, tak? Zawahała się.

Zależało jej na wywiadzie, więc nie

mogła urazić Aleksandra. Musiała jednak dać mu wyraźnie do zrozumienia, że ich kontakty nie wykrócą poza sferę zawodową.

- Tak - odpowiedziała. - Ktoś, na kim mi bardzo zależy, bardziej niż na wywiadzie z tobą.

Przestraszyła się, że mogło to zabrzmieć zbyt stanowczo.

- Podziwiam twoją lojalność - rzekł z uśmiechem, który świadczył o tym, że nie wszystko jeszcze było dla niego stracone. - Nie możesz jednak winić mnie za to, że próbowałem. I nie miej mi za złe, jeśli będę próbował nadal. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że ktoś mi odmawia.

- Więc zgadzasz się na wywiad?

- Być może.

Meredith poczuła się nagle zmęczona tym pojedyńkiem na słowa.

Spróbowała zmienić temat.

- Doskonale tańczysz - powiedziała.

- Lubię prowadzić...

On i tak będzie próbował postawić na swoim - pomyślała. Orkiestra przestała właśnie grać i Meredith nareszcie mogła wysunąć się z jego ramion.

- Wracając do jutrzejszego wieczoru, jeśli uda mi się zmienić plany, gdzie cię mogę znaleźć? - zapytała.

- Przyjadę po ciebie do hotelu. Zniecierpliwiona potrząsnęła głową.

- Powiedz mi tylko, gdzie się spotkamy.

- Choćby w Lutece, o ósmej.

- Doskonale.

Odwróciła się i odeszła do swojej grupy. Patrzył na nią. Zastanawiał się, dlaczego ta kobieta tak bardzo go intryguje. Była inna. Była bystra, piękna i niezależna. Prawdziwa mieszanka wybuchowa. Nie spotkał dotąd podobnej. Poprzysiągł sobie, że prędzej czy później będzie ją miał. Samolot wzniósł się na odpowiednią wysokość i można było odpiąć pasy. Meredith przeciągnęła się, prostując nogi w niewielkiej dostępnej przestrzeni między rzędami foteli. Otworzyła aktówkę. Nadarzyła się okazja, by zrobić coś, na co nigdy nie starczało jej czasu: przejrzeć kilka pism, szczególnie te zakupione na lotnisku Kennedy'ego - „Vanity Fair” i „Town and Country”. Na okładce pierwszego była wzmianka o wywiadzie z włoską gwiazdą filmową, Francescą Correnti. Francesca Correnti... Aktualna kochanka Aleksandra. A może już nie? Krążyły plotki, że trwający od lat związek jest poważnie zagrożony.

Przekartkowała magazyn, zatrzymując się na artykule o znanej aktorce. Zaczynał się od calostronicowego czarno-białego zdjęcia Włoszki. Jest piękna - pomyślała Meredith, przyglądając się fotografii. - Zmysłowość zamknięta w zdumiewająco pełnych kształtach. Namiętna jak dziki kociak. Obok zamieszczono mniejsze zdjęcie,

przedstawiającę Francescę u boku Aleksandra, prezentującego się równie oszałamiająco jak tego wieczoru w Lutece, kiedy przez cały czas była zajęta zbywaniem jego jednoznacznych propozycji. Kolacja okazała się tylko stratą czasu, ponieważ w sprawie wywiadu nie osiągnęli żadnego porozumienia. Aleksander też prawdopodobnie uznał ten wieczór za nieudany - odprowadził Meredith do hotelu i został sam pod jej drzwiami. Fotografia Aleksandra Kirakisa w towarzystwie innej kobiety w dziwny sposób poruszyła Meredith. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego wpatruje się przez długie minuty w zdjęcie dwojga ludzi, którzy byli jej w zasadzie obojętni. Dlaczego jest tak przejęta? Często widywała fotografie Nicka z aktorkami występującymi w jego filmach i nigdy nie doświadczyła tego co teraz. Zawsze sobie powtarzała i święcie w to wierzyła, że nie jest zazdrosna, bo nie ma do tego powodów. Ufała Nickowi. Zawsze pracował z pięknymi kobietami. Tak już musiało być... Zamknęła magazyn. W żaden sposób nie była związana z Aleksandrem Kirakisem, a tu nagle jedno małe zdjęcie wywołuje uczucie bezgranicznej zazdrości! Nie czuła się z tym najlepiej. Nic mnie nie obchodzisz - pomyślała ze złością. - Nic mnie nie obchodzisz!

Przylgnęła do oparcia fotela i zamknęła oczy. Z całej siły zacisnęła powieki. Wątpliwości co do związku z Nickiem stały się bardziej widoczne i przyczyną tego był niewątpliwie Aleksander. Meredith zamknęła oczy i widziała wyraźnie jego twarz, oszałamiający uśmiech i urzekające czarne oczy. Przyszło jej na myśl, że gdyby on się o tym dowiedział, nieźle by się uśmieł. Ale nigdy się nie dowie. Nie od niej.

Malibu

A teraz zamknij oczy - powiedział Nick, gdy przekraczali próg jego domu nad morzem. -1 bez podglądania! Spojrzała na niego.

- Po co to wszystko, Nick? - zapytała poirytowanym tonem. - Nie mam ochoty na twoje rewelacyjne pomysły.

Uśmiechnął się.

- Hej, okaż trochę humoru! To niespodzianka.

Meredith miała już dość niespodzianek. Niespodzianką było pojawienie się Nicka na lotnisku, a jeszcze większą to, że wcale się z tego powodu nie ucieszyła.

- No dobrze, dobrze. - Westchnęła. Zamknęła oczy i pozwoliła się poprowadzić po schodach w dół do pokoju.

- Ostrożnie. Jeszcze kawałek - powiedział Nick. -Dobrze, możesz już otworzyć oczy.

Zrobiła, jak kazał. Na dużej sztaludze, ustawionej przy oknie wychodzącym na ocean, stał zasłonięty zieloną tkaniną obraz. Nick uniósł aksamit i jej oczom ukazał się portret Elizabeth Weldon-Ryan z dzieckiem. Nie mogła w to uwierzyć. Nick odziedziczył wprawdzie posiadłość Ryana, ale chciał zachować ją w takim stanie, w jakim zostawił ją Tom.

- Dlaczego... - zaczęła, ale nie dał jej skończyć.

- - Po prostu wiedziałem, jak bardzo chciałaś go mieć. Przepraszam za wszystko, co wygadywałem przed twoim wyjazdem.

Meredith objęła go. Tak marzyła o tym, żeby mieć ten obraz. Dlaczego więc nie sprawia jej radości? Rodzące się pytania nie dawały wciąż spokoju. Dlaczego w ogóle nie cieszy się z powrotu? Dlaczego nie cieszy się, że znowu jest z mężczyzną, którego kocha? Dlaczego wolałaby być w Nowym Jorku i odtrącać zaloty Aleksandra Kirakisa?

Nowy Jork, kwiecień 1980

Chyba wszyscy tu obecni zdajemy sobie sprawę, jak ważna dla przyszłości całej korporacji będzie podjęta dziś decyzja. - Aleksander Kirakis stał u szczytu długiego stołu konferencyjnego w sali narad i przemawiał do członków rady nadzorczej Kirakis Corporation. - Wielu z was było z nami, gdy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim przejmowałem interesy korporacji w Stanach. Światowe rynki zbytu charakteryzowały się wtedy wysokim współczynnikiem popytu na ropę naftową. Oczywiście konsekwencją tego faktu było zwiększenie zapotrzebowania na usługi tankowców Athena Maritime. Od tamtego czasu zyski z rejsu jednego z naszych supertankowców, wyruszającego z Zatoki Perskiej wokół Przylądka Dobrej Nadziei, wzrosły z dwóch i pół miliona dolarów do ośmiu milionów. - Odwrócił się do siedzącego po prawej stronie George'a Prescottta i zapytał: - Jakie mamy zyski w tym roku, George?

- Dwanaście miliardów netto - odparł jednym tchem Prescott.

- Dwanaście miliardów - powtórzył Aleksander, wypatrując reakcji słuchaczy. - Wydaje mi się, że jest to niemal dwa razy więcej niż w zeszłym roku. Czy się mylę?

George gwałtownie zaprzeczył. Aleksander uśmiechnął się promiennie.

- Inne wielkie spółki przewozowe inwestują zyski

w rozbudowę swej floty. Choć nasi doradcy, znakomici w swych dziedzinach, proponowali podobny zabieg, wybraliśmy inny wariant - zainwestowaliśmy nasze zyski nie w transport surowców, lecz w sam surowiec, w ropę naftową. Mój ojciec miał własną teorię na ten temat, a praktyka udowodniła, że słuszną. Embargo na ropę z krajów arabskich doprowadziło do największego kryzysu ekonomicznego od lat trzydziestych. Spółki przewozowe, które zainwestowały w rozwój własnych flot, poniosły ogromne straty. Rynek międzynarodowy obszedł się z nimi brutalnie. Nasze straty okazały się minimalne tylko dzięki przeczności mojego ojca, która nakazała mu inwestować w ropę. - Zrobił krótką pauzę dla zaczerpnięcia oddechu. Nadszedł czas, by przejść do konkretów. - To, co dziś proponuję, jest krokiem o podobnym charakterze, lecz na zdecydowanie większą skalę. Wierzę, że przyszłość Kirakis Corporation musi wiązać się z ekspansją - z ekspansją na różne rynki zbytu. Mam na myśli nieruchomości, elektronikę, farmację, środki łączności. „Różnorodność” to panowie słowo-klucz. Różnorodność jest kluczem nie tylko do przetrwania, ale do przekształcenia naszej korporacji w największy, najpotężniejszy światowy koncern. Wyobrażam to sobie...

Urwał nagle, ponieważ niespodziewanie otworzyły się drzwi i weszła jego osobista sekretarka.

- Wyraźnie powiedziałem, żeby mi pod żadnym pozorem nie przeszkadzać! - rzucił ze złością. - Powiedziałem czy nie?

- Tak, proszę pana... Otrzymałam jednak telegram. Sądzę, że powinien go pan przeczytać...

- I nie może to poczekać godzinę? Sekretarka spoglądała na niego bojaźliwie.

- Jest pilny - odparła.

Przez kilka sekund przeszywał ją lodowatym spojrzeniem. Potem skinął ręką, by podeszła.

- Lepiej dla ciebie, żeby naprawdę okazał się pilny - mruknął, odbierając z jej rąk telegram. W miarę jak czytał, zmieniał się wyraz jego twarzy.

- Kiedy przyszedł? - rzucił.
- Pięć minut temu. Głęboko odetchnął.
- Samochód pod budynek! Dzwon do Woodhilla. Powiedz, że ma natychmiast zjawić się na lotnisku Kenne-dy'ego. Niech załatwi wszystko, co konieczne, żeby bez zwłoki wystartować. Sekretarka chciała już odejść. Zatrzymał ją.
- Jeszcze jedno. W Atenach niech czeka na mnie helikopter... I zorganizuj specjalną odprawę celną w porcie lotniczym Hellenikon. Nie chcę tracić ani chwili!
- Tak, proszę pana.
Aleksander odwrócił się do zdezorientowanych członków rady.
- Bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć - powiedział spokojnie. - Muszę natychmiast lecieć do Grecji.
Zostawił ich wszystkich patrzących za nim w niemym zdumieniu. Gdy zabierał ze swego biura płaszcz, dopadł go George.
- Czyś ty oszalał?! - krzyknął. - Aleksandrze, prezes_K Donovan Associates będzie tu dziś po południu. Zapomniałeś, że miałeś się z nim osobiście spotkać?
- O niczym nie zapomniałem - odrzekł ostro Aleksander. - Zajmiesz się nim pod moją nieobecność.
- Nie mogę! - George złapał się za głowę. - Przez sześć miesięcy przygotowaliśmy się do tej transakcji! Dlaczego nie możesz odłożyć podróży do jutra? Jeden dzień nie robi chyba różnicy...
- Matka jest umierająca - powiedział cicho.
W samolocie Aleksander nadal nie mógł uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Matka umiera. W telegramie ojciec wyraźnie zaznaczył, że może nie przeżyć nocy. Jak to możliwe?! Przecież gdy przyjechała na Boże Narodzenie do Nowego Jorku, wyglądała doskonale, lepiej niż kilka miesięcy temu. Owszem, była trochę przemęczona, ale można się było tego spodziewać po starszej kobiecie, w dodatku mającej kłopoty z sercem. Trzymała

się zadziwiająco dobrze, na przekór złowieszczych diagnozom lekarzy. Być może witalność, która jej nigdy nie opuszczała, uspiła czujność Aleksandra i jego ojca.

Tyle razy mnie prosiła, bym przyjechał do domu, spędził trochę czasu z nią i ojcem - rozmyślał Aleksander z goryczą. - Obiecywałem jej to tyle razy, a potem zmieniałem zdanie w ostatniej chwili, wykręcałem się interesami albo odkładałem podróż z powodu tych wszystkich kobiet! Nie! - powiedział sobie. - Nie mogę jej zawieść, nie tym razem!

Wszedł pierwszy pilot. Aleksander spojrzął na niego i zapytał:

- O której godzinie będziemy w Atenach?

- Około pierwszej piętnaście w nocy, według tamtejszego czasu - odparł Woodhill. - Jak dotąd dopisuje nam szczęście. - Usiadł naprzeciw Aleksandra. - Na lotnisku Kennedy'ego nie było żadnych problemów, a to już coś. To rzadko się zdarza. Warunki atmosferyczne pomiędzy Nowym Jorkiem a Atenami są wyśmienite i żadnych, niespodzianek raczej nie będzie. Będziemy o czasie.

- To dobrze. A po wylądowaniu? Wszystko załatwione?

- Zadbalem o to osobiście. Na lotnisku będzie oczekiwał pana ktoś z firmy, kontrolę celną już zorganizowaliśmy. Helikopter również.

Aleksander skinął głową.

- Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić? - spytał Woodhill.

Aleksander nie odpowiedział. Nieobecny myślami, spoglądał przez okno na wody Atlantyku.

- Czy jest jeszcze coś, co mogę dla pana zrobić? - powtórzył.

Aleksander gwałtownie odwrócił głowę.

- Co? Nie, nie! To wszystko.

- Tak jest, proszę pana. - Ruszył do kabiny.

- Woodhill? - Pilot stanął i odwrócił się. - Chyba zapomniałem ci podziękować. Doceniam wszystko, co zrobiłeś.

- To tylko moja praca, proszę pana - odparł z uśmiechem. Gdy Woodhill wyszedł, Aleksander znów pograżył się w myślach.

Przez owalne okna samolotu widział ruiny Partenonu. Stąd było już bardzo blisko do portu lotniczego Hellenikon. Aleksander cały czas się obawiał, że może być za późno...

Na pasie startowym czekał na niego przedstawiciel firmy, który miał przeprowadzić go przez kontrolę celną.

- Musimy przemknąć się bocznym wyjściem - powiedział, z trudem łapiąc oddech. Niemal biegiem przemierzali betonową powierzchnię, dzielącą ich od budynku terminalu. - Przy głównym wejściu czekają reporterzy... Całe mrowie reporterów.

- Skąd się dowiedzieli?

- Nie mam pojęcia, proszę pana - tłumaczył się. - Dosłownie kilku naszych ludzi wiedziało o pana przybyciu, i to tylko ci, którzy wiedzieć musieli. Byłem pewien, że unikniemy takiej sytuacji...

- Rzeczywiście - zauważył pogardliwie Aleksander. -Prawdopodobnie jeden z pańskich zaufanych ludzi nie jest godny zaufania.

Weszli do terminalu. Osłaniani przez trzech umundurowanych strażników, poruszali się szybko wśród tłumu podróżnych. Niski łysiejący mężczyzna, towarzyszący Aleksandrowi, miał coraz większe trudności z dotrzymaniem mu kroku. Modlił się w duchu, by nic złego się nie wydarzyło. Wiedział doskonale, jak bardzo Aleksander Kirakis nie lubi tracić czasu, obojętne z jakiego powodu.

Kiedy w końcu udało im się przejść przez kontrolę paszportową, Aleksander popędził do stojącego po drugiej stronie bariery Fredericka Kazomidesa, starszego wiceprezesa europejskiego oddziału Kirakis Corporation. Natychmiast skierowali się do helikoptera.

- Przykro mi z powodu twojej matki - rzekł Kazomides. - Trudno wyrazić słowami...

Aleksander uniósł dłoń.

- Dziękuję, wiem co masz na myśli. Proszę, powiedz mi, w jakim ona jest stanie.

- Od czasu gdy rozmawiałem z twoim ojcem, upłynęło już kilka godzin. Mówił mi wtedy, że nie jest dobrze, że to tylko kwestia czasu. - Na twarzy Aleksandra pojawił się wyraz udręki. - Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro.

Aleksander kiwnął tylko głową. Nie potrafił poradzić sobie z własnymi uczuciami.

Pilot na ich widok natychmiast uruchomił silnik.

- Dziękuję ci, Frederick - powiedział miękko Aleksander.

- Mam nadzieję, że dotrzesz na czas.

Uścisnęli sobie dłonie i Aleksander pobiegł do helikoptera. Osłaniając twarz przed światłem reflektorów i gwałtownymi podmuchami, wywołanymi przez śmigła, otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Zanim maszyna uniosła go w mroczne niebo, jeszcze raz spojrzał na Kazomidesa stojącego przy wyjściu z dworca lotniczego.

Podróż na prywatną wyspę Kirakisów ciągnęła się w nieskończoność.

Aleksander usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz był w domu.

Dom. Od dziesięciu lat mieszkał w Nowym Jorku, wcześniej, kiedy studiował na Harvardzie, przez sześć lat w Bostonie. Nadal jednak myślał o wyspie jak o swoim domu. Mile ją wspominał, spędził przecież na niej swoje wspaniałe, pełne słońca i spokoju dzieciństwo.

Rodzina matki Aleksandra weszła w posiadanie wyspy w czasie wojny na Bałkanach. Gdy matka wychodziła za mąż za Constantine'a Kirakisa, wyspa stała się częścią jej posagu. Constantine zamienił dziewiczą ziemię w prawdziwy raj. Były tu stajnie dla uwielbianych przez Aleksandra koni, sztuczne jezioro ze słodką wodą, kompleks rekreacyjno-sportowy, mały port dla jachtów z zacumowanym „Dionizosem” oraz lotnisko polowe dla niewielkich samolotów. Za domem rozciągał się bajeczny ogród, pośrodku którego znajdowała się fontanna

z posągiem wykonanym przez słynnego rzymskiego rzeźbiarza. Wspaniała w swej okazałości willa stała na szczycie najwyższego wzniesienia na wyspie. Do utrzymania czterdziestu pokoi zatrudniono dwadzieścia pięć osób służby. Z zewnątrz willa przypominała niezgrabną hiszpańską hacjendę, wewnątrz zaś prezentowała się niczym Wersal. Wszędzie, dosłownie na każdym kroku, dostrzegało się efekty życiowej pasji matki Aleksandra - uwielbienie dla wszystkiego, co francuskie. Meble, tapety, obicia krzeseł i foteli, draperie, obrazy impresjonistów - wszystko było tu francuskie, wszystko w delikatnych odcieniach błękitu, zieleni i bladego fioletu. Zastawy stołowe i obrusy pochodziły z najlepszych paryskich sklepów, a przepiękny owalny dywan w holu oraz olbrzymi żyrandol z kryształu górskiego i pozłacanego brązu przyjechały tutaj z jakiegoś zamku nad Loarą. Aleksander uśmiechnął się do swoich myśli. Ojciec nieraz powtarzał, że choć Melina urodziła się w Grecji, w głębi serca jest Francuzką.

Na wyspie stało dwanaście domków gościnnych. Aleksander zachodził w głowę, po co w ogóle ojciec je zbudował. Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nikogo tam nie zaproszono, a samowolnie nikt nie mógł wtargnąć. Mój dom to moja twierdza - uważał Constantine Kirakis. Ojciec przedsięwziął nadzwyczajne środki ostrożności, by nikt nie zakłócał mu spokoju w jego ukochanym miejscu. Jak dotąd wysiłki Constantine'a dawały pozytywne efekty. Wyspa była jedynym miejscem, gdzie członkowie rodziny Kirakisów mogli zaznać spokoju, gdzie nie dotarł żaden wścibski reporter.

Aleksander podejrzewał, że ojcowska obsesja ochrony prywatności miała źródło w walce z dziennikarzami, którą podjął po śmierci Damiana. Brat Aleksandra, Damian, zmarł tragicznie w 1948 roku w wieku pięciu lat, na pięć miesięcy przed przyjściem na świat swego młodszego brata. Miał wrodzoną wadę serca, odziedziczył ją po matce. Choć rodzice rzadko mówili o tej tragedii, Aleksander był świadom, że tak naprawdę

nigdy nie przestali opłakiwać utraconego dziecka. Najwięcej dowiedział się o bracie od guwernantki - Heleny - która przybyła na wyspę po śmierci Damiana. Była jednak dobrze zorientowana w sprawach rodziny Kirakisów. Przeważająca część służby pracowała na wyspie na długo przed przyjazdem guwernantki i na ogół ludzie ci byli bardzo rozmowni, Helena potrafiła słuchać i obserwować. To właśnie ona powiedziała Aleksandrowi, że rodzice niemal od samego początku zdawali sobie sprawę z nikłych szans Damiana na przeżycie. Od niej dowiedział się także, że lekarze wielokrotnie przestrzegali matkę przed ciążą, która mogłaby mieć zgubny wpływ na jej organizm. Mimo to aż pięciokrotnie spodziewała się dziecka. Trzy razy poroniła, a pozostałe ciążę zakończyły się narodzinami dwóch synów: Damiana w 1943 i Aleksandra pięć lat później. Całą swą rodzicielską miłość matka musiała jednak przelać na jednego, jedyne go syna, jakiego los pozwolił jej zachować. Aleksander nigdy nie pytał rodziców o brata, którego nie było mu dane poznać. Zdawał sobie sprawę, jak bolesne musiały być dla nich te wspomnienia. Oboje mocno przeżyli śmierć Damiana. Constantine upatrywał w nim syna, któremu przekaze swoje nazwisko i imperium. Fortuna jednak kołem się toczy. Stracił upragnionego syna, a wraz z nim rozwiały się wszystkie nadzieje. Życie straciło sens. Sytuację pogarszali reporterzy, którzy zjawili się ze wszystkich stron świata, by ze śmierci Damiana uczynić sensację. Właśnie wtedy Kirakisowie opuścili swoją posiadłość w Varkizie i przenieśli się na wyspę. I wtedy też Constantine przeciął więzy łączące ich nowy dom ze światem. Zorganizował uzbrojone straże i zarządził regularne patrole dookoła wyspy. Mieli zrobić wszystko, co konieczne, by utrzymać prasę z dala od brzegów wyspy. Zakupił kilka specjalnie trenowanych psów, zainstalował całą sieć systemów alarmowych. W trosce o żonę i dziecko, które od czterech miesięcy nosiła w swym łonie, zdecydował, że będą oczekiwali narodzin na wyspie. Życie na niej okazało się

prawdziwym rajem. Nigdy już nie zdecydowali się na powrót do Varkizy. Damiana pochowano w ogrodzie.

I wkrótce - pomyślał Aleksander przepełniony rozpaczą - matka znajdzie się tam także.

Podczas gdy Aleksander ścigał się z czasem, Con-stantine Kirakis trwał przy żonie, trzymając jej dłoń w swojej. Melina spała. Czas płynął nieubłaganie. Jakże chciałby go zatrzymać. Bał się, że żona go opuści na zawsze. Jak ja sobie bez ciebie poradzę? W przygaszonym świetle wyglądało na to, że przestała oddychać. Wyciągnął dłoń i zatrzymał ją tuż nad jej piersią. Serce Costantine'a tłukło się nieznośnie, krew pulsowała w skroniach. Czy jesteś jeszcze ze mną?

Melina otworzyła oczy i zobaczyła go. Uśmiechnęła się lekko.

- Costa - zwróciła się do niego słabym głosem - nie musisz tu siedzieć przez cały czas. Wyglądasz na zmęczonego, odpocznij trochę...

' Zaprzeczył gwałtownie, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Nie martw się o mnie, *matia mou*. Teraz liczy się twoje zdrowie.

- Obydwoje wiemy, że jest już za późno - powiedziała miękko. - Mój czas dobiegł końca. Musisz się z tym pogodzić, tak jak ja to zrobiłam.

- Nie...

- Tak, Costa. Nie ma w tym nic złego. Już nie boję się śmierci, to już jest poza mną. Życie było czymś wspaniałym, ale... - Głos uwiązł jej w gardle.

- Nie, Melino! Nie wolno ci się poddawać!

- Nie ma sensu walczyć z nieuniknionym - odparła spokojnie. -

Aleksander... Czy już przyjechał? - zapytała.

- Jest w drodze - rzekł Kirakis, powstrzymując łzy. - Wkrótce powinien być na miejscu.

- To dobrze. Bardzo starałam się nie zasnąć. Muszę na niego zaczekać.

- Nie walcz ze snem, *matia mou*. Odpoczywaj, nabieraj sił - perswadował, odgarniając z jej twarzy włosy.

- Muszę zobaczyć się z Aleksandrem - nalegała.
 - Oczywiście, zobaczysz się z nim na pewno. Będzie tu, gdy się obudzisz.
 - Jeśli się obudzę. Nie... Nie wolno mi zasnąć, dopóki on nie przyjedzie.
 - Obudzę cię, jak tylko się zjawi.
 - Costa, musisz mi obiecać - Widział, że żona mówi z coraz większym trudem. - Musisz pogodzić się z Aleksandrem.
 - Przecież wiesz, że chcę tego tak bardzo jak ty.
 - Owszem... Ale nie jestem przekonana, czy którykolwiek z was zrobi jakiś krok w tym kierunku. Obydwaj jesteście tak bardzo uparci. Musisz odłożyć swoją dumę na bok. - Zamknęła na chwilę oczy, walcząc o odrobinę powietrza. - Mój Costa... Tylko ty możesz sprawić, że odejdę z tego świata w pokoju.
 - Wiesz przecież, że zrobię wszystko...
 - Napraw to, co zostało zepsute - odparła słabym głosem. Jej wzrok wyrażał to, czego nie mogła zawrzeć w słowach. - Połóż kres kłamstwom i sekretom. Pogódź się w końcu z nim... i z sobą samym.
- Kirakis wahał się.¹
- Tak, *matia mou* - powiedział w końcu. - Masz rację, już najwyższy czas zapomnieć o przeszłości... Raz na zawsze.
- Gdy tylko helikopter dotknął ziemi, Aleksander otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, nie czekając aż pilot wyłączy silnik. Przebiegł przez trawnik do głównego wejścia. Zaraz za progiem domu natknął się na Helenę.
- Dzięki Bogu, że jesteś - wyszeptała, ściskając go czule. - Ciągle o ciebie pyta.
 - Przyleciałem najszybciej, jak mogłem. - Z pokoju matki na górze wyszedł właśnie Perykles Karamanlis. - Czy... ona...
 - Żyje, jeszcze żyje - powiedziała Helena. - Jest bardzo, bardzo słaba. Cały czas powtarza, że czeka na ciebie.

- Chcę ją zobaczyć, natychmiast - powiedział do lekarza.

Karamanlis zaprzeczył stanowczo.

- Nie, nie teraz. Właśnie zasnęła.

- Czy wie pan, ile mil przebyłem, żeby być z nią, zanim... - Nie dokończył. Głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Doskonale się orientuję, jak długą drogę przebyłeś - odparł lekarz. - Nie będę jej jednak budził.

- Chcę ją zobaczyć. Choćby na kilka minut - upierał się Aleksander.

- Dobrze - rzekł po chwili wahania Karamanlis. - Ale tylko na chwilę. I nie próbuj jej budzić! Jest bardzo słaba. Potrzebuje spokoju.

- Rozumiem. Nie będę tam długo.

Chciał już pójść schodami na górę, gdy Helena chwyciła go za rękę.

- Aleksandros, ojciec czeka na ciebie w bibliotece.

- Powiedz mu, że zaraz do niego przyjdę - odparł zniecierpliwiony.

- Powiem. - Po chwili dodała: - Cieszę się, że jesteś znowu w domu. Żeby tylko okoliczności były inne.

- Ja też się cieszę, Heleno. Uścisnął jej dłoń i ruszył na piętro.

Gdy przekroczył próg sypialni matki, ubrana na biało pielęgniarka popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nie powinien pan tu wchodzić. Doktor Karamanlis nie pochwaliby tego...

- Doktor Karamanlis wie, że tu jestem - zapewnił. - Przebyłem długą drogę, aby zobaczyć moją matkę, i chciałbym spędzić z nią kilka chwil. Sam.

- Nie wydaje mi się...

- W porządku, Penelopo - powiedział Perykles Karamanlis, który wszedł za Aleksandrem do sypialni. - Syn naszej pani nie zabawi tu długo.

Prawda, Aleksandrze?

Lekarz i pielęgniarka nareszcie wyszli. Aleksander usiadł na jednym z krzeseł w stylu Ludwika XV, stojących przy łóżku matki. Spojrzał na nią i przeszedł go

dreszcz. Była tak pełna spokoju, tak dalece inna od tego, co spodziewał się zobaczyć. Trudno było uwierzyć, że stała na krawędzi życia. Jednak gdy przyjrzał się jej bliżej, dostrzegł nienaturalną bladość, ciemne cienie pod oczami, zapadnięte policzki. Nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek, nawet jako dziecko, płakał, lecz teraz nie potrafił powstrzymać łez. Dotknął ręki matki. Była zimna.

Naraz otworzyła oczy.

- Aleksander - wyszeptała, uśmiechając się blado. - Bałam się, że nie zdążysz.

- Przyleciałem jak najszybciej, *manna mou* - rzekł miękko.

- Bardzo się cieszę, że jesteś przy mnie. Nie mogłam znieść myśli, że przyjdzie mi opuścić ten ziemski padół bez zobaczenia ciebie ostatni raz, bez pożegnania.

- Mamo, proszę, nie mów takich rzeczy - wyszeptał drżącym głosem.

- Nie zostało mi wiele czasu, mój synu. Musisz się z tym pogodzić. Taka jest wola Pana.

- Czy istnieje Bóg, jeśli pozwala na takie rzeczy? - zapytał rozgniewany. - A jeśli istnieje, to dlaczego pozwala nam cierpieć?

- Wszystko ma określony cel, Aleksandrze. Nie do nas należy ocena boskich planów.

- Nie... Nie mogę się z tym pogodzić. Przykro mi, mamo, ale nie jestem w stanie podzielać twej wiary. Nie teraz...

- Musisz wierzyć, Aleksandrze. Musisz mieć w sobie wiarę. To uczyni cię silnym, pomoże ci w każdej sytuacji, w każdej trudnej chwili.

Aleksander patrzył na nią w milczeniu. Była tak niewzruszona w swej wierze, tak spokojna, tak pogodzona z przeznaczeniem. Wiara... Nie mógł wierzyć w Boga, który odbiera mu matkę. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby powierzyć swoje życie, przyszłość, wszystko co miał, nadprzyrodzonej istocie, na której istnienie nie miał żadnych dowodów. Nie wyobrażał sobie, jak inni mogą tego od niego wymagać.

Skinał jednak głową.

- Spróbuję - obiecał, by nie sprawić matce bólu. -Zrobię to dla ciebie.
 - Mówiłam ci kiedyś, jaka jestem z ciebie dumna?
 - Bardzo często, mamo. Chyba zbyt często.
 - Zawsze byłeś silny, wytrzymały. - Jej głos był coraz słabszy. - Liczę teraz na ciebie. Pomóż ojcu, bądź blisko niego. Będzie mu bardzo ciężko.
 - Ojciec jest silniejszy, niż ci się wydaje.
 - Możliwe, ale po tylu latach będzie znowu sam. Jesteś mu potrzebny bardziej niż kiedykolwiek.
 - Wydaje mi się, że jestem ostatnią osobą, do której zwróciłby się w potrzebie - odparł Aleksander z goryczą w głosie.
- Melina popatrzyła na niego zaskoczona. Z początku nie wiedziała, co miał na myśli.
- Ach! Chodzi ci o to, że zamierzał cię wydziedziczyć?
 - Wiedziałaś o tym?
 - Twój ojciec nigdy nie miał przede mną żadnych tajemnic - powiedziała, uśmiechając się z wysiłkiem. -Choć czasami próbował...
 - Z pewnością poruszyło cię to, co usłyszałaś o...
 - O tym, że ta młoda dziewczyna odebrała sobie życie, bo została przez ciebie odtrącona. Aleksandrze, nigdy nie pochwalałam twojego postępowania w życiu prywatnym. Postanowiłam jednak nie ingerować w twoje sprawy i nie zrobię tego nawet teraz.
 - Nigdy nie musiałaś interweniować. Ojciec robił to za was dwoje.
 - Chodziło mu tylko o twe dobro... i dobro korporacji - próbowała tłumaczyć. - Chciał jedynie, byś w przyszłości zachowywał się z większą odpowiedzialnością, tak w interesach, jak i w życiu prywatnym. Zawsze wiązał z tobą wielkie nadzieje. Jako jedyny spadkobierca i następca będziesz kontynuował tradycje rodziny, przejmiesz cały dorobek naszego życia, który musi się znaleźć w odpowiednich rękach.
 - Tradycja - powiedział powoli Aleksander. - Odkąd

pamiętam, tradycja zawsze miała dla was ogromne znaczenie.

- Dla mnie ogromne znaczenie ma tylko twoje szczęście. Po prostu nie wierzę, że styl życia, jaki wybrałeś, może uczynić cię szczęśliwym.

- Chyba znasz mnie lepiej niż ja sam.

- Posłuchaj mnie, Aleksandrze. Znam twojego ojca. Był na ciebie zły, był wściekły. Gdyby przedostała się do gazet informacja o twoim związku z tą młodą Szwajcarką, skutki mogłyby być nieobliczalne i dla ciebie, i dla korporacji. Musiał coś zrobić, żeby uświadomić ci konieczność uniknięcia w przyszłości podobnych sytuacji, nigdy jednak nie zamierzał cię wydziedziczyć. Nigdy nie potrafił długo się na ciebie gniewać. Taki już jest. Wybuchą jak wulkan, dając upust swej złości, a po chwili jest już wszystko po staremu. Zawsze taki był.

- Nie jestem tego taki pewien. Nie byłeś tam wtedy, mamó, nie widziałas go.

- A ciebie nie było tutaj, gdy otrzymał wiadomość od swych ludzi w Genewie. Wpadł w szal. Biedna Helena myślała, że przez bibliotekę przeszedł huragan. Wyładował się i było po wszystkim.

- Obyś miała rację. Wcale nie cieszą mnie zatargi z ojcem.

- Aleksandrze - powiedziała matka, dotykając drżącą dłonią jego policzka
- chcę, żebyś zapamiętał jedno: zawsze kochałam cię nad życie i nigdy nie potrafiłabym rozmyślnie cię skrzywdzić.

- Ależ, mamó... Przecież wiem...

- Teraz tak, mój synu, ale nadejdą dni, gdy nie będziesz tak pewien naszej

- mojej i ojca - miłości do ciebie. Wtedy wspomnij moje słowa. Każde z nas oddałoby za ciebie życie.

- Wiem o tym, mamó.

- Aleksi, jesteś cudem, o który się modliłam. Jesteś pięknym zdrowym dzieckiem, którego zdaniem lekarzy nigdy nie mogłam mieć. Dałeś mi nadzieję, dzięki tobie

moje życie było pełniejsze, prawdziwsze, i to w chwili, gdy już się niemal poddałam.

Drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł Karamanlis.

- Aleksandrze, sądzę, że powinieneś dać naszej pacjentce odpocząć - powiedział rozkazującym tonem.

- Muszę już iść, *manna mou*. Przyjdę do ciebie później.

- Nie odkładaj tego zbyt długo - rzekła z wysiłkiem. Pochylił się nad nią, ucałował lekko w policzek i wyszedł z sypialni.

Constantine Kirakis chodził nerwowo tam i z powrotem po bibliotecę. W ciągu ostatniej godziny wypalił pół tuzina swoich ulubionych, sprowadzanych z Egiptu papierosów. Ukochana Melina - żona, kochanka i najlepszy przyjaciel - umierała i nic nie można było zrobić, by odwrócić wyrok losu. Nigdy jeszcze Constantine nie czuł się bardziej bezsilny. To uczucie było mu zupełnie obce. Przyzwyczał się do panowania nad każdą sytuacją. Teraz został zmuszony do przyglądania się, jak najdroższa mu osoba wymyka się wprost w szeroko rozpostarte ramiona śmierci.

- Ojczy?

Wyrwany z zamyślenia obrócił się i spojrzał na stojącego w drzwiach syna. Zaprosił go do środka. Aleksander zamknął za sobą drzwi i zagłębił się w fotelu obok biurka.

- Widziałeś się już z matką? - zapytał Kirakis, zapalając następnego papierosa.

- Tak. Nadal nie mogę uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Kiedy się z nią ostatni raz widziałem -Boże! Przecież to było tylko kilka miesięcy temu, przed Wigilią! Wyglądała wtedy bardzo dobrze. Jak to możliwe, że...

- Ja też nie mogę w to uwierzyć. Po powrocie z Nowego Jorku czuła się znakomicie, lepiej niż przedtem. -Przysiadł na brzegu biurka. - Ale kilka dni temu, zupełnie nagle... - Wzruszył ramionami. - Nie jestem pewien, co właściwie się stało... ani dlaczego.

- Kilka dni temu? To stało się kilka dni temu? Dlaczego tak długo zwlekałeś z powiadomieniem mnie o tym?

- Nikt nie myślał, że będzie to coś poważnego. Przynajmniej na początku. Sądziliśmy, że to wpływ pogody. Taka mała niedyspozycja, nic więcej. Bywało, że czuła się gorzej, więc nie przejęliśmy się. Narzekała na przemęczenie, ale poza tym wydawała się zdrowa. W zasadzie do dzisiejszego ranka, gdy wysyłałem ci telegram, nie miałem pojęcia, jak poważny jest jej stan. Dopiero wtedy posłałem po Peryklesa.

- Karamanlis wie, co robi? Wygląda to tak, jakby już się poddał - rzekł Aleksander z wymówką w głosie.

Kirakis potrząsnął głową.

- Nie, Aleksandrze, to niemożliwe. Perykles nigdy się nie poddaje. Robi wszystko, co w ludzkiej mocy, by utrzymać ją przy życiu.

- Mama uważa, że i tak wszystko jest teraz w rękach Boga.

- Ach, tak, tak... - Kirakis uśmiechnął się smutno. - Jej wiara zawsze była niezachwiana. Nie miała nigdy żadnych wątpliwości. Nie potrafiłem być taki jak ona.

- Ja także nie umiem podzielać jej wiary, szczególnie w tej chwili.

Obiecałem jej jednak, że przynajmniej spróbuję zaufać Bogu. To dla niej takie ważne. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko sprawić mamie odrobinę radości.

- Tak jak ja - powiedział Kirakis, wracając pamięcią do rozmowy z Meliną, która miała miejsce tuż przed przyjazdem syna. On także złożył obietnicę, dał jej słowo, a przecież nie był pewien, czy będzie w stanie go dotrzymać. - Nie ma rzeczy, której bym nie zrobił, żeby jej ostatnie godziny upłynęły w spokoju.

Przez chwilę obaj milczeli. Pierwszy odezwał się Aleksander:

- Przez całe życie zdawałem sobie sprawę z jej choroby, ale nie byłem przygotowany na ten dzień... - Nie mógł dokończyć. Zacisnął mocno powieki. Był wyczerpany.

- Może powinieneś położyć się i zdrzemnąć? Musisz być zmęczony podróżą.

Aleksander pokręcił głową.

- Nie mógłbym teraz zasnąć.

- Wiem, co czujesz - rzekł Kirakis. - Nic jednak nie możemy dla niej zrobić. Możemy tylko czekać... i mieć nadzieję. Będzie chyba spała do rana.

- I może się już nie obudzić. Nie, muszę być gotów, gdy wezwie mnie do siebie.

- Mogę cię przecież obudzić.

Aleksander podniósł wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na jedną krótką chwilę.

- A ty, tato? Nie odpoczniesz trochę?

- Wkrótce. - Odwrócił się do okna wychodzącego na ogród. - Helikopter jest jeszcze tutaj?

- Poprosiłem pilota, żeby zaczekał - wyjaśnił Aleksander. - Wyjechałem z Nowego Jorku z pustymi rękami. Będę musiał wysłać go do Aten po kilka rzeczy.

- Tak, Helena mówiła mi, że nic ze sobą nie przywiozłeś.

- Nie miałem czasu, wyjechałem natychmiast po otrzymaniu twojego telegramu. Widzę, że Helena nadal jest źródłem wszelkich informacji w tym domu. - Uśmiechnął się lekko.

- Trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami - odparł ojciec. - Możesz sprawdzić, czy zostały tutaj jakieś twoje rzeczy. A jeśli będziesz czegoś potrzebował, mów...

Ta chwilowa zmiana tematu przyniosła im ulgę. Pozwoliła oderwać się myślami od trosk i bólu.

- W samolocie, gdy leciałem do Aten, i później w helikopterze wspominałem te cudowne czasy, dni, miesiące, lata, które spędziłem w tym domu. Tyle wspaniałych wspomnień... To był najlepszy okres w moim życiu. - Tak, pamiętam szczęśliwsze czasy. Byłeś trudnym dzieckiem, Aleksandrze, a do tego miałeś dwóch żarliwych obrońców: twoją matkę i Helenę. Nigdy nie pozwoliły mi cię ukarać.

- Wiedziały, czego dziecko potrzebuje, prawda? - zapytał z uśmiechem Aleksander.

- O tak! Rozpieszczały cię do granic możliwości. -Jego twarz rozjaśniła się po raz pierwszy od początku rozmowy. - Pamiętam, jak pewnego dnia stłukłeś antyczną wazę, którą kupiłem matce w Rzymie. Wiedziałem, że zrobiłeś to przypadkowo, i wcale nie miałem zamiaru cię karać, ale twoja matka na wszelki wypadek wzięła wszystko na siebie. Uparcie twierdziła, że to ona ją zabiła. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko cię chronić przed nieprzyjemnościami.

Aleksander uświadomił sobie, że oto po raz pierwszy od wielu lat rozmawiają, nie skacząc sobie do oczu. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo mu tego brakowało, jak bardzo za tym tęsknił.

- Mama nigdy nie była zwolenniczką dyscypliny -powiedział.

- To prawda, nie była - zgodził się z synem Kirakis. Nagle zaczął płakać. Łzy spływały mu po policzkach, spadały na garnitur, a na ich miejscu natychmiast pojawiały się nowe. - Nie wiem, co zrobię, gdy ona odejdzie. Wydaje mi się, że całe moje życie, wszystko, co miało jakieś znaczenie, straci sens. Po czterdziestu latach naszego małżeństwa nie mam pojęcia, jak sobie bez niej poradzę.

Aleksander chciał powiedzieć mu, że wszystko będzie w porządku, że razem sobie poradzą. Chciał przerzucić most nad dzielącą ich przepaścią. Zaczerpnął głęboko tchu i położył dłoń na ramieniu ojca.

- Musimy być silni, ojczy - rzekł. - Musimy spróbować, ze względu na mamę...

Kirakis spojrział mu w oczy i powoli skinął głową. Tak wiele złego ostatnio wydarzyło się między nimi. Teraz wiedział, że nie będzie osamotniony w swojej drodze przez piekło...

Melina Kirakis zmarła we śnie, tuż przed świtem. Constantine, który przy niej czuwał, trzymał ją za rękę, wciąż szeptał do niej, powtarzał słowa modlitwy o cud.

Wiedział, że nawet jeśli Bóg istnieje, nie wysłucha i tak kogoś takiego jak on.

- To łaska boska - rzekł Karamanlis, naciągając prześcieradło na pozbawioną życia twarz Meliny. - W ostatnich tygodniach jej serce stawało się coraz słabsze. To, co się stało, było nieuniknione.

- Wiedziałem o tym... - Kirakis pokiwał głową. - Wiedziałem od tylu lat, a mimo to nie mogę się z tym pogodzić.

- To śmierć, przyjacielu. Nigdy się z nią nie pogodzimy. Choć wydaje mi się, że Melina była na nią przygotowana.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak - odparł pewnym głosem Karamanlis. - I myślę, że ty pomogłeś jej w tym bardziej niż ja. Ja mogłem ulżyć jej bólowi, ale ty, przyjacielu, zrobiłeś dla niej dużo, dużo więcej. Kiedy rozmawiałeś z Aleksandrem, byłem u niej i powiedziała mi, iż opuszcza ten świat bez lęku, ponieważ obiecałeś naprawić ignorowane od lat zło.

Kirakis zeszywniał.

- Powiedziała ci, o czym z nią rozmawiałem? - spytał ostrożnie.

- Nie, nie powiedziała wprost, ale chyba zrozumiałem, co miała na myśli.

- Karamanlis zaczął pakować instrumenty medyczne do małej czarnej walizeczki. - Nigdy nie kryła troski o twoje stosunki z Aleksandrem.

- Tak...

- Cieszę się, że złożyłeś jej tę obietnicę. To naprawdę wiele dla niej znaczyło.

Kirakis podszedł do wielkich okien wychodzących na zatokę. Zapatrzony w spokojne fale Morza Egejskiego, powiedział:

- Obiecałbym jej wszystko, absolutnie wszystko. Ale czy potrafię dotrzymać słowa?

- Życzyłaby sobie tego... Ale nie muszę ci chyba o tym mówić.

Kirakis postanowił zmienić temat.

- Jak do tego doszło? - zapytał. - Dlaczego wszystko potoczyło się tak szybko? Przecież jeszcze niedawno czuła się zupełnie dobrze. Nawet Aleksander twierdzi, że wyglądała znakomicie.

- Trudno powiedzieć. Mogę tylko przypuszczać... Chyba przeczuwała, że nie zostało jej wiele czasu, i postanowiła tych kilka ostatnich miesięcy spędzić blisko ciebie i Aleksandra. Stąd ten pomysł z wyjazdem do Nowego Jorku na święta, mimo że wyraźnie jej zabroniłem.

- Myślisz, że podróż zaszkodziła?

- Na pewno nie przyczyniła się do poprawy.

- Lepiej nie mów o tym Aleksandrowi. I tak już obwinia siebie o sprawienie jej kłopotów.

- Możesz na mnie polegać... Jak zawsze.

Kirakis spojrzał na niego uważnie. Aluzja była aż nazbyt wyraźna.

- Doskonale sobie zdaję sprawę, że Melina nie chciałaby, żeby Aleksander czuł się winny. A swoją drogą, on już dawno przestał być dzieckiem. Kiedy, Constantine, zamierzasz zacząć traktować go jak dorosłego.

- Czasem mam wrażenie, że ten chłopak za szybko stał się mężczyzną. Wszystko dzieje się za szybko. - Ponownie odwrócił twarz w kierunku morza. - Dlaczego Melina była tak zamknięta w sobie? Dlaczego nigdy nie powiedziała mi, jak źle się czuje?

- Nie chciała cię niepokoić, a przede wszystkim chciała ukryć przed Aleksandrem, jak wiele kosztowała ją podróż do Stanów. Bała się, że będzie sobie wyrzucał, że nigdy nie miał czasu przyjechać do domu i pośrednio przyczynił się do pogorszenia stanu jej zdrowia.

- Wiem, starała się zrozumieć Aleksandra, jego oddanie interesom firmy. Mój Boże, przez całe życie była otoczona biznesmenami. Był nim jej ojciec, byłem ja i Aleksander. - Nie mógł już powstrzymać narastającej w nim fali goryczy i żalu. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył z całej siły w ścianę. - Czy wiesz, Peryklesie, jak to jest, gdy patrzysz bezsilnie, jak ci się wymyka ukochana

osoba? Czy znasz to uczucie bezsilności? Bezgranicznej, przerażającej bezsilności?

- To uczucie towarzyszy mi od pierwszego dnia pracy w moim zawodzie - odparł cicho Karamanlis.

- Muszę powiedzieć Aleksandrowi. Mógłby tu wejść, nieprzygotowany, i...

- Nie znajdziesz go w jego pokoju - powiedział Karamanlis, widząc, że Kirakis rusza do drzwi. - Jakaś godzinę temu widziałem go w bibliotece. Zasnął w fotelu.

- Był potwornie zmęczony... - Przez chwilę Kirakis trzymał dłoń na klamce, jakby zapomniał, co miał zrobić, a potem otworzył drzwi i wyszedł.

Karamanlis skoncentrował się na wypełnianiu aktu zgonu. Nie chciał tego robić przy Kirakisie. Zastanawiał się, który z nich, ojciec czy syn, silniej odczuje śmierć Meliny.

Aleksander przebudził się gwałtownie. W pierwszej chwili nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. Dotarło do niego w końcu, że jest w domu, że zasnął w bibliotece. Śniły mu się jakieś koszmary. Odetchnął z ulgą, że to tylko sen. Raptem uświadomił sobie całą prawdę. To nie był żaden sen. Jest na wyspie, w domu, ponieważ jego matka umiera. Poderwał się na nogi i zapalił lampkę przy biurku. Całe ciało miał zeszywniałe od leżenia w niewygodnej pozycji. Ciekaw był, jak długo spał. Gdzie podział się ojciec? Chyba nic się nie stało, bo inaczej przyszedłby po niego...

Otworzyły się drzwi i Aleksander zobaczył ojca. Nie musiał nic mówić.

- Mama... - zaczął Aleksander, ale głos mu się załamał.

- Już po wszystkim - odrzekł grobowym głosem ojciec.

- Ja... Czy... Czy bardzo cierpiała?

- Karamanlis twierdzi, że nie.

- To dobrze... Bałem się, że będzie cierpiała, zanim... - Odwrócił się gwałtownie i utkwiał wzrok w odległym morzu. - Dobrze, że przynajmniej tyle mogła dla niej zdziałać nasza wspaniała medycyna.

Kirakis podszedł do syna. Stali teraz, nie poruszając się i nie odzywając się ani słowem. Przez wiele długich sekund zdawało się, że w pokoju są jedynie ich rozgorączkowane myśli, a ich samych już nie ma... Dziwnie nienaturalnie zabrzmiał głos Kirakisa:

- Płacz, Aleksandrze, nie powstrzymuj łez. W takiej chwili łzy nie przynoszą ujmy.

- Nie, ojciec. Czy płacz może ulżyć naszemu bólowi? Czy zwróci nam matkę?

- Nie... Nic już nam jej nie wróci, ale nie powinieneś zamykać w sobie uczuć, dusić w sobie bólu. Wyrzuć z siebie wszystko.

- Nie potrafię - rzekł Aleksander. Sięgnął po przerzuconą przez oparcie krzesła zamszową kurtkę i włożył ją. - Wybacz, ojciec, ale muszę przez chwilę być sam. Zrobię sobie mały spacer.

Wybiegł z biblioteki z takim impetem, że o mały włos nie przewrócił wchodzącej właśnie Heleny. Popatrzyła za nim, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu zwróciła się do Kirakisa:

- Aleksander... Nic mu nie jest? - Na pokrytej zmarszczkami twarzy odbijała się szczerza troska.

- Nic mu nie będzie - odrzekł spokojnie Kirakis.

- To nie jest dobry pomysł, by teraz był sam.

- Przeciwnie, Heleno. Niech będzie sam, jeśli tak chce. To jego sposób... Nigdy otwarcie nie okazywał swoich uczuć. Zrobi to dopiero wtedy, gdy będzie pewien, że nikt go nie widzi. - Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Jest już mężczyzną, sam muszę zdać sobie z tego sprawę. Jeśli właśnie tego mu potrzeba, nie będę się wtrącał. Rozumiem go. Ja także pragnę teraz samotności.

Nicos, osiodłaj dla mnie Casablancę! - wykrzyknął Aleksander, przekraczając próg stajni.

Chłopiec stajenny poderwał się na równe nogi.

- Tak jest, panie Kirakis. Jedną chwilę.

Pobiegł wzdłuż stanowisk z końmi po ulubionego

wierzchowca Aleksandra. Robił co mógł, by koń był gotowy jak najszybciej. Aleksander czuł się tak, jakby w jego wnętrzu znajdowała się bomba zegarowa, która w każdej chwili mogła eksplodować. Żal, ból, smutek z powodu śmierci matki staczały walkę z uczuciami gniewu, złości i zawodu. Dlaczego?... - pytał sam siebie. - dlaczego czuł się zdradzony i opuszczony? Dlaczego nie potrafił dać upustu żalowi, a tak łatwo przychodziło mu uzewnętrznianie gniewu?

- Nicos!-wrzasnął. -Nicos!!!

W odległym końcu stajni pojawił się najpierw chłopak stajenny, a zaraz za nim prowadzona przez niego klacz: piękny arab czystej krwi, czarny jak najczarniejsza noc.

- Zaraz go osiodłam. To zabierze tylko...

- Nie trzeba! - warknął Aleksander. - Wezmę ją bez siodła!

Wskoczył na grzbiet konia, zebrał cugle i ściskając kolanami boki klaczy, puścił się galopem. Ruszył przed siebie, jakby ścigał go sam diabeł.

Melina Kirakis została pochowana w ogrodzie pośród ukochanych kwiatów pięknego ranka pod koniec kwietnia. Aleksander chciał natychmiast po ceremonii pogrzebu odlecieć do Nowego Jorku, lecz ojciec przekonał go, by został jeszcze kilka dni, odpoczął i przygotował się na trudy pracy, której nawał czekał na niego w Stanach. Kirakis wiedział, że za wszelką cenę nie może pozwolić synowi uciec z wyspy zaraz po pogrzebie.

Trzy dni później Constantine Kirakis siedział przy biurku w bibliotece i jak zaklęty wpatrywał się w wiszący nad kominkiem portret Meliny. Melina... jego jedyna miłość, jedyny skarb... Miała w dniu ich ślubu w 1926 roku osiemnaście lat. Jej uroda zapierała dech w piersi, nie było piękniejszej panny młodej, stała wyprostowana, z podniesioną głową, w śnieżnobiałej wiktoriańskiej sukni ślubnej z mieniącego się jedwabiu, z długim na trzy metry trenem, mnóstwem najdelikatniejszych koronek i dziesiątkami drogocennych pereł. Na upiętych w luźny kok blond włosach miała tradycyjny wianuszek z białych kwiatów, który nowożeńcy zawsze nosili podczas ortodoksyjnej ceremonii greckich zaślubin. Nadal pamiętał wypowiedziane tamtego dnia słowa: „Costa, stajesz się jedyną miłością mojego życia”. Jedyną miłością mojego życia... Kirakis uśmiechnął się do wspomnień. Przez ponad czterdzieści lat ich małżeństwa nigdy nie miał najmniejszej wą-

pliwości, że Melina dochowała mu wierności. Prędzej by umarła, zanim pozwoliłaby się dotknąć innemu mężczyźnie.

Nie przypuszczał, że będzie ją kochał jeszcze bardziej niż tamtego dnia, gdy stanęli obok siebie, by otrzymać błogosławieństwo na całe życie.

Przeszli razem przez wiele burz, dzielili sukcesy i porażki, radości i smutki. Zawsze razem. Razem dojrzewali. Melina z upartej, porywczej nastolatki wyrosła na zrównoważoną, elegancką kobietę, której nieskazitelne maniery i ujmujący styl bycia robiły wrażenie nawet na tych, którzy nie mieli szczęścia poznać ją bliżej. On z narwańca i raptusa ze slumsów Pireusu stał się ogólnie poważanym, potężnym mężczyzną. Boże, co ja teraz pocznę, kiedy ciebie nie ma? Jak bez ciebie przetrwam? Otworzyły się drzwi i do biblioteki weszła Helena, niosąc na tacy jedzenie.

- Wiem, że był pan bardzo zajęty przez cały ranek -powiedziała, stawiając tacę na biurku. - Pomyślałam więc, że może wołałby pan tutaj zjeść lunch.

- Owszem, Heleno, dziękuję - odrzekł. Postawiła przed nim filiżankę kawy.

- Jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie, myślę, że chyba za szybko chce pan wrócić do pracy po pogrzebie *madame*. Potrzebuje pan trochę czasu, tak sądzę.

- Doceniam twoją troskę, Heleno, ale praca jest w tej chwili tym, czego mi najbardziej trzeba. Czy Aleksander będzie jadł lunch w jadalni?

- Aleksander nic nie będzie jadł. Weszło mu w nawyk opuszczanie kolejnych posiłków. Martwię się o niego. Prawie w ogóle nie jada, nie śpi po nocach... Tłucze się całymi godzinami...

- Gdzie on teraz jest?

- Wyszedł znowu na spacer. W ciągu kilku ostatnich dni otrzymał wiele telegramów, kilka razy do niego telefonowano. Na żaden z tych telefonów nie odpowiedział. Telegramy przysły z Nowego Jorku i chyba niektóre z nich są pilne.

- Muszę z nim porozmawiać. Dasz mi znać, kiedy wróci?
- Oczywiście, proszę pana.
- Dziękuję.

Helena położyła na stole ostatni talerzyk i cichutko, na palcach, wyszła. Kirakis sięgnął po filiżankę. Pogrążony w rozmyślaniach, przyglądał się pracującym w ogrodzie robotnikom, popijając gorącą kawę. Martwił się o syna. Od dnia śmierci Meliny Aleksander przestał być sobą. Nie reagował na nic. Zupełnie jakby wraz ze śmiercią matki umarła część jego duszy. Kirakis podejrzewał, że Aleksander jest bliski utraty kontroli nad sobą. Kiedy chowano Melinę, podczas ceremonii pogrzebu, Aleksander wydawał się cichy i przygnębiony, jakby zapatrzony w siebie tylko znaną dal. Kiedy kilku zaproszonych na pogrzeb przyjaciół rodziny podeszło do niego, by złożyć kondolencje, odwrócił się i odszedł. Kirakis nie widział go przez cały dzień. Wrócił dopiero późno w nocy. Nie wytłumaczył się ze swojego zachowania, ani słowem nie wspomniał, gdzie był przez cały ten czas.

Następne dni nie przyniosły żadnej zmiany w jego zachowaniu. Może stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie. Kirakis, dopijając kawę, doszedł do wniosku, że trwa to zbyt długo. Czas najwyższy, by poważnie z nim porozmawiać.

Późnym popołudniem do biblioteki ponownie zajrzała Helena.

- Prosił pan, żebym dała znać, kiedy Aleksander...
- Tak, tak - przerwał jej Kirakis. - Wrócił?
- Kilka minut temu wszedł na górę. Prawdopodobnie jest w swojej sypialni. Minał mnie tak, jakby w ogóle mnie nie zauważył. Jakbym była powietrzem.
- Dziękuję, Heleno.
- Tak, proszę pana. - Zamknęła za sobą drzwi. Kirakis wstał. Podeszedł do portretu Meliny.
- Możliwe, że miałaś rację - rzekł zasmucony. - Najwyższy czas rozliczyć się z przeszłością raz na zawsze. Aleksander i ja musimy razem spojrzeć w przyszłość.

Wchodząc do sypialni, Kirakis zastał Aleksandra przy pakowaniu dużej podróżnej walizki.

- Nie mogłeś kazać zrobić to komuś ze służby? -zapytał. - W końcu za co im płacimy?

Aleksander nawet nie podniósł na niego wzroku.

- Sam doskonale sobie z tym poradzę - odrzekł spokojnie. - Po prostu wolałem, żeby nikt się tu nie plątał.

- Rozumiem... Zamierzasz wyjechać?

- Jutro. Za długo nie było mnie w firmie. W Nowym Jorku czekają obowiązki, których nie mogę odkładać tylko z powodu... - Urwał.

- Tylko z powodu śmierci matki? Czy nie masz ludzi, którzy mogliby się zająć interesami podczas twojej nieobecności?

- Oczywiście, mam. - Aleksander westchnął.

- Więc po co ten pośpiech? - Kirakis usiadł na łóżku. - Najlepiej byś zrobił, zostając jeszcze kilka dni.

- Czy to polecenie prezesa rady nadzorczej? - zapytał prowokacyjnie.

- Nie. To ojcowska prośba. - Jego głos przepełniony był smutkiem.

Aleksander chciał coś powiedzieć, ale ojciec powstrzymał go ruchem ręki. - Wiem, co myślisz. Jesteś dorosły i nie mam prawa podejmować za ciebie decyzji. I nie chcę wywierać na ciebie nacisku, tak jak to twierdzą niektórzy w Nowym Jorku. Ale niezależnie od twojego wieku nasze stosunki są takie, jakie są. Nawet gdy będziesz miał osiemdziesiąt lat, nadal będę twoim ojcem. Moje uczucia do ciebie nigdy nie ulegną radykalnej zmianie. Wiele się wydarzyło i zapewne masz mi za złe wtrącanie się do twojego życia prywatnego, ale teraz, właśnie teraz mamy szansę zostawić to za sobą. Możemy znowu być blisko, mój synu.

Aleksander milczał.

- Po co? - powiedział wreszcie. - To zbyt bolesne, ojcze. Darzysz kogoś uczuciem, a potem ten ktoś porzuca cię albo umiera. Albo zdradza.

Kobiety porzucają dzieci, mężowie zdradzają żony... Lepiej pozostać obojętnym, nie pozwalać sobie na chwile słabości, z nikim się nie wiązać.

- Twoja matka nie porzuciła cię, Aleksandrze - rzekł Kirakis, zaniepokojony słowami syna. - Twoja matka umarła. To pewna różnica. Jej duch żyje nadal pośród nas, pośród tych, którzy ją kochali.

- Czy tak nie byłoby prościej?

- To zniszczyłoby całą radość życia. Kiedy zaczynałem, nie miałem nic. Zbudowałem Athena Shipping Company od podstaw, choć nie było to łatwe. Same ambicje nie wystarczały w tamtych czasach. Motorem napędowym wszystkich moich działań był strach przed nędzą i... miłość. Gdy dorastałem w Pireusie, liczyła się dla mnie najbardziej moja matka. Umarła w cierpieniach tylko dlatego, że byliśmy zbyt biedni na opłacenie kosztów leczenia. Nigdy nie wybaczyłem tego światu i sobie. Nazwałem korporację jej imieniem: Athena. Na pamiątkę. A potem była twoja matka... Bez niej, bez jej miłości i wsparcia wątpię, czy dałbym sobie radę. Ja też przeżywam jej śmierć. Nie jestem pewien, czy bez niej... Nie wiem, co dalej będzie. Wiem jedno: tych lat, które wspólnie przeżyliśmy, nie zamieniłbym na nic, nie oddałbym za żadne skarby świata. To dzięki niej byłem silny, dzięki niej stałem się tym, kim zawsze chciałem być. W jakiś dziwny sposób zawsze postrzegałem siebie jej oczami. Moją wartość mierzyłem jej miłością, jej wiarą we mnie. Przeszliśmy wiele, ale w pamięci pozostały przede wszystkim te szczęśliwe chwile. To było naprawdę udane małżeństwo. Silne. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

- Nawet wtedy, gdy umarł Damian? - zapytał ostro Aleksander. Kirakis przyglądał się synowi. Nie widział w nim gniewu.

- Był to najtrudniejszy okres w naszym życiu. Nie przeżyłbym, gdyby nie było jej przy mnie. Nasza miłość dodała nam wtedy sił...

- Jakoś nigdy nie potrafiłem myśleć o tobie jako o idealistcie - zauważył Aleksander, wracając do pakowania walizki.

- Ja o sobie też nie. Nie trzeba jednak być idealistą,

by kochać, by z kimś żyć. - Nagle zdał sobie sprawę, że w ten sposób nic nie osiągnie. Postanowił zmienić front. - Twoja matka była wyjątkową kobietą. Bardzo chciała mieć dzieci, no i wiedziała, jak bardzo pragnę syna. Bałem się o nią. Nie chciałem, by ryzykowała życie, ale Melina zawsze potrafiła postawić na swoim. Jeśli już coś postanowiła, lepiej było schodzić jej z drogi.

- Ojciec - powiedział Aleksander - to naprawdę nie ma sensu...

- Daj mi skończyć! Po wielu nieudanych próbach i po utracie Damiana niemal przestała wierzyć w to, że kiedykolwiek będzie miała dziecko, zdrowe dziecko. I wtedy pojawiłeś się ty. Ty, Aleksandrze, byłeś światłem jej życia. Kochała cię bardziej, niż można sobie wyobrazić. Wielbiła cię.

- Ojciec! Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym teraz o tym nie rozmawiać... O matce...

- Uważam, że ta rozmowa jest konieczna, Aleksandrze. - Kirakis nie dawał za wygraną. - Twoja matka * zawsze się o ciebie martwiła. Nie mogła pogodzić się

z myślą, że jesteś samotny, i nie chciałyby widzieć ciebie takim...

- Do jasnej cholery! Doskonale wiem, czego by nie chciała! - wybuchnął nagle Aleksander. Chwycił z nocnego stolika fotografię oprawioną w srebrną ramkę

i rzucił nią z wściekłością o ścianę.

- Nic na to nie poradzę! Chcę tylko, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Może wtedy minie ból!

Po twarzy pociekły mu łzy. Ojciec podszedł do niego i przygarnął go do piersi.

Nareszcie - pomyślał. - Nareszcie obydwaj zaczynamy odnajdywać spokój.

Malibu

Nick Holliday, ubrany w smoking, stał przed lustrem i mamrotał pod nosem jedno przekleństwo za drugim.

Usiłował właśnie umieścić muszkę na miejscu, w którym jego zdaniem powinna się znajdować.

- Ten, kto projektował ten przekłety małpi garnitur, musiał być członkiem Inkwizycji - mruknął z irytacją. - I niech mi ktoś powie, że nie stosuje się już piętnasto-wiecznych narzędzi tortur!

Meredith zaśmiała się głośno.

- Czy zawsze musisz tak zrzędzić, kiedy masz ubrać się w coś bardziej eleganckiego niż bawełniana koszulka? - Pospieszyła mu z odsieczą. -

Osobiście uważam, że wyglądasz szalowo.

- Co? W tym? Wyglądam jak starszy kelner w Chasen's.

- Nonsens. - Pocałowała go lekko. - Będziesz wyglądał naprawdę rewelacyjnie, gdy wyjdiesz na podium po swego Oscara.

- Jeśli będę miał w ogóle po co wychodzić... Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Nie uwierzę - drażniła się. - Nasz bohater ma tremę!

- Nie bądź śmieszna - burknął. - To tylko ten cholerny smoking.

- Och, Nick, przyznaj się! Boisz się tego, co cię tam czeka...

Wahał się jeszcze chwilę, po czym powiedział z rezygnacją:

- Tak, masz rację, jestem trochę podenerwowany. Po raz pierwszy dostałem nominację. Wygrać za pierwszym razem, przy pierwszej nominacji... Nie warto postawić na to w Vegas nawet złamanego szeląga.

Meredith położyła ręce na jego ramionach.

- Zrelaksuj się. Jeśli członkowie Akademii mają pod czaszką choćby szczątki mózgu, na pewno poznają się na prawdziwym arcydziele.

- Tego się właśnie obawiam.

- Gdzie się podział twój optymizm? Co się stało z Nickiem Holldayem, w którym się zakochałam?

- Poszedł na lunch - odburknął.

- Nie wierzę własnym uszom. Czy to nie ty mówiłaś, że wygranie Oscara o niczym nie świadczy? Że chodzi

przede wszystkim o rozgrywki polityczne? Czy to nie ty twierdziłeś, że wcale cię nie obchodzi, czy dostaniesz tego Oscara czy nie, ponieważ liczy się naprawdę tylko pełna kasa?

- Skłamałem.

- Posłuchaj - powiedziała miękko - nawet jeśli go nie dostaniesz, pamiętaj, że nominacja to również duży sukces. Ilu znanych reżyserów i wielkich gwiazd filmowych nigdy w swojej karierze nie dostąpiło tego zaszczytu?

- Starasz się tylko poprawić mi humor.

- Ale nie zmyślam. A gdyby jakaś głupia pomyłka Akademii spowodowała, że nagroda przeszłaby ci koło nosa, to zawsze jest następny rok.

- Zawsze będzie następny rok. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Pocałowała go.

- Tak nawiasem mówiąc, miałeś rację: liczy się tylko kasa. Oboje wiemy, że w tym zmiażdżyłeś całą konkurencję.

- Prawda, chyba mam kłopoty z pamięcią. Czym ja się przejmuję? - Objął ją. - Co ja bym bez ciebie zrobił?

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał się o tym przekonać.

- Czy mówiłem już, jak to dobrze, że znowu jesteś w domu?

- Tylko dwadzieścia trzy razy - odparła, tłumiąc wybuch śmiechu.

- Gdyby mogło tak być zawsze - pomyślała. - Gdybyśmy mogli być znowu tak szczęśliwi, jak na początku...

Nadal intrygował ją Kirakis. Musiała otwarcie przyznać, że zaskoczyła ją własna nerwowość i brak pewności siebie. Ciągle nie wiedziała, czym bardziej się przejmować: umizgami Aleksandra czy własną na nie reakcją. Wmawiała sobie, że teraz nie ma to znaczenia. Wróciła do domu, rozwiązała wspólnie z Nickiem dręczące ich problemy i ostatecznie zamknęła rozdział kariery opatrzone nagłówkiem „Tom Ryan”.

Zaakceptowała rzeczywistość, pogodziła się z tym, że na wszystkie pytania, które chcia-

ła zadać Ryanowi, nie znajdzie już odpowiedzi. Tom Ryan umarł. Było jej trudno zapomnieć o całej sprawie, zwłaszcza gdy patrzyła na portret Elizabeth i Davida, ale nic już nie mogła poradzić. Tom Ryan umarł, a wraz z nim wszystkie plany.

- Wiesz co? - zapytał Nick. - Przeżyję to, nawet jeśli dzisiaj obejdę się tylko smakiem. Przeżyję wszystko, dopóki będziesz przy mnie.

- Nie pozbędziesz się mnie łatwo - zagroziła.

- Nigdy w życiu! - wykrzyknął i spojrzał na nią znacząco. Była jeszcze w bieliźnie. - Pójdę chyba na dół i zaczekam tam na ciebie. W tych warunkach mógłbym w ogóle zapomnieć o całej imprezie.

- Będę za chwilę - obiecała.

Wyszedł z pokoju. Meredith podeszła do szafy i wyjęła suknię.

Przyglądała się jej i gratulowała sobie wytrwałości w poszukiwaniach.

Spędziła całe popołudnie na Rodeo Drive, ale się opłaciło. To, co

znalazła, idealnie nadawało się na ceremonię przyznania nagród

Akademii. Suknia robiła oszałamiające wrażenie. Jedwab i atłas, w

królewskim błękitcie. Olśniewająca kreacja, ostatni krzyk mody. Od piersi do bioder ściśle przylegała do ciała, by później, lekko rozszerzając się,

opadać aż do stóp. Koronkowa wstawka podkreślała dekolt, a

provokacyjne rozcięcie na udzie mogło przyspieszyć bicie każdego

męskiego serca. Ubrała się w to cudo, włożyła srebrne buciki na wysokim

obcasie i stanęła przed największym lustrem w domu. Była zadowolona.

Nigdy nie wyglądała lepiej. Suknia okazała się warta swej wstrząsającej

ceny. Przecież będą dziś na oczach całego świata, na każdym szklanym

ekranie, w każdym domu. Wiedziała, że Nick dostanie swego

zasłużonego Oscara - czuła to - a ona będzie w tej chwili triumfu u jego

boku. I będzie wyglądała wspaniale.

Sięgnęła po naszyjnik z brylantów i kolczyki - gwiazdkowy prezent od

Nicka. Nigdy przedtem nie widziała tak niezwykłych diamentów.

Zachodziła w głowę, dlaczego Nick upierał się, że pasują do jej oczu.

Raczej je uzupełniają - uśmiechnęła się do swoich myśli. - Cóż,

kochanie, przebyłaś długą drogę z ponurych dołów klasy średniej, ale to jeszcze nie koniec.

Jeszcze raz popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Kocham Nicka. Nie ma idealnego związku, każda para ma swoje problemy. Więc dlaczego...

Nagle ujrzała w lustrze jasną twarz Aleksandra. To szaleństwo! Przecież nie kocham Kirakisa! - łajała siebie. A jednak nie mogła wyrzucić go z myśli.

Rozczesała włosy - opadały jej swobodnie na ramiona - setny raz poprawiła szminkę i chwyciła srebrną torebkę. Nick pewnie już się niecierpliwi.

Na zewnątrz Pawilonu Dorothy Chandler czaiły się tłumy reporterów, chcących fotografować sławy zjawiające się na uroczystości wręczenia nagród. Zajmowali każdy centymetr kwadratowy pomiędzy jezdnią a holem i bynajmniej nie zachowywali się jak stadko potulnych przedszkolaków podczas podwieczorku. Gdy Meredith i Nick wysiedli z limuzyny, zostali nagle oślepieni nie kończącą się serią upiornie jasnych fleszy. Zaraz potem jakiś dziennikarz, który wygrał przepychankę przy barierce, omal nie wybił Nickowi zębów mikrofonem średniego kalibru. - Jak pan ocenia swoje szanse na Oscara za reżyserię? Nick uśmiechnął się i odparł z zimną krwią:

- Powiedziałbym, że wszyscy nominowani mają równe szanse.

- Czy uważa pan, że „Refleksje” zostaną uznane za najlepszy film roku? - kontynuował atak reporter.

- Trzymam za to kciuki - odparł Nick, puszczając oko do kamery.

Na szczęście od holu dzieliło ich tylko kilka metrów. Gdy weszli do środka, Meredith szepnęła Nickowi do ucha:

- Zawsze myślałam, że o wiele trudniej być po drugiej stronie mikrofonu. Po dzisiejszych doświadczeniach będę chyba okazywała więcej sympatii moim ofiarom. -1 dodała szybko: - Ale bez taryfy ulgowej!

Nick roześmiał się serdecznie.

- Posłuchaj, kochanie, może niektórzy z tych hollywoodzkich ważniaków zachowują się tak, jakby byli wyprowadzeni z równowagi przez płaczących się pod nogami fotoreporterów, ale uwierz mi, o wiele bardziej zdenerwowałyby ich, gdyby w ogóle nie okazano im zainteresowania.

Wszyscy nominowani siedzieli przy kilku stolikach najbliższych podium. Dziennikarze z wielu stacji telewizyjnych przygotowywali się do transmisji - w strojach wieczorowych i uzbrojeni w kamery bądź mikrofony. Część kamer już pracowała. Meredith wiedziała, czego szukają w tłumie gości - szukają znanych twarzy, by zaprezentować publiczności kryjące się w nich ludzkie uczucia: niepokój, nadzieję i, w niektórych przypadkach, zawód. Choć Meredith przygotowana była na to, że będzie w centrum uwagi, wolałaby jednak występować w roli dziennikarki telewizyjnej.

Wywołano właśnie pierwszego nagrodzonego, filmowca, który zmarł dwa tygodnie po otrzymaniu nominacji. Przyznanego pośmiertnie Oscara odbierały wdowa i córka. Następnie na podium wszedł wokalista, którego piosenka zatytułowana „W oczach nieznajomego”, pochodząca z „Refleksji”, otrzymała nominację do nagrody Akademii Filmowej. Pogasły wszystkie światła. Za wokalistą pojawiła się na dużym ekranie para niezwykłych oczu.

Nick nachylił się do Meredith i powiedział szeptem:

- Ten ma już Oscara w kieszeni. Jedyne sprzęt, z którego w tym tygodniu nie popłynie „W oczach nieznajomego”, to kuchenka mikrofalowa. - Meredith uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, jak bardzo Nick stara się ukryć zdenerwowanie. - Przynajmniej tyle dostanie ten nie dorobiony film - rzekł.

Ceremonia zbliżała się do punktu kulminacyjnego - ogłoszenia zwycięzcy w dziedzinie reżyserii. Meredith wyraźnie dostrzegła wzrastające na sali napięcie, którego epicentrum znajdowało się przy jej stoliku, w duszy Nicka

Hollidaya. Odczytano nazwiska pięciu wyróżnionych reżyserów i tytuły ich filmów. Pozostało już tylko kilka sekund, potrzebnych prezenterowi na otwarcie ozdobnej koperty i wyjęcie kartki z nazwiskiem zwycięzcy.

- Za najlepszego reżysera roku uznano... Nicka Hollidaya za film „Refleksje!”

Stało się! Nick poderwał się z miejsca i wśród oszłamiającego aplauzu wszedł na podium. Meredith patrzyła na niego z dumą i zastanawiała się, co też najlepszy reżyser roku powie za chwilę do zebranych na sali.

Wiedziała, że nie miał w zanadrzu żadnej mowy na tę okoliczność. Nick przyjął nagrodę i przez chwilę niezdecydowanie obracał ją w dłoniach.

- Nie jestem przygotowany na ten zaszczyt - zaczął. - Jedyne, co w tej chwili przychodzi mi na myśl, to słowa podziękowania dla wszystkich, którzy przyczynili się do powstania „Refleksji,” dla naszych wspaniałych aktorów i dla całego zespołu. Mam też w tej chwili okazję spłacie choćby część długu wdzięczności wobec Toma Ryana, który znalazł mnie pod bramą wytwórni Centurion i wprowadził do środka. Ale największe podziękowania należą się tej, która wierzyła we mnie przez cały czas, Meredith, kocham cię, skarbie! - Uniósł trofeum w górę i wskazał ręką w jej kierunku.

W sali nadal jeszcze huczało od braw, gdy Nick, trzymając Oscara, wrócił do stolika. Promieniował zadowoleniem z siebie.

- Widzisz? - wyszeptała Meredith. - Po co były te nerwy? Spojrzał na nią błyszczącymi z podniecenia oczami

i pochylił się, by ją pocałować. Żadne z nich nie przejmowało się tym, że są teraz łatwym łupem wścibskich kamer. W tej chwili było ich tylko dwoje w zatłoczonej sali.

Ateny

Główną siedzibę Kirakis Corporation stanowił nowoczesny dwudziestopiętrowy biurowiec, usytuowany

w Kolonaki, ekskluzywnej dzielnicy Aten, w niewielkiej odległości od Banku Greckiego. Aleksander był tutaj ostatni raz wiele lat temu, zaraz po otrzymaniu dyplomu Harvardu w dziedzinie zarządzania. Tamtego dnia odrzucił ofertę ojca, który proponował mu objęcie wysokiego stanowiska w dziale operacji światowych. Chciał wrócić do Nowego Jorku, miasta, w którym się zakochał. Ojciec nigdy nie pogodził się z tym, że syn postanowił opuścić na stałe Grecję. Aleksander chciał samodzielności. W Atenach byłby tylko synem szefa.

Gdy tak stał na ulicy Leoforosa Venizelou i spoglądał na okazały budynek Kirakis Corporation, zdecydował, że już najwyższy czas wracać do domu, do Nowego Jorku. Cieszył się, że udało mu się zbliżyć do ojca. Zateśnił jednak do świata wielkich interesów, świata spotkań na najwyższym szczeblu i gier o najwyższe stawki.

Kiedy szedł w kierunku wind, uzbrojony strażnik natychmiast otworzył drzwi superszybkiej windy, która zatrzymała się dopiero na dwudziestym piętrze, gdzie mieściły się biura Constantine'a Kirakisa. Na górze został powitany przez osobistą sekretarkę ojca, Elenę Roumelis.

- *Kalimera*, panie Kirakis.

- *Kalimera*, Eleno. Zastałem ojca?

- Tak, ale... - Zawahała się. - Chyba rozmawia z kimś przez telefon.

Spodziewa się pana?

- Nie, przyszedłem bez zapowiedzi. Pomyślałem, że może uda mi się namówić go na lunch.

- Wątpię. Nie dzisiaj - odparła szybko Elena. - Dostał wiadomość o eksplozji w jednej z naszych kopalń diamentów na pustyni Namib. Stało się to tuż przed świtem. Zginęło kilku ludzi. Od rana jesteśmy w stałym kontakcie z biurami w Cape Town.

- Rozumiem, siła wyższa - rzekł Aleksander. - W tych okolicznościach nie będzie chyba miał mi za złe, jeśli wejdę do środka...

- Och nie, nie! Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła sekretarka. - Może coś podać? Kawę?

- Dziękuję, nie - odparł, przekraczając próg gabinetu

ojca. Constantine Kirakis siedział przy biurku. Trzymał słuchawkę przy uchu i notował coś szybko na kartce. Podniósł wzrok na chwilę, wskazał Aleksandrowi fotel i ponownie skupił się na rozmowie. W gabinecie prawie nic się nie zmieniło. Nadal widać tu było rękę matki, która kiedyś uparła się, że osobiście zajmie się wystrojem tego pomieszczenia.

Kierując się własnym wyczuciem i gustem męża, starannie dobrała meble, tkaniny i wykładziny ścienne - wszystko w jasnych kolorach. Spośród mebli wyróżniało się masywne antyczne biurko i kanapa pokryta delikatnym zamszem. Na ścianach zawieszono były, we wskazanych przez matkę miejscach, renesansowe obrazy. Matka naprawdę dbała o wygodę Constantine'a. Osobiście nadzorowała projektowanie jego prywatnego pokoju, usytuowanego obok gabinetu. Constantine mieszkał w nim, gdy musiał na dłużej pozostać w Atenach.

Ojciec skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

- W kopalniach w Namibii rozpętało się istne piekło - rzekł. Był wyraźnie zmęczony. - Zginęło pięćdziesięciu ludzi, a kilku uznano za zaginionych. Będę musiał chyba tam polecieć.

- Chcesz, żebym zrobił to za ciebie? - zaproponował Aleksander, wiedząc, że ojciec niechętnie decyduje się na jakiegokolwiek podróżę, szczególnie w ostatnim czasie.

- Dziękuję, doceniam twoje chęci, ale muszę załatwić to osobiście. Może miałbyś ochotę lecieć ze mną... Co cię sprowadza do Aten? Myślałem, że chciałeś spędzić trochę czasu w osamotnieniu.

- Zdecydowałem się wrócić do Nowego Jorku. Wyjadę chyba w tym tygodniu, więc prawdopodobnie nie będzie mnie tutaj, gdy wrócisz z Afryki. Przyszedłem zapytać, czy nie miałbyś ochoty na lunch w Geronifikas. - Ojciec lubił tę restaurację. - Wygląda jednak na to, że nic z tego.

Kirakis zmarszczył brwi.

- Niestety, obawiam się, że masz rację. Ale jutro moglibyśmy zjeść kolację w Helleniki Leschi Club. Może znalazłoby się trochę czasu na parę drinków i odrobinę nieszkodliwego hazardu. Dawno już niczego

takiego wspólnie nie robiliśmy. Oczywiście, pod warunkiem, że nie masz innych planów...

- Nie, nie mam żadnych planów. Spotkamy się tutaj?

- Tak. O siódmej trzydzieści. Powiniennem zdążyć. Kiedy Aleksander wstawał z fotela, ojciec ponownie

chwycił za telefon. Cape Town nie mogło czekać.

Aleksander uwielbiał spacerować. Pomagały mu się odprężyć. Jak daleko sięgała pamięć, nigdy nie lubił tłumu, nie cierpiał zamkniętych

przestrzeni. W Nowym Jorku często wracał do domu po pracy pieszo. W

Paryżu jego ulubionym terenem spacerowym były opustoszałe

o zmięczeniu brzozy Sekwany. Na rodzinnej wyspie chodził nocami po ogrodzie lub po oświetlonych przez księżyc jasnych piaskach plaży.

Spacerował o każdej porze i przy każdej pogodzie, zapominając o całym świecie. Teraz, idąc ruchliwymi ulicami Aten, doświadczał swoistej ulgi,

jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Zgoda między nim a ojcem...

To było ostatnie życzenie matki.

Zaszedł do lokalu o nazwie „Tawerna Ta Nissia”. Jak na tawernę był to niezwykle szykowny przybytek. Strop pokryto czerwonym drewnem

kalifornijskiej sekwoi, podłogi wyłożono marmurem, a ściany przypominały wielkie dzieła sztuki, będącej kombinacją rzeźby i ma-

larstwa. Na stolikach oczekiwały goście śnieżnobiałe obrusy i zastawa z chińskiej porcelany w turkusowym kolorze. Aleksander usiadł przy

jednym ze stolików

i zaczął przeglądać menu. Nie mógł jednak skupić myśli na wyborze

dania. Tak wiele wydarzyło się od czasu jego przyjazdu do Grecji kilka tygodni temu. Tak wiele się zmieniło. Utracił matkę i na nowo połączył

się z ojcem.

- Aleksander? Aleksander Kirakis?

Podniósł wzrok. Do jego stolika zbliżał się Frederick Cocyannis.

Aleksander dawno nie widział przyjaciela. Aż trudno było go poznać.

Postarzał się. Miał już około pięćdziesięciu lat, ale nadal był przystojnym mężczyzną.

Aleksander podniósł się z krzesła i uśmiechnął na powitanie.

- Frederick! Wspaniale znów cię widzieć! - Uścisnęli sobie dłonie.
- Aleksandrze... Przykro mi z powodu twojej matki. Irene i ja byliśmy wtedy w Biarritz...
- Już dobrze, Frederick. I tak nic nie moglibyście dla niej zrobić.
- Chciałem zobaczyć się z twoim ojcem, ale... W takiej trudnej sytuacji...
- Tak, to prawda - zgodził się Aleksander. - Jak na te okoliczności ojciec trzyma się całkiem nieźle. A jak tam Irene?
- Dobrze, bardzo dobrze. Jest teraz w Londynie z wizytą u Thione. Thione, córka Cocyannisów, była rówieśniczką Aleksandra. Zdaje się, że Cocyannis wiązał z córką i z nim pewne nadzieje. Aleksander zastanawiał się, jak zmienić temat rozmowy, gdy do restauracji weszła jakaś kobieta i pomachała w ich kierunku. Cocyannis zaprosił ją ruchem ręki, by się do nich przysiadła. Aleksander był wdzięczny tej kobiecie, a zarazem nią zainteresowany. Czyżby plotki były prawdziwe? Czyżby Cocyannis miał rzeczywiście romans? Wyglądało na to, że zaraz pozna prawdę. Uważnie przyglądał się nieznamym. Była wysoka, a przy tym oszałamiała zaskakująco pełnymi kształtami, uformowanymi we wspaniałą, podkreślaną przez czarną suknię od Valentino, figurę. Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział. Wzrok Aleksandra przykuwały jej cudowne czarne włosy, opadające falami na ramiona. W urodzie tej kobiety dostrzegł jednak coś wyzywającego, więc musi być ekskluzywną prostytutką, utrzymującą się z zaspokajania seksualnych zachcianek bogatych klientów. A Frederick Cocyannis był zapewne jednym z nich... Aleksander nigdy by w to nie uwierzył, gdyby nie zobaczył na własne oczy, gdyby nie dojrzał wymienianych spojrzeń. Poczul, że musi mieć tę kobietę.
- Aleksandrze, to Anná Constantelos - rzekł Cocyannis. - Anno, Aleksander Kirakis.

- Miło mi pana poznać. - Jej głos brzmiał jak zmysłowe mruczenie kotki.
- Zapewniam panią, że cała przyjemność po mojej stronie - odparł z uśmiechem. Wcześniej czy później -pomyślał.
- Gorączkowo zastanawiał się, jakim sposobem doprowadzić do sytuacji, w której będzie mógł porozmawiać z nią na osobności. Z pomocą przyszedł mu Cocyannis.
- Anno, muszę zadzwonić do biura - powiedział, spoglądając na zegarek. - Spodziewam się ważnej wiadomości od moich ludzi w Londynie. Zaczekaj chwilę w towarzystwie Aleksandra, zaraz będę z powrotem.
- Oczywiście, Frederick. Jestem pewna, że nie będziemy się nudzili.
- Cocyannis zerknął na Aleksandra i jeszcze raz powtórzył:
 - Zaraz będę z powrotem.
 - Możesz się nie spieszyć. Nigdzie nie ucieknę -zażartowała.
- Gdy tylko Cocyannis odszedł od stolika, Aleksander zwrócił się do Anny:
 - Jesteś bardzo pewna siebie.
 - Nie - odrzekła. - Jestem pewna ciebie. Uniósł brwi.
 - Och? A czemuż to? Roześmiała się perliście.
 - Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Wzrok potrafi wiele zdradzić, więcej niż słowa. Powiedz mi, spodobało ci się to, co zobaczyłeś?
 - Jeśli odpowiem „tak”, ile będzie mnie to kosztowało?
 - Czy matka nigdy ci nie mówiła, że to nieuprzejme od razu pytać o cenę?
 - Może... Ale ojciec zawsze mi powtarzał, że najważniejszą rzeczą jest wiedzieć od samego początku, co się kupuje i za ile.
 - Powinnam się domyślić - zauważyła z rozbawieniem.
 - Musimy się spotkać.

- Gdzie i kiedy?
- U ciebie, dziś po południu, jak tylko rozstaniesz się z Frederickiem.
- To niemożliwe. Jestem już umówiona.
- To odwołaj spotkanie. Będę u ciebie o trzeciej. Przez chwilę wahała się, a potem wzięła od Aleksandra wizytówkę i na odwrocie napisała swój adres.
- Tylko nie przychodź przed trzecią - ostrzegła. - Pozbycie się mojego... przyjaciela nie przyjdzie mi łatwo, będę potrzebowała trochę czasu. Aleksander uśmiechnął się chytrze.
- Jestem pewien, że dasz sobie radę. - Kątem oka dostrzegł wracającego Cocyannisa. - Powiedz mu, że musiałem już iść. Wstał od stolika i wyszedł z restauracji.
- Anna Constantelos mieszkała w nowo wybudowanym wieżowcu przy ulicy Patriachou Yoakima. Wchodząc do holu, Aleksander spojrzał na zegarek. Była za cztery trzecia. Zastanawiał się, czy już udało jej się pozbyć tamtego faceta. Nie chciał być takim samym klientem jak inni, lecz myśl o tym nieustannie powracała, gdy wjeżdżał na dziesiąte piętro i później, kiedy szukał apartamentu Anny. Rozwiąła się dopiero wtedy, gdy zaczął niecierpliwie przyciskać dzwonek u drzwi. Minęło kilka sekund, długich jak cała wieczność, zanim Anna stanęła w progu i zaprosiła go do środka. Była ubrana w szlafroczek z czerwonego jedwabiu; Aleksander nie miał wątpliwości, że pod spodem jest naga.
- Jesteś punktualny - zauważyła. - Zbyt punktualny. Popatrzył na nią pytająco.
- Mój przyjaciel - zaczęła wyjaśniać, idąc bosą w kierunku barku - nie miał chyba zbyt chęci na opuszczenie mieszkania. Widzisz, jego żona wyjechała z miasta na dwa tygodnie i spodziewał się, że większość wolnego czasu będzie mógł spędzić ze mną.
- Zupełnie mnie to nie obchodzi - rzekł Aleksander.
- Oczywiście. On jest bardzo bogaty, stoi na czele

największej firmy maklerskiej w Atenach. Rzecz jasna, jego bogactwo nie może się równać z twoim.

- Założę się, że faworyzujesz bogatych mężczyzn.
- Wszyscy moi kochankowie są bogatymi ludźmi. Tylko zamożnych stać na ponoszenie takich kosztów.
- Rozumiem, jesteś kosztowną rozrywką. A jesteś tego warta?
- Moi klienci najwyraźniej tak uważają - odparła arogancko. Wzięła do ręki szklaneczkę i zapytała: - Co dla ciebie?

- Ty-rzucił.

Nalała sobie ouzo i powiedziała spokojnie:

- Jesteś zbyt niecierpliwy. Na pewno nie chcesz się ze mną napić?
- Nie przyszedłem tutaj na drinki.
- Tego jestem zupełnie pewna. - Podeszła do niego i poluzowała mu krawat. - Zapomniałeś jednak o czymś: nie uzgodniliśmy jeszcze ceny.
- Ile? - zapytał bezbarwnym tonem.
- To zależy, czego ode mnie oczekujesz. - Umoczyła usta w słodkim napoju.
- Dobrze - rzekł, sięgając do portfela. Wyjął z niego kilka banknotów o dużych nominałach i rzucił jej pod stopy. - Myślę, że to powinno cię zadowolić.

Przyklękła i pozbierała pieniądze. Przeliczyła je dokładnie.

- To duża suma - powiedziała, patrząc mu w oczy.
 - Spędzę z tobą noc. Będę musiał na chwilę wyjść, ale wrócę.
- Skinęła głową. Stała wyprostowana i wygładziła szlafroczek.

- Interesują cię jakieś perwersje?
- A jeśli tak...? Wzruszyła ramionami.
- Klient płaci, klient wymaga. Byłam po prostu ciekawa. Dlaczego ktoś tak atrakcyjny jak ty musi za to płacić? Wydaje mi się, że mógłbyś mieć każdą kobietę, jaką tylko byś sobie wymarzył.

- Nie muszę za to płacić, zamierzam jednak w tym przypadku postąpić inaczej. Chcę cię mieć, a jestem przyzwyczajony otrzymywać to, na co mam ochotę.

- Przynajmniej jesteś szczery. Tak czy inaczej będziesz miłą odmianą. Moi klienci na ogół nie są tak młodzi i przystojni.

Rozwiązał węzeł przy jej szlafroku.

- W takim razie może to ty mi zapłacisz? - zasugerował, wsuwając ręce pod delikatny materiał.

Roześmiała się.

- Żaden mężczyzna nie jest dla mnie aż tak atrakcyjny - odparła.

Dłonie Aleksandra rozpoczęły wędrówkę po jej aksamitnej skórze.

Poszukał ustami jej ust i napał na nie. Stracony z ramion szlafrok posłusznie zsunął się na podłogę. Anna złapała za koniec krawata Aleksandra i zaproponowała:

- Chodźmy do sypialni.

- Rozbierz mnie, Anno - rzekł Aleksander chrapliwym głosem.

- W sypialni.

- Tutaj. Natychmiast.

Zgodnie z jego wolą zdjęła mu marynarkę i rozpięła koszulę. Przez chwilę gładziła opuszkami palców jego pierś. Przyłgnęła do niego całym ciałem, całując gorące usta.

- Chodźmy do sypialni - wyszeptała.

Nie odpowiedział. Chwycił w dłonie jej piersi, ustami miażdżył jej wargi.

Odsunęła się od niego nagle i biegnąc do sypialni, krzyknęła.

- Teraz, Aleksandrze. Weź mnie! Weź mnie teraz!

W pośpiechu zdarł z siebie resztki ubrania i rzucił się za nią. Zasłony były opuszczone i w sypialni panowały zupełne ciemności. Bez trudu jednak znalazł Annę. Napał na nią, pociągając na miękkie, sprężyste łóżko.

- Hej! kochanie, lubisz... jak widzę... grać ostro! - rzekła.

Wdzierał się w jej ciało z niezrozumiałą furją. Nie

trwało to długo. Nagle jego napiętym do granic wytrzymałości ciałem wstrząsnął dreszcz uniesienia. Anna poczuła ulgę, popatrzyła na leżącego obok bez ruchu Aleksandra. Miała przeczucie, że jego pożądanie jest czymś więcej niż zwykłą chęcią zaspokojenia fizycznej potrzeby.

Czego tak naprawdę od niej chciał?

O wpół do dziewiątej Constantine Kirakis nadal czekał na syna w swoim biurze. Był wściekły. Aleksander doskonale zdawał sobie sprawę, że on nie cierpi takich sytuacji. Powinien być tutaj już od godziny! Gdzież on się podziewa? Albo raczej: z kim?! Jeśli Aleksander, który zwykle był punktualny aż do przesady, spóźnił się na umówione spotkanie, bez wątplenia musiała kryć się za tym kobieta. Jego syn był niczym seksualny magnes, który przyciąga wszystkie kobiety, niezależnie od wieku, wszystkie bez wyjątku. Kirakis miał tylko nadzieję, że Aleksander będzie na tyle rozsądny, by unikać skandali, zwłaszcza podobnych do incydentu z Marianną Hauptmann. Pomyślał, że może to nawet dobrze, iż Aleksander nigdy się nie zakochał. Jego uczucia miały niezwykłą siłę. Gdyby się zakochał, mógłby łatwo stracić głowę.

Stanął przed oknem i zapatrzył się w odległe ruiny Akropolu. Wiedział, że nie powinien wypytywać syna, gdy się w końcu zjawi, dlaczego się spóźnił. Trudno będzie mu się powstrzymać, ale nie wolno teraz okazać braku zaufania. Tych kilka tygodni, jakie upłynęły od śmierci Meliny, zbliżyło ich do siebie i trzeba bronić tej zdobyczy. Poza tym, w zamian za złożoną przez syna obietnicę unikania związków, które mogły zakończyć się skandalem, przyrzekł, że nie będzie wtrącał się w jego prywatne sprawy.

Otworzyły się drzwi i wszedł Aleksander. Trzymał w ręku sporych rozmiarów torbę.

- Przepraszam ojczy, że kazałem ci tak długo czekać, ale zaraz po tym, jak wczoraj od ciebie wyszedłem,

przypomniałem sobie, że powinienem odpowiednio ubrać się na wizytę w Helleniki Leschi Club. Wszystkie moje rzeczy zostały na wyspie, więc musiałem odwiedzić parę sklepów. - Zrobił krótką pauzę, po czym dodał: - Wezmę tylko prysznic i już możemy iść. Za chwilę będę gotów.

Kirakis skinął głową. Irytacja szybko minęła.

- Nie spiesz się - powiedział. - Pomyślałem, że skoro nasze wyjście trochę się opóźni, to moglibyśmy zmienić plany i zostać w Atenach.

- To samo przyszło mi na myśl - odparł z uśmiechem Aleksander. Zniknął w pokoju obok.

Nazajutrz Kirakis odleciał do Cape Town. Aleksander odprowadził go na lotnisko. Nie powiedział mu jednak, że postanowił odłożyć powrót do Nowego Jorku. Ojciec z pewnością zadałby mu kilka pytań, na które nie miał ochoty odpowiadać. Musiałby się przyznać, że przyczyną zmiany decyzji jest Anna Constantelos. Zresztą był przekonany, że jego związek z tą kobietą i tak nie potrwa długo. Przynajmniej na razie Anna zaspokoila jego pragnienia i wypełniała bolesną pustkę w życiu.

Aleksander pozostał w Grecji przez cały następny tydzień i większość czasu spędził z Anną w łóżku. Pozwalała mu robić ze sobą wszystko, na co tylko miał ochotę. Nie obchodziło go, że działo się to bez odrobiny uczucia, emocjonalnego zaangażowania; nie liczyło się, że płacił za cielesne rozkosze. Interesował go tylko seks, pozwalający choć na chwilę uciec od samotności. Nie mógł teraz tak po prostu zerwać z Anną i wyjechać do Nowego Jorku. Zastanawiał się, leżąc w ciemności, co w takiej sytuacji robić.

O wschodzie słońca znalazł rozwiązanie.

Przez zasłony przebijały się jasne promienie porannego słońca, tworząc na puszystym błękitnym dywanie błyszczące smugi, wydobywające z półmroku rozrzucone w pośpiechu części jego garderoby. Wyznaczały ścieżkę od drzwi do łóżka, w którym leżeli. Anna była pogrążona w błogim śnie. Jasnoniebieskie prześcierad-

ło osłaniało jej ciało tylko do pasa, ukazując oczom Aleksandra rozkoszny widok. Przyglądał się pełnym piersiom Anny, unoszącym się i opadającym w rytm oddechu, oraz kruczoczarnym włosom rozrzuconym na poduszce na kształt wielkiego wachlarza. Sięgnął ku jednej z ciemnoczerwonych brodawek i lekko dotknął jej palcem. Czując, jak natychmiast twardnieje, pochylił się i chwycił ją w usta. Gdy zacisnął na niej wargi i zaczął ssać, Anna otworzyła oczy.

- Czy ty nigdy nie masz dosyć? - spytała dźwięcznym głosem.

Podniósł wzrok na kochankę.

- Och, czyżby Śpiąca Królowna nareszcie się obudziła?

- A kto mógłby spać, gdy ty się tak zabawiasz? - powiedziała, naciągając prześcieradło pod brodę. Na niewiele się to zdało - dłonie Aleksandra powędrowały pod delikatną materię i dotarły do podniecających krą-głości.

- Powiedz mi, Anno, czy masz zamiar pozostać na zawsze w Grecji? - zapytał, pieszcząc ją leniwie. - Czy też przy nadarzającej się okazji wyjechałabyś z kraju?

Oparła się na łokciu i spojrzała mu w oczy.

- Nie jestem z tych, co przepuszczają nadarzające się okazje. Chcesz mi złożyć jakąś propozycję?

- Zastanawiam się, czy nie wziąć cię z sobą do Nowego Jorku. Byłabyś zainteresowana?

- Mogłabym być - odrzekła ostrożnie. - Załóżmy, że zgodzę się pojechać z tobą. Co zyskam? Wyjeżdżając rezygnuję z tego apartamentu, wielu szczodrych kochanków...

- Będiesz moją utrzymanką. - Zawędrował dłońmi na uda Anny. -

Będiesz miała dla siebie luksusowy apartament na Manhattanie, dużo pieniędzy, podarunki.

- Jakiego rodzaju podarunki?

- Futra, klejnoty...

- Będę mieszkała z tobą?

- Nie. Zamieszkamy zupełnie oddzielnie. Będę przychodził do ciebie codziennie, czasem po południu, cza-

sem nocą. Poznamy nocne życie Nowego Jorku. Chcę cię mieć na każde skinienie, jednak gdy będę poza miastem, będziesz mogła swobodnie dysponować swoim czasem.

- Co z innymi mężczyznami? Jestem przyzwyczajona do różnorodności.

- Wykluczone. Będę tylko ja, ale mogę cię zapewnić, że nikt inny nie będzie ci potrzebny.

- Brzmi doskonale. - Uśmiechnęła się. - Aż nazbyt dobrze.

- Więc radzę ci przyjąć moją propozycję.

Zerwał z niej prześcieradło. Patrząc na uległe ciało Anny, pomyślał, że to jest dokładnie to, czym mógł zająć umysł, by zapomnieć... I choć ona nie dała mu jeszcze odpowiedzi, nie miał najmniejszych wątpliwości, jak będzie brzmiała.

Nowy Jork, wrzesień 1980

Aleksander siedział przy biurku w swoim biurze w Olympic Tower i przeglądał raporty, które otrzymał tego ranka od swoich ludzi w Singapurze. Korporacja prowadziła tam próbną wiercenia w poszukiwaniu ropy naftowej. Dane, jakie mu dostarczono, były obiecujące... nie, były wspaniałe! Platformy w pasie przybrzeżnym wydobywały osiemset siedemdziesiąt pięć tysięcy baryłek dziennie. Jeśli przełożyć tę liczbę na dolary - przeliczył szybko na kalkulatorze - suma była imponująca. Uśmiechnął się triumfalnie. Ojciec będzie zadowolony. Bardzo zadowolony.

- Panie Kirakis?

W drzwiach stała sekretarka.

- Słucham... Zajrzała do notesu.

- Pańskie zgłoszenie na mecz polo w Beverly Wilshi-re w następnym tygodniu zostało potwierdzone. Konie przybyły do Los Angeles dziś rano. Czy jest coś nowego?

- Nie, Stacey, dziękuję.

Sekretarka wyszła. Aleksander popatrzył za nią, wystukując gumką na końcu ołówka rytm swoich myśli. Los Angeles. Może powinien zatelefonować do Meredith Courtney... W zasadzie nie ustalili nic konkretnego w sprawie wywiadu. Uśmiechnął się. Dziwne, jak mocno zapadła mu w pamięć. Nawet teraz, gdy miał w łóżku taką kobietę jak Anna, nie mógł przestać myśleć o Meredith. Dlaczego? Zadzwoił do Stacey i kazał jej skontaktować się z Meredith w KXLA w Los Angeles. Dziesięć minut później odezwał się interkom.

- Panna Courtney na linii drugiej, *sir*.

- Dziękuję, Stacey. - Podniósł słuchawkę i wcisnął odpowiedni przycisk. - Meredith! Co u ciebie słyhać? - Starał się nadać swemu głosowi jak najserdeczniejszy ton.

- Jestem zajęta - odparła. Usłyszał szelest przekładanych kartek. - Dzwonisz w sprawie osobistej czy zawodowej?

- Osobistej.

- W takim razie musisz się streszczać. Naprawdę jestem zajęta.

- Obydwoje jesteśmy. Wiesz, pomyślałem, że jeśli nadal chcesz mieć ten wywiad, to moglibyśmy zaaranżować jakieś spotkanie. W przyszłym tygodniu będę w Los Angeles. Biorę udział w meczu polo w Equestrian Center...

- Przykro mi, ale sport mnie nie interesuje - przerwała mu.

- Zależy ci na tym cholernym wywiadzie czy nie? - zdenerwował się.

Meredith długo nie odpowiadała. Kiedy zaczynał już wątpić, czy w ogóle jest jeszcze przy telefonie, usłyszał jej głos:

- Powiedz, gdzie cię będę mogła znaleźć.

Nie rozumiem, o co się tak wściekasz. - Meredith siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, trzymając pokaźną ilość jakichś kartek. - To tylko wywiad. Robiłam ich setki.

- Nie z Aleksandrem Kirakisem - odparł Nick. Stał przy oknie i patrzył roztargnionym wzrokiem na ocean.

- Owszem, nikt nie robił setek wywiadów z Aleksandrem Kirakisem - zauważyła. - Nie przypominam sobie, żeby w ogóle komuś udzielił choćby jednego. Omija prasę z daleka, jakby wszyscy dziennikarze zarażeni byli dżumą.

Nick odwrócił się do Meredith z twarzą ściągniętą gniewem.

- Domyślam się, że ciebie uznał za jedyną uodpornioną.

Meredith aż zatrzęsała się ze złości. Zachowywał się jak zazdrosny mąż.

- Robisz z igły widły - powiedziała. Rozzłoszczona rzuciła kartki na kanapę i ruszyła w kierunku schodów. Nie miała zamiaru kłócić się z Nickiem z takiego powodu. - Spotkałam Aleksandra Kirakisa latem zeszłego roku na konferencji prasowej w Beverly Wilshire i...

- I potem znowu w Nowym Jorku - wszedł jej w słowo.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Wiedziałeś o tym?

- Wiedziałem o tym, zanim zdążyłaś wrócić do Los Angeles. W Rainbow Room tego wieczoru, gdy dawałaś się obmacywać Kirakisowi, było dwóch ludzi ze studia. Gdy wrócili stamtąd, nie mogli się doczekać, kiedy mnie oświecą.

- Zaraz, zaraz! Chwileczkę! - warknęła Meredith. - Wcale mnie nie obmacywał, po prostu tańczyliśmy!

- A jego rączki bładziły... Biedak! Nie miał gdzie ich podziać! - Podszedł do barku i nalał sobie drinka.

- Dlaczego nic o tym nie wspomniałeś?

- Miałem nadzieję, że jak wrócisz do domu, opowiesz mi o wszystkim.

Wyobrażałem sobie, że powiesz mi, że nic się nie wydarzyło, pośmiejemy się z tego i zapomnimy o całej sprawie.

- Ale nic się nie wydarzyło! Nic! - wrzasnęła. Wbieg-

ła po schodach na piętro. Usłyszał jeszcze trzaśnięcie drzwiami do sypialni.

Zegar, umieszczony na tablicy wyników w Los Angeles Equestrian Center, ospale odmierzał sekundy. Widzowie wznosili okrzyki, nagradzali brawami kolejny atak. I tę akcję poprowadził Aleksander Kirakis, jadący na dużym wałachu - kasztanie. Miał na sobie biało-błękitną koszulkę - w barwach takich występowała drużyna Kirakisów. Gracz drużyny przeciwnej chciał zajeżdżać Aleksandrowi drogę, ale on wykonał potężny zamach młotkiem i piłka wylądowała kilka metrów dalej. Szybki zwrot, krótki galop, uderzenie i Aleksander zdobył kolejnego gola dla swojej drużyny. Widownia rozbrzmiewała gromkimi brawami, gdy na tablicy zmieniały się cyfry wyniku.

Meredith stała oparta o metalową poręcz. Całkowicie pochłaniała ją to, co dzieje się na boisku, mimo że prawie w ogóle nie wiedziała, na czym polega gra. Wystarczyło po prostu obserwować pojedynek, by ulec elektryzującemu podnieceniu. Aleksander Kirakis zdominował całkowicie grę. Wytworność w akcji - pomyślała Meredith.

- Mógłby dosiadać osła, a i tak zdobyłby z osiem albo dziewięć goli - skomentował stojący obok kamerzysta, zupełnie jakby czytał w jej myślach. - Ekspert w dziedzinie strategii, doskonale współpracujący z zespołem, znakomicie wysportowany... nie mówiąc o tym, że dosiada dziś najlepszego wierzchowca na boisku.

- Kto taki? - spytała Meredith, nie odrywając oczu od gry.

- Aleksander Kirakis, któżby inny - odparł Brian, poprawiając przewieszony przez ramiona sprzęt. - Jest uważany za najlepszego gracza w polo. Cholera, aż się wierzyć nie chce, że ten facet traktuje sport jako zwyczajne hobby!

- Co w tym niezwykłego?

- Cóż, najlepsi gracze na świecie, jak Gonzalo Pieres, Antonio Herrera czy Howard Hipwood, całkowicie po-

święcili się tej dyscyplinie. Jedzą, śpią i oddychają polo. Tymczasem Kirakis jest najlepszym z nich, a jest tylko sportowcem na pół etatu. Jest tak dobry, że nawet nie grywając regularnie, potrafi utrzymać w rankingu dziesięciopunktową przewagę nad nimi wszystkimi. Meredith spojrzała na kamerzystę uśmiechając się.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Studiując na Yale, grywałem w lidze międzyuczelnianej. I muszę przyznać, że szło mi nie najgorzej.

Długa owacja obwieściła zakończenie meczu. Meredith przypomniawszy Brianowi, że chce mieć zbliżenie Aleksandra, gdy będzie przyjmował nagrodę. Ruszyła do wyjścia, którym sportowcy opuszczają boisko.

- Chodźmy. - Kiwnęła na Briana. - Może któryś z graczy podzieli się z nami wrażeniami.

Znalazł się jeden, wycieńczony i śpieszący czym prędzej do szatni, ale przy tym zaskakująco chętny do rozmowy przed kamerą. Mówił jeszcze, gdy ukazał się ostatni z zawodników-Aleksander Kirakis. Aleksander zauważył Meredith i uśmiechnął się, zdejmując z głowy kask.

- Meredith - odezwał się niskim, uwodzicielskim głosem, zbliżając się do niej sprężystym krokiem urodzonego zdobywcy niewieścich serc. - Jak to miło znów cię spotkać.

- Gratuluję zwycięstwa - powiedziała, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę. - Widziałam, że nie przyszło łatwo.

- Zawsze tak jest, ale to właśnie najbardziej lubię -autentyczne współzawodnictwo. Nie ma nic bardziej ekscytującego niż prawdziwie agresywny pojedynek dwóch znakomitych przeciwników.

Meredith miała wrażenie, że uwagi Aleksandra nie mają nic wspólnego z polo. Sposób, w jaki na nią patrzył, przywodził jej na myśl ich ostatnie spotkanie w Nowym Jorku.

- Chciałabym, żebyś powiedział parę słów komentarza przed kametą - rzekła, niczym nie zdradzając się z niepokojem, ogarniającym ją pod jego władczyim spojrzeniem.

Aleksander spojrział na kamerzystę, tak jakby uważał go za niewygodnego świadka, którego jednak trzeba tolerować. Potem przeniósł spojrzenie na Meredith i skinął głową. Pytania dotyczyły zakończonego przed chwilą meczu, opinii o niektórych rywalach, sportu i problemu utrzymania sprawności fizycznej. Odpowiadał swobodnie, zupełnie ignorując obecność kamery. Gdy skończyli, Brian zebrał swój sprzęt i ruszył w stronę samochodu. Meredith chciała pójść za nim, lecz Aleksander chwycił ją za rękę.

- Zaczekaj! Nie zapomniałaś o czymś? Uśmiechnął się szeroko, widząc zaskoczenie w jej oczach.

- Chodzi ci o wywiad? - zapytała, uwalniając rękę.

- Między innymi.

- Ale nic po za tym - odparła stanowczo.

- Chodź dziś ze mną na kolację.

- Nigdy się nie poddajesz, co?

- Nigdy! Meredith, daj mi jasną odpowiedź. Jak będzie z dzisiejszym wieczorem?

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

- Ach tak! Reżyserek jest zazdrosny! Zawsze ma ci za złe spotkania z bohaterami wywiadów?

- Nie, oczywiście, że nie, jeśli tylko są związane ze sprawami zawodowymi. Ale oboje wiemy, że w twoim przypadku na pewno miałyby inny charakter.

Aleksander nonszalancko oparł się o ścianę i założywszy ręce na piersiach przyglądał się uważnie Meredith.

- Różnie odbierają mnie różni ludzie - rzekł - i nie wszyscy myślą o mnie dobrze. Jestem, jaki jestem, ale zawsze szczerze mówię, czego chcę. Nie robię z tego żadnych sekretów. - Meredith rozejrzała się z nadzieją, że nikt ze znajomych Nicka nie słyszy tej rozmowy. - Jeśli nie możemy zjeść razem kolacji, to może moglibyśmy pójść na drinka i porozmawiać o wywiadzie?

- Już mówiłam, że nie mogę. Nie dziś.

- Meredith, chcesz mieć ten wywiad czy nie? - naciskał.
- Chcę mieć ten wywiad, ale nic więcej. Jeśli weźmiesz to sobie do serca, możemy spotkać się jutro na lunchu w La Bella Fontana.

Uśmiech na jego twarzy nieco przybladł.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe. Z samego rana wyjeżdżam do Nowego Jorku. Wiesz, to prawdziwy pech, że nie możemy dojść do porozumienia. Ty chcesz mieć wywiad, a ja chcę ciebie. To przecież takie proste.

Zaskoczył ją swoją bezceremonialnością. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przykro mi - rzuciła, ledwie nad sobą panując, i odwróciła się. Odeszła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Fascynuje go, urzekła go i oczarowała. Dlaczego? Przecież nie jest w jego typie; nie jest ciemnowłosa i zmysłowa jak wszystkie kobiety, które miał. Może jej opór? Może jest w niej coś, czego nie mają inne; coś, czego on nie potrafi zdefiniować, nazwać? Musi ją zdobyć. Gdyby tylko mogli zjeść razem lunch... Udzieliłby jej nawet tego cholernego wywiadu.

Niestety, następnego dnia miało odbyć się posiedzenie rady nadzorczej korporacji, na które zamierzał przybyć ojciec. Aleksandrowi zależało na tym, by być na posiedzeniu; nie chciał urazić ojca.

Meredith musi na razie poczekać.

Nowy Jork, styczeń 1981

Z okna sypialni swego apartamentu Anna z obrzydzeniem obserwowała padający śnieg. Biały puch leciał z nieba przez całą noc, pokrywając obszar Central Parku białym kobiercem, na którym przechodnie wyryso-wywali prosty wzór ludzkich śladów. Dla większości ludzi byłby to piękny widok. Dla niej, osoby nie będącej ani sentymentalną, ani romantyczną, widok ten oznaczał tylko kolejny zimny, nieprzyjazny dzień, nieodpowiedni na zakupy. Podczas gdy w zwykły dzień złapanie taksówki na Piątej Alei było niemal tak trudne, jak znalezienie wolnego stolika w restauracji z darmowymi posiłkami, to w taki dzień jak ten graniczyło z cudem. Przeklęty Aleksander-pomyślała rozgoryczona. Mógłby dać jej do dyspozycji swoją limuzynę, przynajmniej na czas, gdy nie było go w mieście. Wspominała o tym przy różnych okazjach i nieodmiennie słyszała od niego, że to niemożliwe. Samochód może mu być potrzebny w każdej chwili. Aleksander przypomniał jej, że otrzymała od niego i tak już niemało: apartament przeznaczony dla gości korporacji, pieniądze, dzięki którym mogła kolekcjonować piękne ubrania, klejnoty. Kupował jej biżuterię i futra, zabierał do najlepszych lokali. W zamian oczekiwał zaspokajania dręczącego go seksualnego głodu. Anna szybko nauczyła się, że jest bardziej hojny, gdy udaje jej się zadowolić go w łóżku, a nie było to wcale łatwe. Kiedy się kochali, zachowywał się szor-

stko, był bardzo wymagający, a jego seksualny apetyt wydawał się niemożliwy do zaspokojenia. Annie wciąż wydawało się, że źródłem namiętności tego człowieka nie jest pożądanie, lecz niepohamowany gniew. Nie łączyło ich żadne uczucie, ale nie zależało jej na tym. Była z nim tylko dla pieniędzy, tylko z tego powodu znosiła upokorzenia i zniewagi. Aleksander w ogóle nie przejmował się grą wstępną, brał ją szybko i brutalnie, zaspokajając wyłącznie siebie. Jego ciało wdzierało się w nią z siłą, która nie miała nic wspólnego z pieszczotą, jakby celowo chciał zadać jej ból. I to zimne spojrzenie... Zachowywał się jak opętany. Anna była jego kochanką już osiem miesięcy, ale nigdy go o nic nie pytała. Znała swoje miejsce. Dopóki był z niej zadowolony, dopóty mogła oczekiwać od niego niemal wszystkiego, o co poprosi.

Stawiała sobie tylko jeden cel: zebrać jak najwięcej gotówki i prezentów w jak najkrótszym czasie, wycisnąć z Aleksandra ile się da, zabezpieczając się przed dniem, w którym ostatecznie znudzi się nią i znajdzie sobie kogoś innego. Doświadczenie podpowiadało jej, że jest to nieuniknione. Prędzej czy później małżonkowie wracają do swoich żon, a nieżonaci zwracają się ku małżeństwu albo znajdują nową kochankę. Nie przejmowała się tym. Zanim tak się stanie, zbiera wystarczająco dużo pieniędzy, by wystawnie żyć do czasu, aż trafi się kolejny klient.

Wiele przeszłaś - pomyślała - nieślubna córko, bękarcie ekspedientki z Plaka i... jakiejś nazistowskiej świni...

Wspomniałeś coś o przejęciu Donovan Associates? - Nawet nie najlepsza jakość transatlantyckiego połączenia telefonicznego nie była w stanie osłabić gromkiego głosu Constantine'a Kirakisa. - To wspaniale! Nie mam pojęcia, Aleksandrze, jak ci się to udało, ale jestem zadowolony, ogromnie zadowolony.

- Wiedziałem, że sprawi ci to przyjemność, ojcze, i dlatego chciałem osobiście przekazać ci tę wiadomość.

- Aleksander pamiętał nieudaną próbę przejęcia tej firmy, którą podjął jego ojciec dziesięć lat wcześniej.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś, Aleksandrze. - Po drugiej stronie zaległa chwilowa złowieszcza cisza. - Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

- Interesy?

- Nie, sprawy osobiste.

Aleksander już wiedział, co za chwilę nastąpi. Ojciec musiał się dowiedzieć o jego związku z Anną.

- Ojcie, wiem, co zamierzasz...

- Daj mi dokończyć - przerwał mu Kirakis. - Pamiętam, obiecałem nie wtrącać się w twoje miłości. Nie zamierzam mówić ci, jak masz pokierować własnym życiem ani z kim masz sypiać, ale zastanawiam się, zwyczajnie zastanawiam się, czy to był mądry krok, ten nowy związek.

- Mówisz o Annie Constantelos?

- Oczywiście, wiesz, kim ona jest.

- Wiem o Annie Constantelos wszystko, co wiedzieć powinienem.

- I nie dostrzegasz kłopotów kryjących się za tym związkiem?

- Ojcie, miałeś mi za złe przelotny romans z Marianną Hauptmann, ponieważ uważałeś, że wykorzystałem młodą wrażliwą dziewczynę - przypomniał mu Aleksander. - Anna nie jest ani niewinna, ani wrażliwa. Kiedy spotkałem ją w Atenach, była ekskluzywną prostytutką. Ona nie ma złudzeń. Doskonale zdaje sobie sprawę, że gdy przestanę mieć ochotę na jej... usługi, nasz związek przejdzie do historii.

- Bądź ostrożny, synu - ostrzegł Kirakis. - Wydaje mi się, że ona chętnie pohandlowałaby tym, co każda kobieta ma między udami, by sięgnąć po władzę związaną z twoim prawowitym dziedzictwem.

Aleksander roześmiał się.

- Możesz się nie obawiać, ojcie. Anna doskonale wie, co może, a czego nie. Już na początku wyraźnie określiłem granice naszego układu.

- I myślisz, że dotrzyma umowy? Masz do niej zaufanie?
- Nie ufam jej, ojciec, nie ufam ani trochę. Ona podchodzi do życia czysto pragmatycznie. Wie, że chcę od niej tylko jednego. Nic jej nie obiecywałem. Poza tym żyła już w taki sposób z innymi mężczyznami. Na pewno nie zrobi sobie krzywdy, gdy między nami wszystko się skończy.
- A jeśli wywoła skandal?
- To nie leży w jej interesie. - Aleksander był pewny siebie. Wszystko dokładnie przemyślał. - Z różnych powodów będzie chciała uniknąć rozgłosu. Łatwo mogłaby wyjść na jaw jej przeszłość i inne związki. Kirakis milczał chwilę, zanim odezwał się zrezygnowany:
- Powiedz, Aleksandrze, czy ty kiedykolwiek znajdziesz sobie odpowiednią kobietę i w końcu się ustatkujesz?
- Może... - odparł z wahaniem syn. - Spotkałem kogoś takiego rok temu...
- Co?! Ty... - Kirakisowi odebrało mowę. - Jest mężatką? To chciałeś powiedzieć?
- Nie - powiedział spokojnie. - Ale jest uwikłana w związek, trwały związek.
- Jesteś pewien? Aleksander odetchnął głęboko.
- Ojciec, wolałbym o tym nie mówić. - Starannie kontrolował głos. - Dzwoniłem w zasadzie tylko po to, by przekazać ci wiadomość o Donovan...
- Och, dobrze, już dobrze. - Kirakis westchnął. - Po prostu martwię się o ciebie, synu, nic na to nie poradzę. Już tylko ty mi zostałeś i chcę, żebyś był szczęśliwy.
- Wiem, ojciec, wiem. Muszę kończyć, czeka mnie jeszcze kilka rozmów przez telefon. - Żadne rozmowy go oczywiście nie czekały, ale tą chciał jak najszybciej zakończyć.
- Zadzwoń pod koniec tygodnia?
- Na pewno.

Aleksander odłożył słuchawkę. Zaskoczył go własny spokój i opanowanie. Rozmowa, którą przed chwilą skończył, otworzyła mu oczy, pozwoliła zrozumieć, jak bardzo pragnie Meredith. Nie był to tylko pociąg fizyczny, nie było w tym chęci dominacji, posiadania - nie było złości, niewytłumaczalnego gniewu, który odczuwał w przypadku związków z Anną czy Francescą.

Zabębnił palcami o blat biurka, dając upust frustracji. Dlaczego nie może wyrzucić jej z pamięci? Co odróżnia ją od innych jego kobiet? I dlaczego kochając się z Anną myśli o Meredith?

Musiał się zdecydować, co do niej czuje. Ale to było na razie niemożliwe. Aleksander spoglądał, pogrążony w zadumie, na fotografie rozrzucone przed nim na biurku. Przedstawiały Annę z innymi mężczyznami, wchodzącymi lub wychodzącymi z apartamentu. Pomyślał z żalem, że oto potwierdziły się podejrzenia, że Anna nie dotrzymuje warunków umowy. Nie była wierną utrzymanką. Podniósł wzrok na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

- Wie pan, kim oni są? - zapytał. Prywatny detektyw przytaknął.

- Pomyślałem, że będzie pan chciał wiedzieć, więc przygotowałem szczegółowy raport. Proszę - powiedział, kładąc na biurku szarą kopertę. Zamykając aktówkę, ciągnął: - Jak pan się przekona, są tam nie tylko ich nazwiska, ale także adresy i inne fotografie. Zanotowałem też daty i czas przebywania z nią w apartamencie.

Aleksander sięgnął po raport i szybko go przekartkował.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł. - Wykonał pan swoje zadanie niezwykle dokładnie. - Wyjął z szuflady kopertę i położył na biurku.

Mężczyzna podniósł ją ostrożnie i otworzył. Wewnątrz znajdowało się kilka banknotów o wysokich nominałach.

- Gotówka? - zapytał zaskoczony.

- Wolę załatwić tę sprawę w taki sposób, panie Hayes

- odparł krótko. Wręczył detektywowi pisany na maszynie dokument. - Proszę tu podpisać. Jako potwierdzenie przyjęcia zapłaty.

Hayes bez słowa złożył swój podpis we wskazanym miejscu. Oddając dokument, powiedział:

- Chce pan, żebym kontynuował pracę?

- To nie będzie konieczne. Dostarczył mi pan wszystkich potrzebnych informacji. Mogę jednak pana zapewnić, że jeśli okaże się pan tak dyskretny jak dotychczas, skorzystam jeszcze w przyszłości z pańskich usług.

- Może pan na mnie polegać, panie Kirakis - rzekł Hayes, podnosząc się z fotela. - O każdej porze dnia i nocy.

Aleksander również wstał. Podali sobie ręce.

- Możliwe, że niedługo się spotkamy - powiedział.

Po wyjściu Hayesa zaczął studiować raport. Przeczytał go starannie, strona po stronie. Nie zaskoczyło go, że mężczyźni, z którymi widywała się Anna, w ten czy inny sposób powiązani byli z przemysłem rozrywkowym. Najwyraźniej jego przyjaciółka traktowała zupełnie serio marzenia o karierze scenicznej. Oczywiście, postanowiła wykorzystać zalety swego ciała. Dlaczego nie? Czy zawiodła się na nich w przeszłości?

Aleksander spodziewał się kiedyś, że będzie zły, wściekły, jeśli okaże się, że jego kochanka spędza czas z innymi mężczyznami, korzystając z jego nieobecności w mieście. To było jednak dawno temu. Teraz nie czuł nic poza chłodnym spokojem. Coś się zmieniło. On się zmienił. Związek oparty wyłącznie na seksie już mu nie wystarczał. Postanowił z tym skończyć.

Nie było się nad czym zastanawiać. Pochylił się i przycisnął guzik interkomu.

- Tak, panie Kirakis? - zgłosiła się natychmiast sekretarka.

- Stacey, wychodzę i nie będzie mnie w biurze przez całe popołudnie.

- Mam sprowadzić pański samochód?

- Nie, dziękuję. Skorzystam z własnych nóg.

- Tak, proszę pana.

Włożył do otrzymanej od detektywa koperty zdjęcia i raport, a potem sięgnął po płaszcz. Nie zamierzał uprzedzać Anny telefonicznie. Jeśli z jakiegoś powodu jej nie będzie, zaczeka. Gdyby się okazało, że nie jest sama... Tym lepiej.

Najwyższy czas położyć kres tej farsie.

Wynająłeś detektywa, żeby mnie śledził? - zapytała ze złością, spoglądając to na Aleksandra, to na zdjęcia na łóżku. - Dlaczego?

- To chyba oczywiste, zwłaszcza w twoim przypadku, droga Anno - powiedział Aleksander, przeszywając ją lodowatym spojrzeniem. - Zawarliśmy umowę, a ty jej nie dotrzymałaś.

- Chyba dbałam o twoje pragnienia? Byłam na każde twoje zawołanie, zawsze gotowa. Tak czy nie?

- Sprowadzając cię tutaj, wyraźnie powiedziałem, że dopóki będziesz na moim utrzymaniu, dopóki ja będę płacił twoje rachunki, z nikim poza mną nie możesz się widywać i że nie będę tolerował żadnych skoków na bok. Nie potraktowałaś tego serio?

- To nie ma sensu! Przecież nic dla ciebie nie znaczę, służę ci tylko za ulepszoną gumową lalkę! Z jakiej racji miałoby cię obchodzić, czy widuje się z innymi mężczyznami? Jaka to różnica?

- Płaciłem za wyłączność i spodziewałem się otrzymać to, na co szły te olbrzymie pieniądze! - krzyknął, nie panując nad sobą. - Wszyscy ci faceci tkwią po uszy w przemyśle rozrywkowym. Pewnie liczyłaś na wejście do tego interesu, co?

- I co z tego? Masz może zamiar mi wmówić, że ty trzymałaś łąpki z dala od innych kobiet? Szczególnie podczas tych swoich podróży służbowych? Myślisz, że nie słyszałam, że jak byłeś w Kalifornii, przystawiałaś się do tej dziennikareczki...

Chwycił ją za purpurową jedwabną bluzkę i przyciągnął do siebie.

- Chyba mnie nie zrozumiałaś, Anno. - Wyczuła groźbę w jego głosie. - Nie obchodzi mnie, co ci się wydaje. Nie obchodzi mnie, czy rzeczywiście interesowało cię, co robię, gdy wyjeżdżam w interesach. To ja ci płacę i to ja stawiam warunki.

- Odczep się! - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Z przyjemnością! - Odepchnął ją. Straciła równowagę i przewróciła się.

- Powinnaś się cieszyć, że detektyw nie będzie już za tobą chodził.

Możesz od tej chwili spotykać się, z kim tylko zapragniesz. Przyszedłem tu tylko po to, by ci powiedzieć, że rezygnuję z tak zwanego związku z tobą. - Zebrał fotografie i włożył je do koperty.

- Żartujesz - powiedziała z niedowierzaniem.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie. Masz wynieść się z tego apartamentu i, jeśli to możliwe, z Nowego Jorku. Natychmiast. Możesz zatrzymać ubrania i rzeczy osobiste, nic więcej. Jutro nie chcę cię tu widzieć.

- Co takiego?! - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Przecież to niemożliwe!

- Radziłbym ci potraktować to poważnie, bo jeśli cię tu zastanę po powrocie, Anno, to wyrzucę cię osobiście!

- Dajesz mi za mało czasu! Ja...

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej - warknął. - Masz zniknąć stąd do siódmej wieczorem albo wylecisz z pustymi rękami. - Ruszył w kierunku drzwi.

Anna pobiegła za nim.

- Ty skurwielu! Nie możesz mi tego zrobić! Zatrzymał się wpół kroku. Spojrzał na nią, uśmiechając się złowieszczo.

- Mylisz się, kochanie. Nie tylko mogę to zrobić, ale to zrobię.

- Ale w tak krótkim czasie? Dokąd mam iść?

- To już twój problem. - Tym razem nie zatrzymał się, słysząc jej krzyk za plecami. Trzasnął drzwiami z taką siłą, że jeden z obrazów spadł ze ściany.

- Pożałujesz! Bardzo, bardzo pożałujesz, że to zrobi-

łeś, Aleksandrze!!! - wrzeszczała Anna. Chwyliła za stojący pod ręką kryształowy kieliszek i rzuciła nim o drzwi. Roztrzaskał się o framugę na tysiąc drobnych kawałków, które spadły kryształowym deszczem na dywan. W ojczystym języku obrzuciła Aleksandra stekiem najprzeróżniejszych wyzwisk.

Gdy wyszedł z windy i zmierzał przez hol w stronę szklanych drzwi wyjściowych, poczuł, że gniew powoli ustępuje. Anna zawsze wyzwalała w nim najgorsze instynkty. Niemal stracił panowanie nad sobą, chciał ją uderzyć, zaatakować za zdradę... Zdradę? Dlaczego miałby czuć się zdradzony? To już nie miało żadnego znaczenia. Od samego początku była to pomyłka, bezsensowna pomyłka. Przynajmniej miał na tyle rozsądku, by z tym skończyć.

Szedł w dół Piątej Alei, nie zwracając uwagi na przewalający się wokół tłum. Mijali go przechodnie z torbami na zakupy, otuleni w ciężkie palta, kulący się z zimna. Aleksander nie czuł owiewającego go mroźnego oddechu zimy, burzącego mu włosy i zabarwiającego policzki na intensywny czerwony kolor. Wybiegł z mieszkania Anny w takim pośpiechu, że zapomniał nawet zapiąć płaszcz.

Czuł się tak, jakby uwolnił się od ciężącego na nim kłopotliwego balastu. Czuł się wolny.

Los Angeles, maj 1981

Meredith z wysiłkiem zamknęła drzwi samochodu należącego do KXLA i powlokła się przez parking do budynku stacji. Była wykończona. Do południa zajmowała się sprawozdaniem z napadu na bank w Marina Del Rey, uczestnicząc w trzygodzinnej dramatycznej akcji policji. Czterej rabusie wzięli dwunastu zakładników i zagrozili, że zabiją ich, jeśli nie zostaną spełnione żądania...

W siedzibie KXLA zaczęła się nerwowa bieganina przed emisją o piątej. Meredith musiała lawirować między ślepych i głuchych na wszystko ludźmi. Przedzierała się przez labirynt biurka w pokoju redakcyjnym, zarzuconym papierzyskami, brudnymi popielniczkami, zmiętymi paczkami po papierosach i na wpół opróżnionymi filiżankami kawy. Ted Hammond, szef działu zajmującego się wiadomościami z ostatniej chwili, postawny mężczyzna, zbliżający się do sześćdziesiątki, uśmiechnął się na jej widok.

- Tak szybko z powrotem? - zdziwił się. Był tego dnia w dobrym humorze, choć nowiny nie sypały się jak z rogu obfitości. - Co się stało? Czyżby konkurenci ze SWAT-u zrujnowali ci dzień, pokazując wszystko przed nami?

- Bardzo śmieszne. - Oparła się o biurko. - Tak między nami, cieszę się, że to już koniec. No i mam dla ciebie pełen worek taśm, do wyboru, do koloru.

- To wspaniale! Miło słyszeć, że coś dzisiaj poszło jak należy. - To był cholernie wszawy dzień. Parszywy od samego początku.

- O co ci chodzi, Ted? Czy to właśnie nie twoja... Urwała nagle. Kątem oka zauważyła jakąś zmianę na mapie umieszczonej na ścianie za biurkiem Teda. W centrum mapy znajdowała się KXLA, a tuż nad nią ktoś przypiął niewielką fotografię - prawdopodobnie wyciętą z jakiegoś magazynu - przedstawiającą bombowca B-52 pozbywającego się śmiertelnie niebezpiecznego ładunku. Wymowa tego była aż nazbyt oczywista. Meredith roześmiała się.

- A ktoś to zrobił? - zapytała.

- Ja - odparł, nieśmiało uśmiechając się. - Mówiłem ci, że mieliśmy paskudny ranek.

- Przestań, Ted - złała go. - Oboje wiemy, że gdyby przydarzył się tutaj kiedyś spokojny dzień, nie wiedziałbyś, co ze sobą począć.

- Może masz rację - przyznał - ale czasem zdarzają się takie fenomeny...

- Meredith!

Zwrócili głowy w kierunku, z którego dochodził głos. Na korytarzu przy drzwiach do swojego gabinetu stał Chuck Willard i machał do Meredith ręką. Jego słodką tajemnicą było, jak udało mu się przekrzyczeć panujący w sali harmider.

- Przyjdź do mnie zaraz! To pilne! - Wszedł do pokoju. Meredith popatrzyła na Hammonda.

- Ciekawe, co znowu wymyślił. O co tyle hałasu?

- Pewnie ma jakąś niespodziankę - odparł z uśmiechem Hammond.

Skrzywiła się.

- Pearl Harbor też miało być niespodzianką, Ted. Pożegnała roześmianego od ucha do ucha kolegę

i zmuszając nogi do jeszcze jednego heroicznego wysiłku, udała się na spotkanie z nieznanym.

- Co się stało, Chuck? - zapytała, wchodząc do gabinetu.

Chuck siedział wygodnie na fotelu i ani myślał udzielać szybkich odpowiedzi.

- Wejdz i zamknij drzwi - powiedział.

Usiadła i obserwowała, jak szef z namaszczeniem otwiera szufladę i wyjmuje jakieś kartki. W końcu łaskawie otworzył też usta.

- Wydaje się, że szefowie sieci z Nowego Jorku byli zadowoleni z pracy, jaką dla nich wykonałaś wiosną zeszłego roku...

- Nie na tyle, by mnie zatrudnić - zauważyła Meredith. Był to jej największy zawód.

- Trochę jednak byli, ponieważ złożyli ci inną ofertę. Znasz World Focus?

- Oczywiście - odparła z drżeniem serca. Była to jedna z lepszych sieci telewizyjnych, prezentująca poranne wiadomości oraz programy rozrywkowe. Od sześciu miesięcy krążyły plotki, że podpora programów, Tiffany Gordon, nie odnowi wygasającego w lipcu kontraktu. Jednak ani Tiffany, ani sieć nie potwierdziły tej plotki.

Willard popisał się doskonałą umiejętnością czytania w myślach.

- Tiffany Gordon nie odnawia kontraktu. Producent, Harry Petersen, na jej miejsce chce ciebie. Jesteś zainteresowana?

- Zainteresowana?! Też pytanie! - krzyknęła. - Jeśli chcesz, mogę już w tej chwili złożyć rezygnację.

- Powinnaś zacząć od lipca. Nie będzie z tym problemu?

Problemu! Tu nie ma miejsca na problemy.

- Skądże! Chciałabym wyjechać z Los Angeles około piętnastego czerwca. Muszę znaleźć w Nowym Jorku jakieś mieszkanie i się trochę zadomowić. Znajdziesz kogoś na moje miejsce?

- Nie sądzę, żeby były z tym kłopoty.

Zdawało jej się, że za chwilę serce wyrwie się z piersi albo że się obudzi i stwierdzi, że był to jeszcze jeden poranny seans marzeń.

- W takim razie... wszystko ustalone! - powiedziała.

- Zadzwoń do Nowego Jorku i powiem im, że przyjęłaś propozycję -
zaofiarował się Willard.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym zrobić to sama.

- W porządku. - Pokiwał głową. - Wiesz, byłem niemal pewien, że
przyjmiesz ich propozycję, ale nie myślałem, że zrobisz to tak szybko.
Meredith wstała i podeszła do drzwi.

- Ja też nie - przyznała. - Nigdy w życiu nie odrzuciłabym takiej
propozycji.

To było łatwe - pomyślała, jadąc wieczorem krętą drogą do Malibu.

Podjęła decyzję natychmiast, bez żadnego zastanowienia, ale też nie było
się nad czym zastanawiać. To cudowna propozycja. Ciężko na nią zapra-
cowała i nie miała prawa wahać się ani chwili.

A kiedy już wyraziła zgodę, dopiero wtedy pomyślała o Nicku. Słowa
Chucka Willarda i magicznie brzmiące World Focus kompletnie
zawróciły jej w głowie. Zapomniała o całym świecie, zapomniała, że w
Malibu jest ktoś, kto z pewnością nie podzieli jej radości. Od czasu
powrotu z Nowego Jorku w zeszłym roku stosunki między nią a Nickiem
nie układały się już tak jak dawniej. Starła się podsyć ogień miłości,
Nick także, ale niewiele im z tego wychodziło. Może nie starła się zbyt
mocno, może gdyby on pogodził się z jej karierą... Zrozumiała, że nigdy
nie będzie już tak jak kiedyś. Jej miłość słabła od kilku miesięcy i teraz
była zbyt krucha, by utrzymać związek dwojga ludzi żywiących do siebie
urazę. Była zła na Nicka, zła za to, że próbuje ją rządzić, próbuje
odebrać jej pracę zawodową. On z kolei miał jej za złe, że pracę
przedkłada nad uczucie. Zawsze liczyło się tylko jego dobro i jego
uczucie. Stało się! Epizod z wyjazdem do Nowego Jorku był punktem
zwrotnym, chwilą prawdy. Gorzkiej prawdy.

Już się zgodziłaś? - Popatrzył na nią jak rażony piorunem. - Jak mogłaś
dać im odpowiedź, ot tak, po

prostu, bez chwili zastanowienia, przedyskutowania tego ze mną?

- Nie było o czym dyskutować! Czy gdyby zaproponowali ci zrobienie nowego filmu i oznaczałoby to spędzenie kilku miesięcy na planie w terenie, z dala od domu, to pytałbyś mnie o zdanie?

- To co innego, i dobrze o tym wiesz!

- Nic nie wiem! - warknęła. - W tym właśnie tkwi problem, Nick. Mam wrażenie, jakbym cię w ogóle nie znała!

- Wzajemnie! Nie mówiłem ci w zeszłym roku, że jeśli pojedziesz do Nowego Jorku, to wszystko straci sens? Nie mówiłem, że to tylko kwestia czasu, nim zaoferują ci coś na stałe? Boże, nie poznaję cię od tamtego czasu! Próbowaliśmy polatać sprawy między nami...

- Pewnie! Bardzo się starałeś! Ty jesteś bez zarzutu, to ja gram rolę czarnego charakteru! Jestem winna, bo nie pozwalałam ci pokierować moim życiem. Nie jestem twoją matką i nie poświęcę życia na uszczęśliwianie cię!

- Zgadza się. Zwyczajnie wyrzucasz mnie ze swego życia. Czy myślisz, że jestem ślepy? Nawet kiedy się kochamy, mam wrażenie, jakbyś była nieobecna, jakbyś myślami była gdzie indziej, z kim innym!

- A czy nie przyszło ci do głowy, że to twoja wina?

- Nie - odparł chłodno.

- Myślałam, że jest między nami coś wyjątkowego -powiedziała. - Mieliśmy ze sobą tak wiele wspólnego, byliśmy do siebie podobni.

Wiedziałaś, co to znaczy zmagać się z życiem... - W jej oczach pojawiły się łzy. -Chciałam, żeby nam się udało!

- Najwidoczniej niezbyt mocno! - Chwycił marynarkę i ruszył do drzwi. Meredith pobiegła za nim.

- To twój sposób na rozwiązanie wszystkich problemów? Ucieczka? - Nie odpowiedział. - Dokąd idziesz?

Stanęli twarzą w twarz.

- Rzeczywiście, cholernie cię to obchodzi, co?

- Oczywiście, że mnie obchodzi!

- Po prostu wychodzę. I nie czekaj na mnie. Jeśli coś takiego w ogóle przyjdzie ci do głowy!

Trzasnął drzwiami, aż zadrżała ściana. Meredith nie potrafiła dłużej powstrzymać łez.

Była trzecia w nocy. Nick jeszcze nie wrócił. Meredith, owinięta długim welurowym szlafrokiem, w zupełnych ciemnościach siedziała skulona na tapczanie. Przecież Nick za kilka godzin miał udać się w podróż do Sri Lanki. Powinien więc zjawić się w domu po rzeczy. Tylko czy zastanie ją jeszcze?

Miał rację, choć z początku nie chciała tego przyznać. Zmieniła się. Od czasu pobytu w Nowym Jorku nie była już tą samą osobą. Zasmakowała tamtejszego stylu życia, stylu, za jakim zawsze tęskniła. Lubiła przyjęcia i premiery, na których bywała z Nickiem, cieszyła się wspólnie spędzonymi chwilami, a w Nowym Jorku wszystko wyglądało inaczej.

Na Manhattanie znajdowała się w centrum zainteresowania, była podziwiana i poważana. Uświadomiła sobie, że to właśnie ona jest odpowiedzialna za rozpad ich związku. Potwierdzało się jej głęboko skrywane przekonanie, że nie może i nigdy nie będzie w stanie żyć w cieniu mężczyzny, niezależnie od tego, jakie łączą ich uczucia.

Kocham go - pomyślała. - Zawsze będę pamiętała, jak cudownie było na początku...

Zanim nie spróbował odebrać jej marzeń.

Nie wiedziała, kiedy zasnęła. Przebudziła się nagle. Spojrzała na wiszący nad kominkiem zegar - piąta trzydzieści. Postanowiła pójść do łóżka i przespać porządnie przynajmniej kilka godzin, jakie pozostały, zanim będzie musiała stawić się w pracy.

Gdy wchodziła po schodach, z sypialni dotarły do niej jakieś dźwięki.

Zatrzymała się i z bijącym sercem nasłuchiwała. Dźwięki powtórzyły się i Meredith nabrała pewności, że Nick wrócił jednak do domu. Nie obudził jej. Czyżby był jeszcze zły? Weszła na górę i otworzyła

drzwi. Nick pochylał się nad komodą, z której wyciągał koszule. Na łóżku czekała na nie otwarta, wypełniona tylko do połowy walizka.

- Miałeś zamiar spakować się i po prostu wyjechać? Nawet się nie pożegnać?

Nie podniósł wzroku.

- Wydawało mi się, że powiedzieliśmy sobie wczoraj wszystko, co mieliśmy do powiedzenia. - Ton jego głosu nie zachęcał do dalszej rozmowy.

- Więc nie chciałeś ze mną porozmawiać?

- O czym? - Nie ukrywał irytacji. - Przecież już podjęłaś decyzję. Musiałaś się na coś zdecydować i zdecydowałaś się.

- To moja kariera i moja decyzja. Moglibyśmy jednak znaleźć jakieś wyjście, gdybyś zachowywał się rozsądnie.

- Ja zachowuję się nierozsądnie! - krzyknął, rzucając koszulę do walizki. - Powiedz mi, Meredith, jakie możemy jeszcze znaleźć wyjście, co nam pozostało?

- Nadal moglibyśmy być razem...

- Pewnie w weekendy - powiedział z sarkazmem - Nie będziemy mieli dość czasu, by zamienić ze sobą nawet parę słów. Ty przez cały tydzień będziesz w Nowym Jorku, ja w weekendy - na planie. Widzisz w tym jakiś sens?

- Mógłbyś przyjeżdżać do mnie. Ktoś z IBS wspomniał mi o mieszkaniu do wynajęcia od zaraz. A ja mogłabym odwiedzać cię na planie...

- Nie oszukujmy się, Meredith. Kocham cię, ale nie zależy mi na romansie na pół etatu. Wybacz, ale nie chcę z dnia na dzień czuć wokół siebie coraz większą pustkę. Az pewnego pięknego poranka nie będzie już nawet wspomnienia o tobie!

Meredith wiedziała, że to, co powiedział, odnosiło się do jego ojca.

Gdyby została z Nickiem, zawsze tkwiłby między nimi ten cień.

- Wychodzisz? - spytała, widząc że Nick podnosi walizki.

- To najlepszy moment.

- Nie będzie mnie tutaj, gdy wrócisz. Zatrzymał się, ale nie spojrzał na nią.

- Rób, co chcesz - rzekł.

Będziemy w kontakcie. - Kay stała w drzwiach gabinetu Meredith i przyglądała się krzątającej przyjaciółki, pakującej rzeczy osobiste do stojącego na biurku kartonu. - Jak tylko będziesz w pobliżu, zajrzyj do nas, OK?

- Oczywiście. A ty koniecznie wpadnij do mnie, kiedy tylko będziesz w Nowym Jorku.

- Pewnie. - Kay wyglądała, jakby miała się rozplakać. - Jeśli kiedykolwiek wybiorę się do Nowego Jorku.

Meredith zmusiła się do uśmiechu. Już teraz tęskniła za Kay.

- Zawsze zostaje jeszcze urlop - rzekła.

- Taaak... Może...

Meredith podniosła z biurka fotografię Nicka.

- Powinnam się tego pozbyć - powiedziała, patrząc na nią. Włożyła jednak fotografię do pudła.

- Będzie bolało przez jakiś czas. Ale uwierz komuś, kto sam przez to przeszedł - czas naprawdę leczy rany.

- Nigdy nie przypuszczałam, że to się tak skończy.

- Każda z nas wyobraża sobie, że jej wybrany mężczyzna będzie z nią już na zawsze... Ale ty, z taką urodą, szybko znajdziesz sobie kogoś innego. Meredith potrząsnęła głową.

- Nie. W każdym razie nie tak szybko, jak myślisz.

Gdy zniosła ostatnią walizkę i postawiła ją przy drzwiach obok innych bagaży, wróciła do pokoju i rozejrzała się, zastanawiając się, czy czegoś nie zapomniała. Rano poleciały do Nowego Jorku większe rzeczy.

Sprzedziała już wóz i na lotnisko miała pojechać wynajętym samochodem. Zmieniła adres w dokumentach i zamknęła konto bankowe. Pomyślała o wszystkim. Zupełnie jakby rozwiązywała spółkę handlową. Problem sprowadzał się do tego, co do kogo należało.

Spojrzała na portret Elizabeth i Davida. Zakochała

się w tym obrazie. Chciała zabrać go z sobą, lecz nie była pewna, czy powinna. Czemu nie? - zastanawiała się. - Nick podarował mi go, więc należy do mnie! Wahala się tylko chwilę. Zdjęła obraz ze ściany i zniosła pod drzwi. Nie odważy się żądać jego zwrotu - pomyślała, opierając portret o bagaże.

Coś sobie przypomniała. Wygrzebała z torby pęk kluczy na złotym kółku i odpięła te od domu. Położyła je na biurku wraz z kopertą zaadresowaną do Nicka.

- Moje ostatnie pożegnanie - szepnęła.

Otwierał się właśnie nowy rozdział w jej życiu.

Ateny, grudzień 1981

Ile zostało mi czasu, Peryklesie? - zapytał Constantine Kirakis, zapinając guziki koszuli. - Nie próbuj mnie zwodzić. Muszę znać prawdę. Tak dużo mam jeszcze do zrobienia i jeśli nie starczy mi...

- Pół roku - odparł grobowym tonem lekarz. - Może mniej.

- Do końca będę w pełni władz umysłowych? To bardzo ważne. Musisz być ze mną całkowicie szczery.

Karamanlis spuścił głowę.

- Nie sposób przewidzieć. Może tak, może nie. Trudno określić, jak daleko zaawansowany jest rak, gdy dochodzi do przerzutów. Chore komórki wędrują przez system limfatyczny i na początek atakują strategiczne punkty organizmu - serce, płuca, nerki, mózg...

- Chcesz powiedzieć, że pod koniec mogę siebie w pełni nie kontrolować?

- Niczego nie gwarantuję. Zostaniesz poddany chemioterapii i naświetlaniu bombą kobaltową.

- Czy dzięki tym zabiegom zyskam trochę czasu?

- Miesiąc lub dwa, może trochę więcej. Choroba wygląda na zaawansowaną. Gdyby została wykryta wcześniej...

- Nie ma sensu rozstrząsać, co by było, gdyby... Teraz i tak jest już za późno. Muszę przygotować Aleksandra do przejęcia kontroli nad korporacją.

- Chcesz mu powiedzieć, w jakim jesteś stanie?

- Nie. I ty mu tego nie powiesz. Nie chcę, by w ostatnich dniach mego życia przyglądał mi się, oczekując, że lada chwila umrę. Pewnie poczuwałby się do obowiązku, by spędzać ze mną każdą wolną chwilę. Będzie miał ważniejsze rzeczy na głowie.

- Nie uważasz, że ma prawo wiedzieć?

- To moja sprawa, Peryklesie. Nie chcę go martwić. Co w tym złego?

- Nic, ale może mieć do ciebie żal, że trzymałeś go w niewiedzy. Już teraz jest przekonany, że zbyt wiele przed nim ukrywasz. Gdybyś mu powiedział...

- Nie - uciał Kirakis, kończąc dyskusję.

Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania, Kirakis zagłębił się w fotelu i zamknął oczy. Zaczął masować je opuszkami palców. Był wyczerpany długą podróżą. Już wchodząc na pokład Learjeta, wiedział, że lot pozbawi go resztek nadwątłych sił, ale nie miał wyboru. Musiał porozmawiać z Aleksandrem, a to, co miał do powiedzenia, wymagało rozmowy w cztery oczy. Tygodniami rozmyślał, jak go przygotować do nowych zadań i doszedł do wniosku, że jest na to tylko jeden sposób.

Zaraz po wylądowaniu do samolotu podszedł przedstawiciel obsługi lotniska, wyjaśniając, że Aleksander załatwił skrócenie formalności.

Kirakis był zaskoczony. W ostatnich latach często podróżował do Stanów Zjednoczonych i syn nigdy nie zadał sobie tyle trudu. Skąd nagle ta troska?

Naraz zobaczył ich - do wysokiego ogrodzenia z siatki, oddzielającego teren przeznaczony dla prywatnych samolotów od pozostałej części lotniska, zbliżał się tłum dziennikarzy i fotoreporterów. Dobrze wiedzieli, jak się ustawić. W żaden sposób nie można było ich ominąć. Błyskali fleszami i wrzeszczeli jeden przez drugiego:

- Panie Kirakis, czy to prawda...

- Plotka głosi, że planuje pan przejście na emeryturę...

- Czy pański syn zostanie przewodniczącym...

- Czy ma to cokolwiek wspólnego z...

- Jeszcze jedno zdjęcie, proszę... Zniecierpliwiony machnął ręką.
- Żadnych wywiadów.

Jak do tego doszło? - pomyślał. - Skąd się o tym dowiedzieli? Wzbudzi w swoich pracownikach podejrzliwość, gdy zacznie przekazywać coraz więcej uprawnień synowi. Dałby sobie uciąć głowę, że zdąży porozmawiać z Aleksandrem, zanim prasa zwietrzy łup. Najważniejsze było to, czy plotki dotarły już do najbardziej zainteresowanego.

- Przepraszam, panie Kirakis. - Eskortujący go mężczyzna z obsługi lotniska starał się być uprzejmy. - Nie mam pojęcia, jak data pańskiego przybycia przeniknęła do prasy.

- Któż to wie, skąd oni biorą informacje? Reporterzy! - parsknął.

- O ileż prostsze byłoby życie, gdyby nie istnieli! Odprawa trwała zaledwie chwilę i wkrótce znaleźli

się przed wyjściem z portu lotniczego, gdzie czekała limuzyna Aleksandra. Tragarz umieścił walizki w bagażniku, a kierowca otworzył Kirakisowi drzwi. Jakież było zdziwienie Constantine'a, gdy na tylnym siedzeniu zobaczył syna.

- Witaj, ojczy - powiedział Aleksander. - Miło cię widzieć.

- Nie spodziewałem się ciebie tutaj - odparł. - Nigdy po mnie nie wyjeżdżałeś... - W tej samej chwili uderzyła go myśl, że syn mógł rozmawiać z Karamanlisem. A wtedy...

- Wiedziałem, że będą na ciebie czekać. Wyglądali jak stado piranii, co? Ciekaw jestem, czym przyciągnąłeś ich uwagę?

- Ja? Nic nie musiałem robić, wszystko załatwiła za mnie poczta pantoflowa.

- Znowu plotki - podsumował Aleksander. Przypatrując się ojcu, zapytał:

- Co sprowadza cię do Nowego Jorku?

Kirakis przerwał zapalenie papierosa.

- Czy muszę mieć powód, by odwiedzić syna?
 - Nie, oczywiście. Pytałem na wszelki wypadek, bo na ogół sprowadzały cię tutaj interesy.
 - Masz rację - odparł po chwili. - Mam powód, by cię odwiedzić, bardzo ważny powód. Chciałem już dać znać prasie, ale postanowiłem przedtem zobaczyć się z tobą.
 - Brzmi złowieszczo.
 - Złowieszczo? Może... - Kirakis utkwił w synu badawcze spojrzenie. Był ciekaw jego reakcji na słowa, które miały paść za chwilę.
 - Niedługo oficjalnie ogłoszę swoje przejście na emeryturę. Zajmiesz moje miejsce w koncernie.
- Aleksander otworzył szeroko oczy ze zdumienia.
- Żartujesz... - W tym samym momencie uświadomił sobie, że ojciec nigdy nie żartuje, gdy w grę Wchodzą ważne sprawy. - Kiedy podjąłeś decyzję?
 - Myślałem o tym od śmierci matki - skłamał Kirakis. Nie mógł wymyślić niczego, co bardziej odbiegałoby od prawdy. Od dnia śmierci żony tylko praca pozwalała mu nadal istnieć, tylko ona nadawała życiu sens - oczywiście oprócz świadomości, że ma syna - następcę. -Ostatecznie zdecydowałem się kilka dni temu. Przygotowałem odpowiednie oświadczenie dla udziałowców i prasy.
 - Naprawdę chcesz to zrobić?
 - Tak. Myślałem, że będziesz się cieszył. Zawsze marzyłeś o stanowisku prezesa rady nadzorczej.
 - Owszem - przyznał Aleksander. - Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że coś się kryje za twoją decyzją. -Zastanawiał się, dlaczego stało się to tak nagle.
 - Coś sobie uroiłeś - burknął Kirakis. Aleksander dostrzegł, że ojciec się zmienił, ale nie wiedział dokładnie, na czym ta zmiana polega. Zawsze wydawało mu się, że będzie zarządzał korporacją dopiero po jego śmierci albo gdy ojciec znacznie posunie się w latach. Przejście na emeryturę Constantine'a było niczym abdykacja króla, który rządził przez całą

wieczność. Co skłoniło go do podjęcia takiej decyzji, skoro nadal był w pełni sił i cieszył się dobrym zdrowiem?

Wycofanie się Constantine'a Kirakisa z korporacji odbiło się szerokim echem w świecie wielkich interesów. W „Wall Street Journal”, „Fortune”, „Forbes” i wielu innych czasopismach pojawiły się obszernie artykuły, komentujące to wydarzenie. Ktoś wyskoczył nawet z cało-śrotonicowym nagłówkiem: „Przewrót u Kirakisów?” Kiedy emocje nieco opadły, w centrum zainteresowania znalazł się Aleksander. Te same pisma publikowały teraz olbrzymie fotografie juniora, nowego prezesa Kirakis Corporation. Nastawienie prasy do młodego Kirakisa zupełnie się zmieniło. Koncern zyskał nowe oblicze.

Któryś z dziennikarzy pozwolił sobie na nazwanie Kirakis Corporation „Imperium Aleksandra”. I stało się - niebawem każdy, od dziennikarzy do szarych ludzi, używał tego określenia.

Constantine Kirakis był bardzo dumny z syna. Z ogromną ulgą przyjął to, że zaczęto inaczej pisać o Aleksandrze, który z niewiarygodną wprost łatwością zaadaptował się do nowych warunków.

Pierwszym jego posunięciem jako prezesa rady nadzorczej było oficjalne ogłoszenie rychłego przeniesienia głównej siedziby korporacji do Nowego Jorku. Przewidywaną konsekwencją tego faktu miała być ekspansja nieporównywalna z dotychczasowym rozwojem firmy.

Constantine nie był tym zaskoczony. Miał nadzieję, że przewidywania się potwierdzą - dla dobra nowego prezesa i korporacji.,

Przez trzy następne miesiące Aleksander był bardziej zapracowany niż kiedykolwiek dotychczas. Zaczynał dzień o szóstej rano, a kończył około drugiej lub trzeciej w nocy. Wczytywał się w kontrakty i inne dokumenty. Przeglądał i analizował raporty o potencjalnych transakcjach handlowych. Dzielił się wnioskami z ojcem, szukając u niego rady i wskazówek. Rozmawiali

czasem całymi godzinami, przesiadując do późna w gabinecie Aleksandra. Kiedy nie mógł już zmusić obolałych oczu do śledzenia czarnego druku kolejnego kontraktu czy raportu, wyciągał się w fotelu i słuchał opowieści ojca, jego wspomnień z lat dzieciństwa w Pi-reusie, wczesnego startu w dorosłe życie i późniejszych wzlotów i upadków Athena Maritime, pierwszej firmy imperium Kirakisa.

Znał już wszystkie te historie, ale z przyjemnością słuchał ich ponownie. Znowu stawały mu przed oczami obrazy własnego dzieciństwa w Grecji, wspomnienia z czasów, gdy byli sobie bliscy, on i ojciec, gdy żadne konflikty nie stawały na drodze wspólnemu szczęściu. Od śmierci Meliny minęły dwa lata i choć zbliżyli się do siebie, nie było jak kiedyś. Coś się zmieniło, coś nieuchwytnego i zarazem bardzo konkretnego. Ojciec nie przyjechał do Nowego Jorku po to tylko, by ogłosić odejście na emeryturę. Aleksander czuł, że chodzi o coś innego. Dawno przecież Constantine przekazał mu korporację, a mimo to nie wspominał ani słowem o powrocie do Grecji. Nigdy jeszcze nie był tak długo poza domem...

Na początku wiosny, w ostatnich dniach marca, Aleksander wydzierżawił biura w World Trade Center i przeniósł tam swą główną kwaterę. W tym czasie ukazał się poświęcony mu niemal w całości numer magazynu „People”. Czytelnicy mogli dowiedzieć się o jego ostatnich osiągnięciach i zobaczyć go na zdjęciach wykonywanych podczas nadzorowania zmiany wystroju biur, w czasie spaceru ulicami Manhattanu, wodowania kolejnego su-pertankowca dla Athena Maritime w Wielkiej Brytanii...

Portretowe zdjęcie na okładce przecinał jaskrawy napis: „Imperium Aleksandra. Współczesny zdobywca mierzy wysoko!”. Aleksander nie był zachwycony artykułem: mierziło go wścibstwo dziennikarzy, choć ojca najwyraźniej podbudował pozytywny wydźwięk publikacji. Od czasu, gdy Aleksander objął fotel prezesa Kirakis Corpo-

ration, międzynarodowa społeczność biznesmenów patrzyła na niego jak na kogoś zupełnie nowego, przynajmniej chwilowo zapominając o tym, że jeszcze do niedawna uchodził za niewyżytego playboya.

„Wykorzystaj środki przekazu - mówił ojciec. - Postaraj się być przychylny dla prasy, będziesz jej potrzebował. Współpracuj z dziennikarzami, zmień swój wizerunek w oczach świata”.

Aleksander musiał przyznać mu rację. Opinia uwodziciela przysparzała mu tylko kłopotów, zarówno zawodowych, jak i osobistych.

Najwyższy czas to zmienić.

Constantine Kirakis stał przy olbrzymim oknie w gabinecie syna i w zamyśleniu spoglądał na posepne marcowe niebo. Przywoływało w pamięci doki Pireusu, gdzie, gdy był chłopakiem, przesiadywał całymi dniami, obserwując zmiany pogody, by przewidzieć nadciągający huragan -kiedy pływa się na statkach, trzeba umieć przeczuć zmiany warunków pogodowych. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Przecierając oczy pomyślał, jak wiele czasu zabierają mu wspomnienia. Praktycznie żył przeszłością. Czy dlatego, że miał wkrótce umrzeć? Rozmyślał teraz o ludziach i zdarzeniach, które przez całe lata dla niego nie istniały. Stawały mu przed oczami twarze osób, z którymi pracował w dokach, ponure budy, gdzie przychodziło mu mieszkać. Przypomnił sobie kradzieże na ulicznych bazarach, pozwalające przeżyć głodującemu dziecku.

i podstarzałą prostytutkę, która udzieliła mu pierwszej lekcji seksu, kiedy miał czternaście lat.

- To prawda - wyszeptał, - Przed śmiercią staje nam przed oczami całe życie...

Chciał spędzić z synem jak najwięcej czasu. Właśnie dlatego tak długo pozostawał w Nowym Jorku. Od wielu lat żyli własnym życiem; teraz miał ostatnią szansę, by to zmienić. Nie mógł zrozumieć samego siebie. Dlaczego dopuścił, żeby poróżniła ich taka błażostka? Chęć zamieszkania w Stanach Zjednoczonych? Im dłużej prze-

bywał w Nowym Jorku, tym bardziej obawiał się, że Aleksander odkryje w końcu, jakim człowiekiem naprawdę jest jego ojciec, że za legendą kryje się istota z krwi i kości, popełniająca błędy jak wszyscy inni. Czy Aleksander będzie w stanie wybaczyć mu ból i udrękę, które znosił przez długie lata, nie rozumiejąc ich przyczyny?

Myśli Constantine'a powędrowały ku Melinie, ku obietnicy, jaką jej złożył.

Ciągle słyszał słowa żony: „Musisz pogodzić się z Aleksandrem. Połóż kres kłamstwu i sekretom. Pogódź się w końcu z nim... i z sobą samym”.

Nie mógł dotrzymać obietnicy. Wybacz - pomyślał. -Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się obiecać coś, czego nie jestem w stanie uczynić.

Naraz chwycił go ból w prawym boku. Kolejny sygnał, że jego czas się kończy. Po rozmowie z Karamanlisem zdecydował się na konsultację z ordynatorem oddziału onkologicznego Memorial Hospital. Doktor Erie Langley zarządził przeprowadzenie serii badań bez hospitalizowania pacjenta. Nie kończące się analizy krwi, prześwietlenia, punkcje.

Pobranie szpiku kostnego i prześwietlenie wątroby. Wyniki były złe.

Karamanlis uważał, że rak rozwinął się najpierw w płucach. Teraz przerzucił się na wątrobę i stos pacierzowy. Langley wstrzymał

rozpoczętą w Grecji chemioterapię i przepisał leki przeciwbólowe, wyjaśniając jednocześnie, że kontynuowanie poprzedniej terapii jest bezcelowe. Nie mogło już powstrzymać rozwoju komórek rakowych, rozprzestrzeniających się jak ogień w wysuszonym przez upały lesie.

Radził też, by Kirakis skorzystał z opieki szpitalnej. Najpierw jednak Constantine musiał odwiedzić syna. Zaczął kaszleć. Gwałtowny

wyniszczający kaszel męczył go od kilku miesięcy. Od lat za dużo palił.

Zaczął, gdy miał dziewięć lat. Lekarz twierdził, że palenie ma na pewno duży wpływ na rozwój choroby. Kirakis z trudem łapał oddech. Na chusteczce, którą trzymał przy ustach, pojawiła się krew. Kiedy w końcu mógł w miarę spokojnie oddychać, zadzwonił na służącego. Zjawił się natychmiast.

- Martin, wezwij ambulans. Niech zawiozą mnie do Memorial Hospital. - Wyjął z portfela wizytówkę. - Zadzwoń do doktora Langleya i powiedz mu, żeby na mnie czekał.

- *Sir*, jeśli...

- Proszę, Martin! Nie mam czasu! Wezwij karetkę, szybko! I powiadom mojego syna, gdzie jestem.

- Tak, *sir*. - Martin chwycił słuchawkę i w pośpiechu wykręcił numer.

Czas ucieka - pomyślał Kirakis. - Szybciej, niż się spodziewałem.

Aleksander przybył do szpitala wkrótce po przyjęciu ojca na oddział onkologiczny. Przed drzwiami do przydzielonego Kirakisowi pokoju natknął się na doktora Langleya. Lekarz poprosił go do sąsiedniego pomieszczenia i na wstępie powiedział:

- Powinniśmy porozmawiać, zanim zobaczy się pan z ojcem. Wiem od niego, że nie ma pan o niczym najmniejszego pojęcia.

- To jakieś nieporozumienie - odparł Aleksander. - Co dolega ojcu? Dlaczego się tu znalazł?

- Do karty choroby wpisano: zwyrodnienie płuc i stosu pacierzowego, *hepatic carcinoma*, niewydolność serca, obrzęk płuc i pneumonia.

Językiem laika: rak płuc, stosu pacierzowego, wątroby i zapewne na tym nie koniec. Pod sercem zbierają się płyny ustrojowe z komórek rakowych.

Wątroba w zasadzie przestała działać, są pierwsze symptomy żółtaczki.

Zapalenie płuc jest natomiast rezultatem osłabienia układu oddechowego.

Podajemy antybiotyki i tlen.

- Od jak dawna jest w takim stanie?

- Choroba rozwijała się jakiś czas, rok, może dłużej. Nie sposób tego precyzyjnie określić.

- On wiedział o tym od roku?!

- Nie, nie! - odpowiedział szybko lekarz. - Obecny stan jest wynikiem trwającej od ponad roku choroby. Pański ojciec dowiedział się o niej trzy, cztery miesiące temu. Diagnozę postawił jego osobisty lekarz w Grecji.

- Karamanlis - mruknął ze złością Aleksander.
 - Tak... Rak został wykryty za późno, by można było cokolwiek zrobić. Przerzucił się już z płuc na inne organy.
 - Kiedy... - Głos uwiązł mu w gardle.
 - Niedługo. Jest bardzo słaby. Rzecz jasna, pozostanie w szpitalu, na wypadek gdyby ponownie zaistniało zagrożenie dla jego serca. No i konieczne jest stosowanie respiratora. Powinien pozostać tutaj, aż... - Wzruszył ramionami.
 - Rozumiem. Nie jestem jednak przekonany, czy on się na to zgodzi. Będzie chciał wrócić do Grecji... by tam umrzeć.
- Langley energicznie zaprzeczył:
- Nie ma mowy. Nie przeżyłby tak długiej i wyczerpującej podróży samolotem. Nie mógłbym wyrazić zgody na wypuszczenie go ze szpitala.
 - Postaram się odwieść go od takiego pomysłu, ale nic nie obiecuję. Potrafi być bardzo uparty.
 - Wiem. - Ordynator uśmiechnął się lekko.
 - Chcę się teraz z nim zobaczyć - rzekł Aleksander, podnosząc się z krzesła.
- Lekarz wstał i otworzył mu drzwi.
- Proszę nie zostawać długo. Dostał leki na uspokojenie.
- Aleksander prawie nie słyszał tych słów. Zapatrzone w podłogę, desperacko starał się opanować. Wchodząc do izolatki, odetchnął głęboko i podszedł do łóżka. Ojciec miał zamknięte oczy. W dziurkach nosa tkwiły plastikowe rurki, a do ramienia podłączono kroplówkę. W dyskretnym półmroku uspokajająco tykał kardiograf.
- Ojcie.
- Kirakis powoli otworzył oczy.
- Aleksandrze - odezwał się chrapliwym głosem. - Cieszę się, że tu jesteś...
 - Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego, ojcie, zawsze coś przede mną ukrywasz?
 - Chciałem ci tego oszczędzić. Nie byłoby dobrze,

gdybyś marnował energię na zamartwianie się. I tak nic nie mógłbyś zrobić, a to przecież wystarczająco trudny okres w twoim życiu. Waży się cała twoja przyszłość.

- To dlatego zdecydowałeś się odejść z korporacji?

- Było mało czasu. Pragnąłem jedynie spędzić z tobą jak najwięcej dni, naprawić minione lata, pomóc ci przygotować się do obowiązków prezesa... - Nagle zaniósł się kaszlem.

- Ojcie - głos drżał Aleksandrowi - zbyt długo czekałem, żeby ci to powiedzieć, wiem, ale... Kocham cię!

Przez następne dwa tygodnie Aleksander spędził dużo czasu przy ojcu. Stany utraty świadomości po zaaplikowaniu środków przeciwbólowych, chwile jasności umysłu i majaczenia na pograniczu obydwu światów przeplatały się ze sobą.

Aleksander nadal nie mógł pogodzić się z myślą, że człowiek, który wydawał mu się nieśmiertelny, odchodzi. Pewnej nocy ojciec powiedział mu:

- Wiesz, nie przejmowałbym się tak śmiercią, gdybyś nie był samotny.

- Nie miałem takiego szczęścia jak ty i matka - odparł spokojnie Aleksander.

- Dobre małżeństwo i dzieci są równie ważne jak potęga. Nawet ważniejsze. Gdybym kiedykolwiek w to wątpił, nie zostałem tym, kim jestem, i nigdy nic bym nie osiągnął.

- Nie wątpię w to, ojcie, ale ja chyba nie nadaję się na męża.

- Musisz dać sobie szansę. Opuściłbym ten świat bez żalu, gdybyś miał kogoś bliskiego. Matka... zawsze się o ciebie martwiła.

- Martwiła się o nas obu, ojcie. - W jego oczach pojawiły się łzy.

Kirakis powoli skinął głową.

- Przed śmiercią kazała mi obiecać, że się pogodzimy.

- I przecież tak się stało.

- Chciała odejść na wieczny spoczynek z czystym sumieniem... i mnie też na tym zależy. Błagała mnie... -Kaszel nie pozwolił mu dokończyć. Zdołał jeszcze wykrztusić:- Chciała... bym... ci po... wiedział...

Aleksander zadzwonił na pielęgniarkę.

- Nie mów, ojciec. Połóż się, odpocznij.

Zjawiła się niemal natychmiast. Podała choremu respirator i środki uspokajające, a potem wyprosiła Aleksandra z sali. Stojąc na korytarzu, widział wchodzący do izolatki personel medyczny. Po chwili pojawił się doktor Langley. Podeszedł do Aleksandra.

- Rak zaatakował oskrzela, blokując drogi oddechowe. - Zrobił krótką pauzę i dodał: - Wokół serca i płuc znów gromadzi się płyn.

- Chce pan powiedzieć, że zostało mu niewiele czasu?

- Obawiam się, że tak.

Aleksander wrócił do izolatki, gdy tylko mu pozwolono. Usiadł na krześle u wezłowania chorego. Ojciec chciał mu powiedzieć coś ważnego. Ale co? W pamięci stanęły słowa matki, leżącej na łożu śmierci. Ona także chciała mu coś przekazać, lecz mówiła bardzo niejasno. Coś o przeszłości... Położyć kres kłamstwom i sekretom... Jakim sekretem? Krótco po północy ojciec zapadł w śpiączkę. Aleksander czuwał przy nim całą noc i przez następny dzień. Constantine nie odzyskał przytomności nawet na chwilę.

Jakże ciężko musiało mu być w ostatnich miesiącach - rozmyślał Aleksander.

Znowu byli ojcem i synem...

O czwartej po południu do izolatki, po raz trzeci tego dnia, zajrzał Langley. Właśnie opuszczał szpital i poradził Aleksandrowi zrobić to samo.

- Potrzebuje pan odpoczynku, inaczej sam zostanie pan naszym pacjentem. Proszę jechać do domu.

Aleksander niechętnie usłuchał. Zatelefonował po samochód i wrócił do cichej samotni gabinetu. Lokaj przyniósł tacę z jedzeniem, ale nawet na nią nie spoj-

rzał. Na biurku piętrzyły się stosy dokumentów. Nie miał nastroju do pracy. Zdolny był tylko obserwować, jak zmrok ustępuje miejsca ciemności nocy. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem czuł się tak boleśnie samotny. Tak bardzo pragnął mieć teraz u swego boku kogoś, kto złagodziłby cierpienia.

Z zamyślenia wyrwał go telefon. Aleksander nie odbierał, przekonany, że zrobi to ktoś ze służby. Po jakimś czasie jednak sam podniósł słuchawkę. Usłyszał ciepły kobiecy głos:

- Czy mogę mówić z panem Kirakisem?

- Przy telefonie - burknął.

- Mówi Hanover z Memorial Hospital. Pański ojciec zmarł o jedenastej pięćdziesiąt sześć. - Zapalił lampkę przy biurku i spojrzał na zegarek. Były trzy minuty po dwunastej.

- Panie Kirakis?

- Zaraz tam będę - powiedział spokojnie. Powoli odłożył słuchawkę.

Ojciec nie żył. Umierając matka martwiła się, kto zaopiekuje się Constantine'em, kiedy jej już nie będzie. Teraz mogła to zrobić sama.

Aleksander miał nadzieję, że do czasu załatwienia wszystkich formalności związanych z przewiezieniem zwłok ojca do Grecji uda mu się utrzymać wiadomość o jego śmierci w tajemnicy przed prasą. Zależało mu na spokoju i skupieniu. Wśród personelu firmy znalazłby się co najmniej tuzin godnych zaufania ludzi, którzy mogli go wyręczyć, ale postanowił wszystkim zająć się osobiście.

Niestety, prasa dowiedziała się o śmierci ojca niemal natychmiast. Dziennikarze czekali przed szpitalem a potem włączyli się za Aleksandrem przez trzy dni, gdy przepelniony bólem starał się o trumnę, przygotowywał transport na lotnisko i szykował się do uroczystości pogrzebowej, która miała się odbyć w Grecji.

Towarzyszyli mu aż na lotnisko Kennedy'ego. Był ponury i zimny ranek. Aleksander krzyczał na nich, nie panując nad gniewem. Dotychczas dziennikarze tylko go drażnili, teraz czuł do nich wstręt i obrzydzenie. Wszędzie wietrzyli sensację. Robili sobie przedstawienie z cudzego bólu. Nie potrafili uszanować nawet śmierci.

Kiedy samolot wystartował, Aleksander odetchnął z ulgą. Zanim usnął, zastanawiał się, co go czeka w Atenach. Nie wiedział, czy potrafi stawić czoło prasie bez utraty panowania nad sobą.

Constantine Kirakis został pochowany na wyspie obok Meliny i Damiana. Aleksander zdecydował się nie

wziąć udziału we mszy zorganizowanej przez dawnych przyjaciół ojca. Żadnego z nich nie zaprosił też na pogrzeb. Jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktokolwiek zakłócał mu spokój. Nie przyjmował gości i telefonów przez cały tydzień po pogrzebie. Służba rzadko go widywała. Wstawał wcześnie rano i opuszczał willę, nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje ani kiedy wróci. Godzinami spacerował po plaży lub błądził ścieżkami w głębi łądu. Niekiedy zabierał konia lub objeżdżał wyspę dżipem ojca. Zaczął cierpieć na bezsenność. Helena z dnia na dzień coraz bardziej się o niego niepokoiła, lecz on nieodmiennie zapewniał ją, że czuje się dobrze i nic mu nie jest.

Nie miał ochoty zostawać dłużej w Grecji, jednak to było konieczne. Czekano go tutaj niemało pracy. W przyszłym tygodniu w Atenach miała zostać odczytana ostatnia wola ojca. Aleksander musiał podpisać jakieś dokumenty, podjąć pewne decyzje.

Któregoś dnia, gdy wracał właśnie z konnej przejażdżki, natknął się w bibliotece na Karamanlisa.

- Co pan tutaj robi? - odezwał się chłodnym tonem. Położył na biurku szpicrutę i ściągnął rękawiczki. - Powiedziałem jasno i wyraźnie, że nie życzę sobie, by ktokolwiek mi przeszkadzał.

- Martwiłem się o ciebie - odrzekł lekarz. - Chciałem się upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Wzruszające. Skoro więc zobaczył pan, że ze mną nie najgorzej, mógłby pan sobie pójść. - Nie krył dla niego pogardy. - Wszystkich swoich pacjentów darzy pan taką troską? Czy może mam zaszczyt być traktowany w wyjątkowy sposób?

- Nigdy nie myślałem o tobie jako o pacjencie. Dobrze o tym wiesz. Twoi rodzice przez wiele lat byli moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Aleksander nie potrafił powstrzymać się ani chwili dłużej.

- Dlaczego nie powiedział mi pan, że ojciec był umierający?! - wybuchnął.

- Ponieważ zabronił wspominać o tym komukolwiek Zwłaszcza tobie.
- Powinien pan porozmawiać ze mną, bez względu na to, co panu mówił. Miał pan obowiązek poinformować mnie.
- Zdajesz sobie sprawę, co mówisz? Przecież to byłoby rażącym pogwałceniem etyki lekarskiej!
- Nie interesują mnie jakieś durne ślubowania'
- Możliwe, że ciebie nie interesują, ale to ja jestem lekarzem. I miałem związane ręce właśnie przez etykę której ty nie uznajesz! Twój ojciec nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o stanie jego zdrowia
- Miałem prawo wiedzieć! - upierał się Aleksander - Byłem jedyną bliską mu osobą! Jego synem!
- Staralem się go przekonać. Tłumaczyłem mu, że i tak zbyt wiele przed tobą ukry...- Urwał nagle w pół słowa
Aleksander spojrzał na niego podejrzliwie.
- Przed śmiercią, w szpitalu w Nowym Jorku, powiedział coś, co brzmiało podobnie. Powiedział, że czas skończyć z kłamstwami i sekretami. Oczywiście pan wie, co miał na myśli, prawda?
- Nie, skądże. Wspominał zawsze, że chciał ci oszczędzić niepotrzebnych zmartwień i dlatego nie informował cię o przykrych sprawach - rzekł doktor niepewnym głosem. - Podobnie postępował wobec twojej matki Melina znała go jednak zbyt dobrze... by dać się zwieść '
- Kłamstwo. Wie pan znacznie więcej.
- Absurd! - wykrzyknął Karamanlis. Wyraźnie był coraz bardziej zdenerwowany. - Ze wszystkich, którzy go znali, właśnie ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że nikomu się nie zwierzał.
- To nie ma sensu. Nie wierzę panu. Wykręca się pan od odpowiedzi na moje pytania. Teraz proszę zostawić mnie w spokoju.
- Ja... - Karamanlis urwał i zacisnął usta. To rzeczywiście nie miało sensu. Gdy otworzył drzwi od biblioteki, chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i wyszedł bez słowa.

Aleksander z wściekłości uderzył pięścią w ścianę. Źle to rozegrał. Był pewien, że lekarz coś wie. Co mógł ukrywać?

Wrócił do Nowego Jorku w maju. Następne osiemnaście miesięcy całkowicie poświęcił pracy. Osobiście zaangażował się w rozwój Kirakis Corporation i podróżował po całym świecie, by każde przedsięwzięcie poznać od kuchni. Spędził kilka tygodni w Niemczech, obserwując tam produkcję samochodów, potem przeniósł się do Londynu, żeby przekonać się naocznie, jak funkcjonuje agencja reklamowa, a następnie do Paryża, gdzie wizytował biura największej linii lotniczej korporacji. Szczególnie zainteresował go problem bezpieczeństwa w portach lotniczych. Po wyjeździe z gościnnej Francji odwiedził w Montrealu spółkę produkującą komputery, w Rzymie zakłady farmaceutyczne, a w Japonii - sieć telewizyjną.

Zwierzył się George'owi Prescottowi, że podczas podróży nauczył się o wiele więcej niż na Harvardzie.

Zawsze, gdy miał problem, zasięgał rady ekspertów. Jeśli nie potrafili odpowiedzieć na jego pytania, chwycił za słuchawkę i odnajdywał kogoś, kto znał żadaną odpowiedź. Kiedy potrzebne mu były szczegółowe informacje, rozglądał się za specjalistą w danej dziedzinie. Pytał o wszystko, choćby o najdrobniejsze z pozoru, nieistotne rzeczy i skrupulatnie zapamiętywał każdą odpowiedź.

George przypatrywał się Aleksandrowi uważnie i pewnego dnia zarzucił mu, że chce zostać ekspertem od wszystkiego.

- Przecież to niepotrzebne - rzekł. - W razie potrzeby można zatrudnić odpowiedniego fachowca!

Usłyszał gromki śmiech Aleksandra.

- Dusza-człowiek z ciebie, przyjacielu. Czy naprawdę choć przez chwilę myślałeś, że powierzę innym najistotniejsze sprawy, pozostając ignorantem we własnej firmie? Szybko wyszedłbym na głupca w grze o taką stawkę? Owszem, zatrudnię fachowców, możesz być tego

pewien, ale jednocześnie zdobędę tyle wiedzy, że zawsze będę wiedział, co robią.

- Czego ty naprawdę chcesz? - zapytał George.

- Wszystkiego. Chcę mieć u stóp cały świat - odparł obojętnie Aleksander.

Roześmiali się jednocześnie.

- Żeby tylko wiedzieć, jak tego dokonać... - zaczął Prescott.

- Cierpliwości, przyjacielu. Pokażę ci, jak to zrobić.

Jeszcze odrobinę w lewo - powiedziała Meredith.

Umundurowany pracownik obsługi technicznej, do którego skierowane były te słowa, stał na niewielkiej rozkładanej drabince i balansując jak cyrkowiec od lewej do prawej, usiłował zawiesić na ścianie portret Elizabeth. - Jeszcze trochę, o... tak, teraz jest doskonale!

- Dzięki Bogu! - o rzekł z ulgą mężczyzna. Schodząc na dół, zapytał: - Czy coś jeszcze, panno Courtney?

- Nie, to wszystko. Dziękuję.

- Zawsze do usług! - Złożył drabinę i spojrzał na obraz, który przed chwilą w duchu przeklinał. - Była niesamowita, prawda?

- Bardzo piękna.

- Widziałem jej ostatni film - mówił, idąc do drzwi. - To była jej najlepsza rola.

- Tak, to prawda. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Praca dla pani to przyjemność. - Uśmiechnął się i zniknął za drzwiami.

Meredith rozejrzała się. Moje sanktuarium - pomyślała z satysfakcją. -

Nareszcie prawdziwy dom!

Po przyjeździe do Nowego Jorku wynajęła mieszkanie w dzielnicy Lower East Side. Nie było najgorsze, ale stanowczo za małe. Miało kuchnię wielkości znaczka pocztowego, a łazienkę tak olbrzymią, że można było nawet obrócić się w niej z przyciśniętymi do ciała rękoma. Okazja nadarzyła się miesiąc później. Koleżanka z IBS, Casey Rinaldi, napomknęła w rozmowie o wolnym apartamencie w jej bloku na skrzyżowaniu Sie-

demdziesiątej Pierwszej i West End Avenue. Skontaktowała Meredith z właścicielem. Tego samego dnia Meredith wynajęła je.

Musiała poświęcić kilka tygodni, by zmienić architekturę wnętrza, ale teraz była już z niego zadowolona. Mieszkanie było przestronne, nowoczesne i bardzo kobiece. Salonik jaśniał różnymi odcieniami jasnego błękitu i bieli. W sypialni królowały róż i blady fiolet. Trzeci pokój Meredith zamieniła w skromny gabinet, wstawiając regały na książki oraz stare biurko, które znalazła w sklepie z antykami.

W zamyśleniu włożyła ręce do kieszeni luźnych spodni i zapatrzyła się w portret Elizabeth i Davida. Od kiedy wyjechała z Kalifornii, tęskniła za miejscem, które mogłaby nazwać domem. Teraz je miała. Czy jednak zdoła w ten sposób przezwyciężyć dręczące ją uczucie samotności? Ciągle nie mogła zapomnieć... Wciąż czuła gorzkość tamtego ranka w Malibu... Obiecała sobie, że już nigdy żaden mężczyzna nie zrani jej tak jak Nick.

Miała pracę, i to powinno jej wystarczyć.

Pewnego zimnego szarego dnia w połowie grudnia Meredith stała przy oknie swego gabinetu na dziewiątym piętrze IBS Broadcast Center i przyglądała się ruchowi na Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej. Po przeciwnej stronie jezdni stał mężczyzna w stroju świętego Mikołaja i rozdawał gromadzącym się wokół dzieciakom paczuszki ze słodyczami. Meredith uśmiechnęła się. Uwielbiała spędzać święta w Nowym Jorku. Były zupełnie inne niż na Zachodnim Wybrzeżu. Czuło się tu tradycję, prawdziwą świąteczną atmosferę. Za oknem padał śnieg, dzieci otrzymywały prezenty, zupełnie jak w jej rodzinnym domu...

Usiadła za biurkiem. Na ścianie za jej plecami wisiały dowody sukcesów osiągniętych w World Focus -otoczone kolorowymi obwódkami wycinki z czasopism, gdzie wymieniano jej nazwisko, okładki magazynów

z jej fotografiami. Przy każdej okazji zerkała na nie z drżącym sercem, jakby widziała je po raz pierwszy: „The New York Times”...

„Newsweek”... „TV Guide”... „MS”... „Working Woman”. Stała się jedną z najświetniejszych dziennikarek sieci IBS. Ścienna gazetka spełniała rolę węzełka na chusteczce - przypominała o osiągnięciu wymarzonego sukcesu, dodawała wiary i napełniała dumą.

Ktoś zapukał do drzwi. Meredith podniosła wzrok i ujrzała wchodzącą do gabinetu sekretarkę.

- Co się stało, Cindy?

- Otrzymujemy już odpowiedzi na twoje zaproszenia. Prezes Exxon zgodził się, Lee Iacocca chciałby, ale nie może, Brown z AT & T jest nieosiągalny w zaproponowanym terminie, Aleksander Kirakis zastanowi się, ale przedtem chciałby z tobą porozmawiać.

Meredith pokiwała głową.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - powiedziała.

- Pewnie dlatego, że on zawsze był nieuchwytny -zauważyła Cindy.

- Co? Tak, oczywiście. - Dopiero teraz Meredith wróciła do rzeczywistości.

- Mam zatelefonować do Kirakis Corporation?

- Nie, sama to zrobię - odparła szybko.

Sekretarka przekazała jej pełną listę nazwisk i wróciła do swego pokoju.

Meredith przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Aleksandrem

Kirakisem. Nigdy nie spełnił obietnicy i Bóg jeden raczył wiedzieć, jak w końcu miała doprosić się tego wywiadu. Rzeczywiście nie miał czasu, czy może nie chciał go znaleźć? Tak wiele się zmieniło od pamiętnego meczu polo. Był teraz prezesem korporacji, ona prowadziła cieszący się dużym powodzeniem program telewizyjny. Jedna rzecz pozostała bez zmian - jej determinacja w dążeniu do celu.

Chwyciła notes i odszukała numer Aleksandra. Wykręcając kolejne cyfry, zastanawiała się, co zdarzy się tym razem. Trzy razy los stykał ich ze sobą i Kirakis coraz bardziej przypierał ją do muru, wiedząc o tym, że

była związana z Nickiem. Co będzie teraz? Z pewnością wie, że znowu jest wolna...

Telefon odebrała jakaś kobieta.

- Kirakis Corporation. Czym mogę służyć?

- Proszę połączyć mnie z panem Aleksandrem Kirakisem. -, Usiadła wygodniej. Po chwili usłyszała inny kobiecy głos:

- Biuro pana Kirakisa.

- Chciałabym rozmawiać z prezesem. - Starła się mówić rzeczowo i spokojnie. - Mówi Meredith Courtney z IBS.

- Proszę poczekać. Sprawdzę, czy nie jest zajęty. Oczekiwanie przedłużało się. Miękki fotel stawał się

coraz twardszy, a serce biło coraz mocniej. Co usłyszy za chwilę?

W budynku World Trade Center Aleksander przeglądał ostatnie raporty od rozsianych po całym świecie informatorów, szukających w wielu krajach zysków dla koncernu. Bardziej obiecujące propozycje omawiał natychmiast z George'em Prescottem.

- Jak wygląda twój rozkład w następnym tygodniu? -zapytał.

George wzruszył ramionami.

- Nic nadzwyczajnego, kilka spotkań, konferencja w Seattle w sprawie tartaku...

- Odwołaj wszystko. Pojedziesz do Singapuru reprezentować korporację w przetargu na dzierżawę pól naftowych na Morzu Jawajskim.

- Jesteś pewien, że warto się tym zainteresować? Słyszałem...

- Czytałem raporty geologiczne. Są wystarczająco obiecujące. Pola przyniosą olbrzymie zyski.

- Co do tego nie mam wątpliwości. Sam przeglądałem niektóre z tych ekspertyz. Jeśli nie mijają się z prawdą, jest tam tyle ropy, że można by ją wyssać przez słomkę.

- Nadal masz obiekcje.

- Owszem. To bardzo niepewne tereny, zupełnie jak gra w rosyjską ruletkę. Zainwestujesz pieniądze, wykupisz roponośne tereny, a potem nagle w jakimś indonezyjskim państewku wybuchnie rewolucja i twoja ziemia zostanie upaństwowiona. Nie podoba mi się to. Zbyt ryzykowne.

- Zgadza się. Ale gdzie nie ma ryzyka? Przewidywane zyski czynią grę opłacalną.

- Cóż... ty decydujesz. Kiedy odlatuję?

- W poniedziałek rano nie będzie za wcześnie?

- W sam raz.

Rozległ się sygnał interkomu, a zaraz potem głos sekretarki:

- Panie Kirakis, Meredith Courtney z IBS na pierwszej linii. Mam ją połączyć? Może powiedziec, że jest pan zajęty?

Twarz Aleksandra rozjaśnił uśmiech.

- Nie, poproś ją tylko, by zechciała chwilę poczekać. - Zwrócił się do George'a: - Dokończymy rozmowę później.

Prescott skinął głową i posłał mu porozumiewawcze spojrzenie. Czym prędzej wyszedł z gabinetu. Aleksander podniósł słuchawkę.

- Halo, Meredith! - Starał się nadać głosowi miłe brzmienie. - Spodziewałem się, że zadzwonisz...

Właśnie ci je przysłano - powiedziała wesoło Casey, wchodząc do garderoby na trzecim piętrze Broadcast Center. Niosła tuzin pięknych róż w dużym kryształowym wazonie.

Meredith nie mogła chwilowo cieszyć nimi oczu - stała plecami do drzwi.

- Zostawić tutaj czy zanieść do twojego gabinetu?

- Zanieś do mnie- odparła, nie podnosząc głowy. Była przekonana, że chodzi o korespondencję i listę osób, do których należy zadzwonić.

- Nie chcesz nawet zobaczyć, kto je przysłał?

- Co... - Meredith aż zatkało, kiedy zobaczyła, co jest tematem ich rozmowy. Nie musiała czytać bilecika. Wiedziała, kto ofiarował jej kwiaty. Odruchowo sięgnęła po ozdobną kopertę i wyjęła z niej kartonik. „Myślę o dzisiejszym wieczorze. A.” Uśmiechnęła się cierpko. Nigdy nie rezygnuje - pomyślała. Wczoraj zaprosił ją telefonicznie na kolację. Zgodziła się, wyraźnie zaznaczając, że spotkanie dotyczyć będzie wyłącznie wywiadu. Nie zaszczycił tych słów żadnym komentarzem, ale Meredith była pewna, że i tak nie usłucha.

- Ktoś cię lubi. - Casey udowodniła, że jest spostrzegawczą dziewczyną.

- Niestety - rzekła ponuro Meredith.

- Nie jesteś zadowolona?

- To długa historia - odparła wymijająco, gdyż zbliżył

się do niej fryzjer. Gdy zdjął wálki, wólasy trzeba było ułóżyć i poprawić nieco makijaż. Meredith znośła to z nadzwyczajną cierpliwością, wyrobioną przez lata pracy w swoim zawodzie. W tym czasie zjawił się Barrie Matlock, sekretarz producenta. Wręczył jej odbitkę ksero z danymi o materiale.

- Tylko tyle? - zapytała zde gustowana.

- Masz coś więcej? - Pomyślała chwilę i szybko napisała kilka słów na odwrocie odbitki. - Jak to brzmi? „W dzisiejszym programie Jessica Sherry opowie o swej najnowszej powieści. Przedstawię państwu drugą część trzyodcinkowej serii wywiadów z żonami znanych polityków. Tony Corrigan przygotował raport o ostatniej fali terroryzmu w Europie.

Oprócz tego wiele innych interesujących tematów dziś w „World Focus”.

- Spojrzała na Marlocka pytająco.

Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie Harv będzie zadowolony. Zajrzę do niego i...

Nagle drzwi przeszły trudną próbę wytrzymałości zawiasów i jak cyklon wpadł Kent Mason, kierownik planu.

- Szybko!- wrzasnął, starając się złapać oddech. - Jesteśmy gotowi! Co ma na sobie Meredith? - Rzucił na nią okiem i opadły mu ręce. - Beż! Jezu Chryste, jesteśmy przygotowani na zieleń chromową!!! - Zrobił błyskawiczny w tył zwrot i wyszedł z pokoju równie gwałtownie, jak wszedł.

Meredith zaśmiała się serdecznie.

- Dokąd on się tak śpieszy? - spytała.

Barrie skrzywił się, jakby wypił szklanke soku z cytryny.

- Od samego początku kariery nie zmienił się - rzekł. - Biega, jakby śpieszył się do wieczności i miał na to tylko dziesięć minut.

Meredith spojrzała na ścienny zegar. Fryzjer powinien już kończyć. Do wejścia na antenę zostało dwadzieścia minut. Sekretarka w milczeniu przeprowadzała selekcję

listów, których adresatami mieli być goście programu. Trzeba było myśleć też o nowych, już potwierdzonych wywiadach - jaki przyjąć punkt wyjścia, jakie zadać pytania. Meredith nadal sama pisała dla siebie większość materiałów. I właśnie w tym momencie zastanawiała się, czym mogłaby dziś olśnić Aleksandra Kirakisa.

W drzwiach pojawiła się głowa Kenta Masona. Wysunął rękę do przodu i z zapamiętaniem postukał palcem w zegarek.

- Czekamy na ciebie, Meredith! Za dziesięć minut wchodzisz na żywo!

- Dobrze, już dobrze! - krzyknęła, wyskakując z fotela i zrzucając z szyi ręcznik. W drodze do drzwi towarzyszył jej fryzjer, który usiłował ujarzmić kilka niesfornych kosmyków. W progu dał za wygraną.

Pięć minut później dołączył do Meredith i jej sekretarki Kent i we trójkę wjechali windą na dziewiąte piętro. Cekał tam Cole Richards, atrakcyjny i miły mężczyzna przed czterdziestką, który dawniej był korespondentem Associated Press, a teraz tworzył z Meredith chyba najpopularniejszą parę prezenterów IBS. Wstępniak zajął im niecałą minutę, a potem rozpoczęła się bieganina i ostatnie przygotowania do programu.

Niebawem mieli wejść na antenę. Zespół pracowników dostarczał najświeższe wiadomości. Zjawiała się też Cindy.

- Kogo by pani wolała do „Twarzy, które znamy”, księcia Karola czy przywódcę najemników w Afryce Północnej? - zapytała.

- Księcia Karola, jeśli tylko jest osiągalny - odparła Meredith bez zastanowienia. - Rozmowa z najemnikiem byłaby interesująca, ale księżę przyciągnie większą widownię.

Sekretarka pokiwała głową.

- Zanim się ożenił, cieszył się dużym powodzeniem u kobiet, tak jak Aleksander Kirakis - powiedziała rozmarzona.

Słowa te podziałały na Meredith jak zimny prysznic.

Dlaczego tak ją poruszyło to, co powiedziała Cindy? Zaraz jednak odpędziła od siebie to pytanie. Po chwili myślała już wyłącznie o programie.

Siedziała przy toalecie w sypialni i poprawiała szminkę. Chwilę studiowała swoje odbicie w lustrze, potem uśmiechnęła się z zadowoleniem. Za bardzo się starasz, moja droga, jak na spotkanie z mężczyzną, który podobno cię nie interesuje - pomyślała. - A może nie powinnaś walczyć ze swoją naturą? Czy jest w nim coś takiego, co cię do tego zmusza?

Podeszła do szafy. Po namyśle zdecydowała się na prostą granatową sukienkę z jedwabiu, elegancką, ale nie prowokacyjną. Ta ostatnia zaleta zdecydowała o wyborze stroju, bo w grę wchodziła kolacja z Aleksandrem Kirakisem. Zapinając zamek na boku, wskoczyła szybko w czarne pantofelki na wysokich obcasach. Zamknęła drzwi szafy i wróciła do toaletki. Sięgnęła do szuflady po kasetkę z biżuterią i wyjęła z niej pojedynczy sznur szarych pereł oraz pasujące do niego kolczyki.

Zakładając je, zdała sobie nagle sprawę, że coś nie pasuje. Włosy. Musiały podkreślać prostotę sukni! Zebrała je w kitkę z tyłu głowy i upięła kilkoma dużymi spinkami. Teraz znacznie lepiej - pomyślała, sprawdzając po raz ostatni swoje odbicie w lustrze.

Zabrział dzwonek u drzwi. Spojrzała na zegarek -dokładnie wpół do ósmej. Był punktualny co do sekundy. Wolałaby spotkać się z nim od razu w restauracji, ale on nie chciał o tym słyszeć. „Mój ojciec zawsze powtarzał, że prawdziwy dżentelmen przychodzi po swoją panią” - powiedział, gdy się umawiali.

Kiedy otworzyła drzwi, znów oszołomiła ją jego szatańska uroda. Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w jasnoszare i czarne pasy. Nad czołem pysznił się lok kruczonych włosów, a szeroki uśmiech wspaniale współgrał z wesołymi błyskami w niezwykle czarnych oczach.

- Zawsze jesteś taki punktualny? - zapytała.

- Na ogół. Zarezerwowałem stolik na ósmą.
- W takim razie mamy dużo czasu. Napijesz się czegoś?
- Dziękuję, chętnie.

Meredith podeszła do małego barku.

- Może być lillet? - spytała, otwierając wiaderko na lód.
- Skinął głową, nie mogąc oderwać oczu od obrazu przedstawiającego Elizabeth i jej syna. Jakże była piękna! W krótkiej białej sukience wyglądała jak typowa piękność z Południa z czasów wojny secesyjnej. Dziecko było niewiarygodnie do niej podobne, jak jej wierna, tyle że delikatniejsza, kopia. W tej kobiecie było coś dziwnie znajomego, nieuchwytnego; miał wrażenie, że skądś ją zna.

- Kto to? - zapytał.

Meredith podała mu drinka i wyjaśniła:

- Nazywa się... nazywała się Elizabeth Weldon-Ryan. W latach czterdziestych była wielką gwiazdą.
 - Gwiazdą filmową?
 - Tak. Obydwoje zginęli podczas kręcenia filmu. -Meredith stanął przed oczami Tom Ryan, ich spotkania, jego opowieści...
 - Więc to jej syn?
 - Zgadza się. Nazywał się David. Miał cztery lata, gdy umarł.
 - Chyba ją skądś znam... Meredith potrząsnęła głową.
 - Wątpię. - Pociągnęła łyk ze szklaneczki. - Nie żyje od trzydziestu lat.
 - Może oglądałem jakiś film z nią w roli głównej. Na wyspie mam prywatną salkę projekcyjną. Moja matka uwielbiała amerykańskie filmy.
 - Możliwe. Albo widziałeś jej fotografie w Stanach. Nadal pisze się o niej, i to nie tylko w fachowych czasopismach.
- Aleksander zerknął na zegarek i rzekł:
- Powinniśmy już iść. Ruch w mieście jest dzisiaj większy niż zazwyczaj.

- Zaraz będę gotowa - odparła Meredith i poszła do sypialni po torebkę. Kiedy wróciła, znów był zapatrzony w portret.

Lubisz róże? - zapytał.

Siedzieli przy stoliku w pobliżu dużego kwadratowego basenu w restauracji Cztery Pory Roku. Wszystkie trzy sale były wypełnione do ostatniego miejsca, a w wykładanym marmurem korytarzu przed wejściem czekali następni goście - z nadzieją, że szybko zwolni się jakiś stolik, podziwiali olbrzymią kurtynę z kopią obrazu Picassa. Meredith spoglądała przez okno na oświetloną jasno szklaną ścianę wieżowca po drugiej stronie ulicy. Delektowała się znakomitym białym winem.

- Owszem, były piękne, ale pamiętaj o naszej umowie. Tylko interesy...

- Oczywiście - zgodził się. - Po prostu byłem... uprzejmy. Piękna kobieta zasługuje na róże.

Mimo że nadal wzbudzał w Meredith mieszane uczucia, coraz silniej zaczynał działać na nią jego nieodparty urok.

- Śledziłem twoją karierę - powiedział.

- Tak? - Zaskoczyło ją to.

- Jestem pod wrażeniem. Podoba mi się twój styl.

- Dziękuję.

Marnujesz czas - pomyślała. Od początku wiedziała, o co mu chodzi. Był przystojny, czarujący i najbardziej fascynujący ze wszystkich mężczyzn, jakich знаła, ale doskonale pamiętała o jego reputacji. Był kobieciarzem, istnym psem na kobiety. Nie złapie jej na słodkie słówka. Mężczyzna taki jak on chce od kobiety tylko jednego. Nie pozwoli mu się zniszczyć.

Pomimo rezerwy, z jaką się do niego odnosiła, wieczór był niezwykle udany. Omówili kwestię wywiadu, a potem Aleksander wypytywał ją o pracę. Wydawał się szczerze zainteresowany. Później zaczął snuć opowieści o swych podróżach, ubarwiając je anegdotami o ekscentrycznych klientach i jeszcze dziwniejszych praktykach kulinarnych w różnych częściach świata.

Zachowywał się tak, jakby byli sami w restauracji. Meredith dobrze się bawiła, choć wciąż miała mu za złe, że nie traktuje spotkania czysto zawodowo. Patrzył na nią i uśmiechał się, jak tamtego wieczoru w Rainbow Room. Ledwie tknął pieczoną kaczkę z brzoskwiniami. Meredith wiedziała, że jest dla niego zagadką - jedyną kobietą, która nie padła mu do stóp.

Wychodząc z restauracji, zaproponował kieliszek do poduszki.

- Nie jest jeszcze tak późno - przekonywał. - Znam miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Mają tam najlepsze wina na całym Manhattanie.

- Gdzie to jest? - zapytała.

- W Olympic Tower.

Apartament był pogrążony w ciemnościach.

- Służba ma dzisiaj wolne - wyjaśnił Aleksander, odbierając od Meredith płaszcz. Wyprzedziła go i weszła do salonu. Był dokładnie taki, jakiego się spodziewała - elegancki i nowoczesny. Kanapa obita czarną skórą, czarne krzesła, puszysty dywan w ciepłym szarym kolorze, stoliczki ze szkła i chromu, zamiast ściany wielkie lustro, w którym odbijał się nocny pejzaż środkowego Manhattanu. Wszystko to pasowało do Aleksandra.

- Piękne, prawda?

Patrzyli na morze świateł, które czyniło z wyspy cudowny olbrzymi klejnot.

- Zapiera dech w piersi - przyznała.

- Nie, to ty tak działasz. - Szybkim ruchem objął ją i pocałował.

- Nie... - wyszeptała w słabym proteście.

- Nie walcz z tym. Niech to się stanie. Od początku wszystko do tego zmierzało. Czujesz to na pewno...

- Nie - powtórzyła, starając się, by odmowa zabrzmiała stanowczo.

Chciała go odepchnąć, ale był zbyt silny. Z determinacją zebrała wszystkie siły i podjęła jeszcze jedną próbę. Udało się. Odsunęła się na tyle, by nie mógł jej powtórnie objąć.

- Powinnam była wiedzieć! - wykrzyknęła gniewnie.
- Wiedziałaś. Energicznie zaprzeczyła.
- Tak, tak, wiedziałaś. Nie kryłem uczuć ani pożądania, które we mnie wzbudzasz. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, pragnę tylko jednego...
- Ruszył w jej stronę.
- Jeśli natych... - Nie zdążyła dokończyć. Porwał ją w ramiona, a jego usta przyłgnęły do jej ust. Walczyła jedną krótką chwilę, a potem, nie wiadomo dlaczego i wbrew własnej woli, rozluźniła się i zaczęła oddawać pocałunki.
- Widzisz? Miałem rację. - Uśmiechnął się triumfująco.
- Potrząsnęła tylko głową.
- Zostań na noc, Meredith - wyszeptał. - Tylko nas dwoje, aż do świtu...
Byłoby cudownie, kochalibyśmy się...
- Nie! - Odepchnęła go. - Przyszłam tutaj w sprawie wywiadu!
- Okłamujesz się. Mówisz, że łączą nas tylko interesy, ale twoje ciało mówi coś innego. Chcę się z tobą kochać i wierzę, że pragniesz tego równie mocno. Nie broń się...
- Wszystko przekręcasz.
- Nie wydaje mi się.
- Muszę już iść. - Mówiła z trudem, drżąc na całym ciele.
- Nie jesteś już zainteresowana wywiadem? Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.
- Spodziewałeś się, że pójde z tobą do łóżka tylko po to, by dostać jakiś cholerny wywiad?
- Obrażasz mnie - odparł spokojnie. - Jedno nie ma z drugim nic wspólnego, choć istotnie użyłem wywiadu jako pretekstu, żeby cię tu ściągnąć. Ty i ja prędzej czy później będziemy kochankami i wywiad nie ma nic do rzeczy. Tak musi być.
- Pójde już - powtórzyła, podnosząc torebkę. Poszedł za nią i pomógł jej włożyć płaszcz.

- Może odwiozę cię do domu?

- Nie. Wrócę sama.

- Mój kierowca cię zawiezie.

- Mogę wziąć taksówkę.

- Nie chcę o tym słyszeć.

Pochylił się i pocałował ją, delikatnie przyciskając do drzwi. Całą siłą woli starała się zapanować nad rosnącym w niej pożądaniem.

- Pomyśl, jak byłoby cudownie...

- Nie mam ochoty stać się jedną z twoich romantycznych ofiar.

Łóżkowym trofeum.

Dotknął jej włosów.

- Ty? Nigdy! Wiem to od czasu naszego pierwszego spotkania w Los Angeles. Więc nie?

- Powiedziałam już.

Odepchnęła go, otworzyła drzwi i wyszła. Aleksander patrzył na nią z uśmiechem.

Jeszcze zobaczymy - pomyślał. - Jeszcze zobaczymy.

Aleksander w skupieniu oglądał wywiad Meredith z pewnym kontrowersyjnym senatorem nadawany w bloku „World Focus”. Bardzo podobał mu się jej styl, bezpośredniość, umiejętność trafiania w sedno sprawy. Za każdym razem miało się wrażenie, że chwyta rozmówcę za gardło. Była za dobra na te luźne, niezobowiązujące wywiady, które stanowiły znak firmowy stacji. Jej miejsce było w zespole wiadomości wieczornych. Trudno uwierzyć, że ktoś tak piękny mógł być jednocześnie tak twardy. Nikt nie wiedział tego lepiej niż on.

Minęły dwa tygodnie od ich spotkania i każdy z tych czternastu dni wypełniony był myślami o niej. Odrzuciła go, ale to tylko spotęgowało pożądanie. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety...

Na ekranie pojawiły się napisy zwiastujące koniec programu. Aleksander podniósł ze stolika pilota i wyłączył telewizor. Siedział w bezruchu, zapatrzony w telefon na biurku. Chciał zadzwonić do Meredith i zapytać, co ostatecznie zadecydowała w sprawie wywiadu, poprosić, by zechciała zjeść z nim kolację... Wiedział jednak, jaka będzie odpowiedź. Lepiej poczekać, aż sama do niego przyjdzie, a stanie się to prędzej czy później. Będzie musiała to zrobić, bo nadal łączyła ich służbowa sprawa - wywiad. Aleksander uśmiechnął się chytrze. Ciekawe, co by powiedziała na to, gdyby wiedziała, że ten wywiad jest również ważny dla niego?

Należał do planu, który miał na celu zmianę jego wizerunku. Na wszystko przyjdzie czas.

Na początek musi zmienić swój obraz w jej oczach.

Harv Petersen, naczelny producent „World Focus”, był wysokim mężczyzną po pięćdziesiątce, miał ogorzałą twarz o ostrych rysach, nieco przerzedzone, szarawe włosy. W przeszłości był korespondentem wielu gazet, między innymi przesyłał informacje z linii frontu podczas wojny koreańskiej. Chyba z tamtego okresu pozostał mu chrapliwy głos i maniera sierżanta piechoty morskiej. Zajmował imponujące, wyłożone boazerią z orzecha włoskiego, narożne biuro na dziesiątym piętrze Broadcast Center.

Wchodząc tam, Meredith zastanawiała się, czego mógł chcieć Petersen i co jest tak ważne, że musiała natychmiast przybyć.

- Usiądź, Meredith - powiedział niezwykle jak na niego, uprzejmym tonem.

- Co się stało, Harv?

- Masz wyjątkowo korzystną sytuację, by zdobyć ekskluzywny wywiad z Aleksandrem Kirakisem. - Zapalił cygaro i zagłębił się w fotelu. - Chodzą słuchy, że jesteście na przyjacielskiej stopie... Kolacja w Czterech Porach Roku, kwiaty...

- Skąd o tym wiesz? - spytała zaskoczona.

- Wieści rozchodzą się szybko. Zwłaszcza tutaj. Przecież w naszym interesie trzeba być na bieżąco we wszystkim, co się dzieje, nawet jeśli sprawa dotyczy kogoś spośród nas.

- Plotkarze przesadzają. Bardzo przepraszam wszystkich zawiedzionych.

- Widujesz się z nim?

- Trudno to tak nazwać. Spotkaliśmy się raptem trzy razy, i to przelotnie. Omawialiśmy głównie sprawę wywiadu. Nic poza tym.

- To więcej niż osiągnął ktokolwiek inny.

- Do zgody na przeprowadzenie wywiadu na żywo jeszcze daleko.

- Jednak jest szansa?

- Zawsze jest jakaś szansa. Ale nie ufam komuś takiemu jak Aleksander Kirakis. Jest nieobliczalny.

- Mogłabyś zrobić duży krok naprzód - stwierdził zagadkowo Petersen.

- Co przez to rozumiesz?

- Ten wywiad może wiele znaczyć dla twojej kariery. Sieć przygotowuje nowy program. Nazywają go „Manhattan Observer”. Raz w tygodniu będą w nim prezentowane godzinne wywiady z dziedziny polityki, biznesu i wielu innych. Będą poważniejsze od tych, nad którymi obecnie pracujesz. W programie wystąpią światowi przywódcy i inne wpływowe osobistości, mieszkające na Manhattanie lub przebywające tu tylko czasowo.

- Aleksander Kirakis nie jest politykiem...

- Nie jest, ale nikt nie może zaprzeczyć, że jest jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie. Jego korporacja to potęga, która w jednej chwili może postawić na nogi gospodarkę całego kraju albo spowodować jej ruinę.

- Co naprawdę chcesz mi powiedzieć?

- Jest lista prezenterów, którzy mogą dostać ten program i ty jesteś na niej pierwsza. - Strzepnął popiół z cygara do dużej popielniczki. - Niechęć Kirakisa do dziennikarzy jest ogólnie znana. Potrafi być trudniej osiągalny niż Pentagon. Zdobądź tę twierdzę, pokonasz wtedy całą konkurencję.

- OK, Harv, zrozumiałam - powiedziała Meredith wstając. - Nic oczywiście nie gwarantuję. Kirakis zgodził się to przemyśleć, więc może coś z tego będzie. Porozmawiam z nim.

Wracając do biura, czuła wzbierający gniew. To nie fair, że jej zawodowa przyszłość ma zależeć od kaprysów człowieka, który chce od niej tylko jednej rzeczy.

Jeśli się o tym dowie, zrobi z jej życia piekło.

Idąc przez zatłoczony hol World Trade Center, Meredith czuła narastający lęk przed tym spotkaniem. Miała jedynie nadzieję, że tego po niej nie widać. Aleksander

był czuły na jej nastroje jak radar najnowszej generacji. Zaskakująco łatwo udało jej się z nim skontaktować, a on zgodził się na spotkanie w jego biurze.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała recepcjonistka.

- Meredith Courtney, IBS. Byłam umówiona na dziesiątą z panem Kirakisem.

Recepcjonistka wyraźnie się zawahała, nim dotknęła przycisku jednego z telefonów.

- Pani Courtney do pana Kirakisa - zaanonsowała. Zaraz potem powiedziała: - Tak, oczywiście, już. - Odłożyła słuchawkę i podniosła oczy na Meredith. - Tamtymi drzwiami, do końca korytarza i na lewo. Pan prezes oczekuje pani.

- Dziękuję.

Znalazła apartament Aleksandra bez problemu. Powitała ją jego osobista sekretarka, Stacey Harcourt.

- Pan Kirakis musiał wyjść na chwilę, ale polecił mi wprowadzić panią do gabinetu. Wkrótce będzie z powrotem.

Meredith skinęła głową. W milczeniu przyglądała się srebrnej grawerowanej płytce, umieszczonej na ścianie obok masywnych podwójnych drzwi: „Aleksander Kirakis. Prezes Zarządu”.

Sekretarka otworzyła drzwi i wprowadziła Meredith do środka. Wnętrze gabinetu było imponujące. Ściany wyłożono boazerią z mahoniem. Na prawo od biurka wbudowano w ścianę półki na książki, między którymi widać było ekran telewizora i sprzęt wideo. Biurko wyciosano chyba z jednego ogromnego bloku czarnego mahoniem; fotel prezesa pokrywał szary plusz. Za biurkiem znajdował się duży pulpit, umożliwiający natychmiastowe bezpośrednie połączenie telefoniczne z całym światem. Był tam też system komunikacji wewnętrznej i centralny. Krzesła i kanapę pokrywał taki sam szary plusz, co fotel. W gabinecie znajdował się też doskonale zaopatrzony barek, przerobiony z pięknej antycznej szafki. Tuż nad nim zawieszony był olbrzymi portret Constantine'a Kirakisa.

Aleksandra nie było. Meredith zaczęła się zastanawiać, co mogło go zatrzymać. Zegarek wskazywał już dziesiątą trzydzieści, a przecież sekretarka twierdziła, że zaraz powinien wrócić. Meredith ustawiła krzesło tak, by widzieć drzwi, i usiadła. Możliwe, że wcale nie miał nic pilnego, tylko umyślnie kazał jej czekać. Jak długo? Była umówiona na lunch na dwunastą i miała jeszcze jeden wywiad do przeprowadzenia. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli teraz wyjdzie, może już nie mieć następnej szansy. Potrzebowała Aleksandra. Zostanie i poczeka, nieważne jak długo.

Było piętnaście po jedenastej, gdy drzwi otworzyły się na oścież i wkroczył uśmiechnięty Kirakis.

- Dzień dobry - powiedział znajomym głębokim głosem i natychmiast usadowił się za biurkiem. - Miło cię widzieć, ale mówiąc szczerze, jestem zaskoczony. - Patrzył na nią wyczekująco, oszłamiający w swym perfekcyjnie skrojonym garniturze.

- Dlaczego? - spytała chłodno. - Mamy wspólne interesy. Obiecałeś mi wywiad.

- Myślałem, że się rozmyśliłaś.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Od czasu, gdy wyszłaś ode mnie, nie dawałaś znaku życia. Byłaś wtedy trochę zdenerwowana, jeśli dobrze sobie przypominam.

- Nie bez powodu - powiedziała ostrożnie. - Nie przyszłam tu po to, by omawiać sprawy prywatne. Chciałabym dowiedzieć się, co postanowiłaś w sprawie wywiadu i, jeśli odpowiedź będzie pozytywna, umówić się na spotkanie, by opracować szczegóły.

Milczał chwilę, przyglądając się jej. Wreszcie rzekł:

- Mam wiele wad, ale nie jestem niesłowny. Będziesz miała ten wywiad, Meredith, oczywiście pod pewnymi warunkami.

- Słucham.

- Muszę znać wszystkie pytania jakie zadasz. Wywiad nie może być prowadzony na żywo. Musi być nagrany, chcę mieć możliwość obejrzenia go, zanim zostanie nadany.

- Masz duże wymagania.
- Takie są moje warunki. Przyjmiesz je albo odrzucisz. Zamierza uniemożliwić przeprowadzenie wywiadu - pomyślała Meredith.
- A jeśli je przyjmę?
- Wtedy spotkamy się ponownie i będę oczekiwał listy z pytaniami.
- Na wszelki wypadek już ją przygotowałam.
- Masz ją może przy sobie?
- Nie. Sądziłam, że lepiej poczekać, aż wyrazisz zgodę.
- Moglibyśmy przedyskutować pytania dziś przy kolacji - zasugerował.
- Nie. Żadnych romantycznych kolacji, kieliszków do poduszki, tylko interesy. Najlepiej, gdybyśmy porozmawiali o tym w twoim biurze. Zaoszczędziłoby to nam obojgu wielu kłopotów.
- Nie spuszczał z niej wzroku, bawiąc się ołówkiem z gumką na końcu.
- Będą z tym problemy - rzekł. - Widzisz, mój rozkład dnia uniemożliwia spotkanie się z tobą w godzinach pracy. Jeśli chcesz zrobić ten wywiad, musisz się do mnie dostosować.
- Rozumiem. Następna przeszkoda. - Nienawidziła siebie za sposób, w jaki dawała sobą manewrować.
- Jeśli cię niepokoi, że będziemy spotykali się towarzysko ze względu na to, co zaszło między nami tamtego wieczora, śpieszę cię uspokoić: nigdy jeszcze nie posiadałem kobiety wbrew jej woli i nie zamierzam dla ciebie robić wyjątku. - Droczył się z nią i tylko dzięki profesjonalnemu opanowaniu Meredith nie wybuchła. - Po nagraniu i wyemitowaniu wywiadu nie będziemy się widywali. Mam rację?
- Tak - stwierdziła.
- Więc niech tak będzie, jeżeli tego chcesz. Niezręczna cisza przedłużała się.
- Jeśli nie mamy już nic do uzgodnienia, pozwolisz, że pójde - powiedziała w końcu Meredith. - Mam jeszcze inne spotkanie i niewielką szansę, że na nie zdążę.

Skinał głową.

Wstała powoli z krzesła.

- Możemy się spotkać w środę wieczorem, jeśli jesteś wolny.

- Zadzwoń do ciebie - obiecał.

- Świetnie.

Jadąc windą, Meredith myślała o zakończonym przed chwilą spotkaniu.

Czyżby Aleksander tak łatwo z niej zrezygnował? W co on gra?

W następnych tygodniach spotykali się kilkakrotnie w sprawie wywiadu.

Na początku, choć prowadzone w najlepszych restauracjach Manhattanu,

rozmowy przypominały raczej negocjacje poprzedzające zawieszenie

broni. Były trudne i pełne spięć. Można było odnieść wrażenie, że

Meredith i Aleksander nie mogą dojść do porozumienia nawet w

kwestiach zupełnie nieistotnych. Jednak w miarę zawierania pewnych

kompromisów dialog stawał się coraz swobodniejszy. Przyjemniejszy.

Aleksander nie wspominał słowem o odwiedzinach w jego apartamencie,

nie robił też Meredith propozycji. Zachowywał się jak dżentelmen i jej

podejrzliwość powoli słabła. Odnosiła wrażenie, że zaczęło ich łączyć coś

więcej niż tylko fizyczny pociąg.

Na początku kwietnia prezes Intercontinental Broadcasting, Austin

Ferris, oficjalnie potwierdził wprowadzenie na antenę nowego

cotygodniowego programu „Manhattan Observer”. Miał być w całości

wypełniony wywiadami prowadzonymi przez Meredith Courtney.

Pierwsze trzy odcinki zaplanowano na czerwiec, lipiec i sierpień. Kolejne

zaplanowano już w cyklu tygodniowym. We wrześniu Meredith miała

opuścić „World Focus”. Zastąpić ją miała Casey Rinaldi. Przy okazji

Austin Ferris potwierdził krążące od pewnego czasu plotki, że pierwszy

odcinek „Manhattan Observer” będzie w całości poświęcony

Aleksandrowi Kirakisowi. „Prace już trwają” - powiedział.

- Zaczęło się. - Meredith siedziała naprzeciw Ale-

ksandra w Rainbow Room. - We wszystkich brukowcach piszą, że przeżywamy płomienny romans.

- Niepokoi cię to ? - zapytał, odkładając widelec.

- Początkowo tak.

- A teraz? - Wypił kieliszek wina do ostatniej kropli.

- Uodporniłam się. Przywykłam.

- Nie przypuszczałbym, że przejmujesz się opinią ludzi - zauważył z lekkim rozbawieniem.

- Z reguły nic mnie nie obchodzi. Ale kiedy zaczynałam karierę... - Urwała nagle. - Nieco się zmieniłam od tamtego czasu.

- Opowiedz mi o tym.

- To długa historia.

- Mam dużo czasu.

- Naprawdę nic ciekawego. Wziął ją za rękę.

- Nadal mi nie ufasz, prawda?

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. To przeszłość, która nikogo nie interesuje, może jakąś początkującą dziennikarkę.

- Mylisz się. Mnie interesuje.

W końcu zaczęła opowiadać mu o tym wszystkim, co starannie skrywała na dnie serca - o frustracjach, załamaniach nerwowych, kłódach rzuconych pod nogi, sceptycyzmie kolegów i zawiści rywalizujących ze sobą koleżanek. Aleksander słuchał cierpliwie, ze zrozumieniem.

- Mamy więcej wspólnego, niż ci się wydaje - rzekł. - Ja także musiałem pokonywać jedną przeszkodę za drugą-

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ty?

- Być synem Constantine'a Kirakisa nie było łatwo.

- Zawsze wydawało mi się, że bogactwo ułatwia życie.

- Pod pewnym względem. Wielu ludzi pewnie zazdrości, że zostałem prezesem Kirakis Corporation. Ma to jednak swoje złe strony.

- Jakie?

- Ciągłe jestem porównywany z ojcem. Ludzie cały czas spoglądają mi na ręce, doszukują się nie wiadomo czego w moich posunięciach. To doprowadziło do animozji między mną a prasą, która trwa do dziś. - Przerwał na chwilę i dodał: - Właśnie dlatego zdecydowałem się udzielić wywiadu. - Meredith nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. - Rozwazałem różne sposoby poprawy stosunków z prasą i zmiany mego wizerunku w oczach opinii publicznej. Wtedy ty złożyłaś mi propozycję. Znałem, rzecz jasna, twój program. Widziałem kilka wywiadów, spodobały mi się i...

- Zaraz, zaraz! - przerwała mu. - Więc to o to ci chodziło?!

- Jesteś zła? Roześmiała się głośno.

- Byłabym wściekła, gdyby to nie było tak zabawne. Jesteśmy sobie wari, prawda? Drżałam o moją karierę, bo przecież mogłeś zmienić zdanie, a ty przez cały czas chciałeś wykorzystać mój program do zmiany swego wizerunku! Zawsze uważałam się za dobrego znawcę ludzkich charakterów, ale ty kompletnie mnie zmyliłeś.

- Przesadzasz.

- Nawet teraz nie mam pojęcia, co ci chodzi po głowie. Czego tak naprawdę chcesz?

Aleksander uśmiechał się tylko.

Meredith pomachała strażnikowi siedzącemu za biurkiem dyżurnego i skierowała się przez hol IBS Broadcast Center do wyjścia. Na zewnątrz natychmiast owiał ją zimny wieczorny wiatr. Zatrzymała się i postawiła kołnierz błękitnego płaszcza. Przy krawężniku stała jakaś limuzyna.

Ruszyła do niej - przypuszczała, że to samochód służbowy, który miał zawieźć ją do domu. Nagle drzwi wozu otworzyły się i pojawił się Aleksander Kirakis.

- Dobry wieczór - powiedział z uśmiechem.

- Co tu robisz? - zapytała.

Aleksander chwycił ją za rękę i wciągnął do wozu tak szybko, że nie zdążyła zaprotestować.

- Przyjechałem cię porwać - rzekł, wślizgując się za nią na tylne siedzenie. - Zamierzam uprowadzić cię w niesłychanie romantyczne miejsce, gdzie nikt nas nie znajdzie.

- Bądź poważny!

- Jestem. - Zamknął drzwi i dał znać kierowcy, by ruszał.

- Dokąd jedziemy?

- Mam spotkanie na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Mogę cię podrzucić do domu.

- Przecież mam samochód...

- Wszystkim już się zająłem.

- Ale...

- Niepotrzebnie protestujesz.

Zbliżali się do Times Square. Meredith przyglądała się bez specjalnego zainteresowania jasnym, różnobarwnym neonom i sugestywnym wystawom mijanych sklepów. Zewsząd dobiegał ich hałas zatłoczonej ulicy.

- Naprawdę wolałabym tego nie mówić - zaczęła, odwracając głowę od szyby - ale chyba jedziemy w złym kierunku.

- Czyżby? No cóż, zdarza się. Znam fantastyczne miejsce, bardzo ciche, intymne, gdzie moglibyśmy zjeść kolację.

- I porozmawiać na temat wywiadu?

- Oczywiście.

Przez ostatnie kilka tygodni jadali razem kolację niemal codziennie.

Towarzyszyła mu na otwarciu wystawy w galerii na Madison Avenue pod pretekstem przedyskutowania jakichś niezwykle pilnych kwestii.

Zaprosił ją także, wraz z całą ekipą zdjęciową jej programu, na lotnisko Kennedy'ego. Zrobili tam zdjęcia jednego z prywatnych samolotów Aleksandra - nowiutkiego Boeinga 747. Dekoratorzy wewnątrz włożyli w niego sporo wysiłku, tak że przeobrazili go w latający pałac.

Aleksander intrygował Meredith. Jawił się jej jako człowiek o bardzo złożonej osobowości, niczym chodząca zagadka, układanka, do której rozwiązania ciągle

brakowało klocków. Meredith była ciekawa, czy w ogóle można go poznać.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - odparła.

- Wcale nie. Wyglądasz ślicznie. Roześmiała się.

- Dziękuję, ale chciałabym się przebrać. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Nie ma problemu. - Aleksander zastukał w szybę oddzielającą ich od kierowcy.

- Zaraz będę gotowa - obiecała Meredith, gdy przekraczali próg jej mieszkania. Rzuciła torebkę na kanapę i zdjęła płaszcz. - Zrób sobie drinka. Chyba już wiesz, gdzie wszystko znaleźć.

- Poradzę sobie. Nie śpiesz się, zaczekam. Zniknęła w drzwiach sypialni.

Aleksander podszedł

do barku i nalał sobie brandy. Gdy unosił szklaneczkę do ust, powędrował spojrzeniem ku portretowi aktorki z synem. Obraz intrygował go; wciąż jednak nie potrafił odpowiedzieć sobie dlaczego. Kobieta na portrecie wydawała mu się dziwnie znajoma. Przywodziła na myśl Francescę.

Przypominała wiele jego przyjaciółek. Możliwe, że właśnie o to chodziło. Była typem kobiety, który prześladował go, nim poznał Meredith.

Ciemnowłosa, namiętna, zmysłowa. Dlaczego niepokoiła go tak bardzo?

- Coś się stało?

Zaskoczony odwrócił się gwałtownie.

- Słucham?

- Czy coś się stało?

- Nie, nie, nic takiego.

Zawsze tak szybko chodzisz? - zapytała Meredith, z trudem łapiąc oddech. Bezskutecznie usiłowała dotrzymać kroku Aleksandrowi. Kiedy zadzwonił do niej tego ranka i zaprosił na spacer, nie miała najmniejszego pojęcia, że spędzą cały dzień na pieszej wędrówce po Manhattanie.

- Nie. - Wziął ją za rękę. - Często spędzam długie

godziny za biurkiem, marząc tylko o wyrwaniu się z czterech ścian. Bardzo lubię spacerować. To pozwala mi się odprężyć.

Nic dziwnego, że jest w takiej formie - pomyślała Meredith. - Tylko zawodowy sportowiec mógłby za nim nadążyć.

- Jeśli to tylko możliwe, wracam pieszo do mieszkania na Long Island. - Stanęli właśnie przed wystawą galerii na Madison Avenue, by podziwiać szklaną rzeźbę. - Nie opodal trzymam moje konie do polo. Sporo czasu poświęcam treningowi. - Oderwał wzrok od rzeźby i przeniósł go na Meredith. - Zabiorę cię tam kiedyś. Już niedługo.

Meredith uśmiechnęła się nieznacznie. Gdyby usłyszała to od kogoś innego, byłaby to zwykła, niewiele znacząca obietnica, lecz ponieważ mówił to Aleksander, mogła się spodziewać, że dotrzyma słowa.

Poszli dalej Madison Avenue w kierunku Pięćdziesiątej Dziewiątej, a następnie skręcili do Central Parku. Niebo zaczęło się zaciągać ciemnymi chmurami. Na popołudnie zapowiadano burze z piorunami, ale nawet zła pogoda nie miała prawa im przeszkodzić.

- Moglibyśmy wstąpić gdzieś na lunch - zaproponował Aleksander, spoglądając na zegarek. - Dokąd chciałybyś pójść?

- Obojętnie - odparła Meredith. - Gdzie masz ochotę. Popatrzył na nią uśmiechając się. Przez chwilę kusiło

go, by powiedzieć, na co naprawdę ma ochotę.

- Niedaleko jest Plaża. Zajrzymy tam? - zapytał w końcu.

- Cudownie.

Obeszli Pond, minęli Dairy i przeszli wzdłuż czerwonych murów Chess and Checkers Pavilion, który, nim stworzono specjalne place zabaw, służył dzieciom z całego Manhattanu jako miejsce do zabawy.

- Powinniśmy już wracać - odezwała się zaniepokojonym głosem Meredith, spoglądając w zachmurzone niebo. Wyciągnęła przed siebie lewą rękę. Na otwartą dłoń spadło kilka kropel deszczu. - Zaczyna padać.

- Zaraz przejdzie. - Aleksander lekceważąco machnął ręką.
Meredith skrzywiła się, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie wierzy jego prognozom meteorologicznym.

- Jesteś pewien? - Znała odpowiedź.

- Absolutnie.

Kilka sekund później niewielka mżawka przeszła gwałtowną metamorfozę i zgotowała im niezły prysznic. Meredith roześmiała się triumfalnie.

- Przepraszam, nie dosłyszałam. Co mówiłeś?

- Powinniśmy natychmiast iść do Plaża. - Aleksander chwycił ją za rękę i pobiegli na złamanie karku wzdłuż Ponds. Zanim dotarli do południowo-wschodniego krańca parku, prysznic zamienił się w ulewę. Zatrzymali się dopiero na szczycie betonowych schodów, prowadzących do głównego wejścia hotelu. Stali przemoczeni do nitki, śmiejąc się aż do łez.

- Odważymy się wejść do środka? - zapytał Aleksander.

- Mam inne pytanie: czy wpuszczą nas w tym stanie? - Meredith zachichotała.

- Ależ...! Oczywiście! - zawołał urażonym tonem i podniósł władczo głowę. Musiał zejść z drogi dwóm rozpedzonym chłopcom hotelowym, dźwigającym bagaż wyjęty z zaparkowanego na podjeździe białego Rolls-Royce'a.

- Jesteś pewien? - postanowiła trochę się z nim po-droczyć.

- Absolutnie.

- Gdzie ja to słyszałam?

Zrobiła krok do przodu i pośliznęła się na śliskim betonie. Aleksander nie pozwolił jej upaść, chwycił ją w ramiona i chwilę przytrzymał. Patrzyli sobie w oczy. Ich usta spotkały się w połowie drogi. Najpierw delikatnie, a potem z rozpalającą zmysły siłą całowali się, nie bacząc na zaciekawione spojrzenia portiera i jakiegoś przypadkowego przechodnia. Już wkrótce - pomyślał Aleksander.

Założę się, że ojciec miał duży wpływ na twoje życie

- powiedziała Meredith podczas lunchu. Jej ubranie zaczęło nareszcie wysychać. Miała wrażenie, że wszyscy w restauracji na nich patrzą.

- Największy - odparł Aleksander. - Matka zawsze powtarzała ojcu, mając mu to za złe, że przygotowywał mnie do roli następcy prawie od dnia, w którym przyszedłem na świat. Często narzekała, że nie miałem dzieciństwa. Jej zdaniem ojciec uważał korporację za swe królestwo, a mnie za następcę tronu.

- Musiało być ci ciężko. Dziecko dźwigające na barkach taki ciężar... Potrzęsnała głową.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo nie znałem nic innego. Brat umarł tuż przed moimi narodzinami i byłem jedynym spadkobiercą.

Matka nie mogła mieć więcej dzieci. - Zjadł kawałek sałaty i mówił dalej:

- Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia zajmę miejsce ojca. Nawet kiedy byłem bardzo młody, wybiegałem myślami daleko w przyszłość.

- Nigdy nie czułeś, że jesteś do czegoś zmuszany? Że odebrano ci radość życia? - zapytała Meredith, sięgając po kieliszek.

- Nie. Po prostu grałem rolę, do której zostałem przygotowany. Nigdy tego nie kwestionowałem. Zrobiłbym wszystko dla ojca. Pewnego wieczoru, gdy byłem dzieckiem, wkradłem się do jego gabinetu. Rodzice wyszli na jakieś przyjęcie, a ja usiadłem za biurkiem i próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym został prezesem korporacji. Miałem wtedy może siedem lat. - Zachichotał nagle. - Niestety, zasnąłem tam. Meredith otworzyła szeroko oczy.

- I co się stało?

- Po powrocie do domu ojciec wszedł do gabinetu i znalazł mnie. Nie był zły, ale rozbawiony. Powiedział, że znajdzie mi odpowiednie miejsce w swoich biurach, a potem zaniósł mnie do pokoju. Tak bardzo chciałem być taki jak on...

- Musieliście być sobie bliscy.
- Owszem. Do mojego wyjazdu do Stanów. Nie wydaje mi się, żeby mi to kiedykolwiek wybaczył. - Westchnął. - Chciałem z nim pracować, ale nie potrafiłbym żyć w jego cieniu. Nigdy bym się nie sprawdził, nie miałbym takiej szansy
- Na pewno zdawał sobie z tego sprawę.
- Chyba dopiero na krótko przed śmiercią. Nie rozumiem, dlaczego tak się sprzeciwił mojemu wyjazdowi do Ameryki. Zupełnie jakby miał jakieś powody nie związane z interesami, by trzymać mnie przy sobie w Grecji. Meredith skrzywiła się.
- Znam to uczucie - powiedziała.
- Ty także miałaś dominującego tatusia?
- Najgorszego gatunku, bez potęgi i pieniędzy. Grał nędzną rolę żywiciela rodziny, by kontrolować żonę i dzieci. - Znów powróciły bolesne wspomnienia. Opowiadała o tym po raz pierwszy.
- Dorastałam w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie, gdzie połowa mieszkańców była ze sobą spokrewniona i ludzie wszystko o sobie wiedzieli.
- Jak w greckich wioskach.
- Mój ojciec pracował w budownictwie. Był w tym dobry, miał dużo ofert pracy. - Przypomniała sobie długie wieczory, gdy siedziała przy oknie i płacząc wyglądała jego powrotu. Ileż to razy bała się, że coś mu się stało i w ogóle nie wróci? - Też byliśmy sobie bliscy. Byłam jego małą dziewczynką. Jego skarbem. Aż dorosłam i wszystko się skończyło.
- Co się wtedy stało?
- Zmieniłam się ku jego rozczarowaniu - odparła, nieświadomie gniotąc w palcach serwetkę. - Zaczęłam myśleć. Tatuś nie cierpiał nikogo, kto się z nim nie zgadzał, musiało więc dojść do konfliktów, sprzeczek, awantur. Kiedy miałam piętnaście lat, na budowie wydarzył się wypadek. Ojciec stał się kaleką. Nie mógł pracować i odszedł na emeryturę. Zaczął pić. To tylko pogorszyło sprawę. - Aleksander milczał. Cierpliwie czekał na dalszy ciąg.

- Zachowywał się strasznie, jak był pijany. Potem wyjechałam do Chicago do ciotki. Ile to już lat? - pomyślała z bólem. - Czternaście? Piętnaście?
- Wróciłaś do domu?
- Tak, trzy lata później, na pogrzeb ojca. Miał zawał. Mama mówiła, że wszystko stało się błyskawicznie. - Westchnęła. - Potem zamknęłam drzwi do przeszłości. Obiecałam sobie, że nie będę już od nikogo zależna, że zawsze będę dbać o siebie sama.
- Cóż. Obydwoje bardzo kochaliśmy naszych ojców, pomimo kłopotów we współżyciu.
- Na to wygląda.
- Widzisz? - rzekł miękko. - Tak wiele nas łączy.

Aleksander patrzył nieobecny wzrokiem na leżące na biurku dokumenty. Nie mógł wziąć się do pracy, choć wśród papierów znajdowały się kontrakty do podpisania, sprawozdania bankowe i raporty o planowanych inwestycjach korporacji. Obok telefonu leżała sterta listów, na które nie zamierzał w ogóle odpisywać. Sekretarce polecił, by z nikim go nie łączyła. Powiedział jej, że ma dużo papierkowej roboty. Myślał tylko o jednym: o Meredith Courtney. Dokąd zmierzali? Co przyniesie im los?

Nie był w stanie usiedzieć w fotelu. Wstał i zaczął chodzić po gabinecie tam i z powrotem. Nigdy przez myśl mu nie przeszło, że mógłby znaleźć się w takiej sytuacji. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Meredith stawała mu się coraz bardziej bliższa. Na początku była wyzwaniem - oto piękna i inteligentna kobieta, przynajmniej z pozoru zupełnie nim nie zainteresowana. Postanowił za wszelką cenę zmienić to i doprowadzić do tego, by pragnęła go równie mocno, jak on jej. Misternie uknutą plan spalił na panewce. Nie poddała się, a on zaczynał podejrzewać, że... się zakochał. W jej towarzystwie czuł się szczęśliwy. Jeszcze niedawno nie uwierzyłby, że można tak cieszyć się życiem. Rozumiała go. Rozumieli się wzajemnie. Była niczym jego sobowtór, jego *alter ego*. Była kobietą, jakiej nigdy nie spodziewał się znaleźć. Gdyby tylko...

Z zamyślenia wyrwał go przenikliwy dźwięk interkomu. Podeszedł do pulpitu i wcisnął klawisz odbioru.

- Stacey, przecież mówiłem, żebyś nie przyjmowała telefonów - rzekł poirytowany.

- Owszem, proszę pana, ale z Rzymu dzwoni Gerald Desmond. Upiera się, że to bardzo pilne.

- Dobrze - powiedział po chwili. - Połącz go.

- Tak jest.

Podniósł słuchawkę i rzekł:

- O'co chodzi?

- Aleksandrze, nadal jesteś zainteresowany przejęciem Manetti Motors? - spytał Desmond.

Zanim Aleksander został prezesem Kirakis Corporation, przez trzy lata miał na oku tę włoską firmę samochodową. Zależało mu na niej. Byłaby to znakomita inwestycja, lecz jak dotąd firma leżała poza jego zasięgiem. Nie można było jej przejąć ani doprowadzić do fuzji.

- Dobrze wiesz, że tak - odparł niecierpliwie.

- Pomyślałem więc, że chciałbyś o tym wiedzieć. Rozeszła się wieść, że Manetti potrzebuje sporo pieniędzy, i to szybko. Bierze kilka wielkich pożyczek w rzymskich bankach. Plotka głosi, że ma projekt zupełnie nowego cacka, które zdmuchnie z ulic dosłownie wszystko. Potrzebuje tylko dużego kapitału, by ruszyć z miejsca.

- Rozumiem.

- Nadal zażarcie broni się przed fuzją lub wykupieniem, ale gdyby to dobrze rozegrać, można by go włączyć do korporacji nawet bez jego wiedzy. Przyjedziesz do Rzymu?

- Nie jest to najlepsza chwila - odparł wolno Aleksander.

- W takim razie może byś kogoś przysłał. Pomów z Carlem Manettim.

Jeśli nadal będzie obstawał przy swoim, załatwimy wszystko potajemnie. Byłaby większa szansa, gdybyś się zjawił osobiście, ale jeśli to niemożliwe...

Aleksander zastanawiał się gorączkowo, co robić.

Długo czekał na taką sposobność. Zdecydował się.

- Rano lecę do Rzymu - powiedział.

A dziś wieczorem porozmawiam z Meredith - dodał w myślach.

Po powrocie do domu Meredith była zupełnie wyczerpana. Musisz się do tego przyzwyczaić - powiedziała sobie. - Przez następne trzy miesiące będziesz się szarpała z dwoma programami zamiast z jednym. - Spojrzała na stojący na biurku zegar. - No tak, wpół do dziewiątej. Sprawdziła automatyczną sekretarkę, ale na szczęście nie było nic pilnego.

Wzięła prysznic i ubrała się w haftowany szlafrok z czerwonego jedwabiu, który kupiła w zeszłym roku w Japonii podczas kręcenia zdjęć do kolejnego odcinka „World Focus”. Wyjęła z lodówki udko kurczaka, żółty ser i owoce. Usiadła właśnie z tacą pełną jedzenia na kanapie, gdy zadzwonił telefon. Niechętnie podniosła słuchawkę.

- Halo? - Zastanawiała się, któż to może ją niepokoić.

- Meredith, tu Casey. Jesteś zajęta?

- Pewnie, mam randkę z resztkami kurczaka - odparła wesoło. W czasie wspólnej pracy związała się między nimi bliska przyjaźń.

- O co chodzi?

- Przejrzałam materiały, które dałaś mi po południu, wiesz, te o planowanych wywiadach do następnych programów. Chciałabym przedyskutować to i owo. Będiesz dziś w domu?

- Jasne. Przychodź.

- Doskonale. Jestem u ciebie za dwadzieścia minut, w porządku?

- Czekam.

Odłożyła słuchawkę. Był to jeden z tych rzadkich wieczorów, gdy nie brała dodatkowej pracy do domu. Chciała się nieco rozerwać i wcześniej pójść spać. W każdym razie, pomysł był niezły, choć nie wypalił.

Ledwie skończyła kolację, odezwał się dzwonek u drzwi. Casey leciała chyba na złamanie karku - pomy-

ślała, idąc do przedpokoju. Odpięła łańcuch i otworzyła drzwi, mówiąc:

- Skąd dzwoniłaś? Z budki za ro...

Urwała nagle, ponieważ w progu nie stała wcale Casey Rinaldi. Meredith ujrzała uśmiechniętą twarz Aleksandra.

- Dobry wieczór - rzekł.

- Spodziewałam się kogoś innego - powiedziała, wpuszczając go do środka.

- Z całą pewnością. Kto ma przyjść?

- Casey Rinaldi. Będzie moją następczynią w „World Focus”. Mamy do omówienia kilka spraw.

- Nie zostanę długo - zapewnił.

- Usiądź. Podać ci coś? Może wina albo... Potrząsnął głową.

- Muszę wyjechać do Rzymu w interesach.

- Kiedy?

- Jutro rano. Zajmie mi to tydzień, może nieco dłużej. Przed wyjazdem chciałem się z tobą zobaczyć.

Meredith pokiwała głową w zamyśleniu. Już teraz za nim tęskniła.

Jeszcze pięć miesięcy temu byłaby szczęśliwa, słysząc, że przez jakiś czas go nie będzie. Teraz ze zdziwieniem odkryła, że nie chce, by w ogóle wyjeżdżał.

- Przyszedłem cię poprosić, żebyś ze mną poleciała.

- No pewnie - rzekła wesoło.

- Mówię poważnie. Byłaś już w Rzymie?

- Nie, ale...

- Podobałoby ci się tam. Niejedno serce zostało w Rzymie przeszyte strzałą Kupidyna.

Pewnie czuje się tam jak u siebie - pomyślała. Usiadła obok niego na kanapie.

- Nie mogę wyrwać się stąd i po prostu polecieć sobie do Rzymu. To niewykonalne.

- Razem możemy dokonać wszystkiego - powiedział poważnym tonem.

- Od razu widać, że nigdy nie miałaś do czynienia z rozsiedzonym producentem. Już sobie wyobrażam, jak dzwonię do Harva Petersena i mówię mu o skrom-

nej tygodniowej wycieczce do Rzymu. W Broadcast Center panuje kompletny chaos. Usiłuję pracować jednocześnie nad dwoma programami i pomagać Casey przejąć „World Focus”. Harv coraz bardziej wariuje. Gdybym go teraz poprosiła o tydzień wolnego, obrzuciłby mnie takimi wyzwiskami, że nie śmiałabym nikomu ich powtórzyć!

- Powiedz mu, że wyjazd ma ścisły związek z programem. Zabierz kamerzystę, zrób w Rzymie trochę zdjęć.
- Myślisz o wszystkim, co?
- W tej chwili marzę tylko o tym, by spędzić z tobą trochę czasu. Ostatnio zbliżyliśmy się do siebie, Meredith.
- Zgadza się. I właśnie dlatego przyda nam się rozłąka.
- Dlaczego?
- Wiele zmieniło się między nami - odparła spokojnie. - Potrzeba nam czasu na przemyślenie, co zechcemy z tym zrobić.
- Chyba doskonale zdajemy sobie sprawę, dokąd to zmierza.
- Może i tak, ale czy tego chcemy?
- Ja tak.
- Ale ja jeszcze nie jestem zdecydowana.
- Co teraz czujesz? - zapytał Aleksander.
- Niepewność. Nasza znajomość ma dla mnie znaczenie... nawet większe, niż sama bym tego chciała, ale...
- Dlaczego tak mówisz? Odpowiedź nie była prosta.
- Wiele złego zaszło między nami. To już przeszłość, wiem, ale... - Odetchnęła głęboko. - Boję się zbyt mocno zaangażować.
- Dlaczego?
- Boję się, że nie dam rady. Ciężko pracuję, dużo osiągnęłam i mogę jeszcze osiągnąć, a to pochłonie mnóstwo czasu.
- Nie żądam, byś rzuciła pracę - rzekł miękko. - Ale nie może być ona dla ciebie całym życiem. Niepotrzebnie się martwisz. Jesteś silna. Niewiele takich kobiet

spotkałem w życiu. Naprawdę tego nie dostrzegasz? Jesteśmy tak bardzo do siebie podobni, tak wiele nas łączy, należymy do siebie! Razem bylibyśmy jeszcze silniejsi!

- Chwilami mnie przerażasz - powiedziała Meredith. - Jesteś za szybki. Potrzebuję czasu...

Stał niezdecydowany, wpatrując się w nią czarnymi jak noc oczami. Powoli pokiwał głową.

- Może masz rację. - Zaczął zapinać płaszcz. - Może potrzeba nam trochę czasu.

Odprowadziła go do drzwi.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem, *matia mou* - rzekł. Pocałował ją delikatnie. Żadne z nich nie zauważyło

Casey wychodzącej właśnie z windy. Dziewczyna dyskretnie uskokczyła za róg korytarza.

Meredith lekko odepchnęła Aleksandra, obawiając się, że posunie się za daleko.

- Lepiej już idź.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Skinęła głową.

- Dobrze.

Kiedy zniknął w windzie, Casey wyszła z ukrycia.

- Jak długo tam stałaś - zapytała Meredith, biorąc się pod boki.

Uśmiechała się do przyjaciółki.

- Wystarczająco długo... On naprawdę wygląda dużo lepiej niż na zdjęciach.

- Też tak sędzę.

- Hm. - Casey przyjrzała się znacząco szlafrokowi Meredith. - Kiedy was zobaczyłam, pomyślałam, że chyba w czymś przeszkodziłam.

- Bynajmniej.

- Czyżby?

- Nic się nie działo. Pocałował mnie tylko.

- Ha! Jeśli ja na odległość czułam siłę tego całusa, to nie mów, że na tobie nie zrobił wrażenia! W tym pocałunku było tyle mocy, że można by nią zasilać Manhattan przez okrągły rok!

- Ma doświadczenie w zwalaniu kobiet z nóg.

- Teraz widzę dlaczego. Za taki wygląd powinno się facetów sadzać do więzienia.
 - Lepiej uważaj! Jeśli nie będziesz ostrożna, Aleksander zamieni cię w słup soli.
 - Naprawdę? - Nie wyglądała na przekonaną. - Trzymasz się całkiem nieźle. Do słupa soli trochę ci brakuje.
 - Zdradzę ci mój sekret. Nigdy nie patrzę mężczyźnie w oczy. Casey pokiwała głową.
 - Słuchaj, wyciągnęłam cię chyba z łóżka, więc jeśli chciałabyś odłożyć...
 - Ach, nie, nie. Przepraszam cię. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że przyjdiesz.
 - Jasne, nie dziwię się. Przy takim facecie można zapomnieć o wszystkim.
 - Aleksander nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu zapomniałam.
 - Pewnie. Dlaczego nie przyznasz, że za nim szalejesz?
- Meredith nie odpowiedziała. Jak długo będzie jeszcze temu zaprzeczała?

Rzym

Carlo Manetti był uważany w świecie interesów za zbłąkaną owieczkę. Wybitnie uzdolniony, energiczny, zaczynał podobnie jak Constantine Kirakis, nie mając nic oprócz marzeń i ambicji. Pragnął zostać największym producentem samochodów we Włoszech. Na naukę w college'u zarabiał, pracując w fabryce motocykli, i wkrótce został inżynierem w jednym z większych zakładów samochodowych. Tu jego kariera nabrała tempa. Po kilku latach został mianowany wiceprezesem. Dwadzieścia lat temu zrezygnował z ciepłej posady i stworzył własną firmę. Dysponował tylko swoimi oszczędnościami i pomysłem. Był nim sportowy samochód Rinnegato, który uczynił z Carla Manettiego bardzo bogatego człowieka.

Dzisiaj był dokładnie tym, kim zawsze chciał być. Włosi nazywali go *che si afatto da se* - człowiekiem, który sam siebie stworzył. Był wdowcem, miał jedno dziecko. Córka studiowała malarstwo w Ecole des Beaux Arts w Paryżu.

Fabryki Manettiego były o niebo lepsze od należących do Aleksandra zakładów motoryzacyjnych w Niemczech i Anglii. Aleksander złożył już dwie oferty, ale obydwie zostały natychmiast odrzucone. Manetti nie miał najmniejszej ochoty stać się częścią imperium Kirakisa. Był nieprzejednany. Aleksander jednak nie przejmował się niepowodzeniami. Włoch, jak wszyscy, miał swoją cenę. Trzeba było ją tylko wylicytować.

- *Signore* Kirakis, jest pan naprawdę upartym człowiekiem. *Ostinato* - powiedział z uśmiechem Manetti podczas lunchu w restauracji niedaleko jego biura. - Podziwiam pana. Jeśli pan czegoś chce, nie spocznie pan, póki pan tego nie dostanie. Rozumiem teraz, skąd biorą się pana sukcesy.

- Pociągnął łyk wina. - Tym razem nic z tego. Mój koncern nie jest na sprzedaż. Nie pozbędę się go teraz ani w przyszłości.

- Ależ ja nie chcę ci go odebrać, Carlo - tłumaczył Aleksander. - Nadal będziesz prezesem Manetti Motors. Masz także miejsce w zarządzie Kirakis Corporation.

- To byłaby sprzedaż - mruknął Manetti. - Nie miałbym nic do powiedzenia. Nie, *signore*, nie ma o tym mowy.

Aleksander chciał przypuścić atak z innej strony, ale powstrzymał się. Do ich stolika zbliżała się właśnie młoda dziewczyna o twarzy patrycjuszki, wysoka, z nadzwyczajną figurą i długimi czarnymi włosami. Aleksander wstał czym prędzej. Manetti nie poszedł w jego ślady. Nadal siedział na krześle i uśmiechał się od ucha do ucha.

- Donatello - powiedział ciepło do dziewczyny. - Jak mnie znalazłaś?

- Twoja sekretarka przekazała mi, że można cię tu zastać. - Ucałowała go w policzek na powitanie. - *Buon giorno* - zwróciła się do Aleksandra miękkim głosem.

- *Buon giorno, signorina* - odparł, uśmiechając się uprzejmie.
 - *Signore Kirakis*, oto moja córka. Donatello, *signore Kirakis*.
 - Cieszę się, że nareszcie mogę pana poznać - rzekła z silnym obcym akcentem. - Wiele o panu słyszałam.
 - Cała przyjemność po mojej stronie, *signorina*.
 - Proszę mi mówić Donna, dobrze? Donatella brzmi zbyt formalnie, a *signorina* bardzo mnie postarza.
- Aleksander skinął głową na znak zgody.
- Donno, pani ojciec wiele mówił o pani. Zwróciła śliczną twarzą do Manettiego.
 - Co mu o mnie naopowiadałeś, tato? - powiedziała żartobliwym tonem.
 - Nie powiedziałem nic, co nie byłoby prawdą. Jesteś przecież piękną i utalentowaną młodą damą, a pewnego dnia zostaniesz znaną na całym świecie malarką.
- Odwróciła się i rzekła:
- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co wygaduje mój kochany tatuś. Jest trochę, jak by pan to określił, nieobiektywny.
- Aleksander podsunął jej krzesło. Manetti zamówił jeszcze trochę wina, lecz Donatella ledwie umoczyła usta. Jeśli Manetti ma w ogóle czułe miejsce - myślał Aleksander - to jest nim jego córka. Obserwował uważnie tych dwoje. Stary łotr nie widział poza nią świata. Zabawnie gromił wzrokiem każdego młodzieńca, który przechodząc obok stolika, przyglądał się dziewczynie dłużej niż ułamek sekundy. Bał się o nią. Zamordowałby każdego, kto pomyślałby o czymś więcej niż o uściśnięciu jej dłoni.
- Długo zostanie pan w Rzymie? - zapytała Donatella.
 - Jutro wyjeżdżam - odparł Aleksander. - W Nowym Jorku czeka na mnie kilka ważnych spraw. Byłbym jednak zaszczycony, gdyby państwo zechcieli towarzyszyć mi na kolacji w Pergola.
- Manetti pokręcił głową.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam inne plany na ten wieczór. Bardzo ważne spotkanie.

- Ale ja jestem wolna i z radością przyjmę pańskie zaproszenie - powiedziała szybko Donatella.

Aleksander zawahał się. Doskonale zdawał sobie sprawę, co sądzi o tym Manetti i co pomyślałaby Meredith, gdyby coś przeniknęło do prasy. Nawet najbardziej niewinna kolacja wyglądałaby podejrzanie. Mógłby jednak obrazić dziewczynę swoją odmową, a tego także wolał uniknąć.

- Nie wiem... - rzekł niepewnie, spoglądając na Manettiego, który był wyraźnie niezadowolony z obrotu sprawy. Perspektywa wieczoru, który jego niedoświadczona córka spędza ze światowcem, wywołała w nim przyływ ojcowskiej troski. Musiał zdawać sobie sprawę, Kirakis wykorzysta szansę załatwienia interesów, uwodząc jego córkę. Nie uważał go za głupca. Nie mógł wiedzieć, że nawet gdyby Aleksander nie był zainteresowany fuzją lub wykupieniem firmy, nie tknąłby Dona-telli. Nie zaryzykowałaby utraty Meredith.

- Proszę, tato - powiedziała błagalnym tonem dziewczyna. - Chyba nie ma nic złego w tym, bym zjadła kolację w towarzystwie *signore* Kirakisa, zwłaszcza w takim lokalu jak Pergola.

- Nie masz się czego obawiać, Carlo - zapewnił Aleksander. - Donna będzie ze mną bezpieczna jak niemowlę w objęciach mamusi.

- Jej mamusia nie żyje - burknął Manetti. Nie był zachwycony pomysłem córki. Wyraźnie dała się oczarować przybyszowi zza oceanu.

- Tato, czuję prawdziwy wstręt do spędzania samotnie wieczorów. -

Zrobiła nadąsaną minę. Wyglądała prześlicznie. - Tak bardzo chciałabym choć na jeden wieczór wyrwać się z tej ściśle strzeżonej twierdzy, w którą zamieniłeś nasz dom.

Manetti skrzywił się.

- Donatello, w naszej sytuacji nie mamy innego wyjścia - rzekł surowo. - Ostrożności nigdy za wiele.

- Proszę, tato! - nie poddawała się.

Nie potrafił jej odmówić niczego. Musiał skapitulować.

- Dobrze, już dobrze! - Zwrócił się do Aleksandra: - Dopilnuje pan, by dotarła bezpiecznie do domu? Mogę powierzyć ją pana opiece?

- Absolutnie.

- Córka znaczy dla mnie więcej niż życie - rzekł ostrzegawczo. - Powierzam ją więc panu. Proszę nie zawieść mojego zaufania.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło, Carlo. Możesz być spokojny. - Spojrzał na Donatellę. Uśmiechała się...

Uparty z niego sukinsyn, ale ostatecznie złoży broń. - Aleksander przeszedł przez pokój, niosąc telefon, i usiadł na kanapie. Rozluźnił krawat - Zawsze tak się to kończy.

- Jesteś bardzo pewny siebie - zauważyła Meredith.

- Znam go i wiem, że jego sytuacja finansowa jest dużo gorsza, niż się przyznaje. Potrzebuje pieniędzy. Widzisz, Manetti dużo przeszedł. Zaczynał od zera i zbudował prawdziwe imperium, ma jednak słabostkę: śmiertelnie boi się ubóstwa. W obliczu bankructwa zrobi wszystko, o co go poproszę.

- Chciałabym, żeby było już po wszystkim. Tęsknię za tobą.

- Nie bardziej ode mnie. - Trudno było mu wyrazić, jak dotkliwie odczuwa rozłąkę. - Wyjedziesz po mnie na lotnisko?

- Tylko powiedz, kiedy.

- Wyślę telegram.

- W porządku, będę czekała jedną nogą na progu. Roześmiała się perliście. Boże, jak uwielbiał ten śmiech!

- Nie chciałbym kończyć, ale muszę już iść. Umówiłem się na spotkanie.

- Z Manettim?

Nie od razu odpowiedział.

- Z kimś mu bliskim - odparł w końcu.

- W takim razie nie zatrzymuję cię dłużej. Dobranoc.

- Dobranoc, *matia mou*.

Zaprzagnął powiedzieć więcej, ale było za późno. Przycisnął słuchawkę do ust i zamknął oczy.

- Kocham cię - wyszeptał.

Pergola, mieszcząca się w hotelu Cavalieri Hilton International przy Via Cadolo, jest jedną z najbardziej renomowanych restauracji na świecie. Zajmuje najwyższe kondygnacje budynku, oferując wspaniałą panoramę Rzymu. Wąskiego wejścia strzegą dwie gotowe do skoku porcelanowe pantery. Wnętrze to misterna kompozycja ze szkła, spiżu, srebra i czerni, wzbogacona współczesnym malarstwem oraz nastrojowym oświetleniem. Wszystkie podawane tam potrawy można określić tylko jednym słowem: wyśmienite.

- Czuję się jak księżniczka z bajki - powiedziała Donatella. - Od dawna chciałam cię poznać! A teraz nie tylko spotkaliśmy się, ale spędzamy cudowny wieczór. We dwoje!

Aleksander był rozbawiony. Była taka młoda i niewinna. Ile pozostało na świecie takich dziewcząt? Większość jej rówieśnic dawno już zapomniała o cnocie. Ale one nie miały takiego ojca jak Carlo Manetti.

Donatella paplała radośnie przez cały wieczór, opowiadając o swoim dzieciństwie, o latach spędzonych w żeńskich klasztorach w Rzymie, które pozostawiły w jej pamięci nieprzyjemne wspomnienia. O ojcu, o ich przywiązaniu do siebie. Mówiła o studiach w Ecole des Beaux Arts...

- Zawsze miałam trudności z nawiązaniem kontaktu z chłopcami, których tam spotykałam. Nie potrafiłam z nimi rozmawiać. A oni trzymali się ode mnie z daleka. Może z kilka razy tylko gdzieś mnie zaproszono.

- Taką śliczną panienkę jak ty? - zdziwił się Aleksander. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Ale to prawda. Jesteś pierwszym mężczyzną, który poświęcił mi trochę uwagi... oczywiście oprócz mojego taty, ale to co innego. - Dopiła wino i popatrzyła pytająco na Aleksandra.

- Może już wystarczy, Donna? - zapytał, nie napełniając jej kieliszka.
Była już podchmielona, więc należało ją w porę powstrzymać.

- Zaczynasz mówić jak mój ojciec. Proszę, pozwól mi choć raz dobrze się bawić.

- Nie potrzebujesz do tego alkoholu - perswadował delikatnie.

- Nie, muszę się odprężyć. - Przysunęła się blisko i uśmiechnęła. -
Widzisz, Aleksandrze, zamierzam cię uwieść!

Roześmiał się. Nie wie, co mówi - pomyślał. - Za dużo wypił. Otoczył ją ramieniem i powiedział:

- Chyba już najwyższy czas odwieźć cię do domu.

W tej chwili jak spod ziemi wyrósł fotoreporter i błysnął fleszem.
Pismak! Aleksander osłupiał. Zerwał się z miejsca i z gniewem wrzasnął na mężczyznę po włosku. Dwóch pracowników restauracji wyrzuciło intruza z lokalu, zanim Aleksandrowi wyczerpał się repertuar włoskich wyzwisk.

- Nie chcę wracać do domu - upierała się Donna, gdy pomagał jej wstać. -
Jest jeszcze wczesnie. Wróćmy do Excelsiora!

- Zabieram cię do domu - rzekł nieustępliwie. Potykającą się o własne nogi rozczarowaną dziewczynę sprowadził po schodach do czekającej na nich taksówki. Za kilka minut uwolni się od niej.

Aleksander stał przy oknie i obserwował ruch na Via Véneto. Nie miał już wątpliwości, że jedynym miastem na świecie, które mogło konkurować z Manhattanem w dziedzinie korków ulicznych, jest właśnie Rzym. Żeby się dostać na lotnisko, będzie musiał znacznie wcześniej wyruszyć z hotelu. Na horyzoncie zbierały się ciężkie ciemne chmury. Potwierdzało to prognozy pogody, zapowiadające na ten dzień burze. Tłumiąc ziewanie, zapiał guziki koszuli i sięgnął po złote spinki do mankietów. Nie spał dobrze. Większość nocy przeleżał w łóżku, rozmyślając o Meredith; męczyła go tęsknota, rozbudzona przez wieczór spędzony z Donatellą. Był zakochany... Teraz był tego pewien. Meredith miała rację, że przyda im się nieco czasu na skryształizowanie uczuć. Ta krótka przecież rozłąka otworzyła mu oczy, udowodniła, jak silne więzy połączyły go z tą kobietą. Pragnął jej, tak! Zamierzał ją poślubić! Kiedy wróci do Stanów, natychmiast poprosi ją o rękę. Jeśli odmówi, będzie ponawiał prośby bez końca, aż ona ostatecznie zrozumie, że są sobie przeznaczeni. Wiedział, że Meredith ma wątpliwości, ale to się zmieni. Uśmiechnął się do swoich myśli. Nigdy nie był cierpliwy, ale wobec niej zachowywał się niezwykle wstrzemięźliwie. Nigdy nie uważał siebie za romantyka, ale teraz czuł się jak sentymentalny kochanek. Musiały minąć miesiące, nim w końcu odważył się przyznać, że ją kocha... Zerknął na telefon. Mógłby do niej zadzwonić, powie-

dzieć, że wraca do domu, że wraca do niej. Trzymał słuchawkę przy uchu, już nawet wybrał dwie pierwsze cyfry numeru, ale się rozmyślił. Nie, zrobi jej niespodziankę. To musiało zostać powiedziane w cztery oczy. Powinna nabrać pewności, że Aleksander Kirakis rzeczywiście ma wobec niej poważne zamiary.

Samochód posuwał się po Via XX Settembre w tempie zreumatyzowanego żółwia i Aleksander miał dużo czasu na rozmyślania. Jak powiedzieć Meredith, że ją kocha. Nie będzie to łatwe. Ten wieczór musi być wyjątkowy, wszystko powinno być absolutnie doskonałe. Ten dzień obydwójce długo zachowają w pamięci.

Jak to zwykle bywa, z pomocą pośpieszył przypadek. Kierowca, szukając możliwości ominięcia ulicznych korków, skręcił w Via Nazionale, ulicę pełną najróżniejszych sklepów. Aleksander ślizgał się po nich wzrokiem, aż nagle jego oczy przykuł niewielki sklepik jubilerski, ten sam, do którego wpadał ojciec, kiedy chciał przywieźć z Rzymu prezent dla matki. Słyszał z unikatowych, jedynych w swoim rodzaju precjozów. Przecież właśnie o coś takiego chodziło!

- Stop! - zawołał do taksówkarza.

- Czy coś nie tak, *signore*?

- Nie, nie! - odparł szybko, otwierając drzwi taksówki, choć jeszcze się nie zatrzymała. - Proszę zaczekać. Zaraz będę z powrotem.

W sklepie nikogo nie było. Dopiero po chwili pojawił się młody sprzedawca.

- *Buon giorno* - powiedział. - Czym mogę panu służyć? Aleksander miał tylko kilka sekund na ogarnięcie wzrokiem gablot z zapierającymi dech w piersiach skarbami.

Natychmiast jednak zauważył oszałamiającą szmaragdową bransoletkę. Wskazał ją sprzedawcy, pytając:

- *Qvant'e questo?*

- Dwieście tysięcy lirów.

Nie odrywał od niej wzroku. Była piękna, ale chyba szukał czegoś w innym guście.

- Wolałbym pierścionek - rzekł. - Jakiś specjalny, wyjątkowy.

Twarz sprzedawcy rozjaśniła się.

- Mam to, czego pan szuka. Proszę tutaj.

Aleksander poszedł za nim na drugi koniec pomieszczenia. W gablocie pod szkłem znajdowała się wspaniała kolekcja pierścionków. Diamenty, rubiny, szmaragdy, szafiry - wszystkie w oryginalnych, pięknie zdobionych oprawach. Wszystkie przepiękne i szalenie kosztowne.

Niektórym przyjrzał się bliżej.

- Nie, żaden z nich mi nie odpowiada.

- Gdyby zechciał pan bliżej sprecyzować, czego tak naprawdę pan szuka - uprzejmie powiedział sprzedawca.

- Nie jestem pewien - odrzekł powoli Aleksander. - Gdy to zobaczę, będę wiedział.

Jubiler zamyślił się.

- Może zainteresowałaby pana broszka?

- Jaka?

- Piękna, niespotykana rzecz. Właśnie dostałem ją z Indii. Jeśli chciałby pan ją obejrzeć...

- Tak.

- Zaraz przyniosę. Jest na zapleczu.

Czekając na ekspedienta, Aleksander obszedł sklep. Podziwiając wspaniałe klejnoty, natknął się na coś rzeczywiście wartego uwagi: najpiękniejszy naszyjnik, jaki oglądały jego oczy.

- Oto ta broszka - rzekł sprzedawca wracając. Aleksander nawet na nią nie spojrział.

- Ile to kosztuje? - zapytał, wskazując naszyjnik.

- Sześćset pięćdziesiąt tysięcy lirów.

- Mogę obejrzeć?

Mężczyzna natychmiast otworzył gablotę i położył naszyjnik na kawałku czarnego aksamitu.

- *Signore*, to najpiękniejszy okaz jubilerskiego kunsztu w Rzymie. Ma prawie dwieście lat. Żadne kamienie nie mogą się równać z tymi szafirami.

- Rzeczywiście. Niezwykły. - Przypatrywał się z bli-

ska olśniewającym kamieniom. Miały kolor oczu Meredith.

- *Signore*, to naszyjnik... dla wyjątkowej osoby, jak mniemam?

- Proszę go zapakować - powiedział Aleksander, wyjmując książeczkę czekową.

Pod samolotem rozciągała się granatowa powierzchnia Oceanu Atlantyckiego. Jak okiem sięgnąć, tylko woda. Wygląda tak spokojnie - pomyślał. - Zupełnie jak oczy Meredith, kryjące porywczą żywą duszę. Ileż razy patrzył w nie i próbował sobie wyobrazić, o czym myśli ich właścicielka? Co czuje?

Z kieszeni płaszcza wyjął obite skórą pudełko i otworzył je. Naszyjnik wtulony był w aksamitną poduszczkę granatowego koloru. Wyjął klejnot i obejrzał go w jasnym słonecznym świetle, wdzierającym się do wnętrza samolotu. Jeszcze rok temu roześmiałby się w twarz każdemu, kto powiedziałby, że wyda taką sumę na prezent dla kobiety. Teraz wszystko się zmieniło. Wreszcie doznał tego uczucia: był naprawdę zakochany! Chciał to okazać Meredith, sprawić, by odwzajemniła jego miłość. Zrobiłby absolutnie wszystko, by dowieść swego uczucia. Mówił o pożądaniu, o chęci posiadania jej, o tym, że do siebie pasują. Próbował pobudzić ją zmysłowo. Nigdy jednak nie użył magicznych słów; nie powiedział, że ją kocha. Zdał sobie z tego sprawę dopiero w Rzymie. Nie mógł się doczekać, kiedy podzieli się z nią tym odkryciem. Meredith wysiadła ze służbowej limuzyny przed wejściem do budynku, w którym mieszkała. Natychmiast zjawił się portier, żeby pomóc jej nieść ciężką walizkę.

- Nie trzeba - powiedziała. - Dam sobie radę.

- Jest pani pewna, że...

- Tak, poradzę sobie. Dziękuję, Charlie.

Przeszła przez hol do wind i wjechała na dwunaste piętro. Który to już raz wracała do domu zupełnie

wyczerpana? Zaczynała mieć dosyć pracy nad dwoma programami. Choć teoretycznie powinna poświęcać więcej czasu „World Focus”, emitowanemu teraz codziennie i w większości przypadków na żywo, szybko się przekonała, że bardziej czasochłonny jest „Manhattan Observer”. „World Focus” przygotowywała z innymi. „Manhattan Observer” należał wyłącznie do niej i ponosiła za niego całkowitą odpowiedzialność. Tego wieczoru marzyła jedynie o kolacji, gorącej kąpieli i o tym, by jak najwcześniej pójść spać.

Ale były to tylko pobożne życzenia. Miała przy sobie pełną teczkę dokumentów do przestudiowania: wycinki prasowe, notatki, fotografie. Dodatkowe materiały do programu z Aleksandrem. Ta walizka nie mogła zastąpić jego osoby. Jak bardzo chciałaby spędzić z nim ten wieczór! Był w Rzymie już prawie tydzień i z każdym dniem tęskniła za nim coraz bardziej. Dzwonił co wieczór, zwykle dosyć późno, i za każdym razem rozmawiali godzinami. Leżała potem długo, nie mogąc zasnąć, i usiłowała nazwać swoje uczucia. Zakochała się w nim. Nie wiedziała tylko, czy mają jakąkolwiek wspólną przyszłość.

Wchodząc do mieszkania, zostawiła teczkę pod drzwiami, rzuciła torebkę na krzesło i zdjęła płaszcz. Włączyła automatyczną sekretarkę. Ściągnęła pantofle i usiadła na kanapie. Aleksander nie telefonował. Już całą dobę nie miała od niego żadnej wiadomości. Pewnie niedługo zadzwoni. Wtem zabrzmiał dzwonek. Podeszła do drzwi i otworzyła je, nie zdejmując łańcucha.

- Tak?

- Telegram do panny Meredith Courtney - powiedział umundurowany posłaniec. W dłoni trzymał kopertę.

- Chwileczkę.

Zamknęła drzwi i odpięła łańcuch. Posłaniec czekał cierpliwie, aż Meredith złoży swój podpis. Potem podał jej kopertę, wziął napiwek i czym prędzej zniknął.

Telegram brzmiał:

PRZYLATUJĘ 22.45 STOP GODZINNA PRZERWA W PODRÓŻY DO MONTREALU STOP SAMOCHÓD BĘDZIE CZE-

**KAŁ PRZED TWOIM DOMEM 21.30 STOP MUSZĘ SIĘ Z TOBĄ
ZOBACZYĆ STOP WAŻNE STOP KOCHAM ALEKSANDER.**

Meredith przyjrzała się uważniej telegramowi. Nie było wątpliwości - napisał „Kocham”. Nigdy nie użył tego słowa, nawet gdy próbował ją uwieść. Miała wrażenie, że Aleksander traktuje je serio. Teraz już była pewna. Tak, to jest miłość. Ona także go kocha.

Jak na maj był to niezwykle chłodny wieczór. Z tylnego siedzenia samochodu Meredith obserwowała sunący po pasie startowym odrzutowiec. Miała tylko godzinę, ale musiała powiedzieć Aleksandrowi, co do niego czuje.

Wysiadła z limuzyny i ruszyła w kierunku samolotu. Kiedy Aleksander zszedł po schodkach, obydwójce zaczęli biec i po chwili padli sobie w ramiona. Całowali się, najpierw czule, potem z rosnącą mocą.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała w końcu Meredith. Opuszkami palców gładziła jego twarz jak ociemniała, szukająca drogi przez ciemność.

- A ja za tobą. - Aleksander pocałował ją ponownie. - Tak mocno, jak nigdy przedtem.

Skierowali się do samochodu.

- Twój telegram brzmiał niepokojąco - powiedziała Meredith, gdy wsiedli. - Dlaczego jeszcze dzisiaj musisz lecieć do Montrealu?

- Wybuchł tam pożar w biurach korporacji. Specjaliści podejrzewają podpalenie. Powinienem lecieć do Kanady bezpośrednio z Rzymu, ale musiałem się z tobą zobaczyć.

- Cieszę się, że to zrobiłeś.

- To był długi i wyczerpujący dzień. Wcześniej opuściłem hotel, żeby zdążyć na samolot, a na lotnisku musiałem jeszcze czekać na poprawę pogody. Zadzwoiłem stamtąd do biura i George powiedział mi o pożarze. A miałem tyle planów na dzisiejszy wieczór! Cudownych planów! Tylko my dwoje...

- Nic się nie stało. Na wszystko będzie czas, jak wrócisz.
- Pojedź ze mną. Mamy sobie tyle do powiedzenia...
- Chciałabym, ale nie mogę. Mój rozkład pracy nigdy nie był tak zwariowany jak teraz. Wyjechać tak po prostu w środku nocy...
- Rozumiem. W tej chwili myślę tylko o tym, jak bardzo pragnę cię mieć przy sobie. - Ich spojrzenia spotkały się. - Meredith, kocham cię...
- Kocham cię...

Wypowiedzieli te słowa równocześnie.

- Mógłbym zapomnieć o Montrealu - wyszeptał w przerwie między pocałunkami.
- A ja o jutrzejszym programie.
- Mógłbym posłać George'a... - Niecierpliwie pokrywał pocałunkami jej szyję.
- Nie da rady - powiedziała, wplatając palce w jego puszyste włosy. - Potrzebują cię tam. - Miała nadzieję, że jej nie posłucha i nie wyjedzie. Nie dziś, nie tego wieczoru...
- Mogę polecieć rano. Kochajmy się tutaj... natychmiast...

Odsunęła go.

- Czekaliśmy tak długo, że jeszcze jeden dzień... Uciszył ją, zamykając usta pocałunkiem.
- Za długo...
- Będę na ciebie czekać.
- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął pudełko.
- Kupiłem to dla ciebie w Rzymie - rzekł czule. - W małym sklepiku przy Via Nazionale. Jak zajrzysz do środka, zobaczysz wszystko, czego nie byłem w stanie przekazać ci słowami. Jest wprost stworzony dla ciebie. Meredith otworzyła pudełko i zamarła. Czegoś tak pięknego nigdy dotąd nie widziała.
- To antyk - rzekł Aleksander. - Ma ponad dwieście lat. - Wyjął naszyjnik i zapiął go na szyi Meredith.
- Cudowny - szepnęła zachwycona.

- A ja tak...

Pudełko zsunęło się na podłogę samochodu, gdy ponownie do siebie przywarli, łącząc usta w namiętym pocałunku.

W maszynie do pisania tkwiła kartka z trzema tylko linijkami druku. Przez cały ranek nie przybyła ani jedna litera. Na biurku stała zapomniana filiżanka z zimną, nie tkniętą kawą. Poczta daremnie czekała na otwarcie. Meredith pogrążona w zamyśleniu stała przy oknie. W rękę trzymała numer magazynu „People” z zeszłego tygodnia, otwarty na stronie ze zdjęciem Aleksandra, zrobionym w jakiejś rzymskiej restauracji. W pięknej dziewczynie, która mu towarzyszyła, rozpoznano Dona-tellę Manetti, córkę włoskiego przemysłowca. Wyglądało jakby byli w najlepszej komitywie. Niech cię diabli wezmą - myślała Meredith rozgoryczona. - Dobrze się bawiłeś, robiąc ze mnie idiotkę. Podobała ci się gierka w rozkochiwaniu mnie? W ten sposób bierzesz odwet za odrzucenie cię? Musisz się teraz śmiać ze mnie do rozpuku! Boże, jak mogłam być taka głupia?!

Rzuciła magazyn na podłogę. Wyjęła z szuflady biurka czarne pudełko. Otworzyła je i zaczęła przyglądać się naszyjnikowi, wspominając dzień, kiedy go otrzymała. Był to najszczęśliwszy wieczór w jej życiu. Gotowa była oddać się całkowicie Aleksandrowi. Poszłaby z nim do łóżka, gdyby nie musiał lecieć do Montrealu. Dostałby to, czego chciał.

Postanowiła nie płakać. Nie był tego wart. Poza tym to nie tylko jego wina. Zasłużyła sobie na to. Powinna być bardziej przewidująca, nie dać się ogłupić. Doskonale zdawała sobie sprawę, jaki z niego playboy.

Nieraz słyszała o jego wyczynach.

Dała się złapać na słodkie słówka, na fałszywy czar księcia z bajki. Mówił o miłości! Śmiechu warte! Musi być wyjątkowo mściwy. Odrzuciła go, kiedy chciał ją zaciągnąć do łóżka, więc teraz się odegrał. Dlaczego go w ogóle słuchała?

W drzwiach pojawiła się sekretarka.

- Meredith, Aleksander Kirakis na pierwszej linii...
- Nie ma mnie dla nikogo.
- Twierdzi, że to pilne.
- Nie ma mnie! - krzyknęła.

Cindy przestąpiła z nogi na nogę. Była zaskoczona.

- A co z wywiadem? - zapytała. - Zapomniałaś, że zbliża się termin...
- O niczym nie zapominałam! Zadzwońię do jego biura, kiedy będę chciała z nim rozmawiać! A na razie mnie nie ma.

W budynku World Trade Center odbywała się jedna z nielicznych konferencji prasowych Aleksandra Kira-kisa. Oficjalnym tematem był projekt włączenia korporacji do badań w dziedzinie fizyki jądrowej. Prezes mówił o nowym ośrodku badawczym, zlokalizowanym w południowej Kalifornii, w rejonie pustyni Mojave, nieco na wschód od bazy marynarki wojennej. Tłumaczył, dlaczego mianował na szefa tej placówki doktora Marchwooda, światowy autorytet w dziedzinie broni jądrowej, byłego członka zespołu Los Alamos Scientific Laboratory w Nowym Meksyku. Bronił się przed atakami dziennikarzy, którzy sugerowali, że Kirakis Corporation chciała tym sposobem wkroczyć na rynek broni nuklearnej. Odpierając zarzuty, stwierdził tylko, że była to czysto teoretyczna możliwość.

- Cóż, znowu ci się udało - powiedział George, gdy wracali do biura po konferencji. - Jutro znajdziesz się na pierwszych stronach gazet w całym wolnym świecie. Już widzę te nagłówki: „Kirakis popiera wyścig zbrojeń!”.

Aleksander milczał jak zakłęty. George martwił się o niego. Po powrocie z Montrealu przyjaciel był w dziwnym nastroju. Być może bardzo przejął się dopuszczaną przez ekspertów wersją wydarzeń w Kanadzie, wedle której biura korporacji stały się celem ataku podpalacza. George znał Aleksandra na tyle, by wiedzieć, że tym razem chodzi o coś więcej, znacznie więcej. Kiedy patrzył na niego, miał wrażenie, że obserwuje tykającą

bombę zegarową. Dokładnego czasu wybuchu nie potrafił przewidzieć. Uznał, że najlepiej zostawić bombę w spokoju. Aleksander wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie zamierza o tym dyskutować. Nie należało naciskać, nic dobrego by z tego nie wynikło. George przeprosił go i poszedł do swego biura.

Przed drzwiami do gabinetu Aleksander natknął się na sekretarkę.

- Przyszła dla pana paczka - powiedziała. - Położyłam ją na biurku.

- Dziękuję, Stacey - odparł z roztargnieniem.

Zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka. Przesyłka nie była imponujących rozmiarów. Niewielka paczuszka. Rozpakował ją i jego oczom ukazało się obite czarną skórą pudełko. Ostrożnie otworzył je i popatrzył na spoczywający wewnątrz naszyjnik. Odesłała prezent. Bez słowa, listu, czegokolwiek. Po prostu odesłała. Był tak bliski poślubienia jej, urzeczywistnienia marzeń i naraz wszystko spaliło na panewce przez to przekłete zdjęcie w „People”. Być może nigdy jej nie odzyska.

Wyładowując wściekłość, zrzucił z biurka stos papierów. Połączył się z sekretarką.

- Stacey, wychodzę za kilka minut.

- Gdzie można pana znaleźć?

- Będę nieosiągalny.

Meredith w pośpiechu wybiegła z Intercontinental Broadcasting Building. Zimny wiatr osiągał w porywach taką siłę, że z trudem utrzymywała się na nogach. Przez cały miesiąc pogoda wprost wariowała - jednego dnia padał deszcz, drugiego hulał porywisty zimny wiatr.

Dzisiaj Meredith wyjątkowo nie wracała bezpośrednio do domu, więc musiała skorzystać z taksówki. Zdecydowała udać się na zakupy. Musiała zapomnieć o wydarzeniach ostatnich tygodni.

Nie zauważyła zaparkowanego niedaleko samochodu, dopóki nie otworzyły się drzwi i Aleksander nie zastąpił jej drogi.

- Dobry wieczór, Meredith. Podniosła na niego gniewne spojrzenie.
- To był dobry wieczór - odparła chłodno - do tej chwili.
- Powinniśmy porozmawiać. To bardzo ważne, dla ciebie i dla mnie.
- Nie mam ci nic do powiedzenia.
- Ale ja chciałbym coś wyjaśnić.
- Nie chcę tego słyszeć. - Ruszyła przed siebie. Aleksander podążył za nią.
- To dotyczy wywiadu.

Zatrzymała się i zwróciła twarz w jego stronę.

- Co znowu?
- Nie sądzisz, że najwyższy czas go nagrać. Chyba zbliża się termin, prawda?
- Twoja troska jest doprawdy wzruszająca. Doskonale pamiętam wszystkie terminy. Będę z tobą w kontakcie i w odpowiednim czasie powiadomię cię o nagraniu.
- Musimy to zrobić jak najszybciej. Wyjeżdżam z miasta i nie będzie mnie do końca miesiąca.
- Interesy? Potrząsnął głową.
- Nie, tym razem przyjemność.
- Jak jej na imię? - zapytała lodowatym tonem.
- Nie chodzi o kobietę. W przeddzień Memorial Day wezmę udział w meczu polo w Southampton. Nie będzie mnie w mieście tydzień lub dłużej.
- W takim razie nagramy wywiad po twoim powrocie.
- Może chciałabyś do niego sfilmować fragment meczu?
- Może - odparła. - Dam ci znać.
- Tak... Kocham cię!

Zignorowała te słowa, jakby ich w ogóle nie usłyszała.

- Muszę iść. Zadzwoń do twojego biura, jeśli zdecyduję się filmować mecz.

Aleksander patrzył za nią, jak zginęła w tłumie. Nie próbował jej zatrzymać, nic by przez to nie osiągnął. Nie podda się tak łatwo. Miał jeszcze szansę i musiał ją wykorzystać. Kiedyś użył wywiadu, by zbliżyć się do niej - teraz dzięki niemu postara się ją odzyskać.

Meredith stała oparta o wynajęty samochód i przez silną lornetkę obserwowała wydarzenia na boisku. W pobliżu stał wóz IBS, skąd kamerzysta filmował cały mecz. Część zdjęć na pewno znajdzie się w programie, którego bohaterem będzie Aleksander; pozwolą one ukazać jego osobowość w nowym świetle, jednocześnie uatrakcyjniając wywiad. Wiedziała o tym, a jednak była bliska zrezygnowania z tego materiału. Nie chciała przyjeżdżać. Od tamtego wieczoru, kiedy Aleksander czekał na nią przed Broadcast Center, nie widziała się z nim ani razu i wołała, by tak pozostało. Gdy wywiad zostanie w końcu nagrany, postara się zapomnieć, że w ogóle znała Kirakisa.

Aleksander wyglądał na boisku jak gladiator. Dosiadał wspaniałego gniadego wałacha, sprawiającego wrażenie olbrzyma w porównaniu z innymi końmi. Dobierał konie szybkie, nieco większe od standardowych do polo. Zawsze grał z pierwszym numerem.

Zaczynała się właśnie czwarta część gry. „Fatalna czwórka”, jak mawiał. Twierdził, że czwarta część decyduje o wyniku sześcioczęściowego meczu. W pierwszych czterech grał zawsze na swych ulubionych koniach, gdyż wierzył, że jeśli jego zespół podyktuje przeciwnikom warunki w tej fazie gry, zwycięstwo nie wymknie im się z rąk. Traktował polo tak samo poważnie jak interesy i wymagał od zawodników z drużyny tyle, ile od pracowników w kor-

poracji. Meredith obserwowała z zachwytem, jak posługując się młotkiem niczym bronią, z precyzją posyłał w powietrze piłki, które szybowały niczym zdalnie sterowane pociski. Naraz drgnęła. Jeden z obrońców drużyny przeciwników, opisywany przez Aleksandra jako „specjalista od wymiatania”, zderzył się z nim. Na szczęście nic groźnego się nie stało.

Meredith przeniosła spojrzenie na trybuny. Polo jest grą bogatych ludzi.

W lornetce migały jak w kalejdoskopie sylwetki eleganckich kobiet i mężczyzn, jakby żywcem przeniesione z kart magazynu „GQ”.

Towarzystwo dobrane równie starannie, jak konie do gry - wszyscy mieli w żyłach błękitną krew. Ale polo jest czymś więcej niż drogą rozrywką. Jest manifestacją siły, testem na odwagę i inteligencję. Dyscypliną sportu, którą uprawiać mogą jedynie najlepsi. Wymaga olbrzymiej samokontroli, śmiałości i doskonałego refleksu. Aleksander Kirakis był do tego sportu stworzony.

W piątej i szóstej części mecz stał się jeszcze szybszy. Kilka potężnych strzałów Aleksandra ominęło blokadę przeciwników. Meredith pomyślała, że chytrą strategię i zabójczą energię, jakie Kirakis prezentował na boisku, można porównać do znakomitych manewrów w salach konferencyjnych, z których słyszał. Widziała, jak zaciska zęby z wojowniczym grymasem na twarzy. Grał na granicy faulu. Momentami miało się wrażenie, że chce zrzucić przeciwników z siodła. Nie miała wątpliwości, dlaczego został mistrzem. Był wyśmienitym jeźdźcem, doskonale współgrał z końmi, których dosiadał. A ponieważ miał chłodny i precyzyjny umysł, był nie do pokonania.

Wybuch owacji na trybunach oznajmił zakończenie meczu. Po chwili Aleksander dzierżył już w dłoniach srebrny puchar i Meredith dała znak kamerzyście, by zakończył filmowanie. Kiedy ponownie spojrzała na boisko, zobaczyła idącego w jej stronę Kirakisa. Zdjął kask, jego ciemne włosy kleiły się od potu.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział uśmiechając się. - Choć jestem nieco zaskoczony.

- Dlaczego? Miałam tu coś do zrobienia, nie pamiętasz?
- Tak, pamiętam. Wierzę, że nie zmarnowałaś czasu.
- Wcale. Mamy już wszystkie materiały.
- Więc zaraz odjeżdżasz?
- Jak tylko zapakujemy sprzęt. Milczał, jakby nie mógł się zdecydować.
- Muszę z tobą porozmawiać na osobności - rzekł wreszcie, zniżając głos nieomal do szeptu.
- O wywiadzie?
- O nas.
- Nie ma żadnych „nas”. Już nie ma. I nigdy nie było.
- Chyba nie wierzysz w to, co mówisz!
- Powiedziałam już wszystko na ten temat. - Odwróciła się i chciała odejść.

Chwycił ją za rękę.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem - warknął przez zaciśnięte zęby. - Wysłuchasz, co mam do powiedzenia, czy chcesz tego, czy nie. A więc porozmawiamy na osobności, czy mam wszystko powiedzieć tu i teraz? Wiedziała, że Aleksander jest w stanie to zrobić. Nie miała ochoty omawiać prywatnych spraw na oczach kamerzysty i przygodnych obserwatorów.

- Dobrze - zgodziła się. - Gdzie i kiedy?

- Natychmiast. Chodź ze mną. Zwróciła się do kamerzysty:

- Spakuj wszystko. Jeśli nie wrócę, zanim skończysz, możesz jechać.

W milczeniu przeszli przez boisko w kierunku stajni. Za nimi wlokł się ze spuszczoną głową wierzchowiec. Aleksander odwrócił się i poklepał go po karku.

- Obawiam się, że byłem dziś zbyt ostry dla Spartakusa - rzekł. - Zostawię go chyba ze dwa dni na pastwisku. Niech sobie wypocznie.

Gdy weszli do stajni, wręczył lejce chłopcu stajennemu i powiedział:

- Zaopiekuj się moim przyjacielem.

- Tak, panie Kirakis. Oczywiście.

Minęli niemal wszystkie boksy, docierając do części

stajni, gdzie znajdowały się konie Aleksandra. Obejrzał je skrupulatnie, upewniając się, czy zajmowano się nimi właściwie, i każdemu dał po kilka kostek cukru. Zachowywał się wobec nich zadziwiająco łagodnie, wręcz czule.

- Hadrian nie bierze udziału w zawodach, bo został dziś rano zraniony. To chyba nic poważnego, ale na wszelki wypadek nie będę go dosiadał, aż zupełnie wydobrzeje. Cezar jest w złym humorze. Musisz uważać, bo może cię ugryźć. Atila wkrótce przejdzie na emeryturę. Ma już swoje lata...

- Nie przyprowadziłeś mnie tutaj, by opowiadać o koniach do polo. - Meredith dała upust swej irytacji. - Powiedz wreszcie, o co chodzi, i skończmy z tym. Czeka mnie długa podróż i wolałabym już ruszać.

- Powinienem być zadowolony z twego oburzenia. Gniew jest lepszy niż obojętność, prawda? Przynajmniej coś do mnie czujesz, choć nie są to akurat te uczucia, których bym pragnął.

- Naprawdę dobrze się bawisz, kpiąc sobie ze mnie? Spoważniał nagle.

- Nie, wcale mnie to nie bawi. Pozwól mi wreszcie wyjaśnić, co oznacza to przekłete zdjęcie!

- Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień. Uporczywie wpatrywał się w jej twarz. Bijący od niej chłód przenikał go do szpiku kości.

- To, co powiedzieliśmy sobie tamtego wieczoru na lotnisku... już nic dla ciebie nie znaczy? - zapytał.

- Znaczyło dla mnie wiele. Najwidoczniej nic nie znaczyło dla ciebie.

- Pojechałem do Rzymu, żeby się spotkać z Manet-tim. Pewnego dnia, gdy jedliśmy lunch, zjawiała się Donatella. Zaprosiłem ich na kolację. Carlo nie mógł pójść, ale jego córka przyjęła zaproszenie. Nie miałem innego wyboru. Nie chcąc jej urazić, musiałem się zgodzić.

- Na zdjęciu nie wyglądałeś na niezadowolonego.

- Donna Manetti jest jeszcze młoda i bardzo niedoświadczona. Ojciec trzyma ją w izolacji. Może jako nastolatka podkochiwała się we mnie...

- Ładna mi nastolatka! - prychnęła Meredith.
 - Pozwól mi dokończyć. Do kolacji podano wino i trochę za dużo wypła. Kiedy robiono to zdjęcie, miała naprawdę dość. Próbowałem ją przekonać, by pozwoliła się odwieźć do domu.
 - Czyjego!
 - Nie spałem z nią, Meredith.
 - Nie ma znaczenia, czy to zrobiłeś, czy nie. - Rozmyślnie unikała jego wzroku, żeby nie dojrzał w jej oczach cierpienia.
 - Czyżby?
- Nie odpowiedziała.
- Spójrz na mnie - zażądał. - Spójrz i powiedz, że to naprawdę nie ma znaczenia, że wszystko to, co zaszło między nami, nic cię nie obchodzi. Spojrzała mu prosto w oczy.
 - W porządku! - krzyknęła. - Owszem, znaczy to dla mnie bardzo wiele! Podobnie jak to, co robiłeś w Rzymie! To chciałeś ode mnie usłyszeć?!
 - Tak! Chcę, żebyś była zazdrosna! Żebyś kochała mnie tak, jak ja ciebie! Pocałował ją czule. Odsunęła się od niego.
 - Byłam pewna, że cię znam.
 - Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny.
 - Czuję się jak ćma, która za bardzo zbliżyła się do płomienia.
- Uśmiechnął się smutno.
- Pytanie, które z nas jest ćmą, a które płomieniem?
 - Nie chcę się sparzyć.
 - Daj nam szansę, bo jesteśmy sobie przeznaczeni.
 - Kiedyś też tak myślałam.
 - Mam niedaleko dom. Chciałem zostać w nim do końca tygodnia.
- Zapraszam cię.
- Nie mogę. Mam obowiązki...
 - Ja też, ale na pierwszym miejscu stawiam ciebie, nas.
 - Powiedz to mojemu producentowi.
 - Zadzwońisz do niego, kiedy będziemy na miejscu. Powiesz mu, że dostałaś pozwolenie na nagranie wywiadu

w mojej posiadłości w Southampton. Będiesz tam ze mną przez cały tydzień dopracowywać szczegóły, a ekipa z kamerą mogłaby przyjechać w czwartek lub piątek. Tym sposobem zyskamy kilka dni tylko dla siebie.

- Nie wiem...

- Kocham cię, Meredith. Nie chcę cię stracić.

- Ale ja nie mam przy sobie żadnych rzeczy!

- W miasteczku są sklepy. Wahała się jeszcze.

- Masz gotową odpowiedź na wszystko, co?

- Tak - powiedział, biorąc ją za rękę. - Na wszystkie pytania, z wyjątkiem tego jednego, które ma dla mnie największe znaczenie.

Dom Aleksandra był elegancką piętnastopokojową rezydencją, położoną na dziesięciu akrach pięknej ziemi nad brzegiem Oceanu Atlantyckiego.

Wysokie na jedenaście stóp sufity, francuskie okna i olbrzymi taras, z którego rozciągał się wspaniały widok, stwarzały wrażenie nadzwyczajnej przestronności. Na imponujące wyposażenie składały się: sauna, basen, piwnica win, solarium i specjalny pokój do słuchania muzyki.

Na tyłach rezydencji znajdowały się mieszkania służby oraz stajnie dla koni do polo.

Wnętrze domu w niczym nie przypominało nowoczesnego i funkcjonalnego apartamentu w Olympic Tower. Marmurowe kominki w salonie, bibliotece i gabinecie, grube, ciężkie szyby w oknach, ozdobne gzymsy oraz podłogi z desek były wspomnieniem minionej epoki, podobnie jak porozstawiane wszędzie antyki, wiekowe, lecz nadal bardzo wygodne kanapy i fotele, zabytkowe krzesła oraz zdobiące ściany obrazy impresjonistów. W bibliotece starannie odmierzał czas nadal niewiarygodnie dokładny wielki zegar, który miał grubo ponad sto lat.

- Traktuję ten dom jako prywatną kryjówkę - powiedział Aleksander, przypatrując się Meredith, zajętej podziwianiem biblioteki. - Zawsze tu przyjeżdżam, gdy

nie mogę wytrzymać tempa życia na Manhattanie albo gdy po prostu chcę pobyć sam ze swoimi myślami.

- Zabawne. Zawsze wyobrażałam sobie, że ktoś taki jak ty nie może żyć bez pracy.

- Przekonałem się, że nawet najbardziej zapracowani potrzebują czasem trochę odpoczynku. Kiedy zostałem prezesem Kirakis Corporation, a nawet nieco wcześniej, próbowałem z pracy uczynić treść życia.

- Ale nic z tego nie wyszło.

- Korporacja jest dla mnie bardzo ważna, to prawda. To moje dziedzictwo, spadek po ojcu. Jednak teraz już wiem, że nie może być całym moim życiem, tak jak tobie nie wystarczy kariera dziennikarska. - Nalał do kieliszka wino i podał Meredith.

- Proszę, na pewno będzie ci smakowało. Pochodzi z moich winnic.

- Winami też się zajmujesz?

- Mam zamek w południowej Francji, w okolicy Côte-du-Rhône.

Niestety, ostatnio z braku czasu nie mogłem być tam tak długo, jak bym tego chciał. Dawniej co roku, gdy przychodził czas zbiorów, pracowałem w winnicy.

Meredith roześmiała się głośno.

- Przepraszam, nie chciałam... Po prostu trudno wyobrazić sobie ciebie przy jakiegokolwiek pracy fizycznej.

- Naprawdę mnie to bawiło - rzekł, napełniając kolejny kieliszek. -

Miałem niespełna czternaście lat kiedy ojciec kupił te winnice. Do Francji zawsze miałem szczególną słabość, chyba odziedziczoną po matce, więc z radością spędzałem tam czas. Matka nie chciała, żebym pracował przy zbiorach, ale to mi się podobało, a ojciec uważał, że przy okazji mogę nauczyć się czegoś pożytecznego. I miał rację.

- Musisz tęsknić za rodzicami. Pokiwał głową.

- Dopiero gdy ich straciłem, uświadomiłem sobie, jak ważne jest posiadanie rodziny albo kogoś, z kim można dzielić życie.

Meredith zadrżała. Oblała się rumieńcem i w żaden sposób nie mogła temu zapobiec.

- Każdy kogoś potrzebuje - powiedziała cicho, unikając jego wzroku. Zauważył, że jej kieliszek jest pusty.

- Jeszcze wina? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Chyba mam już dosyć. Poza tym robi się późno...

- Wybacz mi, *matia mou*. Zupełnie straciłem poczucie czasu. Musisz być bardzo zmęczona.

- Odrobinę - przyznała.

- Chodź. Pokażę ci twój pokój.

Następnego ranka obudziły Meredith jasne promienie słoneczne wpadające przez okna. Przypomniała sobie, że kładąc się zapomniała zaciągnąć zasłony. Zerknęła na stojący na toalecie antyczny zegar. Było już prawie południe. Aleksander pewnie od dawna jest na nogach.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi i nim zdążyła odpowiedzieć, weszła służąca.

- *Max3emoiselle*, mam na imię Danielle. *Monsieur* Kirakis kazał zapytać, co pani zje na śniadanie, i przekazać, że przysłano z miasta te rzeczy. - Wskazała stos pudeł leżący na krześle. Ubrania dla pani. Mam nadzieję, że będą pasowały.

- Na pewno. Dziękuję.

- A śniadanie, *inademoiseUe*?

Meredith nie mogła zebrać myśli. Nie była głodna.

- Coś lekkiego - powiedziała. - Może rogalik z masłem i dżemem, do tego kawa.

- *Oni, mademoiselle*. - Dziewczyna chciała już wyjść.

- Danielle? Czy Aleksander... to znaczy, pan Kirakis już wstał?

- *Oui, mculemoiseUe*. Pan z przyzwyczajenia wstaje wcześniej. Od świtu jest w stajniach. Prosił, żeby pani przyszła do niego zaraz po śniadaniu.

- Dobrze, przyjdę.

- Podać jedzenie tutaj, czy zejdzie pani na dół?

- Zejdę do jadalni. Dziękuję.

Meredith otworzyła tajemnicze pudła i starannie obejrzała ich zawartość - dzinsy, bawełniane koszulki, buty do konnej jazdy. W sam raz na nią.

Ubierając się próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz siedziała na koniu. Czy nie zapomniała już, jak się jeździ?

Znalazła Aleksandra na padoku, gdzie ujeżdżał właśnie wspaniałego czarnego wałacha. Wcale nie przypominał nienagannie ubranego prezesa Kirakis Corporation. Ubrany był w szare spodnie, wpuszczone w czarne buty z cholewami, oraz białą bawełnianą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Wiatr rozwiewał Aleksandrowi włosy, nadając mu niezwykły jak na niego wyraz spokoju i beztroski.

- Dzień dobry! - krzyknęła.

- Dzień dobry, *matia mou*. Dobrze spałaś?

- Dziękuję, aż za dobrze - powiedziała, sadowiąc się na barierce. - Za to ty podobno miałeś pracowity ranek.

- Przyzwyczailem się wstawać wcześniej. - Ściągnął wodze, zatrzymując konia. - Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę?

- Z ochotą.

- Jeździłaś już kiedyś?

- Tam, skąd pochodzę, człowiek uczy się konnej jazdy, gdy inni zaczynają chodzić. Od tamtej pory minęło trochę czasu, ale tego nigdy się nie zapomina.

- Ostrzegam jednak, moje wierzchowce są nieco na-rowiste. Koń, podobnie jak kobieta, musi mieć temperament. W przeciwnym razie nie ma w nim nic ponętnego.

- Próbujesz coś mi powiedzieć w ten sposób?

- A jak myślisz?

- Masz w sobie tyle subtelności co młot kowalski - odparła z uśmiechem. Przywołał chłopca stajennego.

- Osiedłaj Apolla dla panny Courtney - polecił.

- Tak, proszę pana - odparł chłopak i biegiem rzucił się do stajni.

- Dla panny Courtney - powtórzył Aleksander, spoglądając na Meredith. - Ale już niedługo pani...

Meredith była zaskoczona, jak łatwo przypomniała sobie wszystko, gdy znalazła się w siodle. Okazało się, że zapomniała tylko jedno - jak wielką sprawiało to przyjemność. Objechali całą okolicę, kończąc przejażdżkę szaleńczym galopem po plaży. Później zsiadli z koni i prowadząc je za sobą, brodzili po kolana w ciepłej wodzie, radując się pięknymi widokami. Meredith cieszyła się, że przyjęła zaproszenie Aleksandra i pozwoliła wyjaśnić nieporozumienie. Wierzyła mu i w głębi duszy była przekonana, że Aleksander rzeczywiście ją kocha.

- Oto dlaczego zdecydowałem się kupić tę posiadłość

- powiedział, gdy brnęli przez bielutki piasek plaży.

- Kiedy zacząłem szukać czegoś odpowiedniego, natknąłem się właśnie na nią. Dom wydawał mi się nawet interesujący, ale jak zobaczyłem tę plażę, musiałem go mieć! Tak bardzo przypominała mi moją wyspę w Grecji... Tęskniłem za dzieciństwem. Tu poczułem, że jestem u siebie.

- Rozumiem cię - odezwała się Meredith. - Kiedy mieszkałam w Kalifornii, uwielbiałam spacerować po plaży o świcie, pływać w oceanie, oddychać głęboko słonym, wilgotnym powietrzem...

- Wtedy, gdy mieszkałaś z Nickiem Hollidayem? - spytał. - Myślałaś kiedyś o poślubieniu go?

- Nie, nigdy - odparła zdziwiona.

Aleksander schylił się po kawałek drewna, wyrzucony przez fale na brzeg. Obejrzał go, zważył w dłoni, a potem rzucił wysoko w powietrze. - Musiałaś być w nim zakochana.

- Owszem - odpowiedziała ostrożnie. - Kiedyś. A potem wszystko się popsuło...

- Nie miałaś już ochoty z nikim się wiązać.

- Przez długi okres myślałam, że wcale tego nie potrzebuję. Ale teraz... Wiem, że się myliłam.

Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Miło mi to słyszeć. Meredith, chciałbym związać

z tobą moją przyszłość. Nie byłoby mi łatwo konkurować z kimś z przeszłości.

- Nikogo takiego nie ma, Aleksandrze.

Wziął ją w ramiona. Przywarła do niego i objęła za szyję. Nareszcie nic nie stało już na przeszkodzie ich miłości.

Ale zimno! - Meredith leżała przed kominkiem na stosie poduszek, wygrzewając się przy ogniu, który był jedynym źródłem światła w bibliotece.

- Noce czasem bywają bardzo chłodne o tej porze roku. - Aleksander przyniósł dwa kieliszki szampana Dom Perignon i usiadł obok niej na podłodze.

Widząc butelkę, uśmiechnęła się i zapytała:

- Czczymy twoje zwycięstwo w meczu polo?

- Nie. Wypijmy za to... że jesteśmy razem. - Nie spuszczał z niej oczu, wyjmował powoli korek. Nagle rozległ się głośny huk i obydwójce zostali skapani w strugach szampana. Meredith poderwała się z miejsca i popatrzyła na swą jedwabną bluzkę. Przemoczona, przylegała do piersi, ukazując je oczom Aleksandra.

- Właśnie zmarnowałeś całą butelkę - powiedziała, oblewając się rumieńcem.

- Z mojego punktu widzenia - rzekł z uśmiechem - wręcz przeciwnie. Te drobne poprawki w stroju są wyśmienite.

Patrzyli na siebie w napięciu. W ich spojrzeniach malowały się miłość i pożądanie. Aleksander przysunął się do Meredith i powoli rozpiął guziki przemoczonej bluzki. Zaczął namiętnie pieścić płonące pod jego dotykiem piersi.

- Kocham cię - wyszeptał. - Kocham cię... Pragnę...

- Ja...

- Chcę cię, Meredith, chcę...

- Och... tak, kochaj mnie! Kochaj mnie, Aleksandrze! Ogień w kominku już dogasał, a oni nadal leżeli przytuleni, szepcząc czułe słowa. W pewnym momencie Aleksander uniósł się na łokciu i rzekł:

- Nigdy dotąd nie kochałem się z kobietą - uprawiałem seks, ale się nie kochałem. Nie miałem nawet pojęcia, że można coś takiego przeżyć.

- Ja też nie - odparła Meredith. - Straciliśmy tyle miesięcy. Ale to było nieuniknione.

- Próbowałem przemówić ci do rozsądku, lecz byłaś bardzo upartą dziewczynką. - Pocałował ją w czoło, koniuszek nosa i kącik ust. - Teraz to już nie ma znaczenia. Warto było zaczekać, prawda?

- Absolutnie.

- Nie pozwolę ci odejść. Już zawsze będziemy razem... Gdy następnego ranka Meredith otworzyła oczy,

stwierdziła ze zdumieniem, że leży w wygodnym miękkim łóżku z Aleksandrem, przytulonym do jej nagiego ciała. Zaraz przypomniała sobie, jak się tu znalazła. Wczoraj kochali się - bez pamięci, do utraty tchu. Potem Aleksander zaniósł ją do swojej sypialni.

- Dzień dobry. Obudziłem cię? - szepnął.

- Nie wiem - rzekła. - A próbowałeś?

- Od pół godziny.

- Ta noc była jak cudowny sen.

- Wszystko to wydarzyło się naprawdę. Leżę tak od samego świtu i próbuję znaleźć jakiś sposób, by nie pozwolić ci wyjechać. Cóż, chyba nic na to nie poradzimy. Nigdy nie byłem przesądny, ale teraz się boję, że kiedy stąd wyjedziemy, zaklęcie przestanie działać.

- Nic już nie jest w stanie pokonać zaklęcia. Rzuciłeś na mnie urok zeszłej nocy. Nie stracisz mnie, jeśli będzie ci na tym zależało. Kocham cię!

- Długo walczyłem o twoją miłość. Jakaś częśćka mnie wciąż się obawia, że mi się wymkniesz.

- Nic nie zmieni tego, co do ciebie czuję, Aleksandrze.

Uśmiechnął się i odrzucił okrywające ich prześcieradło. Powędrował dłońmi ku kuszącym krągłościom jej piersi.

- Może moglibyśmy zostać tutaj jeszcze tydzień? - wyszeptał. - Tylko tydzień...

Meredith czuła, że ogarnia ją fala podniecenia.

- Chciałabym - odparła - ale nie mogę. Mam program...
 - Na pewno na tydzień znaleźliby kogoś na twoje miejsce.
 - Jestem niezastąpiona.
 - Wiem, wiem, jednak ktoś chyba mógłby poprowadzić twój program przez tak krótki okres.
 - Nie... Może... - Meredith przymknęła oczy i jęknęła z rozkoszy.
 - Na pewno dadzą sobie radę. - Złożył na jej ustach gorący pocałunek, potem jeszcze jeden.
 - Mogłabym powiedzieć, że nie czuję się najlepiej. Albo że dopracowujemy jeszcze szczegóły programu...
 - Powiesz im, jakie to szczegóły?
 - Oczywiście. Ale chyba nie zdradzimy, do jakiego stopnia się posunęliśmy.
 - Mam nadzieję, że nie. - Żarłocznie rzucił się na jej usta. Gdy nie mogli złapać tchu, odsunął się, mówiąc: -Ostatecznie, nasza telewizja jak na razie nie omawia takich zagadnień.
 - Jeszcze nie - zgodziła się Meredith, próbując opleść go ramionami. Wymknął się sprytnie i opadł ustami na jej piersi, skąd wolno przesuwając się w dół.
 - Moglibyśmy zostać tu cały tydzień i w ogóle nie wychodzić z sypialni - powiedział Aleksander, kiedy leżeli wyczerpani miłosnym uniesieniem.
 - Brzmi niebiańsko.
 - Nie mogę żyć bez ciebie.
- Meredith zaskoczyła powaga w jego głosie.
- Nie będziesz musiał - rzekła tonem przysięgi. -Nigdy cię nie opuszczę.
 - To za mało. Chcę czegoś więcej.
- Serce zabiło Meredith mocniej. Przeczynała, co za chwilę usłyszy.
- Czekała na to, czekała na jego słowa...
- Będziesz musiała na razie zadowolić się tym. - Aleksander rzucił na łóżko wyjęty z szafy szlafrok. - Wszystkie nasze rzeczy zostały na dole, porozrzucane na dywanie.
- Meredith usiadła na posłaniu, odgarniając z twarzy niesforne kosmyki włosów. Aż do tej chwili nawet nie

pomyślała o ubraniu. Sięgając po jedwabny szlafrok, rzekła:

- Chciałabym zobaczyć minę służącej, gdy dziś rano weszła do biblioteki.

- Zachichotała. - A może jest przyzwyczajona do takich widoków?

- Nikogo tu nie sprowadzałem - powiedział Aleksander poważnym tonem. - Nigdy. Ty jesteś pierwsza.

Meredith wstała i włożyła szlafrok, przewiązując się szerokim paskiem. Podeszła do Aleksandra.

- Jesteś pewien, że chcesz mieć kulę u nogi? - spytała, obejmując go w pasie. - Nie będziesz żałował utraconej wolności?

- Jesteś wszystkim, czego pragnę. A do dawnego stylu życia tęsknić nie będę, *matia mou*.

Znów zaczął błędzić dłońmi po ciele ukochanej, jego usta znowu szukały jej ust. Meredith odsunęła się, delikatnie przełamując opór ramion Aleksandra.

- Chyba lepiej się ubiorę - powiedziała miękko.

- Pięknie ci w tym szlafroku. Zresztą, we wszystkim ślicznie wyglądasz. A bez niczego...

Przesłała mu całusa i ruszyła do drzwi.

- Zaraz wracam - rzekła.

Biorąc prysznic i ubierając się, rozmyślała o tym, co się ostatnio wydarzyło. Pragnęła z całego serca wyjść za mąż za Aleksandra. Już teraz zastanawiała się, jaki powinien być ich ślub. Na pewno uroczysty i zgodny z tradycją - tak, by pamiętała go przez długie lata...

Ze zdziwieniem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Wydawało jej się, że od minionej nocy stała się kimś innym. Rozczochrane włosy, zarumienione policzki, błyszczące oczy... Tak właśnie wygląda zakochana kobieta - pomyślała. Znana z lustra twarz nagle nabrała życia. Następne trzy dni minęły o wiele za szybko. Zapomnieli o całym świecie. Nic się dla nich nie liczyło poza ich uczuciem. Spędzali razem każdą chwilę. Chodzili na długie spacery, rozmawiali, dzielili się marzeniami, odkrywali siebie nawzajem. Kąpali się w ciepłych wodach

oceanu i kochali na plaży przy świetle księżyca, na stygnącym po słonecznym dniu piasku. Lunch jadali na tarasie, kolacje zaś przy świecach w wytwornej sali jadalnej. Po romantycznych kolacjach gasili światło i słuchali muzyki w bibliotece przy kominku. Meredith odkryła, że rozkochany w muzyce poważnej Aleksander posiada imponującą kolekcję nagrań i nadzwyczajny system odtwarzania dźwięku. Niezmiennie kończyli wieczór, kochając się na podłodze przy kominku, po czym Aleksander wnosił Meredith na górę do sypialni, gdzie zapadali w sen, przytuleni do siebie.

Oczarował Meredith. Był przystojny, zamożny; okazał się czułym, zaskakująco romantycznym kochankiem, kochankiem doskonałym. Cierpliwym i wyrozumiałym. Był pierwszym mężczyzną, który chciał żyć z Meredith, nie stawiając żadnych warunków.

Wszystko wydawało się zbyt piękne, by było prawdziwe...

W piątek przed południem zjawiała się ekipa IBS, by zrobić zdjęcia do programu. Ustawiono sprzęt w bibliotece i Meredith pobiegła na piętro zobaczyć, co zatrzymuje Aleksandra. Znalazła go w sypialni zawiązanego krawat przed olbrzymim lustrem.

- Chcą nakręcić najpierw kilka sekwencji na zewnątrz domu - powiedziała.

- Nigdy nie wpuszczałem prasy ani telewizji na teren posiadłości. Robię to tylko dla ciebie.

Podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Wiem, że nie podoba ci się to i że zgodziłeś się tylko dlatego, żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie.

- I żeby twój program odniósł sukces. Zrób coś dla mnie.

- Wszystko, co tylko zechcesz.

- Wyjdź za mnie. W ten weekend, zanim wrócimy na Manhattan. Nie chcę czekać dłużej.

- Ja też nie. Ale przecież pośpiech nie jest dobrym doradcą.

U boku Aleksandra Meredith jeszcze raz obejrzała całą posiadłość i wysłuchała opowieści o koniach do polo oraz o powodach, dla których nabył posesję. Ekipa kamerzystów nie odstępowała ich na krok.

- To będzie prawdziwa rewelacja! - powiedziała Meredith w przerwie między zdjęciami. - Chciałeś naprawić swoją opinię i uda nam się to. Gdy pokażemy program, widzowie ujrzą zupełnie nowego człowieka.

Sam wywiad został nakręcony w bibliotece. Meredith przekonała Aleksandra, by opowiedział o swoim dzieciństwie, o tym, jak dorastał w cieniu legendarnego człowieka, jakim był jego ojciec. Wiedziała, że gdyby wywiad przeprowadzał ktoś inny, Aleksander na pewno nie dałby się namówić na zwierzenia. Było to jednak konieczne, jeśli chcieli, by program odniósł właściwy skutek.

Późnym popołudniem zakończono zdjęcia. Kiedy ekipa IBS odjechała, oboje odetchnęli z ulgą. Stali na trawniku przed domem i Meredith zapytała:

- O czym to rozmawialiśmy, zanim nam tak brutalnie przzerwano?

- Zdaje się, planowaliśmy jakiś ślub - odparł Aleksander.

Objął ją delikatnie i pocałował.

- Myślałam o tym trochę - zaczęła ostrożnie. - Co byś powiedział na oficjalną uroczystość?

- Nie rozumiem...

- Chodzi o coś romantycznego i miłego dla oka. Uroczystość w gronie najbliższych przyjaciół, może na świeżym powietrzu, właśnie tutaj.

Moglibyśmy pobrać się latem, najpóźniej w sierpniu...

Przyglądał się jej w milczeniu.

- To dużo dla ciebie znaczy, prawda? - rzekł w końcu.

- Ślub zdarza się raz w życiu. Powinien być wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju.

- Dobrze. Ale pod jednym warunkiem.

- Zawsze chcesz coś wynegocjować! - Zaśmiała się. - Pod jakim warunkiem?

- Mieszkamy razem od teraz. Jak wrócimy na Manhattan, wprowadzasz się do mnie.

Ucałowała go gorąco i ostrzegła:

- A spróbuj tylko później się mnie pozbyć!

Z wysokości swojego gabinetu w IBS Broadcast Center Meredith spoglądała na ruch uliczny na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Wróciła właśnie z salki montażowej, gdzie po raz pierwszy obejrzała gotowy program.

Był bardzo dobry. Człowiek w nim przedstawiony zupełnie nie przypominał tego, który w ostatnich latach stanowił temat skandalizujących artykułów. Aleksander, w którym się zakochała, był silny, ambitny, wszechstronnie uzdolniony. Nie przywiązywał wagi do bogactwa. Potrafił być również czuły i delikatny. Uśmiechnęła się. Program powinien mu się podobać - pomyślała.

Nie mogła wprost uwierzyć, że darzyła uczuciem dwóch tak różnych mężczyzn.

Nick zapewniał spokój i bezpieczeństwo. Aleksander natomiast był uosobieniem niepokonanej pasji. Oboje nie byli zdolni oprzeć się sile, która uparcie popychała ich ku sobie.

Wyszedłszy z gabinetu, Meredith udała się długim korytarzem do studia „Manhattan Observer”. Przed wejściem do pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia zerknęła na zegarek - wpół do dziesiątej?! Tak długo ślęczała nad zaległą korespondencją?!

Niezdarnie poruszała się w studiu, aż po omacku dotarła do kontaktu.

Teraz już bez przeszkód pokonała labirynt kabli oraz kamer i podeszła do niedawno ukończonego podium. Dekorator wykonał kawał dobrej roboty. Szaro-czarne dywany, wyściełane błękitnym aksamitem fotele i okazała imitacja okna z panoramą Manhattanu wyglądały imponująco. Dekoracja ziała jednak chłodem i miało tak pozostać aż do dnia emisji programu.

Meredith weszła na podium i zatrzymała się, by raz jeszcze przyjrzeć się czterem olbrzymim czarno-białym fotografiom, ustawionym po obu stronach; oto

oficjalny portret prezesa korporacji przy pracy, następnie mistrz polo na swym ulubionym koniu, a tu Aleksander na pokładzie jachtu „Dionizos”, wreszcie syn i ojciec - to zdjęcie wykonano krótko przed śmiercią Constantine'a Kirakisa w 1982 roku. Wróciła spojrzeniem do drugiej fotografii. Przypomniała sobie wieczór po meczu w Southampton. Miał rację. W duecie byliby dużo, dużo silniejsi.

Windows on the World to olśniewające podniebne miejsce, położone wysoko nad ulicami Manhattanu na sto dwudziestym siódmym piętrze One World Trade Center. Ulokowały się tu liczne restauracje, kluby, apartamenty, które kuszą panoramą miasta. Z niezwykłym widokiem konkuruje jedynie fantastyczny wystrój wnętrza. Królują złocenia, beże, blade odcienie różu, brąz, meble i boazerie z najlepszego drewna oraz lustra. Obsługa jest zawsze miła i elegancka. W godzinach lunchu największa sala jadalna staje się klubem prywatnym, ale wieczorem zamienia się w ogólnodostępną restaurację Hors d'Oeuvrierie i każdy może rozkoszować się wyśmienitą kuchnią oraz niepowtarzalnym nastrojem podniebnego raju.

Od kiedy Meredith przeprowadziła się do Nowego Jorku, wielokrotnie odwiedzała Windows on the World, lecz nadal miejsce to wywierało na niej silne wrażenie. Tego wieczoru jednak nie zauważyła niczego poza uwielbieniem w oczach siedzącego naprzeciw Aleksandra. Kiedy ostatni raz jakiś mężczyzna tak na nią patrzył? Zastanawiała się, jak to się mogło stać, że tak długo wątpiła w jego miłość.

- Dziś wieczorem świętujemy - rzekł Aleksander, gdy przy stoliku stanął kelner z butelką Dom Perignon i dwoma kieliszkami. Nadal nie mógł wyjść z podziwu, bo Meredith z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza. Miała na sobie krótką suknię wieczorową, zdobioną cekinami i paciorkami, oraz naszyjnik, który przywiózł jej z Włoch. Włosy opadały swobodnie na ramiona.

- Co świętujemy tym razem? - zapytała Meredith. Od powrotu z Southampton co wieczór było święto.

- Jak zwykle my sami stwarzamy okazję.

Kelner postawił przed Meredith kieliszek. Sięgnęła po niego i nagle zastygła. Szampana było ledwie na dnie.

- Czy mogłabym popro... - Dostrzegła coś w kieliszku. Takiego pięknego pierścionka jeszcze nie widziała. Duży szafir otaczały diamenty w kształcie gruszek. Szeroką platynową obrączkę ozdabiał wzór podobny do tego na naszyjniku. Wyciągając pierścionek, podniosła wzrok na Aleksandra.

- Jest cudowny-powiedziała.

- To twój pierścionek zaręczynowy. Przeczytaj napis. Na wewnętrznej stronie wygrawerowano: „Teraz i na zawsze”. Jakże podobne to do Aleksandra - jasne i zwarte. Nie mogła oderwać oczu od podarunku.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałam - rzekła.

- I już nigdy nie zobaczysz. - Zamknął jej dłoń w swojej. - Jest jedyny w swoim rodzaju. - Sięgnął po pierścionek i włożył go Meredith na palec. - Jest zupełnie jak ty, *motta mou*, piękny i jedyny na świecie.

Meredith spojrzała na pierścionek, a potem na Aleksandra. Wzruszenie odebrało jej głos. Nigdy nie przypuszczała, że będzie kogoś tak mocno kochać.

Gdy wrócili do mieszkania, na Aleksandra czekała pilna wiadomość.

- To od Muhammeda Kafira, z filii w Istambule -rzekł, spoglądając na zegarek. - Muszę do niego zadzwonić.

- Teraz? - spytała Meredith. Aleksander skrzywił się.

- Skoro telefonował do mnie o tej porze, sprawa musi być naprawdę ważna. W Istambule jest dopiero ósma rano, a obecność Kafira w biurze o tej godzinie to doprawdy wyjątkowe zjawisko.

Meredith uśmiechnęła się z trudem.

- Będę musiała się do tego przyzwyczaić - powiedziała, całując Aleksandra w policzek. - Załatwisz to szybko, dobrze?

- Nie będę rozmawiał dłużej niż to konieczne - obiecał.

Przeszła do sypialni i zapaliła lampkę przy łóżku. Rozebrała się, zarzuciła na nagie ciało przejrzysty mlecznobiały szlafroczek i upięła włosy.

Zaciągnęła ciężkie granatowe zasłony. Stąpając bospo po cienkim białym dywanie doszła do rzeźbionych mahoniowych drzwi, prowadzących do łazienki. Zwykle służąca przygotowywała kąpiel, ale teraz było już zbyt późno. Poza tym Meredith chciała być z Aleksandrem sam na sam. Ten wieczór miał być wyjątkowy. Nie co dzień zostaje się narzeczoną.

Zdjęła szlafrok i powiesiła go na jednym z mosiężnych haków na drzwiach. Weszła do marmurowej wanny, czując pod stopami miękkość błękitnego dywanika. Zanurzając się w puszystej pianie, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Położyła głowę na aksamitnej poduszeczce na brzegu wanny; woda masowała jej ciało, kiedy Meredith przyglądała się bogatemu wnętrzu łazienki. Wszystko świadczyło o nieprzeciętnej zamożności właściciela: lustrzana ściana za wanną, lustro w złotonych ramach, starannie wypielegnowane palmy w jednakowych donicach z porcelany, antyczne rzeźby... Po raz pierwszy od lat przypomniała sobie ciasną łazienkę w jej rodzinnym domu. Nigdy nie był ubogi, ale też nie grzeszył szczególnym bogactwem. Warunki, w jakich żyła, zawsze pozostawiały wiele do życzenia. Jako podlotek w głębi duszy pragnęła czegoś więcej i teraz była o krok od zrealizowania wszystkich marzeń - marzeń o sukcesie, bogactwie, uznaniu i odwzajemnionej miłości.

Powróciwszy do sypialni, wyjęła z włosów szpilki i uczesała się.

Spojrzała na zegar przy łóżku. Było już po północy, a Aleksander wciąż siedział przy telefonie. Zgasiła światła i podeszła do okna. Rozchyłając lekko

zasłony, spojrzała w dół na światła ulicznych lamp na Piątej Alei. Ich królestwo, jak żartobliwie mawiał Aleksander. W zasadzie nie był to tylko żart. Miasto rzeczywiście należało do nich. Cały świat leżał u ich stóp. Kiedyś spytała Nicka, czy to możliwe, by ktoś miał wszystko i był w stanie to zachować. Odpowiedź znajdowała się na pierścieniu. „Teraz i na zawsze”. Jeśli w ogóle można mieć wszystko i tego nie stracić, jej i Aleksandrowi na pewno się to uda.

W tej chwili poczuła na ramionach jego dłonie.

- Dodzwoniłeś się do Istambułu? - zapytała, nie odrywając wzroku od niezliczonych świateł, mieniących się jak klejnoty w otwartej skrzyni ze skarbami.

- Tak. - Zatrzymał spojrzenie na pierścionku na palcu Meredith. Szafiry świeciły blaskiem w ciemnościach.

- Podoba ci się?

- Uwielbiam go. - Zwróciła twarz ku Aleksandrowi i dodała: - Ale nie tak bardzo jak ciebie.

Pogładził delikatnie jej policzek.

- W ostatnich tygodniach dokonałem epokowego odkrycia.

- Tak? Jakiego?

- Odkryłem moc miłości - odparł, nawijając na palec kosmyk jej włosów.

- To najpotężniejsza siła na świecie.

Położyła głowę na jego piersi i zapytała wesoło:

- Próbujesz mi w ten subtelny sposób powiedzieć, że jestem ważniejsza od twojego imperium?

- Zgadłś. Nie sądziłem, że kiedyś będzie coś od niego ważniejsze.

Pocałowała go.

- Kocham cię tak bardzo, że czasami mnie to przeraża. Chciałabym, byśmy zawsze byli razem i nigdy nie musieli się rozstawać.

- Ja też - rzekł, bawiąc się jej włosami. - Niestety, wkrótce będziemy musieli się rozstać.

Poruszyła się nerwowo w jego ramionach.

- O czym ty mówisz?! - spytała z przejęciem.

- Uspokój się - odparł szybko, rozbawiony jej re-

akcją. - W czwartek muszę polecieć do Londynu. Mogłabyś porzucić obowiązki i polecieć ze mną?

Z radością zrobiłaby to, ale nie mogła. Nie w ten weekend.

- Nie. W piątek czeka mnie podróż do Dallas w sprawie kolejnego wywiadu.

- Nie można jej przełożyć o kilka dni? Po moim spotkaniu w Londynie mielibyśmy dla siebie dużo czasu .

- Chciałabym, ale nie mogę. Przygotowywałam wszystko od wielu tygodni. Gdybym teraz zmieniła terminy, oznaczałoby to wielomiesięczną zwłokę.

- Jak długo będziesz w Dallas?

- Wrócę w niedzielę.

- Wybornie. Ja też. Urządzimy w takim razie powtórne połączenie zakochanych. - Przytulił ją mocno. - Jak wytrzymam bez ciebie choćby jedną noc? Nie wyobrażam sobie...

Aleksander pogrążony był w kontemplacji widoku na Hyde Park, kipiącego zielenią w sercu Londynu. Powrócił właśnie do pokoju w hotelu Dorchester. Miał za sobą długi i wyczerpujący dzień, wypełniony spotkaniami, które ostatecznie zakończyły się nie kwestionowanym sukcesem. Zwykle był zadowolony z udanych rozmów, tego dnia nie odczuwał jednak satysfakcji. Myślami był przy Meredith, a tęsknota nie opuszczała go ani na minutę. Zakrawało to na ironię. Ile kobiet już porzucił? Ilu nie zaszczycił nawet wspomnieniem? Miał je wszystkie, gdy tylko tego zapragnął. Każdą mógłby poślubić i mieć kogoś na boku na każde skinienie. Zakochał się jednak w kobiecie niezależnej i ambitnej. W kobiecie, która, choć mówiła, że go kocha, wcale nie śpieszyła się do ołtarza. Nie będzie najlepszą żoną dla prezesa korporacji, ale przynajmniej życie z nią będzie ekscytującą przygodą. Aleksandrowi wydawało się, że kobiety nie mają już dla niego żadnych tajemnic. Meredith jednak wciąż była niespodzianką. Bystra, energiczna i piękna. Zaintrygowała go jej niezależność i pewność siebie, ale najbardziej pociągała

nieoczekiwana zmysłowość, okazana nagle tamtej nocy w Southampton. Zrozumiał, jak bardzo skomplikowaną osobowość ma ta kobieta. Nadal nie potrafił pogodzić chłodnej profesjonalistki z namiętą kochanką. W telewizji była cenioną dziennikarką, twardą i bezpośrednią. W życiu prywatnym była kobietą elegancką i miłą, ale kiedy zostawali sami, ukazywała naturę namiętnej kochanki. Nie ustępowała mu na korcie tenisowym i znakomicie strzelała do rzutków. Jakby tego było jeszcze mało, zadziwiająco dobrze orientowała się w problemach międzynarodowej gospodarki. Ileż razy przed zaśnięciem rozmawiali o ostatnich posunięciach korporacji?

Będzie cudowną żoną - pomyślał. - Wspaniałą matką...

Do samolotu dostawiono schody, a na ich szczycie natychmiast pojawił się Aleksander.

Meredith pomachała do niego i patrzyła, jak zbiega, jakby ścigał go rój wściekłych szerszeni. Ostatnie dni wydawały się jej wiecznością. Ciesząc się z powrotu ukochanego i z tego, że wyszedł cało z szaleńczej galo-pady po schodach, wybiegła mu na spotkanie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem - rzekł Aleksander, tuląc ją do piersi.

Ruszyli do samochodu.

- Nie zarezerwowałam stolika - powiedziała Meredith, gdy byli już w środku. - Nie wiedziałam, w jakim będziesz nastroju.

Wziął ją w ramiona.

- Teraz myślę tylko o tobie.

- Nie jesteś głodny? - Udała zdziwienie.

- Owszem. Schrupię cię całą - wymruczał, szczypiąc ją w ucho.

Zachichotała. Kierowca uruchomił silnik. Aleksander rozluźnił uścisk tylko na tyle, by podnieść szybę oddzielającą ich od szoferki.

- Teraz nie może nas widzieć ani słyszeć - szepnął, ponownie obejmując mocno Meredith.

- Chyba najlepiej zrobimy, jeśli pojedziemy prosto do domu. Byłoby niebezpiecznie wypuszczać mężczyznę w takim stanie na ulice Manhattanu.

- Nie wytrzymam do przyjazdu do domu. - Usta Aleksandra szukały jej gorących warg.

- Nie, nie tutaj...

- Chcę cię... teraz...

- Ja też... ale... może...

Nie było to tylko powtórne połączenie kochanków. Rozpoczęła się prawdziwa celebrazja.

Meredith szła szybko do studia „Manhattan Observer”. Cindy, ledwie za nią nadążająca, usiłowała w biegu robić notatki.

- Dostarcz Harvowi Petersenowi materiały o programie z europejskimi dyktatorami mody - zwróciła się Meredith do sekretarki. -1 zdobądź te listy, nad którymi wczoraj pracowałyśmy.

- Załatwione. Coś jeszcze?

- Teraz nic mi nie przychodzi do głowy.

Weszły do studia. Dwóch ludzi ze służby pomocniczej usuwało z planu olbrzymie fotografie Aleksandra. Od kiedy wywiad był gotowy, przestały być potrzebne. Na ich miejscu staną niebawem fotosy do następnego programu. Meredith przystanęła i zapatrzyła się w portret Aleksandra przy pracy.

- Co z tym zrobić? - zapytał nadzorujący pracę Stephen Massey, projektant planu. - Pomyślałem, że będziesz chciała zatrzymać te zdjęcia.

- Zanieście je do mojego gabinetu - odparła. Stephen odwrócił się do dwóch mężczyzn w drelichach.

- OK, słyszeliście, co pani zarządziła. Pokażę wam drogę.

Wyszli ze studia. Za nimi szła Cindy. Meredith usiadła w fotelu i wsłuchiwała się w ciszę. Panował tu błogi spokój, tak niepodobny do miejsca pełnego oślepiających świateł i wrzawy podczas sesji zdjęciowych. Tak niepo-

dobny do zgiełku, jaki tu panował, gdy nagrywano część programu o Aleksandrze.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę. Meredith drgnęła. W drzwiach stała Casey.

- Cześć, Casey. Ostatnio nie mamy nawet czasu, żeby pogadać.

- Możliwość tego świata święcie wierzą, że najlepszym sposobem na zabicie czasu jest zapracowywanie się na śmierć - zażartowała przyjaciółka. - O pracę możemy być spokojne. Nie wyleją nas, bo niewolników się tylko sprzedaje.

- Aż tak źle? - Uśmiechnęła się.

- Gorzej. - Casey weszła na podium, zagłębiła się w wolnym fotelu i wydała z siebie żalosne westchnienie. - Co słyszeć w wielkim świecie? - Meredith uniosła brwi, zaskoczona pytaniem. - U ciebie i Aleksandra.

- A to! Powiem ci, gdy będę coś wiedziała. - Pochyliła się nad notesem, który wręczyła jej Cindy przed odejściem, by coś zapisać.

- Nie bądź taka tajemnicza!

- Widzisz, jak już zamieszkamy razem, nie będziemy widywali się częściej niż dotychczas. Wyobrażasz sobie, jak trudno zaplanować ślub przy takim nawale zajęć? Już dwukrotnie zmienialiśmy termin. Kusi mnie, by w ogóle zapomnieć o całej imprezie i zwyczajnie pójść do ratusza i załatwić sprawę w pięć minut.

Casey zachichotała.

- Nie dziwię ci się, że chcesz wyprawić huczne wesele. Gdybym ja wychodziła za mąż za takiego mężczyznę, też bym tak zrobiła.

Meredith nie miała wcale zamiaru nadawać uroczystości weselnej rozgłosu. Chciała po prostu zrealizować swoje marzenia.

Leżeli przytuleni na skórzanej kanapie i oglądali program, który był ich dziełem. Meredith widziała już go i teraz więcej uwagi poświęcała Aleksandrowi niż temu, co działo się na ekranie.

- I co o tym myślisz? - zapytała, nie mogąc doczekać się opinii Aleksandra.

- Trafiłaś w dziesiątkę - odparł. - Nie zawiodłem się. Był bardzo zadowolony. O taki obraz jego postaci właśnie mu chodziło.

- Nie zawiodłem się?! I tylko tyle?

Roześmiał się, widząc wyraz oburzenia na twarzy Meredith.

- To wspaniałe dzieło, skarbie - zapewnił. - Nawet mój ojciec byłby zadowolony. Wierz mi.

- Sądzisz, że ludzie zmienią o tobie zdanie?

- Jestem pewien, że dzięki temu programowi uda nam się to osiągnąć. Jeśli nie... Wtedy może tylko nasze małżeństwo^.

- Co?! - Meredith odskoczyła od niego jak oparzona, udając, że wstrząsnęły ją te słowa. - Więc jestem tylko fortelem, dzięki któremu wyprowadzisz w pole przebrzydłych dziennikarzy!

Aleksandra zaniepokoiło to, co powiedziała. Przyciągnął ją do siebie i rzekł:

- Przecież to nieprawda. Chcę się z tobą ożenić, ponieważ cię kocham.

Zaczął całować Meredith, a ona oddawała mu każdy pocałunek. Ponad jej ramieniem dostrzegł portret Elizabeth Weldon-Ryan. Dlaczego ta twarz wydawała mu się znajoma?

Trzy tygodnie?! - wyrwało się Meredith. - Co ja będę robiła w Paryżu przez trzy tygodnie?!

Harv Petersen siedział na swoim krześle i palił cygaro.

- Wydawało mi się, że to ty chciałaś robić program

0 młodych projektantach mody - przypomniał jej. - Czy jest na to lepszy sposób niż spędzić trochę czasu w Paryżu?

Nutki sarkazmu w głosie Petersena świadczyły o tym, że jest w wyśmienitym humorze. Meredith wiedziała, że w takiej sytuacji dyskusja z nim nie ma sensu. Poza tym musiała przyznać mu słuszność - to był jej pomysł. I miał nawet ręce i nogi. Jak często widzowie oglądają pokazy mody francuskiej?

- Kiedy miałabym wyruszyć? - zapytała.

- W poniedziałek.

- W poniedziałek?!

- Posłuchaj, wszystko jest już przygotowane. - Petersen przerzucił papiery zalegające biurko, wygrzebał kolorowy przewodnik i podał go Meredith.

- Barrie twierdzi, że niektóre z pokazów dzieli nawet tydzień. Wyjedziesz choćby dzień później i już się na niego nie załapiesz.

Z rezygnacją pokiwała głową.

- Naprawdę uważasz, że ta cała robota zajmie aż trzy tygodnie?

- Jeśli będziesz miała szczęście. Wiesz przecież, jak działa prawo Murphy'ego.

- Dzięki. Umiesz pocieszać.

- Nie chcesz jechać, prawda?

- Oczywiście, że chcę. To tylko kwestia terminu. Zaplanowałam już coś i...

- O „World Focus” możesz się nie przejmować.

- Myślałam o czymś innym.

Petersen skinął głową, gasząc cygaro w popielniczce.

- O weselu - rzekł spokojnym tonem.

- Przy naszym trybie życia w ogóle trudno cokolwiek zaplanować.

Zdobyliśmy się do tej pory na anons w prasie.

- Ostatnio nie ma gazety, która nie rozpisywałaby się

o waszych zaręczynach. Trafiaś w gust naszych współczesnych!

Rozumiem twoje kłopoty, ale, mówiąc szczerze, nie widzę innego wyjścia. Chyba że nie chcesz robić tego programu.

- No dobrze - zgodziła się w końcu. - Od następnego tygodnia zaczynam.

Ale co na to powie Aleksander?

Nie da rady inaczej tego rozwiązać - powiedziała Meredith, gdy

maszerowali przez zatłoczony terminal portu lotniczego. - Nie mogę z

tego zrezygnować. To przecież mój program... i mój pomysł.

- Rozumiem - rzucił Aleksander, wyraźnie niezadowolony. - Ale

dłaczego musisz to robić akurat teraz

i czemu ma to trwać aż trzy tygodnie?

- Mówiliśmy już o tym. Jadę, żeby zrobić zdjęcia z pokazów mody. Będą same najświeższe kolekcje. Żeby mieć to na taśmie, muszę ruszać natychmiast.

- I pochłonie to trzy tygodnie?

- Pokazy są oddalone w czasie. Pamiętasz chyba, że program o tobie nagrywaliśmy jeszcze dłużej.

- To co innego. Musiałaś pracować w wielu miejscach.

- W Paryżu będzie podobnie. - Stała i spojrzała mu w oczy. - Wiesz przecież, że wolałabym nie jechać...

Patrzył na nią bez słowa, a potem przytaknął niechętnie.

- Uważaj na siebie. - Położył jej na dłoni klucz. - To klucz od mojego apartamentu na Avenue Foch.

- Ale...

- Żadnych „ale”, *matia mou*. Jesteś już prawie moją

żoną. Apartament należy tak samo do mnie, jak i do ciebie.

- W porządku. Skoro tak uważasz, jak mogłabym odmówić?

- Nawet nie próbuj. Samochód z kierowcą będzie czekał na ciebie na lotnisku. Jest do twojej dyspozycji podczas całego pobytu w Paryżu.

- Ale się już o wszystko zadbała...

- Niech sobie robią, co chcą - rzekł stanowczym tonem. - Ty będziesz korzystała z mojego samochodu. Muszę mieć pewność, że będziesz w dobrych rękach.

Meredith przyglądała mu się badawczo. Ucałowała go i powiedziała:

- Czy wiesz, jak trudno ci odmówić?

- To w ogóle niemożliwe - odparł, obejmując ją ramieniem.

- Z pewnością jesteś na dobrej drodze. Zbliżali się do odprawy celnej.

- Tu powinniśmy się pożegnać... Aleksander potrząsnął głową.

- Idę z tobą. - Widząc zdziwienie malujące się na twarzy Meredith, dodał:

- Odprawię cię do samolotu.

Nie pytała, jak udało mu się to załatwić. Jego rozliczne kontakty zdumiewały ją.

- Jesteś pełen niespodzianek - powiedziała, podając paszport celnikowi.

- Najlepsze dopiero przed nami, *matia mou* - obiecał.

Nowy Jork

Aleksander nie był w stanie zabrać się do stosu dokumentów zalegających biurko. Meredith nie było już prawie trzy tygodnie. Gdy rozmawiał z nią zeszłego wieczoru, powiedziała, że wraca w piątek.

Będę czekał na lotnisku - rzekł wtedy - a potem porwę cię do jakiegoś małego kościółka na wsi, gdzie natychmiast weźmiemy ślub.

Meredith uznała to za dobry dowcip, ale on wcale nie żartował. Chciał ją poślubić natychmiast po jej powrocie z Paryża.

Otworzył szufladę i wyjął z niej małe pudełko. Uchylił wieczko.

Wewnątrz znajdowały się obrączki. Wybrała je Meredith i kazała wygrawerować na nich inicjały. Obrączki dostarczono wczoraj, ale nie powiedział o tym ukochanej. Chciał zrobić jej niespodziankę.

Uśmiechnął się na wspomnienie porannej rozmowy z Prescottem. W ostatnim tygodniu dość szorstko odnosił się do wszystkich współpracowników i George, litując się nad nimi, poradził mu:

„Dlaczego nie rzucisz wszystkiego, nie polecisz do Paryża, nie zabierzesz jej w jakieś ustronne miejsce i nie poślubisz? Nie oprze się tak romantycznemu pomysłowi. Kobiety uwielbiają takie rzeczy, a Meredith nie jest wyjątkiem”.

Zareagował śmiechem, ale im więcej o tym myślał, tym bardziej ta przyjacielska rada wydawała się interesująca. Gdyby porwał Meredith, może mogliby w końcu się pobrać, oczywiście z zachowaniem całej ceremonii. Ale dokąd tu pojechać? Gorączkowo szukał w pamięci odpowiedniego miejsca. Tak, było jedno. Sięgnął po telefon i połączył się z Prescottem.

- Przyjdź do mnie do biura - polecił. - Natychmiast. Nie minęło pięć minut, a George już stał przed nim, z wyrazem troski na twarzy.

- Co się stało? Hammond Transcon wycofało się? Dziś rano rozmawiałem z Chuckiem Hammondem i...

- Nie chodzi o interesy - przerwał mu Aleksander, pakując aktówkę. - Przynajmniej nie tego rodzaju, o jakich myślisz. Wyjeżdżam na jakiś czas i ty będziesz tu rządził.

- Nie rozumiem - zaczął George. - Dokąd... Jak długo cię nie będzie?

- Miesiąc, może dłużej. - Aleksander wyjął z szuflady pudełeczko z obrączkami i wrzucił je do kieszeni.

- Miesiąc! Na Boga! Dokąd się wybierasz?

- Na wesele. - Ruszył do drzwi.

- Na wesele? Czyje...

- Moje własne - powiedział, zadowolony z podjęcia decyzji. - Dzięki tobie, przyjacielu.

Wypadł z gabinetu, zostawiając George'a z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Dochodziła druga w nocy, gdy prywatny odrzutowiec Aleksandra wylądował na lotnisku de Gaulle'a. Francuscy urzędnicy błyskawicznie załatwili odprawę i Aleksander ruszył limuzyną do Paryża.

Nie uprzedził Meredith, że przyjeżdża. To miała być niespodzianka. Było piętnaście po trzeciej. Doskonała pora na niespodzianki - pomyślał, uśmiechając się przebiegle. Wiedział dokładnie, gdzie wezmą ślub i kiedy. To będzie wspaniały dzień, a potem nastąpi równie wspaniały miesiąc miodowy.

O trzeciej trzydzieści samochód zaparkował w podziemnym garażu.

Aleksander nie czekał, aż kierowca otworzy mu drzwi. Wskoczył z limuzyny i czym prędzej popędził do windy. Kabina wlokła się niemiłosiernie, wystawiając jego nerwy na ciężką próbę. Apartament tonął w ciemnościach. Nie przeszkadzało to Aleksandrowi, bo znał na pamięć rozkład pomieszczeń. Po cichu otworzył drzwi do sypialni i wszedł do środka. Zdjął kurtkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Na palcach podszedł do łóżka. Ukląkł, nachylił się i pocałował Meredith. Zerwała się przerażona.

- Aleksander! - krzyknęła. - Jak...

- Nie cieszysz się z mojego przyjazdu?

- Oczywiście, że się cieszę - wyszeptała, zarzucając mu ramiona na szyję.

- Och, Boże, ogromnie się cieszę...

- Tak bardzo za tobą tęskniłem!

Świat skurczył się do królestwa ich namiętności.

- Nie wiem, co cię zmusiło do przyjazdu - powiedziała Meredith, gdy opadło miłosne uniesienie - ale cieszę się, że tu jesteś.

- Nie mogłem bez ciebie dłużej wytrzymać.

- W piątek byłabym w domu.

- Nie będzie nas tam w piątek. Spojrzała na niego pytająco.
 - Nie rozu...
 - Nic nie mów. - Głos Aleksandra brzmiał stanowczo. - Czekaliśmy zbyt długo...
- Położył palec na jej ustach.
- Nie rozumiesz, *matm mou* - rzekł czule. - Nie masz wyboru, zostałam porwana.
 - Co?!
 - Jutro wyjeżdżamy z Paryża, ale nie do Nowego Jorku. Polecimy do Grecji.

Harv, masz w sobie tyle romantyzmu, co śleść w puszcze! - rzekła Meredith. Przed chwilą zakomunikowała mu, że nie będzie jej przez okrągły miesiąc. Petersen na pewno nie skakał teraz z tego powodu z radości. Nic ją to nie obchodziło. Liczył się tylko Aleksander i to, że zostanie jego żoną.

- Masz tu obowiązki. - Harv musiał być naprawdę wściekły. Mimo trzasków i szumów - transatlantyckie połączenie nie było najlepszej jakości - wyraźnie słyszała gniew w jego głosie.

- O niczym nie zapomniałam - odparła. - Ale ja też chcę mieć życie prywatne. IBS to nie wszystko.

- Dostyc! - warknął Petersen. - Trudno nie zauważyć, że masz prywatne życie, zwłaszcza gdy dawno przestało być tajemnicą. Do diabła, wszystkie brukowce piszą tylko o tym! - Przerwał i głęboko odetchnął. - Nie potępiam cię za to, próbuję tylko powiedzieć, że teraz nie jest najlepsza pora...

- Harv, coś takiego przytrafia się kobiecie tylko raz w życiu, jeśli ma szczęście! Aleksander rzucił wszystko. Jeśli on mógł to zrobić...

- Nie rozumiesz...

- Nie, Harv. Jeśli ktoś tu czegoś nie rozumie, to tylko ty! - Jej cierpliwość wyczerpała się. - Wychodzę za mąż, a potem jadę na miodowy miesiąc. Nie wiem, kiedy wrócę, ale dam ci znać.

- Nie możesz tak po prostu...
- Do widzenia. Będziemy w kontakcie. - Zadowolona z siebie odłożyła słuchawkę i wyszła na taras. Aleksander, opierając się na balustradzie, spoglądał na ulicę. Gdy podeszła do niego, zapytał:
 - I jak to przyjął!
- Oplatając go ramionami, odparła z uśmiechem:
 - Mogę już nie mieć pracy, jak wrócę do Nowego Jorku. Był wściekły.
 - Zawsze możemy kupić sieć.
 - Bądź poważny!
 - Ależ jestem! - wykrzyknął i pocałował Meredith w czoło. - Korporacja posiada już ośrodki telewizyjne we Francji i Japonii. Przydałby się jeszcze jeden.
 - Dzięki za słowa pociechy. Wydaje ci się, że utrzymam się w pracy tylko dlatego, że będziesz właścicielem sieci?
 - Nie o to chodzi...
 - Nadal nie powiedziałaś, dokąd wybierzemy się po ślubie. I dlaczego zajmie to cały miesiąc?
 - To tajemnica, *matia mou*. Mogę ci jedynie zdradzić, że potrwa to miesiąc, ponieważ chcę jak najdłużej być z tobą sam na sam.
 - A co z korporacją?
 - George da sobie radę, na wszelki wypadek będę się z nim kontaktował od czasu do czasu. Nie martw się jednak, nikt nie będzie nam przeszkadzał.
 - Jesteś niezwykły!
 - Ty też.

Opuścili Paryż w środku nocy. Tym sposobem mieli szansę wymknąć się wścibskim reporterom, którzy za dnia nie odstępowali ich na krok. O czwartej nad ranem wylądowali w Atenach, przesiedli się do limuzyny i udali się do Pireusu, gdzie weszli na pokład „Dionizosa”. Czekala ich już tylko podróż na wyspę.

Meredith była pod wrażeniem przyjęcia, jakie im zgotowano, gdy wchodzili na pokład jachtu. Cała załoga

stała na baczność, by powitać Aleksandra i jego narzeczoną. U szczytu trapu czekał kapitan, Nicos Catapo-dis. Chwilę rozmawiał po grecku z Aleksandrem, a potem serdecznie, choć łamaną angielszczyzną, pozdrowił przyszlą panią Kirakis. Odprowadził ich do jednej z kabin. Zaraz potem zniknął i Aleksander mógł wzięc nareszcie Meredith w objęcia.

- Powinienem cię oprowadzić - wyszeptał w przerwie między pocałunkami. - Ale mam ochotę zostać tu i nigdzie się nie ruszać.

- Zamknij drzwi na klucz. Mogę obejrzeć statek później.

Jest wspaniały! - wykrzyknęła Meredith, kiedy szli przez trawnik w kierunku willi. - Nie spodziewałam się, że będzie taki piękny!

- Ojciec zbudował go dla mojej matki - wyjaśnił Aleksander. - Miał to być pałac godny królowej... -Zaczęli wchodzić po kamiennych schodach prowadzących do głównego wejścia. - Ponieważ we wszystkich monarchiach obowiązuje sukcesja, teraz ja sprowadziłem w te progi swoją królową.

Zatrzymali się przed drzwiami i pocałowali. W holu oczekiwała ich Helena. Zebrała wszystkich służących, by poznali narzeczoną pracodawcy. Wyglądało to jak prezentacja królowej poddanym. Patrząc na posiwiatę skronie Greczynki, Meredith starała się wyobrazić sobie ją jako guwernantkę Aleksandra... Zaczęła się zastanawiać, jakie będzie ich dziecko...

- Zajęłam się przygotowaniem do ceremonii - powiedziała Helena. - Kaplica powinna być już gotowa.

- Doskonale - odrzekł Aleksander. - Nie będzie więc niepotrzebnych opóźnień.

- Na pewno nie. Każdy zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest to dla ciebie ważne.

- Dziękuję, Heleno.

Gdy wchodzili na piętro, Meredith zapytała:

- O czym rozmawialiście?

Aleksander uśmiechnął się tajemniczo.

- Zobaczysz, *matia mou*. Już wkrótce.

Weszli do sypialni. Meredith nigdy przedtem nie widziała równie wspaniałej - przestronna i jasna, w odcieniu błękitnozielonym, z grubymi dywanami i zasłonami. Z okien rozciągał się widok na zatokę.

Wychodząc na balkon, można było podziwiać Morze Egejskie i czuć na twarzy cudownie odświeżającą bryzę. Na olbrzymim łożu z baldachimem królowały błada zieleń i błękit, pościel była ręcznie haftowana. Dwa sąsiednie pokoje urządzone w takiej samej tonacji, lecz łazienka stanowiła przyjemną odmianę. Była podobna do tej w apartamencie Aleksandra w Olympic Tower, ale nieco większa i jeszcze bardziej szykowna.

- Teraz rozumiem, dlaczego kochasz to miejsce - powiedziała Meredith, kiedy stali na balkonie. - Gdybym wychowywała się tutaj, ciężko byłoby mi je opuścić.

- Nigdy nie mogłem spędzać tu tyle czasu, ile bym chciał - przyznał Aleksander. - Pewnego dnia będą wychowywały się tu nasze dzieci...

Ceremonia zaślubin miała miejsce o zachodzie słońca w letni wieczór w niewielkiej, tonącej w bieli kapliczce na szczycie skały, jednej z wielu skał na wyspie. Meredith ubrana była w prostą białą suknię z jedwabiu, nie zakrywającą ramion. Jediną ozdobę stanowił naszyjnik z pereł, należący poprzednio do Meliny Kirakis. Jasne włosy opadały falami na ramiona panny młodej, a kwiaty pomarańczy nadawały im niezwykłego blasku i delikatności. Identyczne kwiaty zdobiły klapę garnituru pana młodego, kontrastując z błękitem materiału.

- Wyglądasz prześlicznie - wyszeptał Aleksander. - Czy jesteś w tej chwili tak samo szczęśliwa jak ja?

Meredith skinęła głową.

Zaczął się ceremonia. Kapłan wygłaszał kolejne frazy, a akolita, stojący przy parze młodych, natychmiast odpowiadał. Na życzenie nowożeńców z przysięgi małżeńskiej usunięto jedno zdanie: „Kobieta musi mieć respekt dla

mężczyzny". Na świadka Aleksander wybrał swego osobistego pilota, Jamesa Woodhilla, który stał za nimi przez cały czas trwania ceremonii, trzymając wianki z delikatnych białych kwiatków, przewiązane długą białą wstążką. Podczas zaślubin trzykrotnie składał je na głowach młodej pary. Do niego należało również nałożenie im obrączek. Czynność tę także powtarzał trzykrotnie, nim znalazły się na serdecznych palcach małżonków. Gdy tylko uporał się z wiankami i obrączkami, przyniósł z ołtarza kielich ze szczerego złota i podał Aleksandrowi do ucałowania. Również Meredith musnęła go wargami, po czym oboje młodzi umoczyli usta w winie. Ujęli się za dłonie. Kapłan pobłogosławił ich, a potem trzykrotnie oprowadził dookoła ołtarza. Ceremonia dobiegała końca. W deszczu różanych płatków, rzucanych przez Helenę, jedyną osobę, której wolno było oglądać uroczystość, Aleksander ucałował pannę młodą. Tradycyjne greckie wesela są wielkim świętem dla całej rodziny i trwają kilka dni. Aleksander i Meredith zdecydowali się na kameralne rozwiązanie. Wrócili do willi, by uczcić małżeństwo kawiozem i szampanem, tylko we dwoje.

- Nie żałujesz, że omija cię wielkie wesele? - zapytał, gdy stali pod gwiazdami na balkonie, dopijając ostatnią butelkę szampana.

Meredith oparła głowę na jego ramieniu i uśmiechnęła się rozmarzona.

- Niczego nie żałuję. To było takie romantyczne.

- Zastanawiam się, czy kochanie się z żoną różni się czymś od kochania z narzeczoną?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. - Meredith wzięła Aleksandra za rękę i poprowadziła z powrotem do sypialni. Odebrała mu kieliszek i postawiła obok swojego na nocnym stoliku. Objęła męża, całując go namiętnie. - Zawsze wierzyłam, że moja noc poślubna będzie czymś wyjątkowym - dodała po chwili.

Aleksander pogrążony był we śnie. Meredith, nie mogąc zasnąć, wstała i włożyła szlafrok. Cichutko, starając się nie obudzić męża, wyszła na balkon. Oparła się na balustradzie i zapatrzyła w szumiące wody Morza Egejskiego. Wyciągnęła przed siebie rękę. W jasnym świetle księżyca platynowa obrączka lśniła na palcu niczym płomyk szczęścia. To nie był sen. Wszystko wydarzyło się naprawdę - byli małżeństwem.

Była teraz panią Kirakis.

Spędzili na wyspie tydzień. Za dnia jeździli konno, spacerowali po plaży, żeglowali albo kąpali się w ciepłym morzu. Wieczorem jedli kolację na balkonie sypialni, rozkoszując się ciszą i spokojem, a potem kochali się do późna. W noc poprzedzającą wyjazd z wyspy Meredith zwierzyła się Aleksandrowi:

- Zaczynam kochać to miejsce. Gdyby ktoś nie wierzył, że naprawdę istnieje raj, powinien przyjechać tutaj i przekonać się na własne oczy. Chciałabym zostać tu z tobą na zawsze.

- Znudziłoby ci się - rzekł Aleksander. - Nie należysz do ludzi, którzy lubią pozostawać dłużej w jednym miejscu.

Wczesnym rankiem opuścili wyspę. Na pokładzie „Dionizosa” Meredith szybko zapomniała o jej urokach.

Wszystkie kabiny jachtu urządzone były luksusowo. Drzwi wyłożono japońską laką, kominki zaś lazurytem. Znany francuski artysta wykonał freski w jadalni, a dekoratorzy z całego świata urządzili dziewięć kabin dla gości, zamieniając je pod okiem Meliny Kirakis w dzieła sztuki.

Najwspanialej prezentowała się jednak prywatna część statku, wprawiająca w zachwyt antykami, bezcennymi obrazami i rzeźbami. Jacht wyposażony był także w basen pokładowy ze słodką wodą. Dno basenu wyłożono mozaiką przedstawiającą Dionizosa.

Krążyli po Morzu Śródziemnym, kotwicząc wszędzie, gdzie tylko mieli ochotę. W Rzymie zatrzymali się na

dłużej. Spacerowali ulicami, podziwiając nieprzemijające piękno Wiecznego Miasta, zaglądając do każdej napotkanej restauracji. Zwiedzili niezliczoną liczbę muzeów i przy okazji Meredith odkryła, że sztuka włoskiego renesansu jest jeszcze jedną pasją męża. Aleksander spełniał wszystkie kaprysy żony. Jeśli spodobała jej się na wystawie biżuteria czy suknia, wpadał jak burza do sklepu i czynił w nim prawdziwe spustoszenie.

- Rozpuszczasz mnie - ostrzegła go Meredith.

- A ty mnie uszczęśliwiasz!

Z Rzymu wybrali się samochodem na północ do Wenecji, Mediolanu i Portofino. W Portofino weszli na pokład „Dionizosa” i popłynęli na Sycylię. Zamieszkali tam w wynajętej willi, w połowie drogi pomiędzy Cag-liari a Villasimus. Kilkupiętrowy dom, zbudowany na początku stulecia, okazał się niezwykle interesujący. W każdym pokoju był kominek, a wiejskiego charakteru nadawały wnętrzu tkane draperie i ludowe malowidła. Nie było służby, więc Meredith sama próbowała gotować. Rozbawiła rym Aleksandra do łez.

- Nie radziłbym ci zostać szefem kuchni - powiedział po jednym ze szczególnie nieudanych posiłków. - Ale to bez znaczenia. Gdybym chciał ożenić się z dobrą kucharką, poszukałbym sobie takiej.

Kolacje jadał w małym zajeździe niedaleko Villasi-mus. Nie było tu kryształowych żyrandoli ani listy drogich win, ale Meredith ze zdumieniem stwierdziła, że Aleksandrowi nie sprawiało to najmniejszej różnicy. Tańczył z nią do utraty tchu na niewielkim parkiecie i grał w lotki z tubylcami, którzy odkryli w nim wymagającego przeciwnika. Był taki szczęśliwy. Gdy wracali do willi, niezmiennie kochali się w puchowej pościeli przy wesoło strzelającym ogniu na kominku. Wieczory były zaskakująco chłodne jak na tę porę roku, ale nie przeszkadzało to Meredith. Pieszczoty nienasyconego męża rozgrzewały ją i całkowicie zaspokajały.

Kiedy nacieszyli się Sycylią, wyruszyli w dalszą po-

dróż. Popłynęli do Monte Carlo, gdzie już na nich czekał luksusowy samochód. Dwa dni szaleli po kasynach, poznawali nocne życie miasta, a potem ruszyli wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Zatrzymywali się w Villefranche, Nicei, Antibes, Cannes i Saint Raphaël tylko na krótko, ponieważ ich celem było Saint-Tropez.

Stąd udali się na rowerową wycieczkę do Plage de Pampelone, na atrakcyjną plażę w okolicach kurortu. Po drodze zajrzeli do tłumnie odwiedzanego sklepu z antykami, a potem pozowali ulicznemu artyście. Po powrocie do Saint-Tropez spacerowali po nabrzeżu, obserwowali wpływające i wypływające z portu jachty.

Gdy siedzieli na skąpanym w słońcu tarasie Chez Senequier, Meredith zrozumiała, jak bardzo potrzebowali słońca, beztroski i wytchnienia. Życie w Nowym Jorku przynosiło nieustanne stresy. Ileż razy musieli wychodzić z restauracji w połowie posiłku, ponieważ Aleksandra wzywały pilne sprawy? Meredith zaczynała już myśleć, że nigdy nie będą mieli dla siebie czasu.

- Chciałabym, żebyśmy w ogóle nie wracali - powiedziała.

- Może jeszcze miesiąc wakacji? - zapytał Aleksander.

- Chętnie. Ale jeśli do połowy września nie wrócę na Manhattan, Harv Petersen prawdopodobnie wyśle po mnie Gwardię Narodową. Nie masz pojęcia, jak się wścieka, kiedy sypie się harmonogram produkcji.

- Cóż, miło było przynajmniej pomyśleć o takiej możliwości. -

Aleksander dopił drinka i zamówił następnego.

- Co robimy po południu?

- Nic. Może ty coś wymyślisz.

- Byłeś kiedyś u wróżki? Uniósł brwi, zaskoczony.

- Co ci przyszło do głowy? - rzekł z rozbawieniem.

- Pytam z ciekawości. Jak wracaliśmy z Plage de Pampelone, zauważyłam niewielki dom. W oknie była wywieszka z informacją, że przyjmuje tam wróżka.

Przyglądał się błyskom w oczach żony. Czemu nie zrobić jej przyjemności?

- Chcesz ją odwiedzić?

- To mogłoby być zabawne.

- Dobrze. Czemu nie?

Domek, o którym mówiła Meredith, znajdował się na skraju Saint-Tropez. Na pierwszy rzut oka wyglądał na przynajmniej dwieście lat. MADAME ROSE - DESEUSE DE BONNE ADVENTURE - głosił od ręcznie wymalowany szyld. Weszli do ciasnego saloniku, słabo oświetlonego przez stojące tu i ówdzie świece. Na środku stał prostokątny stolik, okryty zwisającym do samej podłogi lnianym obrusem w kolorze krwi.

- Nikogo tu nie ma - odezwał się szeptem Aleksander. - Jak myślisz, gdzie wszyscy się podziali?

- Pewnie są z tyłu domu i pozbywają się swych ofiar - odparła równie ściszone głosem Meredith.

W tym momencie weszła do pokoju staruszka w cygańskim stroju. Miała twarz o ostrych rysach, była przygarbiona i szurała stopami po podłodze. Wskazała gościom miejsce przy stole. W milczeniu przyglądała się Meredith, a potem utkwiała wzrok w Aleksandrze.

- Proszę pokazać mi dłoń - zwróciła się do niego zaskakująco mocnym głosem.

Aleksander zerknął na Meredith i położył ręce na stole.

- Wnętrzem do góry - poleciała staruszka. Chwilę wpatrywała się zmruganymi oczami w linie na jego lewej dłoni. Nie powiedziała, co tam dojrzała. Pokiwała głową i wydobyła z szuflady niewielkie zawiniątko. Z namaszczeniem rozwinęła chusteczkę, która kryła talię kart do tarota.

Wyjęła jedną z nich i położyła na środku stolika. - To będzie twoja karta - rzekła. - Król Mieczy. To siła, potęga. Jest hojny dla przyjaciół, ale też nieprzejednany dla wrogów. - Wręczyła Aleksandrowi talię. - Potasuj, niech przeniknie je twoja aura... i przełoż zawsze w lewo. To bardzo ważne.

Aleksander uśmiechnął się z przymusem. Zrobił tak, jak mu kazała, dzieląc karty na trzy kupki. Madame Rose zdjęła kartę z pierwszej i położyła ją na Królu Mieczy, a na niej na krzyż następną kartę z tej kupki. Szybko porozkładała resztę potrzebnych kart, tworząc z nich na stoliku krzyż i pionową kolumnę. Podniosła wzrok na Aleksandra i powiedziała: - Musisz się skoncentrować. Myśl tylko o pytaniu, na które chcesz poznać odpowiedź.

Aleksander skinął głową z wyrazem sceptycyzmu na twarzy. Meredith przyglądała się zaintrygowana. Wróżka w skupieniu studiowała karty. - Widzę kłopoty - zaczęła. - Czarne chmury gromadzą się nad tobą. Pomimo swej pozycji, olbrzymiego bogactwa i wpływów, w najbliższej przyszłości będziesz miał poważne kłopoty finansowe. Jeśli będziesz ostrożny i rozważny, zatriumfujesz. Zanim to jednak nastąpi, czeka cię wiele burz, a ostateczny pokój będzie nagrodą za trudy i mądrość. - Aleksander spojrzał na Meredith. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w staruszkę. - W twojej przeszłości ważne miejsce zajmuje Królowa Mieczy. Karta ta oznacza piękną ciemnowłosą kobietę, bardzo elegancką. Czy był ktoś taki?

Na twarzy Meredith zagościł uśmiech.

- Setki - odpowiedziała.

- Nosi ona w sercu wielki smutek. Jest bardzo nieszczęśliwa. Ci, których kocha, zostali jej odebrani, dzieli ją od nich wielka odległość. -

Aleksander pokręcił głową. Staruszka mijiała się z prawdą. Nie było takiej kobiety w jego życiu. - Książę Mieczy to młodzieniec z bliższej przeszłości. Dzielny, odważny młody człowiek, ale porywczy, rozdierany przez wewnętrzny konflikt. Może to ty w młodości? - Nie odpowiedział. Wróżka była pewnie wytrwałą czytelniczką kronik towarzyskich. - Ta karta z kolei - kontynuowała - wskazuje źródło zewnętrznego oddziaływania na twoje życie. Jest odwrócona. To najpotężniejszy przeciwnik. Może być bardzo niebezpieczny, gdy wasze ścieżki się zejdą. - Jej palce

z wprawą poruszały się między kartami. - Zaoferuje ci pomoc, ale musisz być ostrożny. Pojawi się jako sprzymierzeniec, lecz za jego pomocą będą kryć się podstęp i zdrada. Chce zabrać to, co ci się prawnie należy.

-Aleksander z trudem powstrzymywał śmiech. Staruszka naprawdę potrafiła zwodzić! - Bardzo wiele zależy od rezultatu interesów z tym człowiekiem. Stawką może być testament lub spuścizna. - Podniosła wzrok znad kart. Nikłe światło świec ukazywało zadziwiająco jasne i pełne życia oczy. - Wkrótce udasz się w długą podróż do nieznanych miejsc, która ukaze ci rzeczy, o jakich ci się nawet nie śniło. - Przeniosła wzrok na Meredith. -Oto Królowa Pałek, twoja karta. Musisz stanąć u jego boku. W następnych miesiącach wasza miłość będzie dla niego jedyną podporą. Najważniejsze, byś wytrwała. - Było coś niesamowitego w siedzącej naprzeciw kobiecie i jej przepowiedniach. Od jej słów ciarki przechodziły po plecach. Meredith wydawało się, że nie wierzy w takie rzeczy, ale teraz... - O ostatecznym rozwiązaniu zadecyduje Cesarz. - Staruszka zwróciła się do Aleksandra: -Jeśli chcesz wyjść z tej potyczki zwycięsko, musisz rzucić na szalę wszystkie siły. Miej się na baczności. Możesz zostać poważnie ranny, gdy dojdzie do walki z twoim nieprzyjacielem. - Oderwała dłonie od stołu i oparła się na krześle. - Znaki są bardzo wyraźne. Byłoby nierozsądnie zignorować ostrzeżenie. Aleksander sięgnął do portfela i wyjął kilka banknotów. Wręczył je Cygance.

- Chciałabyś też spróbować? - spytał Meredith.

- Dziękuję. Poznałam wystarczająco dużo przyszłości jak na jeden dzień. Wstali. Aleksander zamienił z Madame Rose jeszcze kilka słów i ruszyli do wyjścia. Gdy byli już na zewnątrz, zaczął się śmiać dźwięcznym zaraźliwym śmiechem.

- A nie mówiłem? Wróżbiarstwo to jedno wielkie oszustwo! - Pomógł Meredith wsiąść do samochodu.

- Nawet nie zbliżyła się do prawdy?

- A jak myślisz?

- Nie zrobiła na tobie wrażenia.
- Podparła się faktami, które mogła znaleźć w każdej gazecie. - Ruszyli w kierunku hotelu Byblos. - Wstawka
- 0 niebezpiecznym przeciwniku była doskonałym zagranem. Podobnie jak bajeczka o tajemniczej ciemnowłosej kobiecie., Typowe zagrywki wszystkich wróżek
- 1 wróżbitów. Każdy mężczyzna ma jakieś wspomnienia o ciemnowłosych kobietach i każda kobieta kochała się kiedyś w brunecie.
- Mnie też to dotyczy.
- Nie potrzebujemy wróżki, żeby odkryć takie tajemnice. Nie pamiętasz już, że kiedy się spotkaliśmy, przepowiedziałem naszą przyszłość!?
- Rzeczywiście, udało ci się. - Meredith umilkła na chwilę. - Jesteś pewien, że nie miała na myśli jednej z tych egzotycznych kobiet, które znałeś, będąc beztróskim kawalerem?
- Kobieta, której odebrano ukochanego człowieka czy ludzi, a teraz dzieli ich wielka odległość? - Roześmiał się. - Nie, nie przypominam sobie kogoś takiego.
- Może po prostu o tym nie wiesz...
- Niepokoi cię moja przyszłość? - spytał poważnym tonem.
- Nie byłabym człowiekiem, gdybym się nie przejmowała. Ale nauczyłam się z tym żyć.
- Nie będzie nikogo innego - zapewnił. - Nigdy.

Po opuszczeniu Saint-Tropez pojechali wzdłuż wybrzeża do Marsylii. Tam skręcili na północ i trzymając się Rodanu, odwiedzili Arles i Awinion, by ostatecznie zatrzymać się na kilka dni w zamku Kirakisów, piętnaście kilometrów na północny wschód od Awinionu.

Wyjechali z zamku ze szczerym zamiarem dotarcia bez żadnego postoju do Lyonu, gdzie mieli rezerwację w hotelu Royal przy Place Bellecour. Nie przewidzieli jednak, że pojawi się mistral - zimny, suchy i niezwykle porywisty wiatr, nawiedzający od czasu do czasu dolinę Rodanu.

Chwilami siła wiatru była tak duża, że Aleksander miał kłopoty z utrzymaniem panowania nad samochodem. Podjął więc decyzję, że nie będą na siłę jechać dalej.

- Zatrzymamy się w Montélimar, dopóki wiatr nie ucichnie - powiedział, gdy jechali Avenue d'Aygu. - W pałacyku przy Place Max Dormoy jest wspaniały hotel. Nazywa się Relais de l'Empereur. Tylko czterdzieści pokoi, nastrój i cisza. Pojedziemy tam.

- Pogoda często płata tu takie Figle? - zapytała Meredith.

- O wiele częściej, niżby sobie tego życzyli mieszkańcy doliny. Mówi się, że gdy nad Rodanem szaleje mistral, ludzie także wariują.

Meredith od dawna zastanawiała się, jakim sposobem Aleksandrowi udaje się z taką łatwością zdobywać miejsca w najlepszych hotelach.

Teraz, obserwując swo-

bodną pogawędkę, jaką prowadził nienaganną francuzczyzną z właścicielem hotelu, *monsieur* Rogerem Lautrym, oraz z jego czarującą żoną, odpowiedź narzucała się sama. Cała trójka, stojąc przy kontuarze, zachowywała się, jakby wszyscy byli starymi przyjaciółmi.

- Zatrzymywałem się tu wiele razy - tłumaczył Aleksander. Szli właśnie do pokoju. - *Monsieur* Lautry dokłada wszelkich starań, by wszyscy czuli się w jego hotelu jak u siebie w domu. Dostałem ten sam pokój co zwykle, numer piętnaście. Córka pana Lautry'ego, ta śliczna dziewczyna za kontuarem, myśli pewnie, że jestem bardzo przesądnym człowiekiem. Meredith stanęła, by przyjrzeć się starym witrażom.

- Gdzie się nie obrócić, wszędzie Napoleon - zauważyła. - Okna, obrazy, pamiątki...

- Cesarz z nazwy hotelu to właśnie Napoelon - wyjaśnił Aleksander. - Dowiedziałem się, że zatrzymywał się w tym samym pokoju aż czterokrotnie... za każdym razem z inną kochanką. - Gdy weszli do pokoju, wręczył chłopcu hotelowemu pokaźny napiwek i zamknął drzwi.

- A ty? Ile kochanek tu sprowadziłeś? - zażartowała Meredith.

- Ty jesteś pierwsza. - Objął ją i przytulił. - Zawsze przyjeżdżałem tu sam, z wyjątkiem jednego razu...

- I kto ci wtedy towarzyszył?

- Moja matka. Była to moja pierwsza podróż na południe Francji. Miałem czternaście lat.

- Pewnie już wtedy czarowałaś wszystkie panienki.

- Byłem nieśmiały, niezdarnym wyrostkiem.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Hmm... - Westchnął. - Moja reputacja jest znacznie gorsza, niż przypuszczałem. - Popatrzył na Meredith roziskrzonym wzrokiem.

- Może więc przestaniesz narzekać i zaczniesz ją naprawiać?

Uśmiechnął się diabelsko.

- O niczym innym nie marzę...

Mistral szalał przez trzy dni, a przez ostatnie dwa na

dodatek lało jak z cebra. Aleksander i Meredith nie ruszali się na krok z pokoju. Jeśli byli głodni, co nie zdarzało się często, po prostu przynoszono im zamawiane posiłki. Rankiem czwartego dnia deszcz przestał padać, a wiatr ucichł. Kiedy Meredith obudziła się, Aleksander był już na nogach.

- Przestało? - zapytała, wstając z łóżka i owijając się prześcieradłem. Potrząsnęła głową, odrzucając włosy na ramiona.

- Powinniśmy zaraz ruszać - rzekł cicho. - Czeka nas długa droga do Paryża.

- Mówisz, jakbyś był zawiedziony. Podszedł do niej.

- Nie skarżyłbym się, gdyby mistral wiał jeszcze kilka dni. - Pocałował ją czule w czoło. - Całkiem nieźle nam się tu zimowało.

- Owszem, kochanie, ale nie możemy tu zostać na zawsze. Mam do zrobienia program i muszę jeszcze obłaskawić Petersena. Dzięki Bogu skończyłam zdjęcia, zanim mnie porwał. Na ciebie też czekają obowiązki.

Uśmiechnął się smutno.

- Jak zawsze masz rację, *matia mou*. Nieprędko chyba zapomnimy o tej idylli...

- Jeśli będziemy razem, idylla nadal będzie trwała. Poza tym zawsze możemy znów gdzieś uciec...

Kiedy pierwszy raz tu przyjechałem, miałem dwanaście lat - mówił Aleksander. Wybrali się o zmierzchu na spacer brzegiem Sekwany. - Matka chorowała i nie mogła sama podróżować. Na ogół towarzyszył jej ojciec. Gdy byłem nieco starszy, zastępowałem go, jeśli był bardzo zajęty. - Zatrzymali się na moście Aleksandra III, najbardziej interesującym ze wszystkich mostów na Sekwanie. W świetle lamp było widać płaskorzeźby z czasów Drugiego Cesarstwa. - Matka kochała wszystko co francuskie i przelewała tę miłość na mnie. Ze wszystkich miast, jakie zwiedziłem w swoim życiu, Paryż wywarł na mnie największe wrażenie. - Sięgnął do kie-

szeni i wyjął monetę. Obrócił ją parę razy w palcach, a potem wrzucił do wody. - Trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami. Dla mojej matki i dla mnie było to tradycją, tak jak dla turystów wrzucanie monet do Fontana di Trevi w Rzymie. Powiedziała mi, że jeśli wrzucając monetę do Sekwany, wypowiem w myślach jakieś życzenie, na pewno się spełni. Nigdy nie zdradziłem jej, że w to nie wierzę.

- Jaka była twoja matka, Aleksandrze?

- Pod wieloma względami podobna do ciebie. Była niezwykłą kobietą, piękną i pełną wdzięku, a przy tym niezwykle odważną. Pomimo słabego zdrowia prowadziła pełne, szczęśliwe życie. Miała duszę wojownika. Nigdy nie zrobiła własnej kariery, bo córce z arystokratycznej rodziny Bóg zabrania jakiegokolwiek pracy poza byciem piękną i dobrze wychowaną. Kiedy jednak podczas wojny ojciec zostawił ją w Nowym Jorku, a sam wstąpił do Marynarki Królewskiej, wzięła w swoje ręce zarządzanie korporacją, podejmując samodzielnie wszystkie decyzje. Był to niezwykły wyczyn, bo przecież nie miała żadnego doświadczenia w tych sprawach.

- Oczywiście - przypomniała sobie Meredith. - Twoja matka była bogatą panią, która poślubiła biednego chłopca z ubogiej dzielnicy i żyli długo i szczęśliwie.

Aleksander pokiwał głową, patrząc w zamyśleniu na gładką powierzchnię rzeki.

- Podobno jej rodzice byli spokrewnieni ze wszystkimi koronowanymi głowami Europy. Matka miała służące na każde zawołanie, gdyby chciała, mogłyby ją nawet ubierać. Ojciec był synem tragarza portowego, najmłodszym dzieckiem w wielodzietnej rodzinie. Wychowywał się w dokach Pireusu, bo zawsze brakowało pieniędzy na żywność. Ich życie było nieustającą walką o przetrwanie. Dzieci wrywały sobie ostatnią kromkę chleba. Takie warunki albo człowieka łamią, albo czynią silnym, wywołują pragnienie, by mieć coraz więcej i więcej. Ojciec walczył i wygrał.

- Tak jak ty.
 - Bitwy, które musiałem stoczyć, były zupełnie innej natury- Nigdy nie walczyłem o przetrwanie, choć czasem czułem, że gram o moje życie. Meredith objęła go i powiedziała ciepło:
 - Najważniejsze jest to, że się kochamy. Już nigdy nie będziesz musiał walczyć w pojedynkę, zawsze będę przy tobie bez względu na to, co nam los przyniesie.
 - Jesteś kobietą, jakiej potrzebowałem - powiedział Aleksander z przekonaniem, całując ją czule.
 - Już nigdy nie będzie inaczej. Nigdy...
- Gdy na lotnisku wylądował samolot należący do Kirakis Corporation, wokół zaroilo się od dziennikarzy i fotoreporterów, oczekujących powrotu nowożeńców z podróży poślubnej. Szósty zmysł podpowiedział Aleksandrowi, co za chwilę się stanie.
- Jesteś gotowa stawić czoło bandzie z mikrofonami?
 - spytał żonę, wysiadając z samolotu.
 - Ja? - Roześmiała się. - Jestem przecież jedną z nich!
 - Nie tym razem, skarbie. Dzisiaj będziesz ich ofiarą.
 - Poradzę sobie - odparła z pewnością siebie.
- Bez przeszkód dotarli do limuzyny, lecz gdy tylko znaleźli się w środku, samochód otoczyła horda wrzeszczących i błyskających fleszami reporterów. Meredith, oślepiona światłami, przytuliła się do Aleksandra. W końcu kierowcy udało się znaleźć lukę w tłumie i wydostać się na drogę wyjazdową z lotniska.
- Do diabła, skąd oni wiedzieli? - zdziwił się Aleksander. -Tylko dwie osoby znały nasze plany! Chyba że twój producent...
 - Nie, Harv nie zrobiłby tego - zapewniła Meredith.
 - Wiesz, jakimi źródłami informacji dysponuje dobry dziennikarz? Pracownicy hotelowi, kelnerzy lub kelnerki, sprzedawcy.
 - Albo stare Cyganki...

Od powrotu z miodowego miesiąca minęły już trzy miesiące. Aleksandra nadal pochłaniały dokumenty dotyczące spraw załatwianych podczas jego nieobecności. George poradził sobie znakomicie - co do tego nie było wątpliwości. Spotykali się teraz codziennie, by omawiać raporty, kontrakty, ewentualne inwestycje.

- Powinniśmy ściślej ze sobą współpracować - powiedział Aleksander do George'a. - Zamierzam od czasu do czasu wyrwać się gdzieś z Meredith i miałbym wtedy pewność, że firma będzie w dobrych rękach.

- Tylko następnym razem daj znać trochę wcześniej - rzekł przyjaciel. - Po twoim wyjeździe miałem kilka ciężkich chwil. Jeśli przyjrzesz się bliżej, przekonasz się, że przybyło mi kilka siwych włosów.

Aleksander roześmiał się, kręcąc głową.

- Masz moje słowo. Żadnych nagłych ślubów. George zapalił papierosa.

- Meredith znowu jedzie w teren? - spytał.

- Na kilka dni - odparł Aleksander. - Drugi raz, od kiedy wróciliśmy.

Kolejny ważny wywiad. - Wstał z fotela i podszedł do okna. - Widziałeś ostatni numer „People”?

Twarz George'a rozjaśniła się.

- Artykuł na całą stronę o szczęśliwej młodej parze? Bardzo pochlebny. Meredith zmieniła opinię ludzi o tobie w większym stopniu, niż się spodziewałeś, co?

- Nie myśl, że tylko dlatego się z nią ożeniłem.

- Możliwe, ale tak czy inaczej nie mogło być lepiej. „Królewska para z Manhattanu” - tak chyba teraz was się nazywa. Cesarz i jego urocza małżonka. Od ślubu napisano o was w sześciu najpoczytniejszych magazynach. Opinia publiczna przełknęła je jeden po drugim, zapominając o twojej przeszłości. Ludzie uwielbiają romanse.

Aleksander pokiwał głową w zadumie.

- Powinienem mianować cię na stanowisko wiceprezesa i dyrektora służby informacyjnej - zażartował.

- Taka żona to wspinały atut... Wykorzystaj go!

- Jak? Myślałem, że właśnie to robię!

- Powinieneś częściej pokazywać się publicznie, przyjąć zaproszenia na bale dobroczynne, które dawniej omijałeś jak diabeł święconą wodę.
- Wierz mi, naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu, ale po co robić sobie kłopot...

Ponieważ większość kluczowych postaci międzynarodowej finansjery nadal ma cię za niegodnego zaufania, bezlitosnego, zimnego drania. Boją się ciebie.

- I bardzo dobrze. Oby tak dalej.

Rzym

Carlo Manetti martwił się. Fortuna, niegdyś bardzo łaskawa, ostatnimi czasy odwróciła się od niego. Interesy szły fatalnie - nie mogło być gorzej. Spadła sprzedaż popularnych sportowych samochodów. Pewien dziennikarz napisał w „Oggi”, że Carlo Manetti „stracił mida-sowski dotyk”. Manetti sam zaczynał w to wierzyć.

Został zmuszony do drastycznych kroków. Zamknął fabryki w Weronie, Florencji i Neapolu - w ten sposób straciło pracę tysiące ludzi. Ograniczył produkcję w pozostałych zakładach w Rzymie i Mediolanie, co wiązało się z dalszymi zwolnieniami. Do tego doszły jeszcze redukcje w administracji koncernu. Czas mijał i było coraz gorzej.

Zaczynał się czuć jak skazaniec w celi śmierci. Na pozór trzymał się dzielnie. Z uśmiechem stawiał czoło bankierom, którym z każdym dniem był winien coraz więcej. Promieniował jednak optymizmem co do przyszłości swoich interesów. Dziennikarzom oświadczył, że jego kłopoty są „tylko chwilowe i nie ma powodu do obaw”. W rzeczywistości tracił ducha z godziny na godzinę. Zaczął pić i miał problemy ze snem. Każda noc postarzała go o dziesięć lat. Stał się drażliwy i małomówny. Jego córka, która znała go lepiej niż ktokolwiek inny, zaczęła się niepokoić.

Ostatnia podróż do Mediolanu wzbudziła w Manettim nadzieję na ekonomiczne uzdrowienie koncernu. Jego inżynierowie, najlepsi i najbardziej błyskotliwi w Europie, zaprojektowali nowy samochód sportowy, który, wedle ich prognoz, powinien przyćmić sukces Rinnegato. Wóz był rzeczywiście niezwykły. To byłby prawdziwy przebój na rynku motoryzacyjnym. Entuzjazm opadł jednak, gdy Manetti dowiedział się, ile kosztowałaby produkcja tego cacka.

- Oczywiście, *signore* Manetti - tłumaczył jeden z młodych inżynierów - nie będzie to tania zabawka, ale właśnie dlatego stanie się symbolem pewnej pozycji. Jak Ferrari albo Rolls-Royce. Przy odpowiedniej kampanii reklamowej każdy będzie chciał mieć ten samochód.

- Możliwe - rzekł Manetti. - O ile dobrze zrozumiałem, rozpoczęcie produkcji będzie wymagało ode mnie dużych inwestycji?

- Tego należy się spodziewać, gdy chce się produkować wóz takiego kalibru, *signore* - włączył się drugi inżynier. - Ale zapewniam, że warto zainwestować.

- Rozważę to - obiecał Manetti. - Wprawdzie teraz nie jest po temu najlepsza pora, ale przemyślę ten projekt.

- Trudno o lepszy moment, *signore* - rzekł główny inżynier. - Ma pan kłopoty finansowe, tak? Ten samochód może z nich pana wyciągnąć. Manetti skrzywił się. Kłopoty to mało powiedziane.

- Rozważę to - powtórzył. - Wrócę mniej więcej za tydzień.

Wi|rzył, że jego przetrwanie zależy od nowego modelu. Gdyby tylko miał pieniądze...

Nowy Jork

Ogromną marmurową wannę wypełniała gorąca i pachnąca woda, a na jej powierzchni unosiła się delikatna piana. Meredith siedziała oparta o Aleksan-

dra i małymi łykami pociągała chłodzony Dom Perignon. Odkryła najlepszy sposób na zrelaksowanie się po wyczerpującym dniu. Zbliżyła kieliszek do ust Aleksandra.

- Jeszcze szampana, kochanie? Pokręcił głową.

- Nie, dziękuję.

- Masz jakiś kłopot - powiedziała z troską w głosie. - Nie chciałbyś o tym porozmawiać?

- To był długi dzień, *matia mou* - odparł. - Długi i wyjątkowo trudny.

Wprawdzie nie ma jeszcze kryzysu, ale zbiegło się w czasie wiele drobnych problemów. Jakby tego było jeszcze mało, późnym wieczorem miałem telefon od moich ludzi w Rzymie. Zakłady Carla ManetUego przeżywają poważne kłopoty i włoska prasa uparła się, że ja jestem wszystkiemu winien. Makaroniarzom ubzdurało się, że zamierzam przejąć jego zakłady. Przez wiele lat byliśmy przeciwnikami i dawniej rzeczywiście próbowałem to zrobić. Ale teraz...

- Carlo Manetti - powiedziała**powoli Meredith -i jego nastoletnia seksowna córeczka, która kocha cię do szaleństwa. * *\

- Już nie - sprostował.

- Dlaczego uważasz, że to już przeszłość? Widzieliście się całkiem niedawno.

- Możesz mi wierzyć, skarbie, że obecnie Donna Manetti żywi do mnie głęboką nienawiść. Z ochotą zabiłaby mnie na miejscu. Wtedy w restauracji przez cały wieczór odgrywała rolę kusicielki, a ja potraktowani ją jak dziecko... którym zresztą jest.

- To wcale nie.oznacza, że już ciebie nie pragnie, mój kochany. Ja też byłam wściekła na ciebie, a mimo to nie przestałam cię pragnąć.

- Naprawdę?

Wyjął Meredith kieliszek z ręki i odstawił na bok. Wziął ją w ramiona, pokrywając usta, policzki i szyję gorącymi pocałunkami.

Choć już przed ślubem Meredith była znakomitością, jednak od kiedy została panią Kirakis, jej pozycja społeczna uległa znacznej zmianie. Przedtem obsługiwano ją jako uprzywilejowaną w najlepszych sklepach na Manhattanie. W restauracjach dostawała najlepsze stoliki, jednak tylko wtedy, gdy wcześniej dokonywała rezerwacji. Otrzymywała na własność stroje, jeśli występowała w nich przed kamerami. Teraz projektanci z Nowego Jorku, Paryża i Rzymu wpadali w ekstazę, gdy zechciała spojrzeć na ich dzieła. Byli na każde jej skinienie. Niektórzy szyli specjalnie dla niej. Jeśli potrzebowała czegoś z najbardziej ekskluzywnych sklepów, wystarczył jeden telefon jej sekretarki i wszystko przywożono w dużym wyborze do Olympic Tower. Przestała korzystać z jakichkolwiek środków komunikacji publicznej. Aleksander rozpieszczał ją klejnotami. Przynajmniej raz w miesiącu do mieszkania Kirakisów przybywał jeden z najlepszych jubilerów w mieście, przedstawiając bogaty zestaw pierścionków, bransoletek, naszyjników i kolczyków. Meredith miała więcej biżuterii, niż mogła na siebie włożyć, szafę pełną futer i drugą niemal tak wielką jak apartament, w którym mieszkała przed ślubem, całkowicie wypełnioną ubraniami i obuwem. - Ale zgodnie z tym, co już dawno zaobserwował Aleksander, wraz z przywilejami wzrosło w niej poczucie odpowiedzialności. W pierwszym roku małżeństwa wielokrotnie broniła męża przed atakami rekinów, finansowych, którzy uważali go za bezlitosnego drania, chwytającego się nieetycznych sposobów, by tylko osiągnąć ftre nieczne cele. Starła się postępować dyplomatyczniej gdy wiązano jego osobę z aferą Manettiiego. Nigdy jednak nie mówiła mężowi, jak powinien kierować Kirakis Corporation, tak jak on nie mieszał się do jej programów. Siedziała przy toaletce w sypialni i rozczesywała włosy. Zastanowiło ją, że nigdy nie rozmawiają o ich dawnych miłościach. Tak jakby kochanki Aleksandra i jej związek z Nickiem były tematem tabu. Odłożyła szczot-

kę do włosów i podniosła wzrok na portret Elizabeth i Davida, od niedawna wiszący w mniej eksponowanym miejscu sypialni. Aleksander nie czuł się przy nim dobrze i zastanawiała się już nad przeniesieniem obrazu do jednego z pokoi gościnnych. Czyżby Elizabeth przypominała Aleksandrowi jedną z jego ciemnowłosych namiętnych kochanek? Meredith wątpiła, czy kiedykolwiek pozna odpowiedź na to pytanie. Wszelkie dyskusje na ten temat kończyły się, zanim się zaczynały.

Zurych

Kirakis Corporation rozrastała się na wielką skalę. Konieczne okazały się nowe źródła finansowania, więc Aleksander postanowił poszukać oparcia dla swych projektów, aranżując spotkanie z sześcioma członkami szwajcarskiego konsorcjum bankowego. Meredith zamierzała towarzyszyć mu w podróży do Europy, lecz w ostatniej chwili obowiązki w telewizji pokrzyżowały jej plany. Aleksander poleciał więc do Zurychu sam, z nadzieją na uzyskanie kredytów i jak najszybszy powrót do domu. Spotkanie miało się odbyć w filii Kirakis Corporation przy Ramistrasse. Aleksander zamierzał się na nie spóźnić. Doskonale pamiętał, co powiedział mu kiedyś ojciec: „Nigdy nie daj po sobie poznać, że jesteś w potrzebie. Oni są jak piranie. Potrafią wyczuć twój strach”. Dziesięć minut spóźnienia powinno wystarczyć - pomyślał, jadąc windą. Gdy przekroczył próg sali konferencyjnej, natychmiast pochwycił rozdrażnione spojrzenia pięciu oczekujących na niego mężczyzn. Na wstępie przeprosił, że kazał na siebie czekać.

- Miałem pilny telefon z Istambułu - wyjaśnił. - Oczywiście, panowie wiedzą o naszych wierceniach na Morzu Jawajskim?

Wszyscy jednocześnie skinęli głowami.

- Dlaczego chciał się pan z nami spotkać, *Herr Kirakis*? - zapytał jeden z bankierów.

Aleksander uśmiechnął się.

- To oczywiste.

- Z pewnością nie chodzi o kredyt...

- Ależ właśnie to miałem na myśli. - Ponieważ żaden z bankierów nie odpowiedział, spytał: - Stanowi to jakiś problem?

- Nie, oczywiście - odparł szybko jeden z mężczyzn. - Ale dawniej *Kirakis Corporation* finansowało swoje projekty bez niczyjej pomocy...

- Pozwolę sobie sprostować: zwykle nie szukaliśmy wsparcia - rzekł uprzejmie Aleksander. - Z wyjątkiem sytuacji, gdy prowadziliśmy interesy na wielką skalę, a to właśnie teraz planujemy.

- Rozumiem.

Przez chwilę przyglądał się swym gościom.

- Kilku z panów znało mojego ojca, prawda? - zapytał. - Zapewne od czasu do czasu wiązały panów z nim interesy... - Trzech mężczyzn potwierdziło jego przypuszczenia. - Skoro panowie go znali, na pewno nie uszło ich uwagi, jak błyskotliwym był biznesmenem - kontynuował. - To on stworzył *Athena Maritime*, największą flotę handlową na wschodniej półkuli, nie - na całym świecie! Sukces tego przedsięwzięcia umożliwił powstanie *Kirakis Corporation*. Ropa naftowa, kopalnie diamentów, przemysł motoryzacyjny, lotniczy...

- Słuchamy pana z uwagą, *Herr Kirakis* - przerwał mu jeden z bankierów, zniecierpliwiony. - Czekamy, aż pochwali się pan swymi planami. Do czego pan zmierza?

- Chodzi o ekspansję. Rozwój na wielką skalę. - Jego spojrzenie przesunęło się powoli od jednej twarzy do drugiej. - Panowie, kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym zajmowałem miejsce ojca, stając się prezesem zarządu korporacji, jej aktywa, zlokalizowane w Europie, Ameryce Północnej i Południowej, i Azji i Afryce, liczyły mniej więcej dziewięćset milionów franków szwajcarskich. Dzisiaj posiadamy niemal czternaście miliardów.

Mężczyzna ponownie wszedł mu w słowo:

- Jesteśmy świadomi imponujących funduszy Kirakis Corporation.

Doskonale mogłaby sobie poradzić bez ingerencji z zewnątrz.

- Dawniej robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by tego uniknąć.

Jednak, żeby sprostać nowym zamierzeniom, będziemy potrzebowali kilku dużych kredytów. Oczywiście, bank, który dzisiaj zdecyduje się z nami współpracować, może liczyć na nas także w przyszłości.

Rozległ się głośny pomruk zaskoczenia, przemieszanego z zadowoleniem.

Miał ich! Wyczuwał narastające podniecenie.

- Planuję ulokować nasze aktywa nie tylko w Szwajcarii, ale w całej Europie. Tak jak robiłem to w Stanach Zjednoczonych. Szukam nowych obszarów do eksploatacji, którymi mój ojciec się nie interesował.

- Na przykład?

- W Stanach Zjednoczonych włączyliśmy się w przemysł budowlany i handel nieruchomościami. Mamy zamiar budować i kupować hotele, kurorty. - Zrobił pauzę i mówił dalej: - Następna dziedzina to energetyka jądrowa. Nasze osiągnięcia na tym polu są bardzo obiecujące, warto zatem sprawdzić, jak zaowocują w Szwajcarii i w mojej ojczyźnie.

Rozważamy też dalsze doświadczenia z energią słoneczną. Panowie zgodzą się ze mną, że poszukiwanie nowych źródeł energii to jedno z najważniejszych zadań współczesności. Nie wolno uciekać od tego problemu. Musi być rozwiązany. - Znowu skinęli głowami. - Oczywiście zadanie to wymaga intensywnych badań... i środków na ich sfinansowanie. - Aleksander delectował się ich entuzjazmem. Czas było zagrać najsilniejszą kartą. - Broń jądrowa - rzekł z odpowiednią dozą szacunku w głosie.

- Bomby? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Zyski - poprawił go. - Niewiarygodne zyski. Doktor Barry Marchwood, który jest kierownikiem mojej placówki badawczej w Stanach, uznawany jest za jeden z największych autorytetów w dziedzinie broni nuklear-

nej. Pod jego kierunkiem Kirakis Corporation już wkrótce będzie posiadała największą prywatną sieć laboratoriów do badań w dziedzinie fizyki jądrowej na całym świecie. - Cała piątka słuchała, wstrzymawszy oddech. - W ciągu trzech lat zyski korporacji powinny zwiększyć się trzykrotnie. Panowie, nie spoczniemy wtedy na laurach, lecz będziemy dalej się rozwijali i naturalnie nadal będziemy potrzebowali kredytów od naszych bankierów.

- Oczywiście - zgodzili się.

- Sumy, których pan potrzebuje, wyglądają na pokaźne - zauważył jeden z nich.

- To prawda - przyznał Aleksander. - Jednak w skali zamierzenia kwoty te nie są pozbawione rozsądku.

- Przedyskutujemy pańską prośbę i damy znać - powiedział ten sam.

- Proszę o szybką odpowiedź - rzekł Aleksander, wykorzystując swój blef. - Wolałbym nie być zmuszony do zaciągania kredytu w Stanach Zjednoczonych.

Skutek przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Mężczyzna nagle zeszywniał i z trudem panując nad głosem, zapytał:

- Dwadzieścia cztery godziny?

- Dobrze - zgodził się. Był przekonany, że to nawet tyle nie potrwa. Bankier przyglądał się młodemu prezesowi korporacji. Dobrze znał Constantine'a Kirakisa. Przez trzydzieści lat robił z nim interesy i wiedział, jak bardzo dynamicznym był biznesmenem. Syn chyba go przewyższał. W wieku trzydziestu lat Aleksander Kirakis miał już olbrzymie doświadczenie i niezwykle swobodnie poruszał się po grząskim terenie interesów. I był tak cholernie pewny siebie!

Aleksander uścisnął dłonie wszystkim bankierom.

- Przepraszam, że tak szybko panów opuszczam - rzekł. - Mam dziś wieczorem ważne spotkanie w Paryżu i muszę wyruszyć niezwłocznie. Z tymi słowami wyszedł ku ogólnemu zdumieniu.

We wspaniałej willi, trzydzieści kilometrów od Zurychu, Julius Hauptmann siedział samotnie w wyłożonej dębem bibliotece. Służba otrzymała instrukcję, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Myślał o spotkaniu, które miało miejsce w biurach Kirakis Corporation. Aleksander Kirakis nie wiedział i nigdy nie mógł się dowiedzieć, że szóstym, nieobecnym członkiem konsorcjum bankowego był właśnie on. Trzeba zachować ostrożność. Nie wolno popełnić błędu i nie docenić przeciwnika. Gdyby wzbudził w Kirakisie jakiegokolwiek podejrzenia, wszystko poszłoby na marne.

Zapalił mosiężną lampkę i wyciągnął z szuflady duży album. Wypełniały go zdjęcia i artykuły dotyczące Kirakisa.

Wyjął wytarty wycinek z gazety genewskiej z szesnastego stycznia 1980 roku. Krótka notatka informowała o śmierci młodej studentki, która popełniła samobójstwo, wieszając się w hotelowym pokoju miasteczka uniwersyteckiego w Genewie. Lakoniczny artykuł nie mówił, dlaczego zdecydowała się na ten krok. Hauptmann jednak znał odpowiedź. Do końca swych dni nie zapomni poranka, gdy genewska policja zabrała go do hotelu, by zidentyfikować zwłoki. Wciąż widział koszmarny obraz, a pamięć przywoływała słowa pożegnalnego listu. Przepętniał go ból i nienawiść tak wielka, że z trudem nad sobą panował. Nie zazna spokoju, póki nie pomści tej bezsensownej śmierci.

Aleksander Kirakis zapłaci za to, co zrobił jego ukochanej Mariannie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała Meredith.

Do gabinetu weszła Casey, ściskając pod pachą duże tekturowe pudło.

- Właśnie przyszło to do ciebie z Los Angeles - powiedziała, kładąc przesyłkę na biurku. - Pomyślałam, że mogę przynieść paczkę, skoro i tak tu idę. Pewnie te typy z działu pocztowego potrzyzymałyby ją sobie trochę! Meredith przecięła nożykiem do papieru taśmę i zajrzała do środka.

- Czekałam na to - powiedziała z ulgą. - Miałam nadzieję, że przyjdzie przed jutrzejszym spotkaniem z Harvem.

- Czy to ma coś wspólnego z tymi podróżami na Zachodnie Wybrzeże? - zapytała Casey.

- W pewien sposób.

W pudle nic nie brakowało. Razem z innymi, które zabrała, opuszczając dom na plaży, przeleżało cztery lata w przechowalni.

Podniosła jedno z czarno-białych zdjęć, obejrzała je z uwagą i pokazała Casey.

- Poznajesz tę damę? Przyjaciółka aż podskoczyła.

- Elizabeth Weldon-Ryan?!

Więc to o nią cały ten szum? Eskapady do Los Angeles, spotkania z Harvem...

- Kilka lat temu w Los Angeles poznałam jej męża,

Toma Ryana. Pomógł Nickowi zrobić karierę. Nick przedstawił nas sobie, a ja zaproponowałam Tomowi stworzenie filmu dokumentalnego o nim i o jego żonie.

- I oczywiście o tym, co wydarzyło się podczas kręcenia zdjęć do ostatniego filmu Elizabeth.

- Masz rację. Na początku Tom nie był nastawiony przychylnie do mojego pomysłu. A jednak udało mi się go namówić... - Opowiedziała Casey całą historię aż do śmierci Ryana.

- Stacja skreśliła wtedy scenariusz. Mieliśmy wszystko z wyjątkiem jednoznacznego rozwiązania zagadki...

- I myślisz, że teraz możesz ją wyjaśnić?

- Na pewno spróbuję. Zamierzam dotrzeć do kogoś, kto zna prawdę i zechce się nią ze mną podzielić.

Casey podniosła się z fotela.

- Życzę ci szczęścia - powiedziała, ruszając do drzwi. - Będzie ci potrzebne.

- Pewnie tak - odparła Meredith, ale przyjaciółki już nie było.

Lozanna

Jaka wielka szkoda - pomyślał doktor Henri Goudron, przyglądając się swej pacjentce. - Miała wszystko: urodę, talent, szczęśliwe małżeństwo, urocze dziecko... I wszystko to straciła jednej, jedynej nocy...

Doktor Goudron był jednym z najbardziej szanowanych psychiatrów w Szwajcarii i zawsze postępował zgodnie z etyką zawodową. Nigdy nie pozwoliłby sobie na emocjonalne zaangażowanie się, gdy w grę wchodziła pacjentka, jednak kobieta, przy której w tej chwili siedział, była kimś wyjątkowym. Fascynowało go wszystko, co miało z nią jakikolwiek związek - jej życie, tragiczna przeszłość, niezwykła kariera, sposób, w jaki odcięła się od rzeczywistości, której nie mogła zaakceptować. Od przywiezienia jej do kliniki jakieś trzydzieści lat temu wiedział, że jest szczególnym przypadkiem.

Z początku spędzał z nią dużo czasu, próbując do niej dotrzeć. Wszystko na nic. Poddał się, ale nigdy nie przestał dbać o tę kobietę. Pilnował, by personel traktował ją z szacunkiem. Ubierana była w wykwintne stroje, dostarczone do kliniki przez męża, starannie układano jej wspaniałe czarne włosy, wychodzono z nią na długie spacery, gdy tylko dopisywała pogoda. Wiosną i latem osobiście przynosił pacjentce świeże kwiaty z ogródka żony, a kiedy tylko miał wolną chwilę, odwiedzał ją.

- Elizabeth. - Westchnął. - Tak bardzo chciałbym do ciebie dotrzeć!

Jak to niezgrabnie brzmi - pomyślał.

- Jak tam jest w twoim świecie? - zapytał z goryczą. Od dawna nikt jej nie odwiedzał. „Proszę ją chronić...

nie pozwólcie, żeby oni się o niej dowiedzieli" - przypominał sobie słowa Toma Ryana. Miał pewnie na myśli dziennikarzy. Goudrona niepokoiło co innego. Nigdy nie powiedział Ryanowi o człowieku, który odwiedzał jego żonę, o mężczyźnie, który prosił, by jego wizyty utrzymać w całkowitej tajemnicy. Po raz pierwszy pojawił się kilka miesięcy po przyjęciu Elizabeth do kliniki. Doktor chciał go przepędzić na cztery wiatry, ale mężczyzna wydawał się szczerze przejęty stanem zdrowia chorej. I co najważniejsze, zaskakująco dużo wiedział o katatonii. Może był lekarzem? Goudron w końcu postanowił dopuścić go do pacjentki, ponieważ miał nadzieję, że to jej pomoże.

Teraz, w głębi duszy, wiedział, że już nic nie jest w stanie pomóc Elizabeth. Chyba że zdarzyłby się cud i zmartwychwstałoby jej dziecko.

Grecja

Meredith podziwiała fantastyczny zachód słońca nad Morzem Egejskim. Aleksander miał wyśmienity pomysł, by uciec od obowiązków i świętować rocznicę ślubu na wyspie. Ostatnio oboje pracowali ponad miarę.

Potrzebowali odpoczynku, odrobiny czasu tylko dla siebie.

Meredith wróciła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Sięgnęła po niewielką, oprawioną w skórę książeczkę, którą przemyciła na wyspę na dnie torby podróżnej. Był to pamiętnik Elizabeth. Tom Ryan pożyczył go jej tuż przed śmiercią. Od pogrzebu Toma nie miała pamiętnika w rękach.

Uśmiechnęła się. Aleksander wymusił na niej obietnicę, że na czas tego wypadu zapomną o pracy. Ponieważ jednak rozmawiał teraz przez telefon z Pre-scottem, postanowiła trochę poczytać.

Lektura pamiętnika tak ją wciągnęła, że spostrzegła Aleksandra, dopiero gdy pochylił się, by ją pocałować.

- Tak szybko? - zapytała zmieszana.

- Nie było dużo do omówienia. - Zauważył w jej rękach książkę. - Co czytasz?

- Pamiętnik Elizabeth Weldon-Ryan.

- Interesujący?

- Fascynujący!

Wyjął go z jej dłoni i odłożył na nocny stolik.

- Nie przyjechaliśmy tu, by czytać... albo pracować -rzekł.

- A co robiłeś w bibliotece? Ucinałeś sobie pogawędkę? - odparła wesoło.

- Sprawdziałem tylko, czy wszystko w porządku. Ale to już załatwione i teraz chcę mieć cię wyłącznie dla siebie przez cały wieczór. I całą noc - dodał. - Musimy porozmawiać.

- Brzmi poważnie.

- Kiedy się pobieraliśmy, twierdziłaś, że nie jesteś jeszcze gotowa założyć rodzinę. Zaakceptowałem to... wtedy.

- A teraz?

- Zdaję sobie sprawę, że to dopiero rok. Próbuję być cierpliwy, ale chciałbym zostać ojcem, dopóki jestem na tyle młody, by móc cieszyć się dziećmi.

- Aleksandrze, ja...

- Nie - przerwał jej, kładąc palec na ustach. - Nic nie

mów. Przemyśl to tylko. Jak cudownie byłoby mieć dziecko!
Być może już czas - pomyślała Meredith.

Nowy Jork

Minęły trzy tygodnie i Meredith nadal nie podjęła decyzji, czy jest gotowa mieć dzieci. Na delikatne sugestie Aleksandra odpowiadała, że te sprawy wymagają czasu. Zresztą jej myśli zaprzętało teraz co innego - Elizabeth Weldon-Ryan. Wysłała już zespół na poszukiwanie osób, które brały udział w produkcji ostatniego filmu wielkiej aktorki.

Sekretarce poleciła, by zamieściła ogłoszenia w „Va-riety”, magazynach i gazetach w całym kraju. Miał zgłosić się każdy, kto cokolwiek wiedział o tragedii Ryanów. Meredith przypuszczała, że na ogłoszenia odpowie wielu dziwaków, ale musiała jakoś przez to przebrnąć.

Wkrótce została zarzucona całą masą listów. Większość tropów prowadziła jednak donikąd, a nieznaczna część korespondencji, która miała jakiś sens, okazała się bezużyteczna, potęgując tylko gnębiące Meredith uczucie frustracji. Tom Ryan wykonał kawał dobrej roboty, by świat nie poznał prawdy.

- Nigdy nie dowiemy się, co się wtedy stało - lamentowała Cindy, sortując ostatnią porcję korespondencji.

Otworzyła następną kopertę, wyjęła list i zaczęła go czytać. Po chwili trąciła Meredith w ramię.

- Spójrz na to.

List pochodził od niejakiego Williama McCloskeya, który utrzymywał, że był operatorem w zespole pracującym nad ostatnim filmem Elizabeth Weldon. Mieszkał w Chicago. Był obecny na planie, gdy doszło do tragedii. Na potwierdzenie swych słów dołączył do listu dwie stare, pożółkłe fotografie. Jedna z nich przedstawiała Elizabeth w otoczeniu aktorów. Wszyscy byli w kostiumach, odpowiednio ucharakteryzowani.

Druga

ukazywała Elizabeth z mężem i synem. Na odwrocie obu zdjęć wypisano datę - dwudziestego szóstego czerwca 1953 roku. Cztery dni przed wypadkiem Davida -pomyślała Meredith, przypominając sobie, co mówił Tom.

- Zabierz stąd te śmieci - powiedziała do Cindy, wskazując stertę listów na biurku.

McCloskey podał numer telefonu, więc od razu do niego zadzwoniła. Rozmawiali prawie godzinę. Gdy odłożyła słuchawkę, zwróciła się do Cindy:

- Nie mogłam dzisiaj dotrzeć do Harva Petersena. Miał jakieś spotkanie. Z samego rana zadzwoń do jego sekretarki i powiedz, że cały dzień będę poza biurem.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Chicaco.

Nareszcie trafiła na coś konkretnego.

Chętnie pani pomogę, ale nie wiem, jakich informacji pani szuka. -

Siedzący naprzeciw Meredith William McCloskey był wysokim, szczupłym mężczyzną po siedemdziesiątce. - Kawy?- zapytał.

- Tak, proszę. - Meredith wyjęła z torby kieszonkowy magnetofon.

- Wiem, jak zginął syn Elizabeth Weldon, ale co było przyczyną jej śmierci? Wylew? Atak serca?

- Na to jedno pytanie niestety nie znam odpowiedzi. Kiedy mały wpadł do szybu, przez cztery dni razem z mężczyznami z miasta staraliśmy się do niego dotrzeć. Nie udało się. Był tam lekarz... nie pamiętam nazwiska, jakieś obco brzmiące, trudne do wymówienia - i powier dział, że nie ma już najmniejszych szans, by chłopiec przeżył w dole tak długo. Kiedy Elizabeth to usłyszała, krzyknęła. To był niesamowity krzyk, przerażający, jakby skowyt zranionego zwierzęcia. Potem zemdląła. Gdy ją ocucono, do nikogo się nie odezwała, w ogóle nie otworzyła ust. Nic do niej nie docierało. Nie rozpoznawała nikogo, nawet męża. Całkowicie straciła kontakt z otoczeniem.

- Nie hospitalizowano jej?
- Mąż zabrał ją do szpitala kilkaset mil od miejsca naszego pobytu. Od tamtego czasu nikt z ekipy jej nie widział. Całe szczęście, że wcześniej ukończyliśmy zdjęcia z Elizabeth. Oczywiście, dochodziły do nas różne pogłoski o tym, co się z nią później stało, ale nikt nie wiedział, ile w nich było prawdy. Miała ponoć wylew, według innych pewnego dnia po prostu przestało jej bić serce. Przeważały jednak głosy, że popełniła samobójstwo. To bardzo prawdopodobne.

Meredith w ogóle nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Czyżby Elizabeth całkowicie załamała się nerwowo?

- Panie McCloskey, jest pan pewien, że ona nie żyje? Czy jest możliwe, by nadal żyła w jakimś zamkniętym ośrodku?

- Wszystko jest możliwe. Każdy przyjął, że umarła, gdy Ryan wrócił do Stanów bez niej. Wyglądało na to, że pochował ją gdzieś w Europie. Jakoś to pasowało.

Meredith pokiwała głową.

- Jedna rzecz zawsze była niejasna. Kręciliście w Grecji, ale dokładnie gdzie?

- W miejscowości o nazwie Janina - odparł McCloskey bez wahania.

Pewnie twoja wyprawa do Chicago znowu nic nie dała - powiedział Aleksander. Klęcząc na łóżku, masował Meredith napięte mięśnie karku.

- Niezupełnie - odrzekła. - Wprawdzie McCloskey nie wie, w jakich okolicznościach i gdzie umarła Elizabeth, jeśli w ogóle umarła, ale za to powiedział coś, czego wcześniej nie wiedziałam.

- Co?

- Ekipa pracowała w Grecji, gdy doszło do wypadku. David Ryan zginął w miejscowości o nazwie Janina. Słyszałeś kiedyś o niej?

- Oczywiście. To miasto, jakieś dziewięć godzin jazdy samochodem od Aten. Korporacja posiada tam grunty. Ojciec kupił je tuż po zakończeniu wojny, gdy Janina była małą wioską. Marzył, że pewnego dnia zamieni ją w kurort. Ziemię kupił za bezcen, chciał tam postawić duży hotel. Niestety, projekt musiał upaść z błahego, jak mogłoby się wydawać, powodu. Okazało się, że nie można było wywiercić studni, która zaopatrywałaby hotel w wodę. Próbowano w kilku miejscach i skutek był zawsze ten sam - robotnicy stale natykali się na podziemne jaskinie.

- Jaskinie?

- Pełno ich na tamtym obszarze. - Ojciec w końcu się wycofał. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Pogorszyło się zdrowie mojego brata, a matka ponownie zaszła

w ciąży. Był potrzebny w domu, więc polecił zaplombować szyby po odwiertach i wyjechał z Janiny.

- Czy tę ziemię wydzierżawiono? - zapytała Meredith, obracając głowę tak, by widzieć męża. - Czy szyby mogły nie zostać zabezpieczone i wypadek wydarzył się właśnie tam?

- Może... Trudno powiedzieć - odrzekł Aleksander. - Myślisz, że to wina ojca?

- Nie wiem, ale jeśli zastosowano się do jego polecenia... David zginął w Janinie w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Wpadł do szybu głębokiego na dwieście stóp, do nie dokończonych studni artezyjskiej. Pomyśl, twój ojciec miał na swoim terenie przynajmniej dwie takie studnie. Posiadłość znajdowała się w Janinie...

- Ale ojciec kazał te studnie zaplombować.

- Czy jednak rzeczywiście to zrobiono?

- Nie mam pojęcia. Ojciec nigdy nie rozmawiał ze mną na ten temat. Przypuszczam, że z powodu tego nieudanego przedsięwzięcia.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Od Fredericka Kazomidesa. Jest starszym wiceprezesem i kieruje naszą filią w Grecji. - Przerwał i zamyślił się. - Zawsze wydawało mi się, że ojciec nie chce mówić o tamtym okresie, ponieważ wiązał się on z bolesnymi przeżyciami. Skończyła się wojna, Damian był umierający, matka omal znowu nie poroniła...

- Może dałoby się sprawdzić, czy film kręcono na terenach ojca?

- Możliwe, pod warunkiem, że zachowały się jakieś dokumenty... Widzę, że jesteś bardzo zaangażowana w całą tę historię.

- Jest fascynująca... Jak układanka, w której brakuje połowy elementów. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdybym straciła dziecko w tak okropnym wypadku.

Aleksander przerwał masowanie i podniósł na nią wzrok.

- Aleksandrze, chcę mieć dziecko. Chcę mieć kilkoro dzieci, naszych dzieci!
- Zaczynałem już się zastanawiać - rzekł, obejmując ją - w jaki sposób uda mi się wybłagać u ciebie syna.
- Z rozkoszą dam ci syna - wyszeptwała. - Twego syna. Będziemy mieć małego chłopczyka z twoimi czarnymi włosami i oczami...
- Albo małą blondyneczkę, błękitnooką jak ty.
- Wolałbyś syna...
- Może powinniśmy zacząć nad tym pracować.
- Natychmiast?
- Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dziś.

Następnego dnia Meredith od samego ranka wzięła się ostro do pracy. Jeszcze raz przejrzała notatki, przesłuchiwała taśmy z rozmowami z Tomem Ryanem i McCloskeyem, przekopowała się przez wycinki, fotografie i czasopisma. Przejrzała pamiętnik. Ną dobrą sprawę, nie wiedziała, czego szukała. Coś musiała przeoczyć. Pięć lat temu poświęciła mnóstwo czasu na zbadanie tej sprawy i teraz zaangażowała się w nią ze zdwojoną energią, a nadal czuła, że bije głową o mur. Zupełnie, jakby wszyscy poprzysięgli dochować tajemnicy. Jakby ktoś próbował coś ukryć. Tylko co?

Rzym

W czasie ostatnich sześciu miesięcy *signore* Manetti zaciągnął kilka dużych kredytów - wyjaśnił bankier łamaną angielszczyzną. - Zainwestował cały kapitał w nowy sportowy wóz. Z każdym dniem rosła jego długi. Ten człowiek już jest zrujnowany, ale nie chce się z tym pogodzić.

Mężczyzna, do którego były skierowane te słowa, uśmiechnął się triumfalnie. Nadszedł czas zastawić pułapkę. Pochłonęło to wiele miesięcy, ale warto było

czekać. Nareszcie dopadł Manettiego i Aleksandra Kirakisa. Włoch okazał się wspaniałą przynętą. Dzięki niemu będzie można pozbawić Kirakisa dobrego imienia, dzięki niemu imperium Kirakisa legnie w gruzach.

- Proszę wystąpić o zwrot wiarytelności - powiedział głośno. - Natychmiastowy.

- Ale, *signore*... On nie jest w stanie zapłacić...

- Nie pytałem, czy może to zrobić, czy nie - warknął z irytacją. - Proszę żądać natychmiastowego zwrotu wiarytelności. Polecenie nie jest dla pana jasne?

- Wyraził się pan wystarczająco jasno. - Bankier miał uczucie, że nie chodzi tu wcale o pieniądze, ale o zemstę.

- Więc mam nadzieję, że nie będzie niepotrzebnej zwłoki - rzekł lodowato.

- Nie, *signore!* Na pewno nie!

- Wspaniale. Proszę mnie zawiadomić, gdy będzie po wszystkim. Podniósł się z krzesła i wyszedł.

Carlo Manetti nie miał pojęcia, kto zadał mu ten cios. Wszystko stało się tak szybko, że zanim zdał sobie sprawę z sytuacji koncernu, było już za późno. Mój Boże - pomyślał, wychodząc z biura - jestem zrujnowany! Manetti Motors przestało istnieć.

Mógł stać za tym tylko jeden człowiek. Ale jak Aleksander Kirakis tego dokonał?

Zatrzymał się, by raz jeszcze spojrzeć na wspaniałą wieżę ze szkła i metalu, która była ucieleśnieniem jego marzeń, symbolem poświęcenia i determinacji. Zaczynał już uważać Kirakisa za honorowego człowieka, mimo rywalizacji między nimi. A teraz... Przepelniał go głęboki, nie dający się opisać smutek, jakby zmuszono go do opuszczenia ukochanego brata. Dokąd pójść? Do domu nie mógł wrócić. Natknąłby się na Donatellę, a nie był gotowy stawić jej czoło. Jeszcze nie dziś. Może nigdy. Jak mógłby stanąć przed nią i powiedzieć, że są zrujnowani, że Aleksander Kirakis ostatecznie odniósł

zwycięstwo? A może już wiedziała? Może oglądała telewizję? Czy mógł się jej przyznać, że został pokonany? Nie. Jeszcze nie. Teraz należało znaleźć jakąś knajpę i zupełnie się upić.

Zaczęło świtać, gdy dotarł do willi przy Porto Ercole. Donatella czekała na niego.

- Tato! - krzyknęła z ulgą, widząc go wchodzącego do domu. - Tak bardzo się o ciebie martwiłam! Ja... - Urwała nagle, zbliżywszy się na tyle, by wyczuć alkohol w oddechu ojca. - Tato! Jesteś pijany!

- Zgadza się, trochę wypilem - wybełkotał, przewieszając płaszcz przez metalową poręcz schodów. Płaszcz zsunął się i spadł na podłogę. - To koi ból.

- Ból? Nie rozumiem... - Wzięła gazetę, którą jej podsunął. Nagłówki były aż nadto wymowne. Ogłaszały upadłość koncernu Manettiiego. - *Dio mio!* - krzyknęła. - Jak...

- Nasz stary przyjaciel, Aleksander Kirakis.

Manetti przespał większą część dnia. Kiedy się wreszcie obudził, do pokoju weszła Donatella, niosąc tacę z jedzeniem.

- Tato, głodzić się to nie najlepszy pomysł. - Nalała herbaty. - Masz, pij. To ci rozjaśni w głowie.

Usiadł na łóżku. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak go bolała głowa.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle chce mi się myśleć - rzekł, biorąc filiżankę. - Upilem się wczoraj, żeby zapomnieć.

- I podziałało? Wzruszył ramionami.

- Tylko na krótko.

- Warto było?

- Nieważne. Wczoraj poskutkowało, a dziś mam tylko straszny ból głowy.

- Tato, nie pozwól mu zwyciężyć - powiedziała Donatella, starannie dobierając słowa-Musisz walczyć! Zawsze potrafiłeś sobie poradzić.

- Ach, Donatello, *figlia mia*, nadal jesteś idealistką. Chyba za bardzo izolowałem cię od świata. Walczyłem, od kilku miesięcy toczyłem wojnę, w której stawką było wszystko, co posiadałem. Ale teraz już koniec, przegrałem. Nie ma już o co walczyć.

- To nieprawda! - krzyknęła.

- Musisz się z tym pogodzić. Stało się.

- Nie, tato! To jeszcze nie koniec!

To był koniec, i nic nie mogło już tego zmienić. Manetti wiedział, co w takiej sytuacji powinien zrobić.

Na biurku leżał rewolwer. Manetti patrzył na niego w napięciu.

Spodziewał się, że będzie to dużo łatwiejsze - brakowało mu odwagi.

Umrzeć z własnej ręki nie było łatwo.

W końcu zacisnął dłoń na chłodnym metalu i obejrzał go z bliska jak chirurg kontrolujący stan narzędzi przed operacją. Tyle że narzędzie, które trzymał w dłoni, nie miało służyć ratowaniu życia... Nie było już czego ratować. Aleksander Kirakis okazał się bardziej przebiegły, niż można było sądzić.

Uniósł broń. Jak to mawiają Japończycy? Trzeba zachować twarz. Carlo Manetti opuszcza ten świat tak, jak na niego przyszedł - bez grosza przy duszy. Ale nie splami honoru przodków.

Pomyślał o córce. Wierzył, że zaoszczędzi jej wiele przykrości. Przytknął lufę rewolweru do skroni i pociągnął za spust.

Rzym

Limuzyna zatrzymała się przed kompleksem biurowym Kirakis Corporation. Gdy tylko otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Aleksander, reporterzy natychmiast rzucili się do ataku.

- Panie Kirakis, czy mógłby pan nam powiedzieć...
- *Signore*, jaki jest pański stosunek do...
- *Herr* Kirakis, teraz, gdy Carlo Manetti nie żyje, czy...
- *Monsieur Kirakis*, czy śmierć Manettiego będzie miała jakiś wpływ na...
- Proszę spojrzeć!
- Jeszcze tylko jedno ujęcie!

George Prescott, osłaniając Aleksandra, wymachiwał rękami, jakby odganiał chmurę natrętnych much.

- Żadnych komentarzy! - przekrzykiwał reporterów. - Żadnych komentarzy!

Pod ochroną strażników udało im się przedrzeć do drzwi. Szybkobieżna winda zabrała ich na osiemnaste piętro, gdzie miało się odbyć spotkanie z przedstawicielami włoskiego rządu, mającego ochotę odciąć się od finansowych kłopotów Manettiego.

- Ile mamy czasu? - zapytał Aleksander.
- Sporo - odparł George, spoglądając na zegarek. - Będą tu mniej więcej za godzinę.

Aleksander skrzywił się.

- Będę w swoim biurze. Daj mi znać, jak się zjawia.
- Dobrze.

Prescott patrzył, jak przyjaciel znika w drzwiach gabinetu. Od czasu samobójstwa Manettiego Aleksander był w dziwnym nastroju. Z pewnością miała na to wpływ opinia publiczna, zgodnie obwiniająca go o śmierć przemysłowca. George wierzył, że Aleksander szczerze żałuje tego, co się stało. Zdecydował, że najlepiej zostawić go teraz samego. Donatella czuła przerażającą pustkę, jakby część jej istoty umarła wraz z ojcem. Z lustra patrzyła na nią obca twarz postarzałej przedwcześnie kobiety. Oczy, które widziały zbyt wiele cierpienia. Usta, które zapomniały o uśmiechu. Na tej twarzy wycisnął swe piętno smutek. Na pewno nie tak powinna wyglądać dwudziestoparoletnia dziewczyna.

Utkwił jej w głowie cytat z Biblii i teraz powtarzała go jak litanie. Oko za oko... Oko za oko... Ale czy to wystarczy? - pytała samą siebie. Nie! - krzyczała jej przepelniona goryczą dusza. Aleksander Kirakis zapłacił za wszystko.

Prasa zamieniła pogrzeb Manettiego w widowisko cyrkowe. Reporterzy otoczyli Donatellę jak stado wygłodniałych sępów, bezustannie strzelając fleszami, oślepiając ją i prowokując do wypowiedzi. Donatella tuliła się do towarzyszącego jej Luki Agrettiego i starała się zasłaniać oczy przed błyskami lamp. Na nic to się nie zdało. Ostatecznie, wyprowadzona z równowagi, krzyknęła:

- Myślicie tylko o waszych lirach, co?! Nie ma w was za grosz współczucia! Mój ojciec nie żyje! Dociera to do was?! Zostawcie mnie w spokoju, polujcie sobie na tego *figlio di putaña*, Aleksandra Kirakisa! Idźcie do człowieka, który zabił mojego ojca! Przyłożył tacie rewolwer do głowy i pociągnął za spust!

W gazetach na całym świecie ukazały się zdjęcia, przedstawiające Donatellę Manetti rzucającą garść ziemi na wieko trumny.

Dziennikarze we wszystkich częściach świata zastanawiali się, co po śmierci ojca zrobi jego młoda i piękna

spadkobierczyni wobec przejęcia koncernu przez Kirakis Corporation. Ojciec zabezpieczył jej przyszłość, lokując pieniądze poza swoimi zakładami. Żaden z dziennikarzy obecnych na pogrzebie nie domyślał się jednak, o czym myślała.

Nikomu nawet do głowy nie przyszło, co planowała, wsłuchując się w tradycyjne łacińskie formuły ceremonii...

Southampton

Aleksander miał rację - pomyślała Meredith, podziwiając kolejny fantastyczny strzał meża, po którym piłka poszybowała niemal na drugi koniec boiska. - Można mieć obsesję na punkcie polo, można pragnąć być za wszelką cenę najlepszym w tym sporcie. Aleksander spełniał dwa podstawowe warunki, by rzeczywiście być najlepszym - miał gorącą krew i chłodny umysł. Często oglądał na wideo mecze polo. Obserwował przeciwników w akcji, oceniał ich umiejętności i słabe punkty, ustalał strategię na kolejne spotkanie. Nigdy nie przystępował do gry bez przygotowania taktyki dla całego zespołu. A drużynę miał znakomitą ... Wiedział o tym, jednak nigdy nie popadał w zbytnią pewność siebie. Ile meczów wygrał w ciągu ostatnich dwóch lat? Meredith zaczęła się zastanawiać: Cartier International Open w marcu, a wcześniej, w grudniu, Otwarte Mistrzostwa Chile, Otwarte Mistrzostwa Argentyny, w listopadzie zawody w Palermo Park, we wrześniu Puchar Ameryki w Greenwich Polo Club i jej ulubione zawody - sierpniowe Mistrzostwa Świata w Deauville we Francji. W tym roku zamierzał jeszcze zaliczyć turniej w Palm Beach i Puchar Piageta. Poza granicami kraju grywał tylko wtedy, gdy ona mogła mu towarzyszyć, traktując wyjazd jako urlop albo podróż służbową, poświęconą przygotowaniu materiałów do kolejnego programu.

Mecz dobiegł końca. Wsłuchując się w aplauz widowni, Meredith pomyślała, że mijają właśnie dwa lata od

pewnego meczu polo, który połączył dwoje ludzi, choć o mały włos zazdrość i brak zaufania nie rozdzieliły ich na dobre. Wtedy, po pierwszej nocy spędzonej z Aleksandrem, myślała, że już bardziej nie mogłaby go kochać. Myliła się, bo z każdym dniem uczucie, które ich łączyło, było coraz silniejsze. Wstała z miejsca. Przeniosła się przez tłum i stanęła u boku męża ściskającego trofeum. Gratulując zwycięstwa, ucałowała go, nie zwracając uwagi na fotoreporterów czekających na ten moment. Gdy po meczu wracali samochodem do ich posiadłości, powiedziała, śmiejąc się głośno:

- Powinni mieć teraz wystarczająco dużo zdjęć, by mówić o czymś innym niż tylko o interesach. Przynajmniej przez jakiś czas.

Aleksander zamyślił się.

- Czy byłoby ci przykro, gdybym rzeczywiście miał coś wspólnego z aferą Manettiego? - spytał.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Zanim cię poznałam, wiedziałam już, że w interesach nie ma miejsca na sentymenty - odparła. - Korporacja jest tylko i wyłącznie twoją sprawą i nie ma nic wspólnego z tym, co do siebie czujemy. Jesteś moim mężem. Kocham cię. Cokolwiek by się działo, zawsze możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnął się i uściskał jej rękę. Samobójstwo Manettiego przywołało wspomnienia o pewnym zdarzeniu, którym od dawna nie zaprzątał sobie głowy. Nie wątpił, że Meredith stanie teraz po jego stronie. Była silna, rozsądna, a przede wszystkim pragmatycznie nastawiona do życia.

Co jednak czułaby, gdyby poznała historię Marianny Hauptmann?

Nie daje mi spokoju myśl, że za tym milczeniem coś się kryje -

powiedziała Meredith. Spacerowała z Aleksandrem po plaży. - Nie

chodzi mi tylko o niechęć Toma Ryana do rozmów na temat wydarzeń w

Ja-

ninie. Przecież muszą istnieć ludzie znający prawdę! Ale milczą... Chyba ich przekupiono albo zastraszone.

- Jeśli zapłacono im za milczenie, a potrafisz ich odnaleźć, po prostu zaproponuj wyższą cenę, i od razu staną się rozmowni - odrzekł Aleksander. - Ale jeśli ich zastraszone, sprawa się komplikuje. Trudno będzie zdobyć zaufanie kogoś, kto ma do stracenia coś dużo cenniejszego niż pieniądze.

- Mówisz na podstawie własnego doświadczenia?

- Każdy ma swoją cenę. - Zatopił spojrzenie w usianym gwiazdami niebie. - Tyle że nie zawsze można wyrazić ją w dolarach.

- Ale dlaczego ktoś miałby to robić?

- Może Ryan chciał, by żona zostawiła po sobie dobrą pamięć.

- Znałam Toma i wiem, że nic go nie obchodziło, co inni myślą i wypisują.

- Skoro nie Ryan zmusił ludzi do milczenia, to kto?

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że nie chodzi tu o śmierć Davida. I ktoś, niekoniecznie Tom Ryan, postarał się, by nic nie wyszło na jaw. Gratulacje - rzucił na powitanie George, wchodząc do gabinetu. - W niedzielnym programie widziałem zdjęcia z meczu.

- Tym razem nie było łatwo - odparł skromnie Aleksander.

- Wyglądało to na istny pogrom. Nie mieli najmniejszych szans.

- Pokazali tylko wybrane fragmenty, ich zdaniem najciekawsze. - Zerknął do notatek i zmieniając temat, zapytał: - Jak tam twoje plany na ten tydzień?

- Jestem wolny jak ptak, mam tylko kilka rutynowych spotkań.

- Przełóż je. Trzeba odwiedzić naszego doktora Marchwooda w Kalifornii i sprawdzić na miejscu, jak mają się sprawy w jego placówce. Ostatnio miał jakieś problemy

finansowe. Powinienem pojechać osobiście, ale nie mogę się stąd wyrwać.

- W porządku, powiem sekretarce, by przesunęła spotkania.
- Kiedy mógłbyś wyruszyć?
- Jutro rano?
- Wyśmienicie.

Po wyjściu George'a Aleksander wyciągnął ze stosu kartek i czasopism włoską gazetę, przysłaną przez jego ludzi z Rzymu. Na trzeciej stronie zamieszczono artykuł poświęcony Manettiemu. W artykule Donatella Manetti obarczała Aleksandra winą za śmierć ojca. Utrzymywała, że to właśnie on przyczynił się do upadku koncernu, który nie mógł spłacić zaciągniętych kredytów.

Aleksander zdawał sobie sprawę, że Włoch był tylko pionkiem w grze. Ktoś chciał się dobrać nie do Manet-tiego, ale do niego.

Tylko kto?

Kitzbiihel, Austria

Na tarasie hotelu Tennerhof siedział mężczyzna. Kończąc śniadanie, przeglądał poranną prasę. Na trzeciej stronie trafił na artykuł o Manettim i uśmiechnął się z zadowoleniem. Chyba nikt już nie będzie miał wątpliwości, jakie skutki przyniosły marzenia Aleksandra Kirakisa o potędze.

Przewertował gazetę i zatrzymał się dopiero na rubrykach poświęconych biznesowi. Szczegółowo omawiano tam zamierzenia Kirakis Corporation dotyczące produkcji broni nuklearnej, donosząc przy okazji o przewyciężeniu kłopotów finansowych, jakie przeżywała placówka badawcza Marchwooda. Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem. Nie mógł pozwolić, by to przedsięwzięcie się udało. Handel bronią oznaczał wielkie pieniądze, które zapewniłyby Kirakisowi przetrwanie w trudnych czasach.

A do tego nie można dopuścić.

Mimo późnej pory i zmęczenia Meredith kontynuowała przeglądanie notatek ze swojego dochodzenia w sprawie Elizabeth Weldon-Ryan. Kilka ostatnich tygodni przyniosło tylko zawód i zwątpienie, lecz teraz wzięła się na powrót z zapałem do pracy. Gdybym tylko wiedziała, gdzie Tom ją ukrył!

Aleksander leżał obok żony i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

- Wierzysz, że ona nadal żyje, prawda? Meredith kiwnęła głową.
- Owszem, to możliwe.
- Ale to było ponad trzydzieści lat temu!
- Miałyby tylko nieco ponad sześćdziesiątkę. - Odłożyła notes i dodała: - Ona żyje... gdzieś. Przeczuję to.
- Co zrobisz, żeby ją odnaleźć? Roześlesz ludzi? Sprawdzisz każdą klinikę psychiatryczną w Europie?
- Niekoniecznie. Tom Ryan był bardzo bogatym człowiekiem. Jeśli zostawił gdzieś żonę, to na pewno w jednym z najlepszych szpitali. W ten sposób krąg poszukiwań zawęża się.
- Chciał ją osłonić przed prasą - przypomniał Aleksander siadając. - W takim razie bardzo ostrożnie wybrałby szpital. Do najlepszych zakładów mógłby zajrzeć pierwszy lepszy pismak. Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, Elizabeth najprawdopodobniej przebywa w jakiejś prywatnej klinice w Szwajcarii. Dużo się tam nie dowiesz. Na ogół psychiatrzy nie są rozmowni, gdy pytasz o listę pacjentów. Poza tym musisz rozważyć jeszcze

ewentualność, że być może wcale nie zabrano jej do szpitala. Dla kogoś dysponującego większą gotówką nie problem kupić willę i zatrudnić personel medyczny.

- Mało prawdopodobne. Znałam Toma, skarbie. Dla większego bezpieczeństwa wybrałby szpital.

Aleksander milczał.

- Nad Janiną ciąży jakieś przekleństwo... - rzekł wreszcie.

- Co masz na myśli?

- Kiedy byłem dzieckiem - mniej więcej w wieku syna Ryanów - rodzice zabrali mnie do Janiny. Byłem tam wtedy pierwszy i ostatni raz. I zdarzył się wypadek.

O mało nie umarłem.

- Co się stało?

- Nic więcej nie pamiętam. Kiedyś podsłuchiłem rozmowę matki z Heleną. Podobno lekarze ze szpitala Kif-fisia w Atenach stwierdzili, że podświadomie unikam wspomnień o tamtym wydarzeniu. To chyba prawda, bo do dzisiaj mam lukę w pamięci... W dzieciństwie dręczyły mnie przerażające koszmary. Zawsze wydawało mi się, że są jakoś związane z wypadkiem. Śnili mi się ludzie z innej epoki i nieodmiennie towarzyszyło mi uczucie, że zostałem żywcem pogrzebany. Zawsze źle się czułem w niewielkich, zamkniętych pomieszczeniach, jak windy, ale im byłem starszy, tym lepiej sobie z tym radziłem.

- Myślisz, że Helena wie dokładnie, co się wówczas wydarzyło?

- Wtedy gdy podsłuchiwałem, matka poleciła jej, by nigdy nie rozmawiała ze mną o wypadku. Powiedziała też, że jeśli nie chce stracić pracy, nie powinna wspominać o tym przy moim ojcu.

- Dlaczego?

- Pewnie dla ojca było to równie bolesne przeżycie, jak dla mnie. Byłem jego jedynym synem i matka nie mogła mieć już więcej dzieci.

- Wyobrażam sobie, jak cenne staje się wtedy dziecko.

- Tak... To smutne, kiedy jakaś para chce mieć dzieci i nagle staje przed faktem, że to niemożliwe. - Poglądził

dłonią płaski brzuch Meredith. - Dla mnie jedno maleństwo byłoby skarbem.

- Jednym słowem, chcesz, żebym miała brzuszek -stwierdziła żartobliwym tonem.

- Wyglądałabyś ślicznie - rzekł, całując ją czule. -Byłabyś jeszcze piękniejsza niż teraz.

Meredith zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wolałabym, żebyś nie jechał do Turcji - wyszeptała. - Najlepiej już nigdy nie wyjeżdżaj.

- Wrócę jak najszybciej - obiecał, zdejmując z niej szlafrok.

Istambuł

Aleksandrze, w południowo-wschodniej Azji jest bardzo niespokojnie - stwierdził ponuro Kafir. - Przewrót polityczny jest nieunikniony.

Każde słowo Kafira uderzało Aleksandra niczym młot.

- Co to oznacza dla naszych wierceń na Morzu Jawaj-skim? - zapytał, spoglądając przez okno na odległe wieże minaretów.

- Nasze tereny zostaną znacjonalizowane. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Aleksander po raz pierwszy spojrział mu w oczy.

- Więc je stracimy - rzekł powoli. - Co proponujesz? Kafir wzruszył ramionami.

- Do ciebie należy decyzja, jednak byłoby rozsądnie je sprzedać, zanim będzie za późno. Ratować to, co można jeszcze ocalić.

- Ratować...

- Tereny te były pierwszą bardzo śmiałą inwestycją Aleksandra jako prezesa korporacji. - Rozważę to.

- Nie zwlekaj z decyzją - ostrzegł Kafir.

- Dam ci znać. Masz tam swego człowieka, prawda? Ktoś godny zaufania?

- Anglik mieszkający aktualnie w Dżakarcie. Ufam mu.

- Sprawdziłeś go?

- Oczywiście - odparł natychmiast Kafir. - Nie będzie niepotrzebnego ryzyka. Pamiętam lekcję, której udzielił mi przed laty twój ojciec. Aleksander zdobył się na lekki uśmiech.
- Twoja skrupulatność zawsze robiła na nim wrażenie.
- Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem.
- Owszem. - Aleksander usiadł na brzegu biurka. - Utrzymuj stały kontakt z Dżakartą. Ze mną też. Chcę mieć aktualne raporty o rozwoju sytuacji, niezależnie od pory dnia i nocy. Jasne?
- W zupełności - odrzekł Kafir uroczyście.
- Doskonale. - Uścisnęli sobie dłonie. - Nie zawieź mnie - dodał lekkim tonem Aleksander, lecz w jego spojrzeniu Kafir dostrzegł ostrzeżenie.
- Nigdy - rzucił szybko.

Idąc w stronę szklanych drzwi, Aleksander ujrzał w szybie wyraz z troskowania na twarzy Muhammeda. Zaniepokoiło go to.

Nowy Jork

Antyczny zegar wybił godzinę trzecią nad ranem. Meredith uznała, że czas wreszcie pomyśleć o odpoczynku.

Była wyczerpana. Ziewnęła i zaczęła pakować do kartonu materiały, które przyniosła z biura. Sięgnęła po plik starych pożółkłych wycinków i naraz zamarła. Obok oprawionej w srebrną ramkę fotografii, przedstawiającej ją i Aleksandra wracających z podróży poślubnej, leżało zdjęcie Elizabeth. W jednej chwili Meredith zapomniała o zmęczeniu. Podniosła obydwie fotografie i przyłożyła je do siebie, tak że twarz Aleksandra znalazła się tuż przy twarzy Elizabeth. Jakże byli do siebie podobni! Mieli identyczne rysy twarzy, ten sam odcień włosów i czarne oczy. Nie, to niemożliwe - pomyślała Meredith. Aleksander jest dzieckiem Constantine'a i Meliny Kirakisów. Syn Elizabeth nie żyje. Proste i jasne. A jednak...

Podniosła wzrok na portret Elizabeth i jej syna. Matka i syn... Te same rysy, barwa włosów i błyszczące jak szlifowany onyks oczy, czarne niczym najciemniejsza noc. Przypomniała sobie portret Constantine'a i Meliny, wiszący w holu willi w Grecji, i to, jak kiedyś zażartowała: „Aleksandrze, musisz być podrzutkiem! W ogóle nie jesteś do nich podobny!” ...

Nie! To po prostu niemożliwe!

O świcie zatelefonowała do Williama McCloskeya.

- O coś zapomniałam pana spytać - powiedziała. -Czy wie pan, gdzie pochowano Davida Ryana?

- Pogrzebu nie było.

- Nie rozumiem.

- Chłopiec zmarł w tej starej studni. Ciała nigdy nie wydobyto.

Berlin

Było to pierwsze aresztowanie z całej serii. Stanowiło wynik dochodzenia przeciw niedozwolonym operacjom finansowym, prowadzonego przez berlińską policję kryminalną. Miliardy dolarów przelewano między kontami, „prano” i na powrót przepuszczano przez skomplikowany system bankowy, używając do tego celu fikcyjnych firm. Policja prowadziła śledztwo od kilku miesięcy, lecz pierwszy obiecujący ślad pojawił się po anonimowym telefonie. Za pomocą elektronicznego systemu poszukiwania rozmówcy udało się ustalić, skąd dzwonił. Numer należał do kompleksu biurowego w Wiedniu.

Wiadomość o aresztowaniu w ciągu godziny przeniknęła do prasy. Mówiło się, że oskarżony uparcie zapewnia o swojej niewinności. Twierdził, że jakoby został wrobiony. Nie potrafił jednak wskazać winowajcy.

Aresztantem był starszy wiceprezes Kirakis Corporation.

Paryż

Interpol, posiadający centralę danych o międzynarodowej przestępczości, mieści się w imponującym budynku ze szkła i stali przy ulicy Armengaud pod numerem 26, w otoczeniu prywatnych posesji. W tym to budynku w pamięci centralnego komputera inspektor Adrian Dessain usiłował znaleźć odpowiedź na dręczące go pytania.

Był to niewysoki, nieco tęgawy mężczyzna po czterdziestce. Chodząc, prawie nie unosił nóg, jakby chciał zaoszczędzić każdą kalorię energii. Potwierdzał to jego sposób mówienia, równie oszczędny i powolny.

Dessain sprawiał wrażenie obrzydliwej kreatury, ale w opinii kolegów, którzy mieli zaszczyt z nim blisko współpracować, powierzchowność detektywa ostro kontrastowała z jego niezwykłymi zdolnościami. Miał bowiem bystry, analityczny umysł i niesamowitą zdolność do wynajdywania najdrobniejszych detali, decydujących później o rozwiązaniu sprawy. O takich ludziach mówi się, że „mają nosa”. Zagadki nie do rozwiązania nagle stawały się proste, gdy tylko zabierał się do nich inspektor Adrian Dessain. Być może miała w tym swój udział właśnie jego nieciekawa, wręcz odpychająca powierzchowność, którą potrafił zwieść wielu ludzi, zwłaszcza podejrzanych. Lekceważono go. Uważano za głupca. Nie można było popełnić większego błędu. Był szalenie niebezpiecznym przeciwnikiem. Systematyczny, zawsze wybiegał myślami naprzód, planował swe kolejne posunięcia, a jeśli raz trafił na ślad, nigdy go nie stracił.

Teraz patrzył w zamyśleniu na kolumny cyfr i linijki tekstu, wypełniające ekran komputera. Trzy dni temu Interpol dostał wiadomość o aresztowaniu w Berlinie. „Pranie” pieniędzy. Dessain pokręcił głową. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Zatrzymany mężczyzna był tylko pionkiem, niewiele znaczącym członkiem międzynarodowej siatki, prowadzącej nielegalne operacje finansowe na terenie

całej Europy. W rozmowie z Walterem Mendlerem, naczelnym inspektorem berlińskiej policji, wyszła na jaw kwestia poufnej informacji od nieznanego rozmówcy. Detektyw był zdziwiony brakiem zainteresowania niemieckiej policji tą sprawą. Postanowił przyjrzeć się jej bliżej. Przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, w wyniku czego dowiedział się, że biura, z których dzwoniło, wynajmowała jakaś firma. Fikcyjna firma. Wyglądało na to, że było to przedsięwzięcie jednego człowieka. Nie istnieli bowiem akcjonariusze ani pracownicy, z którymi można by się skontaktować. Inspektor trzykrotnie dzwonił pod numer, który przekazał mu Mendler. Za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka. Zastanawiało Dessaina, dlaczego anonimowy rozmówca nie chce się ujawnić. Coś najwyraźniej w tym wszystkim nie grało.

Aresztowany w Berlinie mężczyzna nazywał się Kurt Badrutt. Palce detektywa wystukiwały na klawiszach komputera kolejne pytania, dotyczące tego człowieka.

Zatrzymany był jednym z najlepiej opłacanych dyrektorów w Europie. Posiadał dom w Wannsee, piękny majątek na wsi i willę na Riwierze. W Kirakis Corporation pracował od dwudziestu dwóch lat i miał dobrą opinię. Aż do teraz. W Dessainie obudziły się podejrzenia. Dlaczego akurat teraz? Badrutt twierdził, że został wrobiony. Czy to możliwe? Mówił prawdę? A jeśli tak, to dlaczego? Odpowiedź narzucała się sama - ktoś mógł atakować w ten sposób kogoś innego; Badrutt wcale nie był celem ataku, a jedynie narzędziem. Najprawdopodobniej ktoś usiłował skompromitować Kirakis Corporation. Dessain przeczuwał wielkie kłopoty. Przeczucia rzadko go zawodziły, bardzo rzadko. Postanowił przyjrzeć się sprawie bliżej. Na początek należało porozmawiać z Kurtem Badruttem.

Nazajutrz poleciał więc do Berlina.

W pozbawionym okien pokoju projekcyjnym, na najwyższym piętrze budynku World Trade Center, w nerwowej atmosferze oczekiwała przybycia prezesa grupa pracowników służby informacyjnej Kirakis Corporation. Dotychczas Aleksander nigdy się nie interesował przekazywanymi telewizji materiałami, nie ingerował w pracę tej sekcji korporacji. Nawet kampanii reklamowej nie poświęcał ani chwili swego cennego czasu, pozostawiając to wszystko na głowie George'a Prescottta. Sytuacja jednak uległa zmianie.

Mniej zorientowani mogli odnieść wrażenie, że nagle spadły na korporację wszystkie możliwe nieszczęścia. W prasie pojawiało się o niej coraz więcej niepochlebnych artykułów. Rozpisywano się o niepowodzeniach Kirakis Coloration. Wydział farmaceutyczny wypuścił na rynek środek przeciwbólowy zawierający cyjanek. Sprzedawano go bez recept, choć uznany został za narkotyk. Trzy osoby zmarły. W placówce prowadzącej badania nuklearne nastąpiła eksplozja w budynku reaktorów - na szczęście żaden z reaktorów wtedy nie pracował. Polom naftowym na Morzu Jawajskim groziło znacjonalizowanie. No i mnóstwo drobniejszych wypadków, które umknęły prasie.

Gwar męskich głosów ucichł nagle. Do pokoju weszli Aleksander Kirakis oraz towarzyszący mu George Prescottt i Jeremy Roberts, szef działu reklamy i służb informacyjnych. Przybyli mężczyźni krótko przywitani zebranych i zajęli miejsca. Roberts dał znak jednemu

ze swoich ludzi, by zacząć projekcję. Pogasły światła i ekran ożył. Przedstawiono Aleksandrowi film obrazujący pięćdziesięcioletnią historię Kirakis Corporation. W filmie podkreślono udział Constantine'a Kirakisa w drugiej wojnie światowej, barwnie odmalowano rozwój ekonomiczny i technologiczny korporacji, na koniec ukazano plany na przyszłość. Roberts nie patrzył na ekran. Skupił uwagę na prezesie, próbując odczytać z jego twarzy, co sądzi o filmie. Twarz Aleksandra pozbawiona była jednak wyrazu.

- I jak? - nie wytrzymał Roberts, gdy włączono światła.

- Dwa truizmy, trzy nonsensy i kilka nietrafnych metafor - odparł Aleksander poirytowany.

- Panie Kirakis, tego właśnie chcą widzowie. Prostoty i rzetelnych informacji.

- Tym śmieciom nie poświęciliby nawet dwóch sekund uwagi - rzekł twardo, podnosząc się z fotela. - Spodziewałem się filmu, którego tematem byłyby plany korporacji, nowe horyzonty! A pan co mi zaserwował? Lekcję historii?

- Ale, panie Kirakis...

- Widziałem już nowe druki reklamowe, a teraz to... Jestem bardzo zawiedziony - stwierdził Aleksander, obrzucając Roberta lodowatym spojrzeniem.

- Zawiedziony? Włożyliśmy wiele wysiłku w ten film!

- Najwidoczniej za mało. Wasz obraz nie robi na widzach żadnego wrażenia. - Zwrócił się do George'a: -Zobacz, co da się znaleźć w starych materiałach. To coś - wskazał na ekran - w żadnym wypadku nie może pójść na antenę.

- Przygotowanie nowych materiałów potrwa całe miesiące. - Roberts nie mógł pogodzić się z decyzją prezesa.

- Nie obchodzi mnie, ile to zajmie czasu! - warknął Aleksander. - Gdy wasi ludzie zabiorą się do pracy, dobrze byłoby wbić im do głowy, że nie interesuje mnie wmawianie widzom, co Kirakis robi. Chcę, byście to pokazali! Pokażcie im pracę korporacji w krajach rozwijających się. Pokażcie, jak nasze projekty urbanizacyjne postawiły na nogi budownictwo w wielu częściach świata. - Zrobił pau-

zę. Oczy błyszczały mu ze złości. - Mowa nic nie znaczy, panowie. Chcę akcji. Ludzie tego chcą. Opowiadanie im, co mamy w planach, nie będzie nawet w połowie tak efektywne, jak pokazanie nas w działaniu.

- Proszę pana, w ten film zainwestowaliśmy dużo czasu i pieniędzy!

Druki reklamowe... - Roberts przerwał w pół słowa, widząc złowróżbny uśmiech na twarzy Aleksandra.

- To niemądre z pana strony, Roberts, że przypomina mi pan o marnotrawieniu kapitału korporacji i pracy ludzkiej. Lepiej niech pańscy ludzie natychmiast wezmą się do roboty.

Roberts zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz skinął tylko głową i rzekł:

- Tak jest.

Pracownicy działu reklamy obserwowali w milczeniu, jak prezes i jego najbliższy współpracownik opuszczają salę projekcyjną.

- Chcę z tobą porozmawiać w moim biurze - powiedział Aleksander. Szli w kierunku wind.

- Kiedy? - spytał George.

- Zaraz. Znalazłem rozwiązanie naszych problemów w południowo-wschodniej Azji.

George chciał już zapytać, jak to możliwe, ale powstrzymał się. Znał przyjaciela. Aleksander był mistrzem uników. Jakimś sobie tylko znanym sposobem potrafił sprawić, by wilk był syty i owca cała.

Weszli do gabinetu. Kiedy Aleksander usiadł za biurkiem, George zauważył ze zdziwieniem, że na twarzy przyjaciela nie ma śladu gniewu czy troski. Aleksander uśmiechnął się szeroko.

- Przemyślałem ostatnio parę spraw... - zaczął. - Koncerny Hammond Transcon, Barkley-Hóward, Patterson Holdings Limited i Lone Star Oil były jednakowo zainteresowane wykupieniem części naszych akcji niemal od pierwszego dnia wierceń. - Zrobił pauzę. Po chwili dodał: - Postanowiłem dopuścić konkurencję. Dam im po dwadzieścia pięć procent.

- Co? - George otworzył szeroko oczy ze zdumienia. -

Każdej firmie z tych czterech? Dwadzieścia pięć procent razy cztery to pełen pakiet...

- Niezupełnie. Z każdym koncernem zawrę taki sam układ. Poufnie zaproponuję po dwadzieścia pięć procent w zamian za piętnaście procent zysku i zapewnienie o utrzymaniu transakcji w sekrecie.

- Więc żadna z tych firm nie będzie wiedziała, że inne są w to także zaangażowane - sprecyzował George.

- Dokładnie tak.

- I tym sposobem odzyskasz swój kapitał, a ponadto trafi do twojej kieszeni wysoki procent z zysków, jeśli tylko pola naftowe okażą się dobre. I jeśli, oczywiście, nie zostaną znacjonalizowane.

Aleksander pokiwał głową. George zamyślił się. Po chwili rzekł:

- Zbierzesz całą śmietankę, niczego nie ryzykując! Aleksander oparł dłoń na biurku. Wyraźnie był z siebie zadowolony.

- Myślisz, że istnieje lepszy sposób? Może to, co proponował Kafir?

- Nie wydaje mi się, by ktokolwiek wymyślił coś bardziej korzystnego. Jest jednak inny problem: mogą być przecieki.

- Myślałem o tym. Dlatego właśnie postanowiłem, że będziemy o tym wiedzieli tylko my dwaj. Procenty będą przelewane bezpośrednio do banku w Szwajcarii.

- Trzymasz w ręku wszystkie atuty - rzekł z podziwem George.

- Muszę. - Aleksander podniósł leżący na biurku telegram i podał go przyjacielowi. - Konsorcjum bankowe obawia się o naszą wypłacalność. Żądają spłaty zaciągniętych kredytów.

Lozanna

Doktor Henri Goudron wyszedł ze swego gabinetu i z mozołem wspinając się po schodach, skierował się

do pokoju Elizabeth Ryan. Zastał ją siedzącą jak zwykle w obitym aksamitem fotelu, zapatrzoną w przestrzeń za oknem. Pielęgniarka właśnie rozczesywała jej wspaniałe włosy. Elizabeth była w tym momencie uosobieniem samotności. Jak zaklęta królowa, której wiele, wiele lat temu ktoś przyniósł straszne wieści o synu.

Nowy Jork

W ostatnich tygodniach Meredith zmieniła kierunek poszukiwań. Zaczęła badać przeszłość Aleksandra, życie jego ojca i matki. Gratulując sobie przezorności, sięgnęła po przywiezione z Grecji stare albumy rodzinne, pełne zdjęć i pamiątek. Odbyła także długą rozmowę telefoniczną z Heleną, starając się od niej dyskretnie czegoś dowiedzieć. Unikała jednak choćby wzmianki o Janinie w obawie, by nie wzbudzić w Greczynce podejrzeń.

Odkryła jeden bardzo interesujący fakt. W albumach było mnóstwo zdjęć Damiana Kirakisa, ale ani jednej fotografii Aleksandra z okresu wczesnego dzieciństwa. Pierwszą zrobiono mu dopiero, gdy miał pięć lat. Zapytała o to Helenę, lecz nie usłyszała rozsądnej odpowiedzi. Helena zasugerowała, że przypadkowo mogły zostać zniszczone.

- Zresztą, to nie ma znaczenia - powiedziała.

- Czy nie wydaje ci się dziwne - zauważyła Meredith - że w albumach rodzinnych są całe tony fotografii z okresu od października tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, ale na ani jednej nie ma Aleksandra? Gdyby uległy zniszczeniu, powinny zniknąć i inne zdjęcia z tamtych lat.

- Może powinnaś porozmawiać z Aleksim - zasugerowała Helena.

- Porozmawiam z nim.

- Dlaczego tak interesują cię te stare fotografie?

- Zwykła ciekawość - skłamała Meredith. - Zastana-

wialiśmy się, czy chcemy chłopca, czy dziewczynkę. Chciałam po prostu zobaczyć, jak Aleksander wyglądał w dzieciństwie. Nie potrafię go sobie wyobrazić jako malucha.

- Zapewniam cię, że kiedyś nim był - rzekła ze śmiechem Helena. -
Byстрыm i psotnym!

Rozmowa z Heleną nie uspokoiła Meredith. Im dłużej myślała o tej sprawie, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że śmierć dziecka Elizabeth i wypadek Aleksandra były w jakiś tajemniczy sposób ze sobą powiązane.

Stacey, chwilowo nie ma mnie dla nikogo.

- Tak jest, panie Kirakis.

Aleksander zamknął drzwi gabinetu i odetchnął głęboko. Właśnie wrócił z posiedzenia zarządu. Nie mógł się pogodzić z tym, że ojciec przekształcił korporację w spółkę akcyjną. Gdyby Kirakis Corporation pozostała prywatnym przedsięwzięciem, przed nikim nie musiałby się tłumaczyć.

Niech ich cholera - pomyślał ze złością. - Akcjonariusze są tacy krótkowzroczni i ograniczeni!

Wątpili w przyszłość nuklearnego programu badawczego.

Argumentowali - tak jakby sam tego nie wiedział - że projekt kosztował korporację więcej, niż była w stanie zainwestować. Były też problemy z prawem federalnym. Przeciwnicy energetyki jądrowej żądali całkowitego przerwania badań. Rada nadzorcza chciała skreślić ten program badawczy i jak najszybciej o nim zapomnieć, Aleksander jednak ostro się temu sprzeciwił. Nazywali to wyrzucaniem pieniędzy w błoto, a on postęmem. Próby przemawiania zarządowi do rozsądku tylko go frustrowały.

Usiadł za masywnym biurkiem z czarnego mahoni i zaczął masować skronie. Na początek uporać się z bólem głowy. A potem? Ostatnie trzy lata to jedno pasmo niepowodzeń. Zaczęło się od pożaru w filii korporacji w Montrealu. Niektórzy z pracowników twierdzili, że

było to podpalenie, nie potrafili jednak podać żadnych dowodów. Kilka drobniejszych potknięć i nagle bankructwo Manettiiego. Spekulacje na temat przyczynienia się Kirakis Corporation do jego upadku unicestwiły wizerunek Aleksandra, wypracowany z takim trudem.

Gdy już z wolna zapominano o śmierci włoskiego przemysłowca, zaczęły się procesy przeciw francuskiemu koncernowi farmaceutycznemu, który używał cyjanku do produkcji środków przeciwbólowych. Później doszła awaria w placówce prowadzącej badania jądrowe. Na dodatek Kafir ostrzegał przed wydarzeniami w Azji. Ktoś chciał zniszczyć Aleksandra. Wiedział, gdzie uderzyć, znał słabe punkty korporacji. Aleksander nie miał wątpliwości, że rozpoczęła się walka na śmierć i życie z potężnym przeciwnikiem bez twarzy... I nie zamierzał się poddawać.

Meredith, siedząc na krześle, cierpliwie znosiła kolejne fazy nakładania makijażu. W kącie przycupnęła Cindy, odczytując głośno program na bieżący i przyszły tydzień i wprowadzając do niego poprawki. Była w połowie planów na przyszły miesiąc, gdy otworzyły się drzwi i do środka zajrzał Larry Kyle, asystent producenta programu.

- Proszę, proszę, kogóż oglądają nasze oczy! Powrót córki marnotrawnej - zażartował. - Wreszcie! I jak tam było w cudownych egzotycznych miejscach, do których zawitałaś pod pretekstem pracy? Podczas gdy twoi niewolnicy orali w studiu?

- Kyle, daj spokój - odparła Meredith, próbując powstrzymać wybuch śmiechu, który zniweczyłby wszystkie wysiłki kosmetyczki. - Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich impertynencji. To nie fair. Jeszcze nie wyzbyłeś się amatorskiego podejścia do naszego zawodu.

Roześmiał się.

- Jesteś w dobrej formie, jak na kogoś, kto przez ostatnie dwa tygodnie był w rozjazdach.

- Masz szczęście, że jestem w dobrym nastroju. -

Kosmetyczka zakończyła pracę i przekazała Meredith fryzjerowi.

- W dobrym nastroju? - Zaśmiał się szyderczo. - To oznacza, że po powrocie musiałaś zastać mężusia. Stajesz się wtedy wprost nieznośna.

- Bo przebierzesz miarkę - ostrzegła, unosząc jedną brew.

Larry odwrócił się do Cindy.

- Powiedziałaś jej o tym dziwaku, który usiłował się do niej dodzwonić? - zapytał, wkładając za ucho ołówek.

- O jakim dziwaku? - Meredith spojrzała na sekretarkę.

Cindy kiwnęła głową, wzdychając boleśnie.

- Nic ważnego. Jakiś wariat, nie wie na jakim świecie żyje. Wydzwaniał tu i za każdym razem odmawiał zostawienia informacji. Codziennie o tej samej porze.

- Tak to bywa, jak się jest sławnym - jęknął Kyle. Meredith uśmiechnęła się lekko.

- A nie mówiłam, że nasze ogłoszenia zwabią wszystkich oryginałów aż po San Francisco? - rzekła.

- Nie interesuje cię to? - spytała Cindy, zamykając riotes.

- A powinno? - Meredith błysnęła jednym ze swych najbardziej profesjonalnych uśmiechów.

- Prawdę mówiąc, jego bełkot brzmiał tak niejasno...

- Wszyscy maniacy są dziwni - zauważyła Meredith. -I na ogół zupełnie nieszkodliwi.

Usiłowała nie okazywać zainteresowania, choć była więcej niż zadowolona...

Londyn

Inspektor Dessain szedł za konstablem wąskim, pogrążonym w nienaturalnej ciszy korytarzem. Atmosfera była tak niesamowita, że inspektora aż przechodziły ciarki. To śmierć - pomyślał. Wszędzie wokół czuło się jej obecność. Konstabl otworzył drzwi i Dessain wszedł do przygnębiająco szarego pomieszczenia, w którym przechowywano zwłoki. Na metalowym stole pośrodku leżało ciało, okryte białym prześcieradłem. Przewodnik uniósł skraj płachty.

- Czy to ona, inspektorze?

Dessain skinął głową. Dostał mdłości. Popatrzył jeszcze raz na twarz zmarłej, zanim prześcieradło wróciło na swoje miejsce. Nie miał wątpliwości. Tej kobiety szukał przez ostatnie dwa tygodnie.

- Jak umarła? - zapytał.

- Potrącenie. Sprawca zbiegł. Przechodziła przez ulicę przy Gloucester Place, niedaleko Hyde Parku. Kierowca nawet nie zwolnił.

- Ktoś widział samochód? Markę, kolor? Tablicę rejestracyjną?

Konstabl pokręcił głową.

- Zdarzyło się to późno w nocy. Nieliczni świadkowie nie zdążyli nawet przyjrzeć się pojazdowi. Jechał bardzo szybko...

- Powiadomi pan jej siostrę?

- Tak, proszę pana. Natychmiast.

- Oto mój numer do hotelu. I do Paryża. Da mi pan znać, jeśli będą jakieś postępy w śledztwie?

- Oczywiście, proszę pana.

Dessain był przekonany, że to nie był wypadek.

Jadąc do hotelu, Dessain raz jeszcze porządkował fakty. Choć nie znał Carolyn Grayson, nie miał problemów z identyfikacją zwłok. Interpol rozesłał fotografie dwa tygodnie wcześniej. Była osobistą sekretarką Drew Douglasa-Kenta, wiceprezesa Kirakis Corporation w Londynie. Trzy tygodnie temu zniknęła z aktówką pełną poufnych dokumentów i sprawą zainteresował się Interpol, posiadający wskazówki, że dziewczyna należy do tej samej siatki co Kurt Badrutt w Berlinie. Dessain zapatrywał się na to sceptycznie. Chodziło o zwykłą sekretarkę! Nawet jeśli była kurierką Douglasa-Kenta, sprawa wyglądała nonsensownie. Rozmawiał z siostrą ofiary, reporterką sieci BBC. Lucy Grayson-Taylor stwierdziła, że Carolyn zadzwoniła do niej w przeddzień zniknięcia. Siostra sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. Powiedziała, że zupełnie przypadkowo natknęła się na coś ważnego, a ostatnio jakiś facet wydzwania i jej grozi. Nie zdradziła jednak, co takiego odkryła.

Zamierzała dostarczyć wszystkie dokumenty odpowiednim osobom.

Takie były jej ostatnie słowa.

Ale w chwili śmierci nie miała przy sobie teczki -przypomniał sobie Dessain, płacąc taksówkarzowi, który dowiózł go do Royal Westminster Thistle Hotel. -Lucy Grayson-Taylor utrzymywała, że dokumentów również nie było w apartamencie siostry, który dokładnie przeszukała.

Dlaczego ktoś, kto by je chciał odebrać Carolyn Grayson, posunął się do morderstwa?

Dessain zatrzymał się w recepcji, by sprawdzić, czy nie ma dla niego jakiejś wiadomości. Nie było żadnej, więc zamyślony udał się do swego pokoju. Już od sześciu miesięcy interesował się działalnością kierowniczego szczebla Kirakis Corporation. Długie godziny spędził przy komputerach w podziemiach siedziby Interpolu. Drobiazgowo sprawdził Kurta Badrutta i okazało się, że

dyrektor był „czysty” pod każdym względem. Cały tydzień spędził w Niemczech, szperając w archiwach bankowych. Pod koniec tygodnia dysponował wyraźnym i dokładnym portretem Badrutta. Kurt Badrutt był wybitnym biznesmenem, posiadającym na swym koncie znaczne sukcesy, a ponadto człowiekiem bez skazy. Nigdy nie otrzymał nawet mandatu drogowego. Od dwudziestu pięciu lat był żonaty, dochował się dwojga dzieci. Jednak od czterech lat miał stałą kochankę -ekskluzywną prostytutkę. To niemądre ze strony Badrutta - pomyślał inspektor. Ale zdrada małżeńska pewnie nie miała związku z kłopotami dyrektora. Musiała stać za tym ta sama osoba, która zamordowała Carolyn Grayson i utrudniała rozwój Kirakis Corporation.

Po zniknięciu Carolyn Grayson detektyw wziął pod lupę Kirakis Corporation. To, czego się dowiedział, zdumiało go. Powszechnie uważano korporację za największe na świecie międzynarodowe przedsięwzięcie, lecz nikt - może z wyjątkiem Aleksandra Kirakisa - nie zdawał sobie sprawy z jej potęgi. Przypominała gigantyczną ośmiornicę, obejmującą swymi mackami cały glob. Nie istniała żadna dziedzina przemysłu czy handlu wolna od jej wpływu. Liczba pracowników korporacji i suma aktywów czyniły ją potężniejszą od niejednego państwa. Aż trudno było uwierzyć, że coś takiego powstało z Athena Shipping Company, przeżywającej w połowie lat dwudziestych ogromne kłopoty.

Inspektor był zafascynowany fenomenalnym rozwojem Kirakis Corporation. Na początku firma przetrwała dzięki geniuszowi Constantine'a Kirakisa i wsparciu jego bogatego teścia, Damiana Katramopoulou. Potem rozwijała się coraz lepiej. Przyszedł czas inwestycji na szeroką skalę. Athena Shipping przekształciło się w Athena Maritime, flagową spółkę późniejszej wielkiej korporacji. Constantine Kirakis bez większych problemów, powoli i systematycznie, rozbudowywał imperium, by na początku 1982 roku przekazać ster swemu jednemu synowi. I wtedy zaczęły się kłopoty.

Aleksander Kirakis był bardzo dynamicznym biznesmenem. I bezlitosnym. Wyjątkowo dobrze opanował sztukę przysparzania sobie wrogów, osiągając na tym polu wyniki równie imponujące, jak w dziedzinie ekonomii. Mimo początkowych sukcesów Aleksandra Kirakisa jego imperium zaczęło borykać się z coraz większą liczbą problemów. Banki żądały spłaty kredytów... Ciekawa zależność - myślał Dessain. - Seria najróżniejszych wypadków, jakie dotknęły Kirakis Corporation, i naciski ze strony banków... Chyba szukałem nie tam, gdzie trzeba. A jeśli to nie korporacja jest celem? Być może jest nim sam Aleksander Kirakis.

Nowy Jork

W biurze Broadcast Center Meredith dyktowała list sekretarce. Usiłowała się skupić, lecz wciąż powracała myślami do sprawy Elizabeth Weldon-Ryan.

Tydzień wcześniej zadzwoniła do dyrektora szpitala Kiffisa w Atenach. Nie miała żadnych kłopotów z uzyskaniem informacji. Była przecież panią Kirakis, a Aleksander i jego ojciec mieli poważny udział w rozwoju szpitala.

Najpierw zapytała o Aleksandra, który podobno był tam hospitalizowany po wypadku w Janinie. Potem o Elizabeth Weldon-Ryan. Gdyby Elizabeth choć na krótko przebywała w szpitalu w Atenach, mógłby istnieć w kartotekach zapis o miejscu jej późniejszego pobytu. Wciąż było zbyt wiele niewiadomych...

Dziwnie się to ułożyło. Na początku chodziło Meredith o odsłonięcie tajemnicy losów Elizabeth po śmierci jej syna. Teraz liczyło się dla niej to, co przydarzyło się Aleksandrowi w malej greckiej miejscowości. Czy to on był dzieckiem, które rzekomo zginęło w studni? A jeśli tak, to jak udało mu się przeżyć? I dlaczego Tom i Elizabeth byli tak pewni, że syn nie żył?

- To już wszystko? - spytała Cindy.

- Słucham? Tak, to wszystko. Przynajmniej na razie.

Gdy Cindy wyszła, Meredith wyjęła z pudła fotografie przedstawiające Elizabeth i Aleksandra i po raz kolejny porównała je z sobą.

Niesamowite! Podobieństwo było uderzające.

Meredith zadrżała. Zrozumiała w tej chwili, że jej własny mąż jest brakującym elementem układanki, którą starała się złożyć przez tyle lat.

Co naprawdę wydarzyło się w Grecji tamtego lata?

Odsłanianie tajemnic Janiny było jednocześnie odkrywaniem przeszłości Aleksandra. Otwarcie puszek Pandory...

Paryż

Dessain postanowił przyjrzeć się dokładnie Aleksandrowi Kirakisowi. W tym celu wyruszył w podróż po Europie.

W każdym mieście poświęcał wiele czasu na penetrowanie archiwów większych gazet i komputerowych banków danych. Była to żmudna i czasochłonna praca, ale efekty warte były fadygi.

Inspektor dowiedział się między innymi, że Aleksander Kirakis przyszedł na świat 17 listopada 1948 roku. Z jego karty zdrowia wynikało, że miał wyjątkową, najrzadziej spotykaną grupę krwi: AB Rh minus. Dessain nie mógł znaleźć metryki urodzenia, ale nawet komputery popełniają błędy.

Kirakis miał prywatnych nauczycieli i nie opuszczał rodzinnej wyspy na Morzu Egejskim aż do osiemnastego roku życia, kiedy to wstąpił do Harvard Business School. W 1971 roku ukończył studia z wyróżnieniem.

Uwielbiał podróżować, wydawał olbrzymie sumy na kobiety i konie.

Uznano go za jednego z najlepszych graczy polo na świecie, miał równocześnie opinię niepoprawnego kobieciarza.

Zaangażowany był w kilka krótkotrwałych związków. Jeszcze na rok przed ślubem z amerykańską dzienni-

karką, Meredith Courtney, miał kochankę, Greczynkę. Niejedna kobieta zapewne pragnęła się na nim zemścić. Znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Bankierzy stawali się coraz bardziej niecierpliwi i Dessain obawiał się, że Kirakis może popełnić jakiś desperacki czyn.

Nadszedł czas się z nim spotkać - zdecydował inspektor.

Los Angeles

W czytelnym pewien mężczyzna z uwagą wpatrywał się w ekran, na którym wyświetlano informacje z powszechnie dostępnego banku danych.

Nareszcie miał to, czego szukał. Otrzymał polecenie odszukania pewnej informacji wśród zapisów medycznych i z satysfakcją myślał już o sześciocyfrowej nagrodzie, jaką otrzyma od klienta.

Właśnie... Nie miał nawet pojęcia, dla kogo pracuje. Kontaktował się jedynie z pośrednikiem, którym była anonimowa kobieta. Zapłacono mu przelewem na konto w banku. Musiał więc zdać się na domysły. Nie ulegało wątpliwości, że klient jest wpływową osobistością, bardzo bogatą i zdecydowaną zachować anonimowość.

Dlaczego jednak interesowała go karta zdrowia dziecka, które nie żyło od trzydziestu lat?

Nowy Jork

Aleksander cały rano spędził w swoim biurze w World Trade Center.

Nie przyjmował żadnych telefonów. Meredith miała rację. Potrzebowali chwili wytchnienia, by wszystko uporządkować. Cieszył się na wyjazd do Southampton. Tam będą mogli porozmawiać...

Za niecałe dwie godziny miał spotkanie z grupą bankierów. Z chęcią przełożyłby je na inny termin, lecz sprawy były zbyt ważne, by mogły czekać choćby jeden dzień

dłużej. Odetchnął głęboko. Przynajmniej to już ostatnie tego typu zebranie przed wyjazdem na weekend.

Nagle zabrzmiał dzwonek interkomu. Aleksander ze złością uderzył w przycisk.

- Stacey, mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzano - powiedział ostro.

- Wiem, proszę pana, jednak jest tutaj pewien dżentelmen, który twierdzi, że musi z panem rozmawiać - odparła pośpiesznie sekretarka. - Jest z Interpolu.

- Z Interpolu? Dobrze, niech wejdzie.

- Tak, proszę pana.

Drzwi otworzyły się i mężczyzna wszedł. Aleksander spodziewał się kogoś... innego. Mężczyzna był w średnim wieku, niewysoki, krępy. Miał włosy w nieładzie, poruszał się niezwykle leniwie.

- Inspektor Adrian Dessain - przedstawił się nieznajomy uśmiechając się.

- Możemy chwilę porozmawiać? Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Na jaki temat?

- Interesują mnie... pańskie ostatnie niepowodzenia. Mogę usiąść? Jestem na nogach od samego rana.

Aleksander skinął głową.

- Nie mogę niestety poświęcić panu zbyt dużo czasu. Za godzinę mam spotkanie w odległej części miasta i...

- Nie zabawię długo - zapewnił Dessain, sadowiąc się w fotelu. - Wie pan zapewne, że w Berlinie aresztowano jednego z pańskich kierowników. Zarzuca się mu udział w nielegalnych operacjach finansowych.

- Tak, wiem o tym.

- Otóż byłem w Berlinie i rozmawiałem z nim. Zaklinał się, że jest niewinny, i jestem skłonny mu uwierzyć. Wydaje mi się, że ktoś go wrobił. Wiem nawet dlaczego. Otóż, by dobrać się do pana, *monsieur Kirakis*.

- To bardzo interesująca teoria, inspektorze.

- Wszystko wskazuje na to, że jest prawdziwa - odparł Dessain. Wyliczył wszystkie niepowodzenia, jakie dotknęły Kirakis Corporation w ostatnich latach. Pokazał wydruki komputerowe i inne dokumenty zebrane

w toku śledztwa. Wspomniał też o śmierci Carolyn Grayson. - Oficjalnie uznano, że zginęła w wypadku - zakończył.

- Ale pan w to oczywiście nie wierzy - rzekł Aleksander.

- Nie. - Dessain skrzywił się. - Ktoś chciał upozorować wypadek i mu się udało. Ale mnie nie oszukał. -Przerwał. - Od kiedy zarządza pan

korporacją, na pewno nie raz nadepnał pan komuś na odcisk. Mam rację?

- W biznesie, inspektorze, zawsze ma się wrogów -odrzekł Aleksander. - To nieuniknione.

- Ale rywale w interesach rzadko posuwają się do zbrodni. Nie, *monsieur* Kirakis. Nasz tajemniczy nieznajomy ma do pana osobistą urazę.

Przyszedłem tu z nadzieją, że podpowie mi pan, kto może nim być.

- Lista byłaby bardzo długa. - Aleksander spojrzał na zegarek. - Muszę już iść. Bankierzy nie lubią czekać. Czas to pieniądz - oto ich filozofia. Ale jeśli byłby pan tak uprzejmy i dał mi numer, pod którym będę mógł pana zastać...

Dessain napisał na karteczce numer.

- Przez kilka dni będę tu uchwytny. Zatrzymałem się w hotelu - rzekł, podając kartkę Aleksandrowi.

- Niestety, jutro późnym popołudniem odlatuję do Paryża i nie będzie mnie do początku przyszłego tygodnia - powiedział Aleksander.

Inspektor wskazał kartkę.

- Na odwrotnej stronie jest numer paryskiego oddziału Interpolu. Jeśli coś pan sobie przypomni, proszę natychmiast się ze mną skontaktować. - Spoważniał.

- Dobrze - obiecał Aleksander.

- *Monsieur*, proszę nie lekceważyć tej sprawy. Jeśli moje przeczucia są słuszne, pańskie życie może być w niebezpieczeństwie.

Larry, daj sobie spokój, co? - poprosiła ze śmiechem Meredith, schodząc z planu „Manhattan Observer”. -W bitwie na docinki byłbyś niepokonany.

- Miło widzieć, jak wraca ci dobry humor - powie-

dział asystent producenta, zsuwając się z wysokiego stołka, skąd zadreśla Meredith podczas próby. - Ostatnio byłaś w fatalnym nastroju.

- A kto by nie był na moim miejscu? Spędzam w tym domu wariatów czternaście godzin dziennie albo więcej. Mój mąż jest w ciągłych rozjazdach, a kiedy do mnie dzwoni, ledwo mogę otworzyć oczy...

- Chciałaś być gwiazdą, kochanie - zauważył Larry.

- Jasne. - Meredith czym prędzej skierowała się do drzwi. W drodze do swego gabinetu natknęła się na Casey.

- Jeśli przyjdzie mi współpracować z Larrym jeszcze jeden sezon - rzekła - chyba rzucę to wszystko i pojedę na zasłużony odpoczynek. Uparł się doprowadzić mnie do szału.

- On wkurza każdego - powiedziała Casey. - Jesteś wolna w czasie lunchu? Na rogu Trzydziestej Szóstej i Madison otwarto nową restaurację. Pomyślałam...

- Nie mogę. Mam coś do zrobienia w tym czasie. - Widząc rozczarowanie na twarzy przyjaciółki, dodała: - Dzięki temu wyjdę dziś do domu o rozsądnej porze.

- Aleksander wraca?

- Niestety - westchnęła - jego pobyt w Paryżu przedłużył się i nie mam pojęcia, kiedy się zjawi.

- Nie martw się. - Casey uśmiechnęła się. - Na pewno wpadnie przejazdem.

- Jasne - zgodziła się Meredith.

Przy drzwiach do biura czekała na nią sekretarka.

- Dzwoniłam do Larry'ego - powiedziała. - Mówił, że już wyszłaś. Jest tu posłaniec z jakąś przesyłką.

- Nie mogłaś jej przyjąć?

- Może ją przekazać tylko do rąk własnych. Pewnie to coś ważnego.

Meredith kiwnęła głową i otworzyła drzwi do gabinetu. Młody mężczyzna w uniformie poderwał się z krzesła.

- Meredith Kirakis? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Przesyłka dla pani. Proszę tu podpisać.

Meredith złożyła podpis i oddając posłańcowi długopis, otrzymała w zamian zwykłą kopertę. Mężczyzna podziękował i zniknął za drzwiami. Meredith upewniła się, czy są zamknięte, i usiadła przy biurku. Sięgnęła po nóż do papieru i otworzyła kopertę. Wewnątrz znajdowała się fotokopia jakiegoś dokumentu z września 1953 roku. Nic więcej. Żadnej kartki, nawet najkrótszego wyjaśnienia, lecz nie było to potrzebne. Treść dokumentu była aż nader jasna. Jeszcze ktoś prócz niej interesował się przeszłością Aleksandra i Elizabeth Weldon-Ryan. Ktoś znalazł dowód, którego potrzebowała, by mieć pewność, że coś łączyło Aleksandra z Ryanami. Kto jeszcze zna prawdę? Czują, jak krew odpływała jej z twarzy w miarę poznawania treści dokumentu opatrzonego pieczęciami greckiego sądu w Atenach. Orzeczenia o adopcji. Adopcji Aleksandra.

Meredith leżała na łóżku. Głowa pękała jej z bólu. Najgorsze przeczucia sprawdziły się, gdy poznała zawartość koperty. Otworzyła puszkę Pandory i uwolniła wszystkie demony, które prześladowały Aleksandra. Po co? Dlaczego grzebała się w przeszłości, skoro Tom Ryan i Constantine Kirakis chcieli, by tajemnice Janiny nie zostały wyjaśnione?

Jak powiedzieć o tym Aleksandrowi?

Popatrzyła na trzymany w dłoni dokument. Choć wpisane do rubryki „naturalni rodzice” greckie nazwiska były jej obce, nie miała wątpliwości, jak przedstawia się prawda. Aleksander jest synem Toma i Elizabeth, który podobno zginął w studni w Janinie. Davidem Ryanem!!! Jak to zrobili? - zastanawiała się Meredith. - Jak udało im się przerobić metrykę i uzyskać orzeczenie o adopcji bez niczyjej wiedzy? Ile kosztowało Constantine^ Kirakisa ukrycie prawdy przed światem i... przed Aleksandrem?

Słyszając zbliżające się kroki, szybko wrzuciła dokument do torby. Drzwi otworzyły się i wszedł Aleksander. Przystanął, spoglądając na Meredith z troską w oczach, po czym podszedł do łóżka i usiadł.

- Co się stało? - zapytał miękko.

- Myślę, że to dzuma - odrzekła żartem. Kiedy godzinę temu wchodziła do budynku i dozorca powiedział jej, że Aleksander czeka na górze, omal nie wpadła

w panikę. On instynktownie wyczuwał, gdy coś ją niepokoi, potrafił reagować na najdrobniejsze zmiany jej nastroju.

- Mów prawdę - rzekł stanowczym, lecz zarazem cierpliwym tonem.
- Chyba złapałam jakąś infekcję. Kiedy cię nie było, pracowałam po czternaście godzin dziennie, czasem nawet dłużej. Przygotowywaliśmy do emisji nowe odcinki. Byłam wykończona, źle się odżywiałam, nie dosypiałam, no i w końcu mnie dopadło.
- Powinnaś wziąć trochę wolnego.
- Jeśli teraz nie byłoby mnie choć pół dnia, Harv dostałby ataku serca.
- To jego sprawa. Będę nalegał, *matia mou*. Nie chcę, byś zaharowywała się na śmierć.
- A sam nie powinieneś służyć przykładem w tym względzie? - zapytała żartobliwym tonem. - Ile nocy ostatnio zarwałeś?
- W moim przypadku to co innego - odparł, marszcząc brwi. - Jestem odpowiedzialny za korporację. Muszę się dowiedzieć, kto chce mnie zrujnować, zanim będzie za późno. Los IBS nie spoczywa na twoich barkach, choć czasem pewnie masz takie wrażenie. Weź kilka dni wolnego, proszę.

Meredith stanęły łzy w oczach.

- Kocham cię - powiedziała czule, przytulając się do Aleksandra. - Niezależnie od tego, co się stanie, nigdy nie zapominaj, że cię kocham.
- Meredith przeczytała list bardzo dokładnie, słowo po słowie, a potem rzuciła go na biurko, bardziej sfrustrowana niż rozzłoszczona. Przysłał go dyrektor kliniki w Lozannie, odpowiadając na prośbę o informacje o Elizabeth Weldon-Ryan, która mogła być pacjentką tej kliniki we wrześniu 1953 roku. Choć list utrzymany był w tonie rzeczowym i uprzejmym, nic z niego nie wynikało - podobnie jak z listów z Genewy i Davos-Dorf. *Monsieur* Michel Beauvais oczywiście bardzo chętnie

pomógłby Meredith w poszukiwaniach, ale zwyczajnie kliniki zabraniają udostępniania osobom postronnym informacji o pacjentach.

Meredith wstała zza biurka i podeszła do okna. Ulice miały świąteczny wystrój, były pełne kolorowych ozdób i świateł, tonęły w zieleni świątecznych choinek. Od Bożego Narodzenia minął tylko tydzień i wyczuwało się jeszcze nastrój świąt, ale dla niej w tym roku święta nie istniały. Próbowała wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, lecz wszystkie wysiłki poszły na marne. Aleksander był coraz bardziej podejrzliwy. A przecież święta to okres szczęścia, ciepła, miłości i zaufania... Obchodzili Boże Narodzenie dwudziestego piątego grudnia, a szóstego stycznia Dzień Św. Bazylego. Podtrzymywali w ten sposób tradycję, w której został wychowany Aleksander. Co robi, gdy pozna prawdę - rozmyślała Meredith. - Przez tyle lat żył w przekonaniu, że jest Grekiem, synem Constantine'a i Meliny Kirakisow.

Do gabinetu zajrzała sekretarka.

- Meredith, to przyszło dosłownie przed chwilą - powiedziała. - Poufne. Meredith wzięła od niej kopertę i sprawdziła, kto był nadawcą. Firma prawnicza z Los Angeles. Bała się otworzyć. Nie zniosłaby kolejnej niespodzianki. Szybko przeczytała list. Pisał niejaki Curtis Harmon. Informował, że reprezentuje interesy pani Ryan. Prosił o szybki kontakt w terminie odpowiadającym Meredith i rozmowę o opiece nad panią Ryan, sprawowaną przez Fundację Kirakisa w Atenach. Fundację Kirakisa? To nie miało sensu, lecz Meredith była pewna, że spotkanie z Harmonem wiele wyjaśni. Podniosła wzrok na sekretarkę.

- Cindy, nie ma mnie dla nikogo - poinstruowała ją. - Przez jakiś czas będę zajęta.

Cindy kiwnęła głową i wyszła.

Uzyskanie połączenia z Los Angeles zajęło kilka sekund. Gdy Meredith podała swoje nazwisko recepcjo-

nistce, niemal natychmiast w słuchawce rozległ się głęboki głos Curtisa Harmona.

- Otrzymałam pański list - powiedziała Meredith -i jestem trochę zdezorientowana. Czy mógłby pan wyjaśnić, co miał pan na myśli, pisząc o opiece nad Elizabeth Ryan?

- To pani nic nie wie? - spytał Harmon zaskoczony.

- Nie, skądże.

- Cóż, pani Kirakis, od listopada 1953 roku pani Ryan jest pod opieką Fundacji Kirakisa. Od śmierci Constantine'a Kirakisa zajmuje się tym pewnie pani małżonek. Fundacja została powołana do życia, ponieważ ojciec pani męża czuł się odpowiedzialny za śmierć synka pani Ryan i za stan, w jakim znalazła się ona po tym wypadku.

Pewnie, że czuł się odpowiedzialny - pomyślała ze złością Meredith.

- Co robi fundacja dla pani Ryan? - spytała ostrożnie.

- Pokrywa wszystkie wydatki związane z jej pobytem w klinice w Lozannie. Naprawdę nic pani o tym nie wiedziała?

- Przeoczenie - skłamała. - Mój mąż powierzył fundację pewnym ludziom, ale nie ma zbyt wiele czasu na kontrolowanie ich.

- Oczywiście. Doskonale to rozumiem. Zwykle kontaktowałem się z doktorem Karamanlisem. Kiedyś zajmował się wszystkimi sprawami Ryanów, zarządzając równocześnie posiadłością w Bel-Air.

- Posiadłością w Bel-Air? - Meredith znowu nic nie rozumiała. Przecież Tom Ryan przekazał dom Nickowi Hollidayowi. - Nie bardzo rozumiem...

- Dwa lata temu fundacja nabyła ją od pana Hollidaya. Zdaje się, że jego wytwórnia, Stargazer Productions, znalazła się wtedy w jakichś kłopotach finansowych...

- Ale po co? Po co fundacji ta posiadłość?

- Nie mam pojęcia, pani Kirakis.

- Powiedział pan, że pani Ryan jest pacjentką kliniki w Lozannie? - upewniała się Meredith.

- Jest tam od września 1953 roku.

Meredith usiłowała uporządkować myśli. Z rozmowy z dyrektorem szpitala w Atenach dowiedziała się, że Aleksander nigdy nie był tam hospitalizowany, lecz od drugiego sierpnia do piętnastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku przebywała w szpitalu Amerykanka, Elizabeth Weldon-Ryan. Wszystko zaczynało się łączyć.

- Pani Kirakis? - Harmon nie był pewien, czy połączenie nie zostało przerwane.

- Tak, tak - powiedziała szybko Meredith. - Dziękuję panu. Był pan bardzo pomocny.

- Jeśli w przyszłości mógłbym jeszcze się przydać, proszę bez wahania telefonować.

- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

Powoli odłożyła słuchawkę. Tak, teraz brakujące elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Z wyjątkiem jednego: jak Aleksander przetrwał w studni, gdy wszyscy sądzili, że nie żyje? Z całą pewnością ktoś mógłby odpowiedzieć na to najważniejsze pytanie. Meredith odetchnęła głęboko. Czekало ją najtrudniejsze zadanie w życiu.

Dziś wieczorem powie o wszystkim Aleksandrowi.

W ciszy pełnej napięcia Aleksander kolejny raz czytał dokument. W końcu spojrzał na Meredith i zapytał:

- Skąd to masz? Westchnęła.

- Dostarczono mi do Broadcast Center przez posłańca. Bez wyjaśnienia.

- Więc wie o tym jeszcze ktoś poza nami...

- Niestety. Na początku myślałam, że ktoś chciał mnie po prostu wesprzeć w poszukiwaniach, ale...

- Jestem ciekaw - zaczął powoli Aleksander, z narastającym gniewem w głosie - w czym jeszcze mnie okłamali? - Rzucił dokument na ziemię ze wstrętem, jakby trzymał w dłoni śmiertelnie niebezpiecznego gada. - Całe moje życie jest kłamstwem!

- Ależ...

- Dlaczego mi nie powiedzieli? Żyłem w wierze, że jestem ich rodzonym synem...

- Dla nich nim byłeś. Spojrzał na Meredith zimno.

- Skąd mogę to wiedzieć? Nie znałaś ich przecież, Boże, ja sam ich nie znałem! Żyłem z nimi tyle lat!

- Znam ich - powiedziała cierpliwie. - Poznawałam ich myśli i uczucia przez kilka ostatnich miesięcy. Melina tak bardzo chciała dać mężowi syna, że była gotowa umrzeć.

- I mogła to zrobić. Byłoby to dużo lepsze rozwiązanie. Mogli też zapłacić jakiejś młodej dziewczynie za urodzenie dziecka. Na pewno byłaby to droga o wiele tańsza od tej, którą wybrali, a przede wszystkim legalna.

Ale oni woleli kidnaperstwo!

- Aleksandrze...

- Nie, nie broń ich. - Podeszedł do szafy i wyjął z niej płaszcz. - Potrzebuję chwili samotności. Przejdę się.

Zniknął za drzwiami, pozostawiając Meredith pogrążoną w smutku. To nie Aleksandra było jej żal, ale Constantine'a i Meliny Kirakisów. Bóg jeden wie, jak wielką winę zabrali do grobu...

Wrócił późno w nocy. Meredith czekała na niego. Przygotowała wszystkie materiały o Elizabeth Ryan. Nie chciała już niczego przed nim ukrywać. Mógłby poczuć się zdradzony, oszukany nawet przez własną żonę.

Z początku nie chciał rozmawiać, ale Meredith nalegała. Uparcie zmuszała go, by słuchał tego, jak stopniowo dowiadywała się coraz więcej o związku Ryanów z Kirakisami. Nadal nie znała odpowiedzi na niektóre pytania.

- No tak... nie koniec tajemnicom - rzekł lodowatym tonem. - Można żyć z kimś przez tyle lat i wcale go nie znać.

- Oni cię kochali, Aleksandrze. Nie zrobili tego bez powodu!

- O tak! Mieli bardzo ważny. Constantine Kirakis

potrzebował dziedzica dla swego imperium. Zrobiłby wszystko, by go mieć. Posunął się do kradzieży dziecka!

- To nie tak, Aleksandrze.

- Dlaczego nie powiedzieli mi prawdy?

- Może pragnęli twego dobra.

- Albo się bali, że odzyskam pamięć. - Popatrzył na fotografię Elizabeth. - Co musiała przeżyć, gdy powiedziano jej, że syn nie żyje?!

- Teraz już nic nie czuje - odparła Meredith cicho. - Od czasu twojego wypadku jest w stanie katatonii.

- Więc ona żyje!

- Tak. Przebywa w Szwajcarii, w lozańskiej klinice. Twój ojciec założył fundację, która pokrywa koszty jej pobytu tam. Fundacja znajduje się pod kontrolą doktora Karamanlisa.

- Karamanlis... Więc to dlatego o niczym nie wiedziałem. - Przypomniał sobie rozmowę z doktorem przed śmiercią ojca. - Coś mi się wydaje, że zna całą prawdę. Muszę go odnaleźć.

Meredith martwiła się o Aleksandra. Wysłał jednego ze swych ludzi do Los Angeles, by zebrał wszystkie filmy, w których występowała Elizabeth Ryan, choćby miał przerzucić całe archiwum Centurion Studios. Rozesłał po całym świecie prywatnych detektywów, by odszukali tych pracowników firmy, którzy byli w Janinie, gdy zdarzyła się tragedia. Odbył kilka rozmów telefonicznych i wyśledził Karamanlisa.

- Mieszka w Rafinie - powiedział do Meredith. - Ma tam willę, kupioną przez Constantine'a Kirakisa.

- Zadzwońisz do niego? - spytała Meredith.

- Nie, jadę tam. Muszę stanąć z nim twarzą w twarz. Wtedy będę pewien, że mnie nie okłamuje.

- Pojadę z tobą.

Następnego ranka polecili do Grecji.

Z Aten helikopterem udali się do Rafiny. Wylądowali na trawniku przed wspaniałą willą nad brzegiem

morza. Kiedy wysiedli, Aleksander dostrzegł Karaman-lisa, który stojąc na werandzie, patrzył w ich stronę.

- On wie - rzekł, biorąc Meredith za rękę. W pośpiechu oddalali się od podmuchów wiatru, wywołanych przez poruszające się wirniki helikoptera. - Spodziewał się nas.

Otworzył im służący o orientalnych rysach twarzy, który poprowadził ich do wspaniale urządzonego salonu.

- Doktor Karamanlis zaraz zejdzie do państwa - rzekł i wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

- Jak tu pięknie - wyszeptała Meredith, podziwiając widok na Morze Egejskie, rozciągający się za szklanymi ścianami salonu.

W drzwiach pojawił się Perykles Karamanlis. Zmienił się, schudł, odkąd Aleksander widział go ostatni raz. Z dawnego Karamanlisa, silnego, pewnego siebie, pozostał tylko cień.

- Miło znów cię widzieć - odezwał się po angielsku zmęczonym głosem.

- To moja żona, Meredith - rzekł Aleksander chłodno. - Kochanie, poznaj Peryklesa Karamanlisa, dobrego przyjaciela mojego ojca. - Nie krył pogardy.

Doktor uściśnął dłoń Meredith i zwrócił się do Aleksandra:

- Jestem niepokieszony, że mnie wcześniej nie odwiedziłeś.

- Doprawdy?

Karamanlis zignorował sarkazm w głosie Aleksandra.

- Usiądźcie, proszę. Macie ochotę na drinka?

- Nie. Wolelibyśmy zadać panu parę pytań - powiedział ostro Aleksander. Usiadł obok Meredith na kanapie.

- Oczywiście. A o co chodzi? - Siadając naprzeciw gości, Karamanlis nie mógł się nadziwić, jak bardzo Aleksander przypomina Constantine'a, gdy ten był młody.

- Co pan wie o amerykańskiej aktorce, Elizabeth Weldon-Ryan? Doktor drgnął. - Więc jednak ją pan zna.
 - Słyszałem o niej. Nigdy nie poznałem jej osobiście.
 - Doktorze, proszę nam powiedzieć, co pan o niej wie.
 - Mam coraz słabszą pamięć... Starzeję się chyba. Kręciła w Grecji jakiś film. Jej dziecko zginęło w wypadku.
 - W Janinie?
 - Nie jestem pewien...
 - Na pewno pan pamięta. Helena mówiła mi, że zajmował się pan mną po moim wypadku...
 - Co to ma wspólnego z Ryanami...
 - Pan mi to powie. Miałem taki sam wypadek, także w Janinie. Syn Ryanów zginął, a ja byłem w stanie krytycznym. Obydwaj mieliśmy po cztery lata.
 - To jeszcze nie oznacza, że istnieje związek...
 - Niech pan mnie nie okłamuje! - wybuchnął Aleksander, zrywając się z kanapy. Wyszarpnął z koperty plik kartek i rzucił je na stół przed Karamanlisem. - Niech pan przyjrzy się dobrze tym dokumentom, a potem powie mi pan prawdę. Prawdę!
- Tej właśnie chwili doktor bał się najbardziej przez ponad trzydzieści lat. Musiało się to jednak kiedyś stać. Dwóch chłopców, urodzonych w tym samym czasie, miało tę samą, bardzo rzadko spotykaną grupę krwi. Przypadek? Zbieg okoliczności? Mogłoby tak się wydawać komuś, kto nie znał prawdy...
- Czekam na wyjaśnienie.
 - Nie rozumiesz, że...
- Aleksander chwycił go za koszulę i poderwał z miejsca.
- Żadnych kłamstw, Karamanlis - ostrzegł groźnym tonem. - Przez całe życie ciągle mnie okłamywano. Teraz chcę prawdy!
- Meredith także wstała, gotowa interweniować w razie potrzeby.
- Nie wiem...

Aleksander chciał go uderzyć, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Prawda, doktorze! Może mam panu przypomnieć, że teraz ja rządę, a nie mój ojciec? Mogę pana zniszczyć.

Karamanlis pokiwał głową w geście kapitulacji.

- Usiądź, powiem ci wszystko. Powinni ci to wyjaśnić wiele lat temu.

Aleksander opadł na fotel. Nagle opuściły go wszystkie siły.

- Słucham - powiedział spokojnie.

Doktor podszedł do okna i zatopił wzrok w morzu.

- Znałem twojego ojca od dziecka, razem dorastaliśmy w Pireusie.

Przyjaźniliśmy się. Trzymaliśmy się razem, dzieliliśmy się marzeniami, bo tyle tylko mieliśmy. Niewielu bywa takich przyjaciół jak my.

Pamiętam, jak zakochał się w Melinie. Kiedy pobierali się, ostrzegałem ją, że nie powinna mieć dzieci. Niestety, była upartą kobietą, jak ci doskonale wiadomo.

Opowiedział o trzech kolejnych poronieniach i utracie Damiana.

- Gdy jej syn umierał, była w ciąży, choć tyle razy powtarzałem, że nie ma szans donosić dziecka.

Po raz pierwszy do rozmowy włączyła się Meredith:

- Doktorze, chce pan powiedzieć, że poroniła po raz czwarty?

- Tak. Była w piątym miesiącu i obydwójce sądzili, że dziecko przyjdzie na świat bez problemu. - Potrząsnął głową. - Jego strata omal jej nie zabiła.

Omala nie zniszczyła ich obojga. Tak bardzo pragnęli mieć dużą rodzinę...

Melina chciała adoptować dziecko, ale... Constantine nie chciał o tym słyszeć. Był dumnym, upartym człowiekiem! Chciał mieć własnych synów, którym przekazałby nazwisko i cały dorobek...

- Więc?

- W naszym kraju przepisy adopcyjne są bardzo surowe, Aleksandrze.

Kiedy Melina zwróciła się do prawników w tej sprawie, okazało się, że istnieje kilka

przeszkód. Adopcja według prawa greckiego wymaga czasu. Dziecko musi mieć co najmniej dwa tygodnie i tak dalej. Sąd rozpatruje wszelkie aspekty - od wyznania przyszłych rodziców po stabilność ich związku małżeńskiego. Konieczne jest też uzyskanie zgody obojga naturalnych rodziców. Największą przeszkodą okazał się wiek Meliny i Constantine'a.

- Ale mając tyle pieniędzy... - rzekł Aleksander.

- Czasem to pomaga, czasem nie. Tak czy inaczej doprowadzenie sprawy do końca zajęłoby całe lata, a oni nie mogli czekać. Starzeli się i szanse coraz bardziej malały.

- Postanowili więc ukraść dziecko?

- Nie przekreślaj faktów. Niczego nie planowali. Kiedy Amerykanie przyjechali do Grecji kręcić film, Constantine udostępnił im grunty w Janinie. Nie nadawały się do niczego, rozważał nawet możliwość ich sprzedaży. Projekt budowy hotelu upadł, więc polecił zaplombować szyby po studniach, by nie stanowiły zagrożenia dla miejscowych dzieci. Nie wiedział, że nie wykonano jego poleceń. Melina chciała zobaczyć ekipę filmową przy pracy. Namówiła męża na wyjazd do Janiny. Nadal była w depresji po stracie Damiana i zmiana otoczenia mogła jej pomóc, toteż się tam wybrali. Tam spotkali Ryanów.

- I...?

- Constantine był tobą zachwycony. Dostrzegł w tobie ucieleśnienie wszystkich nadziei, jakie pokładał w Damianie. Spędzał z tobą całe godziny. Samopoczucie Meliny poprawiło się, gdy po raz pierwszy od śmierci Damiana widziała męża szczęśliwym. Chciała, żeby sielanka w Janinie trwała wiecznie, ale po zakończeniu zdjęć Ryanowie mieli wrócić do Stanów. Przez telefon powiedziała mi, że jest pewna, iż Constantine zgodziłby się na adopcję, gdyby sąd się do tego przychylił.

- Jak udało im się przekonać moich rodziców, że zginąłem?

- To nie było zaplanowane. Wypadek zdarzył się pod-

czas ostatniego tygodnia zdjęć. Ukończono już zdjęcia z *madame* Ryan, ale ona nie chciała jeszcze wracać do Ameryki. Grecja bardzo przypadła jej do gustu. Nie była to najszcześniejsza decyzja. Pewnego dnia ich dziecko oddaliło się od miejsca, gdzie kręcili film. Wpadło do studni... Kiedy twoja matka się o tym dowiedziała, dostała hysterii i dano jej leki na uspokojenie. Pozostawała pod ich działaniem przez cztery dni, podczas gdy ekipa ratunkowa pracowała dzień i noc, próbując cię wydostać. Nikt nie wiedział, że Constantine Kirakis już cię wydobył ze studni.

- Jak to ukrył? - zapytał gorzko Aleksander. - Prawda, zapomniałem!

Kiedy zaczynały mówić pieniądze Kirakisa, każdy posłusznie nadstawiał ucha, nawet sam Pan Bóg!

- To nie jest zabawne, Aleksandrze. - Zrobił pauzę. - Pomysł z hotelem okazał się niewypałem, ponieważ podczas wierceń w poszukiwaniu wody wciąż natrafiano na podziemne groty. Constantine skontaktował się z ludźmi, którzy pracowali przy tych wierceniach. Weszli pod ziemię przez jedną z jaskiń i znaleźli cię. Przewieziono cię do willi wynajmowanej przez Kirakisów, niedaleko miejsca wypadku, a potem posłano po mnie. Kiedy przybyłem do Janiny, byłeś w stanie śpiączki. W studni panowała bardzo niska temperatura, a ty miałeś na sobie tylko spodenki i koszulkę z krótkimi rękawami. Od samego początku Costa nie życzył sobie, by ktokolwiek wiedział o miejscu twego pobytu. Melina była na niego zła, chciała, żeby poszedł do Ryanów i powiedział, że żyjesz... Odmówił. Wiedziała, co mu chodzi po głowie. Wkrótce wyzdrowiałeś. Nie pamiętałeś jednak, kim byłeś ani co się stało.

- Nadal tego nie pamiętam - wtrącił Aleksander.

- Constantine miał nadzieję, że tak pozostanie. Powiedział wszystkim, że nigdy i nikomu nie wolno mówić o tym, co się wydarzyło. Zamierzał zabrać cię na wyspę. Twierdził, że będziesz tam bezpieczny. Widział w tobie syna zesłanego przez Boga. Wierzył w to całym sercem.

Nikt z nas nie potrafił mu się przeciwstawić, nawet ci, którzy byli mu najbliżsi.

- A Melina? - W spojrzeniu Aleksandra malował się ból.

- Chciała pójść do twoich rodziców i wyznać im prawdę. Constantine stracił już pięcioro dzieci. Obawiała się, że gdyby utracił jeszcze ciebie... To mogłoby go zabić.

- I nikogo nie obchodziło, co to dla mnie oznaczało.

- To nie tak. Costa uwielbiał cię. Chciał rzucić ci do stóp cały świat. Byłeś jego zbawieniem. Melina też cię pokochała. Była silną kobietą, ale jednocześnie wychowaną w greckiej tradycji, nigdy nie sprzeciwiłaby się mężowi. Wahala się. Pragnęła cię mieć tak bardzo, że z czasem uwierzyła, że naprawdę jesteś jej synem.

Aleksander podniósł ze stołu orzeczenie o adopcji.

- Skoro wtedy tak trudno było uzyskać zgodę na adopcję, jak udało się to załatwić?

- No cóż. Mieszkałeś już wówczas na wyspie. Gdy złożyli do sądu w Atenach podanie, posiadali fałszywą metrykę urodzenia, spreparowaną przeze mnie. Dokument wskazywał na dalekie pokrewieństwo dziecka z Constantine'em. Byłeś sierotą pozostawioną jego opiece. Kazomides napracował się, by było to bardziej wiarygodne. Tak... Związki krwi to znakomity argument dla sądu...

- Krótko mówiąc, kupili sędziego.

- Nie znam ani jednego greckiego sędziego, którego można by przekupić - odrzekł stanowczym tonem Kara-manlis.

- Każdego można kupić.

- Nawet ciebie?

- Owszem, lecz moja cena jest bardzo wysoka. *Madame Ryan* przekonałaby cię o tym... gdyby mogła mówić.

- Więc ty...

- Wiem, gdzie ona jest, doktorze. Wiem wszystko. - Aleksander wstał i zaczął nerwowo chodzić po salonie. Meredith miała nadzieję, że doktor nie będzie się sprze-

ciwiał. W takim stanie ducha Aleksander mógłby go pobić.

- Gdy powiedziano jej, że nie żyjesz - zaczął Karamanlis - odeszła od zmysłów. Mąż zabrał ją do szpitala w Atenach, ale tam się dowiedział, że powinna być umieszczona w klinice psychiatrycznej, gdzie zapewniono by jej specjalistyczną opiekę. Jedną z najlepszych placówek tego rodzaju znajduje się w Lozannie. Zostawił Elizabeth w Europie, by uchronić ją przed prasą. To było dla niej najlepsze wyjście.

- Najlepsze?! - wykrzyknął Aleksander. - Jak może pan tak mówić?!

Zniszczyliście życie tej kobiecie! Con-stantine Kirakis kupił was wszystkich i nie mieliście wyboru, co?

- Musisz zrozumieć...

- Nie! Nie rozumiem, doktorze! Jak mogliście ukraść dziecko rodzicom?! Jak ich wam było nie żal?

Doktor potrząsnął głową.

- Współczuliśmy im... Z czasem jednak nauczyliśmy się z tym żyć. Nie mogliśmy się już wycofać. Melina martwiła się, że nigdy nie odzyskasz pamięci. Chciała powiedzieć ci prawdę, ale Constantine był temu przeciwny. Nawet na łożu śmierci błagała go, by nie ukrywał jej przed tobą.

- Przed śmiercią chciał mi coś wyznać...

- Powiedział mi, że jeszcze nie dotrzymał danej Melinie obietnicy. Chciał to zrobić. Niestety, miał tak silne bóle, że przez cały czas podawałem mu środki przeciwbólowe. Nie był w stanie rozmawiać, jak zapewne pamiętasz.

- Tak, pamiętam. - Ale nawet po jego śmierci nikt mi nie powiedział.

- Żyliście w tym kłamstwie tak wiele lat. A poza tym... znalazłeś się u władzy. Należało być ostrożnym w stosunku do ciebie. Nie miałem pojęcia, jak zareagujesz. Odkładaliśmy to...

- Kto jeszcze o tym wie? Karamanlis zawahał się.

- Dwaj ludzie, którzy byli wtedy w Janinie: George

Domos, nadzorca robotników, oraz człowiek o nazwisku Papersenos. No i ja. Adwokat, który zajmował się adopcją, zginął w katastrofie lotniczej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Pozostali byli w podeszłym wieku i już nie żyją.

- Gdzie można znaleźć Domosa?

- Prawdopodobnie w Trikkala. Kierownik kadr odszuka go bez trudu. Aleksander skinął głową i w milczeniu zaczął zbierać dokumenty do aktówki.

- Czy mogę ci zadać pytanie natury osobistej? - spytał doktor.

- Zapytać możesz - odparł. - Nie wiem tylko, czy doczekasz się odpowiedzi.

- Tak, oczywiście to od ciebie zależy - rzekł Karamanlis. - Pomyśl, czy przez te wszystkie lata nie byłeś szczęśliwy? Czy Constantine i Melina nie kochali cię? Nie łączyła was miłość?

- Byli dla mnie dobrzy i kochałem ich bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

- W takim razie niech miłość nie przeradza się teraz w nienawiść. Już odkupili swoje winy. Byłeś dla nich wszystkim, oddaliby za ciebie życie. Uwierz mi.

Aleksander długo spoglądał na Karamanlisa. W końcu rzekł:

- W tej chwili nie wiem, co o tym myśleć.

Znasz już prawdę - powiedziała Meredith, gdy przecinali pas startowy lotniska Hellenikon w Atenach, kierując się do prywatnego samolotu.

Grudniowy mróz szczypał ich w policzki. - Nie sądzisz, że najlepiej zostawić przeszłość w spokoju?

Potrząsnął głową.

- Muszę zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim zacznę myśleć o przyszłości.

W drodze do domu zatrzymamy się w pewnym miejscu.

- Gdzie?

- W Lozannie.

Ordynator kliniki był zdziwiony nagłym zainteresowaniem Aleksandra pacjentką, która przebywała w odosobnieniu od ponad trzydziestu lat. Aleksander wytłumaczył mu, że nie wiedział, iż Elizabeth żyje. Zapewnił ponadto, że fundacja nadal będzie pokrywała wszelkie koszty.

- Rozmawiałem już z lekarzem *madame* Ryan. Powiedział, że mogę ją odwiedzić - zakończył.

- Oczywiście - odparł natychmiast dyrektor. - Wcisnął przycisk interkomu i rzekł: - Solange, poproś doktora Goudrona do mnie, dobrze?

- *Qui, monsieur.*

- *Merci* - Spojrzał na Aleksandra. - Doktor zaraz do nas dołączy, *monsieur* Kirakis. Napije się pan kawy?

Henri Goudron wyglądał bardziej na bankiera czy jubilera niż na autorytet w dziedzinie psychiatrii. Niewysoki, lekko łysiejący, elegancki. W przeciwieństwie do ordynatora zachowywał się swobodnie wobec Aleksandra.

- Pracowałem zaledwie od kilku dni, gdy przyjęto *madame* Ryan - powiedział, gdy szli korytarzem. - Było to jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku, ponad trzydzieści trzy lat temu.

- I od tamtej pory nie ma żadnej poprawy? - spytał Aleksander.

- Trudno powiedzieć. Psychiatria, drogi panie, w przeciwieństwie do innych gałęzi medycyny nie jest nauką ścisłą. Jeśli ktoś łamie nogę, nastawia się kość i zakłada gips. Jeśli w grę wchodzi rak, lekarz operuje lub stosuje leki. Jednak w psychiatrii... Umysł ludzi jest niezbadany.

- Nie bardzo pana rozumiem, doktorze - przyznał Aleksander.

- Jeśli chodzi o *madame* Ryan, wszystko sprowadza się do jednego, mianowicie do tego, że nie jest w stanie pogodzić się ze śmiercią syna - wyjaśnił doktor. - Widzi pan, umysł to bardzo czuły i złożony instrument. Nie

sposób przewidzieć, jak może zareagować na skrajne bodźce, na szok. Czasem pozostaje jedynie odciąć się od bólu i zaprzeczyć istnieniu rzeczywistości.

- A leki?

Na twarzy Goudrona pojawił się grymas obrzydzenia.

- Wielokrotnie zastanawiałem się nad tymi cudownymi środkami. Stają się ostatnio bardzo modne, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie większość psychiatrów wierzy w chemię. Leczą środkami antydepresyjnymi, uspokajającymi, węglanem litu. Gdy to wszystko zawodzi, biorą się do terapii elektrowstrząsowej albo, jak oni to nazywają, szokowej. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie twierdzę, że te metody nie skutkują. Owszem, czasem dają zaskakujące rezultaty. Zawsze stałem na stanowisku, że leczenie dolegliwości o podłożu emocjonalnym pigułkami czy elektrowstrząsami jest niewystarczające.

- W przypadku *madame* Ryan nie próbował pan tego?

- Próbowałem wszystkiego, *monsieur* - odparł psychiatra z oburzeniem.

- I nie pomogło?

- Z przykrością muszę stwierdzić, że nie. Jeśli człowiek wybierze izolację od świata zewnętrznego, może do niego powrócić tylko wtedy, gdy sam będzie tego chciał. Niestety, mogliśmy tylko dbać o wygodę pacjentki, ochronić przed światem, który traktowałby ją jak wariatkę. Pozostaje się za nią jedynie modlić.

- Złożył pan już broń.

- Nie, nie! Nigdy tego nie zrobię. Jestem przecież lekarzem psychiatrą. Ale jestem też realistą. Nie wierzę, że po trzydziestu trzech latach stan chorej nagle się poprawi.

- Wielokrotnie odwiedzał ją pewien mężczyzna, Grek. Mam rację?

- Tak, rzeczywiście, bywał tutaj.

- Nikt inny do niej nie przychodził?

- Tylko mąż. Odwiedzał ją raz w miesiącu, przynosił kosztowne prezenty. Zatrzymywał się u nas kilka dni. Zawsze trudno mu było się z nią rozstawać. Ostatecznie

załamał się. Stracił dziecko i żonę. Wpadł w alkoholizm, ale nawet wtedy ją odwiedzał.

- Powiedziano mi, że zginął w wypadku samochodowym.

- To prawda.

Aleksander nie był przygotowany na burzę uczuć, których doznał, wchodząc do pokoju Elizabeth Ryan. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Zdawało się, że czas się dla niej zatrzymał. Na twarzy nie było zmarszczek, a ciemne włosy lśniły dawnym blaskiem. Tylko oczy były pozbawione życia.

- Jak się pani dziś czuje, *madame*? - zagadnął doktor Goudron. - Wygląda pani ślicznie. Nowa suknia, prawda? - Zwrócił się do Aleksandra: - Kobiety z personelu często jeżdżą do miasta po zakupy dla pacjentów. Czasem sprowadzają fryzjera. Myślę, że to sprawia chorym przyjemność. Aleksander usiadł na wskazanym przez lekarza krześle.

- Czy ona rozumie, co pan do niej mówi? - zapytał.

- Nie sposób się o tym przekonać. Mam nadzieję, że tak. - Przeniósł spojrzenie na Elizabeth. - Mam niespodziankę, *madame*. Jest tu ktoś do pani. - Od śmierci męża nikt jej nie odwiedzał - wyjaśnił. - Może jej tego brakuje.

Aleksander nie słuchał, całkowicie zaabsorbowany kobietą siedzącą w fotelu.

- Elizabeth, to pan Kirakis - przedstawił go Goudron. - Monsieur, mam zaszczyt poznać pana z *madame* Elizabeth Ryan.

Aleksander wstał, ujął jej rękę i delikatnie pocałował.

- Jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać, *madame* Ryan - rzekł miękko.

- Elizabeth nie zareagowała.

- Zawsze... jest tak? - zapytał doktora.

Goudron pokiwał głową. Na jego twarzy malował się smutek.

- Zawsze. Obawiam się, że to beznadziejny przypadek.

- Życie nauczyło mnie, doktorze, że nie ma rzeczy nieosiągalnych.
- Biznes różni się dość znacznie od medycyny, *monsieur* Kirakis.
- Nie wolno nam się poddawać.

Doktorowi spodobało się to „nam”, ale Aleksander Kirakis żądał rzeczy niemożliwych.

- Jak już mówiłem...

- Teraz ja coś panu powiem. Jestem w tej chwili finansowo odpowiedzialny za pańską pacjentkę, ona nie ma już nikogo. - Usiadł na krześle. - Powiedziałem ordynatorowi, że pieniądze nie odgrywają żadnej roli. Chcę, by poświęcono jej więcej uwagi.

Goudron oburzył się.

- Drogi panie, zawsze wkładam maksimum wysiłku w leczenie pacjentów. Powtarzam jeszcze raz: nie ma nadziei, że chora wyzdrowieje. Aleksander popatrzył na Elizabeth i potrząsnął głową.

- Zobaczymy, doktorze. Zobaczymy...

Miałem dziwne uczucie - wyznał Meredith po powrocie ze szpitala - jakbym znał ją przez całe życie.

- Może źle się stało, że tu przyjechaliśmy.

- Nie, musiałem przyjechać - rzekł, rozpinając koszulę. - I cieszę się, że mogłem ją zobaczyć. Jest jeszcze tyle znaków zapytania.

Nowy Jork

Aleksander rzucał się i krzyczał przez sen.

- Nie opuszczaj mnie... Nie! Proszę! Nie opuszczaj mnie... Mamo... Nie!!! Mamo! ... - Usiadł nagle na łóżku. - O mój Boże!

Meredith, którą wyrwały ze snu krzyki, także usiadła i objęła męża.

- Już dobrze - powiedziała. - To tylko sen.

- Znowu wróciły - wyszeptał, oddychając ciężko. Drżał na całym ciele. - Tyle lat nie miałem tych przeklętych koszmarów... Myślałem już, że się ich pozbyłem...

- Te same?

- Tak, ale... Dawniej pamiętałem tylko wyrwane obrazy. Tym razem było inaczej. - Skierował wzrok na portret Elizabeth z synem. - Widziałem ją - rzekł.

- Elizabeth?

Teraz już wiedział, dlaczego ten obraz zawsze go niepokoił.

- To była ona, choć ubrana jakoś dziwnie, w długą szatę ze złotymi obszyciami. Jakby pochodziła z innej epoki.

- To kostium, w którym występowała na planie. Co jeszcze pamiętasz?

- Ciemności. Wszędzie wokoło ziemia... Jestem w pułapce, uwięziony głęboko pod ziemią. Mam wrażenie, że pochowano mnie żywcem.

Krzyczałem, ale nikt nie odpowiadał, nie słyszał mnie. I wtedy zobaczyłem ją... Przyszła skądś, piękna, w strumieniach ciepłego światła.

Piękniejsza od anioła. Przywoływała mnie skinieniem ręki, mówiła, że mnie kocha, że pokaże mi drogę...

Kiedy jednak wyciągnąłem do niej rękę, zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu. Przez wszystkie te lata czułem się opuszczony, porzucony, zdradzony...

I nie miałem pojęcia dlaczego. Nienawidziłem kobiet! A wszystko przez nią! Podświadomie czułem, że zostawiła mnie tam, bym umarł!

Zaczął płakać.

Nad sobą - i nad matką.

Southampton

Meredith obudziła się w środku nocy i stwierdziła, że jest w łóżku sama.

Odgarnęła włosy z twarzy i sięgnęła po szlafrok. Od powrotu z Europy

Aleksander nie był sobą. Często miał zły humor, cierpiał na bezsenność

i złościł się z byle powodu. Całymi godzinami wpatrywał się w zdjęcia przedstawiające Elizabeth. Przesłuchiwał taśmy, na których nagrane były rozmowy z Tomem Rya-nem. Przeczytał każdy wycinek prasowy, każdy artykuł na temat Elizabeth i każdą kartkę jej pamiętnika. Powtarzał, że żyje teraz jak w odciętej od świata enklawie i chwilami już nie wie, kim naprawdę jest.

Meredith zeszła bosą po schodach na parter. Przeszukując wszystkie pokoje, dojrzała blade światło w salce projekcyjnej. Powoli otworzyła drzwi. Siedział w jednym z foteli z twarzą ukrytą w dłoniach. Film skończył się, lecz projektor nadal działał, obracając szpulę i wypełniając salę jednostajnym klekotem. U stóp Aleksandra leżało metalowe pudełko. Pewnie oglądał jeden z filmów Elizabeth. Zapaliła światło i ruszyła do projektora, by go wyłączyć. Podeszła do Aleksandra.

- Jest druga nad ranem, kochanie - powiedziała czule. - Nie uważasz, że najwyższy czas pójść do łóżka?

Pokręcił głową, nie odrywając rąk od twarzy.

- Nie mógłbym zasnąć - odparł zmęczonym głosem.

- Naprawdę sądzisz, że to coś pomoże?

- Nie wiem. Muszę spróbować pomóc sobie i jej. - Podniósł głowę. - Ja nic nie pamiętam, a ona nie może zapomnieć.

Usiadła obok niego na podłodze.

- Może jakiś lekarz mógłby ci pomóc - zasugerowała.

- Masz na myśli psychiatrę? Przytaknęła.

- Meredith, nie potrzebuję psychiatry. Muszę tylko odzyskać pamięć!

- Nie chodzi mi o długotrwałe leczenie, ale o seans hipnotyczny.

- Jeśli w ogóle mam odzyskać pamięć, stanie się to bez niczyjej pomocy - upierał się. Meredith doszła do wniosku, że lepiej nie nalegać. Decyzja należała do niego. - Oglądam te stare filmy i próbuję sobie wyobrazić, jaka była, nim to się stało. To dziwne widzieć na ekranie swoją matkę i mieć wrażenie, że jest zupełnie

obcym człowiekiem. - Uśmiechnął się smutno. - Była niezwykłą kobietą, prawda?

- Wielu ludzi uważa ją za wybitną aktorkę.

- Była kimś więcej niż gwiazdą. Gdy ogląda się jej filmy, to tak, jakby się uczestniczyło w festiwalu życia.

- Tom mówił, że kiedy stawała przed kamerami, zaczynała żyć nowym życiem. Zmieniała się w zupełnie inną osobę. Byłeś dla niej całym światem. Zdecydowała się przerwać karierę, bo chciała cię mieć blisko siebie.

- To ironia losu, prawda? Wróciła do filmu tylko dla tej jednej roli i to rozdzieliło nas na zawsze.

- Nie na zawsze. Przecież ją odnalazłeś. Wyciągnął dłoń i delikatnie pogładził włosy Meredith.

- Czy ona kiedykolwiek to sobie uświadomi? Czy dowie się, że nie zginąłem?

Zurych

W swoim gabinecie Julius Hauptmann czytał raporty dostarczone mu rankiem.

Kirakis Corporation była w prawdziwych tarapatach. Gigant, znany jako „imperium Aleksandra”, drżał w posadach. Już wkrótce sytuacja dojrzeje na tyle, by uczynić kolejny krok.

Deauville

Choć Deauville, kurort na wybrzeżu Normandii, jest atrakcyjny we wszystkich miesiącach lata, dopiero w sierpniu przeżywa najazd turystów. Liczba przebywających tu ludzi wzrasta do sześćdziesięciu tysięcy, ponad dwudziestokrotnie przewyższając liczbę stałych mieszkańców. W sierpniu na jeden metr kwadratowy w Deauville przypada tak wielu ludzi, że żadne inne miasteczko tej wielkości nie może mu pod tym względem dorównać. Ze wszystkich stron świata zjeżdżają wybitne osobistości. Kurort przyciąga tych, którzy uwielbiają wyścigi, oraz miłośników polo. Bogaci wpływowi ludzie uwielbiają te osiemset osiemdziesiąt akrów enklawy na wybrzeżu północnej Francji za szybkie konie, łatwość pozbywania się gotówki i rozkrzyczany wesoły tłum, w którym mogą się zagubić.

Meredith i Aleksander odwiedzali Deauville co roku, odkąd się pobrali. Jeśli tylko czas pozwalał, z ochotą uczestniczyli w aukcjach koni i obserwowali gonitwy. Za dnia wygrzewali się w letnim słońcu przy basenie hotelu Royale, jedli lunch w Le Bar Soleil lub w Ciro. Wieczory spędzali w towarzystwie najznakomitszych przedstawicieli międzynarodowej elity w luksusowym Casino d'Eté.

Tego lata zatrzymali się w hotelu Normandia. Meredith leżała w łóżku. Aleksander tymczasem brał prysznic. Od spotkania z Elizabeth jego samopoczucie nie

zmieniło się. Właściwie było z nim coraz gorzej. W interesach, dawniej twardy i nieprzejednany, teraz bardziej przypominał bezlitosnego imperatora niż biznesmena. W polo grał z taką zaciętością, jakby brał udział w wojnie. Meredith zauważyła także pewne zmiany w sypialni. Kochał się teraz z gwałtownością, która czasem ją przerażała. Można było odnieść wrażenie, że usiłował sprawdzić się jako biznesmen, sportowiec, a nawet jako mężczyzna.

Wyszedł z łazienki owinięty grubym błękitnym ręcznikiem. Stał przed lustrem i zaczął rozczesywać mokre włosy. Meredith przyglądała mu się w zamyśleniu. Podczas kolacji wydawał się niezwykle spokojny, zapewne wskutek zmęczenia. Zrezygnował z wyjścia do kasyna.

- Cieszę się, że pójdziemy wcześniej spać - powiedziała. - I tak nie miałam ochoty nigdzie iść.

- Chciałabyś wrócić do Nowego Jorku?

- Do końca tygodnia możemy jeszcze pobalować.

- Masz jakiś pomysł?

- Moglibyśmy zajrzeć do Lozanny. Na dzień lub dwa, nim wrócimy do domu. - Odłożył grzebień na toaletkę.

- Dobrze... Jak chcesz.

- Nie jesteś zachwycona tym pomysłem - zauważył, idąc do łóżka.

Wzięła go za rękę.

- Nie chcę, byś jeszcze bardziej cierpiał. Skoro nie ma żadnej szansy na poprawę...

- Muszę wierzyć, że mi się uda. - Usiadł na łóżku. - Że do niej dotrę, że pewnego dnia rozpozna mnie i powróci do rzeczywistości.

- Kochanie, przecież ona widziała cię ostatni raz, kiedy miałeś cztery lata

- powiedziała łagodnie. - Nawet gdyby cię słyszała...

- Pozna mnie - rzekł stanowczym tonem. - Muszę spróbować, *matki mou*.

Nie wolno mi się poddać, dopóki istnieje choćby cień nadziei. Proszę, zrozum mnie.

Patrzyła na niego uważnie. W końcu skinęła głową.

Aleksander wziął ją w ramiona. - Wiedziałem, że zrozumiesz.

Lozanna

Aleksander wierzył, że jego słowa docierają do matki. Od ośmiu miesięcy przyjeżdżał do Lozanny i odwiedzał Elizabeth.

- Na pewno jest jakiś sposób, by ci pomóc, mamó -powtarzał. -

Uwolnijmy się od przeszłości.

Naraz przyszło mu do głowy, że coś mogło obudzić wspomnienia.

Fotografie. Znajome miejsca. Meredith napomknęła coś o posiadłości Ryanów w Kalifornii. W tym domu Tom zgromadził wszystkie pamiątki... Aleksander uświadomił sobie, że przecież był to kiedyś jego dom rodzinny... W nim odnajdzie przeszłość.

Uśmiechnął się z nadzieją.

- Mamó, chyba będę mógł nam pomóc...

Nie będę robiła programu o Ryanach - powiedziała Meredith. - Przez trzy lata biłam głową o mur i zostałam z pustymi rękami. Nie widzę sensu ciągnąć tego na siłę. Straciłam tylko niepotrzebnie mnóstwo czasu. Ślepe uliczki i ciągły ból głowy to nie najlepsze wyniki.

Odetchnęła głęboko. Rezygnowała z programu, dzięki któremu odniosłaby ogromny sukces. Nie mogła nikomu powiedzieć prawdy. Dla dobra Aleksandra powinna raz na zawsze pogrzebać tę sprawę.

- A mogłaś zrobić z tego prawdziwe-cacko - odparł Petersen, zaskoczony jej decyzją. - Casey wspomniała, że otrzymałaś sporo interesujących odpowiedzi na swoje ogłoszenia.

- Nic z tego nie wyszło - skłamała.

- Szkoda. - Zaciągnął się cygarem. - No cóż, można było się tego spodziewać. Dziennikarze od lat usiłują rozgryźć tajemnicę Ryanów. Ale ty zaszłaś najdalej.

- Marne pocieszenie - rzekła.

Port lotniczy Schiphol, Amsterdam

Jeden z siedzących w holu mężczyzn przeglądał „International Herald Tribune”. Na stronie drugiej pisano o śmierci pewnej kobiety zatrudnionej w Kirakis Corporation. Prasa znów się rozpisze o Kirakisie. Wybornie. Mężczyzna złożył gazetę i schował ją do aktówki. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Jeszcze trochę i...

Bruksela

W hoteliku niedaleko targu kwiatowego przy Grand Place znaleziono ciało mężczyzny. Nie żył od siedmiu godzin. W walizce były: paszport, mapa Londynu i koperta, zawierająca kilka tysięcy franków. Na podstawie paszportu zidentyfikowano mężczyznę jako Portugalczyka urodzonego w Torres Vedras. W Brukseli przebywał zaledwie dzień. Został zamordowany. Zginął od kuli. Policja znalazła w jego kieszeni fotografię kobiety. Na jej odwrocie było napisane: „Carolyn Grayson”.

Los Angeles

Meredith stanęła przed drzwiami domu i spojrzała na Aleksandra pytająco.

- Na pewno chcesz tam wejść? - spytała.

- W tym domu jest moja przeszłość - rzekł Aleksander.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła klucz. Otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka.

- To niesamowite - powiedziała rozglądając się. - Nic się tu nie zmieniło.

Wszystko wygląda dokładnie tak jak za życia Toma.

Aleksander milczał. Gdy przechodził przez kolejne pokoje, brał do ręki najdrobniejsze nawet przedmioty,

jakby mogło mu to dopomóc w odzyskaniu pamięci. Doszli do gabinetu Toma.

Aleksander zatrzymał się przed stojącymi na półkach oprawionymi w ramki zdjęciami. Podniósł jedno z nich.

- Moja matka i ja - rzekł.

- Tom powiedział mi kiedyś, że zrobiono je tamtego lata, tuż przed waszym wyjazdem do Europy - odparła Meredith.

Uśmiechnął się.

- Musieliśmy być wtedy szczęśliwi.

- Bardzo szczęśliwi.

Odstawił zdjęcie i zainteresował się złotą statuetką stojącą na kominku.

Długo się jej przyglądał.

- Nigdy nie dowiedziała się, że otrzymała Oscara, prawda? - powiedział.

- Kiedy jej go przyznano, była już w klinice.

- Tak bardzo jej na nim zależało. A kiedy wreszcie marzenie się spełniło, nigdy się o tym nie dowiedziała. Warto było? Naprawdę warto było zapłacić tak wysoką cenę?

- Myślę, że gdyby postawiono ją wobec wyboru, bez wahania wybrałaby dziecko.

- Jak bardzo chciałbym do niej dotrzeć! Powiedzieć jej, że żyję, że jestem przy niej!

- Być może pewnego dnia...

Weszli na piętro i obejrzelni następane pokoje. Meredith z radością powracała do pokoju Elizabeth. Było to chyba najpiękniejsze miejsce w całym domu. Harmonia beżu i bladego fioletu, puszysty dywan, wygodne meble pokryte pluszem i brokatem. Bokiem do wychodzącego na tyły domu okna ustawiona była duża toaletka, typowy mebel z garderoby gwiazdy filmowej. Bardzo wytworna, w całości wykonana z cedru. Na ścianie wisiało kilka fotografii przedstawiających głównie męża aktorki i jej syna. Jedna z nich zafascynowała Aleksandra. Było to zdjęcie Davida Ryana bawiącego się z psem na trawniku przed rezydencją.

- Scruffy - powiedział.

Meredith spojrzała na niego zaskoczona.

- Co takiego?

- Pies wabił się Scruffy. Znalazłem go na plaży - wyjaśnił. - Pojechaliśmy na piknik. Spacerowałem z mamą po plaży i znalazłem na wydmach szczeniaka. - Twarz Aleksandra rozjaśnił uśmiech. - W zasadzie to on mnie znalazł, a nie ja jego. Szedł za mną aż do samochodu i gdy mieliśmy odjeżdżać, rozplakałem się. Nie przestałem płakać, dopóki tato nie pozwolił mi zatrzymać pieska. Pamiętam! - krzyknął nagle. - Pamiętam pieska i piknik na plaży! Ja to pamiętam.

- Wraca ci pamięć! - ucieszyła się Meredith.

- Chodźmy teraz do Davida... do mojej dawnej sypialni.

- Może powinieneś odłożyć to do jutra - powiedziała Meredith, gdy stanęli przed drzwiami do pokoju dzieciennego. - Na dziś wystarczy wrażeń...

Aleksander potrząsnął głową.

- Zaszliśmy tak daleko, że nie ma sensu się cofać - rzekł. Weszli do środka. Choć pokój, do którego nikt nie zaglądał przez trzydzieści pięć lat, wypełniał kurz i stęchłe powietrze, Aleksander poczuł w nim ciepło domu rodzinnego. Rozpoznawał przedmioty, które widział w snach i chwilowych przebłyskach pamięci. Pokój ten zawierał tajemnice pierwszych lat jego życia.

Usiadł na łóżku, gładząc dłonią delikatną pościel. Pluszowy miś na poduszce, rękawica i kij do baseballu wyglądały jak nowe, choć pokrywał je kurz. Zabawki wystające z ozdobnej skrzynki i dziecięce ubranka - wszystko to było mu znajome - stanowiło część przeszłości, której został pozbawiony.

Zurych

Herr Hauptmann był ciekaw, dlaczego inspektor z Interpolu chciał się z nim widzieć. Pomimo braku czasu postanowił spotkać się z detektywem.

- Głowiłem się, z jakich to powodów chce pan ze mną rozmawiać, i nic nie przychodziło mi do głowy - rzekł.

Dessain uśmiechnął się tak ciepło, że Hauptmann poczuł się jak w towarzystwie najlepszego przyjaciela.

- Oczywiście wie pan o kłopotach Kirakis Corporation?

- Owszem, nie wiedziałem jednak, że Interpol interesuje się sprawami tego rodzaju.

- Zwykle nie. Ale zdarzyło się kilka podejrzanych wypadków, w które były zamieszane osoby związane z Kirakis Corporation. Zapewne słyszał pan o tym.

- Nie obchodzą mnie takie historyjki - rzekł bankier. Dessain błysnął uśmiechem.

- *Herr* Hauptmann - powiedział tonem przygany. - Człowiek z pańską pozycją...

- Właśnie! Nie mam czasu zajmować się sensacjami.

- Ale to pan jest głównym finansistą Kirakis Corporation. Nie mylę się, prawda?

- Informacje tego typu są zastrzeżone.

- Racja. Ale wracajmy do tematu. Nie powie mi pan przecież, że bankierzy nie są zainteresowani faktem zniszczenia przez prasę przedsięwzięć, w które zainwestowali grube pieniądze?

- Odpowiedź na to pytanie jest oczywista. Kirakis Corporation to bardzo solidna firma. Nie można mieć do niej żadnych zastrzeżeń. Aktualnie konsorcjum bankierów...

- Którego jest pan członkiem - podpowiedział detektyw.

- Nie. Co do tego jest pan w błędzie.

- Nie wydaje mi się. Moje źródła informacji są raczej pewne.

Hauptmann zawahał się.

- Musiałem utrzymać w tajemnicy mój udział w pracach konsorcjum - wyjaśnił spokojnym głosem. - Plany ekspansji przedstawione przez *Herr* Kirakisa nie zyskały aprobaty mojego banku. Byłem więc zmuszony zainwestować z prywatnych środków.

- Rozumiem. - Dessain poprawił się w fotelu i wyjął z kieszeni płaszcza fajkę. Uniósł ją i zapytał: - Mogę zapalić?

- Proszę.

Po chwili powietrze przesycił słodki zapach dymu. Inspektor chciał zyskać na czasie. Był pewien, że Hauptmann coś ukrywa. Tylko jak to z niego wydobyć?

- Mam pewną teorię - zaczął ostrożnie. - Jestem przekonany, że ktoś chce zrujnować Aleksandra Kiraki-sa.

- To absurd - odparł szybko Hauptmann. - W ręku tego człowieka znajduje się klucz do multimiliardowych operacji. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś tak potężny mógłby mieć poważne kłopoty.

- Czyżby? - zapytał z powątpiewaniem inspektor. - W takim razie może wytłumaczy mi pan, dlaczego przekonuje pan swoich przyjaciół, bankierów, by żądali spłaty kredytów zaciągniętych przez Kirakisa?

Meredith weszła na plan „Manhattan Observer”. Przytrzymując się oparcia krzesła, czekała, aż miną zawroty głowy. Złajęła siebie za to, że nie zjadła śniadania. Postanowiła zaraz po zakończeniu zdjęć coś przekąsić, by wytrzymać do lunchu. Wybierała się z Casey do ich ulubionej włoskiej restauracji. Już najwyższy czas powiadomić Harva o urlopie - myślała. - Aleksander dostałby szału, gdyby się dowiedział, że jeszcze tego nie zrobiłam. Usiadła i przyglądała się technikowi przygotowującemu oświetlenie. Nieznośnie jasne światła potwornie rozgrzewały powietrze. Tak, w pomieszczeniu było zdecydowanie za gorąco. Nie czuła się najlepiej, ale zdecydowała, że wytrzyma do końca zdjęć. Nie powinny długo potrwać.

- Meredith, przydałoby się trochę więcej makijażu. - Zza kamer dobiegł ją głos reżysera. - Wyglądasz stąd bardzo niewyraźnie.

Zmusiła się do uśmiechu.

- I tak się czuję.

- Nie czujesz się dobrze? - zapytał z troską.

- Przeżyję, jeśli szybko się z tym uwiniemy.

- OK. Zróbmy próbę na wszelki wypadek.

- W porządku. - Zerknęła do notatek, a potem podniosła głowę uśmiechając się i spojrzała na kamerę. - Dobry wieczór. Meredith Courtney zaprasza państwa na kolejny program z cyklu „Manhattan Observer”. Dziś

wieczór moim gościem jest... gościem jest... - Nie była w stanie przypomnieć sobie nazwiska bohatera wieczoru. Spróbowała jeszcze raz i znów utknęła w tym samym miejscu. - Przykro mi, Dave, nie wiem, co się ze mną dzieje. - Zajrzała do notesu. Litery rozmywały się przed oczami. - Zróbmy sobie przerwę! - zawołał reżyser do ekipy. - Meredith, lepiej zapomnij o zdjęciach. Przynajmniej na dzisiaj. - Nie, Dave - upierała się. - Wszystko w porządku. Napiję się tylko trochę wody. Tutaj jest tak potwornie gorąco...

Podniosła się z krzesła.

Nagle zachwiała się i osunęła na podłogę.

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę, pani Kirakis? - zapytał doktor Holland, spoglądając w zamyśleniu w jej kartę zdrowia.

Meredith zastanowiła się. Nie mogła sobie przypomnieć. Tak wiele działo się ostatnio, że zupełnie nie zwracała uwagi na takie drobiazgi.

- Nie jestem pewna - odparła. - Czy to ważne?

- Owszem - stwierdził lekarz, notując coś w karcie. - Czy regularnie zażywała pani pigułki antykoncepcyjne?

- Nie, odstawiłam je kilka miesięcy temu.

- To wszystko wyjaśnia.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem.

- Pani objawy, zasłabnięcie, nudności, wyczerpanie, nie wspominając już, że nieco przybrała pani na wadze, świadczą... - Podniósł wzrok znad karty i uśmiechnął się szeroko. - Jest pani w ciąży, pani Kirakis.

Lozanna

Choć Aleksander ostatnio często odwiedzał klinikę, nigdy nie dostrzegł, że była ośrodkiem bardzo luksusowym. Po raz pierwszy zwrócił na to uwagę, gdy wybrał

się z Elizabeth na spacer. Budynek kliniki przypominał hotel, w którym zatrzymał się kiedyś w Dubrowniku.

Stan zdrowia matki nie uległ poprawie, jednak Aleksander uparcie trwał przy swoim - znajdzie sposób, by przełamać barierę i przywrócić Elizabeth światu.

Szli wzdłuż jeziora. Ku brzegowi płynęło stado kaczek, a powierzchnię wody złociły miliony słonecznych promyków, tańczące na drobnych falach. Czysty błękit południowego nieba dawał ukojenie.

Aleksander zauważył, że matka jest zmęczona, toteż poprowadził ją do ławki stojącej w cieniu wierzby. Usiedli.

Pod drzewem rosły kwiaty. Na ich widok przypomniał sobie słowa Toma nagrane na taśmie. Podobno David często zbierał w parku kwiaty dla matki.

„Najczęściej były to zwykłe chwasty - wspominał Tom. - Liz traktowała je jednak tak, jakby to były najwspanialsze róże. Wstawiała kwiaty do kryształowego wazonu i trzymała tak długo, aż zupełnie zwiędły”.

Aleksander wstał z ławki i zerwał kilka kwiatków. Wręczając je Elizabeth, powiedział:

- To dla ciebie, mamó. Mam nadzieję, że ci się spodobają.

Włożył kwiatki do jej dłoni. Na krótko stanął Elizabeth przed oczami synek trzymający w ręku bukiet kwiatów.

Lza popłynęła jej po policzku, lecz Aleksander tego nie zauważył. Ukrył twarz w dłoniach i zbierał siły do dalszej walki.

- Mamó - rzekł ledwie słyszalnym szeptem. - Co mam zrobić, byś mnie poznała? Jak mam do ciebie dotrzeć?

Chyba po raz pierwszy tak bardzo odczuł bezsilność.

Naraz coś dotknęło jego włosów. Podniósł głowę. To była dłoń Elizabeth!

Patrzyła na niego, lecz spojrzenie jej nie wyrażało żadnych uczuć.

Milczała. Nareszcie! Początek!

- Mamó? - wyszeptał, biorąc ją za rękę.

W jej oku wzbierała łza. Otoczył matkę ramieniem.

- Usłyszałaś mnie! Więc wiesz! Wiesz, że wróciłem do ciebie!

Byłbym bardzo wdzięczny - zaczął doktor Goudron -gdyby zechciał pan kontaktować się ze mną, zanim zabierze pan Elizabeth z pokoju.

Aleksander chodził po gabinecie psychiatry jak uwięzione w klatce zwierzę. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Usiłował zapanować nad gniewem. - Pan w ogóle nie słuchał, co mówiłem!

- Słyszałem. I rozumiem pańskie podniecenie, jednak jestem realistą. Jeśli spodziewa się pan cudu, to czeka pana srogi zawód. To, co pan zaobserwował, trudno nazwać znaczną poprawą.

- Ale ona mnie poznała! Wiedziała, że z nią jestem!

- Nie jestem tego taki pewien. Prawdopodobnie zareagowała na coś, co w ogóle nie wiązało się z panem.

- Ale kwiaty... Kwiaty mogły obudzić jakieś wspomnienia...

- Może tak, może nie.

- Więc twierdzi pan, że był to zwykły przypadek? - Na twarzy Aleksandra malowało się niedowierzanie.

- Nie tak kategorycznie. Jeszcze za wcześnie na wyciąganie daleko idących wniosków. Takie rzeczy zdarzają się czasem. Nie po raz pierwszy *madame* Ryan zareagowała na jakiś bodziec.

Aleksander stanął przy oknie. Widział stąd jezioro i miejsce, gdzie był z matką godzinę wcześniej.

- Wydaje mi się nieco dziwne, że oznaka poprawy zdarzyła się akurat w mojej obecności - zauważył.

- Był pan bardzo cierpliwy - rzekł Goudron. - Gdy czeka się odpowiednio długo... Zaskakuje mnie, że ktoś, taki jak pan, poświęca tak dużo czasu obcej kobiecie.

Aleksander uśmiechnął się.

- Ktoś taki jak ja... Jak często to słyszałem?

- Miałem tylko na myśli... - zaczął doktor nieco zakłopotany.

- Nie szkodzi - rzekł obojętnym tonem Aleksander. -Przywykłem do tego.
- Musi pan rozumieć jedno: *madame* Ryan już nic nie pomoże. Chyba że...

- Chyba że co?

- Zmartwychwstanie jej dziecka.

- Być może jej syn żyje - powiedział Aleksander. Goudron nie był pewny, czy dobrze zrozumiał.

- Zginął w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, jak zapewne panu...

- Założmy, że syn pani Ryan żyje i wiem, gdzie obecnie przebywa. Czy wtedy byłaby jakaś szansa?

Doktor wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, nie ma żadnych gwarancji. Lecz jeśli może pan dowieść...

- Mogę.

Goudron zamyślił się.

- A gdzie on teraz jest? - zapytał w końcu.

Ujawnienie tajemnicy mogło mieć poważne konsekwencje. Jeśli jednak Aleksander chciał pomóc matce, musiał zaufać Goudronowi.

- Stoi przed panem- powiedział.

Następnego dnia Aleksander ponownie zjawił się w klinice.

Idąc z matką brzegiem jeziora, zaczął nucić cicho melodię, którą zapamiętał z dzieciństwa. Nie przerywając obserwował zmiany zachodzące na twarzy matki. Po chwili dotarło do niego, że Elizabeth się uśmiecha! Podbudowany nucił coraz śmielej i głośniej.

- Mamo - wyszeptał - Mamo, słyszysz mnie!

Nowy Jork

Meredith jadła kolację, gdy wszedł Joseph. - Telefon do pani - poinformował. - Pan Kirakis dzwoni ze Szwajcarii.

- Odbiorę w gabinecie - powiedziała, wychodząc z jadalni. Pędem pobiegła do gabinetu. Podniosła słuchawkę.
- Aleksander?
- Tak, kochanie. Dzwoniłem wcześniej, ale Joseph powiedział, że odpoczywasz, więc kazałem ci nie przeszkadzać. U ciebie wszystko w porządku?
- Nigdy nie było lepiej. Jestem tylko odrobinę zmęczona. Jak tam Elizabeth?
- Chyba mnie rozpoznaje. Na razie to nic wielkiego. Jednego dnia dotknęła moich włosów, a innego się uśmiechnęła. To już coś. Przynajmniej wie, że jestem przy niej.
- Wspaniale! A co na to lekarz?
- Mówi, że jeszcze za wcześnie na radość. - Aleksander przerwał na chwilę. - Powiedziałem mu wszystko.
- Powiedziałeś o Janinie... i kim jesteś!
- Czułem, że powinienem to zrobić. Jestem pewien, że można mu zaufać. Przecież przez tyle lat utrzymywał w tajemnicy istnienie Elizabeth.
- Chyba masz rację. - Meredith przymknęła oczy i oparła się o biurko. Właśnie znów ogarnęły ją mdłości.
- Może zostałbym w Lozannie jeszcze kilka dni...
- Myślisz, że możesz sobie na to pozwolić? Przy tych wszystkich kłopotach korporacji...
- Ostatnie tygodnie były spokojne.
- To może być cisza przed burzą.
- Czy coś się stało, kochanie? - Nawet przez telefon umiał wyczuć jej nastrój.
- Nie. Mam dla ciebie niespodziankę i chciałam się nią z tobą podzielić.
- Może zaczekać kilka dni?
- Niespodzianka tak, ale ja chyba nie - wyznała. - Wczoraj widziałam się z doktorem Hollandem. Jestem w trzecim miesiącu ciąży.
- W ciąży? Jesteś pewna?
- Absolutnie, kochanie.

Paryż

Dessain analizował dane pojawiające się na ekranie monitora. Jak mógł to przeoczyć! Jak mógł przegapić coś tak istotnego? Najprawdopodobniej już w tej chwili zmierzał do Nowego Jorku szalencie, którym kierowała obłąkańcza myśl - zabić Aleksandra Kirakisa i każdego, kto chciałby mu w tym przeszkodzić. Obok komputera stał telefon. Dessain sięgnął po słuchawkę. Nigdzie nie mógł znaleźć Kirakisa, więc skontaktował się z biurem Air France i zarezerwował miejsce na najbliższy lot do Nowego Jorku.

Southampton

Huragan Sybil jest teraz mniej więcej sto mil na południe od Przylądka Hatteras - powiedziała spikerka. - Synoptycy przewidują, że przejdzie skrajem nad zachodnią część stanu Północna Karolina, a następnie skręci na północny zachód i będzie się przesuwał równoległe do linii brzegowej wzdłuż stanów Virginia, Maryland, Delaware i New Jersey. Przy obecnej prędkości może dotrzeć aż do Nowej Anglii.

Meredith, siedząc na kanapie, przysunęła się do Aleksandra i zapytała:

- Czy przypadkiem nie kieruje się prosto na nas?

- Nie przejmuj się tym wietrzykiem, *matia mou* - odparł Aleksander. - Jest bardzo daleko stąd. Nawet jeśli dotrze aż tutaj, zanim osiągnie Nowy Jork, prawdopodobnie znacznie osłabnie. Nie wolno ci się teraz niczym martwić. Masz odpoczywać. Będę śledził prognozy. Gdyby pojawiło się jakieś zagrożenie, coś na to poradzimy.

- Jak możesz być tak spokojny?

- Skarbie, zapomniałaś chyba, że dorastałem w Grecji. Z regularnością szwajcarskiego zegarka wyspę nawiedzały burze, no może odrobinę słabsze od huraganów. Przyzwyczailem się do takiej pogody.

Pocałowała go.

- Kocham cię!

Zalotny uśmiech zajaśniał na twarzy Aleksandra.

- Czy doktor Holland robił jakieś zastrzeżenia co do...

- Na razie jeszcze nie. A cóż ci chodzi po głowie?

- Wolałbym ci pokazać niż powiedzieć. - Podniósł się z kanapy, sprężystym ruchem pochwycił Meredith i zaniósł po schodach do sypialni. Położył ją na łóżku i zamknął drzwi.

- Próbujesz odwrócić moją uwagę od burzy? - spył - A jak ci się wydaje?

Nie zwracali uwagi na ciężkie krople deszczu, które uderzały w szyby wychodzących na zatokę okien. Odkrywali siebie na nowo w długich gorących pocałunkach, w pieszczotach, których brakowało im przez ostatnie sześć miesięcy. Nie śpieszyli się.

- Chyba już się zaokrągliłaś - rzekł Aleksander, gładząc jej brzuch. - Niedługo zaczniesz być widać, prawda?

- Prawdopodobnie w przyszłym miesiącu. Jak będziesz się czuł, występując publicznie z takim grubaskiem?

- Będę dumny.

- A co byś chciał, chłopca czy dziewczynkę?

- To nieistotne. Najważniejsze, że mam cię.

O drugiej w nocy Aleksander zszedł na dół posłuchać specjalnego wydania wiadomości. Meredith spała spokojnie.

- Bardzo prawdopodobne, że centrum huraganu będzie przesunęło się wzdłuż linii brzegowej. Sybil nie straci nic na swej sile aż do Nowej Anglii - mówił rzecznik Narodowego Centrum Kontroli Atmosferycznej z Florydy.

- Spodziewany jest na Long Island w piątek po południu - rzekł przedstawiciel Narodowego Instytutu Meteorologicznego z Rhode Island.

- Już nadciąga. Nadchodzi dzień próby. Wiatr, którego prędkość dochodzi

do stu trzydziestu mil na godzinę... W Waszyngtonie poustawiano wokół pomnika Jeffersona specjalne rusztowania, mające go chronić... Pentagon rozkazał powrócić okrętom do portów, wszystkie samoloty wojskowe mają pozostać na ziemi... Ewakuowano Fire Island...

Aleksander przez oszklone drzwi prowadzące na taras spoglądał na południową część nieba. Nadciągał huragan. Jeśli utrzyma kurs, uderzy na Manhattan w piątek w południe, a chwilę później zacznie pustoszyć Long Island. Powinni byli wrócić, kiedy po raz pierwszy nadano ostrzeżenie meteorologiczne. Powinien przynajmniej odesłać Meredith. Gdyby teraz zachorowała, byłoby bardzo trudno o lekarza. Teraz było jednak za późno. Huragan znajdował się zbyt blisko, warunki atmosferyczne w każdym momencie mogły ulec dalszemu pogorszeniu. Stanowczo powinni zostać i przeczekać...

W miarę jak zawierucha przybierała na sile, Manhattan przygotowywał się, by stawić czoło gniewnej naturze. World Trade Center zamknięto. Zaprzeszono handlu. Zatłoczone zazwyczaj ulice świeciły pustkami, wydawało się, że życie miasta zamarło. Burmistrz Koch ostrzegwał, by w piątek lepiej nie wychodzić z domu. Z portu odholowano statki w górę rzeki. Służby miejskie usunęły z ulic dwadzieścia pięć tysięcy pojemników na śmieci. Odwołano wszystkie loty w portach lotniczych Kennedy'ego, La Guardia i Newark.

Na lotnisku Kennedy'ego utknął inspektor Dessain. Przez kilka minut uparcie próbował dodzwonić się do Kirakisa. Kiedy ostatecznie mu się udało, dowiedział się, że państwo Kirakisowie wyjechali na tydzień do domu w Southampton. Okazało się, że wydostanie od kamerdynera adresu na Long Island jest tak trudne, jak nakłonienie do zeznań agenta obcego wywiadu! Był zmuszony użyć najcięższych argumentów.

NORMA BEISHIR

Przeszkody mnożyły się. Dessain przekonał się o tym, usiłując wynajac helikopter. Zaden pilot nie chciał leciec do Southampton.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie wystartuje w tych warunkach - mówił właściciel biura czarterowego. – Nie wiem pan, ze nadciąga huragan? – Moze uderzyc w kazdej chwili. Pan mnie nie zrozumiał, *monsieur* - rzekł Dessain - To sprawa życia i śmierci!

- Trafieś w sedno, kolego - powiedział mężczyzna - Ten cholerny huragan uderzy w Nowy Jork z siłą bomby atomowej. Lot helikopterem to samobójstwo!

Tym razem zawiodły wszelkie sposoby perswazji. Droga lotniczą inspektor nie mógł się dostać do Southampton. Pozostała mu tylko jedna możliwość. Zwrócił się o pomoc do nowojorskiej policji.

Nie martw się, wszystko będzie dobrze - przekonywał Aleksander żonę. Cierpliwie czekał, aż uśnie. Potem wstał z łóżka, wyszedł na palcach z pokoju i wrocil na swoje stanowisko przed oknem wychodzącym na taras. Nawałnica mogła zacząć się w każdej chwili.

W tym momencie Dessain kontynuował wyścig z czasem, jadąc wraz z dwoma policjantami samochodem. Byli piętnaście kilometrów na południe od Bellport misko a jednocześnie bardzo daleko. Mściciel mógł już dopasc Aleksandra Kirakisa.

Najswiezsze raporty donosily o znacznym osłabieniu zywiolu. Stalo sie to, zanim huragan dotarł do Manhattanu. Prędkość wiatru była dużo niższa od przewidywanej, wynosiła zaledwie czterdzieści mil na godzinę. Zniszczenia były minimalne. Aleksander odprężył sie. Long Island w zasadzie była już bezpieczna, zdecydował się jednak nie budzić Meredith. Nie spała dużo ostatniej nocy, przyda się jej odpoczynek. Spróbował

zatelefonować do apartamentu na Manhattanie, lecz nie uzyskał połączenia. Prawdopodobnie burza zerwała linie łączące Long Island z resztą świata.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, zabrzmiał dzwonek u drzwi. Kto mógł opuścić dom w taką pogodę?

Za drzwiami stał jakiś nieznajomy mężczyzna.

- Tak? - spytał Aleksander.

- Pan Aleksander Kirakis?

- Tak.

- Nie poznaje mnie pan? - Przybysz uśmiechnął się dziwnie.

- Nie, skądże. - Aleksander zaczął się czuć nieswojo. Miał złe przeczucia.

- Nazywam się Julius Hauptmann. Jestem szóstym członkiem konsorcjum bankowego z Zurychu. Muszę z panem porozmawiać, to bardzo pilne.

Mogę wejść?

- Oczywiście, proszę dalej, *Herr Hauptmann*.

Inspektor Dessain próbował się dodzwonić do Aleksandra Kirakisa z budki telefonicznej w West Hampton. Bezskutecznie. Osłaniając się przed wiatrem, pobiegł z powrotem do wozu policyjnego.

- Musimy jak najszybciej się dostać do Southampton - powiedział do policjantów, czekających w przytulnym wnętrzu wozu, który chronił ich przed wściekłymi uderzeniami wichury, sypiącej w oczy piaskiem i gałęziami.

- Nie ma chwili do stracenia!

- Powinniśmy poczekać na burzę - odparł jeden z nich. - Jazda w taką pogodę może być niebezpieczna. Wiatr staje się coraz silniejszy.

Wszystko może nam przeszkodzić, zwalone drzewa, zerwane linie wysokiego napięcia...

- Musimy jechać - przerwał mu Francuz. - Jeśli zrobimy sobie postój, zjawimy się tam w samą porę, by znaleźć zwłoki.

Naprawdę nie wie pan, kim jestem? - zapytał Hauptmann, stojąc przy kominku.

Aleksander usiadł na kanapie. Usiłował zrozumieć,
O co może chodzić niespodziewanemu gościowi.

- Przecież sam mi pan przed chwilą powiedział - rzekł. - Nazywa się pan Julius Hauptmann i jest pan jedynym członkiem konsorcjum, którego nie miałem zaszczytu do tej pory poznać. Czego on może chcieć? Po co tu przyszedł? - zastanawiał się. Jednego był pewien - mężczyzna nie przybył w sprawach służbowych.

- Tak jak myślałem - odezwał się gość. - Pan nawet nie pamięta Marianny...

- Marianna? - W tej samej chwili doznał olśnienia. - Marianna Hauptmann... O mój Boże!

Mężczyzna miażdżył go wzrokiem.

- Była moją córką. - Rzucił Aleksandrowi pod nogi pożółkły wycinek z genewskiej gazety. - Umarła siedem lat temu. Mam może poinformować szanownego pana, jak to było?

- Wiem, co się z nią stało. - Jego umysł pracował gorączkowo. Wielu ludzi podejrzewał, nigdy jednak nie przyszedł mu na myśl ojciec Marianny. Omiótł szybkim spojrzeniem schody. Modlił się, by Meredith nie obudziła się właśnie teraz.

- To przez ciebie powiesiła się w tym obskurnym hoteliku! - krzyknął Hauptmann. - Odebrała sobie życie, bo zakochała się w tobie, a ty ją podle wykorzystasteś! Uwiodłeś, zbezczeszcisteś, a gdy ci się znudziła, porzuciłeś! Była kochaną, niewinną dziewczyną. Tak naiwną i łatwowierną! Uwierzyła, że rzeczywiście jesteście w niej zakochani i chcesz się z nią ożenić!

- Nie chciałem jej skrzywdzić... - rzekł Aleksander, by go uspokoić. Zależało mu na tym, by jak najszybciej pozbyć się Hauptmanna, zanim swymi krzykami obudzi Meredith.

- Cisza! Nie obchodziło cię, co czuje moja córka. Przyzwyczyłaś się zmieniać kobiety jak rękawiczki. Wiem o tobie wszystko, znam twoje „wspaniałe” osiągnięcia. Ile kobiet próbowało przez ciebie popełnić samobójstwo? Jesteś z tego dumny?

- Proszę posłuchać, ja... - Aleksander wstał z kanapy i naraz zamarł. Hauptmann trzymał w dłoni rewolwer.

Tuż przed Southampton Dessaina i jego dwóch towarzyszy zatrzymało leżące w poprzek drogi drzewo. Gdy wyteżając wszystkie siły, przesuwali wilgotny pien, Francuz po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy jest już za późno.

Meredith wyrwały ze snu gniewne męskie głosy. Jeden z nich należał do męża, lecz drugi brzmiał zupełnie obco. Usiadła na łóżku i usiłowała zrozumieć, co dzieje się na dole. Narzuciła szlafrok i skradając się podeszła do schodów. Ujrzała Aleksandra i jakiegoś nieznanego mężczyznę.

- Długo czekałem na tę chwilę - powiedział nieznanomy. - Przez siedem długich lat czekałem na tę chwilę.

- Posłuchaj mnie, człowieku! - wykrzyknął poirytowany Aleksander. Nawet z tej odległości Meredith widziała napięcie malujące się na jego twarzy. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

- Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia - warknął Hauptmann. - Wiesz, co znaczy stracić kogoś, kto był dla ciebie całym światem? Jedyną osobą, dla której warto było żyć? W dzień pogrzebu mojej córki poprzysiągłem poświęcić życie, by doprowadzić cię do ruiny. Musisz zapłacić za swoje grzechy. Zabrało to więcej czasu, niż myślałem, ale warto było czekać.

- Więc to pan...?

- Zdobyłem wystarczająco dużo pieniędzy, by cię zniszczyć. Bardzo starannie wyreżyserowałem twoją klęskę. Pewnie sobie przypominasz pożar w Montrealu? Jak myślisz, kto może być odpowiedzialny za problemy z placówką badań jądrowych? Moi ludzie nieźle się spisali, co? Nie było łatwo wpłynąć na polityków, ale jak sam wielokrotnie mówiłeś, każdy ma swoją cenę. - Przerwał na chwilę i dodał: - Nawet twój człowiek w Turcji.

- Co ma z tym wspólnego Kafir?
- Okazał się bardzo użyteczny. - Cienkie wargi Hauptmanna ułożyły się w szyderczy uśmiech. - Nie było trudno nakłonić go do współpracy, gdy odkryłem jego pilnie strzeżony sekret!
- Sekret?
- Twój Kafir był w długach po uszy, hazard. Nie wiedziałeś o tym? - Zachichotał ironicznie. - Spłaciłem wszystkie jego długi i stał się moją własnością.
- Mogłem się tego spodziewać - powiedział Aleksander, przypominając sobie dziwne zachowanie Kafira pewnego ranka w Istambule.
- Moi ludzie wrobili Kurta Badrutta - ciągnął Hauptmann, delektując się strachem malującym się na twarzy Aleksandra. Nie wiedział jednak, że Kirakis się boi nie o siebie, lecz o Meredith. - Z całą pewnością udałby się też szantaż w Londynie, gdyby ta wścibska dziewczyna nie dotarła do informacji, którymi zastraszyłem twojego człowieka. Niestety, zorientowała się, co się dzieje... Było to najbardziej niefortunne zdarzenie. Dla niej, oczywiście.
- Zabiłeś Carolyn Grayson?
- Wolałbym inne określenie. Powiedzmy, że zaaranżowałem wypadek, który się jej przytrafił.
- A Carlo Manetti? W jego upadku też maczałeś palce?
- Oczywiście. Znakomicie pasował do moich planów. Gdy jego koncert znalazł się w poważnych tarapatach, wszyscy uznali, że to twoja sprawka. Perfekcyjna robota. - Przerwał na chwilę. - A kiedy ten głupiec popełnił samobójstwo, było to jak nieoczekiwana premia w grze. Jego córce udało się popsuć ci opinię, nie sądzisz?
- Mój Boże, pan jest szalony! Zupełnie obłąkany!
- Ale największy sukces odniosłem, gdy odkryłem prawdę o tobie. Poszukiwania twojej żony bardzo mnie zaintrygowały. Wysłałem więc kilku ludzi do Aten, Janiny, nawet do Los Angeles. To ja przysłałem jej dokument, którego poszukiwała. Zastanawiałem się, czy nie

ujawnić prawdy prasie. - Uśmiechnął się złośliwie. -Postanowiłem jednak pozwolić ci żyć ze świadomością, że jest ktoś, kto wie o tobie wszystko. I w każdej chwili może to wykorzystać. Niestety, ten inspektor z Interpolu pokrzyżował mi plany.

Hauptmann przesunął się nieco i Meredith dostrzegła w jego dłoni pistolet. Wycofała się cicho do pokoju, by zadzwonić na policję. Nie udało jej się, ponieważ połączenie było zerwane. Rozejrzała się po pokoju i nagle przypomniała sobie o strzelbie, którą Aleksander trzymał w szafie. Wyjęła ją stamtąd drżącymi rękami. Broń była na szczęście naładowana. Nie kryjąc się już, stanęła na schodach. Aleksander zobaczył ją pierwszy. - Wracaj na górę! Szybko! - krzyknął. Hauptmann odruchowo nacisnął spust. Rozległ się huk wystrzału i Aleksander osunął się na kanapę. Meredith uniosła broń i strzeliła. Mężczyzna upadł. Aleksander podniósł się - był ranny w ramię. Podszedł do Hauptmanna i na wszelki wypadek kopnął rewolwer, tak by ten nie mógł go dosięgnąć.

Obok ciała leżał na podłodze błyszczący przedmiot. Podniósł go. Była to bransoletka, którą podarował Mariannie w Gstaad. Spojrzał na Meredith. - Nic ci nie jest, *matia mou*? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Nie żyje?

- Tak.

- Kim on był, Aleksandrze? Dlaczego chciał cię zabić?

- To bardzo długa historia, kochanie.

Nagle usłyszeli walenie do drzwi. Kiedy Aleksander otworzył, ujrzał Dessaina.

- Hauptmann? - rzucił inspektor, widząc, że Aleksander jest ranny. - Wezwijcie karetkę - zwrócił się do policjantów.

Nowy Jork, lipiec 1988

W kręgach światowej finansjery rozeszła się zaskakująca pogłoska, potwierdzona wkrótce przez krzykliwe nagłówki „Wall Street Journal”. Miało dojść do fuzji wszechczasów. Kirakis Corporation łączyła się z trzecim co do wielkości zjednoczeniem przedsiębiorstw na świecie - z Hammond Transcon. Po niepowodzeniach korporacja odrodziła się potężniejsza niż kiedykolwiek, a jedną z oznak rozwoju było powtórne otwarcie ośrodka badań jądrowych w Los Angeles, będącego jej wizytówką.

Ateny

Kulturalnym wydarzeniem miesiąca stało się otwarcie przez Aleksandra i jego uroczą małżonkę muzeum poświęconego pamięci Meliny i Constantine'a Kirakisów. Wydarzenie to ściągnęło tłumy, wszyscy chcieli zobaczyć kolekcję obrazów znanych impresjonistów, Moneta, Renoira i Maneta. Obecny na ceremonii otwarcia utkwiła w pamięci porywająca mowa Aleksandra Kirakisa, w której zawarł całą swoją miłość do nieżyjących już rodziców...

Lozanna

Choć doktor Goudron nie wierzył w cuda, teraz musiał przyznać, że na jego oczach zachodziło niezwykle zjawisko: stan *madam* Ryan poprawia się.

Aleksander Kirakis regularnie odwiedzał matkę i dla doświadczonego psychiatry stało się oczywiste, że pomiędzy nimi tworzy się załączek kontaktu. Wprawdzie pacjentka jeszcze nie mówiła, ale było to tylko kwestią czasu.

Paryż

Gdy Aleksander i Meredith pojawili się w drzwiach samolotu, przy oddalonej o kilka metrów barierce rozpoczęła się przepychanka wśród reporterów. Każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce, by zrobić pierwszą fotografię latorośli Kirakisów. Dziewczynka miała już sześć miesięcy, ale dotychczas nie ukazało się w prasie żadne jej zdjęcie. Zgadywano, że rodzice, po tym, co przeszli w ostatnich dwóch latach, bali się, by jej nie porwano. Krążyły pogłoski o problemach Meredith z donoszeniem ciąży; podobno dwukrotnie była bliska poronienia - pierwszy raz po zdarzeniu w posiadłości Kirakisów w Southampton.

Kiedy Kirakisowie zeszli po schodach na płytę lotniska, reporterzy zaczęli wołać o zdjęcie lub przynajmniej o kilka słów komentarza.

Meredith, uśmiechając się, spojrzała na Aleksandra.

- Co o tym sądzisz? - zapytała.

- Czemu nie? - odrzekł.

Objęci podeszli do barierki. Meredith zdjęła dziecku czapkę i rozchyliła becik, by ukazać światu dziewczynkę o takich samych rysach twarzy, czarnych włosach i oczach co Aleksander.

- Panie i panowie - powiedział Aleksander z dumą w głosie. - Poznajcie naszą córkę, Aleksis Elizabeth Kirakis.